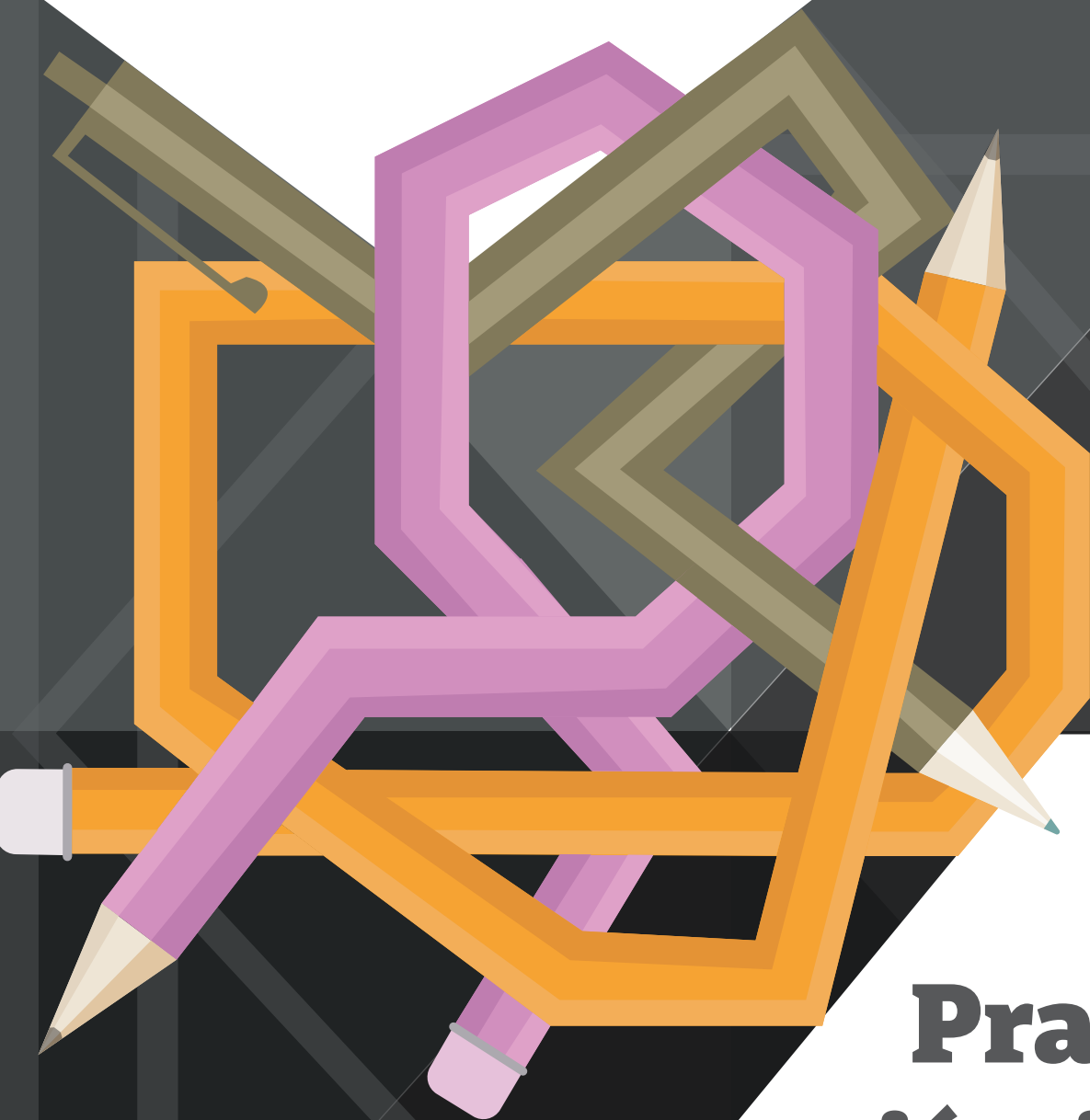


almanach  
antropologiczny  
**communicare**

**09**



**Praktyki  
piśmienne  
/ Warsztaty  
humanistyczne**

### **Komitet redakcyjny**

Wojciech Dudzik  
Grzegorz Godlewski  
Marcin Gołąb (sekretarz)  
Agnieszka Karpowicz  
Iwona Kurz  
Włodzimierz Karol Pessel  
Paweł Rodak

Poprzednie tomy „**Almanachu Antropologicznego. Communicare**”, przygotowane w serii opracowanej w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, zainicjowanej przez Andrzeja Mencwela:

**t. 1:** Internet

**t. 2:** Oralność/Piśmienność

**t. 3:** Słowo/Obraz

**t. 4:** Twórczość słowna / Literatura.

*Performance, tekst, hipertekst*

**t. 5:** Szkoła/Pismo

**t. 6:** Aktorka/Emancypacje

**t. 7:** Miasta/Awangardy

**t. 8:** Miasta/Zwierzęta

almanach  
antropologiczny  
**communicare**

**09**

**Praktyki  
piśmienne  
/ Warsztaty  
humanistyczne**

**REDAKCJA TOMU**  
**Marta Rakoczy**  
**Agnieszka Sobolewska**

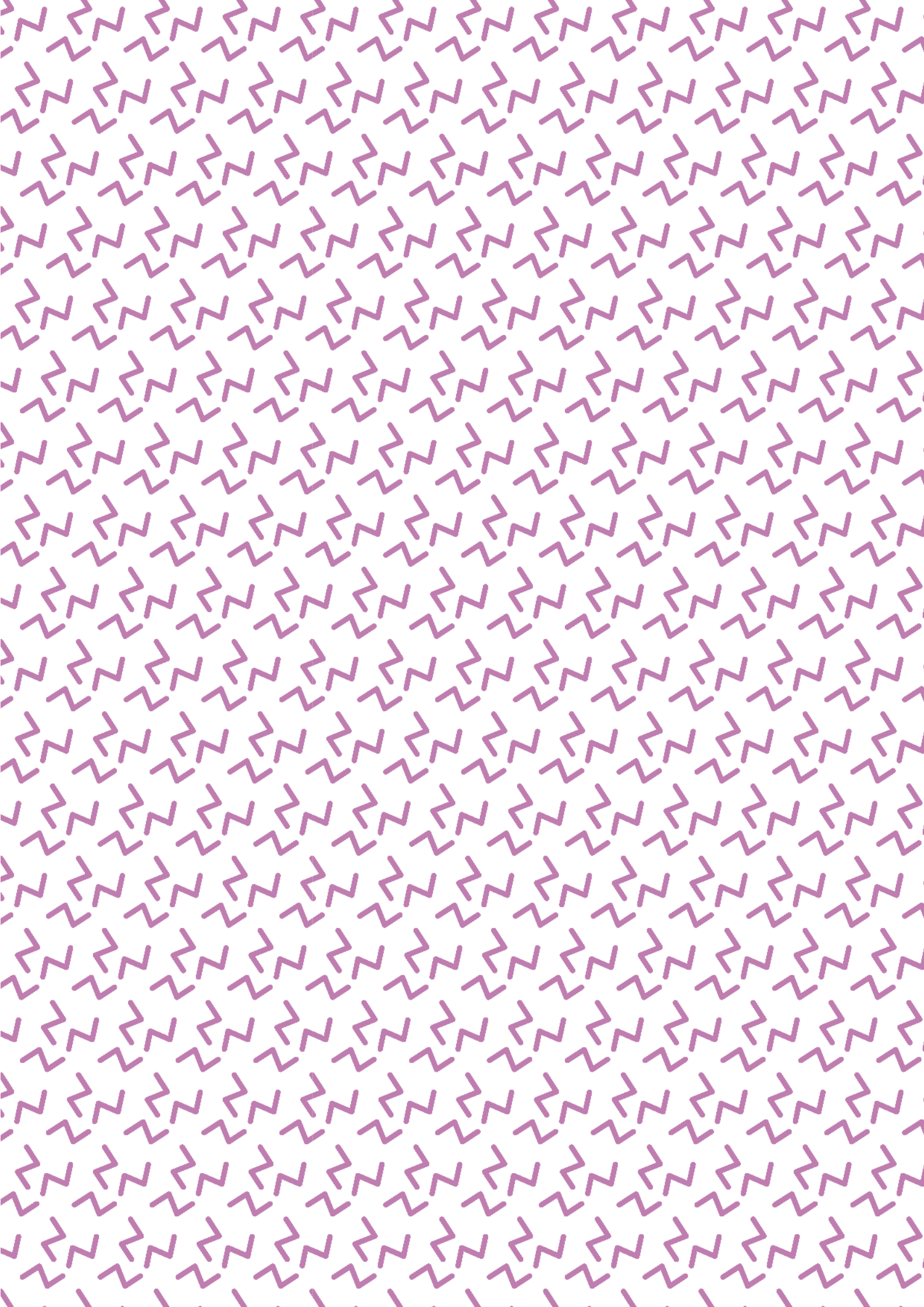
	<b>Wstęp</b>	
	Marta Rakoczy, Agnieszka Sobolewska Warsztaty naukowego pisania. Praktyki piśmienne humanistów	7
<b>1</b>	<b>Z historii i teorii problemu</b>	
	Charles Bazerman W jaki sposób filozofowie przyrody mogą ze sobą współpracować. Techniki pisarskie koordynowania badań w <i>Historii i stanie obecnym elektryczności</i> Josepha Priestleya (1767), przeł. Marta Rakoczy	15
	Richard Bauman, Charles L. Briggs Unaukowanie tekstów w służbie narodu. Bracia Grimm i filologia germańska, przeł. Agnieszka Sobolewska	33
	Don Brenneis Obiecująca reforma, przeł. Marta Rakoczy i Agnieszka Sobolewska	55
<b>2</b>	<b>Rozpoznania</b>	
	„Oparte na eksperymencie, unikalne narracje humanistyczne zostają z nami bardzo długo” – z Tomaszem Rakowskim rozmawiają Marta Rakoczy i Agnieszka Sobolewska	73
	Od tekstu-montażu do tekstu jako opowieści – z Małgorzatą Litwinowicz-Drożdziel rozmawiają Marta Rakoczy i Agnieszka Sobolewska	83
	Marta Rakoczy <i>Scientific literacy</i> a pisanie humanistyki. Polityki tekstowe współczesnej akademii w perspektywie antropologii piśmienności	92
	Inga Kuźma Status tekstu naukowego z perspektywy etnologii / antropologii kulturowej	107
	Jerzy Stachowicz Władza interfejsów? Kalifornizacja akademickiego pisania	117
	Piotr Cichocki, Tomasz Rakowski Sztuka pisania, doświadczenie etnograficzne. Założenia sprzeciwu wobec akademiocentrycznej humanistyki	128
<b>3</b>	<b>Analizy i interpretacje</b>	
	Agnieszka Sobolewska Praktyki psychoanalizy w Europie Środkowej krótko po 1945 roku. Ćwiczenia z kartografii historycznej: Wiedeń–Budapeszt–Praga	143
	Marta Rakoczy Witkacy: pisanie ekscentryczne. W stronę kulturowych historii alternatywnych praktyk pisarstwa humanistycznego	154
	Paulina Chorzewska-Rubik Cyfrowe praktyki piśmienne w archiwalnych, filologicznych badaniach literackich źródeł internetowych	167
	Eksperymentalne laboratoria humanistyczne – z Piotrem Mareckim rozmawia Honorata Sroka	177

# 4

## Omówienia i recenzje

- Anna Róża Hoss** Kto tam mieszka, kto plądruje? O Uniwersytecie w ruinie Billa Readingsa (Bill Readings, *Uniwersytet w ruinie*, Warszawa 2017) 183
- Marta Rakoczy** Humanistyka bez barykad. Intelktualiści czytani bez tekstocentryzmu (Roman Chymkowski, *Nietożsamości. Tillion, Fanon, Bourdieu, Derrida i dylematy dekolonizacji*, Warszawa 2019) 190
- Agnieszka Sobolewska** Piękne potwory i nieżnośny popęd wiedzy: kulturowa historia encyklopedii (Paweł Majewski, *Mantykora. Wczesna historia encyklopedii*, Warszawa 2022) 194
- Sara Herczyńska** Empatyczne laboratorium Marii Reimann (Maria Reimann, *Nie przywitam się z państwem na ulicy. Szkic o doświadczeniu niepełnosprawności*, Warszawa 2019) 200
- Paulina Chorzewska-Rubik** Między sztuką a badaniem – twórcze myślenie kodem (Nick Montford, *Odkrywanie kodu. Wprowadzenie do programowania w sztuce i humanistyce*, Kraków 2017) 203
- „Czytać więcej, pisać mniej”. Debata wokół prywatnych warsztatów humanistycznego pisania – rozmowa **Grzegorza Godlewskiego**, **Małgorzaty Litwinowicz-Droździel**, **Weroniki Parfianowicz**, **Tomasza Rakowskiego**, **Pawła Rodaka**, **Kornelii Sobczak**, **Agnieszki Stecko-Żukowskiej**, **Ady Tymińskiej**.  
Moderacja: **Marta Rakoczy** i **Agnieszka Sobolewska**. 207
- Noty o autorkach, autorach, rozmówczyniach i rozmówcach** 223







# **Wstęp**



Marta Rakoczy  
Agnieszka Sobolewska

## Warsztaty naukowego pisania. Praktyki piśmienne humanistów

**N**iedawno, kiedy prowadziłam zajęcia z dziećmi<sup>1</sup>, zadałam im pytanie, jak wyobrażają sobie warsztat pracy humanisty, skoro – jak wspólnie ustaliliśmy – nie jest to praca badacza w białym fartuchu, w laboratorium pełnym próbek i przyrządów.

Jedna z dziewięciolatek opowiedziała, że zgodnie z jej wyobrażeniami pracujemy w samotności. A dokładnie – w obszernych gabinetach wyłożonych drewnem, przy dużych biurkach, w ciszy, mając do dyspozycji wielką bibliotekę, pióro, zabytkową lampę i lupę do czytania starych ksiąg. Uderzające w tej wizji było przekonanie, że miejsca pracy humanistów i humanistek wyglądają anachronicznie, ale dzięki temu fascynująco. A także, że z pewnością nie przypominają typowego biura właściwego dla nowoczesnego sektora usług publicznych lub komercyjnych. Dzieci wyobrażały sobie warsztat pracy humanisty jako miejsce-pustelnię, w której intelektualiści oddają się samotnemu pisaniu i czytaniu.

Wyartykułowany przez dzieci mit humanistycznego pisania jako ekspresji twórczości intelektualnej – kojarzonej coraz częściej z tajemniczym i niezrozumiałym działaniem, głęboko obcym współczesnym codziennym praktykom – jest znaczący. Świadczy nie tylko o głęboko uwewnętrznionym społecznie wyobrażeniu, że współczesne uprawianie humanistyki jest czynnością „nie z tego świata”. Wyobrażeniu, które nie jest bezpieczne, bowiem – jak wskazywał Ryszard Nycz – pozwala „wpędzić humanistów w depresyjną pozycję”, a następnie „przejąć ich narzędzia i pola działania, zarazem obciążając ich odpowiedzialnością za mentalne i społeczne skutki tych działań”<sup>2</sup>. Świadczy także o tym, jak mocno z kultury współczesnej wyparto świadomość, że humanistyka i obcowanie z jej tekstami wymaga rozległej, społecznie „nierozpoznanej” infrastruktury praktyk angażujących lokalne i ponadlokalne wspólnoty ludzi i instytucji zajmujących się transmisją tekstów oraz zróżnicowanych sposobów ich analizowania, tworzenia i przekształcania<sup>3</sup>. Żaden humanista nie jest w swym gabinecie, o ile go posiada, samotny. I nie chodzi tu tylko o to, że – jak pisał Hans Georg Gadamer – jego samotność rozjaśnia więź, a czasem nawet przyjaźń z jego wybitnymi, znanymi z tekstów, poprzednikami. Pisanie humanistyki jest skomplikowaną praktyką kulturową osadzoną w coraz bardziej skomplikowanym świecie współczesnej akademii, nowych i starych technologii oraz wielu instytucji kulturowych odpowiedzialnych za transmisję, cyrkulację, hierarchizację i wykorzystanie wiedzy zdeponowanej w tekstach, wykresach, diagramach i obrazach: czy to w postaci elektronicznej, czy papierowej. Być może z tego właśnie mitu rodzi się przekonanie, że uprawianie humanistyki jest

---

Marta Rakoczy,  
Agnieszka  
Sobolewska,  
Warsztaty naukowego  
pisania. Praktyki  
piśmienne humanistów,  
„Almanach  
Antropologiczny.  
Communicare” 2024,  
t. 9, s. 7-13.

tanie, proste i wymaga tylko tego, by dać jakąkolwiek przestrzeń do pracy jej reprezentantom i reprezentantkom, skoro ich samotna i niezrozumiała praca jest raczej przywilejem społecznym niż społeczną potrzebą.

Tymczasem pisanie humanistyki – o czym zaświadcza niniejszy tom – nie jest, co więcej – nigdy nie było praktyką samotnego pisania i czytania, i to nawet w epoce nowożytnej, w której mało który humanista posiadał stabilizację profesjonalną w postaci zatrudnienia w ówczesnych akademiach. Przykładowo, taki mitograf humanistyki jak René Descartes opisywał siebie jako pustelnika przelewającego na papier samotne medytacje filozoficzne, w rzeczywistości jednak, jak większość współczesnych, prowadził rozległą, międzynarodową korespondencję polegającą na wymianie pomysłów i wzajemnej ich krytyce. Był też głęboko świadomy – czemu dawał wyraz choćby w listach do księżniczki Elżbiety – że każdy tekst będący „szkicem ołówkowym” wymaga „nałożenia barw i ozdobników niezbędnych, aby rzecz mogła być przedstawiona oczom mniej przenikliwym”<sup>4</sup>. Gdziekolwiek się pojawił, Descartes gromadził wokół siebie licznych intelektualistów, a swój rozwój filozoficzny po opublikowaniu *Rozprawy o metodzie* zawdzięczał temu, że – jak wspominał w *Medytacjach o filozofii pierwszej* – prosił „wszystkich, których by w jego piśmie uderzyło coś godnego nagany”, by mu to „wytknęli”<sup>5</sup>. Był też wybitnym literatem, świadomie eksperymentującym z różnorodnymi, historycznie usytuowanymi gatunkami i praktykami tekstowymi, właściwą im retoryką, gramatyką i semantyką; jednym z pierwszych twórców myśli nowoczesnej, który postanowił połączyć głęboko osobiste pisanie autobiograficzne z pisaniem filozofii po to, by stworzyć najbardziej udane retorycznie dzieło wczesnej nowożytności, poruszające nie tylko umysły, ale także wyobraźnię i afekty przyszłych reprezentantów wszelkich możliwych dziedzin, od matematyki, biologii i fizyki po filozofię i teologię. Zrozumienie tego, a także wielu innych fenomenów, wymaga zatem demitologizacji i denostalgizacji humanistycznego pisania<sup>6</sup>, to zaś wymaga zastosowania proponowanych w tym tomie, nadal słabo rezonujących w Polsce perspektyw: antropologii pisma, szeroko rozumianych *literacy studies* oraz antropologii wiedzy. Dlatego proponowana przez nas antropologiczna refleksja nad warsztatami naukowego pisania stanowi próbę przemyślenia humanistyki w świetle takich kategorii, jak: „praktyka”, „pismo”, „słowo”, jednocześnie wprowadzając do niej takie pojęcia z obszaru historii i antropologii wiedzy, jak: „produkcja”, „transmisja” czy „cyrkulacja”.

Współczesne studia dotyczące piśmienności przeszły wiele rewolucji<sup>7</sup>. Po pierwsze, w odróżnieniu od wczesnych propozycji z zakresu *literacy studies* stworzonych przez Waltera J. Onga i Jacka Goody’ego widzimy dziś, że pismo i pisanie nie zawsze stanowią narzędzie krytycznej emancypacji, a wykorzystanie praktyk piśmiennych, choćby w nowoczesnych biurokratycznych formach zinstytucjonalizowanej przemocy lub kontroli, jest tego dobitnym przykładem<sup>8</sup>. W odróżnieniu jednak od wielu metodologii wyrastających z Foucaultowskiej archeologii wiedzy przyjmujemy, że pisanie nie musi oznaczać tworzenia posłusznych ciał lub nadrukowywania na nich, jak pisał Michel de Certeau w *Ekonomii piśmiennej*, dyskursów wiedzy/władzy<sup>9</sup>.

Uznajemy też, wychodząc od krytycznych analiz piśmienności zapoczątkowanych przez Pierre’a Bourdieu, że habitus i praktyki właściwe dla społecznego i politycznego funkcjonowania piśmienności mogą – jak podkreślał Bourdieu – reprodukcja określone struktury społeczno-polityczne, ale mogą je również przekształcać<sup>10</sup>. Praktyki piśmienne i konstytuowane przez nie gatunki tekstowe wraz ze swoim instytucjonalnym – materialnym, cielesnym, technologicznym, afektywnym i polityczno-społecznym – zapleczem pełnią różnorodne funkcje społeczne w zależności nie tylko od szerszego kontekstu, ale także pojedynczych aktorów, którzy negocjują ich treść i formę w jego polu<sup>11</sup>. Aby to zobaczyć, należy przyjąć obecną w tym tomie perspektywę makro – dostrzegającą globalne technologie piśmienne i globalne mechanizmy produkcji wiedzy, ale także perspektywę mikro – nietracącą z horyzontu refleksji pojedynczych twórców tekstów: profesjonalistów pisania i czytania, redefiniujących obecne praktyki pisania akademickiego i tworzących obszerne imaginaria własnego tekstowego i humanistycznego zaangażowania<sup>12</sup>. Teksty bowiem i praktyki tekstowe – obecnie multimodalne i na różnorodne sposoby zapośredniczone przez ekrany, interfejsy i nasze ciała – są cały czas źródłem projektów tożsamościowych grup i jednostek<sup>13</sup>. Wciąż też zaangażowane są w różnorodne koncepcje polityczne dotyczące tego, czym są wiedza i uniwersytet, kim są ich główni beneficjenci, a także jaka jest ich funkcja w gwałtownie zmieniającym się społeczeństwie informacyjnym<sup>14</sup>, w którym – jak zauważał Przemysław Czapliński – „prezydenci państw i ich doradcy, specjaliści od

propagandy i wojen informacyjnych sprawiają przecież wrażenie, jakby byli uczniami naszych czarnoksiężników<sup>15</sup>. I w którym humaniści jako dysponenci „miękkich kompetencji” wykorzystywani są do celów sprzecznych z deklarowanym przez nich etosem<sup>16</sup>.

Wykorzystane przez nas w tytule tomu pojęcie warsztatów piśmiennych traktujemy jako centralne dla proponowanej tutaj refleksji nad obecnością i znaczeniem codziennych praktyk piśmiennych w humanistyce. Wraz z autorami i autorkami zebranych tekstów oraz naszymi rozmówcami i rozmówczyniami pragniemy przyrzeć się nie tylko praktykom pisania naukowego – a przede wszystkim temu, co wypływa z naszego doświadczenia, a więc praktykom charakterystycznym dla nauk humanistycznych – lecz także emancypacyjnemu wymiarowi tego, co kształtuje nasze strategie badawcze, a więc polityczności tekstów. W tym celu odwołujemy się do aktualnego kontekstu – do uniwersytetu charakteryzującego się przyspieszoną transformacją i podążającego za globalizacją, ujmowanego tu zarówno jako konkretna instytucja, jak i idea głęboko zakorzeniona w kulturze zachodniej. Sięgamy również po przykłady z polskiej i środkowo-europejskiej historii praktyk badawczych i piśmiennych uprawianych poza akademią. Proponowana w tomie perspektywa jest wyznaczona przez refleksję łączącą podejścia kulturowej historii wiedzy, ciągle słabo obecnej na polskim gruncie, oraz antropologii i teorii piśmienności. Refleksję konieczną, jeśli nie chce się, w imię sprzeciwu wobec neoliberalnej akademii, nostalgizować przeszłej, zinstytucjonalizowanej humanistyki i rezygnować z pytania o polityczność historycznie ułożonych praktyk oraz strategii pisania, a także wówczas, gdy pytanie o krytyczny potencjał humanistyki stawia się na podstawie badania jej instytucjonalnego zaplecza i legitymizującego go pola. Tym, co nas interesuje, są zatem różnorodne współczesne i przeszłe praktyki utrwalania, archiwizowania, dokumentowania, tworzenia i legitymizowania pola badań w zapisie – w wewnątrznie zróżnicowanych praktykach piśmiennych: rękopiśmiennych, drukowanych i cyfrowych. Krytyczne przyjrzenie się im wynika z przeświadczenia, że – jak pisze Agata Skórzyńska – „[o]bserwowanie pola akademickiego jest [...] właściwie koniecznym elementem każdej pracy intelektualnej – nie zbliżymy się do zrozumienia zjawisk społecznych, jeśli nie będziemy ponawiać wysiłku uzmysłowienia sobie układów sił oddziałujących we własnym – akademickim – polu”<sup>17</sup>. W przeciwieństwie do tekstów skoncentrowanych na „autoetnografii uczelni”, chcemy jednak spojrzeć na humanistyczne pisarstwo szerzej – ze świadomością, że wiele historycznie doniosłych praktyk i gatunków piśmiennych ukonstytuowało się poza zinstytucjonalizowaną akademią, a stawianie jej w centrum pytań o kondycję przyszłej humanistyki jest być może uzurpacją<sup>18</sup>. Chcemy też wyjść poza dyskusję nad neoliberalizacją polskich uniwersytetów w stronę tworzenia instrumentów antropologii wiedzy badającej jej różnorodne, także pozaakademickie cyrkulacje i ewokacje<sup>19</sup>.

Wyjaśnienia domagają się dwie kwestie terminologiczne. Po pierwsze: dlaczego „warsztaty piśmienne”, a nie laboratoria? Po drugie: dlaczego „piśmienne”? Pojęcie warsztatu odniesione do codziennych strategii i praktyk piśmiennych w humanistyce pozwala – lepiej niż przejęta z nauk ścisłych kategoria laboratorium – wydobyć dynamiczny charakter humanistycznej pracy badawczej, której nadrzędną cechą jest procesualność<sup>20</sup>. Innymi słowy, jak dowodzimy w niniejszym tomie, humanistyka to rozciągająca się w czasie praktyka intelektualnego i piśmiennego błędzenia – działanie rozgrywające się tak w przestrzeni myśli, mowy, jak i pisma. Humanistyka to nieustannie ponawiany akt podejmowania ryzyka wyboru mniej pewnych ścieżek, które ostatecznie mogą okazać się błędne. Kiedy piszemy o warsztatach piśmiennych, chcemy również położyć nacisk na materialny wymiar pracy humanistycznej. Otóż nie odbywa się ona w próżni, lecz wymaga umiejętnego wykorzystania szeregu narzędzi – w tym medium pisma i słowa, a także posługiwania się przedmiotami (choćby książkami), które są nośnikami emocji i tworzą *lieu de mémoire* humanistów – świat codziennych zapisków, zeszytów i notatników, rękopisów, nieopublikowanych manuskryptów, drukowanych książek oraz wykorzystywanych do pracy narzędzi elektronicznych.

Odkąd Bruno Latour i Steve Woolgar opublikowali w 1979 roku *Życie laboratoryjne. Konstruowanie faktów naukowych*<sup>21</sup>, gdzie przedstawili efekty dwuletnich badań terenowych, podczas których obserwowali pracę neuroendokrynologów w laboratorium Rogera Guillemina w Instytucie Salka w Kalifornii, pojęcie „laboratorium”, zaczynające swoją karierę w naukach ścisłych i społecznych (a więc pośród autorów funkcjonujących w atmosferze laboratoryjnej *sensu stricto*), zadomowiło się w naukach humanistycznych. Do dziś traktowane jest ono jednak

w większym stopniu jako metafora bądź miejsce wyobrażone niż realne<sup>22</sup>. Podejmując problem praktycznego i zarazem politycznego wymiaru codziennych praktyk piśmiennych, a także związanych z nimi praktyk czytelniczych i dyskusyjnych humanistów, chcemy zaproponować nowe, antropologiczne rozumienie codziennych praktyk badawczych w humanistyce. W naszym tomie decydujemy się pisać o niemetaforycznie rozumianym warsztacie, aby uniknąć pisania o laboratoriach humanistycznych jako swego rodzaju abstrakcji, ornamencie dla dyskursywnie błyskotliwych interpretacji. „Warsztat piśmienny” w humanistyce pozwala nam zrezygnować z odwoływania się po raz kolejny do dobrze już znanego obrazu laboratorium wywodzącego się z nauk twardych na rzecz refleksji nad konkretnym miejscem, w którym pracują przedstawiciele i przedstawicielki humanistyki. Chodzi nam więc o przemyślenie tego, jakie przestrzenie pracy tworzyli i tworzą dla siebie humaniści. Chcemy pytać o miejsca kształtowania i przekazywania wiedzy tworzone przez reprezentantów i reprezentantki nauk miękkich. Nie będziemy więc pisać o laboratoriach humanistyki<sup>23</sup>, co bardziej odnosi się do dyskusji nad charakterem i sposobami pracy badawczej toczonych wewnątrz poszczególnych dziedzin<sup>24</sup> oraz wskazuje na humanistykę jako formę „rozproszonego laboratorium”<sup>25</sup>. Nasza propozycja stanowi projekt skromniejszy i dotyczy miejsc **zamieszkiwanych** przez humanistki (tak fizycznie, intelektualnie, jak i emocjonalnie), a więc określonych przestrzeni kształtowania wiedzy humanistycznej, która jest przede wszystkim **praktykowaniem**, polegającym na czynnościach zdawałoby się tak prozaicznych jak czytanie, pisanie i dyskusowanie.

Szczególnie ważne jest dla nas pytanie o to, jak warsztat pracy humanistek i humanistów wpływa bądź ustanawia tożsamość (albo lepiej: tożsamości) dyscyplinarną(e). W tym świetle wyraźniej rysuje się druga kwestia, a mianowicie pytanie o wprowadzaną przez nas w tytule kategorię piśmienności. Dlaczego chcemy pisać także o warsztatach piśmiennych, a nie po prostu o warsztatach humanistycznych, choć tą drugą kategorią także w tym tomie się posługujemy? Pomimo gwałtownego rozwoju nowych mediów praca humanistów w dalszym ciągu jest pracą na tekstach i z tekstami. To nieuniknione „nachylenie tekstowe”<sup>26</sup> humanistyki nie zostało przezwyciężone przez wprowadzanie do refleksji badawczej innych mediów, zwłaszcza obrazu i dźwięku. W dalszym ciągu efektem naszej refleksji, nawet jeśli dotyczy ona teatru, sztuk wizualnych lub muzyki, jest tekst. Na warsztaty humanistyczne składają się więc przede wszystkim teksty oraz różnego rodzaju zapisy<sup>27</sup>. Wyznaczają one podstawowy materiał codziennych praktyk badawczych i zarazem kształtują nasze otoczenie i określają przestrzeń/przestrzenie pracy.

Pojęcie piśmienności odniesione do warsztatu rozumiemy szeroko: chodzi nam nie tylko o książki i różnego typu mniejsze formy (jak artykuł naukowy bądź esej), z których się uczymy, z którymi podejmujemy dialog (a niekiedy się kłócimy) i które piszemy, lecz także o inne formy działania słowem (w tym słowem mówionym), które w tym wypadku wypływają jednak z tekstu i pozostają z nim ściśle związane. Wiedza humanistyczna nie kształtuje się wyłącznie w relacji ja – tekst bądź my – tekst (forma wieloautorska wciąż występuje tu rzadziej niż w naukach społecznych i ścisłych), ale również w dyskusjach, debatach oraz mniej sformalizowanych niż kongresy lub konferencje spotkaniach służących wymianie myśli. Równie ważnymi miejscami codziennych praktyk badawczych są sale seminaryjne i wykładowe, w których – jak sądzimy – dochodzi do wielostronnej transmisji i cyrkulacji wiedzy. Niemniej praca interpretacyjno-dyskusyjna opiera się na tekstach i kończy się tekstem (np. książką jako efektem prowadzonego seminarium). Stąd też, mając pełną świadomość obecności różnych mediów w refleksji humanistycznej, pragniemy podkreślić w tytule tomu wciąż dominującą rolę zróżnicowanych praktyk i gatunków piśmiennych<sup>28</sup>.

O warsztatach humanistycznych chcemy myśleć szeroko; obejmują one nie tylko mniej lub bardziej intymną przestrzeń, w której powstają teksty naukowe, lecz także – i coraz częściej – przestrzeń zdalną, w której od wybuchu w roku 2020 pandemii COVID-19 prowadziliśmy zajęcia oraz spotykaliśmy się, by uczestniczyć w seminariach i konferencjach. Błyskawiczne przejście z sal wykładowych do przestrzeni zdalnej dobrze pokazuje, że warsztaty humanistyczne – rozumiane jako heterogeniczne przestrzenie praktykowania i tworzenia wiedzy – nie są stabilne, lecz **rucho**. Tego typu poruszone miejsca pracy mogą zarówno z łatwością przenosić się z przestrzeni realnej do zdalnej, jak i podążać za nami, chociażby wtedy, kiedy jesteśmy w podróży naukowych (zwłaszcza tych długotrwałych). Zmienia się wówczas nasze otoczenie i jesteśmy zmuszeni do tworzenia nowych miejsc humanistycznego praktykowania.

Nasuwa się jednak pytanie, co stanowi o esencji, o *genius loci* warsztatu humanisty, zwłaszcza jeśli nie jest on ograniczony do żadnego konkretnego miejsca? Czy bez papierowych książek nie byłoby humanistycznego warsztatu? A może taką przestrzeń tworzy dziś laptop postawiony na stole bądź umieszczony na kolanach? W tomie tym proponujemy myślenie o warsztacie humanistycznym jako nieustannie **konstytuującym** i **rekonstruującym się** miejscu psychofizycznego działania, którego efektem jest kształtowanie wiedzy przez takie praktyki jak czytanie, refleksja-dyskusja i pisanie<sup>29</sup>.

O warsztacie humanistycznym, gdzie – jak już podkreślaliśmy – przede wszystkim czyta się i pisze naukowo, można pomyśleć też inaczej: nie tylko jako o obiektywnie istniejącym miejscu (jakkolwiek ruchliwym i niejednorodnym), lecz także jako o subiektywnej przestrzeni powstającej między osobą a zapisami. Dlatego tom ten traktuje również o warsztatach obejmujących indywidualne praktyki piśmiennie-czytelnicze, które oprócz wymiaru intelektualnej stymulacji wymagają opanowania określonych sposobów „posługiwania się ciałem”, a także nie pozostają uczuciowo obojętne na poziomie afektywnym i emocjonalnym. Pytając o warsztaty humanistyczne, pytamy również o to, co źródłowe dla humanistyki – z jednej strony o różne wymiary codziennych praktyk piśmiennie-badawczych (w tym o ich polityczne oraz emancypacyjne implikacje), z drugiej zaś o to, co scala – pozwala funkcjonować i rozwijać się zespołom badawczym oraz całym środowiskom naukowym.

Przekonani o zagrożeniach związanych z gwałtowną globalizacją akademii – która w przypadku polskiego świata naukowego (wewnętrznie zróżnicowanego, a jednocześnie pozostającego na obrzeżach akademickiego centrum, które wciąż nieegalitarnie zawężane jest głównie do nauki anglosaskiej) ma oczywiście zróżnicowane, nie zawsze złe czy jednoznacznie negatywne skutki – podejmujemy tutaj namysł nad problemem potencjalnej polityczności warsztatów humanistycznych, w których wciąż praktykuje się krytyczne myślenie i pisanie. Jak sądzimy, przemyślenie emancypacyjnych możliwości kryjących się w codziennych czytelniczo-piśmiennych praktykach humanistów i humanistek nie tylko pozwala na nowo przemyśleć społeczną rolę nauk miękkich, lecz także w pewnym sensie umożliwia odzyskanie humanistyki uwolnionej spod jarzma modeli parametryzacji przepisanych z nauk ścisłych i społecznych. Przypomnienie o tym, że jej źródłem są określone praktyki czytania i pisania, jest szansą na odróżnienie (migotliwej i zdawałoby się nieuchwytniej) tożsamości humanistycznej od tej pochodzącej z nauk twardych. Kiedy odnosimy się do problemu „politycznych implikacji” warsztatów humanistycznych, chodzi nam przede wszystkim o możliwość krytycznego przemyślenia aktualnych form postrzegania roli (w tym tej społecznej) humanistyki oraz sposobów oceniania pracy jej przedstawicieli.

Pierwsza część tego tomu zawiera przekłady prac ważnych dla antropologicznej refleksji nad piśmiennością i dynamiką kształtowania się wiedzy. W drugiej części zgromadziliśmy teksty oraz wywiady, które wielostronnie rozpoznają i rozwijają problematykę warsztatów humanistycznych oraz emancypacyjnych i politycznych implikacji codziennych praktyk piśmiennych, czytelniczych, refleksyjnych i dyskusyjnych. Łącząc artykuły z wywiadami i zapisami debat, pragnęliśmy choć częściowo odzwierciedlić heterogeniczność i multimedialność pracy humanistycznej. W trzeciej części tomu proponujemy próby interpretacyjne, w których – z perspektywy współczesnej oraz historycznej – rozwijamy zarówno wątki związane z praktykami naukowego pisania, jak i z produkcją i transmisją wiedzy. W ostatniej części natomiast publikujemy recenzje i omówienia krytyczne ważnych naszym zdaniem prac z zakresu antropologii piśmienności, krytycznej analizy świata uniwersyteckiego, a także antropologii kultury i antropologii wiedzy.

Wszystkie zebrane tutaj studia, próby analiz i wywiady ukazują humanistykę przede wszystkim jako formę praktykowania myślenia krytycznego (w słowie i w piśmie). To z kolei pozwala zwrócić się ku samej akademii i zapytać nie tyle o rolę humanistyki jako części składowej akademii (humanistyka akademicka), ile o to, w jakim stopniu przemyślenie humanistyki poprzez jej piśmiennie-badawcze implikacje rzuca nowe światło na ideę uniwersytetu jako miejsca wydarzania się wiedzy – jako heterogenicznego *lieu de savoir*<sup>30</sup>, które powinno wyrastać z zasad odpowiedzialności, szczerości (w intencjach i w wykonywanej pracy), otwartości oraz samokrytyki jako podstawowych wyznaczników etyki akademickiej<sup>31</sup>. Pozwala też zapytać o kondycję humanistyki pozaakademickiej, uprawianej w sposób znacznie bardziej osobisty, oddolny i wernakularny, poza oficjalnymi obiegami wiedzy punktowanej i monetaryzowanej, w tym także w splocie z innymi instytucjami kulturowymi.

## PRZYPISY

- 1 Warsztaty na temat dzieciństwa międzywojennego prowadzone były przez Martę Rakoczy 26 kwietnia 2023 roku w Pracowni Naukowej Korczakianum – Muzeum Warszawy, uczestniczyli w nich trzecioklasiści i trzecioklasistki jednej z podwarszawskich szkół podstawowych.
- 2 R. Nycz, *Nowa humanistyka w Polsce: kilka bardzo subiektywnych obserwacji, koniektur, refutacji*, „Teksty Drugie” 2017, nr 1, s. 18–40. Zob. też K. Kłosiński, *Humanistyka nowa*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 139–152.
- 3 Zob. A. Kil, *Prepostfiguracje humanistycznej infrastruktury. Laboratorium Mundaneum Paula Otleta*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 118–138.
- 4 R. Descartes, *Listy do księżniczki Elżbiety*, przeł. J. Kopania, Warszawa 1995, s. 76–77.
- 5 R. Descartes, *Medytacje o filozofii pierwszej*, przeł. M. i K. Ajdukiewiczowie, S. Świeżawski, I. Dąmbska, Kęty 2001, s. 35.
- 6 Zob. H.J. Graff, *The Literacy Myth: Cultural Integration and Social Structure in the Nineteenth-Century City*, New Brunswick, NJ 1991; R. Harris, *Racjonalność a umysł piśmienny*, przeł. M. Rakoczy, Warszawa 2013.
- 7 Zob. D. Olson, N. Torrance (red.), *The Cambridge Handbook of Literacy*, Cambridge 2009. Zob. też badania z zakresu antropologii piśmiennosci i kulturowej historii piśmiennosci prowadzone w Instytucie Kultury Polskiej przez Grzegorza Godlewskiego, Agnieszkę Karpowicz, Pawła Majewskiego i Pawła Rodaka, które stanowią punkt wyjścia zaproponowanej tu koncepcji (G. Godlewski, A. Mencwel, R. Sulima (red.), *Antropologia słowa. Zagadnienia i wybór tekstów*, Warszawa 2004; P. Artieres, P. Rodak (red.), *Antropologia pisma. Od teorii do praktyki*, Warszawa 2007; G. Godlewski, *Słowo, pismo, sztuka słowa. Perspektywy antropologiczne*, Warszawa 2008; G. Godlewski, A. Karpowicz, M. Rakoczy, P. Rodak (red.), *Antropologia praktyk językowych*, Warszawa 2014; G. Godlewski, A. Karpowicz, M. Rakoczy, P. Rodak (red.), *Od aforyzmu do zinu. Gatunki twórczości słownej*, Warszawa 2014; P. Majewski, *Pismo, tekst, literatura, Praktyki piśmienne starożytnych Greków i matryca pamięci kulturowej Europejczyków*, Warszawa 2013; A. Sobolewska, *Autoekonomie zapisu Juliana Ochorowicza. Codzienne praktyki piśmienne i badawcze psychologa*, Warszawa 2021.
- 8 Zob. A. Gupta, *Red Tape, Bureaucracy, Structural Violence and Poverty in India*, Durham, NC 2012; M. A. Hull, *Government of Paper: The Materiality of Bureaucracy in Urban Pakistan*, Berkeley 2012.
- 9 Zob. M. de Certeau, *Ekonomia piśmienna, w: tegoż, Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, przeł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008.
- 10 Zob. J. Albright, A. Luke (red.), *Pierre Bourdieu and Literacy Education*, London–New York 2008.
- 11 Zob. D. Barton, U. Papen (red.), *Anthropology of Writing. Understanding Textually Mediated Worlds*, New York 2010; D. Barton, M. Hamilton, *Local Literacies: Reading and Writing in One Community*, London–New York 2000.
- 12 O konieczności uruchomienia perspektywy translokacyjnej w badaniu praktyk piśmiennych i – szerzej – piśmiennosci, zob. M. Prinsloo, M. Baynham, *The Future of Literacy Studies*, Basingstone 2009. Zob. też D. Brandt, K. Clinton, *The Limits of the Local: Expanding Perspectives on Literacy as a Social Practice*, „Journal of Literacy Research” 2002, t. 34, nr 3, s. 337–356; M. Prinsloo, M. Baynham, *The Literacies, Global and Local*, Amsterdam 2008.
- 13 J. Collins, R. Blot, *Literacy and Literacies: Text, Power, Identity*, Cambridge 2003.
- 14 R. Clark, R. Ivanič, *The Politics of Writing*, New York–London 1997.
- 15 P. Czapliński, *Sploty*, w: P. Czapliński, R. Nycz, D. Antonik, J. Bednarek, A. Dauksza, J. Misuna (red.), *Nowa humanistyka. Zajmowanie pozycji, negocjowanie autonomii*, Warszawa 2017, s. 18.
- 16 Zob. K. Kłosiński, *Humanistyka nowa*, dz. cyt., s. 141.
- 17 A. Skórzyńska, *Psucie wiedzy i znikające instytucje. Szkic z neoliberalizującej się akademii*, „Teksty Drugie” 2023, nr 1, s. 22. Zob. też: P. Czapliński, *Wszechstronna obecność*, tamże, s. 7–18.
- 18 Zob. „Teksty Drugie” 2023, nr 1.
- 19 Podobny inspirujący dla nas kierunek, choć wywodzący się z innej tradycji badawczej i operujący nieco innym zapleczem terminologicznym, proponuje Krzysztof Abriszewski (zob. tenże, *Rozmowa ludzkości i miękkie fakty. Autoetnograficzne ujęcia pozaakademickiej obecności humanistyki*, „Teksty Drugie” 2023, nr 1, s. 176–199).
- 20 „Warsztat” jako termin lepiej oddający dynamiczny i procesualny charakter codziennych praktyk piśmiennie-badawczych (niż najczęściej stosowane w tym kontekście pojęcie „laboratorium”) zaproponował Paweł Rodak podczas seminarium Zespołu Badań nad Antropologią Wiedzy, prowadzonego przez Martę Rakoczy i Agnieszkę Sobolewską w Instytucie Kultury Polskiej (26 czerwca 2023 roku).
- 21 B. Latour, S. Woolgar, *Życie laboratoryjne. Konstruowanie faktów naukowych*, przeł. K. Abriszewski, P. Gąska, M. Smoczyński, A. Zabielski, Warszawa 2020.
- 22 Spośród niedawno opublikowanych polskich prac, zob. Ł. Afeltowicz, *Aneks. Laboratorium myśli, czyli kilka uwag na temat technologii pracy naukowej*, w: tegoż, *Modele, artefakty, kolektywy. Praktyka badawcza w perspektywie współczesnych studiów nad nauką*, Toruń 2012, s. 417–450; R. Nycz, *Kultura jako czasownik*, Warszawa 2019; tematyczny numer „Tekstów Drugich” zatytułowany *Laboratoria humanistyki* (2021, nr 2).
- 23 Zob. G. Grochowski, *Zaplecza wiedzy*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 7–12. Jak dobrze pokazuje ów tekst wprowadzający do tematycznego numeru czasopisma, rozumienia pojęć „humanistyka” i „laboratorium” mogą różnić się w bardzo wysokim stopniu między samymi humanistami i humanistkami.

- 24 Zob. np. dwa artykuły z przywołanego numeru „Tekstów Drugich”: M. Maryl, M. Błaszczysińska, B. Szlezyński, T. Umerle, *Dane badawcze w literaturoznawstwie*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 13–43; T.S. Markiewka, *Naukowość literaturoznawstwa – perspektywa ANT*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 84–100.
- 25 Pojęcie zaproponowane przez Krzysztofa Abriszewskiego (zob. tenże, *Popularyzacja, innowacje i rozproszone laboratoria*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 45–62).
- 26 Zob. G. Godlewski, *Poza nachylenie tekstowe, w stronę doświadczenia przedtekstowego. Wskazówki terapeutyczne*, „Teksty Drugie” 2018, nr 1, s. 61–78.
- 27 O różnicy między „tekstem” a „zapisem”, zob. P. Rodak, *Między zapisem a literaturą. Dziennik polskiego pisarza w XX wieku*, Warszawa 2011, zwłaszcza s. 29–66.
- 28 Zob. G. Godlewski, A. Karpowicz, M. Rakoczy (red.), *Antropologia praktyk językowych*, Warszawa 2016.
- 29 Tej tematyce został poświęcony cały numer „Tekstów Drugich” zatytułowany *Etnografia przedtekstowa* (2018, nr 1).
- 30 Zob. Ch. Jacob (red.), *Lieux de savoirs*, t. 1: *Espaces et communautés*, Paris 2007; tamże, t. 2: *Les mains de l'intellect*, Paris 2011.
- 31 O idei uniwersytetu, zob. klasyczną pracę Karla Jaspersa (tenże, *Idea uniwersytetu*, przeł. W. Kunicki, Warszawa 2021), zwłaszcza rozdział czwarty „Badania. Wychowanie (formacyjność). Nauczanie” (s. 73–95).

— 1

**Z historii  
i teorii  
problemu**



Charles Bazerman

# W jaki sposób filozofowie przyrody mogą ze sobą współpracować. Techniki pisarskie koordynowania badań w *Historii i stanie obecnym elektryczności Josepha Priestleya (1767)*\*

Radość i kontakty towarzyskie idą ze sobą w parze i wspierają prawdziwego ducha filozofii<sup>1</sup>.

**O**statnie badania nad retoryką nauki kładą nacisk na rywalizację toczoną za pośrednictwem tekstów naukowych. Publikacje naukowe postrzega się jako perswazyjne dyrektywy służące uzyskaniu społecznej prawomocności twierdzeń w celu nadania im statusu wiedzy<sup>2</sup>. Co więcej, poszczególne teksty bywały traktowane jako część procesu negocjacji między konkurującymi orientacjami, który skutkował niekiedy wysunięciem innych twierdzeń od tych zaproponowanych w tekstach wyjściowych<sup>3</sup>. W prowadzonych sporach autorzy czerpią z wielu pozatekstowych zasobów (społecznych, ekonomicznych, intelektualnych i empirycznych), które wykorzystują w swoich tekstach<sup>4</sup>. Dopiero gdy zostaną powszechnie zaakceptowane, ich tezy przybierają pozór niepodważalnych prawd głoszonych na mocy obiektywnego autorytetu, którego nie można sprowadzić do autorskiej perswazji<sup>5</sup>.

Gatunki pisarstwa naukowego można rozpatrywać jako rozwiązania retoryczne, które wielokrotnie dowiodły swojej skuteczności w przekonywaniu innych do głoszonych tez w ramach społeczności badaczy empirycznych. Społecznie uznane sposoby przedstawiania doświadczenia empirycznego i formułowania na jego podstawie przekonujących argumentów doprowadziły do tego, że oparte na nich twierdzenia wydają się, wszystkim poza osobami świadomymi istnienia lokalnych sporów, sprawdzoną wiedzą. Standaryzacja formy tekstu pozwoliła uporządkować i zogniskować spory obecne w literaturze naukowej, mimo że jednocześnie służyła ich zamaskowaniu<sup>6</sup>.

Istnieje jednak wcześniejsza tradycja, która traktuje działalność naukową jako coś więcej niż rywalizację. Naukowa wymiana myśli była z reguły postrzegana jako część przedsięwzięcia opartego na współpracy. Mitem założycielskim tej tradycji jest opis Domu Salomona zawarty w *Nowej Atlantydzie* sir Francisa Bacona. Bacon przedstawia system biurokratyczny oparty na współpracy trzydziestu sześciu badaczy terenowych, naukowców zapoznających się z literaturą fachową, eksperymentatorów, projektantów eksperymentów, teoretyków i specjalistów od zastosowania technologii w praktyce. Poza ogólnymi problemami językowymi związanymi

---

Charles Bazerman,  
*W jaki sposób filozofowie przyrody mogą ze sobą współpracować. Techniki pisarskie koordynowania badań w Historii i stanie obecnym elektryczności Josepha Priestleya (1767)*, „Almanach Antropologiczny. Comunicare” 2024, t. 9, s. 15-32.

z czterema idolami<sup>7</sup>, Bacon nie przewidywał żadnych szczególnych trudności w komunikacji między uczestnikami tego przedsięwzięcia. W XVII wieku ten biurokratyczny model współpracy był inspiracją dla wielu decyzji organizacyjnych francuskiej Akademii Królewskiej i brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego. Jednak prywatne interesy i nieporozumienia wkrótce naruszyły tkankę tego optymistycznego planu, a w następnym stuleciu ukształtował się system wymiany myśli, który sprzyjał sporom i je porządkował<sup>8</sup>.

Pomimo systemowej konkurencyjności współczesnej nauki, jeśli oderwiemy się od codziennej, bezpośredniej walki na argumenty naukowe, dostrzeżemy szerokie wzorce współpracy i wspólnotowego tworzenia dzielonej wiedzy. Wiedza ta nie jest narzucana przez pojedynczy tekst lub autorytet (Boga, Arystotelesa czy Newtona), ale rozwijana (czasem powoli, czasem szybko, a nieraz nagłymi zrywami) przez wspólne wysiłki dużej liczby ludzi. Obejmują one nie tylko uzupełnianie drobnych szczegółów i rozwiązywanie zagadek w ramach utrwalonych paradygmatów, ale także dokonywanie i przyswajanie nowych ważnych odkryć oraz modyfikowanie i zastępowanie teorii innymi, w wyniku czego wiedza rozwija się w zaskakujących i nieoczekiwanych kierunkach. Aby dostrzec ogólny wzorzec współpracy w działalności naukowej, wystarczy zastanowić się nad znaczącymi zmianami, jakie są obecnie uwzględniane, stosowane i przyswajane przez różnych badaczy w tak „modnych” obszarach, jak nadprzewodnictwo, oddziaływania podstawowe, biochemia wirusów czy fizjologia neuronów. W istocie we współczesnej refleksji nad nauką współpracę uznaje się za podstawowy element działalności i wymiany intelektualnej<sup>9</sup>.

## Zagadka współpracy

Samo dostrzeżenie faktu, że współpraca ma czasami miejsce, nie wyjaśnia jednak, jak do niej dochodzi ani dlaczego wydaje się ona w nauce czymś trwałym i zasadniczym. Przekonywanie do czegoś i współdziałanie, jak wiemy z polityki i innych dobrze znanych obszarów codzienności, to zjawiska niepewne i kruche. Poglądy szybko się zmieniają, sojusze rozpadają, a współpracę często trzeba umocnić za pomocą prawa, pieniędzy i przymusu. Skoro nie jesteśmy w stanie pojąć w pełni zakresu nawet tej kooperacji, w której uczestniczymy na co dzień, jak możemy wyjaśnić o wiele bardziej niezwykłą współpracę widoczną w pracy naukowej, która wydaje się rozciągać ponad religiami, filozofiami, granicami państw i stuleciami? Dopóki jednak nie będziemy dysponować konkretnymi, szczegółowymi opisami mikroprocesów, dzięki którym zachodzi współdziałanie i uzgadnianie działań – tak jak to ma miejsce w przypadku aktywności opartych na współzawodnictwie – współpraca i koordynacja będą zdawać się jedynie wartościującymi założeniami, a nie rzeczywistymi praktykami społecznymi. Niniejszy artykuł przedstawia zatem mikroanalizę mechanizmów współpracy opisanych w osiemnastowiecznym tekście, który został napisany z myślą o tym, by taką współpracę wspierać, i który stanowił zapowiedź kilku cech współczesnych artykułów naukowych. Analiza ta ujawnia wiele poziomów, na których współpraca musi zostać osiągnięta za pomocą języka. Ukazuje też napięcie, jakie należy utrzymać między współpracą a rywalizacją oraz między standaryzacją a oryginalnością, jeśli wspólne przedsięwzięcie, jakim jest nauka, ma się rozwijać.

Mimo wielkich nadziei Bacona w dawnej nauce nie osiągnięto z pewnością takiego poziomu złożoności współpracy i koordynacji, jaki cechuje współczesną naukę. Zamiast budować swoje koncepcje na teoriach innych naukowców, jej przedstawiciele próbowali raczej zastępować ich twierdzenia własnymi. Autorzy rzadko stawiali tezy, które wyraźnie łączyłyby w sobie szeroki zakres twierdzeń innych badaczy. Nawet Baconowskie nadzieje dotyczące odwoływania się do faktów nie przyniosły zgody filozoficznej, ponieważ same fakty stały się przedmiotem sporu. Rozwijana w takiej atmosferze lokalna współpraca opierała się na dominacji silnych jednostek, które ustalały obowiązujące w danym kraju terminy teoretyczne i programy badawcze, wspierane przez zinstytucjonalizowaną władzę. Newtonizm i kartezjanizm, choć w pojedynczych przypadkach osiągały doraźnie porozumienie, częściej przerzucały się argumentami przez kanał La Manche<sup>10</sup>.

Dopóki nauka pozostawała skromnym obszarem, ze stosunkowo niewielką liczbą wyników do uzgodnienia i nielicznymi przekonującymi próbami podważenia hegemonii genialnych dzieł wcześniejszych badaczy uznawanych za olbrzymów, do prowadzenia wspólnej pracy naukowej

wystarczała zapewne doraźna kooperacja, jaką nawiązywano w drodze niesystematycznego zapoznawania się z pracami innych dzięki podróżom, wymianie listów i lekturom. Pojawienie się towarzystw i czasopism pomogło stworzyć stałe fora wymiany myśli między naukowcami oraz zorganizować ich praktyki komunikacyjne<sup>11</sup>. Jednak wraz z coraz liczniejszymi w XVIII wieku odkryciami z dziedziny filozofii przyrody konieczne okazało się bezpośrednie budowanie współpracy w obrębie samej komunikowanej treści. Wymagało to opracowania mechanizmów tekstowych służących koordynowaniu pracy i uzgadnianiu nowych spostrzeżeń między badaczami, którzy byli odlegli od siebie zarówno pod względem czasu i miejsca, jak i pod względem płaszczyzny teoretycznej.

W wydanej w 1767 roku książce *Historia i stan obecny elektryczności* Joseph Priestley jasno stwierdza, że stawia sobie za cel zacieśnienie współpracy coraz liczniejszej grupy badaczy zajmujących się elektrycznością, a zarazem chce zachęcić kolejne osoby do dołączenia do tej tworzącej się społeczności badawczej. Oprócz wyrażenia troski o korzyści płynące ze wspólnej pracy, w książce wykorzystano wiele mechanizmów tekstowych, które łączą dawne, obecne i przyszłe prace w tej dziedzinie. Dokonując wyczerpującego przeglądu literatury, Priestley tworzy korpus wspólnotowych doświadczeń i porządkuje go pod kątem problemów i zasad, które charakteryzują zmieniający się stan wiedzy oraz program badań. Lista uogólnień wynikających z tej zbiorowej historii stanowi wspólną bazę wiedzy dla dalszej pracy; dyskusja na temat głównych teorii porządkuje pojęciowe znaczenie badań; lista otwartych zagadnień wytycza dalsze kierunki badań; a historyczny przegląd rozwoju aparatury oraz praktyczne wskazówki dotyczące jej konstruowania zapewniają wspólną podstawę w postaci urządzeń do wywoływania zjawisk, które mają być zbadane. Poza próbą uspołnienienia i zogniskowania działań badaczy dzielących się sposobem rozumienia wcześniejszych osiągnięć naukowych, Priestley chce zaangażować do wspólnego projektu nowych uczonych, przedstawia zatem praktyczne wskazówki dotyczące przeprowadzania doświadczeń oraz zestaw atrakcyjnych eksperymentów służących przyciągnięciu i wyszkoleniu nowych adeptów nauki. Na koniec opowiada o własnej pracy naukowej, aby wyjaśnić, na czym polega proces badawczy, i dostarczyć przykładów badań, które można przeprowadzić za pomocą skromnych środków. Nasza wiedza na temat rozwoju cech tekstowych ówczesnego pisarstwa naukowego jest obecnie na tyle ograniczona, że nie możemy jednoznacznie przypisać Priestleyowi wynaleźni narzędzi tekstowych, które stosuje. Nie możemy też wyznaczyć prostej linii ich ewolucji wiodącej do współczesnych praktyk pisarskich odwołujących się do współpracy. A jednak dogłębne zainteresowanie Priestleya wspieraniem skoordynowanej pracy rozrastającej się społeczności badawczej stanowi frapujący punkt wyjścia do analizy złożoności opartego na tekstach mechanizmu współpracy, która rozwinęła się w celu zorganizowania licznych i niewątpliwie rywalizujących ze sobą działań w ramach współczesnej nauki.

---

## Priestley i osiemnastowieczna elektryczność

W połowie osiemnastego wieku elektryczność była rozwijającą się dziedziną, która wymagała uzgodnień. Za początek nowożytnych badań nad tym zjawiskiem uważa się zwykle dzieło Williama Gilberta *O magnesie*<sup>12</sup>, zawierające rozdział poświęcony znanej od starożytności zdolności przyciągania, którą wykazuje pocierany bursztyn. Gilbert wskazał wiele innych substancji o podobnych właściwościach. W XVII wieku do listy elektryzujących substancji dodano kilka pozycji, przedstawiono też różne teorie wyjaśniające to zjawisko i po raz pierwszy zaobserwowano odpychanie elektryczne. Na początku XVIII wieku wynalezienie generatora elektrostatycznego umożliwiło odkrycie i zbadanie takich zjawisk, jak jasność (*luminescencyja*), iskry, wstrząsy, przewodnictwo, indukcja, a także różnice między dwoma rodzajami prądu elektrycznego. Udoskonalone wersje tego rodzaju maszyn oraz wynaleziona w 1745 roku butelka lejdejska (nowoczesny kondensator) pozwoliły na eksperymenty z ładunkami o coraz większej mocy; odnotowano wówczas lecznicze efekty zastosowania prądu, ale i skutki śmiertelne. Do 1750 roku Benjamin Franklin udowodnił, że błyskawica i wyładowanie elektryczne są tym samym, zapoczątkowując liczne badania nad zjawiskami elektrycznymi w atmosferze. W połowie XVIII wieku elektryczność dosłownie wybuchła w obszarze filozofii przyrody.

Chociaż Joseph Priestley (1733–1804) interesował się filozofią przyrody już podczas swojej edukacji i na wczesnym etapie kariery jako dysydencki pastor i nauczyciel, aktywnie działalnością naukową zajął się dopiero w połowie lat sześćdziesiątych XVIII wieku, kiedy Matthew Turner, jego kolega z Warrington Academy, zaczął prowadzić wykłady z chemii<sup>13</sup>. W tej dziedzinie Priestley miał później osiągnąć największą sławę dzięki odkryciu tlenu w 1774 roku. Niemniej to elektryczność, a nie chemia, była przedmiotem jego pierwszych badań i publikacji.

Nie wiemy, kiedy dokładnie Priestley zaczął badać zagadnienia związane z elektrycznością, ale pod koniec 1765 roku, podczas wizyty w Londynie udało mu się zorganizować spotkanie z Franklinem i kilkoma innymi wybitnymi badaczami elektryczności, aby uzyskać ich wsparcie<sup>14</sup>. Franklin zachęcił go do napisania „historii odkryć w tej dziedzinie” i pomógł zdobyć niezbędną literaturę<sup>15</sup>. Franklin, John Canton, William Watson i Richard Price pozostali jego korespondentami, mentorami i dobroczyńcami w kolejnym roku, kiedy Priestley pisał *Historię i stan obecny elektryczności*.

Ponad połowa (bo 432 z 736 stron w formacie kwarto w pierwszym wydaniu) tej obszernej książki jest poświęcona szczegółowej historii wszystkich badań i odkryć w dziedzinie elektryczności od starożytności do czasów współczesnych Priestleyowi<sup>16</sup>. Ze względu na synoptyczność wywodu, zwracanie uwagi na szczegóły empiryczne obecne w literaturze i otwartą formułę tę część *Historii*... można uznać za jeden z najwcześniejszych przykładów nowoczesnego gatunku zwanego przeglądem literatury.

Na drugą partię materiału, o której nie wspomina żaden z wczesnych planów Priestleya dotyczących tej publikacji, składa się siedem kolejnych rozdziałów: lista ogólnych cech elektryczności, które były wówczas znane; omówienie historii jej opracowań teoretycznych, w tym szczegółowego porównania dwóch głównych teorii elektryczności; ogólne rozważania na temat aktualnego stanu badań i szereg pytań mających na celu ukierunkowanie przyszłych prac; opisy i wskazówki dotyczące konstruowania maszyn elektrycznych; zestaw instrukcji (lub praktycznych porad) dla pragnących przeprowadzać eksperymenty elektryczne; wskazówki dotyczące przeprowadzania atrakcyjnych eksperymentów demonstracyjnych oraz opis nowych eksperymentów w tej dziedzinie autorstwa samego Priestleya. Można zatem powiedzieć, że pierwsza część książki przedstawia historię badań nad elektrycznością, a druga – ich „stan obecny”. Wiele z tych materiałów nie zostało uwzględnionych w żadnej innej wcześniejszej pracy na ten temat. Chociaż rozmaite treści przedstawione w drugiej części możemy dziś znaleźć w różnych publikacjach – od książek dla dzieci, poprzez zaawansowane podręczniki i instrukcje obsługi sprzętu, aż po czasopisma naukowe – raczej nie znajdziemy ich wszystkich zebranych w jednym tomie.

### **Badanie filozofii przyrody poprzez badanie jej historii: zaplecze filozoficzne Priestleya**

Wprawdzie ta dziwna mieszanka zagadnień może przypominać worek, do którego początkujący badacz wrzuca jak leci wszystko, co dostrzeże, nie zwracając uwagi na kompozycję, Priestley musiał mieć jakiś zamiysł dla swojej książki, ponieważ każda jej część jest opatrzona kilkunastokrotnym wprowadzeniem zawierającym dokładny opis i uzasadnienie zastosowanych dalej zabiegów pisarskich. Co więcej, Priestley regularnie wygłaszał w Warrington Academy wykłady na temat oratorstwa i krytyki (zostały one ostatecznie opublikowane w 1777 roku), a także prowadził kurs dotyczący teorii języka (te wykłady wydał własnym sumptem w 1762 roku). Był świadomym użytkownikiem języka, a zastosowane przez niego w *Historii i stanie obecnym elektryczności* zabiegi pisarskie są zgodne z tym, czego nauczał w zakresie retoryki<sup>17</sup>. Praktyki retoryczne, których używa, są ponadto świadomą próbą urzeczywistniania jego millenarystycznej wizji postępu ludzkości. Ponieważ książka Priestleya opowiada o historii badań nad elektrycznością, a on sam traktuje czytelników jako uczestników procesu historycznego, szczególnie ważne jest tu jego rozumienie roli dyskursu historycznego w pogłębianiu ludzkiej mądrości.

Będąc od 1761 roku wykładowcą w Warrington Academy, Priestley prowadził cykl wykładów z historii (opublikowanych później w 1788 roku). W wystąpieniach tych dowodził, że poznawanie

historii „wzmacnia poczucie cnoty”, ukazując nam charaktery wielu typów ludzi, a poszerzając nasze doświadczenie, „rozwija nasze pojmowanie świata”. Zwłaszcza badanie historii filozofii przyrody przynosi budujące portrety „geniuszu takich ludzi jak Arystoteles, Archimedes i sir Isaac Newton, [które] dają nam wysokie wyobrażenie o godności natury ludzkiej i możliwościach ludzkiego umysłu”<sup>18</sup>.

Ponadto historia filozofii przyrody poszerza nasze jednostkowe doświadczenie empiryczne poprzez włączenie nas do wspólnoty doświadczeń innych ludzi. Priestley twierdzi, że „najwznioślejsze rozumienie to nic innego jak zdolność do wyciągania wniosków i formułowania zasad postępowania na podstawie znanych faktów i eksperymentów, których umysł jest całkowicie pozbawiony”<sup>19</sup>. Zrozumienie opiera się na doświadczeniu pozwalającym tworzyć właściwe skojarzenia. Jednak ponieważ jednostki są ograniczone, dostęp do doświadczeń innych jest możliwy tylko poprzez historię. Priestley uważał, że dla „udoskonalenia rodzaju ludzkiego i jego postępowania, a także w celu zapewnienia ludzkości jasnych i wszechstronnych przekonań dotyczących jej pożytków oraz środków ich realizacji” „należy zebrać i porównać doświadczenie niektórych wieków, a odległe wydarzenia zestawić ze sobą”<sup>20</sup>. Filozofia przyrody porządkuje zgromadzone doświadczenia ludzkości, dzięki czemu możemy mądrze decydować o naszym życiu i poprawiać kondycję ludzkości.

Sam Priestley, jak się wydaje, postrzegał historię w sposób synoptyczny, co znalazło wyraz w wynalezieniu przez niego historycznej osi czasu. Wykorzystując po raz pierwszy wykres słupkowy do przedstawienia czasu historycznego<sup>21</sup>, Priestley publikuje w 1765 roku niezwykle popularną książkę *Wykres biografii*<sup>22</sup>, która do 1820 roku doczekała się ponad piętnastu wydań. W 1769 roku wydaje równie popularną pracę zatytułowaną *Wykres historii*<sup>23</sup>, która do 1816 roku również miała co najmniej piętnaście wydań<sup>24</sup>. Dzięki temu narzędziu – tak obecnie powszechnemu – mógł on ująć całą historię w formie graficznej. To panoramiczne spojrzenie na proces historyczny jest kluczowe dla wizji zawartej w *Historii elektryczności*. Co więcej, pozostawiając puste miejsce na samym końcu *Wykresu historii*, aby czytelnik mógł go sam uzupełnić o wydarzenia ostatnich dziesięcioleci XVIII wieku, Priestley pokazuje swoje otwarte podejście do procesu historycznego. Takie podejście charakteryzuje również jego książkę o elektryczności. Priestley nie udaje, że wiedza na jej temat jest kompletna, a jej historia kończy się wraz z przedstawionym przez niego opisem. Postrzega on raczej badania nad elektrycznością jako ewoluującą praktykę, uchwyconą w obecnym momencie czy etapie rozwoju i prowadzącą ku nieznannej przyszłości.

Troska Priestleya o postępującą w toku historii poprawę życia jest zakorzeniona w millenarystycznych poglądach teologicznych dotyczących zdolności doskonalenia się człowieka kierowanego przez życzliwe bóstwo<sup>25</sup> i zgodne z jego radykalizmem politycznym, w tym popieraniem zarówno amerykańskiej, jak i francuskiej rewolucji<sup>26</sup>. W swoich pismach na temat edukacji Priestley przekuwa tę troskę w praktyczny program przygotowywania młodych mężczyzn do życia świeckiego, mający zastąpić powszechną w tamtym czasie edukację kościelną<sup>27</sup>. W tak pojmowanej teologii, polityce, planie edukacyjnym i postępowym spojrzeniu na historię jest oczywiście miejsce dla filozofii przyrody. Ujawnia ona dobroć i mądrość Bożego planu i pokazuje ludziom, w jaki sposób mogą aktywnie uczestniczyć w jego realizacji.

Gdy uwzględnimy opisane konteksty – teologiczny, historyczny, edukacyjny i retoryczny – cel publikacji Priestleya staje się jasny: chodzi o propagowanie wspólnej pracy nad badaniami elektryczności. W przedmowie do pierwszego wydania *Historii...* Priestley nieustannie powraca do tego, w jaki sposób ten i podobne opisy dziejów badań mogą przyczynić się do postępu nauki, pisząc na przykład: „gdy cały postęp i stan obecny każdej nauki zostanie w pełni i dokładnie przedstawiony, nie wątpię, że ujrzymy początek nowej i wspaniałej ery w historii wszystkich nauk”<sup>28</sup>. Później stwierdza jeszcze dobitniej: „Celem tego traktatu jest przyspieszenie tempa pracy filozofów w dążeniu do tego postępu, a jednocześnie częściowe jego ułatwienie”<sup>29</sup>. Co więcej, w uproszczonej wersji opublikowanej rok później (1768), Priestley wyczerpująco wyjaśnia swój zamysł: „Moim głównym zamiarem było wspieranie odkryć w nauce poprzez jasne ukazanie postępu, który dokonał się do tej pory, i zaproponowanie najlepszych możliwych wskazówek, jak go kontynuować i przyspieszyć”<sup>30</sup>.

---

## Historia filozofii przyrody: część 1

Pierwszym etapem tego projektu, mającego na celu propagowanie wspólnej pracy, jest zebranie zgromadzonego przez filozofów przyrody doświadczenia w badaniach nad elektrycznością. Jak stwierdza Priestley w przedmowie do pierwszego wydania: „Obecnie odkryć filozoficznych jest tak wiele, a sprawozdania z nich są tak rozproszone, że żaden człowiek nie jest w stanie poznać wszystkiego, co zostało zrobione, [i użyć tego – przyp. tłum.] jako podstawy dla własnych dociekań. I ta okoliczność moim zdaniem bardzo spowolniła postęp w dokonywaniu odkryć”<sup>31</sup>. Choć ta uwaga wydaje się w XX wieku oczywista, postawa, którą reprezentuje, nie znajduje powszechnego odzwierciedlenia w ówczesnych tekstach z dziedziny filozofii przyrody. Ogólnie rzecz biorąc, jeśli w ogóle odwoływano się do prac innych, to były to odniesienia zdawkowe, rzadko też próbowano usystematyzować dotychczasową literaturę. Często zdarzało się, że autorzy nie znali publikacji istotnych dla swojej pracy. Skrajnym tego przykładem był mieszkający w odległych koloniach Franklin: na początku swoich badań opierał się jedynie na przystępnych streszczeniach współczesnych prac publikowanych w „Gentleman’s Magazine”. Nawet gdy zapoznał się już z większą liczbą tekstów, w swoich publikacjach rzadko wspominał o wcześniejszych pracach i tylko przelotnie wzmiankował te współczesne.

Najobszerniejszym omówieniem literatury dotyczącej elektryczności, z jakim Priestley zetknął się przed napisaniem swojego opracowania, był czterostronicowy dodatek bibliograficzny do czterdziestoosmiostronicowej broszury Desaguliersa z 1742 roku zatytułowanej *Rozprawa dotycząca elektryczności*<sup>32</sup>, w którym autor rozwinął odniesienia do pozycji wymienionych w tekście głównym. Obszerniejsze, niemieckie podsumowanie literatury i opatrzona adnotacjami bibliografia autorstwa Daniela Gralatha trafiły w ręce Priestleya dopiero po opublikowaniu przez niego pierwszego wydania *Historii...*; wykorzystał on pracę Gralatha<sup>33</sup> do poprawienia drugiego wydania.

Priestley podszedł bardzo poważnie do zadania zebrania doświadczeń wcześniejszych badaczy elektryczności. W miarę możliwości starał się czytać teksty wszystkich swoich poprzedników w oryginale. Znaczna część jego korespondencji z tego okresu dotyczy prób zdobycia rzadkich woluminów<sup>34</sup> – najwyraźniej poczynił tu duże wydatki<sup>35</sup>. Ponadto w bibliografii dołączonej do swojej książki prosi czytelników o przesłanie mu tomów, których jeszcze nie zna.

Aby ustanowić bezpośredni związek między źródłami a ich omówieniem, Priestley opatruje każdy cytowany, streszczany lub komentowany fragment przypisem z odwołaniem do konkretnej strony [w oryginalnej publikacji – przyp. tłum.]. Mniej więcej połowa stron w części historycznej jego książki zawiera co najmniej jeden przypis bibliograficzny, a na niektórych jest ich nawet pięć lub sześć. Z wyjątkiem drugorzędnych różnic w formatowaniu, Priestley sporządza przypisy zgodnie z nowoczesną praktyką. Zamieszcza też bibliografię wszystkich pozycji na temat elektryczności, o których słyszał (sześćdziesiąt trzy pozycje w pierwszym wydaniu i siedemdziesiąt pięć w drugim i kolejnych), a także odnotowuje publikacje, z którymi się zapoznał (trzydzieści w pierwszym wydaniu i czterdzieści trzy w późniejszych). Szczegółowy indeks wskazuje ponadto, w którym miejscu książki zostały omówione prace danego autora.

Przywiązując taką wagę do wskazywania źródeł, Priestley podkreśla, że pisze historię filozofii przyrody zawartej w publikacjach, a nie baconowską historię naturalną samych zjawisk. [...] Historia elektryczności jest po części historią pojawiania się i obiegu tekstów zawierających opisy doświadczanych zjawisk. Zjawisk tych nie da się oddzielić od ludzi, którzy ich doświadczali, ani od tekstów, w których są one omawiane.

---

## Świadomość historyczna jako składnik postępowej wiedzy

Świadomość historycznej ewolucji narzędzi stosowanych przez ludzi do opisu zjawisk przyrodniczych pozwala Priestleyowi omawiać wcześniejsze odkrycia z uwzględnieniem stanu wiedzy właściwego czasom, w których ich dokonano, a jednocześnie wykorzystać późniejsze ustalenia do opisu, oceny i interpretacji wcześniejszych wyników badań. [...] Aby opis wspólnotowego doświadczenia był całościowy, Priestley umieszcza w swojej książce nawet to, co w jego czasach było już uważane za błędne. Choć niektóre odrzucone wyniki badań

nazywa urojeniami, gdzie indziej przedstawia je bez komentarza, a czasem określa je jako owocne wyzwania. Jego *Historia...* zawiera tak wiele przypadków ustaleń, które początkowo wydawały się nieprawdopodobne, a które zostały później zaakceptowane jako wiedza powszechna, że ostrożnie podchodzi do wykluczania jakiegokolwiek wyniku. Szanuje zdyskredytowane teorie za ich adekwatność do ówczesnego stanu wiedzy oraz ich wartość heurystyczną prowadzącą do nowych odkryć.

Tam, gdzie wyniki wywołały kontrowersje, a powtórzenie badań okazało się trudne, Priestley opisuje, w jaki sposób społeczność [badaczy – przyp. tłum.] dokonała ostatecznej oceny. Przytacza na przykład historię J.A. Nolleta, który pojechał do Włoch, aby zbadać doniesienia o leczniczym działaniu urządzenia elektrycznego, i „przekonał się, że relacje o uzdrowieniach były znacznie przesadzone”<sup>36</sup>. Priestley relacjonuje następnie nieudane próby powtórzenia badań, w tym niektóre przeprowadzone „w obecności dużej liczby świadków, z których wielu było nastawionych przychylnie do rzekomych odkryć; ale fakty zmusiły wszystkich do uznania tych prób za bezowocne”<sup>37</sup>. Jak stwierdza: „Po opublikowaniu odpowiednio poświadczonych sprawozdań każda bezstronna osoba zyskała potwierdzenie, że rzekome odkrycia z Włoch i Lipska, które rozbudziły oczekiwania wszystkich badaczy elektryczności w Europie, nie miały podstaw empirycznych”<sup>38</sup>. Zdaniem Priestleya osąd jest wydawany na podstawie zgromadzonego doświadczenia, które jest spisywane i rozpowszechniane w kolejnych świadectwach/dokumentach.

## Szczegółowe relacje i ogólne twierdzenia

Próbując rzetelnie przedstawić doświadczenie oraz sposób myślenia poprzednich badaczy elektryczności, Priestley zamieszcza obszernie sprawozdania, celowo zbliżone do tego, jak pierwotnie zostały zaprezentowane. Rzadko zdarza się publikacja omówiona w mniej niż jednym akapicie, a opis kluczowych ustaleń zajmuje często kilka stron. Zarówno w przedmowie, jak i w różnych miejscach wywodu Priestley udowadnia, że jest świadomy odpowiedzialności i trudności związanych z dokładnym podsumowaniem badań, i często obszernie cytuje, czasem przytaczając naraz więcej niż stronę omawianego dzieła. W przedmowie stwierdza, że „aby nie przeinaczyć [myśli – przyp. tłum.] żadnego autora, na ogół przytaczam czytelnikowi jego własne słowa lub najprostsze ich tłumaczenie, jakiego mogłem dokonać”<sup>39</sup>. Wyjaśnia też i uzasadnia każdy przypadek, w którym pozwolił sobie na ingerencję w tekst lub chronologię.

Prezentacja dokonań każdego badacza elektryczności jest zbudowana wokół konkretnych doświadczeń empirycznych lub eksperymentów, które ten dostrzegł bądź zweryfikował jako pierwszy. Priestley opisuje je na tyle szczegółowo, aby można je było sobie wyobrazić, a w wielu przypadkach – powtórzyć. Co więcej, prawdopodobnie sam przeprowadził wiele eksperymentów, które opisuje. Otwarcie wskazuje, że w kilku przypadkach powtórzenie eksperymentu napotyka praktyczne przeszkody, takie jak konieczność zastosowania nietypowej, kosztownej lub delikatnej aparatury. [...]

Chociaż trzon jego opowieści stanowią konkretne obserwacje i ich krótkie omówienia, są one poprzedzone i przeplatane rozważaniami na temat procedur doświadczalnych. W ten sposób Priestley pośrednio zapoznaje czytelników z zasadniczo wszystkimi istotnie nowatorskimi eksperymentami przeprowadzonymi przez badaczy elektryczności do tej pory i otwiera tym samym możliwość faktycznego ich powtórzenia.

Omawiane w książce eksperymenty nie są jednak przedstawiane jako odosobnione wydarzenia. Priestley porządkuje je według ogólnych zasad zachowania się elektryczności. [...] Co więcej, omawia je jako spójny zestaw kolejnych kroków w badaniu poszczególnych zjawisk, tak że jedno doświadczenie wydaje się prowadzić do następnego zgodnie z nakazami racjonalnego postępowania. [...] Idea spójnego programu nie tylko dotyczy pracy poszczególnych badaczy, lecz także jest wykorzystywana jako narzędzie porządkujące dokonania wielu naukowców. Priestley nadaje wspólnej pracy racjonalny charakter, dzięki czemu staje się ona wspólnym programem badawczym. [...] Jak zobaczymy dalej, koncepcja pytania badawczego stanowi dla Priestleya ważne narzędzie strukturyzowania bieżącej pracy, pozwalające planować przyszły rozwój dyscypliny. Nawet w części dotyczącej historii [badań nad elektrycznością – przyp. tłum.] stawianie otwartych pytań może posłużyć do zrozumienia i oceny już wykonanej pracy. [...]

Ogólnie rzecz biorąc, książka przedstawia rozwój wiedzy w ujęciu historycznym, uporządkowany według powiększającego się zestawu ogólnych zasad, które nadają strukturę zgromadzonemu doświadczeniu. Ta struktura tekstowa wymaga pewnych uzgodnień chronologicznych oraz dopasowań pojęciowych [*conceptual relabelings*]. Priestley przyznaje, że tworzy logikę wydarzeń *post factum*, na przykład eksperymenty Hauksbee'ego opisuje „nie w takiej dokładnej kolejności, w jakiej ten je opublikował, ale zgodnie z tym, w jaki sposób się ze sobą wiążą. Wybrałem tę metodę, ponieważ pozwala ona najdokładniej przedstawić obraz całości”<sup>40</sup>. Ponadto, jak już wspomniano, Priestley wskazuje związki między wcześniejszymi obserwacjami a ogólnymi zasadami, które zostały opracowane później. Chociaż z punktu widzenia nowoczesnej historiografii takie anachroniczne użycie uogólnień może zostać uznane za niewłaściwe, to jednak zabieg ten porządkuje wcześniejsze doświadczenia i ustanawia szerokie podstawy empiryczne dla bieżących generalizacji. Dokonując opisu wszystkich wcześniejszych doświadczeń przy użyciu aktualnych uogólnień, a jednocześnie nie odchodząc zbyt daleko od szczegółów pierwotnych eksperymentów, Priestley dowodzi uniwersalnego znaczenia własnych generalizacji. W jednym z ostatnich rozdziałów cofa się nawet do zjawisk opisanych przez starożytnych Rzymian, które dopiero od czasów Franklina mogły zostać uznane za [zjawiska] elektryczne. Dzięki temu zabiegowi, nazwanemu później przez Pierre'a Duhema „ratowaniem zjawiska”, historia doświadczenia nie zostaje pominięta podczas opracowywania nowych teorii. Podobną historyczną perspektywę przyjmują współczesne przeglądy literatury, wykorzystując aktualne koncepcje i pytania badawcze, aby nadać sens wcześniejszym pracom z danej dziedziny.

Priestley dostrzega zdolność współczesnych mu koncepcji do porządkowania zjawisk, ale mimo to nie odrzuca doświadczeń, które nie pasują do żadnej z nich lub są sprzeczne z obecnymi kategoriami. W celu uwzględnienia anomalii i elementów niedających się pogodzić z żadną teorią autor *Historii...* skwapliwie wykorzystuje kategorię „różne” – zarówno na końcu rozdziałów, jak i w postaci osobnych partii tekstów, takich jak „Różne odkrycia doktora Franklina i jego przyjaciele w Ameryce w tym samym okresie” i ostatni rozdział części historycznej: „Różne eksperymenty i odkrycia dokonane w tym okresie”.

Starannie odnotowuje anomalie, ponieważ wierzy, że mogą ujawnić nowe prawdy. [...]

---

## Standaryzacja i dostęp do uporządkowanego doświadczenia

Dzięki zebraniu, opisaniu i uporządkowaniu wszystkich udokumentowanych doświadczeń dotyczących zjawisk elektrycznych Priestley udostępnił i ustrukturyzował zbiorowe doświadczenie empiryczne. Ratując od zapomnienia wczesne publikacje, których nikt nie przeczytał, i pokazując, że są one spójne z kolejnymi pracami i współczesnymi koncepcjami, autor *Historii...* włącza szersze grono uczestników i szerszy zakres doświadczeń do wspólnego wysiłku zrozumienia natury. Co więcej, dzięki udostępnieniu dotychczasowych prac, uczynieniu ich bardziej zrozumiałymi i umożliwieniu czytelnikom zapoznania się z opisanymi w nich eksperymentami (pośrednio lub przeprowadzając je w praktyce), wzbogaca doświadczenie poszczególnych osób i zapewnia wspólną bazę doświadczeń i wiedzy dla wszystkich nowych badaczy tej dziedziny. Od teraz zakres doświadczenia, z którym zaznajomi się każdy naukowiec prowadzący badania nad elektrycznością, będzie zasadniczo taki sam, uzupełniony o dane, które pozyska lokalnie lub sam wytworzy. Dostęp do usystematyzowanej historii badań sprawia, że wszyscy badacze mają tę samą wiedzę, a ich praca może przebiegać szybciej, wydajniej i być prowadzona bardziej zespołowo. Z historii tej Priestley wybiera i odnotowuje ku przestrodze właśnie te przypadki, kiedy brak dostępu do wcześniejszych prac, ich nieznanomość bądź brak podzielanych założeń doprowadziły do powielenia wysiłków lub niepotrzebnego konfliktu.

Wspólna historia badań przedstawiona przez Priestleya nie została koncepcyjnie ani empirycznie domknięta. Autor wskazuje otwarte pytania, anomalie i zjawiska, które nie zostały do końca wyjaśnione. W przedmowie obiecuje, że będzie dostarczać aktualnych informacji o nowych badaniach (co uczynił w drugim wydaniu i w postaci opublikowanej osobno broszury). Zarówno do pierwszego, jak i do drugiego wydania tuż przed publikacją wprowadzono addenda. W trzecim wydaniu nie wprowadzono wielu poprawek, ponieważ Priestley obiecał napisać ciąg dalszy *Historii...* – obietnicy tej jednak nigdy nie spełnił. Co ważniejsze, druga część książki



podkreśla otwartą przyszłość [dyscypliny – przyp. tłum.], ustanawiając wspólną podstawę do dalszej pracy i podsuwając praktyczne wskazówki do przeprowadzania kolejnych eksperymentów. Obszerna historia badań przedstawiona w części pierwszej to jedynie niezbędny prolog do ciągłej praktyki tworzenia wiedzy.

## Ogólne twierdzenia i wiedza spostrzeżeniowa: część 2

W toku historii, jak stwierdza Priestley, wyłoniły się zasady, które porządkują nagromadzone doświadczenia. W drugiej części książki autor streszcza te uogólnienia w siedmiostronicowym „zestawie twierdzeń, obejmujących wszystkie ogólne właściwości elektryczności”. Twierdzenia te nie są tezami ontologicznymi na temat jej natury, ale raczej opisują jej obserwowalne efekty.

Priestley formułuje te twierdzenia w dużej mierze w kategoriach uogólnionych zdarzeń eksperymentalnych, na przykład: „Właściwością wszystkich rodzajów obiektów elektrycznych jest to, że gdy są pocierane przez ciała, które się od nich różnią (głównie szorstkością lub gładkością), przyciągają lekkie ciała wszelkiego rodzaju, które znajdują się w pobliżu”<sup>41</sup>. W związku z tym wiele stwierdzeń zaczyna się od warunkowego spójnika „jeśli...”, aby wskazać uogólnione warunki eksperymentu, których mogą doświadczyć wszyscy obserwatorzy. [...] Nawet sporadyczne stwierdzenia egzystencjalne są formułowane w uogólnionych kategoriach czynności eksperymentalnych: „Elektryczność i błyskawica są pod każdym względem tym samym. Każdy efekt pioruna można odtworzyć przy użyciu elektryczności, a każdy eksperyment z elektrycznością może być wykonany z wykorzystaniem pioruna, ściągniętego z chmur za pomocą izolowanych spiczastych metalowych prętów”<sup>42</sup>.

Zwięzłość i ogólnikowość tych twierdzeń to według Priestleya oznaka postępu wiedzy: „Im więcej bowiem wiemy o jakiejś nauce, tym więcej szczegółowych twierdzeń jesteśmy w stanie przekształcić w twierdzenia ogólne”<sup>43</sup>. Ponieważ twierdzenia te nie są apriorycznymi przewidywaniami, ale raczej indukcyjnymi uogólnieniami, składają się one na porządek stworzony z nagromadzonego doświadczenia. Zdolność do znajdowania twierdzeń o coraz większej ogólności jest świadectwem rozumienia coraz istotniejszych i bardziej podstawowych zasad rządzących zjawiskami.

Niemniej twierdzenia przedstawione przez Priestleya, choć zazwyczaj zgodne z chronologicznym porządkiem wykładu, nie są ściśle uporządkowane wokół jednego ujęcia istoty elektryczności, choć taki opis – jak zauważa badacz – mógłby zapewnić jeszcze większą zwięzłość<sup>44</sup>. Są to w dużej mierze rozłączne tezy dotyczące zjawisk obserwowanych oddzielnie, tylko czasami logicznie ze sobą powiązane. Priestley bardzo dba o to, by odróżnić ogólne spostrzeżenia, których każdy badacz może sam dokonać na podstawie obserwacji, od jakiegokolwiek spójnego opisu tego, czym może być elektryczność, ponieważ w jego czasach były to tylko teoretyczne spekulacje na temat tego, czego nie daje się zaobserwować.

Poprzez zwięzłe usystematyzowanie tego, co w danym momencie wiadomo, co podlega obserwacji i co do czego panuje powszechna zgoda, Priestley określa zakres wspólnej wiedzy. Ta krótka, ale wyczerpująca lista pozwala organizować dalszą pracę, rozpoznawać, co jest nowością, a co anomalią w bieżących obserwacjach, szybko zapoznawać początkujących badaczy elektryczności z aktualnym stanem wiedzy, a ponadto ułatwia odnoszenie się [do prac innych – przyp. tłum.]. Lista twierdzeń pełni zatem funkcję zarówno nowoczesnego przeglądu badań, jak i nowoczesnego podręcznika. Co więcej, dzięki oddzieleniu spostrzeżeń, które są powszechnie uznawane za prawdy empiryczne, od niepewnych teorii, Priestley umożliwia różnicowanie analiz w kolejnych pracach. Nie proponuje on jednolitego systemu wiedzy, jak czyni to Newton, u którego ogólna teoria jest nierozzerwalnie związana z przedstawieniem doświadczeń empirycznych, tak że teoria staje się niewidoczna lub nieobecna<sup>45</sup>. Priestley wyznacza raczej poziom konsensu tam, gdzie wszyscy się zgadzają, i ogniskuje dyskusję na zagadnieniach, co do których nie ma takiej pewności. W ten sposób systematyzuje nie tylko istniejącą wiedzę, ale także zakresy i sposoby dalszych dociekań. Wprowadza narzędzia pisarskie, które służą, po pierwsze, do organizacji obszarów porozumienia przez spowolnienie wspólnego wspinania się po drabinie uogólnień (zgodnie z tym, co Bacon zaleca indywidualnemu badaczowi), a po drugie – do złagodzenia konfliktu poprzez ograniczenie pola sporu.

### Uhistorycznienie teorii: część 3

Po uhistorycznieniu doświadczenia i odkryć w pierwszych dwóch częściach swojej pracy Priestley dokonuje tego samego z teorią w części trzeciej. Z historycznego punktu widzenia teorie, tak jak je przedstawia, poprzedzają wiedzę. Teorie – badacz używa tego określenia zamiennie z hipotezami – pomagają w opracowywaniu doświadczeń i przyczyniają się do obserwacji nowych zjawisk, ale same w sobie nie stanowią ugruntowanej wiedzy. Kiedy zjawisko, którego dotyczy hipoteza, staje się obserwowalne dzięki przeprowadzonemu eksperymentowi, przechodzi ze sfery teorii do sfery wiedzy praktycznej. [...] Pod koniec badania teoria przestaje być zatem przypuszczeniem dotyczącym przyczyn i staje się ustaleniem opartym na empirycznych podstawach i gotowym do dalszych zastosowań.

Teorie są więc użytecznymi, ale niepewnymi i historycznie uwarunkowanymi opisami. Mają charakter heurystyczny. Dyskusja na ich temat jest trudna tylko dlatego, że badacze przedstawiają swoje hipotezy jako prawdy ogólne i zbytnio się do nich przywiązują. W ten sposób nie pozwalają na ich zastąpienie lub zmianę w wyniku nowych odkryć, nie dopuszczają też nowych hipotez, które służyłyby jako podstawa heurystyczna dla nowych odkryć. Priestley stwierdził, że przywiązanie do teorii spekulatywnych jest szczególnie powszechne w badaniach nad elektrycznością, ponieważ „czynnik powodujący zmiany jest niewidzialny, [a zatem – przyp. tłum.] każdy filozof może uczynić z niego, co chce, i przypisać mu takie właściwości i zdolności, jakie najbardziej pasują do jego celu”<sup>46</sup>.

W swoim opisie teorii elektryczności Priestley stosuje kilka zabiegów pisarskich, aby wykaazać ograniczoną i przemijającą użyteczność teorii oraz osłabić przywiązanie – zarówno własne, jak i czytelnika – do jakiegokolwiek konkretnego stanowiska. Dla każdej teorii sporządza opis historycznego stanu wiedzy, z którego się ona wywodzi i który ma uzasadnić, wskazuje nowe odkrycia, do których doprowadziła, na końcu zaś przedstawia wyniki empiryczne, których nie była w stanie właściwie wyjaśnić. W przeciwieństwie do ogólnych twierdzeń, które są ukazane jako ponadczasowe, teorie zostają przypisane do określonego czasu i miejsca. Co więcej, gdy teoria odegra już swoją rolę w formułowaniu prawd empirycznych i zostanie podważona przez dalsze odkrycia, autor *Historii...* odkłada ją na bok.

Priestley przyjmuje to historyczne podejście nawet w stosunku do teorii obowiązujących w jego czasach, w tym do swojego ulubionego wyjaśnienia stworzonej przez Franklina teorii dodatniej i ujemnej elektryczności. Omawia, w jaki sposób wyjaśnia ona zadowalająco wiele zjawisk, w szczególności działanie butelki lejdejskiej, które było impulsem do jej opracowania. Ale wskazuje również wiele zjawisk, dla których teoria ta jest niewystarczająca, takich jak oddziaływanie ładunków punktowych i naładowanie elektryczne chmur. Co więcej, zauważa, że teoria ciągle się zmienia, podlegając przekształceniom dokonywanym przez wielu badaczy elektryczności. Uważa zarazem, że za teorią tą przemawia jej zdolność do włączania ustaleń i pomysłów pochodzących z poprzednich ustaleń teoretycznych, ponieważ w ten sposób nie pomija ona zbiorowego doświadczenia. Wreszcie, pomimo że Priestley kończy ten rozdział panegirycznym na cześć Franklina, to cechą, za którą najbardziej go chwali, jest jego nieufność wobec własnej teorii i „wycucie istoty, zastosowania i znaczenia hipotez”<sup>47</sup>, które pozwala na przypisywanie większego znaczenia faktom niż ogólnym opisom.

Najbardziej istotne w sposobie, w jaki Priestley przedstawia różne teorie, jest to, że po rozdziale poświęconym preferowanej przez niego koncepcji następuje niemal równie długi rozdział opisujący koncepcję przeciwną, którą autor *Historii...* także uznaje za bardzo użyteczną. Priestley wyjaśnia: „Pomimo tego, że przyznałem pierwszeństwo teorii dr. Franklina, postaram się przedstawić [teorię dwóch płynów elektrycznych – przyp. aut.] w sposób najbardziej dla niej korzystny, a nawet ukazać jej wartość lepiej, niż to zostało do tej pory zrobione, nawet przez samego pana Symmera”<sup>48</sup>. Po obszernym podsumowaniu drugiej teorii wskazuje zjawiska, do wyjaśnienia których można by ją wiarygodnie zastosować; w niektórych przypadkach okazuje się to mniej zawiłe niż szukanie odpowiedzi w koncepcji pojedynczego płynu Franklina. Podobnie jak ujęcie Franklina, koncepcja Roberta Symmera jest spójna, ale nie wyjaśnia niektórych zjawisk. Następnie Priestley modyfikuje teorię, aby odpowiedzieć na główny zarzut wobec niej, i dochodzi do wniosku, że jest ona zgodna ze wszystkimi dostępnymi dowodami. Przywołuje też innego badacza elektryczności, Cignę, i choć uznaje wyższość teorii Franklina ze względu na jej

większą prostotę, to nie wybiera ostatecznie żadnej z nich. Na koniec Priestley zachęca czytelników do poinformowania go o „jakiegokolwiek innej teorii, której nie zaprzeczają fakty”<sup>49</sup>.

Tym sposobem, mimo że jest zwolennikiem jednej z opisywanych teorii, Priestleyowi udaje się od niej zdystansować i opracować bezstronną metodę analizy i oceny konkurencyjnych koncepcji. Jego ton i sposób wywodu pozwalają nie tylko zmodyfikować i odrzucić dane stanowisko [na rzecz innego – przyp. tłum.], ale także oddzielić popieranie go od odkrywania faktów, nawet przy jednoczesnym uznaniu istnienia dialektycznego związku między faktem a teorią. Jego sposób analizy zmniejsza lukę w argumentacji wynikającą z różnic w teoriach, umożliwia wspólne badania na poziomie twierdzeń ogólnych i dostarcza uporządkowanej procedury omawiania i oceny teorii. Priestley przedstawia środki służące wspólnemu rozwijaniu i modyfikowaniu teorii, ale bez całkowitego zastąpienia ich innymi. Wreszcie, ograniczając ich znaczenie, zmniejsza stawkę w wojnach ich przedstawicieli.

---

#### „Pozostaje jeszcze wiele do zrobienia”: część 4

Usystematyzowanie (lub zebranie i pojęciowe uporządkowanie) wcześniejszych prac służyło Priestleyowi jedynie do tego, by podkreślić, że nasza wspólna wiedza na temat elektryczności jest niepełna. W pierwszych trzech częściach książki – prezentujących historię badań, ogólne twierdzenia i teorie – autor stara się wskazać, które kwestie pozostają otwarte, co stanowi niewiadomą, a co zagadkę. Jednym z wielkich niebezpieczeństw, które dostrzega w przywiązaniu badacza do jednej teorii, jest to, że może on uznać, iż zagadnienie elektryczności zostało wyjaśnione, a w konsekwencji stracić zapał do dalszych badań. Taki zarzut autor *Historii...* stawia Nolletowi<sup>50</sup>. W przeciwieństwie do tego systematyczna organizacja badań pozwala ustalić konkretne obszary wymagające rozpoznania oraz nierozwiązane problemy badawcze (lub dezyderaty, jak je nazywa Priestley).

Aby jeszcze bardziej uydatnić to, co pozostało do zrobienia, a tym samym ukierunkować przyszłą pracę, Priestley zbiera te „białe plamy” w środkowych częściach rozdziału 4 i ujmuje je w formie „zapytań i wskazówek”, nawiązując do postulatów z rozdziału wprowadzającego, w którym wzywał do dalszego prowadzenia badań. Przedstawia te zagadnienia i sugestie jako listę pytań. Pytania, nawet jeśli dopuszczają nieznane odpowiedzi, ograniczają ich formę. Zestaw pytań może jednak wyznaczyć plan wspólnej pracy i zapewnić ramy pozwalające na porównywanie konkurencyjnych odpowiedzi.

Priestley umieszcza te pytania pod różnymi nagłówkami, które odpowiadają zidentyfikowanemu już i opracowanemu zjawiskom. Pytania otwierające mają zazwyczaj bardziej podstawowy charakter, następnie zaś są rozwijane bardziej szczegółowo w kolejnych pytaniach. [...] Kładąc nacisk na ostatnie, wciąż trwające badania, odnoszące się do nierozstrzygniętych kwestii, Priestley określa wspólne problemy, które mogą skłonić badaczy do zaangażowania się we wspólnotowe przedsięwzięcie, i daje przykład publicznej debaty o nierozwiązanych kwestiach. Zamiast powstrzymywać prace poszczególnych badaczy do czasu, aż będą oni gotowi przedstawić twierdzenia poparte publicznym zademonstrowaniem udanego eksperymentu, Priestley zaprasza całą społeczność do udziału w otwartej dyskusji opartej na udzielaniu sobie nawzajem wskazówek. [...] Jawne dzielenie się wątpliwościami pomaga koordynować pracę wielu rąk i rozwijać niegotowe koncepcje – plody wielu umysłów. W miarę postępu prac pytania zyskują odpowiedzi, są odrzucane lub zmieniane. Pytania, podobnie jak teorie, są historycznie uwarunkowane. Priestley stwierdza, że jego pytania mogą wkrótce wydać się „jałowe, niepoważne lub dziwaczne”<sup>51</sup>, i wprowadza wiele poprawek w drugim i trzecim wydaniu, usuwając niektóre zagadnienia, a dodając nowe. Wyraźnie ma świadomość, że front badań jest wyznaczony przez ewoluujące problemy i pragnie stworzyć tekstowe narzędzia do zbiorowego artykułowania aktualnego stanu niewiedzy.

W przekonaniu Priestleya postęp wiedzy na temat elektryczności zależał również od współpracy z innymi dziedzinami nauki, które mają wpływ na te badania. Pod koniec części 4 omawia on inne gałęzie nauki, z którymi badacze elektryczności powinni się zapoznać. Są to w szczególności: chemia, badania dotyczące światła i kolorów oraz atmosfery, anatomia, matematyka, mechanika i zagadnienia związane z perspektywą. Uwzględnienie tych dwóch ostatnich dowodzi,

że badania mają charakter empiryczny i społeczny. Filozof, który chce badać nowe zjawiska, musi potrafić budować nowe maszyny, a filozof, który pragnie dzielić się swoimi odkryciami poprzez ich publikację, musi umieć precyzyjnie rysować.

---

## Koordinacja w zakresie maszyn i aparatury: część 5

Zdając sobie sprawę z tego, że postęp wiedzy na temat elektryczności zależy od postępu w dziedzinie konstruowania maszyn, Priestley czuł potrzebę zaangażowania badaczy elektryczności w ich budowę. W pierwszej części książki, poświęconej historii badań, często wskazywał, jaką rolę w dokonaniu konkretnych odkryć odegrały maszyny. W omawianej tutaj części 5 podsumowuje historyczny postęp w tej dziedzinie, aby uporządkować i uspołnić stan wiedzy. Maszyny umożliwiają ich twórcom zaobserwowanie nowych zjawisk, ale przede wszystkim umożliwiają to całej społeczności badaczy elektryczności, ponieważ powielanie maszyn pozwala na powielanie zjawisk. Dzięki korzystaniu z takich samych maszyn badacze mogą dzielić się doświadczeniami i wspólnie badać zjawiska wytwarzane i ujawniane za pomocą aparatury. Co więcej, aby sprzyjać rozwojowi wspólnoty badawczej, należy udostępnić innym najlepsze maszyny i zasady ich budowy. Wreszcie, w celu uspołnienia pracy, należy tak ujednoczyć aparaturę, aby badacze formułowali twierdzenia dotyczące tych samych rzeczy.

Właśnie dlatego uporządkowana nauka eksperymentalna wymaga wyjaśnienia zasad działania maszyn oraz szczegółowych wytycznych do budowy tych najbardziej skutecznych. Priestley poświęca około dwudziestu stron na przedstawienie wskazówek dotyczących budowy generatorów elektrostatycznych, elektrod, baterii zbudowanych z połączonych butelek lejdejskich i elektrometrów. Podobnie jak w przypadku zjawisk elektrycznych, są też otwarte pytania o najlepszą konstrukcję [maszyn – przyp. tłum.]: na przykład „badacze elektryczności nie ustalili jeszcze, jaki rodzaj szkła jest najbardziej odpowiedni do celów ich badań”<sup>52</sup>. Następnie Priestley poświęca kolejne kilkanaście stron na omówienie zalet i wad poszczególnych maszyn zaprojektowanych i używanych przez różnych badaczy. [...]

---

## Przyrost doświadczenia empirycznego: części 6 i 7

Sam dostęp do maszyn nie gwarantuje obfitości udanych i sprzyjających postępowi naukowemu wyników. Ludzie muszą ich używać, i to właściwie. Wiedzę, w jaki sposób pomyślnie przeprowadzać eksperymenty, tradycyjnie nabywano wraz z doświadczeniem, ale w częściach 6 i 7 Priestley stawia sobie za cel przyspieszenie tego procesu, tak aby początkujący badacze szybciej uzyskiwali więcej wyników.

Część 6 poświęcona jest „Praktycznym radom dla badaczy elektryczności” i opisuje wiedzę praktyczną, którą Priestley zdobył dzięki własnemu doświadczeniu. Autor ma nadzieję, że uczyni drogę młodych badaczy mniej uciążliwą, ponieważ „w interesie nauki jako takiej leży, aby wszystko było dla początkujących tak łatwe i zachęcające, jak to tylko możliwe. Tylko wówczas liczba badaczy elektryczności może się zwiększyć, a jest najbardziej prawdopodobne, że to właśnie za sprawą wzrostu tej liczby dojdzie do ulepszeń w nauce”<sup>53</sup>. Dalej następuje piętnaście stron praktycznych porad i ostrzeżeń, takich jak „odrobina wosku pszczelego naniesiona na powierzchnię rurki znacznie poprawi jej działanie”<sup>54</sup>. I „niech nikt sobie nie myśli, że skoro można dotykać przewodów dużej baterii i niczego nie odczuwać, to równie bezpiecznie jest trzymać je w jednej ręce, a drugą dotykać zewnętrznej powłoki. Wielokrotnie doznawałem wstrząsów, których nie chciałbym doznać ponownie”<sup>55</sup>. Takie porady przekazuje się obecnie w podręcznikach dotyczących prowadzenia badań w laboratoriach i w innych materiałach szkoleniowych. Jednak, jak stanowczo twierdzi Collins, duża część wiedzy praktycznej nie jest wyrażona na piśmie, a tym bardziej opublikowana, więc adepci zdobywają ją, jeśli w ogóle, bezpośrednio przy stole laboratoryjnym.

W tym samym duchu, czyli jako wprowadzenie dla początkujących do problematyki eksperymentów i w efekcie poszerzenie wspólnego doświadczenia, Priestley przedstawia w części 7 wskazówki dotyczące wykonywania „najbardziej atrakcyjnych eksperymentów z użyciem

elektryczności”. Otwiera tę część entuzjastycznym opisem tego, jak wspaniałe i cudowne są proste eksperymenty [...]. Co więcej, zachęca potencjalnych eksperymentatorów do działania, wskazując, że te efekty, choć spektakularne, nie są bynajmniej banalne: „Mamy tak małą wiedzę o tych dziwnych zjawiskach, że sami filozofowie powinni się w nie wgłębić [...]”.

Na trzydziestu stronach Priestley szczegółowo wyjaśnia, jak przeprowadzać eksperymenty z wykorzystaniem eksplozji, wstrząsów, błysków światła, dzwoniących dzwonek, tańczących lalek, kukiełek z włosami stającymi dęba i prochu strzelniczego. Wszystkie są opisane z dużym entuzjazmem dla ich atrakcyjności. Obecnie adresatami takich instrukcji są dzieci, wprowadzane do świata nauk eksperymentalnych za pomocą „naukowych sztuczek, które możesz zrobić [w domu – przyp. tłum.]”. Cel ich wszystkich jest ten sam: zachęcenie młodych do zajęcia się nauką. Priestley dobrze rozumiał, że każdy wspólny program badawczy potrzebuje ludzi, którzy będą go realizować.

## Poszerzanie wiedzy: część 8

W ostatniej części książki Priestley omawia własne eksperymenty, opracowane na podstawie opisanych w literaturze i odtworzonych przez niego doświadczeń. W pewnym sensie występuje jako idealny odbiorca tej publikacji, który wykorzystuje opis historii oraz obecnego stanu badań nad elektrycznością jako punkt wyjścia do nowych działań. Co więcej, Priestley przedstawia podjęte przez siebie badania jako przykład dynamiki wiedzy: tego, że historia filozofii przyrody jest otwarta i że jej nowe ustalenia wynikają z poprzednich. To wezwanie do stałej współpracy [*coordinated work*] jest ważniejsze od konkretnych odkryć, które Priestley przedstawił w swojej książce, jak bowiem podkreśla, metoda ich prezentacji „nie jest obliczona na zdobycie poklasku dla autora jako filozofa i prawdopodobnie przyczyni się bardziej do tego, że inni staną się filozofami, co jest o wiele istotniejsze dla społeczeństwa”<sup>56</sup>.

Opisy nowych eksperymentów przeprowadzonych przez Priestleya są ułożone według tematów poruszonych wcześniej w rozdziałach dotyczących historii badań. Co więcej, autor nieustannie odwołuje się do literatury i prywatnej korespondencji z innymi badaczami elektryczności. Omówienia poszczególnych doświadczeń poprzedza komentarzami, w których stwierdza na przykład, że, jego zdaniem, niektóre z eksperymentów Beccarii nie były do końca trafne<sup>57</sup>, że miał pewne wątpliwości co do jednego z aspektów teorii Franklina<sup>58</sup> bądź że coś stanowi przedmiot sporu między badaczami elektryczności<sup>59</sup>. Przyznaje się także do czerpania z materiałów<sup>60</sup> oraz zapożyczania pomysłów na doświadczenia od innych uczonych<sup>61</sup>, a ponadto, informuje o prowadzonej z nimi korespondencji na temat technik eksperymentalnych<sup>62</sup>. Na koniec porównuje swoje wyniki z rezultatami uzyskanymi przez innych [...].

Jednak choć Priestley osadza swoje dokonania w kontekście eksperymentów opisanych w literaturze przedmiotu i podkreśla swoją stałą interakcję z resztą społeczności [badawczej – przyp. tłum.], nie twierdzi, że jego praca musi zająć trwałe lub ustalone miejsce w literaturze, jak to często czynią autorzy współczesnych artykułów, którzy wykorzystują dotychczasowe publikacje jako ramy dla nowego twierdzenia po to, by podkreślić jego centralne znaczenie, istotność i wiarygodność<sup>63</sup>. Priestley przedstawia swoją pracę jako część trwającego i niesfinalizowanego procesu. Twierdzenie przyjęte w literaturze jako punkt wyjścia do badania nie determinuje jego końca ani tego, czy hipoteza wyjściowa (wyprowadzona z literatury lub poprzez analogię do innych opisanych zjawisk) zostanie ostatecznie potwierdzona czy odrzucona. Autor *Historii...* prezentuje swoje badania jako metodę dialektycznego odkrywania, które czasami prowadzi do sformułowania mocnej tezy, ale częściej tak się nie dzieje. Ciągi doświadczeń kończy nierozstrzygniętymi pytaniami lub zaproszeniem innych badaczy do ich podjęcia.

Priestley nazwał ten sposób prezentacji kolejnych odkryć wywodem analitycznym i uważał, że jest on bardziej przekonujący od wywodu opartego na dowodzeniu, który uzasadnia tezę przedstawioną na początku rozprawy, czyli, jak go określił, wywodu syntetycznego. Dokonując analizy, możesz poprowadzić rozumnego odbiorcę tą samą ścieżką doświadczenia i rozumowania, która doprowadziła cię do twoich wniosków, zamiast zmuszać go, by ci uwierzył, za pomocą ograniczającego zestawu argumentów. Współpraca intelektualna wynikałaby z szerszego dziełania się doświadczeniem badawczym<sup>64</sup>.

Ponadto Priestley sądził, że metoda analityczna pomoże innym w badaniach poprzez wskazanie im wszystkich fałszywych tropów i błędów, co pozwoliłoby im uniknąć pomyłek lub odkryć znaczenie szczegółów, które nie wydawały się tak istotne pierwszym badaczom, i w ten sposób wykorzystać pełen zakres rozumowania. Co więcej, takie naturalistyczne sprawozdania uczyniłyby proces badawczy mniej tajemniczym dla początkujących, dzięki czemu byłiby oni mniej onieśmieleni i bardziej skłonni podjąć własne badania. Priestley krytykuje w istocie Newtona za to, że nie ujawnił swojego procesu myślenia, w wyniku czego za bardzo go podziwiamy, aby pójść w jego ślady:

[To tak, jakby – przyp. tłum.] człowiek wszedł na szczyt budynku po zwykłej drabinie, ale usuwał większość szczebli, gdy już przestały mu być potrzebne, pozostawiając tylko co dziewiąty lub dziesiąty szczebel; wygląd drabiny w stanie, w jakim zechciał ją pokazać, daje nam nadzwyczaj pochlebne, ale niesłuszne wyobrażenie o człowieku, który mógł z niej skorzystać. Gdyby chciał, aby ktoś za nim podążył, powinien był pozostawić drabinę taką, jaką ją skonstruował, albo taką, jaką ją być może znalazł, ponieważ mógł to być zwykły przypadek, że znalazła się ona na jego drodze<sup>65</sup>.

Drabin Priestleya, przedstawionych na ponad dwustu stronach, jest wiele, ale tylko nieliczne sięgają wysoko. Priestley przedstawia niektóre kierunki badań jako charakteryzujące się ścisłym logicznym porządkiem, polegającym na tym, że postawiona hipoteza lub analizowany problem podsuwają pomysł nowego eksperymentu, którego wynik wskazuje nowy problem bądź hipotezę. Autor *Historii...* rzadko jednak kończy wywód tezą o dużym stopniu pewności lub ogólności. W innych przypadkach ciąg eksperymentów wydaje się mniej uporządkowany, ponieważ zapoczątkowują go przypadkowe obserwacje, przez co nie ma on nadanego wyraźnego kierunku. Priestley przerywa takie ciągi, po prostu zmieniając eksperyment, aby sprawdzić, czy natrafi na jakieś wskazówki. [...]

Pokazanie szerokiego zakresu doświadczenia w nienajlepszy sposób prowadzi do chaotycznego ujęcia, w którym z wielu drzew powstaje niewiele lasów. Priestley nie może tego uporządkować za pomocą kategorii retrospektywnych, jak to uczynił w opisie historycznym. Jak zauważyłem gdzie indziej<sup>66</sup>, mniej więcej w tym czasie (być może dzięki entuzjastycznemu podejściu Priestleya) ten sposób relacjonowania odkryć zyskał popularność [wśród autorów publikujących – przyp. tłum.] w czasopiśmie „Philosophical Transactions”, jednak zarzucono go już na przełomie wieków. Chociaż pozwalała na dzielenie się pracą, której wynik nie jest przesądzony, i uznanie, że prawd o zjawiskach przyrodniczych nie da się wyczytać bezpośrednio i w sposób pewny z pojedynczych doświadczeń, wydaje się, że jego przesłanie dotyczące kodyfikacji jako niezbędnej do utrzymania ciągłej współpracy nie było jednoznaczne. Sto lat wcześniej Newton również użył narracji o procesie odkrycia w swojej *Nowej teorii światła i kolorów*, ale uznał, że nie jest ona dość przekonująca, aby zapobiec powstaniu wokół niej poważnych sporów. Aby zmusić odbiorcę do przyjęcia jego tezy, opracował podobną do dowodu formę argumentacji, za co został skrytykowany przez Priestleya<sup>67</sup>.

We współczesnych artykułach naukowych wypracowano sposób porządkowania badań, który łączy twierdzenia wygłaszane autorytatywnie, w stylu Newtona, z akceptacją, w stylu Priestleya, tego, że literatura i badania prowadzone przez wspólnotę podlegają zmianom. Ma to być niejako ustawiczna systematyzacja [*rolling codification*] dokonywana przez współczesne publikacje, których kategoryczne tezy [wkładane są] w ramy uporządkowanej struktury, jaką stanowi literatura naukowa. Dokonuje się to zwykle za pomocą przedstawiania tych tez w taki sposób, jakby były już uznane i zintegrowane z literaturą przedmiotu wskazaną we wstępie<sup>68</sup>. Treść wywodu sprawia wówczas wrażenie niepodważalnego dowodu indukcyjnego, chociaż wartość i znaczenie zarówno wcześniejszych publikacji na ten temat, jak i prezentowanego badania mogą nie być jeszcze zweryfikowane ani powszechnie uznane przez społeczność badaczy. W ten sposób każdy nowy artykuł przyczynia się do porządkowania twierdzeń naukowych, które sam wprowadza jako hipotezy.

## Wniosek: dylematy związane z dużymi wspólnymi przedsięwzięciami

Starając się wypracować sposób mówienia o nauce, który uzgadniałby pracę i doświadczenie wielu osób, ale jednocześnie nie nakazywałby im kierowania się jakąkolwiek aprioryczną lub indywidualnie wymyśloną teorią, Priestley próbował stworzyć szeroko zakrojoną naukę otwartą dla wszystkich, którzy pragnęli respektować i poszerzać wspólne doświadczenie. Projekt ten opierał się na jego radykalnych poglądach teologicznych, filozoficznych i politycznych. Autor *Historii...* wierzył, że demokratyczne uczestnictwo [w badaniach – przyp. tłum.] i dyskusowanie o zjawiskach w sposób dopuszczający różne interpretacje doprowadzą do odkrycia prawdziwych ujęć przyrody, obejmujących doświadczenie całej ludzkości. Priestley rozumiał, że takie przedsięwzięcie musi zostać skoordynowane na wielu poziomach, od wyników eksperymentów, poprzez budowę maszyn, po problemy badawcze. Pragnął jednak, aby porządek wiedzy wyłaniał się wyłącznie ze wspólnej mądrości, doświadczenia i odpowiedzialnych uzgodnień między ludźmi, nie wykluczając żadnego z różnorodnych aspektów życia możliwych do zweryfikowania. Podstawą jego starannie przemyślanych filozofii i socjologii nauki było opracowanie odpowiedniej retoryki naukowej, która ułatwiłaby współpracę i powiązanie ze sobą bieżących, zespołowych badań empirycznych, przy jednoczesnym poszanowaniu doświadczenia utrwalonego w historii nauki.

Priestleyowi częściowo udało się stworzyć środki retoryczne służące porządkowaniu wiedzy, które pozwalały zarazem uwzględnić pełen zakres doświadczenia. Aby uniknąć kulturowej amnezji związanej z usystematyzowaniem wiedzy historycznej, Priestley cały czas odnosi się do literatury [naukowej], którą stara się odtworzyć z historyczną wrażliwością i licznymi szczegółami, nawet jeśli nie pasuje ona do współczesnych kategorii. Usystematyzowaną prezentację obecnych działań związanych z tworzeniem teorii, eksperymentowaniem i konstruowaniem maszyn uważa za użyteczną, ale tymczasową pracę, którą trzeba będzie wykonać ponownie w miarę rozwoju wydarzeń. Usystematyzowanie przyszłych badań jest, z jednej strony, trudniejsze, ponieważ narzucenie zamkniętego systemu biurokratycznych definicji tego, co można i należy robić, może zatrzymać procesy doświadczenia i odkrywania. Z drugiej strony brak wystarczająco ścisłej organizacji badań w przyszłości prowadzi do nieskoordynowanego wzrostu liczby mało istotnych działań: swobody, która może prowadzić do osobnego traktowania wątków z przeszłości, które w teraźniejszości zostały połączone. Jest to problem retoryczny, którego Priestley nie rozwiązał, chociaż wiele z jego retorycznych technik opisywania przeszłości, teraźniejszości i przyszłości jest nadal wykorzystywanych w piśmiennictwie naukowym.

Być może najważniejszą konsekwencją dynamiki retorycznej uruchomionej przez Priestleya jest powstanie formy dyskursu skierowanej do skupionej na sobie społeczności, która zajmuje się tymi samymi problemami badawczymi i pogłębia wspólne doświadczenie. Autor *Historii...* wprowadza środki tekstowe, za pomocą których badacze mogą zwracać się do siebie, by tworzyć wspólną wiedzę. Aby dodatkowo wesprzeć tę wzorcową dyscyplinę, Priestley proponuje również środki tekstowe umożliwiające pozyskanie nowych uczestników i ich włączenie do wspólnego projektu.

Priestley być może nie docenia jednak znaczenia ambicji poszczególnych jednostek i rywalizacji w ramach zorganizowanej działalności zespołowej. Rezygnując z indywidualnej chwały w imię wspólnego postępu, wpuszczając wszystkich do swego niestabilnego warsztatu i nie rosząc sobie pretensji do pewności w obliczu historycznych zmian, Priestley nie uwzględnił w wystarczającym stopniu roli, jaką odgrywa zdolność nauki do tworzenia hipotez, pozwalająca jednostkom stawiać śmiało tezy, a następnie sprawdzać, czy otaczający świat jest zgodny z tym, co intuicyjnie przeczuwają. Autor *Historii...* tworzy narzędzie przyjaznej współpracy, ale wydaje się, że ta maszyna potrzebuje też napędu agonistycznej walki, aby twierdzenia mogły zyskiwać coraz większy stopień ogólności i siłę oddziaływania. Pomimo promowanego przez Priestleya zgodnego uspołecznienia, nauka przyznała ważną rolę forsowaniu własnych teorii, zaciętej rywalizacji i nagrodom Nobla. Stały się one *de facto* częścią społecznego wymiaru nauki.

Niemniej przedstawione przez Priestleya mechanizmy służące organizowaniu nauki sprawiły, że agonizm stał się czymś więcej niż wojną wszystkich przeciwko wszystkim. Mechanizmy te nadały porządek poszerzającemu się doświadczeniu zbiorowemu i zapewniły wspólne

założenia, porównywalne terminy i podobne procedury empiryczne, dzięki którym można rozwiązać pracę zespołową. Priestleyowska systematyzacja stworzyła pole gry, które pozostaje względne i podlega ewolucji, ale jest na tyle stabilne i rozpoznawalne społecznie, że cały czas może się na nim toczyć zorientowana na wspólny cel, owocna walka.

przełożyła Marta Rakoczy

## PRZYPISY

\* Ch. Bazerman, *How Natural Philosophers Can Cooperate: The Literary Technology of Coordinated Investigation in Joseph Priestley's History and Present State of Electricity (1767)*, w: Ch. Bazerman, J. Paradis (red.), *Textual Dynamics of the Professions: Historical and Contemporary Studies of Writing in Professional Communities*, London–Madison 1991, s. 13–44. W przekładzie pominięto większość cytatów z książki Josepha Priestleya oraz dodatkowe komentarze Charlesa Bazermana umieszczone w przypisach. © 1991 by the Board of Regents of the University of Wisconsin System. Opublikowano za zgodą The University of Wisconsin Press.

- 1 J. Priestley, *The History and Present State of Electricity* [1767], New York 1966, t. 2, s. 164.
- 2 Zob. B. Latour, S. Woolgar, *Życie laboratoryjne. Konstruowanie faktów naukowych*, przeł. K. Abriszewski, P. Gąska, M. Smoczyński, A. Zabielski, Warszawa 2020; K. Knorr-Cetina, *The Manufacture of Knowledge: An Essay on the Constructivist and Contextual Nature of Science*, Oxford 1981.
- 3 Zob. G. Myers, *Texts as Knowledge Claims: The Social Construction of Two Biology Articles*, „Social Studies of Science” 1985, nr 15, s. 595–630; H. Collins, *Changing Order: Replication and Induction in Scientific Practice*, Beverly Hills 1985; B. Latour, *Science in Action*, Milton Keynes 1987.
- 4 Zob. H. Collins, T. Pinch, *Frames of Meaning: The Social Construction of Extraordinary Science*, London 1982; M. Callon, J. Law, A. Rip (red.), *Mapping the Dynamics of Science and Technology: Sociology of Science in the Real World*, London 1986; M. Rudwick, *The Great Devonian Controversy*, Chicago 1985.
- 5 Zob. B. Latour, *Science in Action: How to Follow Scientists and Engineers through Society*, Cambridge, MA 1987.
- 6 Zob. Ch. Bazerman, *What Written Knowledge Does: Three Examples of Academic Discourse*, w: tegoż, *Shaping Written Knowledge: The Genre and Activity of the Experimental Article in Science*, Madison 1998, rozdz. 2, s. 18–55.
- 7 Chodzi o stworzoną przez Francisa Bacona (1561–1626), angielskiego filozofa, zwolennika empiryzmu opartego na eksperymencie jako narzędziu rozwoju wiedzy naukowej, teorię czterech idoli, czyli złudzeń, wyłożoną w *Novum Organum* (1620). Złudzenia, które ograniczają ludzki umysł i postęp wiedzy naukowej to, według Bacona, idole plemienne, idole jaskini, idole rynku i idole teatru. Pierwsze przesady rodzą się na skutek tego, że ludzie biorą sposoby, na jakie człowiek jako gatunek postrzega świat, za cechy rzeczywistości samej w sobie. Drugie to złudzenia rzutowane na rzeczywistość przez jednostki i związane z ich jednostkowym i środowiskowym doświadczeniem. Trzecie to złudzenia związane z nieprecyzyjnymi, mętnymi lub fałszywymi kategoriami języka, którymi człowiek stara się opisać rzeczywistość. Czwarte to opinie nabyte na skutek bezrefleksyjnego polegania na autorytetach, także naukowych i filozoficznych [przyp. tłum.].
- 8 Zob. Ch. Bazerman, *Reporting the Experiment: The Changing Account of Scientific Doings in the Philosophical Transactions of the Royal Society, 1665–1800*, w: tegoż, *Shaping Written Knowledge...*, dz. cyt., rozdz. 3, s. 59–79.
- 9 R. Merton, *The Sociology of Science*, Chicago 1973; J. Ziman, *Public Knowledge: An Essay Concerning the Social Dimension of Science*, London 1968; W. Garvey, *Communication: The Essence of Science: Facilitating Information Exchange among Librarians, Scientists, Engineers, and Students*, Oxford 1979.
- 10 Ch. Bazerman, *Books and Articles: Newton Faces Controversy*, w: tegoż, *Shaping Written Knowledge...*, dz. cyt., rozdz. 4, s. 80–127.
- 11 Tegoż, *Literate Acts and the Emergent Social Structure of Science*, w: tegoż, *Shaping Written Knowledge...*, dz. cyt., rozdz. 5, s. 128–150.
- 12 W. Gilbert, *De Magnete, Magneticisque Corporibus, et de Magno Magnete Tellure*, London 1600.
- 13 R.E. Schofield, *A Scientific Autobiography of Joseph Priestley, 1733–1804: Selected Scientific Correspondence*, Cambridge, MA 1966, s. 8.
- 14 Zob. tamże, s. 14, list Johna Seddona do Johna Cantona.
- 15 J. Priestley, *Autobiography of Joseph Priestley: Memoirs Written by Himself: An Account of Further Discoveries in Air*, Teaneck 1970.
- 16 Ta partia materiału jest podzielona na dwie części: *Part I. A History of Natural Philosophy* i *Part II. Historical Consciousness within Progressive Knowledge*. (W cytowanym wydaniu stanowią one oddzielny tom, tom drugi zaś zawiera części III–IX – przyp. red.).
- 17 Zob. M.G. Moran, *Joseph Priestley, William Duncan and Analytic Arrangement in 18th-Century Discourse*, „Journal of Technical Writing and Communication” 1984, nr 14, s. 207–215.



- 18 J. Priestley, *The History and Present State of Electricity...*, dz. cyt., New York 1966, s. 120.
- 19 Tamże, s. 108.
- 20 Tamże.
- 21 H.G. Funkhouser, *Historical Development and the Graphical Representation of Statistical Data*, „Osiris” 1937, nr 3, s. 269–404.
- 22 Zob. J. Priestley, *Chart of Biography*, Warrington 1765.
- 23 Zob. J. Priestley, *A Chart of History*, London 1769.
- 24 J. Fulton, *Works of Joseph Priestley 1733–1804: Preliminary Short Title List*, New Haven 1937, s. 6–7.
- 25 Zob. I. Heibert, *The Integration of Revealed Religion and Scientific Materialism*, w: *Joseph Priestley, Scientist, Theologian, and Metaphysician: A Symposium Celebrating the Two Hundredth Anniversary of the Discovery of Oxygen by Joseph Priestley in 1774*, Joseph Priestley Symposium, Lewisburg 1980; H. Laboucheix, *Chemistry, Materialism and Theology in the Work of Joseph Priestley*, „Price-Priestley Newsletter” 1977, nr 1, s. 31–48; J.G. McEvoy, *Joseph Priestley, Scientist, Philosopher and Divine*, „Proceedings of the American Philosophical Society” 1984, nr 128, s. 193–199.
- 26 Zob. M. Crosland, *A Practical Perspective, The Image of Science as a Threat: Burke versus Priestley and the „Philosophic Revolution”*, „British Journal for the History of Science” 1987, nr 20, s. 277–307; J. Fruchtman, *The Apocalyptic Politics of Richard Price and Joseph Priestley: A Study of Late Eighteen-Century English Republican Millennialism*, Philadelphia 1983; I. Kramnick, *Eighteen-Century Science and Radical Social Theory: The Case of Joseph Priestley’s Scientific Liberalism*, „Journal of British Studies” 1986, nr 25, s. 1–30; J. Priestley, *Autobiography of Joseph Priestley...*, dz. cyt.
- 27 Zob. J. Priestley, *An Essay on a Course of Liberal Education for Civil and Active Life*, London 1765.
- 28 J. Priestley, *The History and Present State of Electricity...*, dz. cyt., t. 1, s. xviii.
- 29 Tamże, t. 2, s. 53–54.
- 30 J. Priestley, *Familiar Introduction to Electricity*, London 1768, s. v.
- 31 J. Priestley, *The History and Present State*, t. 1, s. vii.
- 32 J.T. Desaguliers, *A Dissertation Concerning Electricity*, London 1742.
- 33 D. Gralath, *Geschichte der Electricitæet* (w tym: *Electrische Bibliothek*), Naturforschende Gesellschaft, Danzig, „Versuche und Abhandlung” 1747, s. 175–304; 1754, s. 355–460; 1757, s. 492–556.
- 34 R.E. Schofield, *A Scientific Autobiography of Joseph Priestley...*, dz. cyt.
- 35 M. Crosland, *A Practical Perspective on Joseph Priestley as a Pneumatic Chemist*, „British Journal for the History” 1983, nr 16, s. 223–238.
- 36 J. Priestley, *The History and Present State of Electricity...*, dz. cyt., t. 1, s. 187.
- 37 Tamże.
- 38 Tamże, t. 1, s. 188.
- 39 Tamże, t. 1, s. x.
- 40 Tamże, t. 1, s. 19.
- 41 Tamże, t. 2, s. 4.
- 42 Tamże, t. 2, s. 10.
- 43 Tamże, t. 2, s. 2.
- 44 Tamże.
- 45 Zob. Ch. Bazerman, *Books and Articles...*, dz. cyt.
- 46 J. Priestley, *The History and Present State...*, dz. cyt., t. 2, s. 16.
- 47 Tamże, t. 2, s. 39.
- 48 Tamże, t. 2, s. 41.
- 49 Tamże, t. 2, s. 52.
- 50 Tamże, t. 2, s. 25.
- 51 Tamże, t. 2, s. 58.
- 52 Tamże, t. 2, s. 91.
- 53 Tamże, t. 2, s. 119.

- 54 Tamže, t. 2, s. 120.
- 55 Tamže, t. 2, s. 132.
- 56 Tamže, t. 2, s. 165.
- 57 Tamže, t. 2, s. 232.
- 58 Tamže, t. 2, s. 184.
- 59 Tamže, t. 2, s. 201.
- 60 Tamže, t. 2, s. 308.
- 61 Tamže, t. 2, s. 187.
- 62 Tamže, t. 2, s. 179.
- 63 Zob. J. Swales, H. Najjar, *The Writing of Research Article Introductions*, „Written Communication“ 1987, nr 4, s. 175-191; T. Dudley-Evans, *Genre Analysis: An Investigation of the Introduction and Discussion Sections of MSc Dissertations*, w: M. Coulthard (red.), *Talking about Text*, Birmingham 1986, s. 128-145.
- 64 J. Priestley, *The History and Present State...*, dz. cyt., t. 2, s. 66-67; J. Priestley, *A Course of Lectures on Oratory and Criticism*, red. V. M. Bevilacqua, R. Murphy, Carbondale 1965; M.G. Moran, *Joseph Priestley, William Duncan...*, dz. cyt.; C. Lawson, *Joseph Priestley and the Process of Cultural Evolution*, „Science Education“ 1954, nr 38, s. 267-276.
- 65 J. Priestley, *The History and Present State...*, dz. cyt., t. 2, s. 167-168.
- 66 Ch. Bazerman, *Reporting the Experiment...*, dz. cyt.
- 67 Tegož, *Books and Articles...*, dz. cyt.
- 68 C. Berkenkotter, T.N. Huckin, J. Ackerman, *Social Context and Socially Constructed Texts: The Initiation of a Graduate Student into a Writing Research Community*, w: C. Bazerman, J. Paradis (red.), *Textual Dynamics of the Professions. Historical and Contemporary Studies of Writing in Professional Communities*, London-Madison 1991, s. 191-215.

Richard Bauman  
Charles L. Briggs

---

# Unaukowanie tekstów w służbie narodu. Bracia Grimm i filologia germańska\*

**H**erder wstrząsnął językowymi podwalinami modernistycznego projektu stworzonego przez Locke'a. Starał się on podważyć praktyki oczyszczające [*purifying*], których Locke użył do skonstruowania języka jako dziedziny autonomicznej, a tym samym zerwania jego więzów ze społeczeństwem i tradycją. Dla Herdera język nie tylko był z istoty społeczny, ale różnice i podobieństwa językowe stanowiły także główne narzędzie definiowania rodzin, społeczności, regionów i narodów. Podczas gdy dla Locke'a oczyszczony język stanowił obowiązkowy przystanek na drodze do nowoczesności, Herder postrzegał nowoczesność jako zagrożenie dla języka, potencjalnie pozbawiające go siły społecznej, politycznej i afektywnej. O ile zdaniem Locke'a tradycja, którą uważał za niepowiązaną z językiem, należała do najważniejszych źródeł społecznego zniewolenia, błędu, epistemologicznej niepewności i wreszcie konfliktu, o tyle Herder widział w niej źródło porządku społecznego i siły politycznej. Koncepcja języka zaproponowana przez Locke'a opierała się na uniwersalistycznej racjonalności, Herder dążył natomiast do reprowincjonalizacji języka, wymagając, aby porzucił on kosmopolityczne roszczenia do uniwersalności, do uchylania się od określania poszczególnych tożsamości, społeczności, miejsc i czasów.

Jednak nawet w czasach rozkwitu romantycznego nacjonalizmu językowa nowoczesność Locke'a nie uległa po prostu zanikowi. Tym samym Herder postawił nowoczesne podmioty przed pewnego rodzaju dylematem. Tak jak i dla Locka, język stanowił dla Herdera istotny środek definiowania *modernitas*. Ideologie i praktyki językowe odegrały zaś pierwszorzędą rolę w zupełnie innej nowoczesności, którą starał się zbudować Herder i która – jak sugeruje Benedict Anderson – zaludniała terytoria obywatelami o tożsamości narodowej, a świat państwami narodowymi<sup>1</sup>. Tak więc pisarze oraz politycy w Europie mieli do wyboru dwa rozbieżne i wpływowe modele języka i nowoczesności. Oba podejścia kształtowały porządek społeczny i dostarczały dyskursywnych wzorców jego tworzenia.

Bracia Grimm, Jacob (1785–1862) i Wilhelm (1786–1859), wyraźnie czerpali z myśli Herdera, przyjmując jego nacjonalistyczny projekt, który rozwinęli poprzez zapewnienie mu podstawy językowej i tekstowej. Opublikowane przez nich zbiory, w tym *Kinder- und Hausmärchen* (dalej *KHM*) – być może najsłynniejsze teksty „ludowe” wszech czasów – były kontynuacją Herderowskich prób ożywienia literatury niemieckiej przez umieszczenie w jej centrum *Volksdichtung* zebranej wśród marginalnego i zanikającego *das Volk*. Niemniej ich dążenie do unaukowania

---

Richard Bauman,  
Charles L. Briggs,  
*Unaukowanie tekstów  
w służbie narodu.  
Bracia Grimm i filologia  
germańska*,  
„Almanach  
Antropologiczny.  
Communicare” 2024,  
t. 9, s. 33–54.

i profesjonalizacji badań nad językiem i literaturą przywodzą na myśl dążenie Locke'a do oczyszczenia relacji między językiem a społeczeństwem. Przez wytworzenie napięcia między tymi odmiennymi ideologiami języka i metadyskursywnymi praktykami i przekształcenie tekstów w narzędzia silnie oddziałujących hybryd, zapewnili badaniom nad językiem i literaturą wernakularną istotne miejsce wśród schematów przedstawiania i naturalizowania nierówności społecznych, zarówno w obrębie „narodów”, jak i między nimi. Wkrótce po tym, jak Kant ogłosił program racjonalistycznego i uniwersalistycznego kosmopolityzmu, Grimmowie zapoczątkowali kosmopolityczną praktykę, która przyswoiła prowincjonalizm oraz nacjonalizm jako swoją podstawę dyskursywną. Trwałym dziedzictwem Grimmów jest oddziaływanie szczególnych schematów hybrydyzacji, których byli oni orędownikami, a ich prace pozwalają dostrzec, jak sprzeczności między ideologiami językowymi i praktykami tekstowymi mogą pomóc w podtrzymaniu nowych schematów strukturyzacji czasu, przestrzeni i społeczeństwa. Pisma Grimmów wyjątkowo jasno ukazują, w jaki sposób Europejczycy mogli zdeprovincjonalizować swoje wyidealizowane autoprezentacje, nie przez przypisywanie im uniwersalności, lecz właśnie przez uznanie ich prowincjonalności.

### **Romantyzm, scjentyzm i autorytet tekstu**

Jacob Grimm ogłosił ów syntetyczny program w pracy *O pochodzeniu języka* (1851), zainspirowany przez Friedricha Schellinga, który wezwał do ponownego rozważenia kwestii poruszanej w *Rozprawie o pochodzeniu języka* Herdera (1787)<sup>2</sup>. Na samym początku swojego eseju Grimm przyznaje badaniu języka status nauki, a kluczowe znaczenie w tym obszarze przypisuje oczyszczaniu. Odnosząc się do rozwoju badań lingwistycznych w ciągu osiemnastu lat, które minęły od powstania nagrodzonego [przez Królewską Akademię Nauk w Berlinie – przyp. tłum.] eseju Herdera, Jacob stwierdza, że „wszystkie podejmowane dziś badania nad językiem rozpoczynają się z dogodniejszego miejsca i dysponują lepszymi środkami niż wówczas. Można powiedzieć, że dopiero w naszym stuleciu zyskały one status prawdziwej nauki”. Zdaniem Jacoba celem pracy lingwistów w obszarze filologii klasycznej było uchwycenie ducha zachowanych greckich i łacińskich „zabytków” literatury bez zwracania szczególnej uwagi na „wzajemne relacje między obydwoma językami” lub „wewnętrzna tkanka języka samego w sobie”, jego „wewnętrzną strukturę” bądź też „przemiany historyczne”<sup>3</sup>. Jacob podkreśla, że w językoznawstwie, podobnie jak w badaniu zjawisk naturalnych w ogóle, rozwój prawdziwej nauki następuje wraz z przeniesieniem uwagi z celów praktycznych na nieograniczone i bezstronne badanie zjawisk we właściwych im kategoriach. Do takiego właśnie przesunięcia w badaniach nad językiem doszło jego zdaniem w pierwszej połowie XIX wieku. Aby stać się badaczem języka, uczony musi przyjąć Locke'owską postawę bezstronności. Jacob powiązał badanie tradycji z *Naturwissenschaften* stojącymi w opozycji do *Geisteswissenschaften*<sup>4</sup>, dystansując się tym samym od bardziej humanistycznej i filologicznej koncepcji Herdera. Podczas gdy w *Geisteswissenschaften* interpretacja tekstów była raczej uważana za cel sam w sobie, w podejściu propagowanym przez Jacoba Grimma tekstom przyznano status narzędzi służących szerszym celom analitycznym i historycznym. Badanie języka trzeba oczyścić z wszelkich powiązań z innymi sposobami dociekania i odmianami naukowego autorytetu – zwłaszcza jeśli to powiązanie miałyby polegać na podporządkowaniu. W ten sposób oczyszczanie języka zaczęło w połowie XIX wieku pełnić dodatkową funkcję, polegającą na wyodrębnianiu autonomicznych obszarów specjalistycznej wiedzy.

Roszczenie sobie prawa do odrębnej formy autorytetu naukowego wiązało się z koniecznością określenia odrębnego przedmiotu dociekań. Skoro językoznawstwo miało być nauką analogiczną do badań przyrodniczych, to przedmiot ten należało rozumieć jako naturalny i istniejący niezależnie od społeczeństwa. Mimo że podążał za Lockiem, Grimm inaczej rozłożył akcenty, konstruując język jako architektonikę skupioną wokół treści fonologicznych i gramatycznych, a nie tylko semantycznych. W przeciwieństwie do Herdera, który uważał, że gramatyka wyrosła na fundamencie leksyki, Grimm uznał ją za element kluczowy – głównym przedmiotem badań stała się dla niego „wewnętrzna tkanka” czy też „wewnętrzna struktura” języka. Przedstawiając historię tego, w jaki sposób nauka zaczęła postrzegać język jako odrębną sferę, Grimm wskazuje

na siłę oddziaływania typowego orientalistycznego tropu: „Doskonałość i potężne prawo sanskrytu, choć otworzyły już drzwi do jednej z najstarszych i najbogatszych poezji, w rzeczywistości stanowiły zaproszenie do zapoznania się z nim dla niego samego”<sup>5</sup>. Opisując zainteresowanie tą „wewnętrzną strukturą” jako coś, co odkryto, a nie wynik decyzji, Grimm naturalizuje redefinicję języka. Pozostał jednak drażliwy problem – jak oddzielić język od społeczeństwa w duchu Locke’a tak, by nie stracił on wartości dla herderowskich projektów nacjonalistycznych, którym Grimmowie pozostali wierni.

Zamiast usiłować narzucić oddzielenie języka od społeczeństwa, Grimm łączy go początkowo z ewolucjonistyczną wizją społeczeństwa. U podstaw tego, w jaki sposób Jacob rozumie pochodzenie języka, leży kluczowe założenie, że język jest przede wszystkim narzędziem myśli i że umiejętność myślenia jest podstawową zdolnością, która czyni nas ludźmi. Pochodzenie i rozwój języka są zatem ściśle związane z możliwościami języka jako nośnika myśli. „Człowiek jest nazywany człowiekiem nie tylko dlatego, że myśli – człowiek jest człowiekiem, ponieważ myśli, i mówi, ponieważ myśli. Ten bardzo bliski związek między jego zdolnościami do myślenia i do mówienia wskazuje nam i poświadcza przyczynę i źródło jego języka”<sup>6</sup>. Współczesny Grimmowi Wilhelm von Humboldt podobnie podkreślał związek między językiem, mową i myślą<sup>7</sup>. Wychodząc od tej koncepcji pochodzenia i funkcji języka, Jacob postrzega jego późniejszą ewolucję jako proces, w którym język i myśl rozwijają się wspólnie, przy czym przemiany języka są kształtowane przez postępujący rozwój myśli logicznej i abstrakcyjnej – czyli rozumu.

Ta ścisła relacja [języka z mową i myślą – przyp. tłum.] nie oznaczała jednak rezygnacji z autonomii języka bądź autorytetu lingwisty. Grimm podejmuje się zadania rekonstrukcji języka, pytając retorycznie: „Czyż gatunki języka nie przypominają gatunków roślin, zwierząt, a nawet samych ludzi ze względu na niemal nieskończone odmiany ich zmiennej formy?”<sup>8</sup>. Charakter dociekań jest taki sam: „To bowiem jest właśnie prawdziwym wyznacznikiem nauki, że zarzuca ona sieć na wielowymiarowe zjawiska i wylapuje, umiejscawia i poddaje każdą uchwytną właściwość rzeczy najwnikliwszemu badaniu, niezależnie od tego, jaki miałby być jego wynik”<sup>9</sup>. Język zachowuje jednak swoją autonomię i nie zostaje podporządkowany naukom przyrodniczym, ponieważ jego „wewnętrzna struktura” różni się zdecydowanie od zasad porządkowania, które zostały wypracowane dla roślin i zwierząt. Poszczególne języki są wyodrębnione jako osobne wszechświaty dociekań, co czyni z nich ograniczone byty – takie wyobrażenie języka będzie z pewnością użyteczne dla powstających projektów nacjonalistycznych. Objaśnienie właściwości każdego z języków stało się podstawowym zadaniem nauki. Odnosząc się do tego, Grimm rozwijał swoją metafizykę języka i twierdził, że „specyfika poszczególnych języków zależy zatem od miejsca i czasu, w którym urodzili się i wychowali ci, którzy ich używają. Miejsce i czas są przyczyną wszelkich przemian ludzkiego języka”<sup>10</sup>. Unaukowanie języka obejmuje zatem opracowanie praktyk osadzenia go w czasie i przestrzeni, stworzonych specjalnie w celu nakreślenia różnic językowych w oparciu o względne oddalenie danego języka od współczesnych języków europejskich. Konkurs na esej umożliwił Jacobowi Grimmowi, który odegrał znacznie ważniejszą rolę w przekształceniu ideologii języka i praktyk analizy lingwistycznej niż jego brat, zaprezentowanie globalnej kartografii języków.

Schemat temporalizacji Grimma był na wskroś modernistyczny i uwzględniał nieciągłości, które określały ograniczone typy językowe. Owe nieciągłości zostały zdefiniowane w oparciu o Herderowską dychotomię, która przeciwstawia zmysłowy charakter języka i jego „doskonałość formy”, „formacyjną kompletność”<sup>11</sup> postępującemu rozwojowi logicznej i abstrakcyjnej myśli – rozumowi. Te przeciwstawne tendencje tworzą kontinuum, w którym wszystkie znane języki mieszczą się pomiędzy skrajnościami:

Oba kierunki nie są bynajmniej ze sobą wyraźnie sprzeczne, a wszystkie języki przejawiają się w różnych podobnych, choć nieporównywalnych postaciach. Do redukcji formy doszło już nawet np. w językach gockim i łacińskim. Zarówno dla jednego, jak i drugiego języka możemy ustalić wcześniejszą, starszą i bogatszą, formę. [...] Innymi słowy, mówiąc ogólnie, nie da się ustalić historycznie, kiedy osiągnięto szczyt w kształtowaniu starszego języka. Także przeciwne temu intelektualnie wyrafinowane stanowisko wciąż jeszcze nie znalazło potwierdzenia. Nie stanie się tak jeszcze przez bardzo długi czas<sup>12</sup>.

Po nakreśleniu tego kontinuum rozwojowego Grimm wyróżnia trzy stadia języka: „język najstarszy”, „język średni” oraz „język nowożytny”. Jeśli chodzi o język najstarszy, „jest on prosty, naturalny, pełen życia. [...] Słowa są krótkie, jednosylabowe, prawie wszystkie utworzone z krótkich samogłosek i prostych spółgłosek. [...] Wszystkie pojęcia wyrastają z perspektywy zmysłowej” – to ponownie echo myśli Herdera – „która sama była już myślą, z której światło i nowe myśli wyłaniają się z każdej strony”. Niemniej „w myśli tego języka nie ma nic trwałego, nieprzemijającego. Dlatego ów najwcześniejszy język nie wznosi jeszcze żadnych pomników ducha” – nie tworzy żadnej wielkiej literatury – „i zanika jak szczęśliwe życie owych najdawniejszych ludzi, nie pozostawiając śladu w historii”<sup>13</sup>. Mamy tutaj do czynienia z drugą zasadą temporalizacji, która odnosi się do zdolności języka do generowania takich form językowych, które pozwolą mu zyskać większą przestrzeń w szerszych, ewolucyjnych ramach czasowych. Druga zasada zgrabnie wymazuje przemoc ze strony kolonializmu i imperializmu – jeśli języki i literatury znikają z historii, mogą za to winić tylko siebie. W takiej optyce ludobójstwo oraz tłumienie języków i kultur nie wpływają na kształtowanie historycznych trajektorii.

W języku średnim „zamiast dominujących pojęć wyróżniających, zmniejszenia zmysłowej mocy języka oraz nieograniczonych ciągów słów, powstają dobroczynne zespolenia i przerwy. Dzięki nim to, co istotne, odróżnia się od tego, co przypadkowe, a to, co dominujące, od tego, co podrzędne. Słowa stają się dłuższe i wielosylabowe. [...] Cały język jest wprawdzie nadal bogaty pod względem zmysłowym, lecz staje się potężniejszy na poziomie myśli. We wszystkim, co się z tym wiąże, elastyczność fleksji dostarcza ożywionych i uregulowanych wyrażen, które szybko się upowszechniają”<sup>14</sup>. Charakteryzując języki nowożytne, Grimm ucieka się w dużej mierze do reifikacji, przypisując językowi sprawczość i wolę w przebiegu jego rozwoju.

Teraz jednak, kiedy istotnie uważa się, że cała natura człowieka, a w konsekwencji i jego język są w stanie nieustającego, niepowstrzymanego wznoszenia się – pisze – prawo tego drugiego okresu rozwoju języka nie mogło obowiązywać wiecznie, ale musiało ustąpić dążeniu do coraz większej wolności myśli. Nawet wdzięk i siła ukończonej formy zdają się tę swobodę ograniczać. [...] Duch języka dążył do uwolnienia się od ograniczeń obywatelskiej w istocie formy. [...] Można żałować, że czystość całego systemu dźwiękowego uległa pogorszeniu, niemal zachwianiu. Ale nikt nie zaprzeczy, że powstałe tony pośrednie przyniosły nieoczekiwane nowe środki, które można było wykorzystać z największą swobodą. Takie zmiany dźwięku przesłaniają bryłę korzeni [*mass of roots*]. Odtąd korzenie te są stale utrzymywane już nie w swoim pierwotnym znaczeniu zmysłowym, ale wyłącznie służąc abstrakcyjnym ideom<sup>15</sup>.

W ten sposób przechodzimy od prostego, ale formalnie doskonałego języka, który jest zakorzeniony w zmysłowej myśli, do języka, który jest bardziej złożony pod względem leksykalnym, gramatycznym i fonologicznym oraz pełen formalnych nieregularności, za to znacznie lepiej przystosowany do wyrażania abstrakcyjnych idei. Najwcześniejszy etap jest hipotetyczny, ale możemy zrekonstruować jego przebieg, rzutując wstecz prawa zmian odkryte podczas badania późniejszych form.

Ostatnio wiele napisano na temat centralnej roli kartografii w kolonializmie, imperializmie i nowoczesności<sup>16</sup>. Rzekomo obiektywne i uniwersalne kryteria pozwoliły mocarstwom europejskim narzucić swoje autoreprezentacje jako miary umożliwiające porównywanie wszystkich części świata pod względem stopnia, w jakim rzekomo ograniczone i autonomiczne narody odbiegały od elitarnego modelu. Poprzez konstruowanie ograniczonych i odrębnych języków posiadających „wewnętrzzną jedność”, którą potrafił rozpoznać i porównać z innymi tylko naukowiec zajmujący się lingwistyką, można było zaproponować nową globalną kartografię. Pozycję każdego „narodu” można było określić w kategoriach stopnia abstrakcyjności i racjonalności jego języka, mierzonych niezależnie od innych form społecznych. Kartografia ta była jednak szczególnie użyteczna w przypadku projektów kolonialnych, ponieważ struktury językowe zarówno zakładają z góry określone sposoby myślenia, jak i je umożliwiają. Gdy uczone chwali zmysłową moc i formalną kompletność języka, dostarcza jednocześnie podstaw

do tego, by uznać używających go ludzi za zdolnych do abstrakcyjnego, racjonalnego myślenia – a tym samym być może do samorządności. Wilhelm von Humboldt umieścił to kartograficzne zadanie w centrum swojego programu naukowego, badając szczegółowo każdy język, dla którego mógł pozyskać dokumentację. Koncepcję, zgodnie z którą „wewnętrzna potrzeba człowieka”, by tworzyć język, stanowi rzecz „leżącą w samej naturze człowieczeństwa, niezbędną do rozwijania jej sił umysłowych i zyskiwania światopoglądu”<sup>17</sup>, przyjął w swoich publikacjach za punkt wyjścia do porównywania języków i narodów. Podczas gdy von Humboldt spowił te porównania w retorykę intuicji estetycznej<sup>18</sup>, Grimmowie podnieśli je do poziomu odrębnej nauki. Rozwinęli w ten sposób myśl Herdera, która była głęboko zakorzeniona w badaniach filologicznych. Przekształcenie logiki organicznej Herdera w metodę formalną przydało konstrukcji ograniczonych i odrębnych całości językowych [*linguistic wholes*], właściwych poszczególnym narodom, naukowej legitymacji i stworzyło pozory politycznego dystansu. Logika temporalna, którą przesiąknięty był ten organicyzm, zachęcała również do dokonywania naukowych porównań między zasadami formalnymi występującymi w różnych językach, tym samym umieszczając wyobrażone wspólnoty językowo-społeczne na hierarchicznie zorganizowanej globalnej skali ewolucji, której oś rozciągała się od formalizmu zmysłowego do logiki abstrakcyjnej.

Idea Grimmów, aby dokonać zmiany pozycjonowania języka, wymagała jego oczyszczenia, zerwania jego związków ze społeczeństwem, podkreślanych przez Herdera. Łącząc język z mową i myślą, Jacob dopuścił jednocześnie istnienie form hybrydowych, w których wzorce językowe mogły być powiązane z narodowymi predyspozycjami poznawczymi, a następnie usytuowane w różnym oddaleniu czasowym i przestrzennym. To, co uchodziło za liberalną pochwałę formalnej elegancji literatury i języka, mogło zatem pośrednio stanowić uzasadnienie dla podporządkowania politycznego jej twórców i ich potomków.

## — Teksty jako pośrednicy między nauką a społeczeństwem

Chociaż esej Jacoba stanowi cenne źródło informacji na temat jego ideologii języka, quasi-filozoficzne refleksje dotyczące pochodzenia języka nie zajmowały centralnego miejsca w programie badawczym Grimmów. Oprócz prowadzenia badań historycznych i porównawczych, bracia wiele czasu poświęcili tworzeniu słowników i gramatyk, a także dobrze znanych zbiorów legend, eposów i baśni. Jak na ironię – choć nie jest to zaskakujące dla czytelników Latoura<sup>19</sup> – teksty wykorzystywane przez Grimmów do oczyszczenia języka i tradycji jako obiektów naturalnych stanowiły formy hybrydowe o zasadniczym znaczeniu dla ustanowienia powiązań między językiem a tradycją i polityką. Te sieci powiązań nadal kształtują sposób, w jaki konstruowane są tożsamości narodowe i formy nierówności społecznych w „nowoczesnych” państwach narodowych.

Grimmowie często używają botanicznych analogii, przedstawiając tradycję jako pokrewną naturze – jako *Naturpoesie*: „Legends [podobnie jak drzewa – przyp. aut.] pozwalają naturze chronić organizmy w procesach odwiecznego samoodnawiania się. Jeden człowiek nie jest w stanie wymyślić podstaw i funkcjonowania [ludowego – przyp. aut.] wiersza. Ten, kto próbowałby to zrobić, strwoniłby energię równie bezowocnie, jak gdyby starał się stworzyć nowy język”<sup>20</sup>. Ponieważ dzieła wernakularne są jak organizmy określonego gatunku, ich ewolucja jest kształtowana przez „Cechy ich unikatowej „wewnętrznej jedności”, a nie przez szersze czynniki naturalne lub społeczne. Jednocześnie jednak *Naturpoesie* jest w szczególności sposób zakorzeniona we wspólnotach społecznych, co Jacob podkreśla we wczesnym liście do Achima von Arnima, napisanym w 1811 roku, w którym odnosi się do Herderowskiego rozróżnienia na *Naturpoesie* i *Kunstpoesie*:

poezja ludowa wyrasta z duszy całej społeczności (*das Ganze*). To, co nazywam poezją artystyczną (*Kunstpoesie*), pochodzi od jednostki. Dlatego nowa poezja ma swoich poetów, a dawna nie może wskazać żadnego. Nie została stworzona przez jednego, dwóch czy trzech ludzi, lecz jest owocem działania całej społeczności. [...] Dawna poezja jest dokładnie taka sama jak dawny język – prosta i jedynie sama w sobie bogata. [...] Nowy język stracił

niewinność i stał się pozornie bogatszy, ale [...] niekiedy wymaga większego przygotowania, aby wyrazić proste zdanie. [...] W poezji artystycznej, czy jakkolwiek zechcesz to nazwać, widzę zatem to, co określam jako przygotowanie. [...] W poezji naturalnej jest coś, co emanuje z niej samej<sup>21</sup>.

W tym wypadku oczyszczanie i hybrydyzacja lub zapośredniczenie idą w parze. *Naturpoesie* nie jest kształtowana przez siły społeczne, „emanuje z siebie samej”, ale w przeciwieństwie do *Kunstpoesie* jest bezpośrednio związana z tradycyjnymi społecznościami.

Podobnie jak Herder, Grimmowie ujęli tę poetycką emanację w kategoriach przestrzennych i czasowych. W schemacie rozwoju zaproponowanym przez Jacoba do ekspresji poetyckiej najlepiej nadawała się faza środkowa. Na tym etapie „widzimy język najlepiej dostosowany do metrum i poezji. Dla nich piękno, harmonia i wymiennosc form są niezbędne, nieodzowne. Poezja indyjska i grecka wyznaczają szczyt osiągnięty we właściwym momencie – są nim nieśmiertelne dzieła, które później były już nieosiągalne”<sup>22</sup>. *Naturpoesie* znajduje się zatem w znacznym oddaleniu przestrzennym i czasowym od współczesnej Europy. Dla Herdera poezja była nieodłącznym elementem języka od momentu jego powstania, nawet jeśli języki na pewnych etapach rozwoju mogą być mniej lub bardziej odpowiednie do tego celu. Grimm uważał, że język „powstał bezpośrednio z ludzkiego myślenia, dostosowując się do niego i dotrzymując mu kroku [...], stał się wspólną własnością i dziedzictwem wszystkich ludzi. [...] Poezja, muzyka i inne sztuki są własnością tylko ludzi uprzywilejowanych. Język należy do nas wszystkich”<sup>23</sup>. Przypomnijmy, że wykluczenie przez Locke’a poetyki z uniwersalnego rdzenia języka posłużyło mu jako uzasadnienie twierdzenia o jej marginalności dla dociekań i życia społecznego – a nawet wezwania do jej odrzucenia. To pozbawienie poetyki jej uniwersalnego statusu nie skłoniło jednak Grimma do przesunięcia jej na bardziej peryferyjną pozycję. Poetyka była raczej częścią języka, a zatem naturalnym artefaktem, który można było poddać badaniom naukowym i autorytetowi eksperta. Ponieważ teksty charakteryzowały się taką swoistością, mogły reprezentować określone klasy społeczne, narody i okresy historyczne. Jako reprezentacja narodu we wspólnocie narodów teksty wernakularne mogły stać się głównymi narzędziami zarówno projektów nacjonalistycznych, jak i kosmopolitycznych.

Kluczowym krokiem w zmianie pozycji poetyki względem nauki, społeczeństwa i nowoczesności było uprzywilejowanie pewnych gatunków i praktyk metadyskursywnych. Łącząc poezję z językiem na jego środkowym etapie, Jacob ma na myśli poezję jako wiersz. W innych kontekstach Grimmowie używają terminu *Poesie* w bardziej ogólnym sensie form sztuki słowa. Braci nie interesowała jednak *Poesie* w ogóle czy wiersz w szczególności; kodyfikując bardziej subtelne rozróżnienia między gatunkami, wyodrębnili oni aspekty tradycyjnych gatunków, czyli *Naturpoesie*, jako ogniska badawcze dla nacjonalistycznej poetyki; epika oraz inne formy narracyjne stanowiły zbiorową ekspresję narodu, podczas gdy poezja liryczna – prywatna i osobista – pozostawała na uboczu ich rozważań<sup>24</sup>. Epika była przedmiotem szczególnego zainteresowania, ponieważ, jak stwierdził Jacob, „ze wszystkich rodzajów poezji, zgodnie z ich naturalnymi skłonnościami i rozwojem, epos jest najbliższy pod względem czasu i istotności początkom języka”<sup>25</sup>. Eposy, wraz z *Märchen* (niem. baśnie) i legendami, nad którymi bracia tak intensywnie wspólnie pracowali, były uprzywilejowanymi obiektami naukowymi, ponieważ ukazywały wyraźniej wzorce językowe, stanowiąc jednocześnie kwintesencję hybryd, a więc form tekstowych ucieleśniających naród. Konstruowanie pojęcia pochodzenia i wiązanie go z konkretnymi formami stanowiło kluczowy sposób oczyszczania tradycji. Chociaż tradycje mogły zostać później skażone – to znaczy zmieszane z nowoczesnymi formami – ich „źródła” pozostawały czyste i autonomiczne.

Istotnym elementem oczyszczających działań Grimmów było utarte pojmowanie tradycji jako zanikającej i niezdolnej do przetrwania naporu nowoczesności. Każde współczesne wcieleństwo poetyki wernakularnej było zatem pełne błędów i niekompletne, co wynikało z oddalenia od środkowego okresu rozwoju i niszczycielskiego ataku nowoczesności. W przedmowie do pierwszego tomu pierwszego wydania *KHM* (1812) Grimmowie piszą: „kiedy przeglądamy bogactwo niemieckiej poezji z dawnych czasów, odkrywamy, że nic z niej nie przetrwało, nawet pamięć o niej zaginęła – jedyne, co z niej pozostało, to pieśni ludowe i te niewinne domowe opowieści”<sup>26</sup>. Podczas zbierania [materiałów – przyp. tłum.] zostaje wyznaczona granica między nowoczesnością



a tradycją, ale wydaje się ona chwiejna z uwagi na ogromną dysproporcję widoczną w tym gwałtownym spotkaniu. Grimmowie często i z nutą romantyzmu wspominają o skutkach przemocy nowoczesności: „Stale poszukując wszystkiego, co rzeczywiście **pozostało** z tej poezji”<sup>27</sup>, czują się zobowiązani do spisania każdej opowieści wywodzącej się z wcześniejszych form<sup>28</sup>. Podobna motywacja stała za powstaniem *Legend niemieckich* (1816–1818): „To, co byliśmy jeszcze w stanie zawrzeć w naszym zbiorze, przedstawia się jasno jako jedynie wyjałowione i fragmentaryczne pozostałości tego, co było niegdyś potężnym skarbem niemieckiej poezji ludowej”<sup>29</sup>. Z punktu widzenia swojej wyobrażonej kartografii Grimmowie opuszczają centrum nowoczesności, naukową, elitarną i miejską przestrzeń, aby wkroczyć do autonomicznego, istniejącego wcześniej tradycyjnego świata. Kształtująca się w ten sposób mapa nadaje również wymiar przestrzenny narodowi niemieckiemu w oparciu o metafizykę tradycyjnej obecności. Obszary takie jak Hesja zostały uznane za bliżej związane ze swoimi tradycyjnymi korzeniami. Nostalgiczna retoryka Grimmów sugeruje, że mogliby oni przekroczyć przepaść epistemologiczną i społeczną, by stanąć solidarnie z ludem, ubolewając nad okrutnym sposobem, w jaki został on potraktowany przez nowoczesność – oczywiście nie tracąc przy tym swojego statusu nowoczesnych podmiotów. Jeśli jednak członkowie *das Volk* przekroczą tę granicę, nie ma już dla nich odwrotu. Stracą oni swoje prawowite miejsce w tradycji. Grimmowie stają się w ten sposób złożonymi podmiotami, zdolnymi do przyswajania wielu punktów widzenia i zajmowania różnych punktów w kartografii czasoprzestrzennej lub chronotopowej<sup>30</sup>. Członkowie *das Volk* mogą zaś zamieszkiwać tylko jedną lokalizację czasoprzestrzenną – Grimmowie konstruują ich jako podmioty jednowymiarowe.

Mogłoby się wydawać, że przedstawianie tradycyjnych tekstów jako fragmentarycznych i ulotnych podważyłoby pozycję naukową ich zwolenników i zmniejszyło wartość tych artefaktów kulturowych dla nowoczesnych projektów nacjonalistycznych. Uważamy jednak, że ta nostalgiczna retoryka **zwiększyła** raczej ich wartość na rynku tekstów. Grimmowie utrzymali herderowskie odwrócenie moralnej wartości dychotomii tradycja/nowoczesność. Ponieważ tradycja ucieleśniała męskość narodu, która czyniła go kreatywnym, potężnym i spójnym, a równocześnie nowoczesność te cechy podważała, upadek tradycji nie tylko był godny ubolewania, ale zagrażał przyszłości nowoczesnych narodów i projektów budowania państwa. Jeśli formacja kulturowa, którą społeczeństwo w dużej mierze utraciło, zachowała się jedynie w pamięci, to osoby specjalizujące się w odnajdowaniu tych przedstawień, nadawaniu im formy tekstu pisanego i dostarczaniu wskazówek, w jaki sposób powinno się je wprowadzić ponownie do obszarów społecznych nowoczesności, miały do odegrania istotną rolę w uzdrowieniu narodu. W ten sposób Grimmowie wynieśli się sami do rangi ekspertów i poprzez przypisanie sobie prawa do decydowania o przekształcaniu pamięci w teksty skonstruowali swój sposób produkcji wiedzy o podstawowym znaczeniu politycznym i społecznym, a także naukowym.

## Ideologie tekstu i praktyki metadyskursywne

Skoro można powiedzieć, że naród niemiecki stanowił naród tekstualny, to w jaki sposób teksty mogły stać się rzadkim zasobem i przedmiotem indywidualnych roszczeń do autorytetu? Grimmowie odeszli tutaj od modelu, który Herder przedstawił w *Volkslieder*, uznając umiejętność zbierania i redagowania tekstów za specjalność naukową. Dobrym przykładem stosunku braci do gromadzenia materiałów, które było, ich zdaniem, motywowane bardziej względami literackimi i estetycznymi niż naukowymi, są spory z przyjaciółmi Clemensem Brentano i Achimem von Arnimem (1805), z którymi współpracowali podczas pierwszych prób zbierania bajek ludowych. Zwłaszcza Brentano robił tylko pospieszne notatki na temat wysłuchanych opowieści, a później nie był zbyt skrupulatny w zapisywaniu szczegółów. Grimmowie uważali, że opublikowane wersje powinny być jak najbardziej kompletne i że nie należy niczego do nich dodawać ani odrzucać wersji o mniejszej wartości estetycznej<sup>31</sup>.

Uzasadniając swoją własną praktykę, Grimmowie stworzyli model stałości i wierności tekstu w przekazie wernakularnym, czasami określanej jako *Echtheit*, „autentyczność”. Jacob komentował: „[Nawet] jeśli te liczne pisemne pamiętki pozostawiły nam, że się tak wyrażę, tylko rozmaite «kości i stawy» naszej dawnej mitologii, to wciąż czujemy jej żywy oddech tchnący z ogromnej liczby opowieści i zwyczajów przekazywanych z ojca na syna na przestrzeni wieków.

Z jaką wiernością się rozpowszechniają, jak doskonale uchwytują i przekazują potomnym zasadnicze cechy bajki<sup>32</sup>. Zwróćmy uwagę na patriarchalne zakorzenienie tradycji na wzór Herdera, w przeciwieństwie do jej feminizacji dokonanej przez Johna Aubreya. Twierdzenie, że *Naturpoesie* adaptuje się do nowoczesności, wiąże się z odtworzeniem tej tekstowej mimesis zarówno podczas zbierania, jak i redagowania. Jacob kontynuuje: „Jednak baśń ludową trzeba zbierać lub zrywać delikatnie. Chwyć ją zbyt gwałtownie, a zwinie swoje liście i skryje swój najcenniejszy zapach. Tkwią w niej takie pokłady obfitego rozwoju i rozkwitu, że nawet przedstawiona w stanie niekompletnym zachwyca nas swoją wrodzoną urodą, a jakikolwiek obcy dodatek zniekształciłby ją i zesześcił”<sup>33</sup>. Jego zdaniem to sama tradycja opiera się zmianom: „Wydaje się, że natura skłania każdy naród do izolowania się, aby pozostawał nieskażony przez obce elementy”<sup>34</sup>. Praktyka badawcza odzwierciedla więc charakter jej naturalnego przedmiotu.

Grimmowie twierdzili, że przy tworzeniu *KHM* kierowali się taką właśnie ideologią. W przedmowie do pierwszego tomu pierwszego wydania napisali: „Staraliśmy się zebrać te opowieści w tak czystej formie, jak to tylko możliwe. [...] Nie dodaliśmy, nie ubarwiliśmy ani nie zmieniliśmy żadnych szczegółów, ponieważ nie chcieliśmy rozbudowywać już i tak bogatych historii poprzez dodawanie analogii i aluzji – nie można ich bowiem wymyślać”<sup>35</sup>. Nieco inaczej swoje praktyki metadyskursywne bracia opisali w przedmowie do drugiego wydania, które ukazało się w 1819 roku: „Jeśli chodzi o sposób, w jaki zbieraliśmy materiały, liczyły się dla nas przede wszystkim ścisłość i prawda. Nie dodawaliśmy niczego z własnych zasobów ani nie ubarwialiśmy żadnych wydarzeń i cech samej historii. Zamiast tego staraliśmy się oddać treść dokładnie tak, jak ją usłyszeliśmy; nie musimy chyba podkreślać, że dobór słów i wprowadzone szczegóły są głównie naszym dziełem, ale staraliśmy się zachować każdą specyficzną cechę, jaką zauważyliśmy, aby pod tym względem zbiór odzwierciedlał różnorodność natury”<sup>36</sup>. W tym wypadku „treść” i „dobór słów” są wyraźnie rozróżnione i zhierarchizowane, tak że dopuszczalna staje się zmiana tego drugiego, ale już nie tej pierwszej. Do opisanie pożądaną relacji między tekstami drukowanymi a źródłami Grimmowie używają wartościujących i często quasi-moralnych terminów, takich jak: „ściskość”, „prawdziwość”, „ubarwienie” oraz „utrwalenie”. W innym miejscu, opisując sposób, w jaki teksty pisane powinny odnosić się do swoich domniemanych źródeł ustnych, bracia używają takich określeń, jak „czystość”, „wierność” oraz „utrzymanie”. Nie pochwalają natomiast tekstów, które zostały „ubarwione”, „zmienione”, „rozszerzone” lub „wzbogacone”.

Niemniej ta ideologia tekstu szła w parze z praktykami metadyskursywnymi, które przekształcały opowieści na wiele sposobów. Praktyki te można przeanalizować na podstawie obszernej literatury dotyczącej tekstowych i stylistycznych wymiarów *KHM*<sup>37</sup>. Zachowany rękopis z 1810 roku zawierający kilka tekstów<sup>38</sup>, a także siedem pełnych wydań *KHM* dają obraz transformacji stylistycznych, które leżą u podstaw metadyskursywnych praktyk Grimmów.

Jedną z najważniejszych zmian było dodanie mowy niezależnej (cytowanie wypowiedzi bohaterów). Weźmy na przykład fragment z *Przygód Paluszka*, w którym Tomcio Paluch spotyka w lesie rabusiów<sup>39</sup>. W rękopisie zanotowano po prostu:

Zlecają mu, by wślizgnął się do skarbcza i wyrzucił im pieniądze przez okno.

To samo zdanie przyjmuje w pierwszym wydaniu formę mowy wewnętrznej:

A kiedy widzą małego krawca, myślą sobie: może nam się bardzo przydać, porozmawiaj z nim, powiedz mu, że dobry z niego chłopak.

Jak to często bywa, w drugiej edycji pojawia się mowa niezależna (cytat z wypowiedzi):

Kiedy zobaczyli małego krawca, pomyśleli: taki głupiec może nam się bardzo przydać. – Hej tam, zawołał jeden, ty, twardzielu, czy chcesz iść z nami do skarbcza?

Proces ten obejmuje nie tylko dodanie mowy niezależnej, lecz także ujęcie tych fragmentów w cudzysłów<sup>40</sup>. Wrażenie autentyczności jest również wzmocnione przez przywołanie

specyficznego sposobu zwracania się do bohatera: „ty, twardzielu”. Siódme i ostatnie wydanie ujmuje mowę wewnętrzną w cudzysłów i wyraźnie oddziela drugi cytat od wplecionej w niego narracji:

Kiedy zobaczyli małego krawca, pomyśleli: – Taki mały człowiek może precyzyjnie się przecisnąć przez dziurkę od klucza i posłużyć nam jako wytrych. – Hej tam – zawołał jeden z nich – ty, olbrzymi Goliacie, czy chcesz iść z nami do skarbcza?

Ostatni przykład ilustruje wykorzystanie mowy niezależnej do budowania postaci, które reprezentowały znane typy społeczne i służyły jako nośniki interpretacji moralnych. W cytatach zastosowano praktyki uprzestrzennienia i temporalizacji, oddalając sferę *das Volk* od klasy średniej, miejskiego, nowoczesnego środowiska Grimmów i ich czytelników.

Po drugie, Grimmowie czasem nadawali postaciom imiona, nawet jeśli w rękopisie z 1810 roku ich nie było. W niektórych przypadkach imiona te nie tylko zostały dodane do tekstu, ale stały się tytułem, pod którym dana opowieść była później znana. Na przykład Johannes-Wassersprung i Caspar-Wassersprung nie są wymienieni w rękopisie z 1810 roku. Uderzające jest to, że imiona „Hansel” i „Gretel” nie występują w rękopisie, w którym narracja o nich została zatytułowana *Braciszek i siostrzyczka*. Imiona te pojawiają się za to w zdaniu otwierającym opowieść w pierwszym wydaniu *KHM*<sup>41</sup>.

Po trzecie, Mieder<sup>42</sup> i Rölleke<sup>43</sup> szczegółowo opisali, w jaki sposób Grimmowie wykorzystywali swoją wiedzę o przysłowiach podczas redagowania baśni. Wilhelm Grimm stwierdził w przedmowie do szóstego wydania: „Cały czas starałem się wprowadzać ludowe powiedzenia i oryginalne figury retoryczne, na które zawsze zwracam baczną uwagę”<sup>44</sup>. Co ciekawe, jego żona Dortchen, która dostarczyła braciom wielu opowieści, również interesowała się przysłowiami. Nie tylko używała ich na co dzień, ale także miała swój udział w powstaniu zbioru przysłów Karla Shimrocka pt. *Die deutschen Sprichwörter*<sup>45</sup>. Podobnie jak cytowane wypowiedzi, przysłowia również pomagały wskazywać motywacje postaci i ich działań. W użyciu przysłów przez Grimmów podczas redagowania *KHM* widać zaskakującą cyrkularność. Z jednej strony występowanie w opowieści wyrażeni i powiedzeń przysłowiowych służyło im czasem jako kryterium oceny, czy dana narracja była „autentyczna”<sup>46</sup>. Z drugiej strony bracia dodawali przysłowia do tekstów, aby wzmocnić wrażenie ich tradycyjności i autentyczności. Poprzez dodawanie przysłów uczynili oni z *Märchen* gatunek „mieszany” lub „polifoniczny”<sup>47</sup>.

Po czwarte, jak przyznają sami Grimmowie, wiele opowieści powstało z połączenia fragmentów lub kilku krótszych narracji: „Różne historie, które uzupełniały się nawzajem i które można było połączyć bez konieczności usuwania sprzecznych fragmentów, zostały opublikowane jako jedna opowieść”<sup>48</sup>. Po starannym skompilowaniu w jedną narrację złożone relacje intertekstualne między komponentami stały się mniej czytelne<sup>49</sup>.

Piąty rodzaj transformacji stylistycznej obejmuje wzmocnienie tego, co językoznawcy nazywają spójnością, czyli powiązań między poszczególnymi częściami wypowiedzi lub tekstu<sup>50</sup>. Ellis<sup>51</sup> zwraca uwagę, że Grimmowie dodawali elementy, które bezpośrednio motywowały bohaterów do działania. Takie elementy wprowadzają również do narracji teorie działania i poczucie przednowoczesnego *Weltanschauung*. Innym skutkiem tych zmian jest ściślejsze splecenie elementów opowieści, zwłaszcza gdy związek między kolejnymi epizodami jest we wcześniejszych wersjach niejasny. Kolejna zmiana polega na tworzeniu symetrycznych powtórzeń działań i epizodów. Następujące po sobie wydarzenia, które w manuskrypcie z 1810 roku i/lub we wczesnych wydaniach opisane są w kontrastowy sposób, dzięki zastosowaniu paralelizmu stają się spójne. Spójność narracyjna baśni została ponadto znacznie zwiększona przez wzmocnienie tzw. linearności opowieści. Działania, które we wcześniejszych wersjach występowały od razu po sobie, zostały na późniejszym etapie podzielone na fazy składowe, zwłaszcza jako wielokrotności trójki, a każdy element wskazywał teleologicznie to, co ma nastąpić później. Oczywiście paralelizm i powtórzenia są powszechnie stosowanymi środkami narracyjnymi i byłoby niedorzecznością sugerować, że to Grimmowie je wymyślili. Wart uwagi jest natomiast sposób, w jaki bracia wykorzystali je do wydłużenia tekstów i nadania im bardzo konwencjonalnej, formularnej struktury, z której zresztą ich baśnie słyną.

Interesującym przykładem tego rodzaju równoległego opracowania jest opis uśpionego zamku w *Śpiącej Królownie*. Rękopis z 1810 roku opisuje początek stuletniego okresu bardzo prosto: „W chwili, kiedy król i jego dwór powrócili, wszystko w zamku zasnęło, nawet muchy na ścianach”. Fragment, w którym księżę szuka Śpiącej Królowy, nie zawiera opisów. Scena przebudzenia jest również zwięzła: „Wszystko obudziło się ze snu”<sup>52</sup>. Natomiast w szóstym wydaniu początkowa scena snu opisana jest następująco:

I sen ten ogarnął cały zamek: król i królowa, którzy właśnie wrócili do domu i weszli do sali, zaczęli zasypiać, a wraz z nimi cały dwór. Potem zasnęły konie w stajni, psy na dziedzińcu, gołębie na dachu, muchy na ścianie, nawet ogień, który płonął na palenisku, wygasł i zasnął, pieczone mięso przestało skwierczeć, a kucharz, który chciał wytargać za włosy kuchcika, ponieważ ten zaniedbał czegoś, puścił go i usnął. Wiatr ucichł, a na drzewach przed zamkiem nie poruszył się już ani jeden listeczek<sup>53</sup>.

Opis widoku, który wita księcia po wejściu do zamku, przypomina poprzedni fragment, z tym że częściowo odwraca kolejność elementów.

Na dziedzińcu zamkowym zobaczył śpiące konie i psy myśliwskie, na dachu siedziały gołębie z głowami schowanymi pod skrzydłami. A kiedy wszedł do środka, muchy spały na ścianie, kucharz w kuchni trzymał wyciągniętą rękę, jakby chciał złapać chłopca, a służąca siedziała przed czarną kurą, którą miała oskubać. Potem poszedł dalej i zobaczył w sali cały dwór pogrążony we śnie, a obok tronu leżeli król i królowa<sup>54</sup>.

Wreszcie, w scenie przebudzenia opis zostaje powtórzony po raz trzeci. Tutaj kolejność jest dokładnie taka sama jak w początkowej scenie snu, z wyjątkiem skubania kury przez służącą, które tam się nie pojawia:

Obudzili się król, królowa i cały dwór i spojrzeli na siebie zdumieni. A konie na dziedzińcu wstały i się otrząsnęły, psy myśliwskie skakały i merdały ogonami; gołębie na dachu wyjęły głowy spod skrzydeł, rozejrzały się i odleciały na pola; muchy na ścianach ruszyły naprzód; ogień w kuchni buchnął, zapłonął i upiekł mięso; pieczeń znów zaczęła skwierczeć; kucharz trzepnął chłopca w ucho tak, że ten krzyknął; a służąca skończyła skubanie kury<sup>55</sup>.

Powyższy przykład pokazuje, że Grimmowie dodawali takie paralelizmy i zwiększali spójność opowieści nie tylko na etapie pomiędzy powstaniem rękopisu z 1810 roku a pierwszym wydaniem *KHM*. Choć w pierwszym wydaniu widać już początki tego procesu, zmiany wprowadzające paralele pojawiają się w wydaniach od drugiego do szóstego.

Wspomniane przekształcenia tekstu wzbudziły kontrowersje. Niemniej, podobnie jak Linda Dégh<sup>56</sup> i Christa Kamenetsky<sup>57</sup>, Donald Ward broni Grimmów. Zauważa on, że „podczas gdy inni pisarze tej epoki swobodnie adaptowali twórczość ludową, wykorzystując ją jako podłoże dla własnego poetyckiego geniuszu, Grimmowie pozostali całkowicie wierni stylowi i etosowi baśni, nawet jeśli nie zawsze wiernie oddawali jej słowa”<sup>58</sup>. Podobnego zdania jest Joseph Campbell, który podkreśla, że wcześniejsi zbieracze materiałów „nie wahali się przetwarzać źródeł ludowych”, a twórcy antologii „układali, odnawiali i porządkowali” teksty, natomiast Grimmowie „wprowadzili mowę ludu bezpośrednio do druku”<sup>59</sup>. Alan Dundes nazywa z kolei metadyskursywne praktyki Grimmów tworzeniem *fakelore*<sup>60</sup>. Retoryka, której używa największy przeciwnik Grimmów, John M. Ellis<sup>61</sup>, jest szczególnie wymowna. Słownictwo quasi-moralne stosowane często przez Grimmów i ich obrońców stanowi tu podstawę do oskarżenia braci o „celowe oszustwo”, ponieważ „ukryli” oni nazwy źródeł<sup>62</sup>, co doprowadziło do powstania „ogromnej rozbieżności” między rękopisem z 1810 roku a pierwszym wydaniem<sup>63</sup>. Ellis dodaje, że Grimmowie nie zasługują na uznanie za dbałość o „prawdę i autentyczność”<sup>64</sup>, i stwierdza, że byli „zarówno bardziej leniwi, jak i znacznie mniej naukowo sumienni” w zbieraniu materiałów,

niż to przedstawiali<sup>65</sup>. W rezultacie Grimmowie wyrządzili „szkodę” opowieściom<sup>66</sup>, a ponieważ w swoich działaniach nie kierowali się „wiernością”<sup>67</sup>, byli winni „oszustwa i fałszerstwa”<sup>68</sup>. Ellis konkluduje, że „Grimmowie zdają się winni wszechobecnego zwyczaju bezmyślnego i nieskrępowanego majstrowania przy języku tekstów”<sup>69</sup>.

Najbardziej interesujące jest dla nas to, że zarówno obrońcy, jak i krytycy Grimmów podzielają te same założenia dotyczące natury praktyk metadyskursywnych i tego, jak należy je oceniać, co będziemy nazywać **obrazem wierności intertekstualnej**. Zgodnie z tym wyobrażeniem teksty powstałe w wyniku transkrypcji, tłumaczenia i redakcji powinny być bezpośrednio i nieodłącznie związane ze swoimi źródłami, stanowiąc ich rozszerzenia lub synekdochy. „Prawdę”, „autentyczność”, „wierność” i tym podobne mierzy się na dwa sposoby. Po pierwsze, najlepiej, żeby punktem wyjścia był przekaz ustny członka „ludu”, najlepiej niepiśmiennego. To, na ile źródła *KHM* są bliskie temu wyobrażonemu ideałowi, również budzi kontrowersje. Badania tekstologiczne wykazały, że Grimmowie z pewnością nie przemierzali wszystkich regionów współczesnych Niemiec, spisując *Märchen* wprost od niepiśmiennych wieśniaków i pieczołowicie utrwalając słowa „ludu”<sup>70</sup>. Odnosząc się do swojego zbioru legend, Grimmowie sami ubolewali nad tym, że „wiele z nich zyskałoby na jakości i dokładności, gdyby zostały spisane tak, jak je opowiada lud”<sup>71</sup>. Bracia zebrali ustne wersje opowieści na stosunkowo niewielkim obszarze geograficznym i to głównie od członków kilku znajomych rodzin z klasy średniej. Mimo że Grimmowie przedstawiali baśnie jako element autentycznej niemieckiej kultury „ludowej” i źródła do odtworzenia wspólnego germańskiego dziedzictwa, niektórzy z ich informatorów byli francuskojęzycznymi hugenotami. Nie dość, że wielu informatorów było piśmiennych, to jeszcze duża część opowiadanych przez nich baśni pochodziła z opublikowanych wcześniej zbiorów. Gdy opowieść zostanie spisana przez gromadzącego materiały, każde działanie, które oddala ją od źródła, miałyby zmniejszać „autentyczność”, „czystość” i „prawdę” tekstu. Zarówno zwolennicy, jak i krytycy Grimmów podzielają silne modernistyczne założenia braci dotyczące tekstów, czyli przekonanie, że istnieje naturalny i autentyczny sposób przekazywania treści związany z tradycyjną wiedzą, że drukowane zbiory mogą w pewien sposób odzwierciedlać ten proces i że na tej podstawie można ocenić autentyczność i autorytatywność opublikowanych narracji. Ideologie tekstu i praktyki metadyskursywne odtwarzają w ten sposób wyobrażenia o tradycji, nowoczesności i granicy między nimi oraz o tym, jak ludzie i formy kulturowe mogą ją przekroczyć (bądź nie).

Po drugie, jakość zbiorów należy oceniać pod kątem tego, na ile sprawiają one, że oczywiste luki między dwoma zestawami tekstów stają się **niewidoczne**. Zauważmy, że nawet przyznanie, iż pewne przerwy między dwoma momentami są nieuniknione, utrwała pogląd, że są one automatycznie i nieodłącznie powiązane, i wskazuje, że mimesis może, przynajmniej w teorii, osiągnąć całkowitą wierność. Naturalne i nieodłączne powiązania intertekstualne stają się zatem nienacechowanym, bazowym typem relacji intertekstualnych, podczas gdy ujawnienie luki jest silnie nacechowane. Ta retoryka legitymizuje pogląd, że „ludowe” interpretacje są w pełni dostępne dla badaczy i – znowu: w teorii – mogą zostać w pełni odtworzone w tekstach drukowanych. Dostarcza ona również potężnego narzędzia przypisywania piśmiennictwu naukowemu i odbiorowi tekstów autorytetu tekstowego w postaci „autentyczności” – tylko specjalista wie, w jaki sposób przekazywana jest wiedza wernakularna, a tym samym jest w stanie ocenić, czy tekst został odtworzony w autentyczny i prawomocny sposób.

Taka reprodukcja tekstów tworzy zarówno powiązania, jak i luki, wykorzystując do tego elementy, które podkreślają ciągłość wydarzeń bądź jej brak za pomocą środków społecznych, tekstowych, historycznych i innych. Genialność połączenia przez Grimmów ideologii tekstu i praktyk metadyskursywnych polega na tym, że to właśnie ingerencja w narrację pomaga stworzyć iluzję wierności! Latour<sup>72</sup> przekonuje, że przez wprowadzanie do swoich tekstów rubryk, tabeli, wykresów i innych ilustracji naukowcy „porządkują” je w taki sposób, aby stworzyć iluzję, że analizowane przez nich zjawisko naturalne zostało faktycznie oddane w tekście. Mowa zależna, imiona i przysłowia wydają się wprowadzać do *KHM* głos *das Volk*, tworząc iluzję intertekstualnej wierności. Ujednolicenie sekwencji fabularnych, rozbudowanie paralelizmów, a także dodanie tego, co obecnie uważamy za znak rozpoznawczy gatunku – fraz „Pewnego razu...” i „Żyli dłużej i szczęśliwie” – sprawiły, że teksty wydawały się autentycznymi odtworzeniami oryginalnych baśni. I słusznie, ponieważ teksty odtwarzały cechy stosunkowo jednorodnego gatunku, który

Grimmowie sami stworzyli. Za sprawą tych dodatków teksty stały się potężnymi narzędziami oczyszczania relacji między tradycją a nowoczesnością, umożliwiając odbiorcom łatwe odróżnienie *Naturpoesie* od *Kunstpoesie*. Nadało to im również charakter szczególnie skutecznych hybryd. Tradycja mogła zostać „zebrana lub zerwana delikatnie”, by następnie wydać „swoją najcenniejszy zapach” w bibliotekach i mieszczańskich domach, głównych ośrodkach nowoczesności, bez „znieszczenia i zeszpecenia”. Fragmenty języka wytworzone przez eksperckie systemy wiedzy mogły zastąpić przednowoczesne światy, a jednocześnie pomóc przywrócić nadmiernie zmodernizowanemu narodowi witalność polityczną i kulturową – w celu stworzenia scentralizowanego państwa demokratycznego.

### Historia, „wewnętrzna jedność” i autorytet naukowych praktyk metadyskursywnych

Próbując zdyskredytować Grimmów, John Ellis zwraca uwagę na widoczną rozbieżność między deklaracją braci w przedmowie do pierwszego wydania, że próbowali „spisać te opowieści tak dokładnie, jak to tylko było możliwe”, a ich „nerwowym, defensywnym oświadczeniem” w przedmowie do drugiego wydania<sup>73</sup>, które zacytowaliśmy powyżej<sup>74</sup>. Ellis nie dostrzega jednak, że druga przedmowa w rzeczywistości wysuwa znacznie silniejsze roszczenie do autorytetu tekstowego niż wynika to z koncepcji bezpośredniej, całkowitej zgodności między opublikowanymi tekstami a źródłami. Podczas gdy Ellis podkreśla fragment przedmowy do drugiego wydania, w którym Wilhelm Grimm przedkłada treść nad formę, kluczowe wskazówki pojawiają się w zdaniach okalających stwierdzenie dotyczące „doboru słów” oraz „treści”. Grimmowie zwracają uwagę na cel zbierania *Märchen* i opowiadania ich na nowo: „Należy zauważyć, że zależało nam przede wszystkim na wierności i prawdzie”. Sposób, w jaki przedstawiają swoją rolę jako uczonych w dalszej części tego fragmentu, jest wymowny: „Każdy, kto podjął się podobnego przedsięwzięcia, zdaje sobie sprawę, że zbieranie tego materiału nie jest bynajmniej beztroskim zajęciem. Wręcz przeciwnie, dopiero z czasem nabywa się uważności i taktu potrzebnych do oddzielenia tego, co czyste, proste i nienaruszone, od tego, co nieautentyczne”<sup>75</sup>. Bliższe przyjrzenie się pojęciom „czystości”, „prostoty” i tym podobnym może rzucić światło nie tylko na metadyskursywne praktyki Grimmów i autorytet naukowy, który te techniki miały nadawać tekstom oraz ich twórcom, lecz także na ideologiczne podstawy samego romantycznego nacjonalizmu.

Zbieranie, redakcja i analiza *Märchen* oraz innych form stanowiły dla Grimmów część szerszego przedsięwzięcia o charakterze historycznym i porównawczym. Formy poetyckie, takie jak *Märchen* i legendy, choć zmienne w warstwie powierzchniowej, na głębszym poziomie wykazywały ciągłość z poprzednimi gatunkami, co skutkowało powstaniem koncepcji, zgodnie z którą formy ludowe są niezmiennie w czasie i w tym sensie tradycyjne; „nigdy nie są stałe i zmieniają się w zależności od regionu i opowiadającego, ale nadal zawierają stały rdzeń”, rdzeń, który „musi być bardzo dawny”<sup>76</sup>. Mogłyby zatem doprowadzić do odkrycia istotnej zasady leżącej u podstaw języka, ujawniając jednolity, trwały rdzeń, który jest przesłonięty przez złożone, zmienne i heterogeniczne formy zewnętrzne<sup>77</sup>. W czym tkwi klucz do rozszyfrowania wartości historycznej języka i tekstu? Baśnie i inne teksty dawały dostęp do głębszego poziomu intertekstualności; odkrycie ich „wewnętrznej jedności” przyczyniło się do wyodrębnienia ogólnych podstawowych wzorców i przesłania ich rozmieszczenia w czasie i przestrzeni. Ideał wierności w odniesieniu do intertekstualnej mimesis wykraczał zatem „poza dobór słów i wprowadzenie szczegółów”, które bracia mieli prawo zmieniać, i koncentrował się na treści oraz „każdej specyficznej cesze, jaką zauważyliśmy”, by zacytować ponownie przedmowę do drugiego wydania<sup>78</sup>. Ponieważ język i poezja niszczą się z upływem czasu, badacz musi, jak twierdzili Grimmowie w związku ze swoim zbiorem legend, „oswobodzić te legendy z ich nowych kostiumów”<sup>79</sup>, a także „przywrócić im ich nagą prawdę oraz niewinność”<sup>80</sup>. Szczególnie uderzającą analogię Jacob Grimm zawarł w liście do Achima von Arnima. Gdy bracia skrytykowali von Arnima za modyfikowanie tekstów w zbiorze pieśni ludowych, ten drugi skrytykował ich z kolei za wprowadzanie zmian w opublikowanych przez nich baśniach. Ward podsumował odpowiedź Grimmów następująco: „Jacob bronił ich metody, wskazując, że aby dostać się do żółtka jajka, musisz wpięrować skorupkę. Jeśli jednak zrobisz to ostrożnie, żółtko pozostanie nienaruszone”<sup>81</sup>.

W ten sposób, przez ustanowienie intertekstualnych powiązań między tekstami historycznymi i współczesnymi oraz ustalenie hierarchicznych relacji między tym, co było interpretowane jako różne komponenty tekstów, te ostatnie można przywrócić do ich „prostej”, „czystej”, „integralnej” oraz „kompletnej” formy. Badacze są zobowiązani do odrzucenia „zewnętrznej formy” tekstu na rzecz własnej analizy jego proveniencji i „wewnętrznej jedności”, ale mogą też swobodnie tekstualizować [re-entextualize] swoją analizę w „zewnętrznej formie” opublikowanych wersji. Bracia uważają, że „prawdy”, „autentyczności” oraz „wierności” opublikowanego tekstu nie należy oceniać po prostu na podstawie jego intertekstualnego związku z powierzchniowymi cechami tekstu źródłowego (lub tekstów źródłowych), ale trzeba wziąć pod uwagę to, na ile odzwierciedla on analizę uczonego dotyczącą podstawowych cech i relacji historycznych. Ponieważ żaden tekst nie mógł zostać odpowiednio zredagowany lub przeanalizowany bez uwzględnienia tego szerszego pola, zadania tego mogli się podjąć tylko badacze znający cały wachlarz gatunków wernakularnych oraz form leksykalnych i gramatycznych w językach niemieckim i proto-niemieckim (o ile nie w językach indoeuropejskich w ogóle). Stwierdzenie Grimmów w przedmowie do drugiego wydania *KHM* wskazuje zatem, że próbowali oni rozszerzyć, a nie osłabić, swoje roszczenia do autorytetu tekstowego. Specjaliści stają się obowiązkowymi punktami na granicy między tradycją a nowoczesnością, a oparty na podstawach naukowych proces tekstualizacji umożliwia przekroczenie tej granicy.

Przypomnijmy, że Jacob, idąc za Herderem, kładł nacisk na różnicę między *Naturpoesie* i *Kunstpoesie*. Ponieważ tylko ta pierwsza odzwierciedla geniusz ludu, jedynie badacz potrafiący rozróżnić te dwa typy poezji – co jest nadal postrzegane jako główne prawo i obowiązek wielu folklorystów – może określić, które teksty dostarczają wiedzy o społeczeństwie tradycyjnym i mogą posłużyć do wprowadzania elementów tradycji do nowoczesności. Tylko uczeni zdolni porównać wersje opowiadane przez różnych ludzi mogliby zidentyfikować podstawowe cechy tej zbiorowej wiedzy i zretekstualizować [re-entextualize] ją w sposób właściwy w druku. Gdyby wartość poszczególnych tekstów można było wydobyć poprzez samo ich czytanie i docenianie ich cech powierzchniowych, wówczas specjalista cieszyłby się statusem obowiązkowego mediatora w procesie ponownego włączenia tradycji do nowoczesności tylko do momentu opublikowania tekstu. Ponieważ potrzebna była szersza praktyka czytania, specjaliści mogli rościć sobie prawo do monopolu w odniesieniu do całego procesu.

---

## Tworzenie tekstów i kapitału symbolicznego dla projektów nacjonalistycznych i kosmopolitycznych

Pomocne w ocenie znaczenia projektu Grimmów może być pojęcie kapitału symbolicznego wprowadzone przez Pierre'a Bourdieu<sup>82</sup>. Oczywiście użycie tego terminu niesie za sobą ryzyko związane z przejściem języka ekonomistycznego i kapitalistycznego, z którego badacz ten wywodzi swoje określenia procesów komunikacyjnych. W kontekście naszej pracy przyjmujemy ten termin nie z powodu przekonania, że język kapitalizmu pozwala ujmować procesy dyskursywne w sposób uniwersalny, ale w szczególności dlatego, że jednym z efektów pracy Grimmów było wprowadzenie na rynek tekstów, zdominowany przez kapitał, form symbolicznych, które nie zostały w pełni włączone do gospodarki kapitalistycznej, i nadanie im przy tym wartości. Bracia przyczynili się tym samym do przekształcenia form symbolicznych, które ich zdaniem były związane z określonymi miejscami i tożsamościami społecznymi, w taki sposób, że mogły one krążyć na wolnym rynku tekstów. Tym niemniej możemy postrzegać ten proces jako wydobywanie wiedzy z zasobów kulturowych wspólnoty i przekształcanie jej w kapitał symboliczny, który może być kontrolowany przez określone klasy i towary – publikowane teksty, które można kupować i sprzedawać na rynku kapitalistycznym.

Pierwszym etapem tego procesu było oczyszczanie, które polegało na przekształceniu wiedzy tradycyjnej w przedmiot nauki. Przypomnijmy, że teksty wernakularne mają, zdaniem Grimmów, dwojaki związek ze społeczeństwem. Z jednej strony są składnikami języka, organizmami, które rządzą się własnymi prawami i istnieją niezależnie od społeczeństwa. Jednak dopóki społeczności się nie unowocześnią, dopóty teksty pozostają ściśle związane z tożsamościami i relacjami społecznymi. Możemy zatem założyć, że pewne prawa własności intelektualnej

przysługiwałyby ludziom mieszkającym w miejscach, z którymi związane są określone teksty, posiadającym odpowiednie cechy społeczne – dotyczące wieku, klasy oraz płci – które kwalifikują ich do opowiadania historii, i uznawanym za wykonawców określonych opowieści lub innych form. Chociaż Grimmowie wskazują, że wiedza tradycyjna często koncentruje się na określonym obszarze, to stanowi ona po prostu część narodowego zasobu, który został utracony w innych regionach. Mieszkańcy [tego obszaru – przyp. tłum.] posiadają zatem część tego, co prawowicie należy do narodu – lub, by użyć trafniejszego określenia, mają dostęp do zasobów kulturowych wspólnoty – ale nie mają do tego żadnych praw. Co więcej, *das Volk* z definicji przestaje istnieć i traci kontakt z wiedzą tradycyjną. Jego członkowie zdawali się przekazywać Grimmom kapitał symboliczny, którego nie mogli już zachować – był to dar, na który bracia sobie zapracowali dzięki badaniom terenowym, pracy naukowej z tekstami oraz działalności na rzecz *das Volk*.

Lud nie mógł sam zapisywać tekstów ani kształtować sposobu, w jaki miały one zostać na nowo włączone do nowoczesności, ponieważ „na szczęście nie jest świadom swojej własnej skromnej poezji”<sup>83</sup>. Wierząc, że żywotność tradycji ustnych miała swoje źródła w czasach, kiedy nie istniała świadomość krytyczna, Jacob Grimm dowodził, że formy te przekazywały „wieczne prawdy” dzięki „dziecięcej niewinności”, „prostocie” i „naiwności”, z jaką były opowiadane. O ile współcześni poeci piszą świadomie, przynajmniej po części, o tyle proces twórczy, który dał początek tradycji ustnej, był sam w sobie nieuświadomiony<sup>84</sup>. Kiedy ludowi opowiadacze zdają się do pewnego stopnia kontrolować własne wykonania, okazuje się, że jest to jedynie przejaw ich podporządkowania tradycji, jak w przypadku Frau Viehmann, idealnej informatorki Grimmów i pierwowzoru dla pokoleń tego typu wyidealizowanych źródeł ludowych. Bracia zauważają, „jak bardzo zależy jej na tym, żeby opowiedzieć historię poprawnie. Kiedy opowiada jakąś historię po raz kolejny, nigdy nie zmienia jej treści i poprawia się, gdy tylko zauważy, że popełniła błąd, nawet jeśli musi sama sobie przerwać. Nam (którzy zazwyczaj pragniemy zmian) trudno pojąć, o ile silniejsze jest przywiązanie do tradycji wśród ludzi, którzy zawsze trzymają się tego samego sposobu życia”<sup>85</sup>. Ludowi brakuje świadomego zrozumienia tradycji, które zapewnia dopiero wiedza historyczna i porównawcza. Tylko specjaliści są w stanie umieścić wiedzę tradycyjną w nowoczesnej przestrzeni narodowej. Grimmowie nie twierdzili oczywiście, że oni (lub inni specjaliści) są właścicielami tekstów. Uzyskali raczej prawo do określenia, w jaki sposób zostaną one włączone do ekonomii tekstowej, w której każdy mógł uzyskać do nich dostęp – przez zakup towaru, czyli książki, która przynosiła dochody jej wydawcom i redaktorom. Każdy – to znaczy ten, kto potrafił czytać i mógł albo kupić sobie egzemplarz książki, albo zapoznać się z nią w bibliotece, z których większość wciąż była prywatna. Innymi słowy, dostęp do tego wolnego rynku nie był ani wolny, ani powszechny.

Jeśli teksty ludowe miały stać się kapitałem symbolicznym, musiał zaistnieć na nie popyt. Tutaj właśnie istotną rolę odegrał Herder, twierdząc, że dobrzy Niemcy powinni być bardziej zainteresowani dziełami niemieckimi niż zagranicznymi. Ruch romantyczny przekształcił ekonomię tekstową, próbując przezwyciężyć modernistyczną niechęć do tego, co określano jako teksty przednowoczesne. W szczególności wynoszenie przez Grimmów *Naturpoesie* nad *Kunstpoesie* podważało ustaloną hierarchię na rynku tekstów. W liście z 1812 roku do von Arnima dotyczącym zbioru baśni (*KHM*), który bracia zamierzali opublikować, Jacob bronił siebie i Wilhelma przed zarzutem o zbyt gorliwe promowanie tradycyjnych tekstów: „Jeśli przeceniamy ich wpływ, pozwólmy ludziom trochę złagodzić wydzźwięk naszych wypowiedzi. To, co pozostanie, wystarczy, by naprawić niesprawiedliwość, jaką wyrządzono tym opowieściom, tak długo je pomijając”<sup>86</sup>. Przekonując o ich znaczeniu, Jacob zauważył, że wartość tych opowieści wykracza poza badania naukowe: „Opowieści te zasługują na to, by poświęcić im więcej uwagi niż do tej pory, nie tylko ze względu na ich poetyckość, która ma szczególny urok i udziela tym, którzy słuchali ich w dzieciństwie, cennej lekcji, wywołując miłe wspomnienia przez całe życie, ale także dlatego, że należą one do naszej literatury narodowej”<sup>87</sup>. W 1856 roku Wilhelm tak świętował sukces swoich wysiłków na rzecz przekształcenia hierarchii tekstowych:

Jak wyjątkowa była nasza kolekcja, gdy ukazała się po raz pierwszy, i jak bogate plony zebraliśmy od tego czasu! W tamtym czasie ludzie uśmiechali się pobłaźliwie, gdy twierdziliśmy, że w tych historiach zachowały się myśli i intuicje, których źródeł należało szukać w mrokach starożytności. Teraz



prawie nikt temu nie zaprzecza. Ludzie poszukują opowieści tego rodzaju, uznając ich wartość naukową i obawiając się zmienić cokolwiek w ich treści, podczas gdy dawniej uważano je jedynie za bezwartościową rozrywkę i karykatury fantazji, którymi można manipulować do woli<sup>88</sup>.

*KHM* były prawdziwymi hitami, mogącymi konkurować z Hollywoodem (z wyjątkiem sprzedaży bezwzględnej) jako przykład skromnych wysiłków, które w zaskakujący sposób zdominowały rynek na lata (w tym przypadku wieki). Ale Grimmowie nie przedstawiali swoich wysiłków jako nowatorskiego przedsięwzięcia w kapitalizmie druku – domagali się, aby badanie języka i tradycji z perspektywy porównawczej i historycznej było działaniem naukowym w służbie projektów nacjonalistycznych.

Podstawowym problemem było to, że romantyczni literaci, tacy jak współpracownik Grimmów Brentano, chcieli podnieść *Naturpoesie* do rangi literatury, nie zaś nauki. Nacisk kładziony przez braci na wierność intertekstualną, użycie mowy ludowej i odrzucenie literackich upiększeń, a także dodanie przedmów, wstępów, przypisów i aneksów sprawiały, że ich teksty były dziełami naukowymi, nie popularnymi<sup>89</sup>. Jak na ironię, to właśnie *KHM*, którym było najtrudniej awansować w hierarchii literackiej, odniosły największy sukces marketingowy. Niczym dobrzy marketingowcy, Grimmowie umieszczali wskazówki dotyczące wartości tekstów w warstwie powierzchniowej samych produktów. Dokonywali tego za pomocą przekształceń, które opisaliśmy szczegółowo w przypadku *KHM*: o autentyczności danego tekstu świadczyło użycie mowy ludowej i przysłów, a o jego przynależności do gatunku twórczości ludowej – formuły otwierające i zamykające oraz sekwencje fabularne. W czasie gdy kapitalizm przemysłowy zmieniał oblicze Europy, Grimmowie wytworzyli dużą liczbę unikatowych pozycji, które pasowały do standardowego modelu narracyjnego. Ich status jako kapitału symbolicznego został wzmocniony przez łatwość ich reprodukcji. Grimmowie zastrzegli sobie prawo do oceny wartości na tym rynku – to znaczy zdolność do odróżniania tekstów autentycznych od fałszywych lub zmodyfikowanych, określania, które sposoby tekstualizacji powinny mieć największą wartość, oraz stosowania wyspecjalizowanych praktyk uprzedzienia i temporalizacji w ocenie umiejscowienia każdego tekstu i gatunku. Budując obraz specjalistów jako wyjątkowo wykwalifikowanych w zakresie tworzenia tekstów i oceny ich wartości, Grimmowie próbowali uzyskać monopol na te działania. Zwróćmy tu uwagę na rolę oczyszczania. Poszczególne sposoby hybrydyzacji – przekraczania granicy między nowoczesnością a tradycją i przekazywania wynikających stąd korzyści tym, którzy znajdują się po stronie nowoczesności – mogą zyskać wartość naukową, polityczną i ekonomiczną tylko wtedy, gdy tradycja jest postrzegana jako domena autonomiczna.

Proces unaukowania tradycji pozwolił Grimmom powiązać teksty wprost z zanikającym ludem, ale pośrednio również z inną społecznością wyobrażoną – ze wspólnotą narodową. Dzięki zerwaniu powiązań indeksalnych, które łączyły tradycję z lokalnością, teksty mogły zacząć definiować przestrzeń narodową. Kiedy w wyniku odkrycia ich „wewnętrznej jedności” teksty zostały oczyszczone z wpływów nowoczesności oraz zapośredniczonych różnic regionalnych, okazało się, że wspólny głos narodowy istniał od zawsze. Naród niemiecki nie był więc konstruktem politycznym, lecz realnym bytem mającym głębokie korzenie historyczne. Nowoczesność nie wymyśliła nacjonalizmu, a jedynie go odkryła i zmapowała jego cechy. Przez mapowanie szeregu gatunków, dialektów, zwyczajów, rytuałów i wierzeń oraz naukowe wykazanie, że tworzą one jednolity, dynamiczny system, Grimmowie mogli stworzyć równie złożony, jednolity i organiczny – to znaczy żywy – obraz narodu niemieckiego. Jeśli „jeden człowiek nie jest w stanie wymyślić podstaw i funkcjonowania [ludowego – przyp. aut.] wiersza”<sup>90</sup>, to naród – tak jak go rozumiemy na podstawie tradycyjnych tekstów – jest z natury demokratyczny. Natura języka i tradycji wydaje się zatem decydować o demokratycznym modelu państwa narodowego, który Grimmowie wspierali w swoich wypowiedziach i działaniach politycznych. Pozornie bardziej dostępne elementy tekstów mogły na zasadzie synekdochy ustanawiać rzeczywistość i przywoływać elementy, które były bardziej odległe czasowo. Zapoznając się z opowieściami, które wciąż były opowiadane w niektórych regionach, czytelnicy mogli odczuć wartość dawniejszych tekstów: „Prawdziwa wartość tych opowieści jest naprawdę wysoka; rzucają one nowe światło na naszą starożytną poezję heroiczną, co byłoby nie do osiągnięcia w żaden inny sposób”<sup>91</sup>.

Wartość skromnych *Märchen* oraz legend mogła w podobny sposób zostać podniesiona przez pomniki kulturowe mitologii germańskiej, które zostały uświęcone za pomocą muzyki przez Richarda Wagnera.

Benedict Anderson dowodził, że nacjonalizm obejmuje dwa kluczowe ruchy: stworzenie nowej idei, a następnie jej reifikację, dzięki czemu powstaje wrażenie, że wszyscy ludzie w sposób naturalny wywodzą swoją tożsamość z lojalności wobec narodu. Wskazał również, że nacjonalizm jest zjawiskiem z gruntu nowym, wymaga bowiem zerwania ze starym porządkiem i przyjęcia nowego porządku technologicznego i gospodarczego – kapitalizmu druku<sup>92</sup>. Hobsbawm i Ranger uważają jednak, że sztuka polega na stworzeniu wrażenia, że nowy naród jest stary i zachowuje historyczną ciągłość – zbudowanie tradycyjnej ekonomii rytualnej było potężnym narzędziem tworzenia narodów i podmiotów narodowych. Skoro mapowanie tradycji miało istotne znaczenie dla tworzenia i naturalizowania narodu, to Grimmowie i inni specjaliści od języka i tradycyjnych tekstów mieli do odegrania kluczową rolę w realizacji tego projektu<sup>93</sup>. Sam Anderson twierdził, że nacjonalizm opiera się na ekonomii tekstowej. Skupiając się na gazetach i powieściach jako sposobach absorbowania nowoczesnej historii narodu w miarę jego rozwoju, przeoczył chyba jednak inną istotną część tej kapitalistycznej ekonomii druku – popyt na tradycyjne teksty. Gdy ich przyswajanie stało się oznaką obywatelskości, proces hybridyzacji, który połączył naturalne organizmy – słowa, formy gramatyczne, rytuały i teksty – z jednostkami społecznymi, objął nie tylko *das Volk*, ale także, choć pośrednio, burżuazję.

Pisząc, że „naród traktowany jest zawsze jako głęboki, poziomy układ solidarności”, Anderson konkretyzuje zakres, w jakim wyobrażenie narodów i funkcjonowanie państw narodowych służyły wykluczeniu i podporządkowaniu niektórych podmiotów znajdujących się w obrębie narodowych granic<sup>94</sup>. Akt czytania codziennej gazety, który Anderson postrzega jako kluczową praktykę doświadczania narodowej obywatelskości, często wykluczał lub marginalizował kobiety, dzieci, ubogich i ludzi, którzy mieli ograniczony dostęp do edukacji. Układ solidarności związany z produkcją i przyswajaniem tekstów ludowych również nie był w Niemczech pierwszej połowy XIX wieku poziomy. W szczególności dostęp do *KHM* był sprzężony z nierównościami związanymi z płcią i wiekiem, które towarzyszyły powstaniu rodzin mieszczańskich. Naukowcy opisali, w jaki sposób Grimmowie dobierali teksty i redagowali ich treść, aby nadawały się one do czytania w pokojach dziecięcych, należących do wyłaniającej się burżuazji<sup>95</sup>. Jak zauważa sam Wilhelm Grimm w przedmowie do drugiego wydania: „Skrupulatnie usunęliśmy każde wyrażenie, które jest nieodpowiednie dla dzieci”<sup>96</sup>. Niektórzy krytycy Grimmów skarżyli się, że pewne baśnie nie były odpowiednie dla nieletnich odbiorców, a niektóre pozycje, takie jak opowieść o dzieciach bawiących się w „rzeźnika”, w której jedno dziecko zabija drugie, zostały usunięte z późniejszych wydań<sup>97</sup>. Można jeszcze dodać, że *KHM* odegrały pewną rolę w **kształtowaniu** romantycznego wizerunku dziecka jako ucieleśnienia takiej samej naiwności, jaką kojarzono zarówno z dawnymi, jak i współczesnymi wieśniakami. Przypomnijmy uwagę Jacoba, że czytanie tradycyjnych tekstów „udziela tym, którzy słuchali ich w dzieciństwie, cennej lekcji, wywołując miłe wspomnienia przez całe życie”<sup>98</sup>. Tradycyjne teksty przyczyniają się zatem do konstruowania wyidealizowanych parametrów afektywnych mieszczańskiego dzieciństwa, a także przekazywania wskazówek, jak stać się odpowiedzialnym obywatelem. Ze zbioru usunięto w dużej mierze wątki dotyczące seksualności oraz wykorzystywania i zaniedbywania dzieci, a baśnie zostały dobrane i zredagowane tak, by stworzyć wyraźnie określone typy społeczne, które stanowiły przykład moralnego postępowania. Poznawanie takich tekstów stało się częścią zróżnicowanych płciowo praktyk związanych z reprodukcją społeczną i konsumpcją w modelu burżuazyjnym.

Produkcja i konsumpcja tekstów były częścią ciągłego procesu przekształcania stosunków klasowych. Słowniki i podręczniki gramatyki, które pomogły zdefiniować język narodowy, przyczyniły się do rozwarstwienia społeczeństwa przez dostarczenie standardowych form i narzędzi oceny rozkładu miejsc w schematach nierówności społecznych, a także kontrolowanie dostępu do nich jednostek i społeczności. Konsumpcja tradycyjnych tekstów była pośrednio uwarunkowana dostępem do kapitalizmu druku i edukacji; co więcej, teksty te oddalały burżuazję od podmiotów przednowoczesnych, ustanawiając między nimi epistemologiczną przepaść, którą można było przekroczyć jedynie poprzez produkcję i konsumpcję tekstów, a nie przez kwestionowanie nowoczesności lub charakterystycznych dla niej struktur nierówności. W tym samym

czasie, gdy lud został zinfantylizowany i pozbawiony sprawczości historycznej, burżuazja otrzymała przewodnik, jak przeniknąć do jego świata: „Jeśli chce się spojrzeć ukradkiem na dziwny, a skromny świat natury, zagnieżdżony w sobie i pachnący opadłymi liśćmi, łąkową trawą i niedawnym deszczem, trzeba cicho odsunąć liście i ostrożnie odchylić konar, aby nie zakłócić spokoju ludu”<sup>99</sup>. Ta nostalgiczna polityka sentymentu i idea, że burżuazja może wspomóc sprawę narodowościową, zachowując słowa wymierającego ludu, odpolityczniały skutki kapitalizmu przemysłowego, który prowadził do wysiedlania mieszkańców wsi i przekształcania ich w uboższych robotników. Grimmowie, podobnie jak inni niemieccy romantycy, postrzegali *das Volk* nie tyle jako klasę społeczną, ile jako ideę, ucieleśnienie przednowoczesnego świata, w którym ludzie żyli w harmonii z naturą i Bogiem, a ich duch był niewinny i dziecięcy<sup>100</sup>. Tym samym bracia odwracali uwagę od faktycznie istniejących antagonizmów klasowych i ich materialnych podstaw. Podążając za Herderem, Grimmowie powierzyli dziedzictwo wymierającego ludu nie potomkom chłopów, którzy zostali zmuszeni do zamieszkania w obskurnych dzielnicach miast, aby dostarczyć kapitalizmowi przemysłowemu taniej siły roboczej, tylko członkom burżuazji, którzy czytali ich książki. Tekstualizacja klasy poprzez tworzenie obrazów tradycji pomogła odwrócić uwagę od nierówności społecznych i czynnego, czasem gwałtownego oporu wobec wyzysku i nowych podziałów przestrzeni, czasu i społeczności w pierwszej połowie XIX wieku.

Sami reifikowalibyśmy nacjonalizm, gdybyśmy nie docenili faktu, że projekt Grimmów wykraczał poza naród niemiecki, którego obraz pomogli stworzyć. Ich rozumienie tradycyjnych tekstów zostało ukształtowane przez badania porównawcze, które obejmowały szeroki zakres europejskich języków i gatunków ludowych. Korespondując z naukowcami z całej Europy, Grimmowie aktywnie dążyli do stworzenia międzynarodowego rynku dla swojej działalności. Zachęcali do tłumaczenia *KHM*, które ukazały się do dzisiaj w ponad siedemdziesięciu językach, a same baśnie zostały włączone do repertuaru opowieści w wielu krajach. Bracia postrzegali *KHM* jako wzorzec, który specjaliści w innych krajach powinni naśladować podczas zbierania i publikowania bajek ludowych i innych gatunków. [Do kolejnych wydań – przyp. tłum.] dołączyli wykaz setek zbiorów, które pojawiły się od czasu opublikowania pierwszego wydania *KHM* w 1812 roku. Grimmowie zasugerowali, aby [autorzy] w podziękowaniach i przedmowach przyznawali, że to bracia służą im za wzór w ich pracy. Powszechne włączenie baśni do literatury, sztuki i kultury popularnej wzmocniło ich wpływ na narodowe imaginaria<sup>101</sup>. Grimmowie tłumaczyli opowieści z innych krajów na język niemiecki i pisali przedmowy lub wstępy do innych [zbiorów – przyp. tłum.], a także często wymieniali się zbiorami tekstów z zagranicznymi uczonymi<sup>102</sup>. O kosmopolitycznym charakterze projektu świadczyło również zainteresowanie braci lingwistyką porównawczą i historyczną. Pracując nad szeroką gamą języków europejskich, zachęcali innych naukowców do stosowania podobnych technik<sup>103</sup>. Ich starania, by z produkcji tekstów na temat języka i tradycji uczynić kluczową część niemieckiego projektu nacjonalistycznego, nie przeszkodziły im zatem w stworzeniu kosmopolitycznego przedsięwzięcia, wykreowaniu ponadnarodowego rynku dla swoich dzieł i zapewnieniu sobie rozpoznawalności na świecie. Pomogła im w tym także stylistyczna homogenizacja *Märchen*. Tak jak *KHM* mogły ucieleśniać prototyp narodu, który bracia w dużej mierze sami stworzyli, tak *Märchen* wykazywały duże podobieństwo do opowieści, które zostały wytworzone na tę samą modłę. Nic dziwnego, że rosyjski badacz Vladimir Propp<sup>104</sup> (1968) był w stanie przedstawić jeden wzór strukturalny dla wszystkich opowieści ludowych lub magicznych!

Wielu badaczy twierdzi, że nacjonalizm i kosmopolityzm idą ze sobą w parze<sup>105</sup>. Wskazywalibyśmy, że ludzie potrzebują powieści, gazet, historii, języków, charakterystycznych obiektów czy pomników, aby zbudować status narodu jako nowoczesnego podmiotu, który powstaje w wyniku zerwania z przeszłością. Jednocześnie potrzebują także folkloru, eposów, legend i innych tekstów ludowych, które wyrażają ciągłość z tradycyjną bazą istniejącą (w teorii) przed powstaniem narodu. Wytwarzanie i konsumpcja tradycyjnych tekstów stały się kluczowym elementem procesu wymyślenia narodu i sprawiania, by naród ten wydawał się czymś realnym, naturalnym zjawiskiem o głębokich korzeniach historycznych. W tym miejscu pojawia się problem z koncepcją państwa narodowego jako tworu nowoczesnego<sup>106</sup>, a zarazem zmuszonego do „wymyślenia” tradycji w celu własnej legitymizacji<sup>107</sup>. Jeśli nowoczesność wymagała podstawowo wymyślenia (jeśli można to tak nazwać) tradycji, a także technik oczyszczania i hybrydyzacji, które tworzyły złożone i sprzeczne relacje między tradycją a nowoczesnością, to budowanie państwa

narodowego jako nowoczesnego z konieczności wiązało się z projekcją tradycyjnego fundamentu. Tradycja nie została więc wymyślona, lecz istniała od samego początku – co oznacza, że powstała na tym samym poziomie genealogicznym co państwo. W tym sensie pogląd, że państwo wymyśla tradycję, zakłada modernistyczną reifikację państwa. Możemy zatem powiedzieć, że Anderson i Ranger są ofiarami modernistycznego rozumienia państwa i tradycji.

Wróćmy jednak do naszego poglądu o potrzebie przekroczenia nacjonalizmu Grimmów w stronę ich projektu kosmopolitycznego. Nie był to jedyny model kosmopolityzmu, z jakim można się było spotkać w Niemczech na przełomie XIX i XX wieku. *Idea powszechnej historii w aspekcie kosmopolitycznym* Kanta, opublikowana prawie trzydzieści lat przed ukazaniem się pierwszego wydania *KHM*, wskazywała „racjonalnych kosmopolitów”<sup>108</sup> jako logiczny punkt końcowy rozwoju „wszystkich ułokowanych przez nią [przyrodę] w rodzaju ludzkim zadatków”<sup>109</sup>. Osiągnięcie uniwersalistycznego racjonalizmu, który charakteryzuje ten hipotetyczny stan, wymaga, jak twierdzi Kant, porzucenia stanu „barbarzyństwa”<sup>110</sup>, który został ukształtowany przez naturalny instynkt i „samolubny zwierzęcy popęd”<sup>111</sup>. Nietrudno dostrzec, w jaki sposób ten proces, którego koncepcję niemiecki filozof rozwinął w swoim słynnym esej o „wiecznym pokoju”, podnosi autoprezentację europejskich elit, mające swoją specyfikę społeczną i historyczną, do rangi modelu dla obywateli „powszechnego państwa rodzaju ludzkiego”<sup>112</sup>.

Racjonalizm i uniwersalizm nie zdominowały jednak rynku projektów kosmopolitycznych w dziewiętnastowiecznych Niemczech. Dzięki krytycznej refleksji nad projektem Grimmów możemy dostrzec, że Europejczycy realizowali wiele różnych strategii tworzenia monopolu na formy społeczne i kulturowe. Grimmowie twierdzili, że prowincjonalizują Europę, przynajmniej na płaszczyźnie narodowej, nakłaniając swoich współobywateli do odrzucenia modeli uniwersalnej racjonalności i silnego przywiązania się do uwarunkowanych społecznie i historycznie konstrukcji duszy. To właśnie dzięki wymiarowi kosmopolitycznemu tego projektu pozorna rezygnacja z aspiracji do uniwersalizmu stworzyła prowincjonalne wizje odmienności, które można było wprowadzać na arenę międzynarodową.

przełożyła Agnieszka Sobolewska

#### PRZYPISY

\* R. Bauman, Ch.L. Briggs, *Scientizing Textual Production in the Service of the Nation: the Brothers Grimm and German Philology*, w: tychże, *Voices of Modernity. Language Ideologies and the Politics of Inequality*, Cambridge 2003, (Studies in the Social and Cultural Foundations of Language, 21), s. 197-225. © Cambridge University Press, 2009.

<sup>1</sup> Zob. B. Anderson, *Wspólnoty wyobrażone. Rozważania o źródłach i rozprzestrzenianiu się nacjonalizmu*, przeł. S. Amsterdamski, Kraków 1997.

<sup>2</sup> Zob. J. Grimm, *On the Origin of Language*, przeł. R.A. Wiley, Leiden 1984; J.G. Herder, *Rozprawa o pochodzeniu języka*, w: tegoż, *Wybór pism*, przeł. B. Płaczkowska, Wrocław 1987, s. 59-175.

<sup>3</sup> Zob. J. Grimm, *On the Origin of Language...*, dz. cyt., s. 1.

<sup>4</sup> G. Sampson, *Schools of Linguistics*, Stanford, CA 1980, s. 17.

<sup>5</sup> J. Grimm, *On the Origin of Language...*, dz. cyt., s. 2.

<sup>6</sup> Tamże, s. 12.

<sup>7</sup> Zob. W. v. Humboldt, *Rozmaitość języków a rozwój umysłowy ludzkości*, przekł. i wpraw. E.M. Kowalska, Lublin 2001.

<sup>8</sup> J. Grimm, *On the Origin of Language...*, dz. cyt., s. 4.

<sup>9</sup> Tamże, s. 2.

<sup>10</sup> Tamże, s. 6.

<sup>11</sup> Tamże, s. 15.

<sup>12</sup> Tamże, s. 15.

<sup>13</sup> Tamże, s. 20.

<sup>14</sup> Tamże, s. 21.

- 15 Tamże, s. 21.
- 16 Ostatnio np. Walter Mignolo (zob. tenże, *The Many Faces of Cosmo-Polis: Border Thinking and Critical Cosmopolitanism*, „Public Culture” 2000, nr 12 (3), s. 721-748). Zob. też tenże, *Local Histories/Global Designs: Coloniality, Subaltern Knowledges, and Border Thinking*, Princeton 2000.
- 17 W. v. Humboldt, *Rozmaitość języków...*, dz. cyt., s. 77.
- 18 Zob. H. Aarsleff, *From Locke to Saussure: Essays on the Study of Language and Intellectual History*, Minneapolis 1982.
- 19 Zob. B. Latour, *Nigdy nie byliśmy nowoczesni. Studium z antropologii symetrycznej*, przeł. M. Gdula, Warszawa 2011.
- 20 J. Grimm, W. Grimm, *Foreword*, przeł. D. Ward, w: D. Ward (red.), *The German Legends of the Brothers Grimm* [1816], Philadelphia 1981, t. 1, s. 4.
- 21 Cyt. za: J. Zipes, *Dreams of a Better Bourgeois Life: The Psychological Origins of the Grimms' Tales*, w: J.M. McGlathery i in. (red.), *The Brothers Grimm and the Folktale*, Urbana 1988, s. 210.
- 22 J. Grimm, *On the Origin of Language...*, dz. cyt., s. 21.
- 23 Tamże, s. 23.
- 24 M.B. Peppard, *Paths Through the Forest: A Biography of the Brothers Grimm*, New York 1971, s. 99.
- 25 J. Grimm, *On the Origin of Language...*, dz. cyt., s. 24; zob. też J. Zipes, *Dreams of a Better Bourgeois Life...*, dz. cyt., s. 211.
- 26 J. Grimm, W. Grimm, *Kinder- und Hausmärchen: Gesammelt durch die Brüder Grimm. Vergrößerter Nachdruck der zweibändigen Erstausgabe von 1812 und 1815 nach dem Handexemplar des Bruder Grimm-Museums Kassel mit sämtlichen handschriftlichen Korrekturen und Nachträgen der Brüder Grimm sowie einem Ergänzungsheft: Transkriptionen und Kommentaren* [1812], t. 1-3, H. Rölleke, U. Marquardt (red.), Göttingen; przedmowa do tego wydania cyt. za: M. Tatar (red.), *The Hard Facts of the Fairy Tales*, Princeton 1987, s. 204.
- 27 Tamże; podkr. w oryginale.
- 28 Zob. tamże.
- 29 J. Grimm, W. Grimm, *Foreword* [1816]..., dz. cyt., s. 2.
- 30 Zob. M.M. Bakhtin, *The Dialogic Imagination: Four Essays*, przeł. C. Emerson, M. Holquist, Austin 1981 (zob. M.M. Bachtin, *Problemy literatury i estetyki*, przeł. Wincenty Grajewski, Warszawa 1982).
- 31 Historię tej współpracy omawiają m.in. Christa Kamenetsky (taż, *The Brothers Grimm and Their Critics*, Athens, OH 1992, s. 39-41) i Ruth Michaelis-Jena (taż, *The Brothers Grimm*, London 1970, s. 47-54).
- 32 J. Grimm, *Teutonic Mythology* [1844], przeł. J.S. Stallybrass, t. 3, London 1883, s. xiii.
- 33 Tamże.
- 34 Tamże, s. xiv.
- 35 Z przedmowy do J. Grimm, W. Grimm, *Kinder- und Hausmärchen* [1812], cyt. za: M. Tatar (red.), *The Hard Facts...*, dz. cyt., s. 210.
- 36 Tamże, s. 220.
- 37 Oprócz cytowanych wyżej prac Röllekego, zob. W. Berendsohn, *Grundformen volkstümlicher Erzählerkunst in den Kinder- und Hausmärchen der Brüder Grimm. Ein stilkritischer Versuch* [1921], Wiesbaden 1968; H. Hamann, *Die literarischen Vorlagen der Kinder- und Hausmärchen und ihre Bearbeitung durch die Brüder Grimm* [1906], New York 1970; K. Schmidt, *Die Entwicklung der Kinder- und Hausmärchen der Brüder Grimm seit der Urhandschrift* [1932], Halle 1973; W. Schoof, *Zur Entstehungsgeschichte der Grimmschen Märchen*, Hamburg 1959.
- 38 H. Rölleke (red.), *Die älteste Märchensammlung der Bruder Grimm: Synopse der handschriftlichen Urfassung von 1810 und der Erstdrucke von 1812*, Cologny-Genève 1975. Jak zauważyła Christa Kamenetsky, naiwnością byłoby zakładać, że rękopisy z 1810 roku są bezpośrednimi transkrypcjami zasłyszanych opowieści ustnych. Grimmowie początkowo zbierali Märchen w ramach wspólnego przedsięwzięcia wydawniczego z Clemensem Brentano, a „Rękopis Oelenberga” zawierał baśnie wysłane do Brentano. Kamenetsky sugeruje, że wersje rękopiśmienne były raczej „zarysami” niż pełnymi wersjami opowieści ze wszystkimi szczegółami (zob. też, *The Brothers Grimm and Their Critics...*, dz. cyt., s. 41). Donald Ward (w rozmowie, 1993) zauważył, że braciom nie spodobało się poetyckie opracowanie baśni, jakiego dokonali Brentano i Achim von Arnim w *Des Knaben Wunderhorn*, mogli się więc obawiać, że bardziej wymagające teksty staną się pożywką dla podobnych opracowań literackich. Niemniej argument Kamenetsky, że rękopisy z 1810 roku nie powinny być brane pod uwagę w badaniach tekstologicznych, wydaje się bezpodstawny. Chociaż nie należy ich traktować jako tekstów pierwotnych, na których opierały się późniejsze wydania, wyraźnie odzwierciedlają one jeden z etapów procesu transformacji tekstu, który był kontynuowany w kolejnych edycjach. (Siódme i ostatnie wydanie kompletnego zbioru stanowi pod tym względem wyjątek, ponieważ wprowadzono w nim niewiele zmian w stosunku do tekstów opublikowanych w szóstej edycji).
- 39 Angielskie tłumaczenia fragmentów baśni zaczerpnęliśmy z pracy Johna M. Ellisa (zob. tenże, *One Fairy Story Too Many: The Brothers Grimm and Their Tales*, Chicago 1983, s. 87-88), ponieważ zawiera ona przekłady kilku opowieści pochodzących z kolejnych wydań. Przedstawiona tu analiza tekstu pochodzi od nas. Dokładną analizę tekstową *KHM* można znaleźć w publikacjach Ruth Bottigheimer (zob. też, *Grimms' Bad*

*Girls and Bold Boys: The Moral and Social Vision of the Tales*, New Haven 1987) i Heinza Röllekego (zob. tenże (red.), *Die älteste Märchensammlung der Brüder Grimm...*, dz. cyt.; tenże, *Die Märchen der Brüder Grimm*, München 1985; tenże, „Wo das Wünschen noch geholfen hat“: *Gesammelte Aufsätze zu den Kinder- und Hausmärchen der Brüder Grimm*, Bonn 1985; tenże, *The „Utterly Hessian“ Fairy Tales by „Old Marie“: The End of a Myth*, w: R.B. Bottigheimer (red.), *Fairy Tales and Society: Illusion, Allusion, and Paradigm*, Philadelphia 1986, s. 287-300; tenże, *New Results of Research on Grimms' Fairy Tales*, w: J.M. McGlathery i in. (red.), *The Brothers Grimm and the Folktale...*, dz. cyt., s. 101-111) oraz w pracach cytowanych w przypisie 38.

40 W języku polskim wypowiedzi bohaterów wydziela się za pomocą pauzy dialogowej, a nie cudzysłowu – przyp. tłum.

41 Próbując bronić Grimmów przed ich krytykami, Kamenetsky argumentuje, że zmiany wprowadzane w kolejnych wydaniach wiązały się z przyjętym procesem czerpania z innych wariantów (zob. też, *The Brothers Grimm and Their Critics...*, dz. cyt.). Takie rozumowanie mogłoby posłużyć do uzasadnienia wprowadzenia imion i innych elementów. W nocie do tej baśni stwierdzają jednak, że „Hansel” to imię Tomcia Palucha w innych opowieściach. Nie wspominają natomiast o Gretel. O ile zatem „Hansel” pochodzi z wyraźnie określonej baśni, o tyle dla wprowadzenia imienia „Gretel” nie podano żadnego uzasadnienia (J. Grimm, W. Grimm, *Grimms' Household Tales*, przeł. M. Hunt, London 1884, s. 356). [W spolszczonej wersji jest to baśń o Jasiu i Małgosi – przyp. red.]

42 W. Mieder, „Findet, so werdet ihr suchen!” *Die Brüder Grimm und das Sprichwort*, Bern 1986; tenże, *Wilhelm Grimms' Proverbial Additions in the Fairy Tales*, „Proverbium” 1986, nr 3, s. 59-83; tenże, „Ever Eager to Incorporate Folk Proverbs”: *Wilhelm Grimm's Proverbial Additions in the Fairy Tales*, w: J.M. McGlathery i in. (red.), *The Brothers Grimm and the Folktale...*, dz. cyt., s. 112-32.

43 H. Rölleke, „Redensarten des Volks, auf die ich immer horche”: *Das Sprichwort in den Kinder- und Hausmärchen der Brüder Grimm*, Bern 1988.

44 H. Rölleke, *New Results of Research on Grimms' Fairy Tales ...*, dz. cyt., s. 109.

45 Chodzi o zbiór wydany w 1846 przez Karla Josepha Simrocka (zob. tenże, *Die deutschen Sprichwörter*, Stuttgart 1988); Ch. Kamenetsky, *The Brothers Grimm and Their Critics...*, dz. cyt.; W. Mieder, „Findet, so werdet ihr suchen!” ..., dz. cyt., s. 122-124.

46 Ch. Kamenetsky, *The Brothers Grimm and Their Critics...*, dz. cyt., s. 164.

47 Zob. M. Bachtin, *Problem gatunków mowy*, przeł. D. Ulicka, w: A. Burzyńska, M.P. Markowski (red.), *Teorie literatury XX wieku. Antologia*, Kraków 2007, s. 185-192.

48 Z przedmowy do J. Grimm, W. Grimm, *Kinder- und Hausmärchen* [1819], cyt. za: M. Tatar (red.), *The Hard Facts...*, dz. cyt., s. 220. Co ciekawe, w przedmowie do swojego zbioru niemieckich legend Grimmowie stwierdzili, że „połączenie kilku krótkich historii w jedną” byłoby niewłaściwe, ponieważ zatartoby to, w jaki sposób zostały one „skrojone i zabarwione”, J. Grimm, W. Grimm, *Foreword* [1816]..., dz. cyt., s. 6.

49 Należy jednak pamiętać, że niektóre z tych relacji zostały wskazane w trzecim tomie *KHM*, który zawiera uwagi na temat baśni opracowanych przez Wilhelma Grimma. Informacje powtórzone w wydaniu *KHM* Röllekego (zob. *Brüder Grimm. Kinder- und Hausmärchen*, Stuttgart 1980); zob. także J. Bolte, G. Polivka, *Anmerkungen zu den Kinder- und Hausmärchen der Brüder Grimm* [1913-32], Leipzig-Hildesheim 1963.

50 Zob. M.A.K. Halliday, R. Hasan, *Cohesion in English*, London 1976.

51 J.M. Ellis, *One Fairy Story Too Many...*, dz. cyt., s. 59-61.

52 Angielskie tłumaczenia cytowane za pracą Johna M. Ellisa; tenże, *One Fairy Story Too Many...*, dz. cyt., s. 146.

53 Tamże, s. 152.

54 Tamże, s. 153.

55 Tamże.

56 Zob. L. Dégh, *Grimms' Household Tales and Its Place in the Household: The Social Relevance of a Controversial Classic*, „Western Folklore” 1979, nr 38, s. 83-103; też, *What Did the Grimm Brothers Give to and Take from the Folk?*, w: J.M. McGlathery i in. (red.), *The Brothers Grimm and the Folktale...*, dz. cyt., s. 66-90.

57 Zob. Ch. Kamenetsky, *The Brothers Grimm and Their Critics...*, dz. cyt.

58 D. Ward, *Epilogue*, w: tenże (red.), *The German Legends of the Brothers Grimm...*, dz. cyt., t. 2, s. 369.

59 J. Campbell, *Folkloristic Commentary*, w: J. Stern (red.), *The Complete Grimms' Fairy Tales*, przeł. M. Hunt, New York 1944, s. 834-835.

60 Połączenie angielskich słów *fake* (fałszywy, sztuczny) i *lore* (tradycja ludowa) – przyp. tłum; zob. A. Dundes, *Nationalistic Inferiority Complexes and the Fabrication of Fakelore: A Reconsideration of Ossian, the Kinder- und Hausmärchen, the Kalevala, and Paul Bunyan*, „Journal of Folklore Research” 1985, nr 22, s. 5-18.

61 Zob. J.M. Ellis, *One Fairy Story Too Many...*, dz. cyt.

62 Tamże, s. 26.

63 Tamże, s. 38-39; podkr. w oryginale.

64 Tamże, s. 40.

65 Tamże, s. 27.

- 66 Tamże, s. 62.
- 67 Tamże, s. 85.
- 68 Tamże, s. 103.
- 69 Tamże, s. 85.
- 70 Zob. zwłaszcza T.F. Crane, *The External History of the Kinder- und Hausmärchen of the Brothers Grimm*, „Modern Philology” 1917, nr 14, s. 577–610 oraz „Modern Philology” 1918, nr 15, s. 65–77, s. 353–383; H. Rölleke (red.), *Die älteste Märchensammlung der Brüder Grimm...*, dz. cyt.; tenże, *Die Märchen der Brüder Grimm...*, dz. cyt.; tenże, „Wo das Wünschen noch geholfen hat”..., dz. cyt.; tenże, *The „Utterly Hessian” Fairy Tales...*, dz. cyt.; tenże, *New Results of Research on Grimms’ Fairy Tales...*, dz. cyt. s. 101–11.
- 71 J. Grimm, W. Grimm, *Foreword* [1816]..., dz. cyt., s. 11.
- 72 B. Latour, *Science in Action*, Cambridge, MA 1987.
- 73 John M. Ellis, *One Fairy Story Too Many...*, dz. cyt., s. 16.
- 74 Grimmowie stwierdzają w przedmowie do tej edycji, że chociaż „treść” opowieści pozostaje niezmienną, „nie musimy chyba podkreślać, że dobór słów i wprowadzone szczegóły są głównie naszym dziełem”.
- 75 Z przedmowy do J. Grimm, W. Grimm, *Kinder- und Hausmärchen* [1819], cyt. za: M. Tatar (red.), *The Hard Facts...*, dz. cyt., s. 220.
- 76 Tamże, s. 220, 208.
- 77 See O. Amsterdamska, *Schools of Thought: The Development of Linguistics from Bopp to Saussure*, Dordrecht 1987.
- 78 Z przedmowy do J. Grimm, W. Grimm, *Kinder- und Hausmärchen* [1819], cyt. za: M. Tatar (red.), *The Hard Facts...*, dz. cyt., s. 220.
- 79 J. Grimm, W. Grimm, *Foreword* [1816]..., dz. cyt., s. 9.
- 80 Cytat ten pochodzi z przedmowy do zbioru, w której Grimmowie uzasadniają swoją decyzję o włączeniu szwajcarskich legend opublikowanych przez Wyssa, „który umiejętnie spletał narracje, by stworzyć dłuższe wiersze”, tamże.
- 81 D. Ward, *Epilogue*, w: tenże (red.), *The German Legends of the Brothers Grimm...*, dz. cyt., t. 2, s. 369.
- 82 Zob. P. Bourdieu, *Language and Symbolic Power*, przeł. G.T. Adamson, M. Adamson, Cambridge, MA 1991.
- 83 J. Grimm, W. Grimm, *Foreword* [1816]..., dz. cyt., s. 4. Nieuświadomiony związek poetów ludowych z ich twórczością jest przeciwstawiony temu, „jak język ujawnia [piśmiennemu poecie] słowa na wpół świadomie, a na wpół nieświadomie”, tamże.
- 84 Ch. Kamenetsky, *The Brothers Grimm and Their Critics...*, s. 63–66; M.H. Marschall, *Oral Traditions, Written Collections: Johann Gottfried Herder and the Brothers Grimm*, rozprawa doktorska, Johns Hopkins University, mps.
- 85 Z przedmowy do J. Grimm, W. Grimm, *Kinder- und Hausmärchen* [1812], cyt. za: M. Tatar (red.), *The Hard Facts...*, dz. cyt., s. 212.
- 86 Cyt. za: R. Michaelis-Jena, *The Brothers Grimm...*, dz. cyt., s. 51.
- 87 Cyt., za: tamże, s. 51.
- 88 Cyt. za: tamże, s. 177–178.
- 89 Nie dotyczyło to, rzecz jasna, mniejszych zbiorów *KHM*, które Grimmowie przygotowali dla masowego odbiorcy. Charakter prozy i aparat naukowy istotnie wywołały krytykę ze strony von Arnima, Brentano i innych autorów (zob. tamże, s. 53).
- 90 J. Grimm, W. Grimm, *Foreword* [1816]..., dz. cyt., s. 4.
- 91 Z przedmowy do J. Grimm, W. Grimm, *Kinder- und Hausmärchen* [1812], cyt. za: M. Tatar (red.), *The Hard Facts...*, dz. cyt., s. 212; zob. J. Grimm, W. Grimm, *Foreword* [1816]..., dz. cyt., s. 2.
- 92 Zob. B. Anderson, *Wspólnoty wyobrażone...*, dz. cyt.
- 93 Zob. E. Hobsbawm, T. Ranger (red.), *The Invention of Tradition*, Cambridge 1983 (E. Hobsbawm, T. Ranger (red.), *Tradycja wynaleziona*, przeł. M. Godyń, F. Godyń, Kraków 2008).
- 94 B. Anderson, *Wspólnoty wyobrażone...*, dz. cyt., s. 21.
- 95 Zob. R.B. Bottigheimer, *Grimms’ Bad Girls and Bold Boys...*, dz. cyt.; M. Tatar (red.), *The Hard Facts...*, dz. cyt.; J. Zipes, *Breaking the Magic Spell: Radical Theories of Folk and Fairy Tales*, London 1979; tenże, *Fairy Tales and the Art of Subversion: The Classic Genre for Children and the Process of Civilization*, New York 1983; tenże, *The Brothers Grimm: From Enchanted Forests to the Modern World*, New York 1988.
- 96 Z przedmowy do J. Grimm, W. Grimm, *Kinder- und Hausmärchen* [1819], cyt. za: M. Tatar (red.), *The Hard Facts...*, dz. cyt., s. 217.

- 97 R. Michaelis-Jena, *The Brothers Grimm...*, dz. cyt., s. 171.
- 98 Cyt. za: tamże, s. 51.
- 99 J. Grimm, W. Grimm, *Foreword* [1816]..., dz. cyt., s. 11.
- 100 Zob. W. Schoof, *Zur Entstehungsgeschichte der Grimmschen Märchen...*, dz. cyt.; Ch. Kamenetsky, *The Brothers Grimm and Their Critics...*, dz. cyt.
- 101 Zob. R. Michaelis-Jena, *The Brothers Grimm...*, dz. cyt., s. 169.
- 102 Michaelis-Jena omawia korespondencję i współpracę Grimmów z innymi europejskimi uczonymi, tamże, s. 167-187.
- 103 Zob. R.A. Wiley (red.), *John Mitchell Kemble, Jakob Grimm: A Correspondence 1832-1852*, przeł. R.A. Wiley, Leiden 1971; tenże, *Grimms' Grammar Gains Ground in England, 1832-52*, w: E. H. Antonsen (red.), *The Grimm Brothers and the Germanic Past*, Amsterdam 1990, s. 33-42.
- 104 Zob. W. Propp, *Morfologia bajki magicznej*, przeł. P. Rojek, Kraków 2011.
- 105 Zob. np. Bruce Robbins, *Introduction Part I: Actually Existing Cosmopolitanism*, w: P. Cheah, B. Robbins (red.), *Cosmopolitanism: Thinking and Feeling Beyond the Nation*, Minneapolis 1998, s. 2.
- 106 Zob. B. Anderson, *Wspólnoty wyobrażone...*, dz. cyt.
- 107 Zob. R. Handler, J. Linnekin, *Tradition, Genuine or Spurious*, „*Journal of American Folklore*” 1984, nr 97, s. 273-290; M. Herzfeld, *Ours Once More: Folklore, Ideology, and the Making of Modern Greece*, Austin 1982; E. Hobsbawm, T. Ranger (red.), *The Invention of Tradition...*, dz. cyt.; W. Wilson, *Folklore and Nationalism in Modern Finland*, Bloomington 1976.
- 108 I. Kant, *Idea for a Universal History with a Cosmopolitan Purpose* [1784], w: tegoż, *Kant: Political Writings*, przeł. H.B. Nisbet, red. H. Reiss, Cambridge-New York 1991, s. 43.
- 109 I. Kant, *Idea powszechnej historii w aspekcie kosmopolitycznym*, przeł. M. Żelazny, w: tegoż, *Pisma po roku 1781. Dzieła zebrane*, t. VI, red. M. Jankowski i in., Toruń 2012, s. 36.
- 110 Tamże, s. 38.
- 111 Tamże, s. 37.
- 112 I. Kant, *O wiecznym pokoju: Zarys filozoficzny*, przeł. F. Przybylak, red. K. Bal, Wrocław 1995, s. 38.



Don Brenneis

## Obiecująca reforma\*

Prosimy o ocenę odnoszącą się konkretnie do mocnych stron i ograniczeń kandydata jako potencjalnego słuchacza studiów magisterskich/doktoranckich w wybranej przez siebie dziedzinie. Szczególnie pomocne będą opisy znaczących osiągnięć, wkładu w aktywność naukową i wszelkich cech mogących mieć wpływ na osiągnięcia naukowe. Komentarze powinny uzasadniać ocenę ze strony 1.

*Stypendium badawcze National Science Foundation (NSF) dla magistrantów/doktorantów: formularz oceny szczegółowej kandydata*

(Formularz NSF nr 299, sierpień 1998)

Prosimy o dołączenie oddzielnego arkusza (arkuszy) z oceną niniejszego wniosku w odniesieniu do każdego z powyższych kryteriów zgodnie z instrukcjami na poprzedniej stronie. Istotne znaczenie mają konkretne uwagi dotyczące mocnych i słabych stron wniosku.

*Formularz oceny wniosku badawczego złożonego do National Science Foundation*

(Formularz NSF nr 1 [10/97])

Wypełnianie formularzy, dokumentów oceniających osiągnięcia i perspektywy rozwoju studentów oraz możliwe znaczenie, nowatorstwo i klarowność projektów badawczych kolegów i koleżanek, stanowi kluczową część działalności federalnych instytucji finansujących [naukę – przyp. tłum.] i nieunikniony, choć być może bardziej marginalny element życia większości amerykańskich akademików. Tego rodzaju rekomendacje i recenzje – czytane z różnym zaangażowaniem i stopniem skupienia, wypełniane od niechcenia lub z dużą starannością, złośliwe, taktowne lub entuzjastyczne – są częścią codziennego życia naukowego. Każdej jesieni naukowcy otrzymują prośby o listy polecające. Ich pisanie uznaje się za część tej pracy, niezależnie od tego, czy są mile widziane, czy budzą niechęć. Trudniej przewidzieć termin nadejścia rzadszych, ale zwykle wymagających większego zaangażowania próśb o recenzje projektów badawczych. I je jednak uznaje się za nieodłączną część życia naukowca; często stanowią zresztą okazję do oceny miejsca w nauce nie tylko wnioskodawcy, ale i samego recenzenta.

Te praktyki profesjonalne i formy dokumentacji, których one wymagają, są działaniami rutynowymi i ważkimi jednocześnie. Umożliwiają one poszczególnym badaczom udział w złożonych procesach instytucjonalnych, w wyniku których przydziela się fundusze federalne na badania i kształcenie absolwentów studiów I stopnia. Wielu z nas często staje się, przynajmniej na chwilę, częścią maszyny biurokratycznej, a naszą rolę wskazują i kształtują drukowane formularze. Stajemy się bardziej lub mniej zdyscyplinowanymi współautorami tych dokumentów, które w odpowiednich instytucjach są elementem kluczowym, przedmiotem poważnych analiz

---

Don Brenneis,  
*Obiecująca reforma*,  
„Almanach  
Antropologiczny.  
Communicare” 2024,  
t. 9, s. 55-71.

i projektowania, ale dla osób, które je wypełniają, nie są zwykle niczym szczególnym. Używając terminu Harpera<sup>1</sup>, są to „przyziemne” dokumenty wywołujące rutynowe reakcje u osób je wypełniających, jak i u późniejszych czytelników. Ponadto bezpośrednio wiążą one szeroko zakrojone kształtowanie polityki instytucji i szczegółowe planowanie działań z późniejszymi decyzjami wpływającymi na rozwój wiedzy naukowej i przebieg kariery poszczególnych naukowców. Dokumenty te, owoc pracy personelu administracyjnego i rekomendacji komitetów naukowych, są rozpowszechniane wśród naukowców, którzy wypełniają je konkretną treścią, w końcu zaś mają kluczowe znaczenie dla decyzji podejmowanych na innych zebraniach i posiedzeniach. Jednocześnie zarówno one same, jak i ich konsekwencje są, w dużej mierze z powodu swojej zwyczajności, „niewidzialne” dla analizy.

Celem mojego szkicu jest szczegółowe przeanalizowanie takich dokumentów jako ogniwa procesu naukowego. Skupię się na dwóch rodzajach formularzy powszechnie stosowanych przez National Science Foundation (NSF), które przez to, co je różni, i ze względu na wspólną historię, dają wgląd w pewne szersze praktyki biurokratyczne, których są częścią. Pierwszy z nich to formularz oceny szczegółowej kandydata [oryg. *Reference Report Form*], którego cztery egzemplarze są wymagane przy aplikowaniu o stypendium z obleganego programu NSF Graduate Research Fellowship. Drugi to formularz oceny wniosku badawczego [oryg. *Proposal Review Form*], używany zarówno przez zewnętrznych recenzentów, jak i członków panelu oceniającego NSF. Porównam również ich pierwsze wersje z wczesnych lat dziewięćdziesiątych XX wieku oraz te zaktualizowane, przyjęte w 1998 roku, które miały odzwierciedlać nowe priorytety NSF i jej funkcjonowanie.

Niniejszy szkic ma stanowić wkład w rozwijającą się dyscyplinę, jaką jest etnografia dokumentów, i w znacznym stopniu czerpie z prac moich kolegów i koleżanek zajmujących się tym obszarem, w szczególności z przełomowych badań Harpera<sup>2</sup> oraz Riles<sup>3</sup>. Niemniej formularze, o których mowa, to artefakty szczególnego rodzaju, ponieważ są siłą rzeczy interaktywne, zaprojektowane tak, by wywoływać odpowiedzi, na których kształt mogą wpływać, lecz których w pełni nie kontrolują. Ponadto grono ich odbiorców jest siłą rzeczy zróżnicowane. Takie dosłownie wieloautorskie dokumenty są czytane i oceniane przez kolejnych recenzentów, pracowników administracji, a czasami przez kongresowe komisje do spraw nadzoru. Mimo dużej dozy staranności i strategicznego myślenia przy planowaniu struktury dokumentów, autorstwo ich wersji końcowych jest zawsze zbiorowe – i często kwestionowane, kiedy bierze się pod uwagę zgodność intencji twórców formularzy z odpowiedziami tych, którzy je wypełniają. Podobnie, choć forma tych dokumentów wpływa na sposób, w jaki są one później rozumiane, to jednocześnie mogą one podlegać różnej interpretacji. Zmiany, których dokonano w formularzach w połowie lat dziewięćdziesiątych, oraz dyskusje wewnątrz instytucji, które nadawały kształt i rekontekstualizowały te zmiany, stanowią szczególnie cenne pole dla badania ideologii oraz interesów instytucji, a także ich niezamierzonych konsekwencji.

Kluczowe dla poniższych rozważań jest moje zainteresowanie jako antropologa lingwistycznego relacjami między formą a znaczeniem, językiem jako praktyką społeczną i szerszymi ramami ideologicznymi – lub inaczej: sposobami myślenia o języku i, szerzej, formie komunikacyjnej – w których relacje te nabierają konkretnego kształtu. Uderzającą cechą wskazanych dokumentów oraz sposobów ich omawiania i analizy jest kluczowa rola, jaką odgrywa w nich obrazowanie wizualne. Zarówno instytucjonalne rozważania na temat tych dokumentów, jak i naukowe próby ich zrozumienia odwołują się do par terminów, w szczególności: przejrzystość/nieprzejrzystość [*transparency/opacity*] i widoczność/niewidoczność [*visibility/invisibility*].

Zmiany w analizowanych tu formularzach wprowadzono w dużej mierze w odpowiedzi na Ustawę o wydajności i wynikach rządu (*Government Performance and Results Act*) z 1993 roku, w której „przejrzystość” została bezpośrednio powiązana z rozliczalnością i z „satisfakcją klienta”<sup>4</sup>. Zmiana formy blankietów stanowiła po części próbę zwiększenia przejrzystości. Co więcej, moje określenie praktyk dokumentacyjnych jako „niewidzialnych” dla analizy nawiązuje do podobnych wyobrażeń wizualnych.

Taka wszechobecna obrazowość, niezależnie od tego, czy jest klarowna, czy niejasna, jest czymś więcej niż tylko pewnym stylem, wiąże się bowiem bezpośrednio z kulturowym postrzeganiem języka jako przede wszystkim systemu przekazywania znaczenia semantycznego. Styl i ideologia są ze sobą ściśle powiązane. Przyziemne dokumenty stanowiące sedno moich rozważań

ujawniają proces tworzenia praktycznych, kulturowo swoistych teorii na temat tego, jak działa język i jak można najlepiej uwzględnić rolę tych, którzy takie dokumenty tworzą, wypełniają i czytają. Teorie te doprecyzowują na kilka sposobów nieco sprzeczne wątki, które powracają we współczesnych ideologiach języka w Stanach Zjednoczonych: wspomniane wcześniej założenie o primacie przejrzystości jako celu w procesie komunikacji<sup>5</sup> połączone z rozpoznaniem retorycznych intencji niektórych respondentów; coraz bardziej szczegółowe strategie techniczne służące do pozyskiwania „informacji”, charakteryzujące się w założeniu większą jakoby dokładnością i osadzone w szerokich ramach, które w istocie są opisywane za pomocą mglistych i pod pewnymi względami pozbawionych treści terminów; a także ciągłe napięcie między językiem twierdzeń bezwzględnych [*absolutes*] a językiem twierdzeń względnych.

Zmiany w formularzach, które będę rozważał, można postrzegać w kategoriach czerpania terminów z jednej dziedziny, w tym wypadku zarządzania, i przekładania ich na inną, w tym wypadku na pracę akademicką. Podobnie można rozpatrywać znacznie szersze wdrożenie narzędzi operacjonalizacji procesu rozliczania w nauce amerykańskiej i brytyjskiej. Chciałbym pokazać jeden ze sposobów dokonywania takiego przekładu. Kluczowe dla rosnącego znaczenia struktur menedżerskich i biznesowych w instytucjach finansujących naukę – co stanowiło podstawę omawianych przeze mnie zmian w dokumentach – było powstanie szczególnych punktów styczności [*points of articulation*] między odrębnymi niegdyś dziedzinami.

Chciałbym w tym miejscu odwołać się do niedawnego eseju Bonnie Urciuoli<sup>6</sup>, w którym analizuje ona język dokumentów wykorzystywanych w procesie rekrutacji na uczelnie humanistyczne, dowodząc, że niektóre kluczowe frazy służą nie tylko jako wyrażenia okazjonalne, szyftery [*shifters*], tak jak rozumiał je Silverstein<sup>7</sup>, lecz również jako potężne narzędzia retoryczne, stosowane w sposób strategiczny i często bardzo skuteczne w oddziaływaniu na odbiorców. Być może najbardziej uderzające w języku stosowanym w rekrutacji są jego ogólność i niekonkretność; wielokrotnie pojawiają się (użyte bezpodstawnie) takie terminy jak **umiejętności**, **przywództwo** i **wielokulturowość**. W wyniku ich analizy autorka przedstawia przekonujące argumenty na rzecz istotności takich semantycznie pustych terminów oraz rozwija tezy Silversteina<sup>8</sup> i Parmentiera<sup>9</sup> mówiące o tym, że terminy, które są najgłębiej zakorzenione w danej społeczności kulturowej – i uważane za kluczowe dla niej lub ją definiujące – nie mają często desygnatów. Zawdzięczają one swoją siłę raczej funkcjom indeksalnym, które pełnią w łączeniu – lub **sugerowaniu** łączności – różnych pól dyskursywnych. Terminy, na których skupia się w swoim badaniu Urciuoli, służą jako takie właśnie wskaźniki, szyftery. Co więcej, autorka pokazuje, w jaki sposób władze uczelni wykorzystują te terminy jako kluczowe elementy strategiczne w swoich działaniach marketingowych, w szczególności łącząc edukację humanistyczną i jej zakładane osiągnięcia intelektualne z wartościami charakterystycznymi dla świata biznesu i zarządzania<sup>10</sup>.

Istotne opracowanie tego problemu przedstawił nieżyjący już Bill Readings w książce *Uniwersytet w ruinie*<sup>11</sup>. Readings rozpoczyna swoją krytykę współczesnego szkolnictwa wyższego od przyjrzenia się wszechobecnemu, ale pustemu i pozbawionemu zakotwiczenia pojęciu „doskonałości” w dyskursie administratorów uczelni, a czasami także samych wykładowców. Następnie dowodzi, że jest to jedna z oznak rozpadu wcześniejszego, często niewypowiedzianego, konsensu w sprawie wartości szkolnictwa wyższego i ideologii związanych przeważnie z konkretnymi państwami narodowymi, a także rosnącego znaczenia globalnej, rozproszonej i elastycznej ekonomii politycznej. W przypadku NSF szerokie ramy, w których dokonano dość konkretnych i wyraźnych zmian w zakresie dokumentacji i polityki, są rzeczywiście określone bardzo niejasno. Być może, zgodnie z niektórymi tezami Readingsa, wielokrotne podkreślanie w dokumentach założycielskich wagi takich idei przewodnich jak doskonałość może zastąpić wcześniejszą milczącą zgodę co do wartości leżących u podstaw pracy NSF – lub jakiegokolwiek innej instytucji.

Pragnę tutaj pokazać potencjał badawczy postrzegania jako wskaźników [*shifters*] nie tylko **doskonałości** [*excellence*], ale również innych terminów, które pojawią się później, takich jak: **rozliczalność** [*accountability*], **interesariusze** [*stakeholders*] oraz **korzyść** [*benefit*]. Tak jak **umiejętności** [*skills*] oraz pojęcia pokrewne z artykułu Urciuoli opisują pożądane cechy przyszłych menedżerów, tak **korzyść** i **rozliczalność** odnoszą się do wzorców kontroli i władzy organizacyjnej. Za sprawą takich wskaźników [*shifters*] sfery, które dotąd były od siebie oddalone, stykają się ze sobą. Dzięki powstaniu powtarzalnych **połączeń** można przełożyć

technikę z jednej dziedziny na drugą. Marilyn Strathern dowodziła, że rozwój akademickich procedur audytu prowadzi do wytwarzania zbyt wielu szczególnego rodzaju oczyszczonych z kontekstu informacji, ponieważ sprawiają one, że „celem stają się umiejętności transferowalne [...], ograniczając to, co sprawia, że dana umiejętność jest efektywna – jej osadzenie”<sup>12</sup>. W nowej przestrzeni semantycznej, ustanowionej poprzez przyjęcie tak dobrze rozpoznawalnych, choć niedefiniowalnych pojęć jak „doskonałość”, znaczenie środków technicznych [*technique*] – wraz z ich ciągłym ulepszaniem i rozwojem – staje się bezdyskusyjne. Wspomniane wcześniej napięcie między mglistymi pojęciami ukierunkowującymi a bardzo szczegółowymi terminami i definicjami dotyczącymi praktyki nie jest być może paradoksalne; prawdopodobnie jedno umożliwia drugie.

Obawy te współbrzmiały oczywiście z często podnoszoną krytyką „kultury audytu” we współczesnej Wielkiej Brytanii – zwłaszcza konsekwencji ciągłej oceny formalnej nauczania, badań i finansowania szkolnictwa wyższego. Prace Powera<sup>13</sup>, Strathern<sup>14</sup> oraz Shore’a i Wright<sup>15</sup>, do których jeszcze powrócę, są nie tylko odkrywczymi, ale prowokują też do dalszej refleksji. Mimo że konkretne sytuacje różnią się pod wieloma względami, znamienne są tutaj ich punkty wspólne, jak chociażby rozwój sformalizowanych praktyk zarządzania i oceny, znaczenie rozbudowanych technicznie modeli rozliczalności oraz rosnące zaangażowanie samych nauczycieli akademickich w te działania.

Kolejnym obszarem badań jest niepokojące odradzanie się metody klasyfikowania jako podstawowej praktyki we współczesnym społeczeństwie. Przykładowo, Bowker i Star zauważają, że „system klasyfikacji to zestaw pudełek (metaforycznych lub dosłownych), do których można włożyć rzeczy, aby następnie wykonały one pewnego rodzaju pracę – biurokratyczną lub związaną z wytwarzaniem wiedzy”<sup>16</sup>. Jak dowodzą dalej, „praca nad tworzeniem, utrzymywaniem i analizowaniem systemów klasyfikacyjnych ma bardzo złożony charakter. Jest to jeden z głównych wynalazków nowoczesności, w tym nauki i medycyny. Ma również, naszym zdaniem, podstawowe znaczenie dla życia społecznego”<sup>17</sup>. Z pewnością jest to kluczowa praca dla takich biurokracji zaangażowanych w wytwarzanie wiedzy jak NSF. Ale omawiany tutaj system różni się od przypadków analizowanych przez Bowkera i Star, których badania objęły obszar od ICD (*International Classification of Diseases*, Międzynarodowa Klasyfikacja Chorób) po kategorie rasowe w czasach apartheidu w RPA. Po pierwsze, elementy schematów klasyfikacyjnych, którymi autorzy się zajmują, są generalnie uważane przez ich użytkowników za naturalne – lub naturalizowane – typy odzwierciedlające istniejące wcześniej rozróżnienia. Natomiast przy ocenie wniosków i projektów miejsca w „pudełkach” są raczej względne niż bezwzględne, przyznawane na podstawie analizy porównawczej i negocjacji. Co więcej, podczas gdy większość systemów klasyfikacji prawie zawsze składa się z rzeczowników, język kluczowy dla prac klasyfikacyjnych NSF jest przede wszystkim i w dosłownym sensie przymiotnikowy.

Niniejszy tekst to część szerszego przedsięwzięcia: skoncentrowanego na języku etnograficznego studium wniosków o granty badawcze jako szczególnie istotnego gatunku piśmiennictwa akademickiego oraz praktyk i zdarzeń związanych z ich czytaniem i oceną<sup>18</sup>. Stosowana przeze mnie metodologia wynikała ze zmiany statusu z uczestnika na obserwatora (dzięki kompetentnej i nieocenionej pomocy pracowników zajmujących się tym programem i innych członków panelu oraz wykorzystaniu doświadczenia zdobytego podczas trzech lat zasiadania w interdyscyplinarnym panelu NSF). Ponadto przez sześć lat (trzy na początku lat dziewięćdziesiątych i trzy pod koniec tej dekady) uczestniczyłem – jako członek, a czasami jako przewodniczący – w pracach NSF Graduate Research Fellowship Panel for Anthropology, Sociology, and Linguistics; byłem również członkiem paneli i recenzentem zewnętrznym dla innych instytucji. Z czasem też coraz bardziej świadomie wypełniałem te formularze. W tekście wykorzystuję również przeprowadzone wywiady oraz inne publicznie dostępne dokumenty i memoranda NSF, zarówno wydane drukiem, jak i zamieszczone w internecie.

Rdzeń moich etnograficznych rozważań składa się z trzech części. W pierwszej rozpatruję same formularze jako teksty i ramy, skupiając się na tym, jak wyglądają pod względem wizualnym, do odpowiedzi na jakie pytania zachęcają respondentów i jak – zarówno poprzez formę, jak i język – wpływają na sposoby, na które można udzielić odpowiedzi. W drugiej części moją inspiracją stało się wprowadzone przez Harpera instruktywne pojęcie „kariera” [*career*] dokumentu: jakie „działania z dokumentami”<sup>19</sup> są regularnie podejmowane przez pracowników instytucji

i w jaki sposób dokumenty nie tylko wynikają z ich pracy, ale jednocześnie przyczyniają się do jej zdefiniowania? Wreszcie, dopełnieniu refleksji nad karierami tych dokumentów służy analiza zmian w formularzach wprowadzonych w 1998 roku, która pozwala przedstawić ich szerszą historię oraz odpowiada na pytania, dlaczego i w jaki sposób zostały one zmodyfikowane i jakie miało to konsekwencje – zarówno spodziewane, jak i nieprzewidziane – dla autorów, czytelników oraz pracowników administracyjnych. Następnie przejdę do szerszego, choć krótkiego omówienia dokumentów, gdzie odwołam się do niektórych przywołanych już kwestii teoretycznych. Na koniec rozważę, w jaki sposób takie teksty i praktyki mogą przekładać się na szersze zagadnienia „audytu, polityki i etyki”<sup>20</sup>, oraz zastanowię się nad szczególną rolą, jaką etnografia skoncentrowana na języku może odegrać w ich badaniu.

## Formularze i ramy

[Pierwszy z omawianych] formularzy [...] został zatwierdzony w 1987 roku i był używany w ramach konkursu stypendialnego NSF dla magistrantów i doktorantów przez następne jedenaście lat. Każda osoba ubiegająca się o stypendium miała poprosić o jego wypełnienie czterech pracowników naukowych lub innych rekomendujących. Od strony wizualnej w formularzu zwraca uwagę kilka rzeczy: różnorodność krojów pisma, jego odmian i wielkości liter; małe pola do zaznaczania wyborów i kropkowane linie wskazujące miejsca do wypełnienia; niewiele miejsca pozostawionego na komentarz zawierający opisową ocenę oraz numerowana lista terminów do użycia w końcowej ewaluacji, ułożona ukośnie, składająca się z haseł zapisanych pogrubioną czcionką i ich krótkich objaśnień. To wytwór sprzed epoki edytorów tekstu, i jest to widoczne. Byłoby nawet trudno, choć jest to wymagane, wypełnić go na maszynie do pisania. Pod wieloma względami jest to także formularz, w przypadku którego nie oczekuje się uważnej lektury.

Kilka elementów dokumentu wskazuje – bez żadnego rozwinięcia – zarówno na jego genezę, jak i jego dalsze organizacyjne przeznaczenie. Z perspektywy osoby wypełniającej formularz wiele z tych cech nie ma znaczenia, ponieważ nie dają wskazówek ani konkretnych wyjaśnień dotyczących procesu recenzowania. Świadczy to o tym, że formularz jest adresowany do innych odbiorców niż osoby go wypełniające. To, co niektórym czytelnikom może wydawać się zwykłym szablonem, w innych kontekstach okazuje się całkiem istotne<sup>21</sup>. Schemat ten zwraca uwagę na podstawowe pytanie nasuwające się podczas praktycznego i analitycznego czytania tych dokumentów: które części formularzy można traktować jako ramę, a które jako treść?

Szczególnie pomocne jest tu pojęcie „ramy”, wprowadzone przez Batesona<sup>22</sup>. W przypadku interakcji twarzą w twarz, twierdzi Bateson, „rama ma charakter metakomunikacyjny. Każdy przekaz, który jawnie lub w sposób domyślny określa ramę komunikacji, instruuje odbiorcę lub pomaga mu zrozumieć przekazy ujęte w ramę”<sup>23</sup>. Takie formularze [...] jak [ten omawiany – przyp. tłum.] stanowią szczególny rodzaj dokumentu, który wymaga pełnego zaangażowania drugiej strony („rozmówcy”). W istocie dostarczają one struktury dla ukierunkowanych odpowiedzi. Uderzająca w tych drukach jest jednak względna łatwość, z jaką można się wpasować w ramę. Metakomunikacyjny nacisk na instruowanie osoby, która je wypełnia, jest dość wyraźny; jednocześnie, ze względu na ich przyziemny charakter, to, że używane są rutynowo i często są dosłownie nieczytelnie, wiele innych istotnych ich cech ulega zatarciu.

W głównej części dokumentu od respondenta wymaga się zarówno dokonania oceny opisowej, jak i podania konkretnych informacji. Wypełniający jest następnie proszony o podsumowanie „ogólnych zdolności naukowych kandydata”, ale bez wyraźnego odwoływania się do wspomnianej oceny – musi wybrać odpowiednie określenie i zaznaczyć przypisane do niego numerowane pole. Aby ułatwić mu zadanie, do określeń dodano dość jasne, choć częściowo wewnętrznie sprzeczne, parafrazy ich definicji; na przykład kogoś, kto jest „wybitny” [*outstanding*], można „porównać do najlepszego studenta w grupie. Należy do 5% najlepszych studentów”. Szczególnie ważne jest to, **w jaki sposób** definiowane są kategorie opisu. Wydaje się, że są to klasyczne definicje referencyjne, czyli X (na przykład „wyróżniający się” [*unusual*]) **oznacza** Y („Należy do kolejnych 5% najlepszych studentów”). Ta praktyka definiowania wydaje się odpowiadać określeniu języka współczesnych instytucji przez Ewalda jako „precyzyjnego

i pewnego”<sup>24</sup>. Nie jest ona dla nas szczególnie zaskakująca, ponieważ przypomina słownik; jak inaczej mogłoby być? Trzeba koniecznie zauważyć, że osoby rekomendujące są z założenia stronami zainteresowanymi w procesie aplikacyjnym danego kandydata; wprowadzenie dyscypliny w zakresie definicji może powstrzymać ich bardziej stronnicze zapędy.

Jeśli chodzi o drugi z rozpatrywanych tutaj dokumentów, formularz oceny wniosku badawczego, który do października 1997 roku był dołączany do wniosków o dotacje, wysyłanych przez NSF zarówno do recenzentów zewnętrznych, jak i do członków panelu, to jest on częściowo podobny do poprzednio omawianego, widoczne są jednak także pewne różnice między nimi. Na pierwszej stronie [...] podane są nazwa wniosku i numer sprawy, a także imię i nazwisko wnioskodawcy. Bardziej istotna jest odwrotna strona formularza [...]. Na górze znajduje się krótkie omówienie „statutowych obowiązków” NSF i jej celu, jakim jest finansowanie „najbardziej wartościowych badań, zarówno podstawowych, jak i stosowanych”. Osoba, która otrzymała wniosek badawczy i formularz jego oceny, proszona jest „o zarówno wpisanie komentarzy, jak i dokonanie podsumowującej ewaluacji [...] przy użyciu poniższych kryteriów”. Cztery kryteria obejmują: „kompetencje w zakresie pracy badawczej” – które zostały określone jako „kryterium podstawowe” lub warunek *sine qua non* finansowania – a ponadto funkcjonalnie powiązane kryteria „wartości autotelicznej badań” [*intrinsic merit*] i „użyteczności lub przydatności badań”, które należy podkreślić w przypadku wniosków dotyczących odpowiednio badań podstawowych i badań wdrożeniowych. Czwarte kryterium służy do oceny wniosków dotyczących szerszego wsparcia programowego i edukacyjnego, niekoniecznie obejmującego badania *sensu stricto*. Dotychczasowe osiągnięcia i skuteczność proponowanych strategii badawczych mają kluczowe znaczenie dla decyzji o przyznaniu finansowania, natomiast wartość i znaczenie poruszanych kwestii odgrywają drugorzędną rolę.

Drugą kwestią, na którą należy zwrócić uwagę, jest sposób, w jaki definiowane są określenia używane w „ocenie podsumowującej”. W przeciwieństwie do kategorii w formularzu oceny szczegółowej kandydata, które mają słownikowe definicje, tutaj bierze się pod uwagę szanse wniosku na uzyskanie finansowania. Podczas gdy w pierwszym formularzu ocenę „wybitny” powinno się przyznawać tylko tym, którzy należą do 5% najlepszych studentów w przeciętnej grupie, w drugim ocena „doskonały” [*excellent*] jest formułowana w odniesieniu do puli zgłoszonych wniosków. Dokonanie takiej oceny porównawczej jest szczególnie trudne, gdy oceniający czyta tylko jeden lub dwa wnioski w danym cyklu finansowania, a tak jest w przypadku większości recenzentów zewnętrznych. W związku z tym recenzentom zaleca się wybranie kategorii „doskonały”, jeśli chcą, aby projekt znalazł się w „10 proc. najlepszych wniosków [...], które powinny uzyskać wsparcie w pierwszej kolejności”. W instrukcji dla wypełniającego formularz wyjaśniono, że „ta kategoria powinna być przyznawana tylko naprawdę wybitnym wnioskom”. Nie mamy tu jednak do czynienia jedynie z terminami definiowanymi referencyjnie, ponieważ recenzenci mogą korzystać ze środków o bardziej retorycznym charakterze i są proszeni o porównanie wniosków za pomocą szerszego zestawu [określeń], który zazwyczaj mogą sobie tylko wyobrazić. W tym przypadku, jako że osoby wypełniające formularz są z założenia bezstronne, możliwe jest korzystanie z tego rodzaju środków.

W 1999 roku w procesie aplikacyjnym wprowadzono nowy formularz [...]. Różni się on wyraźnie wyglądem od swojego poprzednika. Jest znacznie bardziej przejrzysty i ujednolicony pod względem wizualnym i typograficznym. Irytujące okienka zostały zastąpione przez wyróżnione podkreśleniem rubryki, [formularz zawiera] rodzaj tabeli z konkretnymi kategoriami i wariantami oceny, znacznie więcej miejsca przewidziano na ocenę opisową. Wprawdzie nie można go przesłać drogą elektroniczną, wypełnienie go na komputerze wydaje się możliwe. Zmianie uległa też ogólna kolejność elementów w dokumencie. Dodano część zatytułowaną „charakterystyka naukowa”, która składa się z tabeli zawierającej osiem cech (na przykład motywacja i wytrwałość, wyobraźnia i potencjalna kreatywność) oraz skalę ich oceny od „naprawdę wyjątkowy” [*truly exceptional*] do „poniżej przeciętnej” [*below average*]. Są to te same kategorie, co we wcześniejszym formularzu, ale nie wyjaśnione za pomocą definicji opisowych, tylko wyrażone w wartościach procentowych, na przykład: „naprawdę wyjątkowy ([należący do] 1 proc. najlepszych)”. Respondent jest następnie proszony o ocenę „ogólnych zdolności naukowych kandydata” przy użyciu tych samych określeń, co w poprzedniej tabeli, jednak tym razem niejasne, choć wciąż istotne liczby są umieszczone pod odpowiednimi wierszami.

Miejsce na wpisanie komentarza znajduje się na odwrocie formularza – to różnica w stosunku do wcześniejszej wersji, w której „Komentarz” był wciśnięty między część informacyjną a ocenę całościową. Co najbardziej uderzające, recenzent zostaje poinstruowany, że jego komentarz „powinien uzasadniać ocenę ze strony 1”, co ma w znacznie bardziej bezpośredni sposób pokierować jego zachowaniem – NSF jasno określa swoje oczekiwania i standardy co do tego, jakie wpisy są odpowiednie. Uwagę zwraca bardziej przemyślana struktura nowego formularza. Prowadzi on recenzenta od rozważenia konkretnych cech kandydata poprzez jego ogólną charakterystykę do wypowiedzi [*prose*], która – aby była przekonująca – musi odzwierciedlać wcześniejsze osądy.

Nowy formularz oceny wniosku badawczego jest pod pewnymi względami podobny do formularza oceny szczegółowej kandydata, m.in. zastosowano w nim mniejszą liczbę krojów pisma i nadano mu bardziej przejrzysty wygląd [...]. Jednak najbardziej rzuca się w oczy jego zmieniona struktura. Jedna strona to sam tekst [wprowadzający – przyp. tłum.], który tym razem otwiera „Instrukcja dotycząca oceny wniosku”, zamieszczona zamiast „Informacji dla recenzentów”. Te nowe wytyczne wskazują od razu pożądane cechy użytecznej recenzji. Podobnie jak w przypadku nowego formularza oceny kandydata, także i ten dokument znacznie wyraźniej określa, co powinna zawierać dobra recenzja, i przedstawia wiele szczegółowych sugestii dotyczących „tego, co można potencjalnie brać pod uwagę podczas oceny”. Nowe formularze zawierają znacznie więcej wytycznych i przenoszą odpowiedzialność za ich treść na osoby wypełniające, zarówno na autorów rekomendacji, jak i recenzentów.

[...]

Być może najważniejsza była zmiana kryteriów oceny. Zamiast czterech kryteriów z wcześniejszego formularza, tutaj mamy tylko dwa:

Kryterium 1. Jaka jest wartość intelektualna proponowanych działań?

Kryterium 2. Jakie jest szersze oddziaływanie proponowanych działań?

We wcześniejszym zestawie kryteriów kluczowe były jakość badań naukowych wnioskodawcy i rygorystyczne przygotowanie projektowanego badania, natomiast „wartość merytoryczna” [*intrinsic merit*] i „użyteczność lub znaczenie” stanowiły elementy drugorzędne, w zależności od tego, czy wniosek dotyczył badań podstawowych czy wdrożeniowych. Mimo że w „tym, co można potencjalnie brać pod uwagę podczas oceny”, widać nawiązania do wcześniejszych kryteriów, nowe kryteria skupiają się w równym stopniu na „wartości intelektualnej” i „szerszym oddziaływaniu”. Nie ma już również wyraźnego kryterium podstawowego, a względna waga tych dwóch kryteriów może się różnić.

---

## Kariera dokumentów

Aby zrozumieć te zmiany, należy przyjrzeć się formularzom w kontekście konkretnych corocznych procesów administracyjnych, których są one elementem, czyli przeanalizować ich „karierę” – do jakich „działań z użyciem dokumentów”<sup>25</sup> są zwykle wykorzystywane – a także prześledzić kolejne sytuacje, w których pełnią szczególnego rodzaju rolę kwalifikacyjną. Trzeba też krótko omówić szerszą historię polityki administracyjnej NSF w połowie lat 90. oraz zmianę celów instytucji, która wyznaczyła ramy dla nowych formularzy. W kolejnych dwóch częściach zajmę się najpierw zagadnieniem kariery dokumentów, a następnie kontekstami nowej polityki NSF, zwłaszcza wyrażonej w licznych oświadczeniach, raportach i zarządzeniach mających wpływ na kształt nowych formularzy.

Przy ubieganiu się o stypendium badawcze dla magistrantów i doktorantów należy zawsze dostarczyć cztery listy rekomendacyjne. Listy te są wysyłane do organizacji, która w ramach umowy zarządza procesem oceny wniosków składanych do NSF (we wczesnych latach dziewięćdziesiątych była to National Research Council [NRC] stanowiąca oddział National Academy of Sciences, od połowy lat dziewięćdziesiątych jest to zaś Oak Ridge Associated Universities [ORAU], regionalne konsorcjum z siedzibą w Tennessee). [Na początku – przyp. tłum.] liczbowe odpowiedniki sumarycznych ocen wystawionych przez recenzentów zostają wprowadzone do wyrażonej w kategoriach ilościowych charakterystyki [*profile*] każdego kandydata. Następnie wstępne wyniki są czytane przez członków panelu w ramach procesu ewaluacyjnego. Sposób

działania panelu omówiłem szczegółowo w innym miejscu<sup>26</sup>, ale warto tu podkreślić kilka jego aspektów. Po pierwsze, mimo że znaczenie wartości liczbowych przypisanych do poszczególnych sumarycznych ocen nie jest do końca jasne dla osób wypełniających formularz, to w rzeczywistości odgrywają one ważną rolę w tworzeniu charakterystyki ilościowej każdego kandydata oraz w przygotowaniu wstępnych list rankingowych.

Spotkania panelowe, podczas których rozpatrywano rekomendacje na początku lat dziewięćdziesiątych, miały kilka wyraźnych cech. Na najwcześniejszym, potencjalnie dość ważnym [etapie] rekomendacje pojawiają się zredukowane do liczb, których wagę i istotę trudno wywnioskować na podstawie samych formularzy. Co więcej, członkowie paneli przywiązywali do listów rekomendacyjnych różną wagę zależnie od dyscypliny. Ponadto wyniki dyskusji panelowych przybrały postać innego rodzaju dokumentu: listy nazwisk uszeregowanych według określonej punktacji, którą następnie przekazywano do NSF. Co najważniejsze, uczestnicy dyskusji panelowych często nie byli pewni, jakie kryteria NSF przyjęła w algorytmie przydziału, który stosowano w przypadku kandydatów zaliczonych do grupy rankingowej nr 2 [*Quality Group 2*], gdzie około połowa wniosków miała otrzymać finansowanie. Wreszcie, NRC kierowała się wyraźnym, choć nie zawsze wyrażonym wprost założeniem, że oceny panelistów nie są jedynie opiniami, ale mogą jako całość być uznane za obiektywny obraz potencjału rozpatrywanych kandydatów, nawet jeśli taki obraz musiał być przedstawiony w relacji do innych aplikujących. Na tym założeniu opierał się zestaw wysoce sformalizowanych praktyk czytania i oceny wniosków.

Omówię teraz krótko karierę formularzy służących do oceny wniosków [badawczych – przyp. tłum.]. Różniła się ona [od tej omówionej wyżej – przyp. tłum.] pod kilkoma względami. Po pierwsze, w każdym cyklu finansowania innego rodzaju panele proszą o takie recenzje i w inny sposób je oceniają. Na przykład w interdyscyplinarnym panelu, w którym uczestniczyłem, w większości przypadków o dokonanie takiej oceny proszono tylko samych członków (około połowę z nich); nie zwracano się o to do zewnętrznych recenzentów. Pisemne oceny były zatem omawiane podczas naszych dyskusji panelowych jako część procesu recenzyjnego [*peer review*], ale ich autorzy zawsze uczestniczyli w tych rozmowach. W większości paneli poświęconych jednej dyscyplinie, przynajmniej w naukach społecznych, dominował inny model. Osoby odpowiedzialne za proces recenzyjny często prosiły o przeczytanie i ocenienie danego wniosku tylko jednego lub dwóch członków panelu – specjalizujących się w obszarach najbliższych zagadnieniom poruszonym w projekcie – a ponadto zwracały się z tą samą prośbą do kilku zewnętrznych recenzentów (zwykle od trzech do ośmiu). Podczas samych dyskusji panelowych jeden z panelistów, który recenzował wniosek, pełnił rolę głównego recenzenta, przedstawiając nie tylko swoją opinię, ale także omawiając i oceniając odpowiedzi recenzentów zewnętrznych. Przy takim podejściu teksty były odczytywane zupełnie inaczej; sami autorzy recenzji stawali się pod wieloma względami częścią recenzowanego materiału. Proces recenzyjny, w którym recenzenci nie uczestniczą w omawianiu opinii na temat wniosków, różni się od sytuacji, gdy udział w dyskusjach biorą wszyscy oceniający, zwłaszcza biorąc pod uwagę duże znaczenie przywiązywane do dbania o dobre relacje między panelistami<sup>27</sup> i mniejszą wagę takich skrupułów, gdy omawiane i oceniane są recenzje zewnętrzne.

Druga ważna różnica wynika ze zmiany kryteriów oceny. W tym miejscu mogę się wypowiadać jedynie o wcześniejszej sytuacji. Ponieważ obiecujących wniosków badawczych było zawsze więcej, niż mogliśmy sfinansować, w celu ograniczenia puli kandydatów konsekwentnie odwoływaliśmy się do dokumentów ramowych – opisu programu [stypendialnego – przyp. tłum.], jasnych kryteriów oceny itp. Takie teksty były traktowane bardzo poważnie – i często dosłownie. Dyskusje panelowe stanowiły zazwyczaj wspólne ćwiczenia interpretacyjne, skupiające się w równym stopniu na „prawdziwych” znaczeniach tych dokumentów i na tym, na ile konkretne wnioski do tych znaczeń pasowały, jak i na samych projektach rozważanych w odezwaniu od nich. Trudno sobie wyobrazić, że teraz ten podstawowy proces decyzyjny w ramach panelu uległ radykalnej zmianie; obecnie główną i mającą największe znaczenie podstawą dyskusji i podejmowania decyzji związaną z dokumentami stały się najprawdopodobniej dwa nowe kryteria.



---

## Historie

Omawiane dokumenty są osadzone w wielu kontekstach. Czasem jest on bardzo lokalny, na przykład praktyka instytucji podporządkowanej NSF, a czasem znacznie szerszy, jak polityka federalna i nadzór administracyjny. Zajmę się najpierw tymi bardziej lokalnymi wymiarami, a następnie rozważę ich ponadlokalne aspekty. W 1999 roku, czyli w tym samym, w którym do procesu oceny wniosków w programie stypendialnym dla magistrantów/doktorantów wprowadzono nowe formularze oceny, zmieniono też zasadniczo samą formułę konkursu i podjęto znaczne wysiłki w celu poprawienia trybu procedowania paneli. Główną zmianą było połączenie „wszystkich konkursów na stypendia dla absolwentów. Po raz pierwszy od 1978 roku zastosowano jedną procedurę postępowania i recenzowania wniosków o przyznanie stypendiów dla absolwentów i członków mniejszości [...]. [Zdecydowano – przyp. tłum.], że nie będzie oddzielnych stypendiów dla członków niedostatecznie reprezentowanych grup mniejszościowych”<sup>28</sup>. Jak napisano we „Wskazówkach dla panelistów”, restrukturyzacja ta, „podjęta na najwyższych szczeblach NSF, jest zgodna z nową polityką różnorodności wprowadzoną przez Fundację. Zwiększanie szans i umożliwianie uczestnictwa wszystkim obywatelom – kobietom i mężczyznom, członkom mniejszości i osobom niepełnosprawnym – ma zasadnicze znaczenie dla zapewnienia zdrowia i żywotności nauki i inżynierii”<sup>29</sup>.

Podczas odprawy dla przewodniczących paneli na początku sesji w 1999 roku dr Susan Duby, dyrektorka NSF ds. programu stypendialnego dla magistrów i doktorantów, zwróciła uwagę na jeszcze jeden czynnik. Na spotkaniach w poprzednim roku ogłoszono, że przeciwko NSF wniesiono pozew kwestionujący zgodność z prawem programu stypendiów dla członków mniejszości. Doktor Duby powiedziała przewodniczącym, że „NSF zawarła w czerwcu 1998 roku ugodę, która nie nakładała na nią żadnych warunków dotyczących kształtu programu stypendialnego”<sup>30</sup>. Należy zauważyć, że w tym samym czasie, gdy poprzedni system, który przewidywał oddzielny konkurs przeznaczony dla członków mniejszości, był zagrożony, szersza zmiana polityki NSF pozwoliła uwzględnić w większym stopniu kwestię różnorodności, a wręcz uczynić ją istotnym punktem spotkań panelowych.

Rozwijając kwestie związane z ujednoceniem programu stypendialnego, dr Duby wskazała dwie ogólne zmiany w procedurach panelowych na rok 1999. Po pierwsze, przewodniczący paneli mieli poprosić ich członków o to, by „dążyli do osiągnięcia (...) większej równowagi między czynnikami ilościowymi i jakościowymi w ocenie wniosków”<sup>31</sup>, co w praktyce oznaczało, że zachęcali oni do wnikliwszego czytania materiałów, zarówno dostarczonych przez kandydatów, jak i opinii osób rekomendujących. Po drugie, dr Duby przedstawiła przewodniczącym poprawione kryteria NSF, które omówiłem wcześniej, i zachęciła ich do przedyskutowania nowych zasad postępowania z panelistami. Na podstawie własnego zdobytego w poprzednich latach doświadczenia z pracy w roli przewodniczącego mogę stwierdzić, że otwarta dyskusja na temat ogólnych kryteriów NSF była czymś nowym; wcześniej działaliśmy niezależnie od nich.

Ostatnim ważnym elementem zmian dokonanych w 1999 roku był sposób określania skali ocen, czyli punktacji używanej do oceny kandydatów. W poprzednich konkursach wartości liczbowe służące do oceny poszczególnych wnioskodawców wyznaczano całkowicie niezależnie od opisów grup rankingowych, do których ostatecznie te osoby przydzielono [np. do grupy „wybitni”, grupy „wyróżniający się” itd. – przyp. red.]. W konkursie z 1999 roku uznano jednak, że „definicje skali ocen i grup rankingowych [Quality Groups] są bezpośrednio powiązane”<sup>32</sup>. W instrukcji dla panelistów stwierdzono następnie, że w wyniku tej zmiany pojedynczemu paneliście powinno być trudniej „wpłynąć nadmiernie na ostateczny ranking poprzez przyznanie wysokiej oceny nieproporcjonalnie dużej liczbie kandydatów”<sup>33</sup>. Oznacza to, że członkowie paneli będą zmuszeni do ściślejszego kontrolowania własnych rankingów ze względu na nową strukturę definicyjną.

Nowe definicje łączą ocenę jakości poszczególnych wniosków z ich prawdopodobnym dalszym losem, przez powiązanie ich bezpośrednio z przypisaniem do grupy rankingowej. Istnieje tutaj wyraźne napięcie między samymi kategoriami opisowymi, które są ujęte w terminach bezwzględnych – przykładowo określenie „naprawdę wyjątkowy lub wybitny kandydat”<sup>34</sup>, gdzie jednak nieuniknione jest odwołanie się do właściwego rankingowi aspektu względności („wybitny” w porównaniu do kogo?) – oraz definicjami porównywanymi względem siebie grup, które

są dyrektywne i zarazem oparte na bardziej retorycznej teorii tego, w jaki sposób kategoryzacja powinna oznaczać średnią.

Skutkiem wprowadzenia dwóch nowych kryteriów, w szczególności nacisku położonego na „szersze oddziaływanie”, oraz zachęcenia panelistów do „rozważenia czynników, które zwiększą różnorodność puli [kandydatów – przyp. tłum.]”, jednak **bez** „stosowania jakiegokolwiek systemu kwotowego”, był zupełnie inny sposób czytania wniosków przez członków paneli niż w latach poprzednich. Pozwolono im, a nawet zachęcano, by uwzględniali oprócz innych czynników to, „na ile [...] ten kandydat zwiększyłby udział niedostatecznie reprezentowanych grup” [...]. Co więcej, znowu w przypadku panelu nauk społecznych B, kryterium to zmieniło zupełnie przebieg dyskusji prowadzonych w ostatnim dniu posiedzeń, kiedy omawiano trudne kwestie dotyczące punktów granicznych i ostatecznej punktacji. Oprócz istotnych zmian kryteriów kluczowych dla obrad panelu, zmianą było również to, że w dyskusjach podczas ostatniego dnia uczestniczyli raczej wszyscy jego członkowie, a nie tylko ci, którzy byli bezpośrednio zaangażowani [w ocenę danego wniosku – przyp. tłum.].

Aby zrozumieć, w jaki sposób doszło do opracowania nowych formularzy ewaluacyjnych, należy też przyjrzeć się, choćby pokrótce, ogólnemu kontekstowi administracyjnemu i problemom, z którymi borykał się NSF na początku lat dziewięćdziesiątych. Kilka związanych z tym czynników jest szczególnie ważnych. Sytuacja budżetowa rządu federalnego była wówczas zła, zarówno ze względu na stan gospodarki Stanów Zjednoczonych, jak i często nieprzychylną postawę Kongresu. Silne obawy budziło to, czy proces recenzyjny jest sprawiedliwy, zwłaszcza wobec stosunkowo niewielkiego udziału w nim młodszych naukowców, kobiet i przedstawicieli niedostatecznie reprezentowanych mniejszości. W wyniku kilku głośnych skandali, zarówno prawdziwych, jak i nieco wyolbrzymionych, wokół badań finansowanych ze środków publicznych narosła atmosfera podejrzliwości, jeśli nie wręcz wrogości. Ponadto kilka komisji Kongresu, które nadzorują zarządzanie badaniami federalnymi, wyraziło wątpliwości co do relatywnej wagi badań podstawowych, zwłaszcza po zakończeniu zimnej wojny. Wreszcie, cechą charakterystyczną wczesnych lat dziewięćdziesiątych było wprowadzenie nowych modeli zarządzania oraz położenie nacisku na rozliczalność, zwłaszcza w obliczu ograniczonych zasobów i ówczesnego klimatu politycznego. W Wielkiej Brytanii za rządów Thatcher podobne obawy przyczyniły się do powstania „kultury audytu”<sup>35</sup>. Odpowiedzią amerykańskiego środowiska naukowego na te wyzwania było skupienie się raczej na wypracowaniu bardziej rygorystycznych sposobów oceny niż audytu w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Główny akt prawny dotyczący tego zagadnienia uchwalono jako część inicjatywy mającej na celu zreformowanie rządu, której przewodził wiceprezydent Al Gore. Zwany formalnie Ustawą o wydajności i wynikach rządu (GPRA) z 1993 roku<sup>36</sup>, został opisany jako „prosta ustawa, która zobowiązuje wszystkie urzędy federalne do zarządzania swoimi działaniami z uwzględnieniem ich konsekwencji. Każdy urząd powinien jasno określić, co zamierza osiągnąć, ustalić zasoby, które są do tego potrzebne, i przygotowywać dla Kongresu cykliczne sprawozdania ze swoich postępów. Oczekuje się, że w ten sposób GPRA przyczyni się do zwiększenia odpowiedzialności za wydatkowanie środków publicznych, usprawni podejmowanie decyzji przez Kongres dzięki dostarczaniu mu bardziej obiektywnych informacji na temat skuteczności programów federalnych i będzie promować nowe podejście rządu, skupione na wynikach, świadczeniu usług publicznych i dbaniu o satysfakcję klientów”<sup>37</sup>. Pierwszym raportem NSF, który został opublikowany w oparciu o te regulacje, był *GPRA Performance Report FY 1999*<sup>38</sup>, niemniej ustawa z 1993 roku wywołała poważne dyskusje i zmiany niemal natychmiast po wejściu w życie.

Kolejnym kluczowym dokumentem opracowanym w tym okresie był raport pt. „Proces recenzyjny: reformy niezbędne do zapewnienia sprawiedliwej oceny wniosków w urzędach federalnych” [*Peer Review: Reforms Needed to Ensure Fairness in Federal Agency Grant Selection*], skierowany do senatora Johna Glenny, przewodniczącego senackiej Komisji Spraw Rządowych, przez General Accounting Office<sup>39</sup>. Mimo że, jak zauważyli autorzy, proces recenzowania przez specjalistów z danej dziedziny [*peer review*] „wydaje się działać dość dobrze”, zgłoszono do niego kilka zastrzeżeń. Pierwszym z nich dotyczył stosunkowo niewielkiego odsetka młodszych naukowców i kobiet wśród recenzentów, zarówno członków paneli, jak i recenzentów zewnętrznych. W odniesieniu do sposobu oceniania wniosków różne analizy wykazały, że kluczową rolę w ocenie odgrywała „jakość samego wniosku”, nie zaś jakiegokolwiek „mierzalne cechy recenzentów lub

kandydatów<sup>40</sup>. W raporcie zalecono kontrolowanie na bieżąco procesu recenzyjnego pod kątem możliwej dyskryminacji przy przyznawaniu punktów.

Jednak na decyzję o opracowaniu nowych formularzy wpłynęło przede wszystkim to, że doszukano się „pewnych problemów w stosowaniu kryteriów oceny”. Recenzenci byli niekonsekwentni, jeśli chodzi o uwzględnianie w ocenie kryteriów przyjętych przez daną instytucję oraz [...] stosowanie tychże kryteriów i skali ocen. Wreszcie, w raporcie wspomniano o trudnościach związanych ze szkoleniem recenzentów: „żadna z instytucji nie robi zbyt wiele w celu zapewnienia, by wszyscy recenzenci dobrze rozumieli stosowane w nich kryteria i skalę ocen<sup>41</sup>”. Raport i jego zalecenia odegrały kluczową rolę w procesie oceniania własnych procedur przez poszczególne instytucje oraz w opracowaniu przez nie nowych metod i technik ewaluacyjnych.

Kolejnym ważnym dokumentem opracowanym w odpowiedzi na GPRA był „NSF w zmieniającym się świecie: plan strategiczny dla National Science Foundation” [*NSF in a Changing World: The National Science Foundation's Strategic Plan*]<sup>42</sup>. Plany dotyczące strategii oraz związane z nimi deklaracje misji i wizji były nowymi gatunkami dokumentów, które pojawiły się we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Postrzegano je jako teksty służące z jednej strony przedstawieniu instytucji i ich celów odbiorcom zewnętrznym, a z drugiej – doprecyzowaniu funkcjonujących w ramach tych organizacji koncepcji działalności i przyjętych standardów ewaluacyjnych<sup>43</sup>.

Do „podstawowych strategii” realizacji nakreślonej przez NSF wizji zarządzania [programem stypendialnym – przyp. red.] należał „rozwój kapitału intelektualnego: wyszukiwanie i wspieranie najlepszej działalności prowadzonej przez przedstawicieli grup i na obszarach, które dotychczas nie były w pełni zaangażowane [w pracę badawczą – przyp. tłum.] w zakresie nauk ścisłych, matematyki i inżynierii, w tym wśród kobiet, członków mniejszości i osób niepełnosprawnych<sup>44</sup>”. W planie położono wyraźny nacisk na większą inkluzywność w naukach ścisłych, matematyce i inżynierii. To, jak istotną rolę odgrywa różnorodność, przedstawiono bardziej szczegółowo w kolejnej części dokumentu: „W społeczeństwie demokratycznym, którego dobrobyt i pozycja w świecie zależą w dużym stopniu od nauk ścisłych, matematyki i inżynierii, przedsięwzięcie naukowe nie może się rozwijać, jeśli nie jest dostępne dla wszystkich grup w obrębie populacji. Stworzenie bardziej inkluzywnego i solidnego przedsięwzięcia naukowego poprzez zwiększenie różnorodności pracowników [naukowych – przyp. tłum.] to warunek konieczny, aby zapewnić doskonałość projektu. Czerpanie korzyści w naukach ścisłych, matematyce i inżynierii z możliwości, jakie oferuje zróżnicowana populacja, wymaga od NSF współpracy z partnerami w celu wyznaczenia i przyjęcia odpowiedzialności za to, by talenty społeczeństwa zostały wykorzystane w pełnym zakresie<sup>45</sup>”. Zwiększenie różnorodności to oczywiście cel godny pochwały, a to, że w planie wspomina się o nim często, dodaje mu wagi. Jednak należy zwrócić uwagę na powody, które stoją za przypisywaniem różnorodności tak dużego znaczenia – wartość różnorodności jest wyrażona raczej w kategoriach skumulowanego zysku społecznego niż w starszym języku praw i równych szans jednostek. W końcu to nauka ma korzystać z „zalet, jakie oferuje zróżnicowana populacja”. Pod wieloma względami retoryka ta stanowi przeciwieństwo retoryki używanej w poprzednich dekadach. Drugą charakterystyczną cechą obu przywołanych wyżej cytatów jest podkreślanie znaczenia „doskonałości” bez żadnego sprecyzowania, co ona oznacza lub jak może być mierzona i oceniana.

Znamienne jest również to, że dążenie do różnorodności zostało wyrażone w języku, w którym niedostatecznie reprezentowane grupy stały się interesariuszami [*stakeholders*]; słowo to zostało zapożyczone ze współczesnej literatury dotyczącej zarządzania i działań menedżerskich, podobnie jak pojęcia misji i wizji. Za interesariuszy uznaje się te osoby, które są zainteresowane działalnością danej instytucji i jej wynikami. Konotacje tego słowa odwołują się jednak nie tyle do praw i indywidualnego dostępu, ile do wąsko zdefiniowanej relacji quasi-ekonomicznej, co potwierdza kolejna strategia [NSF – przyp. tłum.], dotycząca partnerstw, w której określono szeroką grupę zainteresowanych stron, a charakter ich „zainteresowania” ujęto w kategoriach quasi-biznesowych. Podobnie jak w przypadku samego gatunku [dokumentów strategicznych – przyp. tłum.], ten dobór języka świadczy wyraźnie o wpływie szerszej teorii i praktyki zarządzania.

Pojęcie zainteresowanych stron pojawia się również w innym dokumencie z 1995 roku – raporcie z „panelu interesariuszy NSF z zakresu językoznawstwa”. Ponieważ „National Science

Foundation musiała dostosować się do nowych wymogów prawnych i opracować konstruktywne zestaw kryteriów oceny efektywności, które mogłyby zostać wykorzystane w kolejnych latach do oceny skuteczności działań NSF<sup>46</sup>, powołano doraźny komitet w celu oceny programu dotyczącego językoznawstwa w NSF. Jego praca miała posłużyć jako wzór przebiegu takiej oceny. Członkowie komitetu zostali nazwani interesariuszami, to znaczy „tymi, którzy odnoszą korzyść z rezultatów jakiegoś działania; niekoniecznie sami je wykonują, ale jego wynik wpływa w jakiś sposób na ich pracę”<sup>47</sup>.

Jednym z konkretnych skutków przyjęcia w 1995 roku planu strategicznego było powołanie przez National Science Board (NSB), czyli organ nadzoru odpowiedzialny za politykę NSF, najpierw grupy zadaniowej NSF Staff Task Group, a następnie wspólnej grupy zadaniowej NSB/NSF Staff Task Force. Miały one zaproponować ulepszenia w zakresie praktyk recenzyjnych w NSF. W „Sprawozdaniu z dyskusji” z listopada 1996 roku [...] [czytamy] „kryteria przyjęte przez NSB wymagają doprecyzowania i powinny zostać poprawione z uwzględnieniem następujących zaleceń: (a) należy lepiej objaśnić oceniającym stosowane kryteria; (b) należy podkreślić wagę takich cech, jak innowacyjność, klarowność myśli i solidność podejścia; oraz (c) należy zachęcić do przedstawiania merytorycznych uwag na temat jakości wniosków”<sup>48</sup>. Grupa zadaniowa poparła ponadto ideę wprowadzenia dwóch nowych kryteriów, które zastąpiły wcześniejsze cztery. Jak stwierdzili jej członkowie, „od NSF coraz częściej wymaga się, by jej nakłady [na projekty naukowe – przyp. tłum.] miały wartość dla społeczeństwa. Jednocześnie powinna ona zapewnić, by system oceny merytorycznej [merit] nadal pozwalał na wybór – z bogatego i zróżnicowanego zestawu – tych projektów, które można uznać za doskonałe. Stosowanie dwóch kryteriów, z których jedno dotyczy wartości intelektualnej, a drugie – wpływu społecznego, powinno pomóc zidentyfikować sytuacje, w których wnioski są bardzo wartościowe, ale ich zdolność wywarcia wpływu społecznego jest niewielka (i odwrotnie). Jakość nadal będzie kryterium podstawowym [przy rozpatrywaniu wniosków – przyp. tłum.], ale sama w sobie będzie uważana za niewystarczającą przesłankę do przyznania finansowania”<sup>49</sup>.

Sformułowanie „wpływ społeczny” nie jest ani jasne, ani jednoznaczne; dla niektórych oceniających może wysuwać na pierwszy plan kwestie różnorodności i równych szans, dla innych może oznaczać zastosowanie [wyników projektu – przyp. tłum.] w przemyśle lub obronności. Jednocześnie grupa zadaniowa uważała za konieczne dopracowanie instrukcji dla recenzentów, zaznaczając, że nowe kryteria powinny zostać „określone dla recenzentów i wnioskodawców za pomocą zestawu wskazanych czynników kontekstowych. Recenzenci [powinni zostać – przyp. aut.] poproszeni o opisanie «mocnych i słabych stron» wniosku w odniesieniu do każdego kryterium przy użyciu tylko tych czynników kontekstowych, które uważają za istotne dla danej propozycji”<sup>50</sup>.

Po szeroko zakrojonych konsultacjach ostateczne zalecenia zostały przedstawione przez National Science Board, co doprowadziło do przyjęcia w dniach 27–28 marca 1997 roku uchwały w tej sprawie<sup>51</sup>. Zatwierdziła ona dwa nowe kryteria i upoważniła dyrektora NSF do podjęcia działań mających na celu wdrożenie wymaganych zmian. Złożenie sprawozdania [miało nastąpić – przyp. tłum.] w listopadzie 1997 roku. Jednym z efektów wdrożenia tych zmian było wprowadzenie omówionych wyżej nowych formularzy do ewaluacji kandydatów i oceny wniosków badawczych.

Należy tu zwrócić uwagę na kilka kluczowych kwestii, związanych nie tyle z praktycznym wymiarem tych zmian w zakresie polityki [instytucji – przyp. tłum.], ile z językiem formularzy, który pozwala te zmiany opisać i na którym odcisnęły one swój ślad. Pierwsza kwestia to semantyczna pustka terminów, za pomocą których NSF określa swoją misję. Centralnym pojęciem jest tutaj **doskonałość** pojmowana zarówno jako cel, jak i próbiez praktyki instytucjonalnej. Nigdzie nie zostało wyjaśnione, co ten termin oznacza ani jak możemy stwierdzić, że instytucji udało się ten cel osiągnąć. Nie chcę przez to powiedzieć, że NSF nie wykonuje bardzo dobrej i ważnej pracy ani że jest to jedyna instytucja używająca terminów, które są tak niedookreślone, że trudno je nawet uznać za wieloznaczne. W istocie bardzo powszechne odwoływanie się do „doskonałości” w korporacjach oraz organizacjach edukacyjnych i jednostkach administracyjnych przyczynia się bezpośrednio do pozbawienia tego określenia semantycznej użyteczności, co wskazuje, że chodzi tu o coś innego niż jego zwykłe znaczenie.

Kolejna kwestia wiąże się ze specyfiką zmian, które wynikają z planu strategicznego, oraz stanowiących ich podstawę założeń dotyczących oceny i oceniających. Grupa zadaniowa skupiła się bezpośrednio na problemie, jak uzyskać najbardziej użyteczne, zrozumiałe i porównywalne informacje od recenzentów: w jaki sposób sformułować zalecenia, które będą jasne i doprowadzą do najbardziej pożądanego rodzaju odpowiedzi? I jak najlepiej pogodzić intencje i wymagania instytucji z indywidualnymi kryteriami stosowanymi przez poszczególnych recenzentów i ich pozornie idiosynkratycznymi ocenami? Wymaga to jednak nie tylko większej jasności co do oczekiwań NSF; recenzenci wniosków, osoby piszące opinie o kandydatach i inni uczestnicy [procesu recenzyjnego – przyp. tłum.] muszą nauczyć się odpowiednio wypełniać formularze i pilnować tego, by działać według tych instrukcji. Rezygnacja z „informacji” na rzecz „instrukcji”, wprowadzenie takich zmian w formularzach ewaluacji, by móc uzyskać określone rodzaje komentarzy, a także bardziej szczegółowe wytyczne dotyczące tego, jak należy uzasadniać oceny i formułować je w sposób przekonujący – wszystko to wskazuje na znacznie większy nacisk położony na kontrolowanie i ujednolicanie odpowiedzi nie tyle w zakresie samej ich treści, ile w odniesieniu do rodzajów zagadnień, które należy w nich poruszyć.

---

## Wnioski

Pisanie rekomendacji i ocena wniosków badawczych to część codziennego życia akademickiego, praca wciśnięta [między inne obowiązki – przyp. tłum.], wykonywana od czasu do czasu, często w biegu i w ostatniej chwili, i być może bez zwracania większej uwagi na to, jak wypełniane formularze kształtują nasze odpowiedzi. Jeśli już poświęcamy im pewną uwagę, skupiamy się najczęściej tylko na kwestiach praktycznych: czego się od nas oczekuje? Rzadko spoglądamy na prawy górny i lewy dolny róg strony, gdzie zwykle znajdują się ślady urzędowej genezy samego formularza. Jak sugeruję w tym rozdziale, takie formularze mają bardzo realne terażniejszości, chwile, w których są wypełniane, i kolejne, w których są czytane, cytowane i oceniane. Ciąg zdarzeń związanych z ich czytaniem i wypełnianiem składa się na, jak zauważa Harper<sup>52</sup>, karierę tych dokumentów – „ożywają” dzięki posiedzeniom i stymulują prowadzone na nich dyskusje, przyczyniając się do konkretnych wyników, mających istotne znaczenie dla poszczególnych osób oraz całej nauki. Poza tymi karierami formularze mają też swoją historię, opisującą to, jak i dlaczego przybrały taką a nie inną formę; parafrazując określenie Riles<sup>53</sup>, można powiedzieć, że historie te kryją się na marginesach, gdzie odnotowuje się na przykład datę zatwierdzenia przez instytucję. Dla naukowca wypełniającego formularz zgodnie z instrukcją głównym problemem przy ocenie wniosku będzie najprawdopodobniej to, co ma o nim napisać, z kolei osobie zarządzającej programem stypendialnym najwięcej trudności mogą sprawić takie właśnie pozorne marginalia – ramy, które są zwykle uznawane za oczywiste.

Nawet najprostszy formularz jest skierowany do wielu odbiorców i tworzony przez wiele osób, mających często zupełnie różne cele i różnie postrzegających, co jest dla nich korzystne, a co stwarza im problemy. Jest mało prawdopodobne, aby jeden czytelnik był w stanie „odczytać” wszystko, co zostało przedstawione lub zasygnalizowane na danej stronie; mam nadzieję, że jasno pokazuje to powyższa analiza, która jest być może nazbyt szczegółowa, ale mimo to nie wyczerpuje tematu. I nie dotyczy to wyłącznie przeszłości. Przy kolejnych interpretacjach i reinterpretacjach kariery takich dokumentów, to, co początkowo wydawało się niebudzącą wątpliwości ramą, może stać się punktem spornym lub przedmiotem ponownej analizy. Figura i tło często mogą zamienić się miejscami.

Dokumenty i procedury stanowiące główny przedmiot tego tekstu to przede wszystkim narzędzia oceny, a nie audytu w ścisłym tego słowa znaczeniu, choć u ich podstaw leżą podobne zagadnienia jak w przypadku wielu działań audytowych, które odgrywają obecnie kluczową rolę w brytyjskiej kulturze akademickiej. Niewątpliwie w obu rodzajach praktyk istotne znaczenie przypisuje się kwestii rozliczalności – zarówno w sensie dosłownym, jak i metaforycznym. Power prześledził rozwój tego, co jest obecnie nazywane powszechnie „kulturą audytu” w Wielkiej Brytanii, badając przenikanie modeli audytu finansowego do szerszych systemów oceny zarządczej, a następnie wprowadzanie takich modeli zarządczych w odmiennego typu organizacjach<sup>54</sup>.

W tym miejscu mogę jedynie odnieść się krótko do dwóch spostrzeżeń Powera. Po pierwsze, zauważył on, że nawet w najbardziej klasycznym obszarze audytu, jakim jest biznes, „zasadniczo brakuje wiedzy na temat procesu audytu finansowego”<sup>55</sup>. Nawet badając tylko kwestie finansowe, audytorzy z konieczności polegają na miernikach cząstkowych, opracowując wskaźniki zastępcze lub inne rodzaje wskaźników, które pozwalają w jakiś sposób określić kondycję fiskalną organizacji. Rozliczalność organizacji jest mierzona w kategoriach takich diagnoz. Dane, które „zna” audytor finansowy, są z natury niejasne i częściowe, ale działa on na ich podstawie tak, jakby dostarczały mu pełnego, adekwatnego i jasnego obrazu sytuacji. Dążąc do uzyskania takich wskaźników, audytorzy opracowują metody ich poszukiwania, które stają się coraz bardziej dopracowane pod względem technicznym i uznaje się, że mają szerokie zastosowanie w wielu sytuacjach finansowych – bardzo rzadko natomiast poddaje się je ponownej ocenie<sup>56</sup>. Rozpowszechnienie procedur audytu finansowego jako sposobu na zapewnienie rozliczalności w zarządzaniu poza obszarem biznesu sprawiło, że ustalenie „bazy wiedzy” stało się jeszcze trudniejsze, ponieważ techniki są dostosowywane i uogólniane w celu oceny coraz bardziej złożonych zjawisk. Kontynuując swoje wcześniejsze rozważania na temat dekontekstualizacji umiejętności nieodłącznie związanych z procedurami audytu, Strathern zauważa, że nie ma „potrzeby” rozwijania umiejętności, które można wykorzystywać w różnych obszarach (i które z natury są cząstkowe). Istotna jest „właśnie zdolność do sytuowania się w różnych kontekstach (...), czego można się nauczyć tylko w jednym kontekście na raz”<sup>57</sup>.

Drugim kluczowym zagadnieniem w tej dyskusji, wskazywanym przez Powera, jest to, że dla „osób przeprowadzających audyty «sprawienie, by coś dało się skontrolować», to bardzo praktyczna kwestia. To właśnie robią, gdy stosują różne techniki w danej organizacji”<sup>58</sup>. Kluczowe znaczenie ma rozwijanie sposobów klasyfikacji i analizy, które pozwalają przełożyć specyfikę poszczególnych organizacji lub sytuacji na kategorie umożliwiające porównanie i ocenę. W Wielkiej Brytanii „tradycją badawczą rozwiniętą w celu analizy i oceny procesów oceniania oraz w celu opracowania nowych metod, które mogłyby je ulepszyć”, jest audyt<sup>59</sup>, natomiast w Stanach Zjednoczonych podobną rolę odgrywają takie dyscypliny, jak na przykład psychometria. Power wskazuje jednak, że rozszerzenie stosowania audytu i wprowadzenie go do instytucji edukacyjnych i innych instytucji niefinansowych wymaga nie tylko „sprawienia, by coś dało się skontrolować”, ale również tego, by badacze i nauczyciele „stali się przedmiotem audytu”<sup>60</sup>. Jak zauważa Woolgar, pisząc o brytyjskich praktykach oceny akademickiej: „Nowe relacje rozliczalności pociągają za sobą nowe kategorie tożsamości i odbiorców. Pierwsze pojawienie się tych kategorii może wywołać niepewność i zamieszanie, ale ich późniejsze upowszechnienie może nas skłonić do przyjęcia za pewnik relacji i porządku moralnego, który implikują”<sup>61</sup>. Między różnymi dziedzinami – od świata akademickiego po obszar zarządzania – dochodzi do przepływu nie tylko terminów, ale również osób i ich działań. A te przededefiniowania mogą z czasem zostać uznane za zwykły stan rzeczy, co przesłania zarówno ich historię, jak i konsekwencje. Na podstawie własnej pracy mogę stwierdzić, że dochodzi tu również do trzeciego rodzaju przekształceń: instytucje stają się potencjalnym przedmiotem kontroli, uczestnicy procesu stają się przedmiotem audytu, a często także stają się na chwilę audytorami – a w każdym razie w coraz bardziej zdyscyplinowany sposób wydają oceny i uczestniczą w procesie ewaluacji. Jak dowodziłem w innym miejscu, nie chodzi o to, że „stajemy się” biurokratami, ale o to, że nauczyliśmy się „robić rzeczy, które robią biurokraci”<sup>62</sup> i jesteśmy gotowi, a czasem chętni je robić. Strathern<sup>63</sup> oraz Shore i Wright<sup>64</sup> przekonująco argumentują, że nasze uczestnictwo jako aktorów w tych działaniach<sup>65</sup> wiąże się z wieloma problemami etycznymi i politycznymi. Nie jesteśmy wyłączeni z takich systemów oceniania i audytu.

Na koniec chciałbym spojrzeć z szerszej perspektywy na obecną sytuację finansowania nauki w Stanach Zjednoczonych. Zmiany omówione w tym artykule pojawiły się w okresie niepewności gospodarczej i głębokich federalnych deficytów budżetowych. Przechodzenie do coraz ściślej regulowanych i zarządzanych praktyk oceniania następowało wraz ze zmniejszaniem się dostępnych zasobów. W żadnym z wcześniej wspomnianych konkursów nie brakowało dobrych kandydatów ubiegających się o dofinansowanie; problemem było dokonanie wyboru spośród wielu wartościowych propozycji. Zanim wprowadzono nowe kryteria i formularze gospodarka, sytuacja budżetu federalnego i uznanie rangi nauki (choć raczej nie dotyczyło to nauk społecznych) uległy radykalnej zmianie. Polityka potrzebuje czasu, aby przejść od pomysłu do realizacji,

a czasy wyraźnie się zmieniły. Bardziej istotne było jednak zmniejszenie względnego znaczenia procesów recenzowania wniosków o finansowanie badań, nawet na poziomie rządu federalnego. W pełni partnerskie badania podejmowane wspólnie przez uniwersytety i korporacje, szeroko zakrojone działania badawcze prowadzone w przedsiębiorstwach komercyjnych oraz powrót w czasie nadwyżki federalnej w 2000 roku do finansowania dużych projektów badawczych i instytucji, wielokrotnie określanego jako „kiełbasa wyborcza” – wszystko to przekształciło źródła dotowania badań. Niniejszy tekst można odczytywać jako opis dążenia do większej standaryzacji i kontroli w ramach instytucji określonego rodzaju – jako studium Foucaultowskiej „rządomyślności” działającej zasadniczo niewidocznie, ale skutecznie. Jednocześnie można go postrzegać jako opis ciągłego udoskonalania technik zarządzania stosowanych w organizacjach, których znaczenie może, przynajmniej obecnie, słabnąć – i w kontekście, w którym bardziej widoczna tradycyjna polityka odgrywa coraz ważniejszą rolę.

przełożyły Marta Rakoczy i Agnieszka Sobolewska

## PRZYPISY

- \* D. Brenneis, *Reforming Promise*, w: A. Riles (red.), *Documents. Artifacts of Modern Knowledge*, Ann Arbor 2006, s. 41–70. W tekście pominięto ilustracje w postaci omawianych formularzy. Za zgodą Michigan University Press, © Michigan University Press, 2006, za pośrednictwem Copyright Clearance Center, Inc.
- 1 R. Harper, *Inside the IMF: An Ethnography of Documents, Technology, and Organizational Action*, San Diego 1998.
  - 2 Tamże.
  - 3 A. Riles, *The Network Inside Out*, Ann Arbor 2000.
  - 4 *Department of Education 2000: The Government Performance and Results Acts*, <http://www.ed.gov/offices/OPE/HEP/iegps/is-grpa.html> (dostęp: 05.06.2002).
  - 5 Zob. także M. Silverstein, *Monoglot „Standard” in America*, „Working Papers of the Center for Psychosocial Studies” 1987, nr 13; D. Brenneis, *Discourse and Discipline at the National Research Council: A Bureaucratic Bildungsroman*, „Cultural Anthropology” 1994, nr 9(1), s. 23–26; tenże, *New Lexicon, Old Language: Negotiating the „Global” at the National Science Foundation*, w: G.F. Marcus (red.), *Critical Anthropology Now: Unexpected Contexts, Shifting Constituencies, Changing Agendas*, Santa Fe 1999, s. 123–146; M. Strathern, *The Tyranny of Transparency*, „British Educational Research Journal” 2000, nr 26(3), s. 309–321.
  - 6 Zob. B. Urciuoli, *Strategically Deployable Shifters in College Marketing, or Just What Do They Mean by „Skills” and „Leadership” and „Multiculturalism”?*, w: *Language and Culture Working Paper Symposium #6*, <http://language-culture.binghamton.edu/symposia/6/index.html> (dostęp: 11.11.2024).
  - 7 M. Silverstein, *Shifters, Linguistic Categories, and Cultural Description*, w: K. Basso, H. Selby (red.), *Meaning in Anthropology*, Albuquerque 1996, s. 11–55.
  - 8 Tamże.
  - 9 R. Parmientier, *The Pragmatic Semiotics of Culture*, „Semiotica” 1997, nr 116(1), s. 1–115.
  - 10 Zob. także D. Brenneis, *Sympathetic Vibrations and the Neo-Liberal Arts College: Response to Bennie Urciuoli, „Strategically Deployable Shifters in College Marketing, or Just What They Mean by «Skills», «Leaderships» and «Multiculturalism»?”*, w: *Language and Culture...*, dz. cyt.
  - 11 B. Readings, *Uniwersytet w ruinie*, przeł. S. Stecko, Warszawa 2017.
  - 12 M. Strathern, *From Improvement to Enhancement: An Anthropological Comment on the Audit Culture. Founder’s Memorial Lecture*, Girton College, Cambridge, 1997, mps, s. 14. [Przez „umiejętności transferowalne” rozumie się tu umiejętności mające szerokie zastosowanie, przydatne w różnych kontekstach i sytuacjach. Jako zestandaryzowane, mierzalne i często kwantyfikowalne są one preferowane przez techniki audytu, które mniej nadają się do mierzenia wyspecjalizowanych umiejętności przydatnych i cenionych w konkretnych dyscyplinach i działaniach – przyp. red.].
  - 13 Zob. M. Power, *Audit Explosion*, London 1994, tenże, *The Audit Society: Rituals of Verification*, Oxford 1997.
  - 14 Zob. M. Strathern, *Partial Connections*, Lanham 1991; też, *From Improvement to Enhancement...*, dz. cyt.; też, *The Tyranny of Transparency...*, dz. cyt.; też, *Introduction: New Accountabilities*, w: tejże (red.), *Audit Cultures: Anthropological Studies in Accountability, Ethics, and the Academy*, London 2000, s. 1–18; też, *A Case of Self-Organization*, mps, b.d.
  - 15 C. Shore, S. Wright, *Audit Culture and Anthropology: Neo-Liberalism in British Higher Education*, „Journal of the Royal Anthropological Institute” 1999, nr 5(4), s. 557–575; też, *Coercive Accountability: The Rise of Audit Culture in Higher Education*, w: M. Strathern (red.), *Audit Cultures...*, dz. cyt. s. 57–89.

- 16 G.C. Bowker, S.L. Star, *Sorting Things Out: Classification and Its Consequence*, Cambridge, MA 1999, s. 10.
- 17 Tamże, s. 13.
- 18 Zob. D. Brenneis, *A propos de Research Proposals*, „Actes de la Recherche en Sciences Sociales” 1988, nr 74, s. 82; tenże, *Discourse and Discipline at the National Research Council...*, dz. cyt.; tenże, *New Lexicon, Old Language...*, dz. cyt.
- 19 R. Harper, *Inside the IMF...*, dz. cyt., s. 3.
- 20 M. Strathern, *Introduction: New Accountabilities...*, dz. cyt., s. 5.
- 21 Zob. także M. Strathern, *From Improvement to Enhancement...*, dz. cyt.; też, *Introduction: New Accountabilities...*, dz. cyt.; też, *A Case of Self-Organization...*, dz. cyt.; C. Shore, S. Wright, *Audit Culture and Anthropology...*, dz. cyt.; też, *Coercive Accountability...*, dz. cyt.
- 22 G. Bateson, *Steps to an Ecology of Mind*, New York 1972.
- 23 Tamże, s. 188; zob. A. Duranti, *Lāuga and talanoaga: Two Speech Genres in a Samoan Political Event*, w: D.L. Brenneis, F.R. Myers (red.), *Dangerous Words: Language and Politics in the Pacific*, New York 1984, s. 240; zob. także E. Goffman, *Analiza ramowa. Esej z organizacji doświadczenia*, przet. S. Burdziej, Kraków 2010.
- 24 F. Ewald, *Norms, Discipline, and the Law*, w: R. Post (red.), *Law and the Order of Culture*, Berkeley–Los Angeles 1991, s. 151.
- 25 R. Harper, *Inside the IMF...*, dz. cyt., s. 3.
- 26 Zob. D. Brenneis, *Discourse and Discipline at the National Research Council...*, dz. cyt.
- 27 Zob. tegoż, *New Lexicon, Old Language...*, dz. cyt.
- 28 Oak Ridge Associated Universities, *Guide for Panelists in the Review and Rating of National Science Foundation Graduate Research Fellowship Application*, Oak Ridge 1999, s. 3–4.
- 29 *National Science Foundation Guide to Programs*, cyt. za: Oak Ridge Associated Universities, *Guide for Panelists...*, dz. cyt., s. 4.
- 30 S. Duby, Division Director, DGE/HER, Acting Program Director, NSF Graduate Fellowship Program, *Notes for Briefing of GRFP Panel Chairs*, l.
- 31 Tamże.
- 32 Oak Ridge Associated Universities, *Guide for Panelists...*, dz. cyt., s. 12.
- 33 Tamże.
- 34 Tamże.
- 35 Zob. M. Power, *Audit Explosion...*, dz. cyt.; tenże, *The Audit Society...*, dz. cyt.
- 36 *GPRA Performance Report FY 1999*, [http://www.nsf.gov/pubs/2000/nsfoo64/nsfoo64\\_2.html](http://www.nsf.gov/pubs/2000/nsfoo64/nsfoo64_2.html) (dostęp: 06.2002).
- 37 *Department of Education 2000...*, dz. cyt.
- 38 National Science Foundation (NSF), *GPRA Performance Report FY 1999...*, dz. cyt.
- 39 General Accounting Office (GAO), *Peer Review: Reforms Needed to Insure Fairness in Federal Agency Grant Selection. Report to the Chairman*, Committee on Governmental Affairs, U.S. Senate 1994.
- 40 Tamże, s. 2.
- 41 Tamże, s. 56
- 42 National Science Foundation (NSF), *NSF in Changing World: The National Science Foundation's Strategic Plan 1995*.
- 43 M. Strathern, *Bullet-Proofing. A Tale from the United Kingdom*, w: A. Riles (red.), *Documents. Artifacts of Modern Knowledge...*, dz. cyt., s. 181–205.
- 44 National Science Foundation (NSF), *NSF in Changing World...*, dz. cyt., Executive Summary, s. 2.
- 45 Tamże, *Meeting Our Goals*, s. 2.
- 46 J. Bachenko, D. Balota, R. d'Andrare, J. Hoard, S. Hutchins, C.R. Perrault, L.C. Wilkinson, *Report of NSF Stakeholders' Panel in Linguistics*, przedłożony Paulowi Chapinowi, Dyrektorowi Programowemu Programu Językoznawstwa, 1995, s. 2.
- 47 Tamże, s. 2.
- 48 National Science Foundation, *Discussion Report of the National Science Board and National Science Foundation Staff Task Force on Merit Review 1996*, s. 5.
- 49 Tamże, s. 6.



<sup>50</sup> Tamże.

<sup>51</sup> National Science Foundation, *Final Recommendations of the National Science Board and National Science Foundation Staff Task Force on Merit Review*, 1997; *New General Criteria for Merit Review of Proposals*, Postanowienie przyjęte przez National Science Foundation na 342 spotkaniu, 27–28 marca 1997; *GPRA Performance Report FY 1999...*, dz. cyt.

<sup>52</sup> Zob. R. Harper, *Inside the IMF...*, dz. cyt.

<sup>53</sup> A. Riles, *The Network Inside Out...*, dz. cyt., s. 70.

<sup>54</sup> Zob. M. Power, *Audit Explosion...*, dz. cyt., tenże, *The Audit Society...*, dz. cyt.

<sup>55</sup> Tenże, *The Audit Society...*, dz. cyt., s. 30.

<sup>56</sup> Zob. W.M. O'Barr, J. Conley, *Fortune and Folly: The Wealth and Power of Institutional Investing*, Homewood 1992.

<sup>57</sup> M. Strathern, *From Improvement to Enhancement...*, dz. cyt., s. 14.

<sup>58</sup> Tamże, s. 87.

<sup>59</sup> M. Power, *The Audit Society...*, dz. cyt., s. 87.

<sup>60</sup> Tamże, s. 98.

<sup>61</sup> S. Woolgar, *Accountability and Identity in the Age of UABs. CRICT Discussion Paper 60*, Brunel University, luty 1997, s. 30–31.

<sup>62</sup> W oryg. „do bureaucratic things”, D. Brenneis, *Discourse and Discipline at the National Research Council...*, dz. cyt., s. 13.

<sup>63</sup> Zob. M. Strathern, *From Improvement to Enhancement...*, dz. cyt.; też, *The Tyranny of Transparency...*, dz. cyt.; też, *Introduction: New Accountabilities...*, dz. cyt.; też, *Bullet-Proofing...*, dz. cyt.; też, *A Case of Self-Organization...*, dz. cyt.

<sup>64</sup> Zob. C. Shore, S. Wright, *Audit Culture and Anthropology...*, dz. cyt.; też, *Coercive Accountability...*, dz. cyt.

<sup>65</sup> D. Brenneis, *Discourse and Discipline at the National Research Council...*, dz. cyt., s. 33.

**— 2**

# **Rozpoznania**

# „Oparte na eksperymencie, unikalne narracje humanistyczne zostają z nami bardzo długo”

z Tomaszem Rakowskim rozmawiają  
Marta Rakoczy i Agnieszka Sobolewska

**Agnieszka Sobolewska:** Jakie formy lub gatunki pisarstwa humanistycznego cenisz? Jakich unikasz, nie lubisz i dlaczego?

**Tomasz Rakowski:** Mój sprzeciw budzą skrajności w humanistyce. Po pierwsze, chodzi o prace będące jedynie prezentacją określonego materiału. W szczególności widać to dobrze u historyków. Sam materiał może być bardzo ciekawy, gęsty i może dotyczyć bardzo interesujących kwestii, na przykład relacji między czarnoskórymi niewolnikami, Indianami, a kolonialną administracją w Brazylii. Jeśli jest to jednak materiał bardzo surowy, faktograficzny, to w pewnym momencie zaczyna on zasysać ujęcie teoretyczne i krytyczne. Powoduje on to, że czytelnik oddala się w dużym stopniu od pytań badawczych: po co to wszystko jest, jaki jest sens rozumienia danego zjawiska. Nie wiemy wówczas, czy to jest sprawozdanie z pewnego wycinka rzeczywistości, czy raczej pretekst do pytania o inne formy realizacji potencjału humanistycznego zawartego w danym materiale. Olbrzymi zakres materiału ma się „sam interpretować” i to samo w sobie nie jest niczym złym. Istnieją badania, w których trzeba wykonać drobiazgową pracę dotyczącą źródeł, zapisów, paleografii. To jest wartościowe. Problem pojawia się dla mnie wtedy, gdy znikną z horyzontu pytania, po co i jaki jest sens tego wszystkiego: sens krytyczny. Sprawozdawczy tekst może mieć narrację, która jest bardzo płynna, potoczna, ciekawa, a która jednocześnie unieważnia dość fundamentalne pytanie: do jakiego stopnia daje on wiedzę o doświadczeniu czy zdarzeniu humanistycznym, a do jakiego stanowi wyraz powielającego się warsztatu metodycznego?

Drugą skrajność stanowią teksty, które silnie teoretyzują rzeczywistość. Rzeczywistość w nich przedstawiona staje się jednoznaczna. Uniemożliwia to proces wątpienia: próbę rozumienia czy rozpoznania, jak się pewne zjawiska, na przykład nierówności społeczne czy ekonomiczne, tworzą. Te bardzo zaawansowane teoretycznie prace, choć odwołują się do konkretnego i działają na wyobraźnię czytelnika, tracą gdzieś moment wywrotowy, który wprowadza materiał do tekstu. Chodzi o to, aby te dwie linie – linia materiału i linia zamysłu teoretycznego – stały się jedną. I to jest największy problem: jak nie prezentować materiału? W jaki sposób nie pisać samym materiałem, nie robić z niego obrazka, czy winiетки antropologicznej, żeby później do tego dodać swój komentarz teoretyczny. Ale też, w jaki sposób nie rozpoczynać brawurowym komentarzem teoretycznym, by następnie dodać materiał, który staje się jedynie aneksem do tego, co się napisało. Cały problem polega na tym, żeby te dwie warstwy się sklejały i żeby były na tyle

---

„Oparte na eksperymencie, unikalne narracje humanistyczne zostają z nami bardzo długo”. Z Tomaszem Rakowskim rozmawiają Marta Rakoczy i Agnieszka Sobolewska, „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2024, t. 9, s. 73–82.

żywe, by powodowały uruchomienie myślenia, które jest myśleniem zarówno empirycznym, jak zaawansowanym, teoretycznym, by czytelnik miał możliwość ciągłego weryfikowania, czy ten ktoś, kto pisze, dobrze myśli.

Jeśli monografia jest dobra, do głowy przychodzą myśli takie jak: „Nie, nie zgadzam się, myślę inaczej”. Albo: „W sumie myślę tak jak autor, mam jednak przestrzeń do stworzenia własnego pomysłu”. Przykładowo, gdy czyta się tekst Kirsten Hastrup, bardzo łatwo można zacząć sobie wyobrażać, że być może jest jeszcze coś innego w tym, o czym ona pisze; być może istnieją inne czynniki, o których Hastrup jeszcze nie pomyślała. To dla mnie świadectwo, że tekst jest bardzo dobry, jeśli od razu stwarza możliwość wejścia w rytm materiału empirycznego i wymiaru teoretycznego; jeśli bezpośrednio otwiera nowe perspektywy. Tym, co mnie rzeczywiście fascynuje, są teksty otwarte, które popychają czytelnika do twórczej interpretacji. Jeśli coś mnie naprawdę irytuje, to teksty zamknięte. Teksty, które mają zamkniętą konstrukcję teoretyczną albo materiałową. **Naprawdę trudno mi jest się pogodzić z tym, że powstają prace, w których od początku do końca czuję, że autor czy autorka, już kiedy biorą do ręki pióro, od pierwszego właściwie momentu wiedzą, co w tej pracy będzie, co powinno być i jak wygląda ich perspektywa i wnioskowanie, które w tej pracy stworzą.** Moment wahania, wątpienia, czy próby rozumienia, jest dla mnie bardzo ważny w pracy humanistycznej. Bardzo więc trudno mi jest zapoznać się z książkami, w których widzę, że autor czy autorka „po prostu wie” i tej wiedzy nic już, także proces pisania, nie naruszy.

**AS:** Powiedziałeś, że proces pisania, czy szerzej – pisarstwo humanistyczne powinno powodować wytrącanie czytelników z trybów dotychczasowego rozumowania; powinno naruszać, pobudzać, a także dawać wgląd w proces myślenia autora czy autorki. Twoja odpowiedź krążyła wokół tego, jakich założeń nie powinno się mieć przed napisaniem tekstu. Czy uważasz, że są jakieś gatunki w ramach pisarstwa humanistycznego, które przeszkadzają w pisaniu „otwartym”, które uznajesz za wartościowe? Czy nie uważasz, że pewne procesy, które się dzieją odgórnie i są narzucane instytucjonalnie w ramach ewaluacji nauki, sprawiają, że dowartościowany zostaje właśnie ten rodzaj pisania, który krytykujesz?

**TR:** Tak, istnieją dwa nurty czy gatunki tekstów, które są dla mnie problematyczne. Po pierwsze, gatunek scjentystyczny, który wykorzystuje konstrukcję wynikającą ze sposobu publikowania i używania artykułów naukowych w naukach biologicznych czy ścisłych. Mają one być powtarzalne: mieć takie same, porównywalne części. Zaczynają się od zarysowania jakiegoś pola teoretycznego ze wskazaniem na nowatorskość własnego stanowiska. Potem, co jest też zgodne z instrukcjami, które dostawałem od współpracowników przy tworzeniu tekstów anglosaskich – w tekście powinny pojawić się dwie-trzy sekcje, które rozwijają główny argument i dodają mu jakiegoś ciała w postaci materiału empirycznego. Koniec powinien zawierać rodzaj podsumowania, które potwierdza, że wnioskowanie lub koncepcja pojawiająca się w tekście jest prawidłowa i słuszna. Tworzy to strukturę, dzięki której czytelnik nie jest zaskoczony tym, co się pojawia dalej lub jak się tekst rozwija. Od samego początku wie, co jest stawką w grze, jaki jest argument, na czym polega argumentacja, co się pokaże i udowodni. Nie chciałbym tego całkowicie przekreślać. Na pewno to podejście jest także wartościowe i być może potrzebne. Ale jest to też rodzaj oficjalnej, wymaganej poetyki, funkcjonującej w anglosaskim obiegu, w której trenuje się adeptów i adeptki antropologii czy studiów kulturowych. Powoduje to, że ten bardziej zakłany, kontynentalny, humanistyczny wymiar narracji antropologicznej musi funkcjonować trochę na peryferiach. Weźmy teksty Tima Ingolda. Wyraźnie widać w nich, że on się buntuje przeciwko tym gatunkom pisania. Esej *That's Enough about Ethnography!* jest rodzajem sprzeciwu wobec bardzo drobiazgowej empirycznej wiedzy, która jest wbijana w gotową formatkę.

Innym nurtem są artykuły będące syntezami o charakterze systematyzującym, podręcznikowym. Starają się one pewne rzeczy uprościć, podać w punktach. Prace te w szczególności pojawiają się w antropologii ekonomicznej. Z jednej strony są one bardzo potrzebne, ale z drugiej strony tworzą perspektywę wiedzy, która jest domknięta, stabilna i która nie wywołuje pytań. Nie ma w nich niepokoju ani chęci zrozumienia poszczególnych rzeczywistości: ich wywód jest spokojny, co wynika stąd, że mają formę szerokiego, syntetyzującego przeglądu teoretycznego. To drugi gatunek, z którym mógłbym się spierać. Do trzeciego gatunku należą prace ocierające

się o popularnonaukową narrację; prace, które świadomie wchodzą w obszar języka popularyzującego humanistykę, adaptującego ją do potrzeb szerszego grona. Dużo powstaje obecnie opracowań z zakresu ludowej historii Polski. To piarstwo naukowe świadomie założone, realizowane i rozwijane jako popularnonaukowe, choć to słowo nie do końca jest tu słuszne. Przenosi ono akcenty na płynność argumentacji i swobodę interpretacyjną. Spełnia inną funkcję niż prace, które możemy czytać w duchu weryfikacji i wątpliwości. Jeśli praca ma charakter otwarty, jest nasycona materiałem, to prowokuje pytania. Gdy mam jednak do czynienia z pracą z rozmachem popularyzatorskim lub pisaną w nowym duchu, upowszechniającą określoną narrację czy interpretację antropologiczną, mam poczucie, że pytania, które mogłyby się pojawić, gasną w głowie czytelnika. **Prace te zawierają propozycję przebudowania wcześniejszej wiedzy lub dyskursu. Ale brakuje w nich w dużym stopniu pytania, które towarzyszy narracji dla mnie bardzo wartościowej; narracji, która jest formą humanistycznego eksperymentowania, dopytywania czy wątplenia. Brakuje w nich tego świetnego momentu, kiedy czytelnik z autorem albo autor wspólnie z wyobrażonym, modelowym czytelnikiem mają poczucie, że opisywany fragment rzeczywistości zaczyna ujawniać „prawdziwe” oblicze.** W tym upowszechniającym, popularyzującym piarstwie, które wchodzi z rozmachem, aby dotrzeć do bardzo dużej liczby czytelników, brakuje mi wątplenia i eksperymentu. Czytelnik nie jest w nim, moim zdaniem, zaproszony do współczytania i współmyślenia, jak w przypadku tekstów Hastrup. Przykładowo, dzięki jednemu z jej tekstów o świadomości mięśniowej, o przewidywaniu pogody, rozpoznawaniu lodu i kry na Morzu Arktycznym, bardzo dużo się dowiadujemy, ale też zaczynamy stawiać własne pytania.

Bardzo uwiera mnie produkcja naukowa, która ma być systematyczna, powtarzalna i w jakiś sposób przebojowa. Wprowadzenia do tekstów elementów, które mają porazić, są oparte na myśleniu w kategorii marketingu naukowego. Mają uderzyć błyskotliwością argumentów w pierwszych paru akapitach, bo później nikt nie będzie tego dokładnie czytał. Spotykałem się już z przypadkami, gdy błyskotliwość lub nośność zaproponowanej we wstępie argumentacji, która miała być nowatorska, wywrotowa, odwrotna w stosunku do tego, co do tej pory pisano, nie korespondowała z materiałem: wiedzą faktograficzną. Ma się wówczas poczucie nadinterpretacji. Zdarzyło mi się też, że pojawiały się wówczas wątpliwości z zakresu etyki badawczej. Przykładowo, łatwo skrytykować bardzo nobliwą, zasłużoną instytucję pomocową, ale mam wrażenie, że nieraz krytyka ta wynika nie tyle z samego materiału czy doświadczenia, ile ze źle rozumianej konkurencji naukowej, która faworyzuje argumenty ostre, wywrotowe, zdecydowane. **Zastanawiam się, czy w ogóle można mówić o różnych gatunkach i polach pisania humanistycznego w oderwaniu od źle rozumianej pracy naukowej umacniającej się na liberalnej zasadzie konkurencyjności, która dusi ten rodzaj myślenia czy pisania. Pisania, które musi mieć swój czas, tempo, musi się rozwinąć.** Pisanie ma, co bardzo istotne, także wymiar autoteliczny. Dzięki temu problemy konkurencji czy pola, w którym można zbudować lub nie pewną pozycję albo zbudować ją, sprzeciwiając się wszystkim, którzy coś w tym polu nowego tworzą, znikają, bo na pewnym etapie odpowiada się na pytanie tylko przed sobą: w chwili, kiedy się analizuje materiał albo kiedy się go zbiera. Pamiętam świetne momenty w Mongolii albo Polsce, gdy naprawdę miałem poczucie zrozumienia lub odkrycia pewnego faktu. Ten rodzaj uszczęśliwienia z wiedzy był czymś, co było dla mnie potem bardzo istotne. Oczywiście, pojawiają się później problemy, jak to wszystko włączyć w tekst książki czy artykułu i jak wprowadzić sensownie w wymianę, obieg czytelniczy, czy nawet obieg konkurencji. Także w Polsce ludzie coraz częściej ścierają się ze sobą i argumentują, toczą rodzaj rozgrywki w tekstach lub na konferencjach. To, w jaki sposób zaadaptować pierwotne, własne odkrycie do zewnętrznego języka, jest jednak etapem późniejszym. Natomiast własne odkrycie jest ważne, ponieważ powoduje ono, że problemy związane z tym, w jaki sposób sformatować swoją wypowiedź, by ona zaistniała lub zajęła jakąś pozycję, po prostu stają się trudne lub nieistotne. Zastanawiam się, w jaki sposób ludzie piszą teksty, w których od razu widać, że zawierają ich własne pytania. Przykładem może być Caroline Humphrey, brytyjska badaczka azjatyckich, poradzieckich obszarów. Czytając ją, mam autentyczne przekonanie, że ona odpowiada na pytania, które sama sobie stawia, a jednocześnie pisze to przecież w obiegu naukowym. Ten rodzaj narracji jest wspaniały.

**Marta Rakoczy:** Mówiłeś na początku o relacji między teorią a empirią w tekstach i o tym, co zrobić, żeby była ona relacją wzajemnego oświeclania się: żeby materiał nie ilustrował teorii, a teoria nie była mechanicznie doczepiona do empirii. Mam wrażenie, że mamy do czynienia z sytuacją paradoksalną. Od początków klasycznej antropologii temat relacji między teorią a empirią był jakoś problematyzowany, a w późniejszej antropologii był on już metodologicznie rozpracowany na wiele sposobów, co, wydawałoby się, mogło uwrażliwić badaczy na to, że ta relacja nie jest prosta i że w żadnym tekście nie można tych dwóch porządków wyraźnie od siebie oddzielić. Natomiast w świetle tego, co mówisz, na poziomie narracji tekstowej te poziomy w jakiś sposób cały czas odgranicza się od siebie. Dlaczego? Czy wynika to z określonej edukacji naukowej? Czy z dominującej polityki tekstowej? Dlaczego z jednej strony, na poziomie świadomości metodologicznej, wiemy, że te porządki się wzajemnie przenikają, a z drugiej strony cały czas tworzymy teksty, które sugerują ich rozłączność?

**TR:** To trudne pytanie. Dotyczy ono produkcji naukowej, która w pewnym momencie zaczyna się rządzić własnymi prawami. Teksty mogą mieć w sobie ten dualny charakter: składać się z czegoś empirycznego oraz czegoś bardziej autorskiego, związanego z myśleniem teoretycznym. Problem rodzi się wówczas, gdy takie teksty są multiplikowane i wyrastają z zasadniczego pytania „Jak ja na nowo jestem w stanie coś zrozumieć za pomocą materiału?”, a nie odwrotnie, to znaczy „Jaki jest ten materiał i jak należy na niego inaczej popatrzeć, żeby go zrozumieć?”. Znika wówczas połączenie tego, co empiryczne, z tym, co teoretyczne, ponieważ pisanie przestaje mieć wymiar eksperymentu czy sztuki pisania, która rządzi się innymi prawami niż tekst naukowy. Rzecz jasna, nie oznacza to, że tekst naukowy jest tekstem tworzonym mechanicznie. Bez względu na to, jakie zalecenia stworzymy na temat tego, jak łączyć empirię z teorią i jak łączyć interpretację z materiałem empirycznym, na ile różnych sposobów powiemy to, skrytykujemy i przedstawimy, pozostanie ten trudny moment, kiedy trzeba po prostu ruszyć do przodu i wystartować z pisaniem: moment, który każdy z nas zna. To jest zawsze moment problematyczny, kiedy trzeba przestać mówić o tym, jak spletać ze sobą te dwa poziomy, a po prostu zacząć pisać. Moment, w którym albo uruchomi się to, co łączy ze sobą te różne warstwy, albo się nie uruchomi. Przypomina to skok ze spadochronem, który otworzy się bądź nie. Moment niepewności jest nieco podobny do wyprawy w nieznaną. O humanistycznej wyprawie w nieznaną, o którą chodzi w tekstach, pisze Ingold, który też ma dosyć etnografii rozumianej jako multiplikowane teksty naukowe. **W chwili, gdy podejmuje się ryzyko pisania, tekst może stać się doraźnie tworzonym eksperymentem i formą sztuki pisania. Dobrze się pisze zwłaszcza wtedy, gdy tekst był już wcześniej na różne sposoby pisany czy sklepany w głowie.** Bardzo ważne jest zbudowanie energii wejścia. Jeśli mamy wielokrotnie przeczytane notatki terenowe albo notatki z lektur, a myśli i doświadczenia wzbudzone na różne sposoby, bardzo często okazuje się, że w pewnym momencie pisanie zaczyna nabierać bardzo dobrego tempa. Nie chodzi o to, że wówczas fizycznie dużo piszemy, ale o to, że pisanie staje się płynne, skleja bez trudu różne warstwy, a w tym sklepaniu jest coś unikalnego; coś raczej o charakterze *mētis* niż świadomej wiedzy, którą można przekazywać.

O wiedzy metycznej pisała Ewa Klekot, ale też świetny doktorat napisał o niej Mateusz Marczewski: o wiedzy, której nie można do końca przekazać. Dotyczyło jej także prowadzone przeze mnie wraz z Piotrem Cichockim seminarium „Sztuka antropologicznego pisania. Warsztat/eksperyment”, którego przedmiot był nieco paradoksalny: uczyliśmy o tym, że nie można nauczyć kogoś pewnych zasad, ram, podstawowych narzędzi. Oczywiście, istnieją różne zasady, ramy i narzędzia. Można zachęcać, przykładowo, do eksperymentu, który polega na tym, by w trakcie pisania zacząć rysować i później z rysowania z powrotem przechodzić do pisania. Dla osób, które nie są wprawne w rysunku lub nigdy nie rysowały albo mają poczucie, że nie umieją rysować, w tym momencie często rozpędza się proces pisania. Te oparte na eksperymencie, unikalne narracje humanistyczne zostają z nami bardzo długo. Trudno się jest ich pozbyć, ale nie dlatego, że są proste i utkwiły nam w pamięci, ale dlatego, że z jednej strony są wartościowe, a z drugiej otwarte – powodują, że cały czas jesteśmy z nimi i z nimi się mierzymy.

W tych narracjach humanistycznych pojawia się element umiejętności nieprzekazywalnej i nieprzekładalnej na proste instrukcje, który jednocześnie wyznacza różnicę między *technē* a *mētis*. Pisze o tym Ingold, wedle którego, jeśli istnieje coś wartościowego w antropologii, to jest

to właśnie wprowadzanie nowicjuszy w świat, który muszą na nowo zrozumieć i muszą do tego stworzyć własne narzędzia. Krótko mówiąc, z jednej strony mamy różne skonceptualizowane, przemyślane i napisane sposoby ujęcia relacji między empirią a teorią. Na niej skupia się cała historia myśli antropologicznej. Z drugiej strony, **przychodzi moment, kiedy siada się nad kartką papieru albo kiedy jest się w terenie badań bądź w bibliotece i kiedy to coś musi wystartować**. Sposobu startu nie da się przełożyć na różne reguły i zasady, które można **spisać i toczyć wokół nich debaty. To coś chwijnego, unikalnego, właściwego tylko dla konkretnej osoby**.

**AS:** Oprócz napięcia, które właśnie opisałeś, istnieje jeszcze jedno, które jest ciekawe dla reprezentantów różnych dyscyplin w ramach humanistyki. Chodzi o napięcie między tym, co nazywałeś marketingiem naukowym i zasadą konkurencyjności, a tym, co określasz jako chwiejność czy niemożność ostatecznego przewidzenia efektów podjętej pracy. W tym sensie pisarstwo humanistyczne jest pewnym wyzwaniem i ryzykiem. Według mnie w żadnym wypadku nie jest ono do pogodzenia z tymi wymogami stawianymi współczesnej humanistyce, które w dużej mierze przychodzą z nauk ścisłych i przyrodniczych i nie dopuszczają żadnej chwiejności ani ryzyka, bo nie ma na to czasu. To jest zasada, którą wbija się do głów także w szkołach doktorskich: miejsce pierwsze jest tylko jedno i trzeba się wyrobić w marketingu, a nie w humanistyce jako eksperymencie.

**TR:** Nowe pokolenie doktorantek i doktorantów jest świetne: jeżdżą na konferencje, publikują. Ale jakie powstaną teksty, perspektywy, spojrzenia na świat w warunkach, kiedy jest to tworzone w sytuacji rozgrywki, konkurencji, instytucjonalnego *ex cathedra*? **W nauce zawsze była, jest i będzie jakaś forma konkurencji, ale w chwili, gdy się ona instytucjonalizuje i staje się mechanizmem całkowicie usankcjonowanym, znika kluczowy moment, w którym pojawia się ryzyko, chwiejność, niepewność**. Tu pojawia się bardzo ważne dla mnie pytanie: co zrobić w sytuacji (która może dotyczyć wielu osób), gdy ktoś straci zainteresowanie własnym światem humanistycznym? Jak dalej funkcjonować? Przypuszczam, że ten właśnie uprodukcyjniony świat daje możliwość takim osobom, by po prostu funkcjonowały przez następnych dziesięć, dwadzieścia lat bez twórczej misji. Ta produktywność ma swoje zalety, ale i wady, na przykład pozwala bardzo długo markować pracę humanistyczną.

**MR:** Zetknęłam się ostatnio z opinią, że całe młode pokolenie, o którym mówimy, stoi przed twardym dylematem. Studia doktoranckie w obecnym kształcie są systemem grantowym, w którym stypendium na napisanie pracy doktorskiej dostaje się przez cztery lata. Wszystkie zajęcia, które byśmy mogli zaproponować jako przeciwwagę dla obecnego systemu nauczania: warsztaty metodologiczne, możliwości wymiany własnych pomysłów są postrzegane jako ścieżka samorozwoju, na którą doktoranci nie mają już ani czasu, ani energii i która traktowana jest jako droga rozłączna w stosunku do tego, czego wymaga praca nad doktoratem. Było to dla mnie uderzające, ponieważ nigdy bym nie pomyślała, że jakiegokolwiek zajęcia, na których dyskutuje grupa badaczy, ktoś mógłby uznać za dysfunkcyjne z punktu widzenia projektu naukowego. Tymczasem młoda generacja badaczek i badaczy może to tak postrzegać i to jest dla mnie bardzo niepokojące.

**AS:** Jako przedstawicielka tego pokolenia powiem tylko, że nie sądzę, by zajęcia seminaryjne przeszkadzały w realizacji doktoratu, ponieważ większość doktorantów nie jest jeszcze wystarczająco samodzielna i potrzebuje pomocy w pracy nad rozprawą. Ale nie zmienia to faktu, że szkoła doktorska proponuje system quasi-grantowy. Jeśli mamy grant, musimy w jego ramach publikować, pokazać, co zrobiliśmy i co potrafimy, udowodnić, że się nie „leniliśmy”. W zamyśle ewaluacyjny studiów wpisane jest jednak również to, że doktorant ma być na zajęciach, których jest dużo, a oprócz tego ma publikować, jeździć na konferencje, uczestniczyć w życiu środowiska naukowego i dowodzić, że efekty jego badań są cenione. Nacisk na to jest bardzo silny przy zerowej gratyfikacji – nie mówię tutaj o gratyfikacji pieniężnej.

**TR:** Z drugiej strony, atmosfera w środowisku naukowym sprzyja przekonaniu, że powstawanie tekstów jest najważniejsze: tekstów będących zapisem wartościowego doświadczenia, które dzięki temu, że jest wartościowe, otwiera różne inne doświadczenia u czytelników. To

prawdziwa stawka w grze. Bardzo ważne są jednak ramy instytucjonalne tworzenia tekstów. Z własnego doświadczenia wiem, że ilekroć miałem do czynienia z systemem grantowym czy po prostu zadaniowym i byłem postawiony w sytuacji, kiedy muszę coś wyprodukować, prowokowało to ważne pytanie: czy to jest ten rodzaj pracy, także pisarskiej, którą chcę robić? Mogę Wam pokazać teksty, które napisałem po to, by ratować jeden i drugi grant. **Doświadczenie pisania tekstu pod dyktando, w sytuacji kiedy redaktorzy mają własną wizję i są w stanie całkowicie przetworzyć nasz styl na własny sposób myślenia, jest bardzo trudne.** Mam taki tekst, którego po prostu nie mogę czytać, mimo że jest dopracowany, wartościowy, cytowany, włożyłem w niego dużo pracy. Ale nie było w nim polotu (ang. *flow*), który pozwala stać się bardziej sobą; jest odłączony od tego, o czym staramy się mówić.

**AS:** W moim krótkim doświadczeniu często byłam doceniana za referowanie źródeł, a bardzo krytykowana za próbę osiągnięcia tego polotu. To trochę tak, jakby oczekiwano od młodych humanistów, że będą maszynkami do zbierania informacji i przekazywania ich dalej. Z antropologicznego punktu widzenia jest oczywiste, że pytania, które postawimy, nasze krytyczne podejście do źródeł oraz nieustająco powracająca refleksja nad tym, „po co właściwie to robimy”, wpływają na obraz świata opisywanego. Ale dla wielu redakcji czasopism, które oczekują, że się im wyłoży jakąś prawdę, na przykład historyczną, nie jest to jasne. Mamy, oczywiście, przestrzenie dla humanistyki eksperymentalnej i otwartej na eseistykę, ale bardzo często widzimy, że i ona upraszcza, i nie jest do końca naukowa. Mamy w Polsce wiele czasopism, które prezentują dobre, ciekawe, eksperymentalne, eseistyczne teksty, ale to nie są teksty naukowe. Jak znaleźć w ramach pisania naukowego miejsce na to, o czym powiedziałaś?

**TR:** To, jak my rozumiemy w humanistycznym kontekście słowo „naukowe”, jest bardzo ciekawe. Dla mnie to, że tekst jest humanistyczny i eseistyczny w formie, ale też jest właśnie związany z autotelicznym namysłem czy drogą, jest wielką wartością. Stanowi to inny rodzaj naukowości, który po prostu wytwarzamy i który w lot rozpoznajemy. **Mocny na poziomie empirycznym i teoretycznym tekst humanistyczny nie dostarcza gotowej wiedzy. Nie dostarcza też gotowych narzędzi. Oczywiście, oczekuje się od nas dostarczenia pewnej wiedzy, ale to, co z nią ktoś robi i jak ona zostanie wykorzystana, to już nie wasza autorko, autorze sprawa. Teksty, które są mocne i są naukowe, powodują, że zmienia się przedmiot poznania. Zmienia się też całkowicie perspektywa, z której stawiamy pytania.** Reprezentują one naukowość, która ma zupełnie inne brzmienie i sens niż naukowość rozumiana jako instytucjonalna produkcja wiedzy lub aparat dotyczący krytyki źródeł albo warsztatu metodologicznego. Przy całym buncie i sprzeciwie wobec produkcji naukowej, silnego przyśpieszenia i konkurencyjności w polu nauki chodzi mi w dużym stopniu o to, żeby zachować język naukowy, ale w takim rozumieniu humanistycznym, które trudno jest zdefiniować i które właśnie usiłujemy w naszej rozmowie zrozumieć.

**MR:** Mówiłeś, odwołując się do doświadczenia z warsztatu pisania eksperymentalnego, że właściwie trudno podać uniwersalne algorytmy pisania tekstu, w którym byłby zachowany polot i po którego napisaniu czulibyśmy, że spadochron się otworzył. Chciałam spytać o Twoje osobiste doświadczenia. Jakie środki językowe albo jakie sposoby uprawiania narracji pozwalają Ci najlepiej oddać Twoje doświadczenie badawcze? Oczywiście nie w sensie oddawania jako reprezentacji, tylko raczej sygnalizowania w tekście tego, że uprawianie humanistyki jest dla Ciebie przygodą i ma być przygodą dla czytelnika. Jak taką narrację skutecznić?

**TR:** Są chwile, kiedy to trzeba wprost powiedzieć, na przykład w pracy ze studentkami i studentami. To są jakieś rodzaje rozumienia o charakterze notatki, takiej mentalnej, czyli *headnote*: czegoś, o czym bardzo ciekawą pracę napisał kiedyś Anthony Cohen, który zajął się *post-fieldwork fieldwork*, czyli takimi rodzajami wiedzy, które żyją w nas i cały czas się przekształcają i rozwijają. Muszą one jednak znaleźć swoją ekspresję, w której mogą funkcjonować i żyć, a ta ekspresja nie musi być wcale ekspresją tekstową. Myślę, że wartościowe jest wykorzystywanie różnych innych narzędzi i mediów do tworzenia i przekazywania tej wiedzy, nawet w postaci rozmowy; opowiadania o swoim materiale. Miałem kiedyś taką *idée fixe*, żeby jakąś formę monografii albo



tekstu naukowego przedstawić bardziej w formie sztuki opowiadania, z budowaniem szkatułkowej konstrukcji i dołączaniem do tego elementu performance’u – ruchu ciała i muzyki. Byłoby to świetne, ale nie dlatego, że można by się pobawić narzędziami albo zrobić coś nowego, nowatorskiego, dziwnego albo nietypowego, tylko dlatego, że można by wzmocnić ten rodzaj narracji, o której mówimy. Każda nowa forma, czy to fotoesej, video, opowiadanie czy jakiś inny rodzaj aktywności, powoduje, że ten sposób pisania wzmocnia się i nadbudowuje. To ciekawe, w jakim stopniu jest to czynność pisarska, tworzenie formy pisarskiej, a w jakim – aktywność mentalna, kognitywna. Podobnie jest ze wspinaczką w górach albo jeżdżeniem na rowerze. W pewnym momencie przestaje być istotny typ terenu, bo jeśli się dużo jeździ albo wspina w możliwie różnych miejscach, to ten synkretyzm, łączenie różnych sposobów zachowywania się w zmiennych warunkach, po prostu wchodzi w krew.

Myślę, że to bardzo istotne zadanie: rozkręcić mechanizmy pisarskie w sobie za pomocą różnych innych mediów. W tej atmosferze, w procesie wzmocnienia wiedzy, pisanie nie staje się płynne ani łatwe, ale nabiera sensowności. Na pewno macie własne teksty, które bardzo lubicie. W życiorysie naukowym, jeśli spojrzeć wstecz, powstaje bardzo dużo tekstów. Dziwne, że się o tylu rzeczach pisało, prawda? Wśród tych tekstów istnieje jednak jeden – czasem dwa lub trzy teksty – który z jakiegoś powodu jest przez nas szczególnie lubiany, choć nie jest szczególnie doceniany przez środowisko. Jakie środki tworzy się w momencie, kiedy pisanie nabiera energii i pozornie przestaje być problemem? Oczywiście, nie przestaje być problemem budowanie konstrukcji, metafor, sięganie po środki literackie, ale środki, o których mówię, są bardzo intuicyjne. Są bardzo intuicyjne w antropologii i myślę, że dobrze, żeby wynikały one z materiału; żeby były w dużym stopniu podporządkowane temu, jak ten materiał brzmi, jak się go przedstawia, jak się go zarysowuje, jak on do nas mówi.

**AS:** To, o czym właśnie powiedziałeś, dobrze pokazuje, do jakiego stopnia pisarstwo humanistyczne jest rodzajem twórczości. Właśnie dlatego, że jest ono nieprzewidywalne, że pewne rzeczy lubimy bez względu na to, co się dalej z nimi stanie, bo to jest nasza twórczość; to jest część nas, którą zostawiamy w tekście. Myślę, że to właśnie odróżnia humanistykę od innych dyscyplin naukowych, iż wymaga ona rozkręcenia medium pisarskiego, czyli w gruncie rzeczy literackiego. A co z pozajęzykowymi aspektami badań antropologicznych? Jakie dzisiaj – według Ciebie – trudności w pisarstwie naukowym prowokuje etnografia przedtekstowa?

**MR:** No właśnie, jakie mogą być losy Twojego projektu etnografii przedtekstowej w świetle dzisiejszych polityk naukowych? Polityk, które nas z różnych powodów uwierają?

**TR:** Przeczytałem ostatnio, że etnografia przedtekstowa to bardzo awangardowy projekt w tym sensie, że nie jest on łatwy do upowszechnienia, replikowania; jego metody nie mogą być powszechnie przyjęte. Z mojego punktu widzenia ten projekt, paradoksalnie, jest w jakiś sposób konieczny, bo chodzi w nim także o włączenie źródła ciągłej weryfikacji naukowej do doświadczenia pisania. W tym sensie etnografia przedtekstowa różni się od tradycji czy ujęć fenomenologicznych, takich jak na przykład antropologia Michaela Jacksona, gdzie narracja jest wysyciona formą fenomenologicznego wglądu. **W etnografii przedtekstowej chodzi raczej o rodzaj nieustannego wewnętrznego eksperymentu. Jeśli wkraczam w nowy rozdział, wkraczam w nowy obszar, znajduję nowy materiał, to dokonuję resetu – wstępnego powrotu do sytuacji, w której właściwie nie wiem, w którym momencie jestem, nie wiem, jak ten materiał rozpoznać, jak go nazwać.** Jest to nie tyle moment niewiedzy, bo to nieodpowiednie słowo, ile startowania od początku; jest więc trudny, ma charakter drogi, która wiąże się z niepewnością, z ryzykiem. Jest też ciągłym wracaniem w kolejnych częściach, w kolejnych rozdziałach, do punktu zero, punktu startowego. Przypomina mi to praktykę badania lekarskiego: zaczynam od początku, powtarzam etapy badania, wykonuję pewne czynności tak, jakbym zakładał, że nic nie wiem, choć bardzo często wiem już dużo. To moment wyzerowania wszystkiego i rozpoczęcia od nowa. Praktyka ta jest awangardowa w tym sensie, że trudno jest uczynić ją standardową. A z drugiej strony jest ona konieczna do tego, aby zachować wierność wobec rzeczywistości i tekstów, które badamy. Jest to praktyka nieodzowna. Ten rodzaj wiedzy, dla mnie przynajmniej, zmienia podejście do tego, jak interpretujemy poszczególne zachowania. Nasza interpretacja ma

znaczenie polityczne. Staram się pisać o czynach społecznych, żeby zwrócić uwagę na to, że mają one zupełnie inny sens niż ten do tej pory im przypisywany. Ale rzecz nie polega na tym, żeby po prostu tak argumentować, by zburzyć powszechnie obowiązujące interpretacje czy powszechnie obowiązujące przekonania. Chodzi o to, żeby uruchomić moment rozpoznania i wyzerowania, w którym można zetknąć się z rzeczywistością. Nie chodzi tu o podważenie jakiegoś prawa czy interpretacji w humanistyce, które są powszechnie przyjmowane za oczywiste, za pomocą czegoś innego. Chodzi o podważenie powszechnie funkcjonującej interpretacji jakichś zjawisk za pomocą metody etnografii przedtekstowej, która polega na nieustannym, twórczym konfrontowaniu się z rzeczywistością. Nie chodzi o zamianę jednej interpretacji na drugą. **Etnografia przedtekstowa nie udaje krytycznej humanistyki, w której mówimy, że ktoś się mylił, bo ja chcę udowodnić, że jest tak, i w której zastępujemy jedną interpretację, perspektywę lub dużą strukturę czymś innym.** W etnografii przedtekstowej chodzi o coś zupełnie innego: nie o to, aby jedną dużą narrację podmienić na drugą, ale o to, by wprowadzić procedurę, która powoduje, że wygrywa rzeczywistość, doświadczenia ludzkie, społeczne i historyczne w stosunku do rozpoznań humanistycznych.

**MR:** A jakie implikacje społeczne ma (albo mogłaby mieć) etnografia przedtekstowa? Rozmawialiśmy o współczesnych książkach popularnonaukowych z zakresu humanistyki i o tym, czego nam w nich brakuje. Mam wrażenie, że te książki w dużej mierze chorują na jednostronność, bo na tego rodzaju jednostronność jest zapotrzebowanie w przestrzeni medialnej. Jak w tym kontekście postrzegasz współczesną rolę humanistyki w zetknięciu z mediami, które forsują narracje wyraźne, wartościujące, mocne, konfrontacyjne? Czy etnografia przedtekstowa mogłaby być antidotum albo remedium na ten stan rzeczy? Czy też myślisz o niej jako o projekcie autonomicznym względem tego, co w tym polu medialnym się dzieje?

**TR:** Nie mam tu gotowej, przemyślanej odpowiedzi. Ale sądzę, że stanowi ona antidotum. Etnografia przedtekstowa to nie rodzaj interpretacji wymaganej w przestrzeni publicystycznej, która bardzo spłaszcza rzeczywistość społeczną lub historyczną i która dąży do ukazania czegoś w zupełnie innym świetle; dowiedzenia, że to, co mówię, jest absolutnie nowatorskie, dekonstruujące całkowicie dotychczasowy stan wiedzy. Przypomina to mechanizmy obecne w anglosaskiej humanistyce opartej mocno na zasadzie konkurencyjności. Zdziwiająca jest to, jak pewne trendy czy idee powstające w świecie publicystycznym są w stanie wygenerować trendy obecne w badaniach naukowych. Nie chcę na to narzekać. Chciałbym jednak pokazać, że etnografia przedtekstowa, łącząc to, co humanistyczne, naukowe i artystyczne, zapewnia pewien rodzaj niezbędnego kontaktu z rzeczywistością. Taką rzeczywistością, która dzięki zerowaniu, resetowaniu, powoduje, że rozumiemy świat inaczej, niż rozumieliśmy, i która jednocześnie wykształca się na naszych oczach. Stanowi to rodzaj *chain of understanding*, o którym pisaliśmy z Heleną Patzer. To łańcuch kolejnych momentów rozumienia, które się do siebie dodają, łączą niczym paciorki i pozostają bardzo blisko rzeczywistości. **Dla mnie bardzo ważną zasadą jest ta, o której pisał Gadamer w *Prawdzie i metodzie*, że doświadczenie jest zawsze negatywne; nigdy nie jest tak, jak myśleliśmy, że jest.** Czy to jest antidotum? W moim prywatnym świecie – tak. Ta zdolność do refleksji i nieustannego pogłębiania zrozumienia rzeczywiście przynosi odpowiedzi na własne pytania. Odpowiedzi, które są dla nas bardzo istotne, a jeśli pracujemy z jakimś materiałem, udzielają się nam one poprzez proces badawczy czy pisarski. Czy w trybie narracji popularyzatorskiej, publicystycznej czy opartej na naukowej konkurencyjności istnieje ten moment wewnętrznego rozpoznania? To, co powiedziałem o etnografii przedtekstowej, tak jak ją rozumiem, może być bardzo trudne do zaakceptowania, ponieważ w dużym stopniu **odejmuje ona władzę interpretacyjną.** Jest rodzaj słabości w myśleniu, w którym zakładamy, że jesteśmy osobami sprawującymi władzę nad różnymi znaczeniami, a jednocześnie zostawiamy im pole, żeby pojawiały się one na własnych prawach, mimo że my też jesteśmy częścią tej rzeczywistości, czy to jako czytelniczki i czytelnicy, czy jako uczestniczki i uczestnicy. Mam wrażenie, że w przestrzeni umownie zwanej popularyzatorską, publicystyczną, czy też w przestrzeni opartej na zasadzie konkurencji naukowo-produkcyjnej, tej postawy, w której rezygnuje się z kontroli nad całą siecią znaczeń, jest mniej. Nie chcę, żeby zabrzmiało to krytykancko, zwłaszcza że istnieje też weryfikacja czytelnicza. Zakładam, że z pewnością można się tak zapędzić w rewiry

etnografii przedtekstowej, jej wymagań i poszukiwania kolejnych rozbudowanych poziomów myślenia, że ostatecznie straci się kontakt zarówno z rzeczywistością, jak i czytelnikami, odpływanie od wspólnoty humanistycznej czy naukowej, która jest wielką wartością.

**MR:** Mówiłeś dużo o idiomie anglosaskiego pisania. Powiem szczerze, kiedy myślę o sobie i swoim pisaniu, to odkrywam, że osobiście dużo temu idiomowi zawdzięczam. Nie tylko w sensie stylistycznym. Myślę też, że ten idiom jest mocno związany ze brytyjskim myśleniem społeczno-ekonomicznym. Weźmy tekst Johna Stuarta Milla, w którym prezentuje on epistemologiczne walory liberalizmu i przekonanie, że jeśli stworzy się rynek idei czy tekstów, to prawda zwycięży, a jeżeli nawet nie zwycięży, to stworzymy spluralizowany świat, który będzie dobrym światem dialogu. Cały problem ze współczesną humanistyką, która w jednostkowych realizacjach staje się jednostronna, polega na tym, że my już dziś wiemy, że suma książek, tekstów i głosów nie tworzy dialogu ani myślenia humanistycznego. Jakie więc media, praktyki naukowe, humanistyczne miałyby ten dialog skutecznić? I co zrobić, jeżeli dialog wykracza poza praktyki pisania i nie dzieje się między tekstami, bo zasada jest taka, że najmocniejszy retorycznie tekst wygrywa, nie konfrontując się z innymi, nie wchodząc w dialog, który byłby dla czytelnika i autora otwierający?

**AS:** A ujmując rzecz z jeszcze innej strony: mówiłeś, że wspólnota naukowa jest ważna. Można by przeciwstawić wspólnoty i środowiska naukowe, w których tworzy się naukę, instytucjom, które narzucają im reguły, przeciwko którym mogłyby się one buntować. Czy dziś nie zaczynamy myśleć w taki właśnie dwoisty sposób? Wydaje mi się, że istnieje jeszcze jeden problem, o którym nie rozmawialiśmy, polegający na tym, że to właśnie twórcze i w punkcie wyjścia płodne intelektualnie wspólnoty doprowadzają do unifikacji wiedzy bądź perspektyw i ostatecznie (mniej lub bardziej świadomie) zaczynają dążyć do wyłączenia pluralizmu myślenia na rzecz własnych schematów rozumienia i objaśniania. Widać to dobrze w polskiej humanistyce. Będąc w danym środowisku, piszesz w określony sposób, dochodzisz zasadniczo do podobnych wniosków, używasz tego samego języka. Czy w tej sytuacji zwycięża „prawda” czy zespół, który ma, przykładowo, w ramach naukowej ewaluacji wyższą pozycję, a przez to i szerszy zasięg? Było to dla mnie bardzo ważne pytanie, gdy zajmowałam się praktykami piśmiennymi i badawczymi polskiego dziewiętnastowiecznego psychologa Juliana Ochorowicza. Do jakiego stopnia alienacja z własnego środowiska naukowego przynosi straty, a do jakiego – mimo że to trudny orzech do zgryzienia – staje się unikalną szansą na wypracowanie własnego języka i własnego modelu myślenia – takiej hermeneutyki, jaka w ramach danego środowiska nigdy nie mogłaby się pojawić?

**TR:** To bardzo ciekawe. Zwłaszcza, gdy trafia się do środowiska, które uznaje, że nasze teksty mieszczą się świetnie wewnątrz ich języka czy wewnątrz ich świata, i które zaczyna z nami dyskutować tak, jak gdybyśmy myśleli tak jak oni. Zdarza się – sam też tego często doświadczałem – że dana wspólnota naukowa wyjmując część naszego języka i rozpoznaje go jako swój, podczas gdy my już nie rozpoznajemy go w ten sposób. Dlatego myślę, że tworzenie własnego przekazu i własnego sposobu prowadzenia badań jest takim doświadczeniem, które – jeśli jest intensywne, zaawansowane i zawiera się w jakiejś drodze, tzn. rozgrywa się w czasie i z czasem daje lepszy wgląd w badaną rzeczywistość – zaczyna przeważać nad trendami czy sprawnościami dyskursywnymi bądź retorycznymi poszczególnych środowisk i zaczyna wówczas spełniać inne funkcje. Wiąże się to też z pytaniem, czy przestrzeń wymiany w humanistyce jest kluczowa, czy też jest jedynie instancją, do której się odnosimy i która sprawdza to, co robimy. Dla mnie jest ona kluczowa; jest doświadczeniem ludzi, z którymi pracuję, których spotykam, i to jest dla mnie najważniejsze. Na pewno wymiana naukowa nie jest jedynie polem dyskursywnym czy pisarskim, które jest tak silne, że zaczyna po prostu wchłaniać różne elementy rzeczywistości badanej. Zawsze miałem wrażenie, że stworzenie w nauce bardzo silnego trendu oznacza zjadanie własnego ogona, powoduje bowiem rozpuszczanie rzeczywistości, do której ma się odnosić, i pomniejsza zdolności krytyczne. Krytyczne wyposażenie jest także kwestią tempa pracy. Gdy wykształcają się silne trendy, książki ukazują się nagle w odstępie roku czy dwóch lat. **Tymczasem wiedza wymaga wykluwania się, to jest proces rozwleczony w czasie. Nie chodzi tylko o to, żeby zwolnić, odpocząć, znaleźć równowagę. Czasowość w pisaniu jest ważna, bo nie wiemy**

**do końca, czym będzie to, nad czym pracujemy, musimy mieć zatem czas.** Przykładowo: słyszałem, że Joanna Tokarska-Bakir, którą kiedyś poznałem na stypendium w Jenie, opowiadała, że jakiś czas po napisaniu książki ugoruje. Ugoruje rok albo dwa lub trzy lata. To taki stan umysłu. Uważam, że tak powinno być. Możemy prowadzić wówczas badania, czytać, ale powinniśmy pozwolić, żeby nasze myśli ugorowały. Czas ugorowania jest niezmiernie ważny. Nie da się z góry powiedzieć, co z niego będzie, co się urodzi, czy ma on sens i czy podatnicy mają za to płacić. Ale w pisaniu humanistycznym ten stan ugorowania jest kluczowy.

# Od tekstu-montażu do tekstu jako opowieści

z Małgorzatą Litwinowicz-Droździel  
rozmawiają Marta Rakoczy i Agnieszka  
Sobolewska

**Marta Rakoczy:** Chciałabym rozpocząć nasz wywiad od pytania dotyczącego Twoich własnych praktyk piśmiennych. Jakie formy piśmienności lubisz i najbardziej cenisz?

**Małgorzata Litwinowicz-Droździel:** Moja najbardziej lubiana praktyka piśmienna to robienie chaotycznych notatek. Od dawna piszę teksty i przygotowuję zajęcia. Ale prowadzę też zeszyty i ciągle nie mogę się zdecydować, która z tych form jest moją ulubioną. Istnieją takie *quasi*-mityczne opowieści o codziennych praktykach piśmiennych pisarzy i pisarek, prawda? Że niby ktoś pisał tylko w czystych zeszytach, że inny pisał w notatnikach w linie. Dużo jest literacko-naukowych opowieści tego typu. Do regularnej praktyki prowadzenia notatników powróciłam intensywnie w okresie pandemii. Spośród codziennych praktyk ręcznego pisania, jak chociażby robienia chaotycznych notatek, moim ulubionym gatunkiem są wypisy z lektur.

**MR:** To ciekawe! Opowiesz nam o tym trochę więcej?

**ML-D:** Może to wydaje się nieco dziwaczne, ale wiem, że sporo ludzi tak robi. Po prostu uwielbiam przepisywać fragmenty tekstów, które mi się podobają i mam w tych swoich zeszytach nawet oddzielne strony w całości pokryte wypisami z lektur. Staram się, żeby nie były one zbyt długie, ponieważ sama czynność jest bardzo pracochłonna. Kiedy tylko zaczniesz się pisać ręcznie, to czas zaczyna inaczej płynąć. Ma on inną intensywność i bardzo szybko mija na tej fizycznej, a właściwie psychofizycznej pracy. Szczególnie lubię zapisywać słowa, które mnie poruszają. To jest zupełnie bezinteresowna praktyka – nie wiem, dlaczego tak jest, ale to robię. Czasami zdaje mi się, że to do czegoś pasuje albo że to jest fragment, do którego na pewno jeszcze wrócę, i może kiedyś, jak będę coś pisała, to się jeszcze przyda. Czasem jest to myśl, którą sama chciałabym rozwijać. Ręczne pisanie jest ze swej natury bardzo fragmentaryczne. Nie piszę ciągłych tekstów ręcznie. To, co robię w tych moich zeszytach, to są mikrosylwy. Dużo zależy też od dnia. Przychodzą na przykład momenty, kiedy wpada mi do głowy jakiś nowy pomysł badawczy. Mam wtedy dużą potrzebę, żeby przed samą sobą stworzyć złudzenie, że potrafię robić konsekwentne i uporządkowane notatki na jeden temat. Efektem tego są na przykład trzy zapisane strony. Ale zaraz zapis ten przeradza się już w coś innego, w jakiś zupełnie inny temat, bo kolejny dzień przynosił nową inspirację. Mówię o tym dużo, bo to jest dla mnie ważne. Nawet w tej chwili mam wokół siebie różne zeszyty – małe, duże, czyste, w linie. Myślę, że psychofizyczność pisania to

---

*Od tekstu-montażu do tekstu jako opowieści. Z Małgorzatą Litwinowicz-Droździel rozmawiają Marta Rakoczy i Agnieszka Sobolewska, „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2024, t. 9, s. 83-91.*

bardzo ciekawy temat. Inną praktyką, którą bardzo lubię, jest zapisywanie myśli w trakcie rozmowy. Akurat w trakcie naszej dzisiejszej rozmowy tego nie robię i nie będę, ale często, gdy biorę udział w różnych spotkaniach bądź seminariach, mam przy sobie luźne kartki wyjęte z drukarki, na których piszę dużymi literami [śmiech]. To są moje osobiste mapy myśli – trochę zapisywanie tego, co słyszę, a trochę notowanie skojarzeń i pytań, które nasuwają się podczas dyskusji, w której akurat biorę udział. Myślę, że to właśnie mój ulubiony zestaw praktyk piśmiennych. Oczywiście poza tym są też inne, „obowiązkowe” praktyki, na przykład pisanie recenzji. Lubię ten gatunek! Zwłaszcza podoba mi się pisanie recenzji prac dyplomowych. To forma „praktycznego” gatunku piśmiennego. W mojej codziennej pracy instytucyjnej od lat to ja najczęściej jestem recenzentką projektów z zakresu pedagogiki teatru czy też z zakresu animacji. Również w tych projektach pisanie i tekst okazują się kluczowe.

**MR:** Dlaczego? Czy możesz to wyjaśnić bardziej szczegółowo?

**ML-D:** Jasne! Jakaś praca – efekt działania w słowie – zostaje przedstawiona do oceny. Praca nad recenzją to forma, którą bardzo lubię, bo mam poczucie, że robię coś użytecznego. Myślę zawsze o tym, że adresatem mojej recenzji jest konkretna osoba, której efekty pracy czytam, i że jestem jedną z dwóch osób, które ten tekst będą czytać – drugą osobą jest autor lub autorka. Zazwyczaj teksty projektowe nie mogą liczyć na większą liczbę czytelników. Pisanie recenzji traktuję jako zadanie do zrobienia. Piszę oczywiście też teksty naukowe, artykuły *sensu stricto*. Ale to jest już inny temat, prawda? Przyznam, że nie wiem, czy artykuł to mój ulubiony gatunek piśmienny... Chyba jednak nie.

**MR:** Chciałabym dopytać Cię jeszcze trochę o Twoje zeszyty osobiste. Czy wracasz do tych notatników z wypisami z lektur? Czy myślisz o nich jako o materialnych śladach własnej historii, własnej drogi badawczej?

**ML-D:** Tak. Do myślenia o tym w ten sposób zachęciło mnie też zaproszenie do tej dyskusji i przygotowane przez Was pytania. Zaczynam trochę okrężnie, ale myślę, że to, o czym tutaj rozmawiamy, to bardzo ambitny temat. Pytania dotyczące własnych codziennych praktyk piśmiennych zmusiły mnie do podjęcia refleksji nad tym, czy i w jaki sposób sama kumuluję wiedzę. „Kumulowanie” wiedzy – takiego słowa bym użyła – zawsze jest już związane z pewnym porządkiem i konsekwencją. Opiera się więc na określonym systemie, który sami stwarzamy. W swoim życiu wielokrotnie się przeprowadzałam, a nie powiedziałabym, że jestem osobą uporządkowaną. Często gubię rzeczy. Dosłownie – gubię przedmioty. To normalna praktyka mojego życia, że ciągle czegoś nie mogę znaleźć. To samo tyczy się również moich zeszytów. Bardzo chętnie bym do nich wracała, ale niestety wielu z nich zwyczajnie już nie mam. Mogłam je gdzieś wyrzucić, zakładając, że na pewno już się nie przydadzą. Ale są też takie notatniki, które przechowuję. Należą do nich na przykład zeszyty związane z odbytymi stażami bądź wyjazdami badawczymi. Nie można powiedzieć, że bym prowadziła regularny dziennik. Ale czasem zapiszę sobie coś ważnego, niektóre sytuacje, zdarzenia. Potem rzeczywiście do nich wracam. Po dłuższym czasie dobrze się sprawdzają wypisy z lektury. Moje notatki natomiast mają, myślę, charakter tymczasowy; stanowią zapis jakiejś roboczej myśli, która kiedyś była aktualna, a teraz już nie jest. Niekiedy są to fragmenty literackie lub teksty piosenek, które potem z radością odnajduję.

**Agnieszka Sobolewska:** Wszystko, o czym mówisz jest fascynujące! Dopytam Cię jeszcze o jedną kwestię związaną z Twoimi osobistymi zeszytami. Czy nosisz je czasem ze sobą? Czy piszesz w innych miejscach niż u siebie w domu? A może właśnie mieszkanie, prywatna przestrzeń, stanowi właściwe miejsce dla Twoich codziennych praktyk notowania i wypisywania cytatów z lektur? Czy notatniki podróżują z Tobą na przykład do biblioteki bądź na jakąś kwerendę? Czy poza miejscem pracy, domem i biblioteką są jeszcze jakieś miejsca, w których piszesz?

**ML-D:** Tak! Piszę trochę w domu, bardzo też lubię pracować w bibliotece. Dom jest dla mnie fajną, ale zarazem trudną przestrzenią. Wiele rzeczy mnie dekoncentruje. Czasami piszę w kawiarni. Wiele osób tak robi, prawda? Jest w tym jednak coś fenomenalnego. Taki tam ruch, a mimo

to kawiarnia to miejsce, w którym można się wyłączyć, skupić na pracy i nawet potem coś z tego wychodzi. Przyznaję, że gdziekolwiek się wybieram – jadę na zajęcia, do instytutu albo po prostu gdzieś wychodzę, zawsze staram się mieć w plecaku coś, na czym będę mogła pisać. Potem nie zawsze tego używam. Mam chyba lekką nerwicę, bo jak nie mam przedmiotów do pisania i choćby jednego zeszytu, to czuję się nieprzygotowana do życia! [śmiech]. Notatnik towarzyszy mi więc jako pewnego rodzaju obietnica zapisu – potencjał żywej piśmienności. Dlatego właśnie muszę stale mieć przy sobie narzędzia do tej praktyki, do pisania.

**AS:** W biografjach pisarzy i pisarek, często czytamy, że oni wszyscy „żyli pisaniem”. Najczęściej rozumie się to tak, że pisarz bądź pisarka to tacy ludzie, którzy przez całe życie tworzyli swoje dzieła, a więc dopracowane formy, linearne opowieści, które od razu nadawały się do publikacji. Ale z tego, co mówisz, wynika, że życie pisaniem polega raczej na czymś innym. Na fragmentarycznych, codziennych zapisach robionych pod wpływem chwili i nieskładających się w gotowy tekst. To trochę tak, jakby pisarską egzystencję zapośredniczały zapisy robione niejako „z doskoku” – niezaplanowane i w gruncie rzeczy nieobliczalne. Ten wątek sam w sobie wydaje mi się fascynujący! Drugie moje pytanie dotyczy spójnych i linearnych form, a więc piśmiennictwa naukowego *par excellence*. Czy lubisz pisać naukowo? Jakie rodzaje bądź gatunki tekstów naukowych uważasz za najbardziej otwierające? Które według Ciebie są bardziej, a które mniej predestynowane do eksperymentowania z nimi? Myślę tutaj nawet o eksperymentach literackich, ponieważ wychodzę z założenia, osobiście dla mnie ważnego, że w przypadku badań literaturoznawczych i pisania artykułów lub esejów (zwłaszcza na temat literatury) sami działamy literacko, tworzymy nową jakość poprzez pracę w żywej materii języka. Nasze teksty naukowe nie są jedynie sprawozdaniem, są też – zaryzykuję to stwierdzenie – formą własnej twórczości. Reasumując, pytam o to, czy lubisz pisanie naukowe i jakie jego formy są Twoim zdaniem najbardziej otwarte na eksperymenty w polu naukowego działania słowem pisanim.

**ML-D:** To nie jest łatwe pytanie, bo w jego sercu znajduje się kwestia metody pisania tekstu naukowego, prawda? Myślę też, że po trosze zależy to od dyscypliny naukowej, chociaż nie przywiązywałabym się zbyt do wszystkich deklaracji, które składamy na ten temat. Zwłaszcza pomijam tutaj kwestię odpowiednich czasopism i punktów za publikacje. Nie mam pełnej jasności co do tego, którą właściwie dyscypliną naukową sama się zajmuję. Przyznam, że trudno przychodzi mi formułowanie tematów, na które chcę pisać. Już samo wyznaczenie pola badawczego jest dla mnie pewnym wyzwaniem i zajmuje mi bardzo dużo czasu... Teraz tak sobie myślę, że to fragmentaryczne i spontaniczne pisanie, o którym mówiłam wcześniej, jest też pewnego rodzaju metodą. Nawet jeżeli jestem w stanie wyodrębnić pytanie lub temat, na który chcę napisać większy tekst, to zwykle jest tak, że rozpoczynam go od jakiegoś małego fragmentu, wychodzę od niewielkiego obrazu, który może mi stanąć przed oczami nawet podczas lektury tekstów literackich. Inspiracją lub punktem wyjścia może być jedno zdanie. To jest zupełnie oczywiste dla nas stwierdzenie, że pisanie zaczyna się od czytania. Nasze naukowe praktyki piśmienne zaczynają się właśnie od uważnej, wielokierunkowej i skojarzeniowej lektury. Prawdę powiedziawszy, gdybym miała za zadanie narysować strukturę moich tekstów – tych, które uważam za udane i których pisanie sprawiło mi przyjemność, a także wiązało się z poczuciem, że to teksty o czymś ważnym i że warto było poświęcić na nie czas swój i innych ludzi, którzy je potem czytali – to przedstawiłabym je graficznie jako teksty posiadające jedno centrum, taki „środeczek”. Stanowi go fragment albo jakiś mikrofenomen, od którego w różne strony rozwijają się dalsze myśli i spostrzeżenia. Jest to raczej mapa, struktura, która nie jest do końca linearna. Już to stanowi pewien problem w praktyce pisania. Bo tekst albo to, co nazywamy tekstem, jest w nieubłagany sposób linearny. Żeby powiedzieć coś, trzeba to powiedzieć w uporządkowany sposób, po kolei. Nie będę tutaj jednak nawiązywała do znanych nam obowiązkowych figur piśmiennictwa naukowego. Bo są takie. Jak w jeździe figurowej na lodzie – wszystko opiera się na technice i umiejętności wykonania określonych, zestandaryzowanych figur. W tekście naukowym musimy pokazać, że umiemy przedstawić stan badań, zadać konkretne pytanie wyjściowe, postawić tezę, przeprowadzić rozumowanie, udowodnić, „przyklepać” i przedstawić wnioski. Nie jestem oczywiście temu przeciwna! Myślę, że wykonywanie ćwiczeń ma sens. Praktykując, zdajemy sobie sprawę z własnych ograniczeń, z tego, co nam lepiej idzie, a nad czym musimy jeszcze

popracować. Przyznam jednak szczerze, że z takim strukturyzowaniem tekstu naukowego mam duży kłopot. Piszę raczej w wybuchowy sposób. Moje myśli rozrastają się w różne strony, jak kłaczka wychodząca od jakiegoś, jak już wspominałam, mikrospostreżenia, fragmentu, od czegoś maleńkiego.

**MR:** Nie da się jednak pominąć tego, że praktyki pisania tekstów naukowych również podlegają postępującej standaryzacji. Wpływa na to system ewaluacji, który dowartościowuje idiom anglosaski w pisaniu tekstów naukowych. Zgodnie z nim teksty podlegają bardzo ścisłej strukturyzacji, przebieg dowodzenia jest z góry ustalony, kolejne człony muszą być proporcjonalne do poprzednich i następnych. Czy ta standaryzacja, a nawet mechanizacja pisania naukowego w jakiś sposób na Ciebie wpływa? Jak reagujesz na czytanie tak skonstruowanych tekstów? Czy upowszechnianie się tego idiomu wpływa na ciebie negatywnie bądź pozytywnie? Czy Twoje wybuchowe pisanie jest świadomą odpowiedzią i obroną przed postępującą standaryzacją naukowego pisania?

**ML-D:** To jest ciekawe pytanie! I wywołuje ono sprzeczne emocje. Uważam, że umiejętność wykonania pewnego zestandaryzowanego ćwiczenia pisemnego jest dobra. I nie robiłabym tutaj – używając literackiej metafory – Rejtana, krzycząc: „Ach, nie, nie, nasza akademicka wolność jest ograniczana przez te straszne standardy! A my jesteśmy wolnymi twórcami, będziemy pisać tak, jak chcemy” [śmiej]. Taka postawa budzi moje wątpliwości. Ostatecznie uczę studentów, pomagam im w pisaniu prac semestralnych i wówczas wymagam od nich standaryzacji tych prac, co w normalnym języku nazywa się po prostu porządkiem wyводу. Tekst musi mieć ręce i nogi; czytelnik i czytelniczka muszą wiedzieć, o czym ten tekst jest. Ważne jest też postawienie pytania badawczego, zarysowanie wstępnych rozpoznań. Autor lub autorka muszą wiedzieć, jak ma wyglądać przebieg wyводу, muszą potrafić nas przez niego przeprowadzić. Z jednej strony więc myślę, że ten rodzaj ćwiczeń – pracy nad sobą jako piszącym lub piszącą tekst naukowy – jest konieczny. Ważna jest tutaj samodyscyplina. Pisanie naukowe to pewien etos pracy oparty na porządku i przestrzeganiu z góry ustalonych reguł. Ale w tym wszystkim pojawia się też pragnienie buntu przeciwko regułom i poczucie strachu, że dominujący stanie się taki wariant wymagań dotyczących tekstu naukowego, który określiłabym jako **wariant korporacyjny**. Standaryzacja tekstu sprowadza się do tego, aby wszystkie przykłady twórczości naukowej dało się ze sobą porównać. A rzeczy porównywalne mają na ogół taką samą strukturę. Tego typu teksty wymagają też mniejszego wysiłku umysłowego od ich czytelników. Mam wrażenie, że są to teksty z jednej strony dyscyplinujące, z drugiej strony natomiast rozleniwiające. I teraz uwaga! Nie wiem, czy w ogóle powinnam to mówić..., ale powiem! Myślę, że każdy napisał w swoim życiu tekst, który składa się właśnie z fragmentarycznych notatek i nie ma w nim żadnej specjalnej ciągłości: taki „patchwork”, który można skutecznie stworzyć, jeśli zna się podstawowe zasady strukturyzowania tekstu, prawda? I wiemy po prostu, co powpisywać w jego poszczególne części. Przypomina to trochę pisanie projektu – posługujemy się koniecznymi formułami i sformułowaniami, o których wiadomo, że muszą pojawić się w takim tekście. I wtedy jest to montaż, zestaw poskładanych elementów, a nie opowieść. A już na pewno nie jest to opowieść, w której ujawnia się autor lub autorka ze swoimi emocjami, osobistym stosunkiem do przedmiotu, czyli po prostu tym wszystkim, co powoduje, że jesteśmy ludźmi, którzy się od siebie różnią. Teksty wysoce strukturyzowane, o których wspominałam wcześniej, mogłaby w gruncie rzeczy pisać za nas maszyna. Dlatego właśnie pisanie podług z góry ustalonej i powtarzalnej reguły budzi we mnie głęboki niepokój; nawet nie w sensie zawodowym, lecz jak najbardziej osobistym. Mój lęk wiąże się z tym, że w świecie sformatowanych tekstów będzie widać, że ja sama znalazłam się w nim przypadkowo. Świat, o którym mówię, wyklucza taki rodzaj ścieżki naukowej, który sama przeszłam, mając po drodze różne przygody jako animatorka, praktyczka, opowiadaczka, człowiek, który stale „się wygłupia”, grasując gdzieś na pograniczach między akademią a działalnością edukacyjno-sceniczną. Osoby z Instytutu Kultury Polskiej jeszcze parę lat temu mogły mnie spotkać na jarmarku dominikańskim i posłuchać, jak śpiewam balladę Adama Mickiewicza. Czy to jest praktyka akademicka? Nie jestem pewna, ale na pewno jest to praktyka, która wykracza poza tryb prowadzący od magisterium prosto do doktoratu – od studiów, poprzez prowadzenie zajęć, po wystąpienia konferencyjne i tak dalej. W moim przypadku na tej drodze było dużo prób,



eksperymentów, również artystycznych, sporo było też praktykowania czegoś, co nazwałabym „republiką przyjaciół”. I to właśnie te bardzo różne doświadczenia ukształtowały mnie jako osobę pracującą w świecie akademickim. Właśnie one składają się na moje zaplecze, które wpływa na to, jak prowadzę zajęcia i jak piszę teksty. Czy to się mieści w formacie: teza, stan badań, wstępne rozpoznania, dowód, wniosek? Średnio. Mój osobisty niepokój wiąże się więc z tym, że to, co wydawało mi się ważną stroną mojej drogi badawczej – ja sama jako osoba pracująca w akademii, która ma багаż różnorodnych doświadczeń, poddawanych autorefleksji i bliskich idei kultury czynnej – może okazać się nieistotne. W tym kontekście ważne jest też pytanie o społeczne zaangażowanie akademii. W świecie szybkiej produkcji profesjonalnych tekstów akademickich taka zaangażowana postawa zaczyna działać na moją – jako academiczki – niekorzyść. Mam świadomość, że prędzej czy później zostanę zastąpiona przez jakąś maszynę piszącą artykuły, która będzie to robiła lepiej i nie będzie miała tych wszystkich „głupot” w głowie, które są związane właśnie z doświadczeniem – z jeżdżeniem po różnych miejscach, opowiadaniem historii, całą moją aktywnością animacyjną. Odwołałam się może do wspólnego doświadczenia mojego i Marty, nie wiem Agnieszko, na ile Ci znanego. Chodzi o legendarny w naszym środowisku wyjazd na Litwę, który miał miejsce w 2004 roku. Byłyśmy wtedy obie w grupie polsko-litewskiej i jeździliśmy po Litwie szlakiem instytucji i animacji kultury, tak jak zaplanowały to nasze koleżanki z Litwy. To był objazd pełen bardzo różnych doświadczeń. Na przykład siedziałyśmy w busie, czekając na przeprowadzenie promową na Mierzeję Kurońską. To jest Mała Litwa, Litwa Pruska. I czytałyśmy wtedy na głos poezję Kristijonasa Donelaitisa, bo to było w pakiecie, który został rozdany uczestnikom. W programie nie było podane, kiedy będziemy te poezje czytać, ale uznałam, że to jest dobry moment. Albo latanie po wydmie na Mierzei Kurońskiej po prostu w jakimś natchnieniu. Albo oglądanie przedziwnych obrazów w domu pewnego artysty amatora, co doprowadziło nas do spazmów śmiechu. Było to przedziwne doświadczenie i – mimo całej nieprzewidywalności tego objazdu – bardzo ważne przeżycie dla wszystkich osób, które wzięły w nim udział: coś głębokiego poznawczo, a związanego z miejscem, w którym jesteśmy. Czy to wpasowuje się w jakieś standardy? Nie za bardzo. Mam poczucie, że to jest właśnie ta zmiana, która teraz następuje. Mam tutaj obok siebie na parapecie jakieś książki, czekajcie... Może znajdę. To są kopie artykułów zostawione przez jednego z zagranicznych współpracowników IKP-u. Mamy tu właśnie eleganckie kserówki z dużych studiów poświęconych historii kultury, wydrukował to Routledge. Czy ja chcę tak pisać? Średnio.

**MR:** Bardzo mi się podoba wprowadzona przez Ciebie formuła myślenia o tekście jako montażu bądź tekście jako opowieści. Mam wrażenie, że z tego, co mówisz, przebija doświadczenie generacyjne, które jest ważne i o którym moim zdaniem w ramach akademii zbyt mało mówimy. Ale chciałam Cię jeszcze spytać o jedną rzecz. Opowieść, tak jak Ty ją rozumiesz, która staje się później kanwą tekstu akademickiego, też jest oparta na pewnych standardach. Ale te standardy są już jakościowo inne od tych, o których mówisz, kiedy wspominasz o tekście jako montażu. Myślę, że opis różnic między tymi zupełnie odmiennymi jakościami jest ważny. Głębszy namysł nad nim mógłby pokazać, że nie rozbijamy się tu o różnice w formie tekstu, lecz o coś znacznie głębszego. Dochodzimy bowiem do pytania, co się stanie, kiedy akademia przestanie tworzyć własne opowieści? Jak zmieni się jej rola w świecie?

**ML-D:** Myślę, że jeśli chodzi o humanistykę, moment, w którym akademia przestanie tworzyć własne opowieści, będzie się przekładać na gruntowną zmianę w niej samej, żeby nie powiedzieć, że to będzie koniec jej sensownego istnienia. Stanie się tak, jeśli w ramach tego, co nazywamy humanistyką, przestaniemy konstruować opowieści, które są skierowane do innych ludzi – które są komunikatami. Jako piszący akademicy funkcjonujemy przecież w jakimś porządku komunikacyjnym. Jeżeli stracimy z oczu właśnie to, że tekst, również naukowy, jest sytuacją komunikacji międzyludzkiej, to pojawi się pytanie, po co w ogóle teksty produkować? Nie umiem pozytywnie odpowiedzieć na to pytanie. Być może są ludzie, którzy umieją tak pisać. Dla mnie humanistyka zawsze jest praktykowaniem relacji międzyludzkich. Taki właśnie jest jej najgłębszy sens. Według mnie tutaj właśnie spotyka się to, co poznawcze, z tym, co etyczne. I to jest wymiar, którego nie da się zredukować, zastąpić, wyzerować. Można go natomiast stracić. Nie wiem, co nam wtedy pozostanie.

**MR:** Kiedy Cię z słucham, przypomina mi się finał *Kondycji ludzkiej* Hannah Arendt, w którym pisze ona o naukach ścisłych, mówiąc, że w epoce późniejszej nowoczesności zatraciły one moc tworzenia opowieści. Potencjał ten Arendt widziała jednak jeszcze w humanistyce. Myślę, że my znajdujemy się dokładnie w takim momencie historycznym, kiedy ten potencjał zaczyna zanikać.

**MLD:** Myślę, że zaraz naprawdę znajdziemy się w takim punkcie, w którym się okaże, że „Prędkoż mrok znów i kres nasz bliskoż”, jak pisze Bruno Jasieński. [Śmiech]. Nie mam na to jasnej odpowiedzi. A nie macie wrażenia, że w tym formatującym się, coraz silniej zdyscyplinowanym i lekko korporacyjnym świecie, do którego należy także humanistyka uniwersytecka, przez cały czas istnieje pewien rodzaj dywersji? Mimo strasznego systemu, ludziom ciągle udaje się pisać ciekawe rzeczy. Istnieje moim zdaniem coś takiego, jak humanistyczna partyzantka akademicka. Albo nawet nie partyzantka, bo nie chodzi mi o to, że to ruch zorganizowany, tylko, że ludzie to robią. Piszą po swojemu. Po prostu.

**MR:** Tak! Myślę, że w Polsce kulturowo jesteśmy bardzo dobrze przystosowani do sytuacji tworzenia szarych stref i że szare strefy pisania i wzajemnego czytania są cały czas tworzone w ramach akademii. I one również domagają się opisu.

**MLD:** Nie mam na ten temat gotowych przemyśleń. Nie wiem też, czy już możemy w tym kontekście mówić o zjawisku i o jego skali. Ale podam przykład. Kilka miesięcy temu dostałam tekst z uwagami dwóch recenzentów. I pierwsza recenzja była, parafrazując, taka: „Umrzyj, umrzyj, umrzyj”. Tekst nie ma wyrazistej tezy, jest wątpliwy. Jeśli go zostawić do publikacji, to po całkowitym przekomponowaniu, ponieważ jest bezładny, dygresyjny i tak dalej. To była pierwsza recenzja, a druga była całkiem inna, że tekst jest „*illuminating*”, plus cztery drobne uwagi na marginesie, że tu czy tam można coś jeszcze uzupełnić. Robili to recenzenci pracujący dla tego samego wydawnictwa w świecie anglojęzycznym, a ich recenzje były sprzeczne. Różniły się od siebie biegunowo – od stwierdzenia, że mój tekst – tutaj jest pełna zgoda – nie był wystandaryzowany, nie miał tezy i nie przedstawiał stanu badań w pierwszych słowach, po opinię, że ten artykuł jest mocnym punktem całej książki. To mikroprzykład, ale myślę, że dobrze naświetla to, o czym teraz rozmawiamy.

**AS:** To doskonały przykład! Dodałabym do tego jeszcze dwie uwagi. Zastanawiam się nad „partyzantką”, o której wcześniej mówiłyście. Może rzeczywiście to jest doświadczenie generacyjne, bo chyba odczuwam to dokładnie odwrotnie. Przyznam, że często czuję, że mogę więcej powiedzieć na poziomie treści właśnie w tekście anglojęzycznym, który jest zestandaryzowany, ale trafia jednak do szerszego i bardziej zróżnicowanego grona, w tym do bardziej heterogenicznego grona recenzentów. Z tekstem akademickim po polsku jest inaczej. To jednak nie zmienia faktu, że teksty humanistyczne pisane u nas, moim zdaniem, rzeczywiście wciąż jeszcze odznaczają się większą wariantywnością. W tym wszystkim jest jeszcze jeden problem, o którym nie wspominałyśmy. Chodzi o nieujawnianie recenzji naszych tekstów, co w ogóle bardzo zniechęca do akademickiego pisania. Jeśli wszystko, co dostajemy po napisaniu tekstu, sprowadza się do iluś tam punktów albo wyłącznie do oschłego „tak” lub „nie”, to chyba coś jest nie w porządku. Nasze pisanie – rozumiane jako forma komunikacji międzyludzkiej – traci wówczas sens. Mówiłaś o tym, że humanistyka jest formą komunikacji, czyli że powstaje w relacji do kogoś. Jeśli piszemy tekst naukowy, to nasz komunikat najpierw trafia do recenzentów. Jeśli recenzent pozostaje niemy, to i praca, którą my wykonujemy, nie ma większego znaczenia. Chciałabym jeszcze powrócić do standaryzacji piśmiennictwa naukowego, o czym obie mówiłyście. Wydaje mi się, że umaszynowanie naukowego pisania prowadzi nie tylko do rugowania różnorodności tematów badawczych (bo przecież one same wymagają wprowadzenia – a nawet stworzenia – odmiennych form i sposobów opisu), lecz także, a może nawet przede wszystkim, uniemożliwia eksperymentowanie z odmiennymi strategiami i technikami pisarskimi. Myślę, że głównym problemem pozostaje tutaj fakt dostosowywania standardów tekstu humanistycznego do wymogów stawianych tekstom z zakresu nauk społecznych i matematyczno-przyrodniczych. A przecież te odmienne dyscypliny wiedzy rządzą się odmiennymi dynamikami narracyjno-dyskursywnymi.

Humanistyka, a zwłaszcza literaturoznawstwo bądź kulturoznawstwo, w których tekst pozostaje najczęściej punktem wyjścia i dojścia naszej pracy (częściej niż przeprowadzanie wywiadów albo badania terenowe), jest pracą w żywej materii języka. Jest formą twórczości. To tutaj, moim zdaniem, kryje się prawdziwy problem i ujawnia napięcie między tekstem-montażem (formą zestandaryzowaną) a tekstem jako opowieścią. Dopytałabym Cię jeszcze o coś, zdawałoby się bardziej prozaicznego. Jak znosisz ograniczenia znaków narzucane nam przez czasopisma? A może lepiej odnajdujesz się w dużych formach, jak chociażby monografia? Dla mnie doświadczenie pracy nad małą (artykuł, esej) i dużą formą (monografia) było kluczowe i przełożyło się na głębsze rozumienie tego, co w zasadzie robimy, kiedy regularnie praktykujemy pisanie naukowe. Przyznam, że ograniczenia znaków są dla mnie dużym wyzwaniem, bo zupełnie oczywiste zdaje mi się to, że długość tekstu wynika (albo powinna wynikać) z podjętego tematu. To temat sam mówi nam, czego od nas chce i potrzebuje. Stąd też często zdarza się, że jeśli mam pisać artykuł na czterdzieści tysięcy znaków, to go w ogóle nie napiszę, bo albo jakiś temat się zmarnuje, albo odwrotnie – dla niektórych zagadnień taka długość jest nadmierna.

**ML-D:** Zacznę od technicznej strony tego pytania. Zazwyczaj moje teksty są krótkie. Nie piszę nigdy długich artykułów i prawdę powiedziawszy, czterdzieści tysięcy znaków na jeden tekst, poświęcony jednemu tematowi, to jest dla mnie i tak maraton. Piszę raczej na dwadzieścia niż czterdzieści tysięcy znaków. W trakcie pisania często mam poczucie, że nie powinnam używać zbyt wielu słów. Przyznam, że to, co czasami jest dla mnie męczące w wypowiedziach humanistycznych – ustnych lub pisemnych – to właśnie ich nadmiarowość retoryczna. Wiąże się ona z tym, że autorzy i autorki czują się zobowiązani do tego, żeby przed swoimi potencjalnymi czytelnikami oraz czytelniczkami roztoczyć pawie ogon erudycji, pokazać wszystko, co mają w swoich zasobach. Nie jest mi łatwo o tym wszystkim mówić. Mówienie o pisaniu jest bardzo intymną rozmową. Gdy piszę, bardzo często mam wrażenie „Ojej, w ogóle nic nie przeczytałam na ten temat”. Tak jakbym nie miała zaplecza teoretycznego. Coś mam do powiedzenia, ale skąd ja to właściwie wiem? Warstwa osadzania własnego tekstu w tradycji badawczej czy w głosach badawczych jest dla mnie zawsze bardzo trudnym elementem procesu pisarskiego. Nie chodzi nawet o to, że czuję się zobowiązana do wstawiania wielu przypisów, bo tak się robi. To prawda, że jeśli artykuł nie będzie miał przypisów, będzie to podejrzane. W tym kontekście trzeba też podkreślić, że rzeczywistość mojego życia umysłowego jest przecież taka, że bardzo wiele spostrzeżeń i myśli, które jestem w stanie sformułować w trakcie własnego pisania, zawdzięczam lekturom, tekstom, które napisali inni ludzie. Elementarnym gestem uczciwości jest więc przywołanie ich w mojej opowieści, żywiącej się głosami osób, które na zajmujący mnie temat już się wcześniej wypowiedziały. Zazwyczaj jednak piszę nieduże teksty, które, po pewnym czasie zajmowania się jakimś tematem od różnych stron, zaczynają mi się pokazywać jako potencjalna książka. I to jest taki moment, który bardzo lubię. Mam wtedy poczucie, że coś już zostało przeze mnie zrobione – ileś rzeczy źródłowych już obejrzałam, przeczytałam, przemyślałam i mam jakieś zaplecze lekturowe, jakąś koncepcję, nawet jeśli jest ona jeszcze fragmentaryczna. To znak, że może będzie z tego taki czy inny artykuł albo też coś większego. To chyba nie była odpowiedź na Twoje pytanie...

**MR:** Przeciwnie! [śmiej]. Spytałabym jeszcze o coś, czego Ci szczerze zazdroszczę, mianowicie idiomu mówionego widocznego w Twoich tekstach. To jest coś, czego nie potrafię. Często kiedy Cię czytam, mam poczucie, że nie do końca wiem, jak to się robi. Mój sposób myślenia, jeszcze zanim usiądę do tworzenia tekstu, jest diametralnie różny. Jakie walory i jakie zagrożenia widzisz w testach, które chcą być opowieścią albo też w jakiś sposób nawiązują do ustnych opowieści?

**ML-D:** To bardzo ciekawe i trudne dla mnie pytanie, dotyczy bowiem metody, którą trudno mi zrationalizować. Mam poczucie, że bardzo, ale to bardzo trzeba zwracać uwagę na performatywność tekstu, a więc na związaną z nim radość sceniczną. Gdzieś tam są czytelnicy, którzy po prostu mogą zostać ujęci tym bądź innym sformułowaniem. Opowieść rozumiana w najbardziej klasyczny sposób jest pewnym wyborem, wymaga selekcji, wygładzania połączeń. Opowieść musi się toczyć, prawda? Opowieść fabularna rzadko bywa dyskursywna. Ale można też iść z opowieścią do przodu, a potem się jej przyglądać z lotu ptaka. We współczesnej literaturze mamy dużo takich zabiegów. Prawdę powiedziawszy, to jest już obecne u Cervantesa. Chodzi mi

o umiejętność widzenia siebie z zewnątrz jako osoby opowiadającej. W tym wszystkim wydaje się, że głównym zagrożeniem jest, przepraszam za to stare słowo, pycha. Chodzi o pychę związaną z poczuciem, że za pomocą opowieści można uwieść słuchaczy i czytelniczki. W żywym opowiadaniu pewnie jest to łatwiejsze, bo żywe opowiadanie jest konkretną sytuacją między ludźmi, którzy przychodzą z intencją słuchania i na ogół wiele wybaczą. W tekście, na szczęście, to nie jest już proste, ponieważ lektura nie przemija. To znaczy, idąc za rozumowaniem autorki lub autora, można wrócić do tego, co zostało napisane wcześniej i zwyczajnie sprawdzić, czy to jest spójne; czy pod siłą stylu albo pewnych zabiegów retorycznych nie ukrywa się pustka intelektualna. Styl, który jest bliski żywej opowieści, ma wiele zalet. Wiąże się z nim poczucie, że tekst jest dostępny, że jego lektura może być przyjemnością. Właściwie dlaczego nie? Dlaczego akademickie teksty profesjonalne nie mają być ładne? Nie ma żadnego konkretnego powodu, dla którego należałoby z tej jakości rezygnować. Ale myślę też, że trzeba się pilnować, żeby nie było za fajnie. Żeby to wszystko, co piszemy, nie powskakiwało na swoje miejsca zbyt gładko, tak jak dzieje się to w strukturze fabularnej.

**MR:** A gdzie przebiega granica? Kiedy jest fajnie, a kiedy już **zbyt** fajnie? Potrafisz to jakoś opisać? Może zależy to od konkretnego tekstu?

**ML-D:** Nie umiem chyba odpowiedzieć na to pytanie. Nie ma tutaj reguły. To jest takie fizyczne uczucie, które niekiedy pojawia się przy pisaniu i wiąże się z pojawianiem się błyskotliwych myśli. I tak pyk, pyk, pyk, tu po prostu i tak ach, tu jeszcze. Jakieś coś, może zabawnego. To jest dla mnie taki sygnał ostrzegawczy, takie ding, ding, ding.

Może jest w ogóle tak, że nadmierne odczuwanie przyjemności zawsze jest sygnałem alarmowym? Bo oznacza, że chyba za wiele uwagi poświęca się własnej narcystycznej przyjemności, a nie samej rzeczy, o której się pisze, oraz czytelnikom i czytelniczkom. Tak jakby przedmiot tekstu zniknął na rzecz pawiego ogona, tylko już nie erudycyjnego, lecz po prostu stylistycznego.

**MR:** To ciekawa myśl. Wychodzi na to, że autodyscyplina akademicka wykorzystuje też taki mechanizm: „Nie mogę się bawić zbyt dobrze” [śmiejch].

**ML-D:** Chyba w ogóle jest taka towarzysko-imprezowa reguła, prawda? Gdy siedzicie przy stole z ludźmi i opowiadacie coś i same bawicie się przy tym wyjątkowo dobrze, to znaczy, że połowa gości wyszła, a druga połowa wyjdzie za chwilę. To jest chyba reguła komunikacyjna, a nie pisarska. W każdym razie nie tylko pisarska.

**AS:** Znowu wracamy do myślenia o pisaniu jako komunikowaniu, o humanistyce jako oralnym i piśmiennym wydarzeniu się dialogu między ludźmi. Pamiętam, że o zagrożeniach związanych z językiem rozmawialiśmy już podczas majowej debaty<sup>1</sup>. Wydaje mi się, że jest dokładnie tak, jak powiedziałaś. Nierzadko piękne, świetnie skonstruowane narracyjnie opowieści mogą ukrywać brak głębszej treści, a nawet kompletny nonsens! Myślę, że problem ten jest szczególnie palący dzisiaj, kiedy obserwujemy przyspieszoną produkcję tekstów naukowych.

**ML-D:** Tak!

**AS:** Efekty standaryzacji piśmienności naukowej i skrywania braku oryginalnej myśli za rozbudowanym aparatem krytycznym oraz dobrze skonstruowaną narracją są szczególnie jaskrawo widoczne we współczesnym piśmiennictwie akademickim. Mówiąc kolokwialnie, wiele artykułów pisanych jest dziś „na jedno kopyto”. Paradoksalnie, to właśnie ich powtarzalna struktura i z góry przewidywalne wnioski zapewniają im to, że zostaną opublikowane. Ukazują się, bo nie są zbyt nowatorskie czy rewolucyjne, a właśnie powielają ustalony i akceptowalny schemat myślenia. Osobiście widzę to na przykładzie psychoanalizy, ale myślę, że ten problem istnieje w wielu obszarach badawczych. Ale chciałabym zapytać o coś innego. Czy sądzisz, że właśnie Twoje doświadczenia pozaakademickie, związane z działalnością artystyczną i sztuką opowiadania, uczuliły Cię na zagrożenia, o których rozmawiamy?

**ML-D:** Na pewno nie jest to bezpośrednio przełożenie, ale myślę, że coś z praktyki opowiadania przepłynęło po prostu do mojego warsztatu pisarskiego i że zadziało się właśnie w takiej kolejności, a nie odwrotnie. Na pewno na żywo opowiedziałam ludziom więcej historii niż napisałam w swoim życiu tekstów. Z pewnością też intensywniejsze były moje rozmaite spotkania z ludźmi niż praca nad tekstami. Ale myślę, że to działa też w drugą stronę. Doświadczenie pisania tekstów wpływa na inne rozumienie opowieści i opowiadania. Pisanie sprawia, że moja praktyka opowiadania jest ciekawsza. W pewnym sensie ona właśnie jest tekstowa. Bardzo dużo pracuję jako opowiadaczka z tekstami literackimi, a w ostatnich latach wyłącznie już czytam na głos. Robię montaże, w których pojawiają się elementy moich ulubionych partytur literackich, źródła historyczne i własne opowieści. Myślę, że to wszystko stało się możliwe właśnie dzięki mojemu doświadczeniu akademickiemu. Nie jest więc tak, że ja się od opowiadania nauczyłam pisanie, chociaż niewątpliwie praktyka opowiadania – posługiwania się żywym słowem – uczuliła mnie na to, że słowo ma rytm. I właśnie uchwycenie tego rytmu jest ważne w pisaniu. Wspaniale, jeśli tekst akademicki jest pisany w kategoriach poetyki i muzyki; pisany ze świadomością, że ma swój rytm, że są w nim jakieś sekwencje, które nie są wyłącznie związane z treścią i myślą, lecz z pewnym sposobem posługiwania się żywym słowem. Sama bardzo wyraźnie słyszę to, co piszę. Ważne jest dla mnie to, aby moje teksty dobrze brzmiały. Nie jakoś nadmiernie, ale ta fizyczność, muzyczność, rytmiczność słowa, to jest na pewno bardzo ważny wymiar mojego pisania i tego się właśnie nauczyłam, opowiadając. Drugą stroną tego jest natomiast moja gotowość do kwestionowania opowieści, jej podważania, do wchodzenia z nią w dyskusję, pokazywania, że ona mogłaby być zupełnie inną historią. To są zabiegi literackie, które na pewno przenieśliśmy do żywego opowiadania z pisania. Ostatecznie więc oba te obszary – pisanie i opowiadanie – w moim przypadku wzajemnie się zasilają.

---

#### PRZYPISY

- <sup>1</sup> Zob. w tym tomie: „Czytać więcej, pisać mniej”. *Debata wokół prywatnych warsztatów humanistycznego pisania*. Rozmowa Grzegorza Godlewskiego, Małgorzaty Litwinowicz-Droździel, Weroniki Parfianowicz, Tomasza Rakowskiego, Pawła Rodaka, Kornelii Sobczak, Agnieszki Stecko-Zukowskiej, Ady Tymińskiej. Moderacja: Marta Rakoczy i Agnieszka Sobolewska, s. 207–220.

Marta Rakoczy

---

# Scientific literacy a pisanie humanistyki. Polityki tekstowe współczesnej akademii w perspektywie antropologii piśmiennosci

---

## Opowieści humanistyczne a badania ilościowe

W przywoływanej nieraz w polskich badaniach książce pod redakcją Normana Denzina i Yvonne S. Lincoln z 2009 roku<sup>1</sup>, prezentującej metodologie rozwijane we współczesnych badaniach jakościowych, opublikowano tekst *Pisanie jako metoda badawcza*<sup>2</sup>. Zgodnie z anglosaskim wzorcem pisania artykułów naukowych po kilkudziesięciu wprowadzeniach w temat tekstu (pierwszy akapit) autorki artykułu zapowiedziały jego układ (drugi akapit), prezentując przyjętą segmentację treści. „Artykuł składa się z trzech części” – uprzedziły. „W części 1 Laurel Richardson omawia: (a) historyczny i współczesny kontekst pisania w naukach społecznych, (b) kreatywne praktyki analityczne (*creative analytical practice*, CAP) wywodzące się z gatunku etnograficznego oraz (c) opisuje prowadzone przez siebie badania, w tym pisanie opowiadań oraz pracę badawczą na pograniczu nauk społecznych i humanistycznych. W części 2 Elizabeth St. Pierre przeprowadza analizę sposobu, w jaki pisanie jako metoda badawcza jest spójne z rozwojem jednostek zaangażowanych w społeczne działania i reformy. Część 3 autorstwa Richardson zawiera wskazówki i ćwiczenia dla pisarzy jakościowych”<sup>3</sup>. Dalej pada ze stron autorek nieco bardziej osobista wypowiedź, stanowiąca zarazem ich pisarskie credo: „W rozdziale opisujemy procesy dotyczące nas samych. Jest on wyrazem naszych preferencji. Mamy nadzieję, że Twoje pisanie będzie również odnosiło się do Twoich doświadczeń. Uważamy, że różnorodność poglądów w środowisku jakościowym wzbogaca je i czyni silniejszym”<sup>4</sup>.

Dalsze partie artykułu podzielone zostały na podrozdziały (każdy skrzętnie opatrzone tytułem) i zaplanowane tak, by precyzyjnie rozróżnić część „twardą” w postaci ewaluacji badawczej oraz „miękką”, czyli te fragmenty, w których pojawiała się „osobista opowieść”. Fragmentom przypisano jednoznacznie autorstwo, bowiem ze względu na ewaluację naukową należało wskazać procentowy udział w tekście twórczyni artykułu. Paradoks sytuacji polegał na tym, że celem tego tekstu było otwarcie się na nowe, wielogłosowe formy pisarstwa naukowego. Jego nowatorstwo miało, zdaniem autorek, charakter nie tylko formalny, lecz także merytoryczny. Forma tekstu, a zwłaszcza osobiste i społeczne praktyki towarzyszące jego powstawaniu i pisaniu miały nieść za sobą intelektualną rewolucję, co przełożyć się miało na jakość badań, ta zaś na merytoryczną i literacką jakość artykułów naukowych. Te ostatnie w zamierzeniu nie były ani reprezentacją efektów badań, ani ich ekspresją. Miały być dziejącymi się w trakcie pisania

---

Marta Rakoczy,  
Scientific literacy  
a pisanie humanistyki.  
Polityki tekstowe  
współczesnej akademii  
w perspektywie  
antropologii  
piśmiennosci,  
„Almanach  
Antropologiczny.  
Communicare” 2024,  
t. 9, s. 92-106.

procesami poznawczymi i etycznymi, uwikłanymi w relacje społeczne i osobiste, dzięki którym badacze mogą dokonywać rewizji nauki jako takiej.

Autorki *Pisania jako praktyki badawczej* podkreślały, że mimo przewrotów postmodernistycznych humanistyka akademicka jest nieustannie poddawana reżimowi pisania tekstów korespondujących formalnie z badaniami ilościowymi. Efektem tego był zalew „tekstów jakościowych, które, napisane homogenicznym językiem «nauki», nie są interesujące dla czytelnika”<sup>5</sup>. Są nudne, nie są bowiem „dynamicznymi” tekstami usytuowanymi w kontekście, który coś egzystencjalnie znaczy dla autora, a jednocześnie czytelnika. Takie teksty nie są pociągające ani dla pozaakademickiego odbiorcy, ani dla akademików, którym skrajnie sformalizowany proces pisania przestaje się kojarzyć z przynoszącą radość i satysfakcję pracą twórczą. Nic dziwnego, że autorki, cytując podręcznik do pisania kreatywnego, zaznaczały, że „[p]isanie, kreatywny wysiłek, powinno być najważniejsze – co najmniej przez jakąś część Twojego życia. To wspaniały talent, jeśli go wykorzystasz. Staniesz się szczęśliwszy, bardziej oświecony, żywotny, pochłonięty pasją, będzie ci lżej na sercu, będziesz hojniejszy dla innych”<sup>6</sup>.

Podobny eksperyment tekstowy – polegający na próbie pisania nielinearnego, wielogłosowego i skoncentrowanego nie tyle na analitycznym sprawozdaniu określonych wyników badań jakościowych, ile na osadzonej w konkretnym społecznym i biograficznym opowieści – przeprowadzili między innymi David M. Boje i Nazarin Tourani. W tekście *Storytelling, czyli o materialności opowiadania*, wychodząc od analogicznego rozpoznania, zaznaczyli – za Walterem Benjaminem – że nowoczesna nauka niesłusznie wyparła na margines wiarygodnych narzędzi komunikacyjnych opowieść ustną jako gatunek komunikowania i ewokowania żywego doświadczenia. Podkreślali, że celem ich artykułu jest „wskrzeszenie materialnej sztuki snucia opowieści osadzonych w procesach materialnego świata”<sup>7</sup>. Teksty były, ich zdaniem, obiektami komunikacyjnymi; „słownymi nawykami wpisanymi w organizacje, podobnie jak ewaluacje i rozmowy kwalifikacyjne”<sup>8</sup>. Za pomocą stosownej formy tekstowej chcieli doprowadzić do zmiany nawyków i do stworzenia nowych interakcji i relacji społecznych. W ich koncepcji tekst miał być traktowany nie jako dyskurs na temat konkretnego pola przedmiotowego, lecz aktywny agens zanurzony w konkretnym doświadczeniu osoby piszącej, pozwalający nawiązywać nowe, otwierające intelektualnie więzi z ludźmi i rzeczami. Z tego właśnie względu Boje i Tourani eksperymentowali z opowieściami autobiograficznymi i rodzinnymi, które poprzez przywoływanie rzeczy codziennych miały ewokować żywe doświadczenie egzystencjalne, będące podstawą każdej działalności naukowej<sup>9</sup>. Inkorporowali też w tekst tradycyjne opowieści autochtoniczne, uruchamiając inną ontologię niż ta wpisana w nowoczesne myślenie naukowe oraz jego dycho- tomie (język vs rzeczywistość, natura vs kultura, ludzkie vs nieludzkie itd.).

Efekty pisarskie tych – interesujących na poziomie postulatów i deklaracji – eksperymentów były jednak rozczarowujące. Opowieści o fascynacjach naukowych, rodzinnych korzeniach, hobbystycznym kowalstwie, fascynacji sztuką opowiadania i sztukami walki były nieciekawe i płaskie zarówno w warstwie formalnej, jak intelektualnej. Robiły wrażenie studenckiej wprawki z zajęć pisania kreatywnego. Nie ewokowały bogatego symbolicznie świata, który mógłby rewidować nawyki myślenia i działania. Nie tworzyły szczególnej, intymnej relacji między autorem i czytelnikiem. „Jestem kowalem i narratorem” – zaczyna swoją opowieść David Boje. „Wolę opowieści mające ontologiczny charakter, opowieści o prawdziwych rzeczach: przedmiotach z metalu, węgla, ogniu, wodzie i narzędziach. Dowiedziałem się o ontologicznym wymiarze opowiadania od Jane Bennett, która posłużyła się teorią aktora-sieci stworzoną przez Brunona Latoura”<sup>10</sup>. Nietrudno o wrażenie, że osobista opowieść Davida Boje’a odsłaniała także żargonowość i sztuczność języka akademickiego. Łączenie w pojęciowych akrobacjach osobistych wynurzeń, indiańskich kosmologii, fizyki kwantowej, teorii zwrotu materialnego i posthumanistycznego, czy wreszcie socjologicznych teorii dyskursu nie wypadało przekonująco. Autobiograficzne wtręty w artykule naukowym nie komunikowały ponadindywidualnego lub więziotwórczego sensu. Boje kończył swoją historię równie bezbarwnie, jak zaczął:

W październiku byłem na tygodniowych warsztatach kowalstwa zorganizowanych przez szkołę Robba Guntera w Moriarty w stanie Nowy Meksyk. Uczyłem się właściwego dbania o palenisko, różnych sposobów zwijania metalu. Poza tym ośmioro uczestników uczyło się, jak wykuwać spoinę.

Kucie spoiny polega na rozgrzaniu kawałków metalu do białozółtej barwy, a potem na ich łączeniu. Wycucie spoiny wymaga odpowiedniej temperatury, świetnego wyczucia czasu i właściwej siły uderzeń młotka. Warto na rozgrzany do czerwoności metal nałożyć trochę boraksu, zanim zabierzemy się do kucia spoiny. Dzięki tej substancji do metalu nie przywierają żadne zanieczyszczenia<sup>11</sup>.

Tekst Boje'a i Tourani na poziomie deklaracji metodologicznych był rzecz jasna frapujący. Tam, gdzie usiłował je zrealizować, a w konsekwencji wyjść poza standardową poetykę artykułu naukowego, stawał się nie tylko nudny i literacko nieprzekonujący, lecz także pretensjonalny. Typograficzny zabieg oddzielenia za pomocą ramek poszczególnych opowieści od sprofesjonalizowanego wywodu opatrzonego licznymi odwołaniami pojęciowymi i bibliograficznymi sprawiał, że tekst tracił na wiarygodności. Skoro nauki społeczne i humanistyczne miały czerpać z opowieści, czemu w tym przypadku opowieści inkrustowały jedynie tekst główny na zasadzie narracyjnych ilustracji obrazujących dość mechanicznie postulaty teoretyczne? Czemu ich nie wzbogacały? Dlaczego funkcjonowały jako zdekontekstualizowane uzupełnienia wywodu, który nadal miał spełniać oczekiwania bardziej tradycjonalistycznego recenzenta? Czy oznaczało to, że faworyzująca badania ilościowe rewolucja w pisaniu humanistycznym zaszła tak daleko, że powrót do praktyk pisarskich innych niż te narzucone przez reżim akademicki preferujący badania ilościowe był niemożliwy? I jak doszło do tej rewolucji, skoro odkrycie, że teoria może rozpocząć się od kunsztownej literackiej opowieści autobiograficznej, było fascynującą tradycją dyskursów humanistycznych przynajmniej od czasów św. Augustyna, a później Kartezjusza, Montaigne'a, Rousseau oraz eseistyki akademickiej uprawianej systematycznie od II połowy XIX wieku? Dlaczego w XXI wieku – po licznych zwrotach metodologicznych i wielu świetnych dokonaniach z zakresu autoetnografii – trzeba przypominać, że badania są „procesami”, które – jak odkrywają we wstępie Richardson i St. Pierre – „dotyczą nas samych”<sup>12</sup>?

## — Piśmienność współczesna versus pisarstwo humanistyczne

Te same kłopoty z pisaniem akademickim sygnalizował znacznie wcześniej, bo jeszcze w 1989 roku, inny reprezentant antropologii, a mianowicie Paul Stoller. Problemem tekstów antropologicznych – stwierdzał – jest to, że są „płaskie, neutralne i «mulliste»”<sup>13</sup>. Nie wyrastają ze świadomości, że antropologia może korzystać z doświadczeń literatury, a jej odbiorcą może być czytelnik uwrażliwiony na warsztat pisarski. Mimo rozwijanej od drugiej połowy XX wieku świadomości metateoretycznej etnografowie, zdaniem Stollera, nieustannie uprawiają w tekście retorykę prawdy sprawozdawanej w suchy, skrajnie formalny i daleki od niepowtarzalnego, pisarskiego i naukowego idiomu pracy konkretnego badacza. Stoller dowodził, że metateoretyczne postulaty amerykańskiej antropologii drugiej połowy XX wieku nie spowodowały zasadniczo nowych praktyk piśmiennych i gatunków tekstowych. Ich jałowość, która nie przekładała się na politykę i strategię akademickiego pisania, recenzowania, oceniania i aplikowania tekstów, a w konsekwencji reguły funkcjonowania czasopism i wydawnictw, była faktycznie dość zastanawiająca. Na poziomie organizacji tekstu antropologicznego, jego zdaniem, wywód reprodukował w coraz bardziej odtwórczy i jałowy sposób obiektywistyczną, bezosobową narrację operującą zuniformizowanym aparatem pojęciowym, często kopiowanym od wiodących, także w liczbie cytowań, autorów. Deklarowane eksperymenty poznawcze nie znajdowały przełożenia na eksperymenty tekstowe poruszające wyobraźnię czytelnika i rozszczelniające językowe narzędzia odnoszenia się do partykularnego i zbiorowego doświadczenia.

Niszczącą dla twórczej pracy akademickiej nudę obcowania ze współczesnymi tekstami antropologicznymi opisywała też dwie dekady później wspomniana wcześniej Laurel Richardson.

W pierwszym wydaniu tego podręcznika wyznałam, że przez wiele lat ziewałam z nudów, czytając liczne publikacje uchodzące za wzorcowe w badaniach jakościowych. Nie potrafię zliczyć artykułów i tekstów, które porzu-



całam przeczytane do połowy, a dalej tylko przekartkowane. Kupowanym książkom towarzyszyły wielkie oczekiwania – temat i autor były interesujące, ale tekst okazywał się nudny. Gdy opowiedziałam kolegom i studentom o moim skrywanym niezadowoleniu, odkryłam grupę osób z podobnymi odczuciami. Zarówno studenci, jak i koledzy przyznali, że według nich wiele jakościowych publikacji jest po prostu nudnych<sup>14</sup>.

W czasie, kiedy przywołani autorzy pisali swoje teksty, powstało wiele udanych dzieł akademickich i to nie tylko tekstów, ale także esejów dźwiękowych i filmowych, których twórcy od końca XX wieku usiłowali konsekwentnie zredefiniować formę prezentacji naukowej. Niemniej eksploracje te, marginalne i niesystematyczne, w żaden sposób nie naruszały dominującej polityki tekstowej współczesnej akademii.

Według Stollera koronny przykład postępującej scjentyfikacji nauk humanistycznych i społecznych, której konsekwencją było znudzenie akademików tekstami produkowanymi w ramach ich dziedziny, stanowiła rekomendowana przez współczesne mu instytucje naukowe technika pisania określonych gatunków tekstu naukowego. Przykładowo, według ówczesnych instrukcji American Anthropological Association dobry abstrakt to „opisowe podsumowanie dłuższej pracy. Powinien rozpoczynać się od tematu głównego, wyraźnie wskazywać charakter i zakres danych, na których się opiera, kreślić istotę problemu lub zagadnienia, sformułować stosowne argumenty naukowe oraz ujawnić, jak jego treść odnosi się do istniejącej literatury. Może korzystać z cytatów, o ile są potrzebne”<sup>15</sup>.

Z kolei zdaniem Stollera „[e]tnograficzny dyskurs, który stosownie do funkcjonowania nauki jako takiej «staje twarzą w twarz z rzeczywistym światem tylko w rzadkich chwilach» i który jest zazwyczaj tak pompatyczny, że staje się strawny tylko dla nielicznych specjalistów, do których jest skierowany, rychło odejdzie w zapomnienie”<sup>16</sup>. W 1989 roku Stoller marzył o przyszłym tekście etnograficznym jako tekście akademickim i literackim zarazem. Prognozowane, wieloznaczne, zmysłowe i plastyczne, wsparte warsztatem pisarskim i próbujące uchwycić różnorodne doświadczenie terenowe narracje antropologii „będą – jak zakładał – zachęcać do mieszanina ze sobą składników świata”, tak by przekształcić się w interpretowaną na wiele możliwych sposobów „smakowitą prozę”<sup>17</sup>. Jeśli chodzi zarówno o antropologię polską, jak i amerykańską, wiadomo już, że postulowanej prozy naukowej ciągle brakuje. I nie wynika to z niedostatku intelektualnego ani braku talentu literackiego współczesnych badaczy. Problemem nie są także formalne, ściśle językowe reguły rządzące pisaniem humanistyki, lecz ich instytucjonalne zakorzenienie.

Zjawiska te – choć ani Stoller, ani Richardson i St. Pierre wątku tego nie podjęli – były następstwem zmiany funkcji akademii w życiu publicznym. Standaryzacja tekstów – traktowanych teraz jako produkty, a nie procesy wpisujące się w międzyludzki dialog – była wynikiem rewizji społecznego i politycznego usytuowania akademii. A także miejsca nauk humanistycznych w jej murach<sup>18</sup>. Sformułowana w drugiej połowie XX wieku misja humanistyki jako narzędzia tworzenia kultury silnie spluralizowanej demokracji deliberatywnej, w której reprezentowane mogą być różne, wchodzące ze sobą w dialog głosy i konteksty, wymagające głębokiej, hermeneutycznej lektury i wyczulenia na jednostkowe idiomy przeżywania i myślenia, stawała się u progu XXI wieku coraz bardziej problematyczna<sup>19</sup>. Humanistyka akademicka, a także nauki społeczne opowiadające się za badaniami jakościowymi podlegały dokonującej się w skali globalnej intensywnej normatywizacji, która rozpoczęła się wprawdzie już w wieku XIX, ale w XXI wieku przybrała formy wcześniej niespotykane<sup>20</sup>. Przez ujednoczenie polityki naukowej algorytmizowana była tekstowa produkcja w skali już nie lokalnej, lecz globalnej<sup>21</sup>. Poddawano ją także ewaluacji za pomocą bezosobowych, ściśle numerycznych kryteriów, oderwanych od tradycji dyscyplinarnych i środowiskowych<sup>22</sup>. Nic więc dziwnego, że prowokowało to i nadal prowokuje pytania o funkcję i charakter pisania akademickiego oraz jego lokalne i globalne, polityczne, ekonomiczne i społeczne uwarunkowania<sup>23</sup>. Chodzi tu o problem fundamentalny: w jaki sposób reprezentanci dyskursów humanistycznych i społecznych zorientowani na zdobywanie punktów mogą przekonać kogoś więcej niż liczne podmioty administracyjne, przyznające punktację i przekładające ją następnie na algorytmy finansowania uczelni, do znaczenia pisania humanistyki we współczesnym świecie?

Wspomniana ironia sytuacji opisanej w tekście Richardson i St. Pierre polegała na tym, że powstał on w czasie, w którym postmodernizm, nacisk na różnorodność i retoryczność ujęć oraz tekstów, a także ich ściśle osobiste komponenty wydawały się siecią koncepcji niezbyt już elektryzujących, bo mocno uwewnętrznionych przez reprezentantów badań jakościowych. Epistemologiczny reprezentacjonizm był od kilkudziesięciu lat stanowiskiem metodologicznie dyskredytowanym. Podobnie jak koncepcja języka i tekstu jako narzędzi referencji. Przekonanie o osobistym, głęboko egzystencjalnym wymiarze pracy badawczej i pisarskiej zarazem było artykułowane zarówno w naukach społecznych, jak humanistycznych w ramach zwrotu anty-pozytywistycznego od końca XIX wieku, a praktykowane znacznie wcześniej. Pod koniec XIX wieku Nietzsche twierdził, że ważne teksty pisze się „własną krwią”, eksperymentując w ten sposób z nienormatywną poetyką pisania tekstów filozoficznych na uniwersytetach niemieckich. Z tych samych powodów Georg Simmel postanowił w swych dociekaniach filozoficzno-socjologicznych konsekwentnie trzymać się formy błyskotliwego, wielowątkowego eseju. Jego teksty miały być raczej popisem niepowtarzalnej wrażliwości naukowej niż suchym sprawozdaniem z jakiegokolwiek usystematyzowanej procedury badawczej. Trzeba jednak pamiętać, że zarówno Simmel, jak i Nietzsche zrezygnowali z regularnej kariery akademickiej, a poetyka ich pisania była ściśle związana z krytyką standardowej produkcji intelektualno-tekstowej niemieckiej akademii.

Co zatem działo się z naukami społecznymi i humanistycznymi, że dopominały się od końca XX wieku o zapoznaną atrakcyjność tekstu, który byłby rozumiany jako mniej lub bardziej osobista narracja i stanowił przyczynek do tworzenia intensywnych więzi społecznych opartych na hermeneutycznym czytaniu empatycznym? I dlaczego ich postulaty nie brały pod uwagę kontekstu instytucjonalnego, w którym zostały wyartykułowane? Dlaczego przypominały, że humanistykę uprawia się z pobudek głęboko osobistych oraz uświadamiały czytelnikowi, że bycie akademikiem to bycie nie tylko reprezentantem określonej grupy zawodowej, ale także osobą na wielu płaszczyznach zaangażowaną egzystencjalnie w doświadczaną rzeczywistość, którą wszelkie badania i teksty przetwarzają i która zarazem przetwarza samego badacza? Co się stało, że tak głęboko osadzone w tradycji filozoficznej diagnozy stały się u progu wieku XXI metodologiczną rewelacją, której forma, niestety, w przypadku tekstu Richardson i St. Pierre mocno odbiegała od maestrii literackiej koryfeusza humanistyki XIX i XX wieku? Jak głęboko musiała zmienić się samowiedza nauk społecznych i humanistycznych na skutek określonej polityki naukowej, by w jednej z najbardziej prominentnej i systematycznej prezentacji nowych kierunków w badaniach jakościowych pojawiły się truizmy w rodzaju stwierdzeń: „praca etnograficzna jest nieodłącznym elementem tożsamości badacza”<sup>24</sup>?

Przyczyną normatywizacji tekstów humanistycznych, według Stollera piszącego na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, była przede wszystkim specyfika zachodniej nauki – medialna, wzrokocentryczna i zorientowana na medium pisma. Nauka ta, jego zdaniem, w coraz większym stopniu rugowała te komponenty doświadczenia, których nie sposób zwiualizować, przedstawiając w postaci linearnego tekstu, wykresu lub tabeli<sup>25</sup>. Innymi słowy, upatrywał on przyczyn krytykowanych zjawisk w mediach nauki, twierdząc, że to właśnie one są aktywnym agensem odpowiedzialnym za określoną ewokację doświadczenia badawczego<sup>26</sup>. Media zaangażowane w proces komunikowania badań akademickich mają, zdaniem Stollera, głęboki wpływ na przyjmowane w ich ramach teorie, praktyki i metodologie. Piszące ponad dwie dekady później amerykańskie antropolożki skłonne były widzieć w określonych medialnie gatunkach pisarstwa naukowego stojące za nimi opresyjne reżimy myślenia i działania, zaś odpowiedzialnością za ich funkcjonowanie obarczać określone instytucje i polityki naukowe. „To, kim jesteśmy – zauważały – oraz kim możemy być (co możemy studiować, jak możemy pisać o przedmiocie naszych studiów), jest powiązane ze sposobem, w jaki system wiedzy dyscyplinuje sam siebie i swoich członków (badaczy), a także ze sposobami uznawania siebie za autorytet w dziedzinie przedmiotu badania oraz osób badanych”<sup>27</sup>. Choć teza Stollera nie pozwalała uchwycić instytucjonalnego, społecznego i politycznego zaplecza zmian, które przekładały się na praktyki piśmienne akademii, diagnoza amerykańskich antropolożek także nie była satysfakcjonująca. Powołanie się na bliżej nieokreślone reżimy myśli nie pozwalało na sformułowanie pytań o ich społeczno-polityczno-ekonomiczny fundament. Nie umożliwiło też podjęcia próby konsekwentnej odpowiedzi na pytanie, jakie praktyki badawcze

i instytucjonalne miałyby szanse dokonać rewizji określonych rodzajów polityki i praktyki naukowej związanych z pisaniem humanistyki. W jaki sposób przywracać do życia pisanie prawdziwie humanistyczne? I jak działać, by jego reanimacja miała przełożenie na kondycję współczesnych społeczeństw i mogła zapewnić przedstawicielom humanistyki społeczną wiarygodność?

## Zmagania z tekstem – kontekst polski

Scjentyfikacja, profesjonalizacja i parametryzacja dyskursów humanistycznych oraz narzucanie polityki produkcji tekstów, nad którymi kontrolę roztaczały coraz bardziej zbiurokratyzowane instytucje państwowe i międzynarodowe, są to, rzecz jasna, zjawiska, które mają swoje polskie warianty związane z chaotyczną neoliberalizacją i korporacjonalizacją nauki, poddawanej od czasów transformacji licznym reformom ministerialnym. Także na gruncie polskim po wielokroć wysuwany był klasyczny Jaspersowski postulat, rozwijany w *Idei uniwersytetu*, by państwo i nauka jedynie się tolerowały, bo ich cele nie są i nie powinny być ze sobą tożsame<sup>28</sup>. Efektem tego jest dokonywana obecnie rewizja polityk i praktyk piśmienności akademickiej. Ta ostatnia stawała się zakładniczką z jednej strony wojen kulturowych toczonych we współczesnej publicystyce, z drugiej – kultury neoliberalnego indywidualizmu, dyskredytującego akademicki etos hołdujący zasadzie bezstronnego dialogu toczzonego w ramach wspólnoty *universitas*. Polska debata nad pisarstwem akademickim przebiegała analogicznie do debat, które odbywały się choćby w przywołanym już kontekście amerykańskim. Była to debata skupiona na zjawiskach wewnątrzakademickich, związanych ze współczesną, neoliberalną i pronarodową zarazem polityką naukową, na którą usiłowano zareagować, by na bieżąco amortyzować lub odwracać zmiany niszczące dla humanistyki. Nic dziwnego, że dotyczyła ona głównie decyzji ministerialnych. Piętnując zjawiska określane pejoratywnie jako „punktoza” i „granttoza”, debata krążyła wokół różnych wariantów pytania: czy w świetle nowych definicji humanistyka jest jeszcze nauką? I czy pisaniu akademickiemu w dziedzinach humanistycznych i społecznych można narzucić reżim nauk ścisłych i badań ilościowych bez uszczerbku dla jego wartości? Po wejściu w życie Ustawy 2.0 reformującej naukę i szkolnictwo wyższe i wprowadzonej pod egidą ministra Jarosława Gowina, humaniści, o ile w ramach zwrotu posthumanistycznego czy neurokognitywnego nie starali się o alians z badaczami „twardszych” dziedzin, zazwyczaj udzielali na te pytania odpowiedzi negatywnej.

Przykładowo, w jednym ze swoich artykułów Michał Herer dokonał przeciwstawienia dwóch modeli pisania humanistycznego. Pisząc o filozofie-pisarzu i filozofie-naukowcu, wyraźnie bronił wizji filozofowania jako uprawiania pisarstwa. Nie chodzi o to – twierdził – że filozofia będąca jednocześnie rodzajem pisarstwa jest „tylko literaturą”. Chodzi o to, że jej pisanie, nawet gdy „rygorystycznie dąży do odsłonięcia obiektywnej struktury rzeczywistości”, polega na innej praktyce tekstowej niż praktyka naukowca<sup>29</sup>. Herer dowodził, że

[f]ilozof-pisarz musi stworzyć swój styl i wynaleźć sposób komunikacji z wirtualnym czytelnikiem. W odróżnieniu od filozofa-naukowca nie może po prostu ćwiczyć się w pisaniu zgodnym z regułami sztuki akademickiej, poprzestać na przyswojeniu sobie akademickiego, naukowego stylu pisania. I to zarówno w postaci kanonicznej, uświęconej tradycją, jak i w wersji nowszej, pozornie bardziej swobodnej, a w istocie w równym stopniu uschematyzowanej. Pisarka nigdy nie ma przed sobą „białej kartki”. Jej punktem wyjścia są klisze, schematyzmy, językowe odruchy – wszystko, czego trzeba się najpierw oduczyć, żeby pisać. Dlatego styl jest przeciwieństwem żargonu. Nawet gdy jest osobliwy lub wręcz dziwaczny, nie ma charakteru kodu, którym porozumiewają się między sobą uczestnicy wewnętrznych rozgrywek w takim czy innym polu. [...] Być może pisanie całkowicie wolne od takiego kodowania jest niemożliwe, pisarstwo polega jednak na wyzwaniu się od niego [...] <sup>30</sup>.

Wynikiem pracy filozofa-pisarza, zdaniem Herera, jest to, że otwiera on „nowe możliwości językowej ekspresji nawet wówczas, gdy jego styl odznacza się ubóstwem i opiera się na redukcji”. Dzieje się tak, ponieważ „pisarstwo stanowi przeciwieństwo praktyki, w której język ma być neutralnym i prostym w obsłudze narzędziem”<sup>31</sup>.

Wokół opozycji humanistyki jako sztuki i jako nauki rozegrała się także polemika Michała Pawła Markowskiego i Adama Lipszyca<sup>32</sup>. W książce *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki* Markowski twierdził, że współczesna nauka stoi na antypodach myślenia humanistycznego jako polityki wrażliwości niezbywalnej dla życia społecznego. Będąc z definicji antyhumanistyczna, „chce ludzkie poznanie pozbawić tego, co najbardziej ludzkie – niepewności, błędzenia, tymczasowości i zastąpić je tym, co nieludzkie: pewnością, oczywistością i nieodwracalnością”<sup>33</sup>. Lipszyc z kolei uznawał, że humanistyki nie należy bronić przed nauką, lecz przed postępami technonauki i neoliberalnej ideologii, która zagraża wolności badań naukowych w imię natychmiastowej, wymuszonej rynkową konkurencją użyteczności<sup>34</sup>. Usunięcie humanistyki z domeny nauki – twierdził w recenzji książki Markowskiego – ani jej nie uratuje, ani nie wpłynie korzystnie na kondycję innych, pozahumanistycznych nauk<sup>35</sup>. Trudno przeczyć temu, że przywołane dyskusje – ściśle związane ze słuszną polityką bieżącego reagowania na decyzje ministerialne – były niezmiernie potrzebne. Konsolidowały środowiska naukowe i pozwalały na szybką diagnozę tego, co dla tych środowisk było dewastujące. Aby jednak dyskusje te były postrzegane przez zewnętrznych odbiorców inaczej niż jako obrona interesów środowiska, musiałyby uwzględnić szerszą ramę refleksji.

Ramy tej, jak sądzę, mogłyby im dostarczyć pogłębiona, antropologiczna analiza wiedzy i edukacji oraz systematyczne badanie praktyk tekstowych związanych z czytaniem i pisanem tekstów akademickich, stanowiących podstawę materialną, instytucjonalną i intelektualną uprawiania humanistyki<sup>36</sup>. Rama ta w Polsce nie była zbyt często wykorzystywana. Prowadzone na świecie badania z zakresu antropologii biurokracji i piśmienności naukowej [*scientific literacy*], etnografii laboratorium i tekstów, które laboratorium generuje, zbyt późno znalazły oddźwięk w polskiej humanistyce<sup>37</sup>. Wpłynęło to mocno na kondycję ważnych dyskusji o jej przyszłej i teraźniejszej roli oraz dziedzicznym usytuowaniu. Właśnie dlatego dyskusje te, skoncentrowane na problemie scjentyfikacji humanistyki, a także możliwym aliansie z „twardszymi” dziedzicami, skupiały się na kwestiach metodologicznych i epistemologicznych, traktując tekst jako wyraz określonych postulatów i założeń teoretycznych. Tekst stosunkowo rzadko był tu postrzegany jako byt, który interferuje ze środowiskiem pozatekstowym i który w określony sposób działa w rzeczywistości kulturowej, przekształcając nieodwołalnie akademię, a wraz z nią życie społeczne.

Wyjście z tego impasu było tym trudniejsze, że na skutek zwrotów humanistycznych, które usiłowały poszukiwać nowych form reprezentacji wiedzy w odpowiedzi na wielomedialność i wielosensoryczność doświadczenia kulturowego, pytania o tekst, jego specyfikę, a zwłaszcza towarzyszące mu praktyki kulturowe, traciły na atrakcyjności. Jak wiadomo, poprzedzający te przemiany metodologiczne zwrot tekstowy, zainaugurowany przez strukturalizm w drugiej połowie XIX wieku i rozwinięty w oparciu o przesłanki epistemologiczne postmodernizmu, uczynił swoim podstawowym narzędziem analizy tekst rozumiany później przede wszystkim jako dyskurs powiązany z instytucjami wiedzy/władzy. W Polsce reperkusje zwrotu tekstowego utrzymywały się bardzo długo. Jeszcze w 2017 roku Tomasz Rakowski konstatował, że „etnografia po zwrocie tekstowym, kojarzonym głównie z reorientacją semiotyczną, opisową i interpretacyjną, wraca do poznania bardziej źródłowego, bezpośredniego i przedtekstowego. Jest to jednak powrót do bardzo wymagających i niepewnych procedur poznania, które dopiero jest rozpoznawane, wydobywane i testowane”<sup>38</sup>.

Trudno dziś sprzeczać się z tym, że koncentracja na kategorii tekstu jako retorycznego konstruktu nie pozwalała śledzić tego, co przedtekstowe i milczące w poznaniu, konsekwentnie traktowanym jako proces nieutożsamiany z jego tekstowym efektem. Zawężenie kategorii poznania humanistycznego było jednak kłopotem nie tylko z punktu widzenia epistemologii bądź etyki. Było ogromnym utrudnieniem dla krytycznych badań nad polityką naukową i tekstową o decydującym znaczeniu dla politycznych, ekonomicznych i społecznych funkcji pisania akademickiego, a także dla cyrkulacji jego efektów w szeroko pojętym świecie społecznym. Nie pozwalało dostrzec, jak teksty działają w pozajęzykowym, praktycznym i materialnym wymiarze

jednostkowym i społecznym ani jakie mechanizmy te działania wspierają, jakiej dyscypliny i polityce są poddawane, jaką politykę i praktykę pozwalają zakwestionować. Innymi słowy: zbadanie związku tekstów i podmiotów piszących z instytucjami, ideologiami, politykami i praktykami piśmiennosci – badanymi w skali makro i mikro – prześledzenie ich niejawnego uwikłania w zbiurokratyzowane, posilujące się innymi gatunkami i praktykami tekstowymi sposoby administrowania życiem politycznym, społecznym i gospodarczym nie zostało konsekwentnie zrealizowane ani w ramach zwrotu tekstowego, ani później<sup>39</sup>. Tezy takich przedstawicieli *literacy studies*, jak choćby David Barton, twierdzący, że antropologiczne badania nowych form praktyki czytania i pisania są niezbywalnym narzędziem rozumienia napięć współczesności – zarówno nowych sposobów jednostkowego dostępu do wiedzy i twórczości, jak i nowych technologii władzy, nadzoru i kontroli<sup>40</sup> – nie znalazło dużego oddźwięku w polskiej humanistyce.

Trudno się temu dziwić. Odziedziczona po zwrocie semiotycznym kategoria tekstu jako względnie autonomicznego konstrukt mającego określone implikacje polityczne i etyczne długo nie wydawała się dobrym narzędziem badania pozatekstowych, praktycznych kontekstów jego funkcjonowania: tego, jak działa w splocie z innymi praktykami kulturowymi, na jakie działania odpowiada, jakie funkcje spełnia i w jaki sposób stabilizuje lub negocjuje życie publiczne i prywatne nie tylko poprzez swoją treść, ale też formę. Tekst ściśle akademicki zaś nie wydawał się dobrą podstawą do badania innych praktyk i gatunków piśmiennych, które na niego oddziałują, jak choćby gatunków cyfrowej biurokracji, których znaczenie w sektorach publicznych i komercyjnych rośnie. Tymczasem sprawozdania, raporty i bazy, uznawane za niekwestionowane agendy obiektywności, racjonalności i transparencji w życiu naukowym i – szerzej – publicznym, stawały się w coraz większym stopniu fetyszizowaną przez ministerstwa, instytucje pozarządowe i komercyjne platformą zarządzania produkcją tekstów akademickich.

Efektom wąsko rozumianego tekstualizmu oraz niedostatecznie forsowanych w polskich badaniach form piśmiennosci<sup>41</sup>, które za granicą były intensywnie eksplorowanym polem badawczym, stało się, niestety, pozbawienie się narzędzi krytycznych niezbędnych do śledzenia dalekosiężnych zmian, którym podlegają podstawowe praktyki akademickiego pisania i ich możliwe znaczenie we współczesnym świecie. Rzecz jasna interesujące wątki dla debat wokół akademickiej piśmiennosci otwierały polskie badania z zakresu antropologii pisma i kulturowej historii praktyk piśmiennych oraz inspirowane dorobkiem Brunona Latoura badania z zakresu etnografii laboratorium<sup>42</sup>. Wielką inspiracją dla nich były także poszukiwania związane z etnografią przedtekstową<sup>43</sup> oraz refleksja nad praktykami humanistycznego pisania, w tym praktyczne eksplorowanie potencjału pisarstwa eseistycznego w ramach neoliberalizowanej, laboratyzowanej i scjentyfikowanej akademii, podejmowane przez Wojciecha J. Bursztę i Wojciecha Kuligowskiego<sup>44</sup>, Dariusza Czaję<sup>45</sup>, Przemysława Czaplińskiego<sup>46</sup> czy Michała Mokrzanę i Martę Songin-Mokrzan<sup>47</sup>. To właśnie w ramach takich poszukiwań badacze poddali refleksji doświadczenia naukowe związane często z osobistymi lub okołoliterackimi praktykami piśmiennymi, które są marginalizowane przez teksty będące publikacjami punktowanymi<sup>48</sup>.

Badania przeddyskursywnych i przedjęzykowych wymiarów poznania – twierdzili rzecznicy etnografii przedtekstowej – pokazują całe spektrum milczących, złożonych praktyk poznawczych, etycznych, sformalizowanych i głęboko partykularnych, które niekoniecznie są współcześnie wyrażane w tekstach, a które ściśle towarzyszą humanistyce. I dlatego humaniści powinni podjąć nowe poszukiwania metodologiczne i formalne związane z tym, jak doświadczenia te sygnalizować w pisarstwie naukowym, a także – jak o nich pisać, aby uczynić je przedmiotem szerszej, społecznej refleksji komunikującej specyfikę i znaczenie poznania humanistycznego. Postulaty etnografii przedtekstowej zawierały też silny komponent krytyczny nakierowany na współczesne życie akademickie. Przykładowo, podkreślanie przez Ewę Klekot wagi *mētis*, wiedzy przeddyskursywnej i niedyskursywizowanej, było z jednej strony sprzeciwem wobec nowoczesnej, akademickiej nauki będącej „jednym z ważniejszych mechanizmów legitymizacyjnych we współczesnym świecie”<sup>49</sup>, z drugiej – wyjściem ku „nietekstowym formom wiedzy, które wymagałyby bardzo poważnej rewizji rozumienia samej instytucji akademii, a przede wszystkim biurokratycznych, scentralizowanych sposobów zarządzania wiedzą i jej wytwarzaniem”<sup>50</sup>.

Metodyczne poszukiwanie słowników i form tekstowej ekspresji dla przedtekstowych doświadczeń miało, zdaniem Tomasza Rakowskiego, dodatnio wpłynąć na aparaty pojęciowe

i dyskursywne wytwarzane w pisaniu akademickim. Ich celem – podkreślał – jest „przekroczenie reguł języka, w którym napotykałyśmy oczywistości”, czyli „gotowe matryce”, bowiem „domknięte interpretacje, teksty, tereny” mogą stać się

jak owe słowa, o których pisał Stefan Themerson, że „straciły kontakt z rzeczywistością, a emocjonalne wokoło nich aureole zaistniały same w sobie i uzyskały moc magiczną działania na nasze systemy nerwowe”. Sztuka prowadzenia etnografii może więc, poprzez przywracanie znaczenia realnym, ludzkim doświadczeniom burzyć pewną retoryczną magiczność opisów, słów, wyobrażeń i stawać się nawet czymś w rodzaju „sztuki deziluzyjnej”<sup>51</sup>.

Postulat Rakowskiego pomaga śledzić w ówczesnym pisaniu humanistyki ilościowy żargon, czysto retoryczne posiłkowanie się kategoriami przechwyconymi z nauk ścisłych i przyrodniczych bez związku z humanistycznie rozumianą rzeczywistością. Pozwala też dostrzec praktyki tekstowe będące *de facto* praktykami autolegitymizacji, w ramach których komplikacja pojęciowa tekstów przestaje być funkcjonalna wobec ich treści, stwarzając tylko iluzję akademickości i przywołując wszystkie błędy społecznego elityzmu.

### Ryzyko „nowej humanistyki”

A jednak humanistyka, skoncentrowana na osobistych idiomach poznania i pisania, a także na odzyskiwaniu tego, co niedyskursywne i niewyraźne w standardowej produkcji tekstowej, nadal stoi przed zagrożeniem, przed którym staje zresztą każda nowa propozycja humanistyczna. Zagrożenie to polega zasadniczo na tym, że – jak pisał Michał Krzykawski w tekście *Co nowego lub Praktyka biotechnofilologii* – „wciśnięta w ramy innowacyjności i kreatywności «nowa humanistyka» mogła tylko reagować na ekonometryczny porządek, w którym przyszło jej funkcjonować i z którego wyrasta”<sup>52</sup>. Krzykawski pytał o to, czy faktycznie humanistyka, która eksperymentuje z własnym zapleczem epistemologicznym oraz z formami tekstowego wyrazu nowych poznawczo treści, „może i chce ten porządek aktywnie zmieniać?”<sup>53</sup>. Jego odpowiedź była zasadniczo negatywna. „Późnokapitalistyczna z natury zasada produkowania nowych znaczeń w ramach nowych zwrotów, której «nowa humanistyka» podlega – pisał – bardziej ją **delegitymizuje** niż **legitymizuje**, gdyż neutralizuje i wchłania jej potencjał **krytyczny**, stwarza iluzję, że można dokonywać ingerencji w to, co społeczne, w oderwaniu od tego, co ekonomiczno-gospodarcze”<sup>54</sup>. Oznaczało to, że każdy tekst krytyczny wpisany w ramy piśmiennej biurokracji naukowej i opartej na niej polityki będzie w mniejszym lub większym stopniu podporządkowany innej logice i polityce myślenia i działania niż ta, którą *de facto* artykułuje. Będzie zatem działał na rzecz innego porządku instytucjonalnego, etycznego i intelektualnego niż ten, za którym literalnie się opowiada.

Te same zarzuty można postawić wielu inspirującym projektom nowej humanistyki artykułowanym w polskim środowisku naukowym. Nie chodzi tylko o to, że – zgodnie z mechanizmem wskazywanym przez Krzykawskiego – idea laboratoriów humanistycznych jako miejsc zespołowego współmyślenia<sup>55</sup> albo koncepcja powrotu do nauki powolnej [*slow science*] artykułowane są w tekstach, które są publikacjami podlegającymi nastawionej na efekt twardej ocenie numerycznej. Chodzi raczej o to, że w obecnej sytuacji instytucjonalnej nie mogą one kształtować nowych praktyk środowiskowych i badawczych, które z kolei prowokowałyby nowe praktyki tekstowe. Co więcej, w kontekście takiego, a nie innego zaplecza instytucjonalnego, przekładającego się na politykę zarządzania produkcją tekstów akademickich, mogą one skazywać polską naukę na daleko idącą peryferyzację. Przykładowo, proponowana przez Ewę Domańską nauka powolna – nauka, która miała służyć wytwarzaniu etosu humanisty jako kogós, kto posiada cnoty niezbywalne dla wrażliwego i sprawiedliwego badacza – była projektem realizowanym tylko w kontekstach naukowych, w których istnieje duże społeczne zaufanie do ludzi nauki oraz stabilne, zorientowane na procesy długiego trwania zasady finansowania. Była też projektem, który mógł sprawdzić się w krajach, gdzie polityka naukowa i stojąca za nią kultura

pracy kładą nacisk na konsolidację i integrację lokalnych środowisk naukowych, a nie na ich atomizację poprzez nacisk na szybkie umiędzynarodowienie badań pojedynczych badaczy<sup>56</sup>.

Aby sytuację tę zmienić, należy – jak przypomniał Grzegorz Godlewski – podjąć krytykę „nachylenia tekstowego”, głęboko zakorzonego w umyśle naukowym; tego, jak „zostaliśmy ukształtowani przez nasze wysoce piśmienne instytucje, zwłaszcza szkołę i akademię, jako istoty tekstocentryczne”<sup>57</sup>, a w konsekwencji zapytać o to, jakie znaczenia i wartości wpisujemy we własne teksty. Należy pójść też dalej i zastanowić się nad różnorodnymi, zmiennymi historycznie politykami tekstowymi, zwłaszcza ich związkami z zapleczem politycznym, społecznym i gospodarczym. Poszukiwania te były i są skrajnie trudną inicjatywą badawczą. Aby je zrealizować, należy badać nie tylko, by użyć tu określenia Davida Bartona, piśmienności usytuowane [*situated literacy*]<sup>58</sup>. Trzeba również zrozumieć, w jaki sposób praktyki tekstowe i teksty stają się niezwykle różnorodnymi funkcjonalnie i strukturalnie formami lokalnego działania w świecie. Wreszcie należy też uwzględnić to, że opis ich mechanizmów działania wymaga za każdym razem precyzyjnego rozpoznania ich pozatekstowego i ponadlokalnego kontekstu.

Okazało się, że koncentracja na osobistych, lokalnie usytuowanych praktykach piśmiennych i tekstach nie powinna odwozić badaczy piśmienności naukowej od pytań o globalne technologie komunikacyjne korzystające z tekstów i narzędzi ich przetwarzania. Technologie te w coraz większym stopniu opierają się na piśmienności elektronicznej oraz zinstytucjonalizowanych, cyfrowych i usieciowionych narzędziach biurokratycznych, pozwalających zarządzać transferem, przekształcaniem i reprodukowaniem informacji zawartych w tekstach i towarzyszących im narzędziach wizualnych (tabelach, obrazach, wykresach, zestawieniach, zdjęciach, ikonach itd.). W społeczeństwie informacyjnym – jak przypominali Charles Bazerman i David R. Russell – teksty i, szerzej praktyki piśmienne stały się warunkiem działania „systemów współczesnego życia”, takich jak „prawo, nauka, władza”<sup>59</sup>. Dlatego coraz więcej aktywności związanych ze społeczną kontrolą, produkcją i konsumpcją wymaga użycia skrajnie zbiurokratyzowanego języka pisanego i właściwych mu kompetencji komunikacyjnych. Standaryzacja i kwantyfikacja wiedzy do postaci zestawów informacji, których forma jest możliwie bezosobowa, zestandaryzowana, pozbawiona lokalnych kontekstów znaczeniowych i których interpretacja może być zamknięta w kodzie zero-jedynkowym, stały się procedurami neoliberalnego „urządzenia”. Dokumenty piśmienne, czyli „graficzne artefakty” związane z „graficznymi ideologiami”, miały być nie tylko tekstową reprezentacją działań instytucji naukowych, lecz także „semiotyczną technologią”<sup>60</sup>. Jej sprawczość polegała na tym, że – używając terminologii antropologa Matthew A. Hulla – tworzyła ona „papierowy rząd”, który produkował, interpretował i regulował zarówno sferę praktyk, jak i dyskursów formacyjnych dla polskiej nauki, w tym humanistyki<sup>61</sup>. Rząd – dodajmy – który w polskich społecznościach naukowych, traktowanych jako peryferyjne dla głównonurtowych dyskursów humanistyki zachodniej, mógł działać w sposób znacznie bardziej opresyjny, bo nie amortyzowany przez stabilne instytucje zapewniające mediację między jego regulacjami a interesami społeczności, których te regulacje dotyczyły. Jak słusznie zauważał David R. Olson, choć bez koniecznej tu intencji krytycznej, „aby zrozumieć kształtowanie wiedzy oraz podział władzy w nowoczesnym społeczeństwie, należy zbadać jego praktyki dokumentacyjne”<sup>62</sup>. Oznacza to, że podejmowane w ramach akademii dyskusje na temat kondycji akademickiego pisania są nieraz zbyt wąskie. Zakładają bowiem zbyt często, że akademicka humanistyka jest autonomicznym polem twórczości *sui generis* bez ścisłego związku z innymi rejonami życia społecznego.

Właśnie z powodu zbyt wąskiej perspektywy badacze zaangażowani w dyskusję na temat akademickiego pisarstwa w małym stosunkowo stopniu uwzględniają jego wielorakie, pozaakademickie ulokowania. Tymczasem krytykowany przez nich, coraz bardziej algorytmizowany język nauki, a właściwie liczne jego dyscyplinarne i środowiskowe warianty, ma potężne i stale rozwijane zaplecze instytucjonalne w postaci sformalizowanej transmisji określonych gatunków i praktyk piśmiennych. Transmisję tę zapewniają szkoła oraz związane z nią instytucje, wykorzystujące w coraz większym stopniu testową ewaluację wiedzy uznawanej za zespół neutralnych aksjologicznie i biograficznie informacji. Zwracali na to uwagę, między innymi, językoznawcy zajmujący się problematyką piśmienności. Dowodzili oni, że język akademicki w coraz większym stopniu zbliża się strukturalnie i instytucjonalnie do języka „szkolnego”, a dokładnie – formalnego, oficjalnego języka edukacji szkolnej zapośredniczonej przez

czytanie podręczników i pisanie rozprawek. Charakterystyczny dla podręczników, akademicki bądź szkolny dyskurs – zdepersonalizowany, monologiczny i autonomiczny, rezygnujący ze „wskaźników zaangażowania”, intencjonalnie operujący bogatą i swoistą zarazem składnią i leksyką<sup>63</sup>, biegnący od tez po argumenty i konkluzję oraz jednoznacznie wskazujący rezultat poznawczy – jest oparty na praktykach piśmiennych zakorzenionych w konkretnych instytucjach. Te zaś mają swoje polityczne i ekonomiczne zaplecze obejmujące różne podmioty życia społecznego, niekoniecznie ściśle związane z edukacją formalną. Rewizja akademickiego pisania humanistyki nie może zatem dotyczyć jedynie akademii. Powinna raczej rozpocząć się od systematycznych badań kontekstu społecznego, w którym praktyki akademickie funkcjonują: są generowane, reprodukowane i przekształcane.

Równoległe do dyskusji rozwijających się wśród antropologów i antropolożek, przedstawiciele *literacy studies* dobitnie pokazywali, że światy akademickich i szkolnych praktyk wiedzy opartych na tekstach i ich użyciu są sobie w coraz większym stopniu strukturalnie i instytucjonalnie bliskie<sup>64</sup>. Od drugiej połowy XX wieku coraz częściej podejmowano w świecie zachodnim wysiłki, by akademicką piśmienność oraz język akademii – traktowane jako spójne, uniwersalne, choć zmienne w czasie, wzorce komunikacyjne – uczynić podstawowym wzorcem obowiązkowej nauki szkolnej. Piśmienność – rozumianą w coraz większym stopniu nie jako trudną, hermeneutyczną sztukę interpretacji mniej lub bardziej ważkich kulturowo tekstów, lecz jako zestaw kompetencji pozwalających szybko dekodować neutralne kulturowo materiały informacyjne – uznawano za podstawę nowoczesnych społeczeństw, których jakość funkcjonowania miała zależeć od intensyfikacji efektywnego, rzekomo niepodatnego na złożone konteksty społeczne, kulturowe i polityczne przetwarzania wiadomości tekstowych. David R. Olson wprost utożsamiał społeczeństwa piśmienne ze społeczeństwami nowoczesnymi. Warunkiem ich funkcjonowania była intensyfikacja deponowanej w gatunkach tekstowych biurokracji oraz administracja ściśle wspierana praktyką dokumentacji wszelkich działań. „Piśmienność jest głęboko zakorzeniona w nowoczesnych społeczeństwach biurokratycznych, zaś kompetencja piśmienna, zarówno podstawowa, jak i zaawansowana to warunek konieczny, by w nich uczestniczyć”<sup>65</sup>.

Za przekaz podstawowych kompetencji piśmiennych, zdaniem Davida R. Olsona, odpowiadała przede wszystkim szkoła. To właśnie szkoły niższych szczebli, bynajmniej nie akademie, były zobowiązane do wprowadzania adeptów nowoczesnego świata w świat praktyk tekstowych opartych w coraz mniejszym stopniu na hermeneutycznym rozumieniu i zaawansowanych, złożonych technikach obcowania z literą tekstu. Były one bardziej zorientowane na nauczanie masowego, szybkiego, ściśle funkcjonalnego dekodowania informacji. Uznanie przez Olsona, że „choć wiele instytucji umożliwi nabycie kompetencji piśmiennych, to w nowoczesnych społeczeństwach właśnie szkole przypadło zadanie jej rozwijania”<sup>66</sup>, oznacza, że narzucane przez akademię modele obcowania z tekstem muszą w coraz większym stopniu ustępować pola modelom skutecznym w szkolnictwie niższych szczebli. „Piśmienność – twierdził Olson – jest głęboko zakorzeniona w nowoczesnych społeczeństwach biurokratycznych, zaś kompetencja piśmienna, zarówno podstawowa, jak i zaawansowana, to warunek konieczny, by w nich uczestniczyć”<sup>67</sup>. Za zaawansowaną piśmienność, zdaniem Olsona, miała odpowiadać akademie, która wprowadzała swoich adeptów w piśmienność naukową [*scientific literacy*]. Ta jednak, zgodnie z kilkustopniowym modelem edukacji formalnej zapewniającej kulturową transmisję wiedzy, miała być oparta na piśmienności podstawowej, za którą odpowiadała szkoła.

Tymczasem to właśnie w szkołach, zwłaszcza publicznych, poddawanych coraz bardziej globalnym naciskom politycznym i ekonomicznym, edukacja w dziedzinie literatury, hermeneutyki tekstu, dociekania autorskich intencji oraz zawartego w tekście doświadczenia biograficznego, kulturowego i historycznego ustępowała nauce logicznej analizy tekstu sprowadzanego do tez, których zawartość informacyjna miała być poddana testowej, zero-jedynkowej kwantyfikacji. W tak rozumianej piśmienności coraz mniejszy margines zostawiano otwartej, wydobywającej niejednoznaczności i otwartej na szeroki dialog interpretacji, która pozwalałaby za pomocą działań wokół tekstów tworzyć rozwijaną przez Paula Freirego pedagogikę politycznego wzmocnienia, humanizującą rzeczywistość kulturową i pozwalającą ludziom o różnych kompetencjach poznawczych i społecznych zrozumieć i wypowiedzieć ich doświadczenia<sup>68</sup>. W sytuacji narastającego reżimu biurokratycznego zarządzania i wobec konieczności jednoznacznego podporządkowywania się instrukcjom i algorytmom klasyfikowania doświadczenia społecznego otwarta



i swobodna interpretacja okazywała się nie tyle dysfunkcyjna, ile politycznie groźna. Olson uważa, że

[t]ym, co spaja społeczeństwo piśmienne, jest zbiór twierdzeń na temat posługiwania się językiem i pismem, stworzony po to, aby porządkować działania oraz sprawiać, że będą one przewidywalne dla innych. [...] Brak zgody co tych zasad [stosowania tekstów – MR] może stanowić zagrożenie dla dużych społeczeństw. Choć same szkoły nie są w stanie wpoić przywiązania do tych reguł, to w pewnym stopniu ponoszą odpowiedzialność za ich kształtowanie. Piśmienność stanowi podstawę nowoczesnego społeczeństwa<sup>69</sup>.

Nic dziwnego, że coraz częściej wzniesiono panikę moralną, za którą stało przekonanie, że piśmienność naukowa przeżywa wyraźny kryzys na skutek inwazji nowych mediów i spadających wskaźników czytelnictwa<sup>70</sup>. Refleksja ta, zwłaszcza na gruncie amerykańskim, miała jednak dość wąski zasięg<sup>71</sup>. Nie przekładała się na pogłębioną i systematyczną refleksję interdyscyplinarną nad związkami wiedzy, nauki, nowych mediów, a zwłaszcza piśmienności oraz ich przemianami, które zaskoczyły reprezentantów wielu dziedzin, szczególnie humanistycznych, i które nie stały się przedmiotem systematycznej dyskusji wykraczającej poza krytykę podejmowanych w ramach akademii bieżących rozwiązań instytucjonalnych. To właśnie te osadzone w piśmienności cyfrowej technologie komunikacyjne, wsparte na określonych systemach polityczno-ekonomicznych, stały się determinantą decydującą o kształcie humanistyki. I to właśnie one, a nie problematyzowana na wiele sposobów epistemologia poznania naukowego lub formalno-literackie walory tekstów akademickich, domagają się współcześnie krytycznej refleksji oraz systematycznych badań.

Dziś wydaje się, że humanistyka, aby zrozumieć świat społeczny i go współtworzyć, musi dobrze pojąć własną sytuację instytucjonalną, i to zarówno w skali lokalnej, jak globalnej. Potrzebne są do tego intensywne, szczegółowe badania społeczne i humanistyczne, nie zaś apele odwołujące się do etosu, którego podstawa instytucjonalna staje się coraz bardziej krucha i którego znaczenie, w związku z drastycznymi przekształceniami świata społecznego, przestaje być zrozumiałe dla środowisk pozaakademickich. Zbadanie formalnych i niesformalizowanych form reżimu pisarstwa akademickiego – jego środowiskowego i instytucjonalnego zaplecza oraz wszelkich prób jego rewidowania, negocjowania i podważania – jest zadaniem, przed którym humanistyka nie ucieknie. Potrzebuje ona ponownego i wzmoczonego wielodyscyplinarnego namysłu nad tekstem: jego gatunkowością i politycznością, instytucjonalno-społecznymi uwikłaniami i praktycznymi implikacjami. Na kulturową historię uniwersytetu spojrzeć można bowiem jak na kulturową historię swoistych, subtelnych i zróżnicowanych podmiotowo i instytucjonalnie praktyk piśmiennych<sup>72</sup>. Praktyk, które – nieodłączne od tekstów, warunkujące je, generujące więzi i relacje społeczne – związane są z kontekstem społecznym, politycznym i ekonomicznym polityk piśmienności.

#### PRZYPISY

- 1 N.K. Denzin, Y.S. Lincoln (red.), *Metody badań jakościowych*, t. 2, Warszawa 2009.
- 2 L. Richardson, E.A. St. Pierre, *Pisanie jako metoda badawcza*, przeł. M. Sałkowska, w: N.K. Denzin, Y.S. Lincoln (red.), *Metody badań jakościowych...*, dz. cyt., s. 457–482.
- 3 Tamże, s. 457.
- 4 Tamże.
- 5 Tamże, s. 458.
- 6 B. Ueland, *If You Want to Write*, cyt. za: tamże, s. 475.
- 7 D.M. Boje, N. Tourani, *Storytelling, czyli o materialności opowiadania*, w: D. Jemielniak (red.), *Badania jakościowe. Metody i narzędzia*, Warszawa 2012, s. 216.
- 8 Tamże.

- 9 Innego rodzaju eksperymenty tekstowe i metodologiczne podejmowane przez antropologów, zob. A. Watterstone, M.D. Vesperi (red.), *Anthropology Off the Shelf: Anthropologist on Writing*, Malden-Oxford 2009.
- 10 D.M. Boje, N. Tourani, *Storytelling, czyli o materialności opowiadania...*, dz. cyt., s. 236.
- 11 Tamże, s. 240.
- 12 L. Richardson, E.A. St. Pierre, *Pisanie jako metoda badawcza...*, dz. cyt., s. 457-458.
- 13 P. Stoller, *The Taste of Ethnographic Things: The Senses in Anthropology*, Philadelphia 1989, s. 136; jeśli nie podane inaczej, cytaty w moim przekładzie - MR.
- 14 L. Richardson, E.A. St. Pierre, *Pisanie jako metoda badawcza...*, dz. cyt., s. 458.
- 15 P. Stoller, *The Taste of Ethnographic Things...*, dz. cyt., s. 27.
- 16 Tamże, s. 32.
- 17 Tamże.
- 18 Zob. P. Czapliński, R. Nycz [oraz] D. Antonik, J. Bednarek, A. Dauksza, J. Misuna (red.), *Nowa humanistyka. Zajmowanie pozycji, negocjowanie autonomii*, Warszawa 2017.
- 19 Zob. K. Kłosiński, *Humanistyka nowa*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 139-152.
- 20 Zob. diagnozy Michała Buchowskiego na temat (auto)kolonizacji polskiej nauki, będącej efektem tych procesów w: tenże, *Nauka jako pole (samo)kolonizacji. Przykład antropologii społeczno-kulturowej*, w: J. Kieniewicz (red.), *Debata Artes Liberales*, t. 10: *Perspektywy postkolonializmu w Polsce. Polska w perspektywie postkolonialnej*, Warszawa 2016, s. 21-37. Zob. też I. Kuźma, *Zmiana statusu tekstu naukowego z perspektywy etnologii/antropologii kulturowej*, w tym tomie, s. 107-116.
- 21 Zob. np. A. Skórzyńska, *Psucie wiedzy i znikające instytucje. Szkic z neoliberalizującej się akademii*, „Teksty Drugie” 2023, nr 1, s. 19-42; T. Rakowski, *Jak (nie) pisać dużo? Założenia sprzeciwu wobec późnokapitalistycznej akademii a genealogie pisarstwa akademickiego*, tamże, s. 43-58.
- 22 Zob. np. T. Szkudlarek, *Rynek i kultura neoliberalna a edukacja*, Kraków 2005; E. Potulicka, J. Rutkowiak, *Neoliberalne uwikłania edukacji*, Kraków 2012.
- 23 Zob. np. Z. Melosik, *Edukacja a stratyfikacja społeczna*, w: Z. Kwieciński, B. Śliwerski (red.), *Pedagogika*, t. 1, Warszawa 2014.
- 24 L. Richardson, E.A. St. Pierre, *Pisanie jako metoda badawcza...*, dz. cyt., s. 457-458.
- 25 Zob. P. Stoller, *The Taste of Ethnographic Things...*, dz. cyt.
- 26 Zob. tamże.
- 27 L. Richardson, E.A. St. Pierre, *Pisanie jako metoda badawcza...*, dz. cyt., s. 456.
- 28 K. Jaspers, *Idea uniwersytetu*, przeł. W. Kunicki, Warszawa 2017.
- 29 M. Herer, *Filozofia 2.0 albo śmierć filozofa-pisarza*, „Sztuka i Filozofia” 2019, nr 54, s. 77-88.
- 30 Tamże, s. 85.
- 31 Tamże, s. 81.
- 32 Zob. też M. Kuziak, *Czy polska humanistyka jest polityczna? Rekonesans*, w: P. Czapliński, i in. (red.), *Nowa humanistyka...*, dz. cyt., s. 542-559.
- 33 M.P. Markowski, *Polityka wrażliwości, Wprowadzenie do humanistyki*, Kraków 2013, s. 92.
- 34 A. Lipszyc, *Dekonstrukcja uniwersytetu*, „Dwutygodnik” 2014, nr 1, <https://www.dwutygodnik.com/arttykul/5026-dekonstrukcja-uniwersytetu.html> (dostęp: 25.11.2021). Zob. też A. Skrendo, *Literaturoznawstwo jako nauka. Nowe szanse, stare zagrożenia*, w: P. Czapliński, i in. (red.), *Nowa humanistyka...*, dz. cyt., s. 100-111.
- 35 Tamże.
- 36 Taką perspektywę na gruncie międzynarodowym rozwijał konsekwentnie od końca XX wieku Charles Bazerman, a także Roy Harris. Zob. Ch. Bazerman, *Shaping Written Knowledge: The Genre and Activity of the Experimental Article in Science*, Madison 1988; Ch. Bazerman, P. Prior (red.), *What Writing Does and How It Does It: An Introduction to Analyzing Texts and Textual Practices*, Mahwah, NJ-London 2004; R. Harris, *The Semantics of Science*, London 2005.
- 37 Zob. np. K. Abriszewski, *Popularyzacja, innowacje i rozproszone laboratoria w humanistyce*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 45-62; A. Kil, J. Małczyński, D. Wolska, *Splatając na nowo Latoura z Foucaultem. Od etnografii do archeologii laboratorium humanistycznego*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 63-83.
- 38 T. Rakowski, *Etnografia i eksperymenty artystyczne. O powstawaniu nowych pól poznawczych we współczesnej antropologii*, w: P. Czapliński, i in. (red.), *Nowa humanistyka...*, dz. cyt., s. 175.
- 39 Na temat konieczności wyjścia poza lokalne badania piśmienności usytuowanych, zob. D. Brandt, K. Clinton, *The Limits of the Local. Expanding Perspective on Literacy as a Social Practice*, „Journal of Literacy Research” 2002, t. 34, nr 3, s. 337-356; zob. też np. K. Pahl, J. Rowsell, *Literacy and Education: Understanding the New Literacy Studies in the Classroom*, London-New Dheli 2005.

- 40 Zob. D. Barton, *Understanding Textual Practices in a Changing World*, w: M. Baynham, M. Prinsloo (red.), *The Future of Literacy Studies*, Basingstoke 2009.
- 41 Mam tu na myśli antropologię słowa i antropologię piśmienności rozwijane w Instytucie Kultury Polskiej UW przez takich badaczy jak: Roman Chymkowski, Grzegorz Godlewski, Agnieszka Karpowicz, Andrzej Mencwel, Paweł Rodak, Agata Sikora, Agnieszka Sobolewska i autorka tego artykułu.
- 42 Zob. B. Latour, S. Woolgar, *Życie laboratoryjne. Konstruowanie faktów naukowych*, przeł. K. Abriszewski, P. Gąska, M. Smoczyński, A. Zabielski, Warszawa 2020. Zob. też Ł. Afeltowicz, *Modele, artefakty, kolektywy. Praktyka badawcza z perspektywy współczesnych studiów nad nauką*, Toruń 2012; tenże, *Laboratoria w działaniu. Innowacje technologiczne w świetle antropologii nauki*, Warszawa 2021; K. Abriszewski, *Poznanie, zbiorowość, polityka. Analiza teorii aktora-sieci Bruno Latoura*, Kraków 2008.
- 43 Zob. T. Rakowski, *Etnografia przedtekstowa. Fenomenologiczne znaczenie interpretacji antropologicznej*, „Teksty Drugie” 2018, nr 1, s. 16–39; G. Godlewski, *Poza nachylenie tekstowe, w stronę doświadczenia przedtekstowego. Wskazówki terapeutyczne*, tamże, s. 61–78.
- 44 Zob. W.J. Burszta, W. Kuligowski (red.), *Ojczyzny słowa*, Poznań 2002.
- 45 Zob. np. D. Czaja, *Znaki szczególne. Antropologia jako ćwiczenie duchowe*, Kraków 2013.
- 46 Zob. np. ostatnie teksty Przemysława Czaplińskiego podsumowujące kondycję humanistyki i humanistycznego pisania (tenże, *Tożsamość, autonomia, solidarność. Kilka uwag o polonistyce XXI wieku*, „Teksty Drugie” 2023, nr 3, s. 214–230; tenże, *Wszechstronna osobność*, „Teksty Drugie” 2023, nr 1, s. 7–18).
- 47 Zob. M. Mokrzan, M. Songin-Mokrzan, *Fast science, neoliberalne reżimy produktywności oraz technologie ICT. Uniwersytet w czasach pandemii COVID-19*, „Prace Etnograficzne: Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego” 2020, t. 48, nr. 1, s. 1–21; M. Songin-Mokrzan, M. Mokrzan, *Efekt ślepej plakki. Antropologia krytyczna wobec neoliberalizmu*, „Kultura i Społeczeństwo” 2020, t. 64, nr 2, s. 119–137.
- 48 Zwrócenie uwagi na te wielopoziomowe i wielośrodowiskowe poszukiwania zawdzięczam obu recenzentom niniejszego tomu: Krzysztofowi Abriszewskiemu i Waldemarowi Kuligowskiemu, którym za to serdecznie dziękuję.
- 49 E. Klekot, *Mētis – wiedza antysystemowa*, „Teksty Drugie” 2018, nr 1, s. 89.
- 50 Tamże.
- 51 T. Rakowski, *Etnografia przedtekstowa...*, dz. cyt., s. 21.
- 52 M. Krzykowski, *Co nowego lub Praktyka biotechnofilologii*, w: P. Czapliński, i in. (red.), *Nowa humanistyka...*, dz. cyt., s. 255.
- 53 Tamże.
- 54 M. Krzykowski, *Co nowego...*, dz. cyt., s. 255; podkr. w oryginale.
- 55 Zob. A. Kil, J. Małczyński, D. Wolska, *Współmyślność. Ku laboratorium humanistycznemu*, w: P. Czapliński, i in. (red.), *Nowa humanistyka...*, dz. cyt., s. 157–174.
- 56 Zob. Ewa Domańska, *Sprawiedliwość epistemiczna w humanistyce zaangażowanej*, w: tamże, s. 51–70.
- 57 G. Godlewski, *Poza nachylenie tekstowe...*, dz. cyt., s. 67.
- 58 Zob. D. Barton, M. Hamilton, R. Ivanič (red.), *Situated Literacy: Reading and Writing in Context*, London–New York 2000; zob. też D. Barton, M. Hamilton (red.), *Local Literacy: Reading and Writing in One Community*, London–New York 1998.
- 59 Ch. Bazerman, D.R. Russell, *Writing Selves. Writing Societies: Research from Activity Perspective*, Fort Collins, CO 2003, s. 1.
- 60 M.A. Hull, *Government of Paper: The Materiality of Bureacracy in Urban Pakistan*, Berkeley 2012, s. 14.
- 61 Zob. tamże.
- 62 D.R. Olson, *Piśmienność, polityka piśmienności, szkoła*, przeł. A. Brylska, I. Hryniewicz, „Almanach Antropologiczny. Comunicare” 2016, nr. 5: *Szkoła/Pismo*, red. T. Buliński, M. Rakoczy, Warszawa 2016, s. 38; zob. też tenże, *Psychological Theory and Educational Reform: How Schools Remake Mind and Society*, Cambridge 2003; zob. też K. Pahl, J. Rowsell, *Literacy and Education Understanding the New Literacy Studies in the Classroom*, London–New Dehli 2005.
- 63 Zob. S. P. Norris, L. M. Phillips, *Scientific Literacy*, w: D.R. Olson, N. Torrance (red.), *Cambridge Handbook of Literacy*, Cambridge 2009.
- 64 Zob. np. J. Albright, A. Luke (red.), *Pierre Bourdieu and Literacy Education*, London–New York 2008.
- 65 Tamże, s. 42.
- 66 Tamże, s. 43.
- 67 Tamże.
- 68 Zob. P. Freire, D. Macedo, *Literacy. Reading the Word and the World*, London 2005; pierwsze wydanie ukazało się w 1987 roku.

69 D.R. Olson, *Piśmienność, polityka piśmienności, szkoła...*, dz. cyt., s. 39.

70 Zob. M. Rakoczy, *Polityki pisma. Szkice terenowe z pajdocentrycznej nowoczesności*, Warszawa 2018.

71 Zob. D.R. Olson, *Piśmienność, polityka piśmienności, szkoła...*, dz. cyt., s. 39.

72 Taką perspektywę w oparciu o gatunki dokumentacji naukowej rozwija, inspirując się historią kulturową komunikacji, np. Peter Burke, choć piśmienność i jej praktyki jako kategorie nie są dla niego kategoriami centralnymi. Rozwijają ją także folklorysty i historycy nauki np. Richard Bauman i Charles L. Briggs (zob. ciż, *Voices of Modernity: Language Ideologies and Politics of Inequality*, Cambridge 2003). Zob. też np. P. Burke, *Spółeczna historia wiedzy*, przeł. A. Kunicka, Warszawa 2016; z polskich prac zob. G. Godlewski, *Antropologia pisma. Nowe obszary*, w: tegoż, *Luneta i radar. Szkice z antropologicznej teorii kultury*, Warszawa 2016; M. Rakoczy, „Zdokumentować Kiriwinę”. Szkic o pewnych notatkach terenowych, w: „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2014, nr 4: *Performance, tekst, hipertekst*, red. G. Godlewski, A. Karpowicz, M. Rakoczy, P. Rodak; A. Sobolewska, *Autoekonomie zapisu Juliana Ochorowicza. Codzienne praktyki piśmienne i badawcze psychologa*, Warszawa 2021.

Inga Kuźma

## Status tekstu naukowego z perspektywy etnologii / antropologii kulturowej\*

**J**ak skonstruował Clifford Geertz: etnograf pisze<sup>1</sup>. Badacz miał na myśli przede wszystkim tekstową reprezentację świata badań, przedstawionego w narracji o specjalnym statusie, jaką jest „tekst etnograficzny”. To swoisty podgatunek, który powstaje po pobycie w terenie. Tekst taki uwiarygodnia badania i uobecnia „Ja” badawcze. Publikacje są równie istotne jak badania terenowe, gdyż realizację badań można potwierdzić niemal wyłącznie dzięki tekstom. Z pisaniem tekstów etnograficznych wiążą się rozmaite problemy. Do głównych należy ujawniająca się między słowami, zarówno przez retorykę, jak i leksykę, dychotomia wiedzy i władzy, wyrażana przez: 1) pozycjonowanie (się) badacza, w tym jego/jej relacji wobec badanych i *vice versa*, 2) włączanie w różnym stopniu własnego doświadczenia badawczego w proces poznawczy i tekstowy – poznanie zaś trwa jeszcze po zakończeniu działań w terenie, gdy zmienia się m.in. jego kontekst fizyczny (od materii po cielesność), 3) strukturę i konstrukcję tekstu, czyli co jest przedstawione, w jakich proporcjach i w jakim porządku.

Jednak nie tylko powyższe czynniki składają się na proces wytwarzania literatury naukowej. Zalicza się do niego obecnie również podejmowanie decyzji, gdzie opublikować, kogo cytować, jak ująć zagadnienia, aby podwyższyć szansę na publikację na określonych łamach. W strategię uprawiania nauki, do której, moim zdaniem, zalicza się też udowadnianie kwalifikacji i kompetencji badawczych poprzez wytwarzanie specjalistycznej narracji, wchodzi metody zarządzania osobistą „naukowością” i „produktywnością” tekstową. Wymienione wyżej właściwości pracy badawczej zajmują obecnie uwagę, gdy badacz rozważa kierunki i cele własnej działalności.

Jedna z tez seminarium na temat naukowego pisania<sup>2</sup> głosiła: „czasopisma i instytucje grantodawcze narzucają coraz bardziej zestandaryzowane reguły formatowania tekstów (wskazywanie słów kluczowych, tez i hipotez, [...] wskazywanie zawartości kolejnych akapitów i organizację treści bibliografii)”<sup>3</sup>. W etnologii i antropologii kulturowej, podobnie jak w innych gałęziach humanistyki i jakościowych domenach nauk społecznych, obserwujemy parametryzację pisarstwa badawczego poddawanego recenzowaniu. Dostrzec to można od kilku lat, gdy polskie czasopisma naukowe przeszły rewolucję związaną nie tylko z wymogiem cyfryzacji (co zaowocowało ich dostępnością, a więc przyniosło pozytywny efekt), lecz także wymaganiami ujednolicenia rozmaitych procedur wytyczających standardy strukturyzowania tekstów i ich redakcji. Owa polityka pisarska nie jest praktyką oddolną, lecz wypływa z oficjalnego centrum

---

Inga Kuźma,  
*Status tekstu naukowego z perspektywy etnologii / antropologii kulturowej*, „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2024, t. 9, s. 107-116.

decyzyjnego, które finansuje naukę i traktuje wymogi jako gwarancję jakości czy też „doskonałości naukowej”. Ma to wpłynąć na zwiększenie rozpoznawalności rodzimych naukowców, konkurencyjności polskiej nauki, w tym humanistyki. Standaryzacja, której zamiarem byłoby „równanie w górę”, może przynieść nie tylko pozytywy. Ten rodzaj zarządzania nauką – który dobrze odzwierciedlają określenia użyte przeze mnie wyżej (konkurencyjność, rozpoznawalność, doskonałość) – jest jednak m.in. (świadomą lub nie) realizacją neoliberalnego trendu, posługującego się dyskursem modernizacyjnym i internacjonalizującym (lub pseudomodernizującym i pseudointernacjonalizującym). Polityka ta opiera się na zasadach rządzących wolnym rynkiem. Nie oznacza to jednak utopijnej idei (wyrażanej – co może niektórych zaskoczyć – przez samego Leszka Balcerowicza), iż wolność rynkowa i relacje ekonomiczne polegać powinny na współdziałaniu wolnych ludzi<sup>4</sup>, gdyż „[m]iędzy tymi grupami [wytwórców, dostawców i odbiorców – I.K.] muszą zaistnieć uzgodnienia, które nie mogą być odgórnie kierowane. Możliwość istnienia wolnego rynku jest tylko wtedy, kiedy społeczeństwo w danej gospodarce ma szeroki zakres wolności”<sup>5</sup>. W przypadku obecnie prowadzonych badań i nauki mamy do czynienia z odwrotnością tamtego modelu, czyli ze scentralizowanym projektem zarządzania, ukierunkowanym na arbitralne wskazywanie trybu postępowania, by osiągnąć założony wynik. Celem jest przystąpienie do gry zero-jedynkowej: proces przebiega w rytm ustalania „wygranych” i „przegranych” w wyścigu o prestiż, uznawalność, (międzynarodowe) fundusze i rozpoznawalność mierzoną cytawalnością. Jak widać z powyższego, uprawiając naukę, zderzamy się z kalkulacyjnym podejściem do naszej pracy. Narzucamy je sobie jednak sami, dlatego jest to tak skuteczna taktyka. Polega na samodyscyplinowaniu się, opartym między innymi na lęku o zachowanie *status quo* czy niepogorszenie sytuacji własnej i/lub jednostki zatrudniającej nas. Inną przyczyną stojącą za powodzeniem owej taktyki jest najpewniej wiara części uczonych w mierzalność sukcesu i sens rywalizacji w nauce. Może temu towarzyszyć przekonanie, że nauka nie jest oparta na równości, więc rozwój i postęp przynosi wyścig o pierwszeństwo odkrycia, dokonania przełomu badawczego, trafniejszej interpretacji, słuszniejszej diagnozy, szybkości publikacji. Niedostosowujący się do owej gry badacze będą zwalniani, a najpierw będzie się zmniejszać dostępne dla nich środki, jak i w ogóle zamykać dostęp do finansowania badań. Niedostosowujące się zaś do wymogów czasopisma i wydawnictwa mogą być pozbawiane punktów, zatem szans na dotacje, w tym z ich macierzystych instytucji. Z niską punktacją nie mogą bowiem liczyć na napływ propozycji ciekawych publikacji i z czasem czeka je upadek.

Osoby pamiętające okres sprzed parametryzacji i ewaluacji wiedzą, że nowe standardy są czymś innym niż wymogi redakcyjne, którym dawniej poddawany był tekst. Dzisiejsze zasady można przyrównać do matrycowania tekstów, co oznacza, że dyskurs powinien być uporządkowany według układu zbliżonego do schematu wniosków grantowych i raportów, utrzymanych w specyficznej „poetyce” (co wie dobrze każda osoba pisząca takowe, szczególnie w projektach zamawianych we współpracy z podmiotami takimi jak jednostki samorządowe). Matryca stosowana jest również do prezentowania wyników i odnoszenia się do stanu wiedzy. Należy zatem pamiętać, by opierać się na dowodach i cytatach, referencji dostarcza zaś najczęściej świat najliczniejszych anglojęzycznych publikacji wypełniony po brzegi „wszystkim” (gdzie zatem można łatwo znaleźć cokolwiek, co uzasadnia inne cokolwiek). Dodać do tego jeszcze należy kwestię braku tłumaczeń na języki narodowe publikacji z różnych względów znaczących, w tym starszych, by np. odnotować i przyswoić moment powstawania jakiejś myśli i dyskusji nad nią. Zuboża to tworzenie specyficznego glosariusza naukowego w języku rodzimym. W cień odeszło przekonanie, że tłumaczenie na własny język, a zatem przyswajanie w nim meandrów i kreatywności badawczej, poszerza lokalny aparat badawczy, warsztat oraz wyobraźnię naukową. Przekłady takie, wykonywane przez człowieka, a nie za pomocą automatycznego translatora, nie pozwalają obumierać językowi i dyskursowi, ponieważ poszerzają rodzimą semantykę. Obecnie dostęp do wszystkiego jest otwarty lub łatwiejszy, poza tym wielu z nas publikuje zagranicą niemal równie często lub częściej niż w Polsce w języku polskim. W wyniku tego naukowy dyskurs jest zbiorem terminów nierzadko wysoce specjalistycznych, przejmowanych przede wszystkim z naukowego języka angielskiego.

Utrzymany został tradycyjny wymóg, że powinno się odnosić swoje refleksje do źródła czy konfrontować hipotezy bądź tezy z tym, co już jest zawarte w innych tekstach, aby uwiarygodnić i podeprzeć własne interpretacje i wnioski. Ciekawe będzie sprawdzenie z biegiem czasu, jakie

skutki, szczególnie długofalowe, wywrą nowe wytyczne dotyczące tematyki badawczej, procesu poznawczego i strategii pisania naukowego. Wiele różnych badań wpisze się bowiem w podobną strukturę, gdy wszelkie czynności (w tym metody jakościowe i ich rezultaty) odpowiadać będą przyjętym kryteriom, konsekwentnie realizując rozmaite wskaźniki, stosując stylistykę sprawozdawczą, udowadniając spełnienie wymogów. Wszystko zaś, co autor opisze w takim tekście, będzie referencyjne i dialogujące najczęściej z piśmiennictwem międzynarodowym, przedstawiając jednocześnie dowody (trudno powiedzieć czy faktyczne, czy retoryczne), iż badania „zasypują lukę poznawczą”, czy że własne działania, mimo wszystko, są „innovacyjne” oraz przyczyniają się do „rozwoju danej dyscypliny”.

Rozwija się przy tym biznes cyfrowy, mający odbiorców, że po części zautomatyzowane i zalgorytmizowane usługi pozwolą na lepsze zarządzanie tekstem. Usługi te są skierowane szczególnie do osób starających się o publikacje na łamach anglojęzycznych tytułów. Oferowane są narzędzia pomagające osiągnąć wyższy poziom językowy i np. dopasować streszczenia do oczekiwań redakcji, aby już na tym etapie nie pomniejszać szans na wejście w obieg wydawniczy. Na przykład, firma R Pubsure<sup>6</sup> oferuje na próbę bezpłatny serwis doradczy, rzecz jasna – w bardzo ograniczonym zakresie, zachęcając jednocześnie do nabycia pełnopłatnej wersji. Polega on na analizie zawartości tekstu, by wskazać autorom, do których tytułów powinni aplikować. Jest znamienne, choć nieco przewrotne i – w kontekście dalszego ciągu mojego tekstu – może paradoksalne, iż ofertę tej firmy kończy wyznaczenie zadowolonej klientki. To jej osoba wzbudzać może niepokojące refleksje, stąd wspomniałam o przewrotności i paradoksie. Uwiarygodnienia dostarcza bowiem dr Alia Mushtaq – badaczka z Land Resources Research Institute w Islamabadzie. Osoba taka, z identycznym zdjęciem i danymi, jak te podane na stronie R Pubsure, ma swój profil na LinkedIn. Nie mnie oceniać, czy prawdziwa doktor Mushtaq uczestniczyła świadomie w działaniach firmy R Pubsure, czy to w ogóle ona itp. Rzecz jasna, docenia ona skuteczność proponowanej przez R Pubsure aplikacji i wyraża zadowolenie z oszczędzenia czasu (*sic!* To bardzo charakterystyczna cecha obecnego nurtu zarządzania badaniami).

Jest ona jedyną osobą uwiarygadniającą ten serwis. W jakim sensie go uwiarygadnia? Warto wziąć przy tym pod uwagę załączone zdjęcie przedstawiające uczoną pracującą w Pakistanie. Specjalnie zasiewam teraz w czytających wątpliwości, również co do moich intencji, narażając się może na rodzaj potępienia za powyższe uwagi na temat osoby reklamującej firmę. Jednak kwestie swoistej intersekcjonalnej etyki publikacyjnej i pisarskiej, podszytej często naszymi kulturowymi uprzedzeniami, stereotypami i praktykami kulturowo-języcznymi, scharakteryzuję w dalszej części. Badaczka z Islamabadu – fikcyjna bądź nie – widniejąca na stronie internetowej anglojęzycznego serwisu usługowego, nie jest, moim zdaniem, przypadkowym wyborem wizerunku zadowolonej „klientki” portalu wspierającego uprawianie nauki. Jej postać odzwierciedla bowiem dzisiejszą geopolitykę naukową w jej wymiarze biznesowym, zarządczym i finansowym. Jest reprezentantką świata globalnego Południa, aspirującego do dobrodziejstw oferowanych przez globalną Północ w postaci uzyskania wysoko punktowanej publikacji.

Kilka lat temu dowiedzieliśmy się o istnieniu tzw. *predatory journals*, inaczej *junk journals*, obecnie zaś coraz bardziej widoczna staje się specyficzna, wąsko wyprofilowana gałąź usług zajmująca się nauką (którą reprezentuje np. wspomniana wcześniej firma). Pojawienie się tego typu wydawnictw i serwisów pozycjonujących wydawniczo dzięki automatycznej analizie słów kluczowych, zmienia wcześniejszy styl oraz rytm uprawiania nauki i pisania tekstów. Zmienia dotychczasową kulturę naukową opartą np. o szkoły myślenia czy autorytety, proponujące specyficzne dyskursy, skupiające mniej czy bardziej stałe kręgi współpracowników, publikujących na tych samych łamach. Mogli oni podzielać podobny kierunek refleksji lub byli na tyle odmienni, iż dynamizowali wiodącą linię myślową danego tytułu czy wydawcy.

Uogólniając, w humanistyce od dawna stawiane są pytania o kontekst prezentowania efektów badawczych, jak również o status wiedzy, a tym samym status tekstów. Przeważnie pytania te padały w okresach kryzysu na polu teorii czy załamania paradygmatycznego. Pojawiały się na przykład wraz z tzw. zwrotami epistemologicznymi. Współcześnie, jak sądzę, do ich zadawania prowokuje częściej technokracja nauki. Dowodzi to w moich oczach wyczerpywania się siły nauki rozumianej jako nieskrępowane myślenie dla przyjemności (tak!) rozważania aporii, pozornych oczywistości; myślenie powodowane chęcią zweryfikowania utartych przekonań i pewników, wejścia na nieznany teren, pójścia dalej niż dotąd – zatem chęcią

eksperymentowania. W naukach humanistycznych eksperyment oznacza ferment intelektualny, czyli szukanie innych kontekstów i perspektyw, weryfikowanie ich także przez kontakt z rzeczywistością społeczną.

Ubolewam nad tym trendem unieważniającym nauką wyobraźnię na rzecz wąsko rozumianej celowości i efektywności. Jednocześnie popieram myślenie krytyczne, które uważam za dyscyplinujące, jako że wymaga bycia konsekwentnym w postępowaniu czasami niepopularnym. Zadaniem takiego stylu myślenia jest bowiem podważanie zastanego, zadawanie pytań wybijających z rozmaitych nawyków widzenia i opisywania świata oraz prowadzenie naukowego rozumowania w sposób zorganizowany i systematyczny. Jestem przy tym coraz bardziej nieufna (co wynika stąd, że ostatnio byłam zaangażowana w projekty naukowe wiążące się z szeroko rozumianym dekolonializmem, w tym epistemologicznym) wobec tego, co jest określane jako myślenie „logiczne”, „racjonalne”, dowodzące, przyczynowo-skutkowe, falsyfikowalne. Ukrywa się pod tym pewien uzus używania słowa „nauka” na tzw. Zachodzie. Zmagania z wyjściem poza ten model i utworzeniem innego, łącznie ze sposobem artykulacji i narracji refleksyjnej (przede wszystkim poprzez zmianę podłoża i założeń refleksji nad statusem nauki w ogóle, w tym nauki, jaką znamy) warto śledzić w kontekście tekstów takich osób, jak np. bell hooks, Gloria Anzaldúa, Maria Lugones, a także za podążającą własną drogą Sarą C. Motta i wielu innych<sup>7</sup>.

Jak kilka dekad temu pisał James Clifford: „Jeśli kulturowe interpretacje powstają w etnografii poprzez intensywne doświadczenia badawcze, jak można przetworzyć niezdiscyplinowane doświadczenie na autorytatywne pisemne sprawozdanie?”<sup>8</sup>. Podobne wątpliwości wyraża Grzegorz Godlewski, zajmujący się napięciem między poza/przedtekstowym zwrotem w badaniach naukowych a tekstowym nachyleniem, charakterystycznym dla kultury zachodniej. Owo „tekstowe nachylenie” dowodzi cechy zaawansowanej piśmienności panującej na Zachodzie<sup>9</sup>, a zdaniem Godlewskiego, tekstualizacja rzeczywistości eliminuje lub co najmniej zniekształca pewne jej przejawy. Aby to przezwyciężyć, należałoby odejść od obowiązujących reguł poznania – takich, jakie znamy i jakimi się posługujemy – i być może stworzyć inną naukę albo inne jej odzwierciedlenie i uobecnienie niż tekstowa reprezentacja – szczególnie określonego typu (jak np. współcześnie coraz silniej „parametryzowany” artykuł naukowy). Godlewski, jak i Tomasz Rakowski czy inni wpisujący się w podobny nurt myślenia badacze, np. Helena Patzer, Anne Line Dalsgård, Kirsten Hastrup, Andrew Irving oraz Nigel Rapport<sup>10</sup>, pokazują, co oznacza zbliżanie się do doświadczenia kulturowego badanych w terenie, by przerwać ów „tekstocentryzm” umysłu badawczego. Prowadzić to może do, jak to ujmuje Godlewski, swego rodzaju autoterapii poznawczej<sup>11</sup>. Myślę jednak, że jej wyniki będą ukazane w formie tekstowej, chociaż zmiana wektora refleksji wymusza zmianę statusu tekstu, dla którego szuka się nowego zakotwiczenia. Wpływa to na jego znaczenie i oddziaływanie; tacy autorzy i autorki będą szukać innych środków wyrazów, inaczej myśleć o strukturze tekstu i jego celowości, kierowani inną intencją i doświadczeniem poznawczym.

Mimo wszystko należy patrzeć krytycznie na własny krytycyzm. A zatem nacisk kładziony na uwiarygodnienie wyводу oraz umocowanie własnej myśli w kontekście wiedzy już istniejącej, są – pozostając w ramach modelu nauki obowiązującej humanistów (antropologów kulturowych) – pozytywnymi aspektami dyscyplinowania. „Pozycjonowanie się”, z którego wariantem mamy do czynienia w tej sytuacji – czyli określenie, jaki jest wkład własnej refleksji badawczej w dorobek badań określonego tematu czy gałęzi wiedzy, w tym refleksji podejmowanej na podstawie przeszukiwania anglojęzycznego, międzynarodowego internetu – wymusza na nas uczenie się, konfrontację, prowokuje do przemyśleń, samokrytyki czy autokorekty.

Pojawia się jednak kolejne i nieuniknione „ale”. Na przykład, w sytuacji nacisku na dorobek publikacyjny może upowszechnić się taktyka, która kojarzy się z upcyklingiem („coś nowego ze starego”). Jej zadaniem byłoby przede wszystkim uratowanie celowości własnych badań i tekstu w oczach recenzentów oraz redakcji, jak również decydentów, w mniejszym stopniu zaś dbałość o przyrost wiedzy i jej zmianę jakościową.

Poza tym, czy jeszcze lubimy pisać? Czy teksty zachowały dla nas ważność – i to nie jako dowód naszej efektywności, lecz jako świadectwo naszych przemyśleń, etapu pracy, tego, że mamy coś do powiedzenia i wiemy, co chcemy powiedzieć (a nie musimy, ponieważ trzeba zdobyć punkty)? Myślę, że kiedyś lubiliśmy pisanie bardziej. Teksty się przeżywało, zarówno pisanie własnych, jak i lekturę cudzych. Obecnie część piszących humanistów odczuwa przesyt wynikający



z posługiwania się rozmaitymi przeglądarkami czy bazami tekstów, pełnymi niezliczonych publikacji. Niełatwe stało się ocenianie ich wartości i ważności. Jesteśmy konsumentami na tym rynku, podobnie jak na wszystkich innych. Ulegamy prawom, które stoją za podbijaniem popytu i podaży także w tym obszarze. Liczba owych dóbr, które *notabene* współwytwarzamy, wynika w pewnej mierze ze wspomnianego przeze mnie lęku. To środowiskowa odmiana FOMO, czyli obawa przed nienadążaniem za trendami i wiodącymi podejściami, w tym – co bardzo ważne – nienadążaniem z formalnym rozliczeniem się ze swoich osiągnięć i dorobku, o czym pisałam na początku.

Kolejną kwestią jest presja publikowania we „właściwych” tytułach, liczących się, ponieważ coraz wyżej punktowanych. Warto przyjrzeć się w tym momencie problemowi, do czego tekst ma się odnosić, jak wybrać referencyjny nurt, dyskurs i stan wiedzy, by dowieść naszej wiarygodności i rzetelności. W przypadku badaczy terenowych istotna jest także innego rodzaju referencyjność: decyzja, kogo cytujemy, w pewnych rejonach świata naukowego świata nie zamyka się w stwierdzeniu, iż cytujemy prace, które wnoszą istotny wkład do naszego wyводу. Dodatkowo trzeba bowiem zapytać, kim są autorzy? Jak się pozycjonują i wobec czego? Helen Kara<sup>12</sup> podkreśla, że etyka cytowania polega nie tylko na unikaniu manipulacji cytatami, czyli unikaniu nadmiernego autocytowania, zbyt obfitego przywoływania cudzej pracy lub dobierania cytatów tendencyjnie, np. czerpania ich z tych samych łamów, na których chcemy opublikować tekst. Oznacza to również zapewnienie wysokiego poziomu różnorodności w przywoływanych fragmentach cudzych tekstów. A zatem nie powinniśmy zapominać o pracach uczonych marginalizowanych. Kara wymienia w tej grupie badaczy należących do *people of colour* (oportunistycznie wybrałam wyrażenie angielskie zamiast dokonywać wyboru, które z określić polskich byłoby najbardziej adekwatne), badaczki, osoby należące do grup i kultur rdzennych oraz wywodzących się z globalnego Południa, osoby ze społeczności LGBTQ+ i tak dalej. Kara zaleca wręcz: „*Make sure you read and cite their work*”<sup>13</sup>.

Dodałabym do tego refleksję nad kolejną kategorią badaczy – pochodzących z peryferii świata naukowego, rozumianych inaczej niż globalne Południe, nieskolonizowanych w wąskim rozumieniu słowa „kolonizacja”, jednak z powodu swojej historii posiadających inne doświadczenia. Mam na myśli świat Europy Środkowo-Wschodniej. Czy posiadamy te same prawa w nauce globalnej? Tego rodzaju poczucie swojego mniejszego znaczenia utwierdza dyskurs ministerialny, stosując taktykę „podnoszenia nas z kolan” przy pomocy strategii „równania w górę”, o czym pisałam wcześniej<sup>14</sup>. Ciekawą formę przybiera to w przypadku recenzji – z niektórymi takimi praktykami zetknęłam się osobiście w ciągu ostatnich dwóch lat. Powtarzał się w nich zarzut, że za dużo przywołuję w artykułach prac polskojęzycznych i polskich. Opinie te pochodziły zarówno od recenzentów dobieranych przez redakcje pism polskich, jak i zagranicznych.

To, co napisałam wyżej, traktuję jako prowokację, która dotyczy zagadnienia, czy jesteśmy w nauce równi. Nieocenione zasługi w badaniu tych kwestii ma np. Michał Buchowski, zajmujący się m.in. statusem polskiej i wschodnioeuropejskiej nauki wobec nauki zachodniej<sup>15</sup>. W polskim mainstreamie humanistycznym podejście, o którym pisała Kara, nie jest jeszcze traktowane jako wymagany standard, formułowany *explicite*. Z pewnością wrażliwość na te kwestie istniała i istnieje, choć dawano jej wyraz raczej jednostkowo.

Spektakularnym światowym przykładem dyskusji etnologicznej o tym, kto ma prawo i w jaki sposób opowiadać np. o historii kultur rdzennych i przedstawiać ich punkt widzenia, wnosi spór Gananath Obeyesekere<sup>16</sup>, który mówi z pozycji insidera, z outsiderem Marshalllem Sahlinsem<sup>17</sup>. Inny przykład to Edward W. Said<sup>18</sup> przeprowadzający rozbiór struktur myślenia Zachodu na temat Wschodu. Dokonał tego z poziomu insidera, choć był też Amerykaninem pochodzenia palestyńskiego. Jego zaplecze naukowe i intelektualne składało się ze zróżnicowanych warstw. Był przy tym zaangażowany politycznie, co stanowiło jawną, publiczną część jego tożsamości. Innego przykładu z ostatnich lat dostarcza na gruncie badań polskich w etnologii i antropologii kulturowej twórczość Grażyny Kubicy-Heller<sup>19</sup>. Tematyka, którą zajmuje się ta badaczka, dotyczy jej tożsamości śląskiej (pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego) i genderowej. W swoich tekstach i wystąpieniach konferencyjnych Kubica-Heller splota obydwie te zagadnienia, prezentując je z pozycji insiderki.

To, co opisuje Kara, jest również ważne z innego powodu: nabiera dodatkowej wymowy, jeśli uczymy innych i opiekujemy się piszącymi prace dyplomowe. Wiąże się bowiem z procesem

tworzenia wiedzy i jej przekazem, tworzeniem ram wiedzy w oparciu o decyzje odnoszące się do tego, kto do danej nauki wnosi swój dorobek, a zatem kogo czytamy i które teksty uważamy za formacyjne. Ważne jest również, kto o tym decyduje – kto zatem wskazuje na „właściwy” dobór tytułów podczas przyziemnych zakupów książek do biblioteki zakładowej. Przed nami zatem kolejne zadanie, polegające na odkryciu *hidden curriculum* kanonu wiedzy, wpływającego na zasób i kształt wiedzy kolejnych pokoleń. (Samo)dyscyplinowanie się w ramach określonej polityki publikacyjnej oraz narracyjnej ma więc swoje ciemne i jasne strony oraz stawia przed nami kolejne wyzwania.

Wszelkie porządki nakładane z góry lub wynikające z tzw. tradycji środowiskowej, a odnoszące się do poznania i pisania, wpływają na dyscyplinowanie myślenia naukowego. Nie są one jedyne, ponieważ racje innego rzędu oddziałują na praktyki tekstowe. Mam na myśli kolejne konsekwencje postulatów wysuwanych przez Karę (a pośrednio także przez Buchowskiego). Chodzi o kwestię autorstwa oraz konstrukcji tekstu z punktu widzenia włączenia w owe zabiegi pisarskie samych badanych czy reprezentantów środowisk oraz ich głosów, ich słów. Prowokuje to do postawienia dodatkowego pytania stwierdzeniu, że etnograf pisze, a mianowicie: kto daje prawo osobie piszącej do tworzenia zarówno określonej treści, jak i pisania jej w określony sposób? Czy badacz terenowy uzgadnia – i czy powinien to robić – z badanymi, jak i do czego wykorzysta ich przekonania i opinie, tzn. czy powinno się dyskutować też o celu lub konstruować go wspólnie z badanymi? Tymi pytaniami dotykamy zarówno współdziałania, jak i współautorstwa. Dodać do tego należy problem, czy każdy badany bądź badana grupa widzi sensowność takich zabiegów i chce się do nich przyłączyć. Nie musi odrzucić ani zabronić badaczowi działań „na sobie” czy „wobec siebie”, jednak nie musi wyrażać zainteresowania włączeniem się w te procesy. Może zostawić je naukowcom, jako że dla takich osób ani nauka, ani wiedza czy teksty badawcze nie muszą być wartościami ani mieć statusu czynności teleologicznej. Taka sytuacja nie jest wcale rzadka. Jej rewersem jest zaś – w kontekście grup mających inną samoświadomość i własny stosunek do społecznej roli nauki i wiedzy – wrażliwość na praktykę zwaną *cultural appropriation*, czyli kulturowe przywłaszczenie bądź zawłaszczenie<sup>20</sup>. Zarzut o takowe działanie wybrzmiewa obecnie mocno w dyskursach publicznych: zachodnich, np. w związku z ruchem Black Lives Matter, czy w dyskursie na temat kryzysu klimatycznego, wiążącym się z różnymi formami polityki środowiskowej dotyczącej zasobów naturalnych. Trzeba jednak pamiętać, że zbyt swobodne użycie *cultural appropriation* może wprowadzać w błąd<sup>21</sup>.

Mamy zatem do czynienia ze splotem rozmaitych czynników na poziomie etyczności badań i polityk badawczych, w tym pisarskich. Ujawniają się chęci i ambicje stosowania etyki włączającej – partycypacyjnej, czasami prowadzącej do zmiany podejścia do badań i wiedzy (waham się przed użyciem słowa „nauka”, o czym dalej). Można byłoby je traktować bardziej egalitarnie jako działania współdzielone, dobro wspólne. Byłaby to etyka wychodząca poza zwykły szacunek dla partnera w badaniu i poza typowe zalecenie, by nie szkodzić badanym (co jest dość szeroko rozumiane). W przypadku włączenia – dosłownego, kiedy trudno byłoby wskazać, kto jest badaczem, a kto badanym – postulaty te zmieniłyby swoją wymowę. Nie byłoby wtedy mowy o badaniu i tworzeniu wiedzy, a także jej upublicznianiu bez uwiarygodnienia tego typu postępowania przez badane środowisko. Zadawałam wcześniej pytanie o ustalenie celu, czyli kto miałby go określić na gruncie wiedzy partycypacyjnej (dlatego trudno pisać w tym kontekście o nauce, ponieważ ma ona dość wąskie konotacje związane z jej sposobem organizacji, instytucjonalizacji, zarządzania i finansowania, wiedza zaś jest szerszym pojęciem). Etyka radykalnego włączenia na poziomie wytwarzania wiedzy nie przystawałaby już do etyki prowadzenia zwyczajowych badań naukowych. Przy tym – jak pisałam wcześniej – naukowcy są zobligowani do przestrzegania zasad, jakie powinien spełniać tekst raportujący wyniki ich pracy. Czy byłoby możliwe umieszczenie w tych ramach wiedzy-twórczości<sup>22</sup> oddolnej? Ta również podlega „parametrom”, choć należą one do oddolnego świata. Przypisywanie temu typowi nauki egalitaryzmu i współodpowiedzialności jest założeniem naukowców, co oznacza, że wartości te nie muszą faktycznie być współdzielone z współbadaczami oddolnymi czy społecznymi.

Clifford zadaje pytanie, jak to jest możliwe, aby „[...] przegadane, nadmiernie określone spotkanie międzykulturowe, przeniknięte stosunkami władzy i konfliktami osobistych interesów zostało opisane jako właściwa wersja mniej czy bardziej wyodrębnionego «innego świata» stworzona przez **pojedynczego autora?**”<sup>23</sup> (podkr. – I.K.). Właśnie w odpowiedzi na to badacze

rozszerzyli prawo do nauki i wiedzy oraz rezultatów badań na badanych. Pomógł w tym zwrot etyczny i postkolonialny, ale też kryzys autorstwa i autorefleksyjność, pociągająca za sobą auto-krytycyzm.

Mimo że wizja współdziałania z badanymi jest raczej utopijna, co starałam się wskazać wyżej, nurt ten jest tym silniejszy, im bardziej badania wchodzą w obszary „gorące” społecznie, drażliwe lub trudne; im bardziej dotyczą kwestii nierówności, dominacji i przemocy. Bardzo często są to tematy związane z problematyką prawnoczołwieczą, odnoszące się do kobiet, migrantów, biednych, tożsamości lub orientacji psychoseksualnej, nienormatywności, atypowości, osób z różnymi niepełnosprawnościami, ze specjalnymi potrzebami, doświadczających określonych kryzysów, osób z wybranych przedziałów wiekowych oraz innych grup narażonych na wykluczenie, marginalizację i stygmatyzację. W takim przypadku zrozumiałą i oczekiwaną praktyką badawczą, w tym tekstową (nawet jeśli dosłownie rozumiane współautorstwo czy współdziałanie z badanymi nie byłoby stosowane), jest maksymalne włączanie i udzielanie głosu badanym. Jednak kto komu przyznał prawo do reprezentowania badanych przez badaczy? Zrobili to sami naukowcy. Ustanowiliśmy siebie sojusznikami czy rzecznikami badanych: czasami mając na to argumenty i dowody, czasami – na wyrost, aspirując do tej roli dzięki konwencji literackiej polegającej na cytowaniu wypowiedzi „z terenu”. Mamy do czynienia z propagowaną przez niektórych badaczy ideą, iż technika pisarska – rozumiana jako proces, w którym ważne jest, kto i o czym pisze, jak dzieli się przy pisaniu pracą z innymi osobami itd. – może łączyć się z określoną etyką. Znaczy to, że przez stosowanie odpowiednich procedur przy pisaniu tekstów możemy nadać ludziom z terenu status współpracowników i współbadaczy.

Jednak nie idzie za tym refleksja (z powodu zrozumiałego w powyższym kontekście samozadowolenia), jak wyglądałoby uprawianie nauki, gdyby konsekwentnie ową wiarę wcielić – tak kompletnie, jak to możliwe – we własną praktykę. To znaczy, po pierwsze należałoby zrezygnować z prawa do cytowania wypowiedzi uzyskanych w trakcie badania i do wykorzystania cudzych słów bez uprzedniego oddania badanym kontroli nad kontekstem ich użycia i celowością takiego zabiegu lub zapewnienia sobie ich decyzji czy zgody. Po drugie, dobrze byłoby podchodzić mniej sofistycznie do kwestii, czy dobór cytatów i ich zamieszczanie poza kontrolą autorów i autorek danych słów nie jest podtrzymaniem ich „niższego” statusu czy niskiego upelnomocnienia, szczególnie gdy można zaliczyć ich do grup społecznie stygmatyzowanych i traktowanych przedmiotowo zgodnie z panującymi stereotypami. Po trzecie, rewizji wymagałoby nasze nastawienie wobec tekstów jako w zasadzie neutralnych, oddanych celom poznawczym, zatem intencjonalnie nieszkodliwych, w dodatku pisanych przez osoby deklarujące, jak i dowodzące czasami swoimi działaniami, iż są sojusznicze.

Sygnałami, które powinny dać naukowcom do myślenia – jako że powyższe „prawo” nie musi być rozumiane jako wyrównujące i etyczne oraz że podszyte jest nierzadko protekcyjną nierównością – są najnowsze przykłady samoupełnomocnienia się różnych grup, jak choćby wyżej wymienione, tak chętnie obejmowane ostatnio badaniami. Środowiska te stają się widoczne dzięki protestom, manifestacjom, aktywności w mediach i tworzeniu własnych nisz medialnych, odrzucając głównonurtowy dyskurs i retorykę na rzecz narracji własnych, jak i dzięki wchodzeniu do przestrzeni publicznej w subwersywny, rebeliancki czy „partyzancki” sposób (tylko z definicji jest to bowiem przestrzeń otwarta). Ruchy te i działania są widoczne po obu stronach oceanu i przywoływałam je wcześniej. Są to zatem działania grup etnicznych czy społeczności o złożonej identyfikacji, podlegających praktykom rasistowskim mimo oficjalnego antyrasizmu w dominującej polityce. Należą do nich także kobiety, osoby nie- lub anormatywne, atypowe, z niepełnosprawnościami lub chorobami, doznające z tych powodów często krzyżowego wykluczenia, osoby, którym odbierane są prawa (lub ich prawa są ignorowane), mimo oficjalnego dyskursu równościowego.

Chciałabym przytoczyć wypowiedzi dwóch osób, aby lepiej zilustrować samoświadomość takich grup oraz to, co powinna uwzględniać etyka włączająca, nastawiona na inkluzywny sposób uprawiania wiedzy, nauki oraz pisania. Wiem, że to jest ryzykowne w świetle tego, co napisałam wyżej o cytowaniu, jednak są to wypowiedzi upublicznione przez swoje autorki w mediach społecznościowych pod własnymi nazwiskami (podaję jedynie przypis do oryginalnego źródła, nie podaję ich danych). Wypowiedzi te wyrażają ich zdanie, potrzebę i krytykę pewnych praktyk tekstowych i dyskursywnych. Osoby wypowiadające się zaznaczają przy tym, iż oczekują innych

standardów i podają jakich. Ich głosy nie zostały wywołane niczymi uprzednimi działaniami badawczymi, których byłyby przedmiotem czy „tematem”.

Przykład pierwszy – osoba ze spektrum autyzmu: „Z okazji Światowego Dnia Świadomości Autyzmu chciałbym wspólnie z moimi różnorodnymi przyjaciółmi powiedzieć, że nasz głos jest ważny. Pragniemy mówić, wyrażać, co czujemy i czego potrzebujemy, i co jest dla nas ważne. Nie zawsze świat nam na to pozwala. Zbyt często świat wie za nas, czego chcemy i potrzebujemy. Chcemy to zmienić. Pytajcie nas o zdanie zawsze i w każdej sytuacji. Nie jesteśmy wyłącznie obiektami do terapeutyzacji, potrzebujemy mądrych, zdrowych, partnerskich relacji, które nas wspierają, wzmacniają, a nie naprawiają. Szanujmy się”<sup>24</sup>.

Przykład drugi – osoba propagująca wiedzę na temat endometriozy, która zamieściła komentarz do artykułu traktującego o tym zagadnieniu, opublikowanego w jednym z numerów „Nowego Obywatela”. Artykuł ten był pisany przez badaczkę z perspektywy zewnętrznej, nie włączała głosów osób zmagających się z endometriozą: „Bardzo dobry tekst, tylko ostatnie zdanie aż boli fizycznie 😞 «Bezpośrednim skutkiem tej polityki jest całkowita entropia ciała kobiety: jego fizyczne wyczerpanie, wyniszczenie i rozpad». Oczywiście oczywistością jest hasło o upolitycznianiu ciała. Tylko poza dyskusją na metapoziomach, ostatecznie to jest to jednak ciało, fizyczne, soczyste, schorowane, jesteśmy my fizyczne, soczyste, schorowane, ciała to my, nierozdzielnie. Czytanie o entropii nas jest strasznie dotykające. Nie wiem, czy wiecie, o co mi chodzi? O odpowiedzialność za narrację. Krytyka systemu to jedno, i on jest chujowy, a twierdzenia o nas to drugie. Pozdrawiam!”<sup>25</sup>.

Pytanie badanych o to, jak postrzegają sami siebie i problemy bezpośrednio ich spotykające, negocjowanie charakteru ich obecności w reprezentacji tekstowej, szczególnie gdy dotyczy to samorzeczników i samorzeczniczych środowisk, wydaje się coraz częściej niezbędnym minimum. Problemem jest jednak, jak tego typu procedura badawcza i jej efekt, czyli specjalistyczny tekst, pogodzi w sobie to, co wydaje się „bardziej etyczne”, z neoliberalną praktyką matrycowania badań i ich opisu. Czy dostosowanie się do tego typu zarządzania nauką i tekstami, za czym stoi zrozumiała troska o siebie, nie doprowadzi do zaprzepaszczenia trwającego wiele dziesięcioleci dojrzwania do wykonywania innej nauki i tworzenia innej wiedzy? „Innej”, to znaczy włączającej – choćby częściowo, przynajmniej na poziomie refleksji i tekstu, czasami też w dokonywaniu takich prób we współdziałaniu. Tego typu „inna” wiedza i nauka dowodziłyby być może rzeczywistego wzajemnego wpływu (w tym miejscu przywołuję nie bez powodu, lecz w innym sensie kategorię związaną z trzecim kryterium ewaluacji<sup>26</sup>).

Kończę swój tekst pytaniem: jak mogliśmy się zgodzić, jako autorefleksyjni i krytyczni badacze (jak by się zdawało), by w naukach humanistycznych zdominowało nas neoliberalne podejście do nauki? Jest na to na pewno wiele możliwych odpowiedzi. Osobiście, poszukałabym ich we wpływie tzw. „niewidzialnej ręki rynku”: pewne rozwiązania ekonomiczne, pociągające za sobą zmiany w sposobach życia i interpretowania rzeczywistości społecznej, przeniknęły też do akademii, wprowadzając tam przede wszystkim wolnorynkowy model finansowania i język PR czy marketingu. Jest mało prawdopodobne, że było to do uniknięcia, ponieważ akademię tworzą osoby, które żyją w świecie poza nią. Ów „świat” zatem jest wprowadzany naturalnie w mury uczelni. Jednak „nowe” zderza się ze „starym” ani do końca owego starego nie wypleniając, ani też nie adaptując się w pełni do zastanych wartości. W efekcie powstaje konglomerat starych utopii i idealizmów z nowymi presjami. Nie jest to sytuacja po „rewolucji”, lecz chaos, czyli posługiwanie się naraz w sposób nieskoordynowany wieloma dyskursami i parametrami pochodzącymi z bardzo różnych sfer rzeczywistości społecznej. Wiąże się z krytycyzmem wobec różnych uzusów akademickich, które począwszy od późnych lat dziewięćdziesiątych XX wieku były interpretowane przez młodsze pokolenia jako np. brak transparentności, chów wsobny, patologizacja stosunków na uczelni czy brak elastyczności. Ten przejawiał się i przejawia m.in. w sposobach procedowania spraw w tym miejscu pracy, zatem w sposobach i stylach coraz mniej adekwatnych do szybkości, jakości i przystępności obsługi, do których zaczął nas przyzwyczajać świat poza uczelnią, choćby w sektorze usług, szczególnie prywatnych, gdzie liczy się zadowolenie klienta i zatrzymanie go przy sobie.

Wbrew utopijnej koncepcji czy idealistycznemu wyobrażeniu uczelnie nie są niezależne od świata poza nimi. Nie o to chodzi jednak, aby deprecjonować kontakty i partnerstwo ze środowiskiem zewnętrznym, przestać budować z nim relacje, zamykać się na wspólne projekty czy inne

przedsięwzięcia. Chodzi o to, że nadal – moim zdaniem – żyjemy w świecie fałszywych opozycyjnych skrajności. Jest to, z jednej strony, idealizm, według którego akademika ma objaśniać świat, oddając się nauce czystej, a ów „świat” ma przede wszystkim tego słuchać. Z drugiej strony, wydaje się nam, że brak posłuchu jest zamachem na niezależność akademii, a jednocześnie nie dostrzegamy zainteresowania wyrażanego z innych pozycji niż może tego pożądalibyśmy, czy do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Możemy zatem nie dostrzegać otwartości na dialog drugiej strony – tej nieakademickiej, jej chęci zadawania pytań, wyrażania wątpliwości, domagania się od nas uzasadnienia itd, ale w zgodzie z jej paradygmatami.

Ten nurt, bardzo ciekawy, który mógłby zaowocować równie ciekawymi rozwiązaniami w praktyce i organizacji naszej pracy, został zagłuszony przez merkantylizm wyrażający się – moim zdaniem – zinternalizowaną „obsesją” na temat punktów<sup>27</sup>, gdy „w debacie o organizacji życia naukowego w Polsce z taką intensywnością zastosowano narzędzia PR-u i marketingu politycznego”<sup>28</sup>. Pociągnęło to za sobą konsekwencje, o których pisałam na samym początku tekstu, czyli internalizację grywalizacji i lęk o własny status (w tym o dostęp do środków, jako że ten, kto nie ma odpowiednich osiągnięć, jest odcinany od źródeł finansowania). Te dwa czynniki w mojej opinii obecnie najskuteczniej powstrzymują jawne nieposłuszeństwo wobec obowiązującego nurtu uprawiania nauki. Ciekawe jednak byłoby przeanalizowanie rozwoju naukowego, ścieżek kariery i sposobów pisania pod kątem swoistych subwersji w ramach owego systemu. Jestem bowiem pewna, że tak się dzieje. Do pewnego stopnia napawa to nadzieją.

#### PRZYPISY

\* Prezentowany tekst ma formę zbliżoną do eseju, jest zatem programowo nieustrukturyzowany według zasad stojących za pisaniem typowego artykułu naukowego.

1 C. Geertz, *Opis gęsty – w stronę interpretatywnej teorii kultury*, przeł. S. Sikora, w: M. Kempny, E. Nowicka (red.), *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej*, Warszawa 2005, s. 35–58.

2 Prowadzone online seminarium pt. „Laboratoria naukowego pisania a kryzys humanistyki – perspektywa polska”, które odbyło się w dniach 6 i 7 maja 2021 roku w Instytucie Kultury Polskiej UW.

3 Fragment tekstu z zaproszenia na seminarium wymienione w poprzednim przypisie.

4 Zob. L. Balcerowicz, *Wolność i rozwój. Ekonomia wolnego rynku*, Kraków 1998.

5 J. Spyrka, *Wolny rynek*, w: *Encyklopedia zarządzania*, [https://mfiles.pl/pl/index.php/Wolny\\_rynek](https://mfiles.pl/pl/index.php/Wolny_rynek) (dostęp: 03.03.2021).

6 Zob. <https://pubsure.researcher.life/> (dostęp: 10.04.2021).

7 Zob. bell hooks, *Postmodernistyczna czerń*, w: A. Preis-Smith (red.), *Kultura, tekst, ideologia. Dyskursy współczesnej amerykanistyki*, Kraków 2004, s. 429–439; też, *Margines jako miejsce radykalnego otwarcia*, „Literatura na Świecie” 2008, nr 1–2, s. 108–117; też, *Teoria feministyczna. Od marginesu do centrum*, Warszawa 2013; G. Anzaldúa, C. Moraga (red.), *This Bridge Called My Back: Writings by Radical Women of Color*, Albany 2015; G. Anzaldúa, *Borderlands/La Frontera: The New Mestiza*, San Francisco 2012; też, *Making Face, Making Soul/Haciendo Caras: Creative and Critical Perspectives by Feminists of Color*, San Francisco 1990; A.L. Keating (red.), *The Gloria Anzaldúa Reader*, Durham-London 2009; M. Lugones, J. Price, *Heterosexuality and the Colonial/Modern Gender System*, „Hypatia” 2007, t. 22, nr 1, s. 186–209; ciż, *The Inseparability of Race, Class, and Gender in Latino Studies*, „Latino Studies” 2003, nr 1, s. 329–332; ciż, *Problems of Translation in Postcolonial Thinking*, „Anthropology News” April 2003, s. 7–9; M. Lugones, *Pilgrimages/Peregrinajes: Theorizing Coalition Against Multiple Oppressions*, Landhan, MD 2003; S.C. Motta, C.M. Flesher Fominaya, C. Eschle, L. Cox, *Feminism Women’s Movements and Women in Movement: Editorial*, „Interface: A Journal For and About Social Movements” 2011, t. 3, nr 2, s. 1–32; S.C. Motta, A.G. Nilsen, *Social Movements and/in the Postcolonial: Dispossession, Development and Resistance in the Global South*, w: S.C. Motta, A.G. Nilsen (red.), *Social Movements in the Global South*, London 2011, s. 1–31; S.C. Motta, „We Are the Ones We Have Been Waiting For”: *The Feminization of Resistance in Venezuela*, „Latin American Perspectives” 2013, t. 40, nr 4, s. 34–54; S. Amsler, S.C. Motta, *The Marketised University and the Politics of Motherhood*, „Gender and Education” 2019, t. 1, nr 2, s. 82–99.

8 J. Clifford, *O autorytecie etnograficznym*, w: M. Buchowski (red.), *Amerykańska antropologia postmodernistyczna*, Warszawa 1999, s. 127.

9 G. Godlewski, *Poza nachylenie tekstowe, w stronę doświadczenia przedtekstowego. Wskazówki terapeutyczne*, „Teksty Drugie” 2018, nr 1, <https://journals.openedition.org/td/839> (dostęp: 15.04.2021).

10 Zob. tematyczny numer „Tekstów Drugich” (2018, nr 1) zatytułowany *Etnografia przedtekstowa*, <https://journals.openedition.org/td/452> (dostęp: 15.04.2021).

11 G. Godlewski, *Poza nachylenie tekstowe...*, dz. cyt.

- 12 H. Kara, *A simple guide to ethical co-authorship*, 2021, <https://blogs.lse.ac.uk/impactofsocialsciences/2021/03/29/a-simple-guide-to-ethical-co-authorship/> (dostęp: 31.03.2021).
- 13 Tamże.
- 14 Zaznaczam, że to moja interpretacja – wartościująca wymowę takiego dokumentu jak *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce*, Dz. U. z 2021 r., poz. 478 ze zm.; prawo to weszło w życie 1 października 2018 r. z przepisami wprowadzającymi, <https://www.gov.pl/web/edukacja-i-nauka/konstytucja-dla-nauki-2> (dostęp: 1.04.2021).
- 15 Zob. M. Buchowski, *Etnologia polska. Historie i powinowactwa*, Poznań 2012; tenże, *Intricate Relations between Western Anthropologists and Eastern Ethnologists*, „Focaal: Journal of Global and Historical Anthropology” 2012, nr 63, s. 20–38; tenże, *Nauka jako pole (samo)kolonizacji. Przykład antropologii społeczno-kulturowej*, w: J. Kieniewicz (red.), *Debaty Artes Liberales*, t. 10: *Perspektywy postkolonializmu w Polsce. Polska w perspektywie postkolonialnej*, Warszawa 2016, s. 21–37; tenże, *Trajektorie relacji polskiej etnologii i antropologii z nauką światową*, „Lud” 2019, nr 103, s. 13–26.
- 16 G. Obeyesekere, *Apoteoza kapitana Cooka. Europejskie mitotwórstwo w rejonie Pacyfiku*, przeł. W. Usakiewicz, Kraków 2007.
- 17 M. Sahllins, *Wyspy historii*, przeł. I. Kołbon, Kraków 2006; tenże, *Jak myślą „tubylcy”. O kapitanie Cooku, na przykład*, przeł. W. Usakiewicz, Kraków 2007.
- 18 E.W. Said, *Orientalizm*, przeł. W. Kalinowski, Warszawa 1991.
- 19 G. Kubica-Heller, *Śląskość i protestantyzm. Antropologiczne studia o Śląsku Cieszyńskim, proza, fotografia*, Kraków 2011. Inny projekt Kubicy-Helle to „Everyday Life in the Shadow of a Border: Women’s Experiences in a Region Cut in Half: Cieszyn Silesia” – projekt badawczy i filmowy historii mówionej, kierownictwo merytoryczne (Fundacja Dobra Wola we współpracy z partnerami z Niemiec i Republiki Czeskiej). Realizacja dwóch filmów: *Żywobyci przy granicy. Babski godki z obu stron Olzy* i *Żywobyci przy granicy. Babski godki o robocie we werkach*, za: <https://socjologia.uj.edu.pl/instytut/pracownicy/grazynakubicaheller> (dostęp: 31.03.2021).
- 20 Zob. B.H. Ziff, P.V. Rao, *Borrowed Power: Essays on Cultural Appropriation*, New Brunswick, NJ 1997.
- 21 Więcej o niuansach jego stosowania na przykładach pochodzących z amerykańskiej współczesnej kultury anglojęzycznej, w tym z mediów społecznościowych – zob. P.T. Lenard, P. Balint, *What Is (the Wrong of) Cultural Appropriation?*, „Ethnicities” 2020, t. 20, nr 2, s. 331–352.
- 22 To pojęcie w moim rozumieniu jest bliskie *peer-research*. Zob. np. C.J. Lushey, E.R. Munro, *Participatory Peer Research Methodology: An Effective Method for Obtaining Young People’s Perspectives on Transitions from Care to Adulthood?*, „Qualitative Social Work” 2004, t. 14, nr 4, s. 522–537; K.R. MacKinnon, A. Guta, J. Voronka, M. Pilling, C.C. Williams, C. Strike, L.E. Ross, *The Political Economy of Peer Research: Mapping the Possibilities and Precarities of Paying People for Lived Experience*, „The British Journal of Social Work” 2021, t. 51, nr 3, s. 888–906.
- 23 J. Clifford, *O autorytecie etnograficznym...*, dz. cyt., s. 20.
- 24 <https://www.facebook.com/ChcemyCalegoZycia/posts/1638554996332959> (dostęp: 02.04.2021).
- 25 <https://www.facebook.com/PraktykaTeoretyczna> (dostęp 28.03.2021).
- 26 Kryterium to polega na opisie wpływu działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki. Należy w tym celu wybrać określaną przepisami ewaluacyjnymi liczbę działań wdrażanych przez badaczy, a podpartych rezultatami nie tylko naukowymi (jak badania i teksty), lecz także tzw. „dowodami wpływu” owych aktywności na środowisko pozauczelniane. Może to być sytuacja, gdy projekt naukowców spotkał się takim rodzajem recepcji danego środowiska pozauczelnianego, iż np. zaowocował podjęciem tam rozmaitych decyzji, zmianą zachowań, wzrostem jakiegoś czynnika (dochodami jakiejś grupy, linią produkcyjną itp.) czy wzrostem udziału osób w zakresie y lub podwyższeniem u nich czynnika x itd.
- 27 Zwaną punktozą, która doczekała się własnego hasła w Wikipedii, zob. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Punktoza> (dostęp: 05.02.2022).
- 28 W. Włoskiewicz, *Nowomowa pseudometanaukowa? O języku polskiej polityki naukowej*, „Poradnik Językowy” 2019, nr 10, s. 44–45, [http://www.poradnikjezykowy.uw.edu.pl/wydania/poradnik\\_jezykowy.769.2019.10.03-W.Wloskiewicz.pdf](http://www.poradnikjezykowy.uw.edu.pl/wydania/poradnik_jezykowy.769.2019.10.03-W.Wloskiewicz.pdf) (dostęp: 05.02.2022).

Jerzy Stachowicz

---

# Władza interfejsów? Kalifornizacja akademickiego pisania

---

## Humanieści jutuberzy?

Łączenie działalności akademickiej z nowymi technologiami drastycznie przyspieszyło wraz ze zmianami wymuszonymi pandemią. Doświadczamy wzmoczonego procesu remediacji praktyk akademickich. Osoby piszące teksty naukowe, nawet jeśli nie czują potrzeby wchodzenia w świat cyfrowy, są do tego zmuszane pod groźbą cyfrowego wykluczenia od momentu, kiedy podstawowym medium komunikacji na uczelni i tworzenia tekstów naukowych stał się internet. Wiele z nich, często wbrew swojej woli, zostało jutuberkami, twórcami podcastów, a czasem producentkami materiałów będących medialnymi kolażami (wideoabstrakty, artykuły wizualne, eseje wizualne itp.), ale posiadających cechy, które pozwalają uznać je za efekty pracy podobnej do tworzenia tradycyjnych tekstów naukowych<sup>1</sup>. Pisząc o podobieństwach mam na myśli zarówno prowadzenie badań charakterystycznych dla danej dyscypliny naukowej, których efektem jest medialny kolaż, jak i zachowywanie kryteriów językowych, dyscypliny wywodu, odniesień do wcześniejszych badań i publikacji itp. Jednym z najciekawszych przykładów tego typu praktyk jest „JoVE Journal”, czyli naukowe czasopismo wideo. Filmy publikowane na łamach „JoVE Journal”, głównie z dziedziny nauk przyrodniczych i ścisłych, są uważane za pełnoprawne publikacje naukowe. Posiadają spis treści, abstrakt (w postaci tekstowej) oraz nadany numer DOI<sup>2</sup>.

Jednak najciekawsze zmiany mają miejsce w samych praktykach tworzenia tekstów naukowych. Chciałbym spojrzeć na cyfryzację pisania akademickiego jako na część większego zjawiska (czy też wielu równoległych zmian), które proponuję określić terminem „kalifornizacja”. Swoje refleksje opieram przede wszystkim na obserwacji sposobów działania trzech platform internetowych związanych z tworzeniem i wymianą tekstów akademickich: Google Suite, Grammarly i SAGE. Przedstawiony w tekście opis ich działania nie skupia się na oprogramowaniu (podejście *software studies*) ani na podkreślaniu materialności sieci i uwzględnianiu hardware'u (*platform studies*), lecz na doświadczeniu użytkownika i funkcjonowaniu interfejsu<sup>3</sup>.

---

## Jak miało być?

Na początku chciałbym przywołać pewną konkretną wizję przyszłości, którą zwykło się uważać za jeden z kamieni milowych w rozwoju internetu – nie jako sieci

---

Jerzy Stachowicz,  
*Władza interfejsów?*  
*Kalifornizacja*  
*akademickiego pisania,*  
„Almanach  
Antropologiczny.  
Communicare” 2024,  
t. 9, s. 117-127.

komputerów, lecz idei bądź konceptu. Wizja ta została opisana w 1945 roku w artykule opublikowanym w lipcowym numerze opiniotwórczego magazynu „The Atlantic Monthly”. Autor tekstu *Jak możemy myśleć* Vannevar Bush, profesor, wynalazca, biznesmen i człowiek zarządzający większością projektów naukowych prowadzonych w USA w czasie II wojny światowej doszedł do wniosku, że najwyższy czas, by rozwój technologii elektronicznych przyczynił się do zmiany jakościowej w obrębie samych nauk. Ten „nowy sposób myślenia” miał być wynikiem zmiany technologii pisania naukowego, które, niezależnie od rodzaju uprawianych nauk, powinno być wspomagane przez multimedialną technologię informacyjną.

Propozycja Busha, choć skupiała się na tytułowym myśleniu, w rzeczywistości mocno utożsamiała je z praktykami pisania i przygotowywania tekstu naukowego. Jego propozycją był memex – oparty na mikrofilmach, ekranach, okularach z aparatem fotograficznym, pisaniu i systemie asocjacji, podobnym do tego w dzisiejszych hiperlinkach. Urządzenie miało częściowo automatyzować proces tworzenia tekstu akademickiego. Celem innowacji miał być „zapis użyteczny dla nauki”<sup>4</sup>. Dlatego Bush mógłby być uznany przez brytyjskiego filozofa Roya Harrisa za przykład naukowca o sporym nachyleniu skryptystycznym<sup>5</sup>. Dla Busha myślenie dzieliło się na twórcze i wtórne. To drugie, czyli „powtarzalny proces myślowy”<sup>6</sup> – wprowadzanie notatek i danych, obliczenia arytmetyczne, manipulacja danymi zgodnie z zasadami logiki, selekcja, odtworzenie dotychczasowych ścieżek wynikania – powinno być poddane technologizacji (dalszej, bo jak wiemy, samo pisanie to technologizacja<sup>7</sup>) i automatyzacji. Urządzenie, najlepiej połączone z innymi podobnymi w sieć, powinno być nie tylko biblioteką, lecz także maszyną do tworzenia tekstów powiązanych z innymi tekstami – te asocjacje i ich ukazywanie w formie hiperlinków miały stworzyć nową galaktykę tekstów. Zainspirowany tym tekstem filozof-inżynier Ted Nelson zaproponował równie wpływową, jak ta wymyślona przez Busha, wizję sieci tekstów będących w nieustannej, dynamicznej relacji ze sobą i ogłosił, że „celem komputerów jest wolność człowieka”<sup>8</sup>. Jego projekt Xanadu miał być rozwinięciem memeksu, dzięki któremu każdy piszący i czytający sieciowe teksty miałby dostęp do wszystkich ich wersji, połączeń, źródeł cytatów itp. W 2002 roku, kiedy podsumowywał swoje działania rozpoczęte jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku, pisał, że „galaktyka Gutenberga” stanowi wzór doskonale funkcjonującego systemu, lecz czasy internetu stawiają przed zremediowanym drukiem oraz procesami i praktykami pisania wiele nowych wyzwań. Dlatego „musimy znaleźć sposób na stworzenie jednolitego systemu, który obejmowałby tak zwaną eksplozję informacji i zapewniał wspólny dostęp”<sup>9</sup>. Tworzenie dokumentów hipertekstowych miało służyć ułatwieniu „ogólnego oglądu i rozumienia”<sup>10</sup> w pracy twórczej. Tak rozumiany internet miałby być efektem rozwoju nauk inżynierskich, informatycznych, ale istnieć w służbie rozwoju wszelkich nauk. Nie miał być **celem**, lecz **narzędziem** przyspieszającym rozwój ludzkości. Obaj badacze postulowali łatwość pracy, przejrzystość tworzenia tekstów akademickich jako cele swoich innowacji i obaj nigdy nie zrealizowali swoich wizji.

---

## Kalifornizacja

Czy dzisiejsze cyfrowe, usieciowione narzędzia mające ułatwić prace nad tekstem akademickim spełniają założenia Busha i Nelsona? Według mnie – nie. Jednym z powodów tego stanu rzeczy jest zjawisko, które nazywam kalifornizacją pisania akademickiego. Termin kalifornizacja w znaczeniu, w którym będę go używał, odsyła do dwóch anglojęzycznych terminów *Californication* i *Californian ideology*. Ten pierwszy może kojarzyć się utworem *Californication* kalifornijskiej grupy Red Hot Chili Peppers oraz niezwykle popularnym serialem telewizyjnym pod tym samym tytułem, nadawanym w latach 2007–2014. Zarówno utwór, jak i serial sprawiły, że w XXI wieku pojęcie to stało się czytelne poza USA i uległo pewnemu przesunięciu znaczeniowemu. Sam termin *Californication* funkcjonuje jednak w USA co najmniej od drugiej połowy lat sześćdziesiątych, zazwyczaj w dość pejoratywnym znaczeniu. W maju 1966 roku w magazynie „Time”, w anonimowym artykule omawiającym najnowsze trendy w literaturze amerykańskiej, termin ten pojawia się na określenie jednej z cech charakteryzujących następców beatników (Thomas Pynchon i inni)<sup>11</sup>, obok uwielbienia dla LSD, marihuany, kontestatorskiego ducha Berkeley i postawy antywojennej. W latach siedemdziesiątych *Californication* stało się, w sąsiadujących stanach, hasłem oznaczającym niekontrolowany rozwój przestrzeni



miejskiej, komercjalizację i osiedlanie się Kalifornijczyków. W sferę znaczeniową tego terminu weszły też m.in. uprzedmiotowienie ciała, seksualizacja popkultury i agresywna kulturowa ekspansja wizji świata powstałej na skrzyżowaniu Hollywood i Doliny Krzemowej<sup>12</sup>. W końcu *Californication*, czasem używane zamiennie z *Californization*, zaczęło być swoistą odmianą pojęcia amerykanizacji i oznaczać szczególny typ amerykańskiej *soft power*, początkowo egzotycznej również dla samych Amerykanów. W XXI wieku kalifornizacja to nie tylko ekspansja hollywoodzkiego modelu kina, lecz także ekspansja technologii oraz stojącej za nią wizji przemian społecznych.

Pojęcie „kalifornizacji potrzeb” (*Californization of need*) pojawiło się z kolei u japońskiego teoretyka zarządzania Ken-ichiego Ōmae, który określił w ten sposób konwergencję potrzeb i gustów współczesnych konsumentów na całym świecie. Choć Ōmae, autor książki *The End of the Nation State*, pisał w 1989 roku przede wszystkim o wspólnym modelu konsumpcji i końcu narodowych ekonomii w USA, Europie i Japonii, to symptomatyczny jest wybór Kalifornii jako symbolu konwergencji: „każdy, w pewnym sensie, chce mieszkać – i robić zakupy – w Kalifornii”<sup>13</sup>. W drugiej dekadzie XXI wieku widać to bardzo wyraźnie. Miliardy ludzi na całym świecie, m.in. dzięki dostępowi do internetu i dominacji firm z Doliny Krzemowej, w łatwy sposób zapoznają się z globalnym stylem życia, modą czy estetyką, których obrazy i sposoby działania są tworzone i zarządzane z Kalifornii.

Drugim pojęciem, które buduje używane przeze mnie znaczenie terminu kalifornizacja, jest ideologia kalifornijska. Pojęcie to zostało wprowadzone przez Richarda Barbrooka i Andy’ego Camerona w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku, a więc w momencie, kiedy firmy technologiczne związane z internetem rzeczywiście zaczęły wpływać na rozmaite dziedziny życia. „Ideologia kalifornijska jest połączeniem cybernetyki, gospodarki wolnorynkowej i kontrkulturowego libertarianizmu”<sup>14</sup> – pisali. Założycieli i teoretyków Doliny Krzemowej cechuje wiara w przewagę prywatnych przedsięwzięć nad instytucjami państwowymi (charakterystyczna zarówno dla gospodarczych liberałów, jak i kontrkultury), w cybernetykę, automatyzację i policzalność wszystkiego, a także w to, że technologie cyfrowe są czynnikiem zmiany na lepsze<sup>15</sup>. Często również nadużywają terminu „kreatywność”, bezzasadnie łącząc go z terminem „wydajność”.

„W tych warunkach rozwinęła się także myśl transhumanistyczna – to jest zakładająca, że życie człowieka należy radykalnie ulepszyć za pomocą techniki”<sup>16</sup> – zauważa Jędrzej Maliński. Apologeci ideologii kalifornijskiej są więc skrajnymi technologicznymi utopistami, którzy, zakładając wiarę w zmianę technologii jako zmianę społeczną i kulturową, zaczynają tracić z oczu „współczynnik humanistyczny”<sup>17</sup>. Technologia cyfrowa i jej interfejsy zaczynają być postrzegane jako całkowicie neutralne. Nie dostrzegają się, że są one produktami „względnie zamożnych białych libertarian płci męskiej, niezauważających roli sprzątających ich biura latynoskich kobiet”<sup>18</sup>, efektem prowadzenia działalności w konkretnym kontekście. Barbrook i Cameron zauważyli zresztą, że podobnie jak tak zwani ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych, przedstawiciele „klasy kreatywnej” Doliny Krzemowej bardzo łatwo łączą hasła równości i wolności z „naturalną koniecznością” wykluczania pewnych grup społecznych i odseparowywania się od klas niższych<sup>19</sup>. Sposobem na tę nową segregację klasową i rasową ma być zapośredniczenie przez technologię jak największej liczby czynności życia codziennego. Wzorem takiego postępowania jest Thomas Jefferson i jego wynalazki – interfejsy – pośredniczące między nim a służbą, niewolnikami<sup>20</sup>. Jak zauważa Jan Zygmuntowski: „Utopijna wiara w wyznaczony z góry, deterministyczny bieg postępu technologicznego i płynące z niego (nieznane jeszcze) rozwiązania światowych problemów są tutaj usprawiedliwieniem dla kapitalistycznego, kognitywnego totalitaryzmu [...]”<sup>21</sup>. Efekt jest taki, że dane i sieć ulegają fetyszyzacji – znika człowiek, jego praca, poczucie godności, znikają nawet problemy, które technologia cyfrowa miała pomóc rozwiązać. „[F]abryka sieci staje się celem samym dla siebie” – zauważa Zygmuntowski, a dalej pisze: „realne doświadczenia i życie prawdziwych czujących osób oddala się coraz bardziej, przysłonięte rosnącymi zbiorami danych”.

Podsumowując: kalifornizacja jest więc dla mnie rodzajem cyfrowego kolonializmu, charakteryzującego się niekontrolowaną ekspansją ideologii kalifornijskiej, gospodarki cyfrowej, algorytmizacji i kalifornijskiej estetyki wizualnej. Kalifornizacja zawiera się w zapewnieniach, że nowe aplikacje, nowe interfejsy są nam niezbędne do lepszego życia, że *smartwatch* jest lepszy od zegarka, a Uber od taksówki. W pracy akademickiej również pojawiło się bardzo wiele

cyfrowych narzędzi, które są prezentowane jako niezbędne i pomocne, a które wprowadzają elementy ideologii kalifornijskiej.

---

## Władza interfejsów

W klasycznej dla polskich badań kultury cyfrowej książce *Interfejsy. Cyfrowe technologie w komunikowaniu* Piotr Celiński zauważa, że „**Interfejs** to niewątpliwie perspektywiczna, choć jednocześnie kontrowersyjna kategoria pojęciowa, którą można stosować w badaniach kondycji współczesnej komunikacji i powiązanych z nią praktyk kulturowych i społecznych”<sup>22</sup>. Ta kontrowersyjność polega, według mnie, przede wszystkim na jej definicyjnej niejednoznaczności. Kiedy interfejs stał się kategorią kulturoznawczą i medioznawczą, okazał się również kategorią nieostrą. Mamy więc interfejsy kulturowe, interfejsy techniczne itp. Granice interfejsu i medium zdają się niepokojąco zacierać, co zresztą zaznacza Celiński, wprowadzając w swojej późniejszej pracy kategorię postmedialności.

Na potrzeby niniejszego tekstu można przyjąć, nawiązując do Celińskiego, że interfejs „**pośredniczy w interakcjach pomiędzy uniwersum danych cyfrowych i człowiekiem wraz z jego otoczeniem kulturowym**”<sup>23</sup>. Mnie interesują przede wszystkim interfejsy miękkie (nie hardware’owe<sup>24</sup>), to znaczy „środowiska programistyczne, systemy operacyjne, wszelkiego rodzaju aplikacje użytkowe”<sup>25</sup>, czyli sfery, „w których użytkownik podejmuje interakcje z nowymi mediami”<sup>26</sup>. Oczywiście, podobnie jak nie należy wpadać w determinizm technologiczny i zapominać, że technologia nie jest niezależną od kultury, nieludzką sferą, tak nie należy zaprzeczać materialności technologii cyfrowych. Żadne graficzne interfejsy, obrazy, przyciski nie mogą istnieć bez komputerów, smartfonów, ekranów<sup>27</sup>. W epoce cyfryzacji, która z impetem ogarnęła archiwa wiedzy i samą produkcję tekstów naukowych, mamy do czynienia z zanikaniem starych mediów i ich dotychczasowej logiki: „zarówno obraz, jak i utwór muzyczny, fragment tekstu powieści czy film stają się ciągiem zer i jedynek zapisanych w cyfrowych bazach danych, otwartych na różne software’owe i interfejsowe wywołania i działania różnych algorytmów”<sup>28</sup>.

Remediacja do cyfrowości – jak pisał J. David Bolter: znacząca i wyjątkowo trudna (najważniejsza od czasów renesansu)<sup>29</sup> – powodować ma nie tylko wchłanianie mediów analogowych przez cyfrowe i aktualizowanie tych ostatnich, lecz także zacieranie się granic wyznaczonych przez stare porządki medialne. Odbywa się to w sposób niedostrzegalny, ponieważ wciąż, by dotrzeć do cyfrowych zasobów (np. tekstów naukowych), używamy interfejsów opartych na logice remediacji – przypominających o starych mediach i wykorzystujących historyczne mechanizmy wizualności „już tylko z siły przyzwyczajenia”. Nie odzwierciedlają one procesów zachodzących w cyfrowych maszynach. Wciąż jesteśmy więc świadkami zacierania się granic gatunkowych i przenikania się gatunków twórczości niegdyś charakterystycznych dla konkretnych typów mediów analogowych. To prowadzi między innymi do wspomnianego wcześniej problemu definicyjnego polegającego na rozmywaniu się granic między interfejsami a mediami – jedyną „pozostałością” po zremediowanym medium analogowym może być warstwa interfejsu: aplikacja, obraz na ekranie o wyglądzie nawiązującym do historycznie znanego, udomowionego porządku medialnego, dzięki któremu możemy intuicyjnie poruszać się wśród cyfrowych zasobów<sup>30</sup>. W cyfrowej sieci te porządki można jednak łatwo odwracać i wywracać. To, co – jak zauważył Bolter – w medium druku czy pisma wydawało się względnie stałe, np. przestrzeń pisma, zasady tworzenia tekstu naukowego, wymogi formalne, w cyfrowej sieci staje się dynamiczne, skalowalne, zmienne i zależne od formy, jaką przybiera interfejs.

---

## Niestałość – narzucanie interfejsu

Rozmywanie się historycznie utartych podziałów medialnych należy wziąć pod uwagę przy namyśle nad pisaniem naukowym. Od polskich (i nie tylko) akademików wymaga się coraz częstszego dostosowywania swoich kompetencji do zmieniającego się wachlarza narzędzi cyfrowych. Warsztat twórcy tekstu naukowego to już nie tylko zremediowana maszyna do pisania (edytor tekstu) i zcyfrowana książka (e-book, pdf). To, jak mamy pisać, wygłaszać

referaty, prowadzić zajęcia, jest coraz częściej determinowane przez interfejsy, które są nam narzucane. Przenosimy zajęcia na Zoom, uzupełniamy sylabusy w Google Classroom, nagrywamy filmy z wykładami na YouTube. Takimi interfejsami są również programy do pisania w chmurze, tworzenia bibliografii albo nawet programy pomagające w pisaniu abstraktów. Forma interfejsu nie tylko nie jest stała, lecz także w żadnym stopniu nie jest zależna od jego użytkownika. Nawet jeśli dokonamy świadomego wyboru, że będziemy korzystać z zestawu cyfrowych narzędzi jednego producenta (Google, Microsoft), to kupując bądź coraz częściej je pożyczając, nie mamy gwarancji stałości, stabilności interfejsu czy też rodzaju świadczonych usług. W każdej chwili wygląd i sposób działania dokumentu, strony, aplikacji może zostać zmieniony.

Neoliberalne hasło „elastyczności”, czyli całkowitego podporządkowania się pracownika pracodawcy, rezygnacji ze swoich praw<sup>31</sup>, zaczyna obowiązywać pracownika naukowego i dotyczyć jego pracy twórczej. W sferze interfejsu odpowiednikiem elastyczności jest według mnie imperatyw ciągłego aktualizowania (programu, interfejsu, funkcjonalności). W imię ekonomii uwagi ciągle zmieniany jest wygląd stron www albo funkcje serwisów internetowych. Pracownik naukowy piszący i popularyzujący swoje teksty naukowe oraz popularnonaukowe musi być ciągle otwarty na zmiany, na które nie ma w istocie większego wpływu.

Przykładem mogą być praktyki Google'a wobec użytkowników instytucjonalnych. Od chwili, kiedy zaproponowałem ten temat na seminarium, do momentu pisania tego zdania, zauważyłem zmiany interfejsu i co najmniej jedną informację, że warunki korzystania z mojej służbowej, uniwersyteckiej usługi tej firmy zostały drastycznie zmienione. Raz zmienił się zakres usług, a raz wygląd narzędzi. Dostałem też mail z działu informatycznego uniwersytetu zapowiadający, „że w związku ze zmianą modelu licencjonowania usługi Google Workspace for Education (G Suite for Education) od 01.01.2022 roku w ramach posiadanej przez Uniwersytet Warszawski licencji przestanie funkcjonować możliwość nagrywania spotkań prowadzonych przez Google Meet”<sup>32</sup>. Ponieważ usługę wykupiła duża instytucja, informacja jest odpowiednio wcześniej przekazywana i może być dystrybuowana wśród pracowników. W przypadku mojego prywatnego konta Google nie mam już takiego komfortu. Czasem tego typu informacje po prostu giną w spamie. Jednocześnie warto zauważyć, że firma informuje o zmianach w zapisach umowy lub o wyłączeniu (czasem włączeniu) istotnych usług. Zmiany w wyglądzie interfejsu nie są zazwyczaj poprzedzone wcześniejszą informacją.

Można argumentować, że tak było wcześniej. Bankrutowała firma produkująca czyjś ulubiony atrament albo zeszyty, papiernia zmieniała gramaturę papieru. Wcześniej jednak zmiana była powolna. W pracy, jaką jest pisanie tekstu, nikt nie mógł sprawić, że bez wiedzy piszącego zeszyt zmieniał formę, pismo – kolor, maszynopis – czcionkę. Używając narzędzi cyfrowych, pozbawiamy się w pewnym sensie sprawczości, a w każdym razie poczucia sprawczości. Nie ma tu sfery negocjacji. W cyfrowej gospodarce, jak podkreśla Shoshana Zuboff, nie ma równości podmiotów, a podstawą relacji użytkownik – przedsiębiorstwo internetowe są zasady umowy adhezyjnej. Wielu użytkowników internetowych narzędzi nie zadaje sobie trudu czytania warunków świadczenia usługi, bo mają świadomość, że stoją przed wyborem „wszystko albo nic”<sup>33</sup>: jeśli nie zaznaczą pola „akceptuję”, nie dostaną niczego. W dodatku już nie kupuje się narzędzi ani oprogramowania na własność, co było powszechne na początku XXI wieku, lecz usługę lub abonentament na korzystanie z usługi. Nawet popularne programy – produkty poniekąd niezależne – zamieniane są na sieciowe usługi, czego dobrym przykładem jest Office Microsoftu. Niesie to za sobą dość istotną zmianę: dane zamiast być w posiadaniu użytkownika programu, trzymane na dysku komputera, są przesyłane do chmury – czyli są posiadane i zarządzane przez korporację.

Użytkownik zgadza się *de facto* na płynność tej usługi: „warunki świadczenia usług mogą być w każdym czasie jednostronnie zmienione przez firmę, bez wiedzy lub zgody konkretnego użytkownika” – pisze Zuboff. Z polskiej perspektywy możemy dodać, że wiele umów, na które zgadzamy się każdego dnia, to umowy niekoniecznie osadzone w realiach polskiego prawa. „Te kontrakty oznaczają dla użytkownika niespotykany wręcz regres, sytuację, w której nie możesz wygrać”<sup>34</sup>. Amerykańska badaczka, opisując te praktyki, przywołuje takie określenia jak „sadyzm” i „degradacja praworządności”.

Istotnym aspektem kalifornizacji jest też to, że te praktyki – jak się wydaje – można umieścić w jeszcze innym, równie nieprzyjemnym kontekście. Ten sposób narzucania władzy przypomina sytuacje, które znamy z historii europejskiego kolonializmu. Wielkie firmy technologiczne

kontynuują praktyki zapoczątkowane przez kampanie handlowe kolonizujące i „monetyzujące” zamorskie terytoria<sup>35</sup>. Dziś epoka kolonialna może kojarzyć się z imperializmem państw takich jak Wielka Brytania, Belgia czy Holandia, ale warto pamiętać, że „nowoczesny kolonializm” został zapoczątkowany przez takie instytucje jak Holenderska Kompania Wschodnioindyjska (VOC), którą można uznać za pierwszą międzynarodową spółkę akcyjną. Tego typu firmy próbowały monopolizować wymianę towarów, narzucały jednostronnie europejskie prawo i standardy ludom nieeuropejskim, przejmowały kompetencje lokalnej administracji państwowej w imię powiększenia zysku inwestorów.

„Prywatne wywłaszczenie prawa rzeczowego”<sup>36</sup> za pomocą umowy adhezyjnej sprawia, że nie panujemy nad narzędziami pisania cyfrowego, lecz jesteśmy poddani władzy ich twórców. Dzielimy się własną wiedzą, procesem pisania, udostępniamy swój tekst nieznanym nam podmiotom ludzkim i nie-ludzkim (tzw. sztucznej inteligencji), a przy okazji pozwalamy, by globalne korporacje kolonizowały, zawłaszczają praktyki akademickie.

### Automatyzacja pisania akademickiego – serwisy i algorytmy

Dzisiejsze pisanie naukowe przypomina praktyki SEO i SEM<sup>37</sup>. Pisanie jest pozycjonowaniem tekstów w internecie i wykonywaniem algorytmów dokładnie instruujących piszącego, jak ma tworzyć tekst, by w ogóle mógł on zostać wgrany do systemu – formatowanie tekstów pod dane wydawnictwo staje się niezwykle pożądaną umiejętnością. Jak wie każdy, kto publikował bądź próbował publikować artykuły naukowe (a czasem również książki), w dużych wydawnictwach naukowych praktyki związane z publikowaniem są coraz częściej zapośredniczane przez zautomatyzowane serwisy internetowe. Wydawnictwa tworzą coraz bardziej restrykcyjne wytyczne formatowania tekstów. Istotne stają się nie tylko forma przypisów, rodzaj czcionki itp., lecz także niemal każdy osiągalny parametr, łącznie z typem pliku. Wszystko to zostaje poddane automatyzacji, która z jednej strony ma ułatwiać pracę z tekstem, z drugiej, staje się przyczyną kolejnych przemian pisania i w pewnym sensie sztucznie kreuje nowe problemy. Zdarza się, że autor kontaktuje się z wydawnictwem jedynie poprzez narzędzia online (nie e-mail) i sam wgrywa tekst. Umiejętności wymagane dawno temu od zecera, redaktora, tłumacza, teraz są cedowane na autora tekstu, który powinien być biegły w cyfrowym piśmie. Czasami jednak nawet względna biegłość w formatowaniu nie rozwiązuje problemów, kiedy jedyną możliwością opublikowania tekstu jest uprzednie samodzielne wgranie artykułu do serwisu wydawcy przez autora. Za przykłady niech posłużą mi własne próby, nierzadko zakończone niepowodzeniem, wgrania odpowiednio przygotowanego pliku doc. Nie potrafiłem znaleźć błędu, nie pomogła pomoc ekspertów i redakcji. Ostatecznie wgrałem plik w formacie rtf, drugim z akceptowanych przez system zarządzający publikacją. Jak widać, nie tylko chodzi o wymogi redakcyjne, ale i technologiczne, których spełnienie wykracza poza kompetencje wielu pracowników akademickich.

Rozwiązania stosowane w wydawnictwach naukowych przypominają te, które stosują start-upy z innych dziedzin oraz wydawnictwa typu *vanity publishing*. Autor tekstu naukowego staje się prosumentem<sup>38</sup>. Granica pomiędzy producentem i konsumentem zostaje zamazana: naukowiec powinien być autorem, redaktorem, dokonać łamania i składu swojego tekstu. W dodatku, choć zwykle nie musi bezpośrednio płacić za publikację, autor płaci w sposób pośredni, gdyż ponosi koszty jej przygotowania, wykonuje pracę zarezerwowaną kiedyś dla pracowników wydawnictwa i często jest klientem całej konstelacji usług *online* ułatwiających napisanie tekstu naukowego. Odpowiedzią na coraz większe uzależnienie procesu publikowania i tworzenia tekstu akademickiego od interfejsów technologii sieci cyfrowej nie jest uproszczenie procedur, a ich większa technologizacja. Powstają serwisy oferujące zautomatyzowane lub zanonimizowane usługi mające pomagać w tworzeniu tekstów akademickich, często należące do tych samych wielkich wydawców, którzy komplikują proces publikacji. Uczelnie zaś stają się ważnymi klientami takich firm jak Microsoft czy Google. Te ostatnie oferują szereg narzędzi do pisania i porządkowania informacji oraz rozwiązania edukacyjne, które na szeroką skalę wprowadzono w Polsce po wybuchu pandemii. Przeznaczają też duże kwoty na szkolenia i lobbying swoich rozwiązań nie tylko w krajach z dobrze rozwiniętą infrastrukturą informatyczną, lecz także globalnego Południa<sup>39</sup>.

Kalifornijskie wydawnictwo SAGE, jeden ze światowych potentatów, jeśli chodzi o naukowe czasopisma online, oferuje szereg internetowych narzędzi, które mają pomóc w publikowaniu i rozpowszechnianiu artykułów naukowych. Grupuje je w oddzielnym serwisie SAGE Author Services. Opis oferty odnosi się do wyobrażeń opartych na ideologii kalifornijskiej. „SAGE oferuje profesjonalne, kompleksowe wsparcie, abyś zyskał pewność, że Twój następny artykuł badawczy spełnia wymagania dotyczące formatu, języka i stylu. Przygotowując rękopis do publikacji i promocji, pracuj z wykwalifikowanymi ekspertami”<sup>40</sup>. Cyfrowe usługi, które proponuje SAGE AS to: redakcja w języku angielskim, tłumaczenie na język angielski i formatowanie tekstu, sprawdzenie oprogramowaniem antyplagiatowym, przygotowanie ilustracji, a także promowanie artykułu poprzez przekształcenie w bardziej „internetowe” formy<sup>41</sup>. Wszystko to jest poświadczane wystawianymi przez firmę certyfikatami dla autorów. Częścią kalifornizacji praktyk akademickich jest nie tylko nadreprezentacja narzędzi *online*, ale i wyraźne faworyzowanie języka angielskiego. Narzędzia wspomagające praktyki pisania akademickiego to przede wszystkim narzędzia anglojęzyczne: tylko one dają pełen dostęp do tekstów już napisanych i pozwalają w pełni wykorzystywać narzędzia cyfrowe.

Pisanie po angielsku i tłumaczenie na język angielski zostało poddane daleko idącej automatyzacji. Użytkownicy serwisów Google’a mogą korzystać z opartego m.in. na sztucznej inteligencji translatora. SAGE oferuje wspomniane już tłumaczenie z redakcją tekstu. Pojawiają się również bardziej zaawansowane serwisy, dzięki którym pisanie przyjmuje postać hybrydową<sup>42</sup> i cybernetyczną. Ich użytkownik wspomagany jest przez sieć, przez algorytmy, przez nie do końca zdefiniowaną sztuczną inteligencję. Serwisy takie jak Grammarly czy Writefull oferują dodatki do popularnych edytorów tekstu i przeglądarek internetowych, dzięki którym osoba pisząca może na bieżąco dostawać podpowiedzi, mieć sprawdzaną poprawność, a nawet styl.

Korzystając z Grammarly, reklamowanego jako narzędzie uniwersalne dla „ludzi kreatywnych”, możemy ustawić wiele parametrów tekstu: rodzaj odbiorcy, poziom formalizacji, domenę, ton oraz intencję. Trzy ostatnie parametry sugerują, że program będzie podpowiadał, jak dopasować tekst do dziedziny życia, medium, gatunku czy kontekstu (czy to będzie e-mail, tekst akademicki, biznesowy itp.), jak ustalić jego wydźwięk emocjonalny oraz jak zostaną zrozumiane intencje piszącego. Opcja *tone* pozwala wybrać m.in.: *neutral, confident, joyful, optimistic, respectful*. Wystarczy tylko korzystać z generowanych na bieżąco podpowiedzi lub wkleić uprzednio napisany tekst i zaakceptować proponowane zmiany redakcyjne. Writefull, produkt skierowany bezpośrednio do użytkownika akademickiego, oprócz narzędzia sprawdzającego teksty (Writefull Revise) oraz ułatwiającego tworzenie przypisów i bibliografii, oferuje takie narzędzia jak Paraphraser i Title Generator. Paraphraser, który dysponuje trzema poziomami przeredagowania zdania, można uznać za automatyzację kryptoplagiatowania innych tekstów akademickich.

Proces pisania na ekranie w przypadku używania tego typu narzędzi jest sprzęgnięty z nieustannym śledzeniem piszącego przez algorytm, analizowaniem tego, co jest pisane przez tzw. sztuczną inteligencję. Każdy tekst powstaje *online* w sieci innych powiązanych i analizowanych tekstów, w której wszystko jest być może (bo nie znamy sposobów działania algorytmów) ze sobą połączone, tak jak chcieli Bush i Nelson. Sieciowa usługa pomocy w pisaniu i redagowaniu tekstów firmowana przez firmę American Journals Experts, AJE Digital Editing opisywana jest w taki sposób:

Sztuczna inteligencja, która napędza AJE Digital, została przeszkolona na milionach rękopisów z ponad 2000 dziedzin nauki, a każdy rękopis został zredagowany przez jednego z najlepszych profesjonalnych redaktorów na świecie. W przeciwieństwie do naszych konkurentów, którzy szkolą swoją sztuczną inteligencję tylko na dokumentach już zredagowanych, my szkolimy naszą sztuczną inteligencję zarówno na oryginalnych, jak i edytowanych plikach, co pozwala nam na wprowadzanie do 3 razy więcej zmian z ponad 95% dokładnością<sup>43</sup>.

Nie możemy jednak być tego całkowicie pewni, bo kalifornizacja pisania oznacza również brak przejrzystości. Każda usługa jest prywatna, płatna, a jej szczegóły są objęte tajemnicą, często opatentowane.

## Człowiek zastąpiony interfejsem

Hasło Writefull to: *“Boost your academic writing. Boost your academic success. Boost your academic impact”*<sup>44</sup>. Pisanie akademickie zostaje tutaj powiązane z ideologią kalifornijską: umieszczone w kontekście rywalizacji, wydajności i mierzalności, które mają być wzmocnione dzięki algorytmizacji. Firmy pomagające w pisaniu funkcjonują niczym start-upy, nawet jeśli są to prestiżowe akademickie wydawnictwa o długiej tradycji. Ich celem jest maksymalizacja zysku i traktowanie wszystkich stron działalności jako źródeł potencjalnego przychodu finansowego oraz źródeł danych, które można sprzedawać zewnętrznym firmom w ramach kapitalizmu inwigilacji<sup>45</sup>. Być może cyfrowe narzędzia mogą być pomocne i sprawiać (jak sugeruje strona SAGE), że więcej czasu zostaje na badania. Takie spojrzenie wyklucza jednak sam proces pisania, a w każdym razie większą jego część, z praktyk naukowych, „robienia nauki”. Traktowany jest on jako działanie wtórne – pobrzmiwa tu echo koncepcji Busha – co wydaje się problematyczne dla całej nauki, a szczególnie dla humanistyki. Tworzenie tekstów akademickich w tym kontekście uważa się za rodzaj pracy mierzalnej, sparametryzowanej oraz nastawionej przede wszystkim na wydajność, która mylnie, ale zgodnie z zasadami kalifornizacji, utożsamiana jest z kreatywnością. To pomieszanie czy zatarcie znaczenia pisania wynika z opisanej wyżej wiary w pozytywną rolę techniki i próby kwantyfikacji wszelkich praktyk twórczych: choć w naukach o zarządzaniu, inżynierii czy informatyce, podobnie jak w naukach humanistycznych panuje przekonanie, że praktyki kreatywne cechuje niekonwencjonalność i wymykanie się schematom, to jednocześnie nieustannie próbuje się je poddać kwantyfikacji. W rezultacie, nie mogąc mierzyć i digitalizować jakości, mierzy się ilość: liczbę napisanych stron, zgłoszonych patentów, zdobytych punktów, przypisów, słów kluczowych itd.

Piszący nie tylko korzysta z algorytmów, ale zdaje się sam być częścią algorytmu: wykonuje przy pomocy cyfrowych narzędzi zestaw standardowych instrukcji, które mają doprowadzić do opublikowania tekstu. Cyfryzacja pisania akademickiego nie przynosi więc wolności, o której pisał Ted Nelson. Ponieważ wszelkie zaawansowane usługi ułatwiające i automatyzujące akademickie pisanie są odpłatne, mają duży potencjał utrwalania różnorodnych podziałów społecznych i ekonomicznych mocno obecnych w świecie akademickim. Opłaty, osiągalne dla mieszkańców krajów bogatych, badaczek z dużych ośrodków akademickich, dla niezależnych badaczy z globalnego Południa są wykluczające. Redakcja tekstu o objętości od 3 tys. do 6 tys. słów w serwisie SAGE to wydatek minimum 327 dolarów (maksymalnie 700, zależnie od szybkości i dodatkowych opcji), za formatowanie tekstu płaci się dodatkowo 128 dolarów, obsługa antyplagiatowa to kolejne 110. Jeśli zatem badaczka czy badacz zaoszczędzi na tłumaczeniu, ale chce mieć profesjonalnie przygotowany tekst o objętości przeciętnego artykułu naukowego, to musi się liczyć z wydaniem co najmniej 560 dolarów. Subskrypcja usługi Grammarly to z kolei około 30 dolarów miesięcznie.

Zdaniem Barbrooka i Camerona częścią ideologii kalifornijskiej jest wiara w zbawczą moc technologii i jednocześnie ukrywanie jej wykluczającego, dzielącego potencjału poprzez używanie interfejsów wymazujących z pola widzenia i doświadczenia współczesnych „służących”, osób o niższej pozycji społecznej itp. Podobnie funkcjonują interfejsy serwisów wspomagających praktyki cyfrowego pisania akademickiego. Czynniki ludzki jest niewidoczny, wszystko ma się odbywać automatycznie, człowieka zastąpić ma sztuczna inteligencja. Tam, gdzie niezbędna okazuje się praca ludzka, kontakt z człowiekiem ma być zminimalizowany i trudny do odróżnienia od kontaktu z maszyną. Podczas gdy wirtualnym asystentom i botom rozmawiającym z klientami na wielu firmowych stronach internetowych (różnorodnych branż) nadaje się imiona i stara się je antropomorfizować, ukrytym w ich cieniu pracownikom cyfrowego prekariatu odbiera się człowieczeństwo, nadając numery. W SAGE zlecamy korektę i redakcję, wypełniając tabelki online i przesyłając plik. Dane redaktora, czy też zespołu redakcyjnego są nieznane – dostajemy jedynie numer zamówienia oraz plik z poprawkami, których dokonał „Editor”. W Grammarly możemy, oczywiście za odpowiednią opłatą, zlecić korektę i redakcję tekstu człowiekowi tytułowanemu „Writing Expert”. Niczym w popularnych aplikacjach do transportu samochodowego lub zamawiania jedzenia, pracownik jest całkowicie anonimowy, a co za tym idzie całkowicie wymierny. Stanowi on tylko biologiczną część usługi, kontrolowaną przez algorytm i poddaną władzy interfejsu. Cyfrowe narzędzia akademickiego pisania, funkcjonując w taki

sposób, przyczyniają się do powstawania kolejnych prekarnych stanowisk pracy, a co za tym idzie – prekaryzacji samego pisania akademickiego. Nie jest to „wina technologii”, jak chcieliby zapewne technologiczni determiniści, lecz właśnie kalifornizacji praktyk piśmienności akademickiej oraz tworzenia wykluczających interfejsów.

---

## Podsumowanie – cyfrowa kolonizacja akademii

Narzędzia automatyzacji pisania cyfrowego, choć pomagają rozwiązywać wiele problemów, nie sprawiają jednak, że powstanie zdigitalizowanego tekstu naukowego jest łatwiejsze. To samo, co ułatwia – pozornie – proces pisania i tworzenia tekstu naukowego, równocześnie ułatwia tworzenie procedur biurokratycznych, które również mogą zostać zautomatyzowane: od prostych czynności logowania, wylogowania, obsługi różnego rodzaju kont internetowych, uzupełnienia tabel, formatowania, zapamiętywania wersji tekstu, po nadawanie numerów DOI i obsługę serwisów zbierających informacje o publikacjach itp. Pracownikom naukowym przybiera bezsensownej pracy, która w niektórych przypadkach wypiera pracę twórczą<sup>46</sup>. Dotyczy to również pisania tekstów naukowych. Istotną częścią tworzenia publikacji stają się bowiem praktyki typu *uncreative writing* – formatowanie, przeklepanie, generowanie tekstu za pomocą programów do tworzenia bibliografii i najczęściej wyszukiwanych słów<sup>47</sup>. Czynności, które Bush zaliczał do kategorii „myślenia powtarzalnego” i od których sieć połączonych hipertekstowo dokumentów miała nas uwolnić, dzięki automatyzacji uległy zwielokrotnieniu.

Te same zasady organizują działanie różnego rodzaju usług sieciowych, również tych, z których korzystają akademicy. Zacierają się granice między pisaniem naukowym a nienaukowym<sup>48</sup>. Każdy użytkownik internetu dysponuje narzędziami pozwalającymi tworzyć „interfejsy naukowości” (pliki, czasopisma, strony, wpisy w serwisach społecznościowych). Serwisy, takie jak Academia, pełne są bezwartościowych tekstów, duplikatów, fragmentów, a nawet statystyk do złudzenia przypominających te, które znajdziemy w wysoko punktowanych wydawnictwach-portalach (SAGE) i w bardziej godnych zaufania serwisach typu Researchgate. Pojawia się również problem rywalizacji o czas internauty z innymi przedstawicielami „pisania w internecie” – jeśli chodzi o popularyzację, to zarówno głosiciel teorii spiskowych, jak i badacz kultury stoją niemalże na tej samej pozycji, walczą o tego samego użytkownika. Serwis SAGE oferuje nawet usługę przekształcania tekstów naukowych i raportów z badań na „efektywne treści” (co chyba jest najciekawszym tłumaczeniem zwrotu *impactful content*), które trafiają do szerszego grona odbiorców w mediach społecznościowych, czyli wideoabstrakty, dwuminutowe filmiki pełne angażujących widza efektów<sup>49</sup>.

Jeśli przyjrzymy się uważnie przyspieszonej przez pandemię remediacji praktyk akademickich, to możemy zobaczyć, jak głęboko w struktury działań akademickich, w tym pisania, mogą przeniknąć polityki korporacyjne. Akademia została w znacznym stopniu skolonizowana przez cyfrowe korporacje. Cyfrowe praktyki tworzenia tekstów akademickich są coraz częściej modelowane przez narzucane badaczom interfejsy tworzone zgodnie z założeniami ideologii kalifornijskiej. Nie dotyczy to jedynie jednostkowych działań, lecz także wyborów instytucjonalnych. Przykładowo, Uniwersytet Warszawski stał się na większości wydziałów humanistycznych „Uniwersytetem Google’a i Zooma”.

Wyobraźmy sobie, że kampus uniwersytecki został całkowicie „outsourcowany”, że użyję tu sformułowania wziętego z korporacyjno-ekonomicznej nowomowy, czy też, posługując się idiomem neoliberalnym, sprywatyzowany i uelastyczniony. Budynki uniwersyteckie zostały sprzedane i teraz UW płaci zewnętrznej firmie za możliwość korzystania z nich. Nie jest to uciążliwe, ale z czasem może się okazać, że właściciel chce w szpitalu św. Rocha otworzyć Żabkę, a książki z BUW-u zostały kupione wraz z budynkiem, bo tak było korzystniej finansowo, więc faktyczny właściciel ma prawo trzymać je w kartonowych pudłach, a nie na regałach. Sytuacja taka wydaje się z dzisiejszej perspektywy nieprawdopodobna. Kiedy jednak myślimy o narzędziach cyfrowych, taki scenariusz nie wydaje się już niemożliwy. Nie czujemy dyskomfortu z powodu tego, że nasze praktyki akademickie odbywają się w przestrzeni hybrydowej, skolonizowanej przez Dolinę Krzemową. Kiedy prowadzimy zajęcia, jesteśmy przecież jednocześnie w domach i w cyfrowej

przestrzeni Google Meet, Classroomu czy Zooma, czyli w przestrzeni hybrydowej zarządzanej przez wielkie internetowe korporacje. Jest to o tyle łatwe do przyjęcia, że zrobiliśmy to samo z naszą prywatnością pozaakademicką. Nasze teksty, materiały dydaktyczne, maile od dawna są katalogowane, przeszukiwane, „czytane” przez algorytmy Google’a i innych korporacji, których celem jest maksymalizacja zysku dzięki maksymalizacji wiedzy o naszych zachowaniach<sup>50</sup>. Nie jest zbyt dalekie od prawdy stwierdzenie, że już w momencie pisania tekstu akademickiego (co raz częściej w chmurze), wielkie korporacje internetowe znają jego treść, założenia, mają wgląd w notatki, a nawet posiadają swoisty „dziennik” pracy badawczej czy koncepcyjnej.

Przez praktyki, takie jak te opisane powyżej, uniwersytet jest wprzęgany w system zarządzania wiedzą, wykreowany przez organizacje, u których podstaw w dużej mierze leży wiara w neoliberalizm gospodarczy, amerykański libertarianizm, „naturalne” nierówności społeczne i rasowe oraz skrajny determinizm technologiczny; przekonanie, że wszystko można sprowadzić do postaci danych cyfrowych. To właśnie ideologia kalifornijska. Jak zauważają badacze spod znaku *platform studies*, cyfrowe narzędzia nie są neutralne, nie zawierają też jedynie rozumianego esencjalistycznie „przekazu medium”<sup>51</sup>, lecz można je traktować jako wyraz sposobu postrzegania świata przez ich projektantów. Przez postępującą od początku XXI wieku remediację, znacznie przyspieszoną przez pandemię COVID-19, ideologia kalifornijska przekształca nasze praktyki naukowe, w tym tworzenie prac akademickich. Kolonizuje przestrzeń, praktyki, dzieła.

Na zakończenie warto jednak dodać istotne zastrzeżenie. Przedstawione tutaj spojrzenie na praktyki naukowego pisania stawia w centrum problem kalifornizacji jako swoistej cyfrowej korporalizacji i próbuje uwydatnić związane z tym zagrożenia. Nie oznacza to jednak, że cyfryzacji akademii nie towarzyszą zjawiska pozytywne. Na przykład nigdy jeszcze nie było tak łatwo uczestniczyć w międzynarodowych konferencjach i seminariach. Powstaje też wiele oddolnych, społecznościowych inicjatyw, które próbują rozbić cyfrowe oligopole wiedzy. Analiza tych zjawisk nie jest jednak przedmiotem niniejszego artykułu i wymagałaby napisania oddzielnego tekstu.

## PRZYPISY

- 1 Za tradycyjne teksty naukowe uznaję te, które charakterystyczne są dla mediów pisma i druku: artykuły naukowe, monografie itp. Można również sięgnąć do formalnych, biurokratycznych definicji publikacji naukowej np. <https://pbn.nauka.gov.pl/centrum-pomocy/baza-wiedzy/slowniczek-pojec/> (dostęp: 25.02.2022).
- 2 Zob. <https://www.jove.com/journal> (dostęp: 24.02.2022).
- 3 D. Jemielniak, *Socjologia internetu*, Warszawa 2019, s. 115.
- 4 V. Bush, *Jak możemy myśleć*, przeł. R. Chymkowski, I. Kurz, „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2004, nr 1: *Internet*, s. 35.
- 5 R. Harris, *Racjonalność a umysł piśmienny*, przeł. M. Rakoczy, Warszawa 2014, s. 284.
- 6 V. Bush, *Jak możemy myśleć...*, dz. cyt., s. 41.
- 7 Zob. W.J. Ong, *Oralność i piśmienność. Słowo poddane technologii*, przeł. J. Japola, Warszawa 2011.
- 8 T.H. Nelson, *Początki hipertekstu. Wspomnienie*, przeł. I. Kurz, „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2004, nr 1: *Internet*, s. 74.
- 9 Tamże, s. 71.
- 10 Tamże, s. 74.
- 11 *Nosepicking Contests*, „Time”, 06.05.1966, <https://web.archive.org/web/20090102013816/http://www.time.com/time/magazine/article/0,9171,901889-1,00.html> (dostęp: 15.10.2021).
- 12 Zob. A. Anglophone (red.), *Californication and Cultural Imperialism: Baywatch and the Creation of World Culture*, Malibu 1997.
- 13 K. Ohmae, *The Global Logic of Strategic Alliances*, „Harvard Business Review” 1989, March–April, <https://hbr.org/1989/03/the-global-logic-of-strategic-alliances> (dostęp: 15.11.2021).
- 14 R. Barbrook, A. Cameron, *Californian Ideology*, „Mute” 1995, nr 3, <https://www.metamute.org/editorial/articles/californian-ideology> (dostęp: 20.07.2023).
- 15 Zob. M. Szpunar, *Kwantyfikacja rzeczywistości. O nieznośnym imperatywie policzalności wszystkiego*, „Zeszyty Prasoznawcze” 2019, nr 3(239), s. 95–104.



- 16 J. Maliński, *Neoreakcyjny utopizm*, „Sensus Historiae” 2017, nr 1, s. 100.
- 17 W luźny sposób (dlatego w cudzysłowie) nawiązują tu do kategorii wprowadzonej przez Floriana Znanieckiego. Przede wszystkim chodzi mi o uwzględnianie w badaniach, a w opisywanym przypadku w projektach społecznych, punktu widzenia uczestników, „aktorów społecznych”, i zmieniającego się kontekstu.
- 18 Tamże, s. 99.
- 19 R. Barbrook, A. Cameron, *Californian Ideology...*, dz. cyt.
- 20 Tamże.
- 21 J. Zygmuntowski, *O ideologii Doliny Krzemowej*, <https://instytutsprawobywatelskich.pl/o-ideologii-doliny-krzemowej/> (dostęp: 15.11.2021).
- 22 P. Celinski, *Interfejsy. Cyfrowe technologie w komunikowaniu*, Wrocław 2010, s. 10; podkr. w oryginale.
- 23 Tamże, s. 15; podkr. w oryginale.
- 24 Zob. W.H.K. Chun, *Control and Freedom: Power and Paranoia in the Age of Fiber Optics*, Cambridge 2005, s. 27.
- 25 P. Celiński, *Interfejsy...*, dz. cyt., s.15.
- 26 L. Manovich, *Język nowych mediów*, przeł. P. Cypriański, Warszawa 2011, s. 69.
- 27 W.H.K. Chun, *Control and Freedom...*, dz. cyt., s. 27.
- 28 P. Celiński, *Postmedia. Cyfrowy kod i bazy danych*, Lublin 2013, s. 17.
- 29 J.D. Bolter, *Przestrzeń pisma. Komputery, hipertekst i remediacja druku*, przeł. A. Małecka, M. Tabaczyński, Kraków-Bydgoszcz 2014, s. 39.
- 30 P. Celiński, *Postmedia...*, dz. cyt., s. 18.
- 31 Zob. G. Standing, *Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa*, przeł. P. Kaczmarek, M. Karolak, Warszawa 2014, s. 32.
- 32 Archiwum autora.
- 33 S. Zuboff, *Wiek kapitalizmu inwigilacji. Walka o przyszłość ludzkości na nowej granicy władzy*, przeł. A. Unterschultz, Poznań 2020, s. 74.
- 34 Tamże, s. 75.
- 35 M. Kwet, *Digital Colonialism: The Evolution of US Empire*, <https://longreads.tni.org/digital-colonialism-the-evolution-of-us-empire> (dostęp: 15.11.2021).
- 36 S. Zuboff, *Wiek kapitalizmu inwigilacji...*, dz. cyt., s. 75.
- 37 *Search engine optimization i search engine marketing* – ogół działań programistycznych oraz promocyjnych dotyczących pozycjonowania stron internetowych.
- 38 G. Ritzer, *Magiczny świat konsumpcji*, przeł. L. Stawowy, Warszawa 2001, s. 308.
- 39 M. Kwet, *Digital Colonialism...*, dz. cyt.
- 40 <https://uk.sagepub.com/en-gb/eur/sage-author-services> (dostęp: 15.11.2021).
- 41 <https://languageservices.sagepub.com/en/services/infographics.html> (dostęp: 15.11.2021).
- 42 H. Lobin, *Marzenie Engelbarta. Czytanie i pisanie w świecie cyfrowym*, przeł. Ł. Musiał, Warszawa 2017, s. 175.
- 43 <https://www.aje.com/services/digital/> (dostęp: 15.11.2021).
- 44 <https://www.writefull.com/> (dostęp: 15.11.2021).
- 45 Zob. S. Zuboff, *Wiek kapitalizmu inwigilacji...*, dz. cyt., s. 60.
- 46 D. Graeber, *Praca bez sensu. Teoria*, przeł. M. Denderski, Warszawa, s. 107.
- 47 K. Goldsmith, *Uncreative Writing: Managing Language in the Digital Age*, New York 2011.
- 48 Wystarczy spojrzeć na stronę The Flat Earth Society, która przypomina strony poważnych stowarzyszeń naukowych: <https://www.tfes.org/> (dostęp: 10.11.2021).
- 49 <https://languageservices.sagepub.com/en/services/infographics.html> (dostęp: 15.11.2021).
- 50 Zob. pojęcie „nadwyżki behawioralnej”, S. Zuboff, *Wiek kapitalizmu inwigilacji...*, dz. cyt., s. 94.
- 51 Więcej o „przekazie medium” i determinizmie technologicznym, zob. W.J. Ong, *Oralność i piśmienność...*, dz. cyt.; M. McLuhan, *Galaktyka Gutenberga*, przeł. A. Wojtasik, Warszawa 2017; N. Postman, *Zabawić się na śmierć. Dyskurs publiczny w epoce show-businessu*, przeł. L. Niedzielski, Warszawa 2006.

Piotr Cichocki  
Tomasz Rakowski

# Sztuka pisania, doświadczenie etnograficzne. Założenia sprzeciwu wobec akademiocentrycznej humanistyki

**C**elem tego tekstu będzie wskazanie na samoświadomość badawczą i pisarską, która może być konstruowana w antropologii wbrew akademiocentrycznej humanistyce i – nade wszystko – wbrew profesjonalnym zaleceniom by „pisać dużo”. „Jak pisać dużo?” (*How to Write a Lot?*) to tytuł jednego z podręczników dla akademików humanistyczno-społecznych<sup>1</sup>. Druga część tego tytułu nosi znamienity tytuł *Przewodnik produktywnego pisania akademickiego*. Nie zgadzamy się z tym sformułowaniem. I to zdecydowanie.

Ta niezgoda odnosi się do samego procesu twórczego w antropologii i istoty badań etnograficznych. Wyjaśnienie zawarte np. na stronach 82–83 przewodnika – jak pracować ma twórca tekstów i artykułów naukowych, jak budować autorytet od samego początku artykułu – mówi bardzo wiele. „Formuła [pisania pierwszej części artykułu – P.C., T.R.] wygląda następująco: zaznajamiasz czytelników ze swoim problemem badawczym, robisz przegląd związanych z nim badań i teorii, następnie przejrzycie pokazujesz, jak twoje badania rozwiążą ten problem. Czytelnicy podążają w ten sposób wyraźnie wyznaczoną ścieżką, a ponadto pozwala to ustrzec samego piszącego przed skręcaniem w nieistotne obszary”<sup>2</sup>. A zatem, według tego zalecenia, po krótkim wprowadzeniu i uzasadnieniu podjętego tematu zarysowana zostać powinna „scena”, ramy teoretyczne i konflikt między konkurującymi modelami rozumienia jakiegoś zjawiska lub pomiędzy różnymi teoriami. Następnie, czytamy w przewodniku, tekst ma uzasadnić stanowisko twórcy. Autor powinien przy tym wyraźnie zaznaczyć swoją pozycję na scenie i od tego miejsca konsekwentnie przekonywać o wyjątkowości proponowanego rozwiązania. Przedstawić się zatem powinno własne badanie i własną tezę czy hipotezę oraz z pozycji autorytetu wytłumaczyć, dlaczego i jak wypełnia ona lukę w wiedzy. Potem zwykle pojawiają się podrozdziały prezentujące po kolei wyniki badań (tak zwany materiał terenowy), które pozwalają autorowi udowodnić słuszność głównego stwierdzenia precyzyjnie przedstawionego we wstępie. Po części tej następuje zakończenie, konkluzje i finalne powtórzenie tez uargumentowanych materiałem empirycznym.

Wydawałoby się, że to bardzo przejrzysta idea i neutralna konstrukcja. Nic dodać, nic ująć. Co więcej, są to teksty „wytrenowane” w trakcie studiów o określonym akademickim rygorze, zaprojektowane tak, by skłaniać do dyskusji, stawiające przełomową, nowatorską tezę już w pierwszych akapitach, mobilizujących czytelników, a wcześniej recenzentów do przeformułowania wiedzy o świecie społecznym. Czy będzie to ewolucja myśli marksistowskiej w antropologii, czy odkrycie metodologiczne, czy próba wprowadzenia nowej formuły oporu społecznego jako

---

Piotr Cichocki,  
Tomasz Rakowski,  
*Sztuka pisania,  
doświadczenie  
etnograficzne.  
Założenia  
sprzeciwu wobec  
akademiocentrycznej  
humanistyki*,  
„Almanach  
Antropologiczny.  
Communicare” 2024,  
t. 9, s. 128-140.

sprzęgniętego z treściami nacjonalistycznymi, jest to teza stawiająca na baczność i zarazem niosąca ze sobą pytanie, jak to możliwe, że takie przełomowe rozpoznanie powstało dopiero teraz? Powstało, a zatem z pewnością jest znakomite. W języku angielskim istnieje na to szczególne określenie: *groundbreaking*. Jednocześnie ta formuła wskazuje na wytrenowaną niezgodę z dotychczasowymi teoriami, a przełomowość jej polega właśnie na wytknięciu ich błędnych, niedoskonałych wniosków. Na tym tle dopiero nowa, autorska teza ma wprowadzić właściwie rozwiązanie, przełomowe stanowisko. Nas jednak niepokoi, że ta konstrukcja służy przede wszystkim autorowi, by dowiódł swych kompetencji, a w samym centrum tekstu jest nie tyle myśl, temat, ile sam podmiot piszący.

---

## Pisanie a geografie władzy

Proponujemy wprowadzić zwrócenie się w przeciwnym kierunku, ale nie uważamy treningu pisania w trybie „*groundbreaking*” i myślenia w tym duchu za całkowicie niewłaściwe czy mylne. To na nim bazuje cała akademika humanistyczno-społeczna i tak toczy się praca w najlepszych czasopismach. Jest to proces, który obserwujemy już od dłuższego czasu. Jednak okazuje się często, że tekst żyje własnym życiem. Właśnie dzięki temu nowemu życiu tekstu coś może zostać uznane za odnowicielskie i niezwykle.

Ten pierwszy moment powstawania tekstu, jego rzekomo neutralna struktura są kluczowe dla zrozumienia relacji między szeroko pojętymi uwarunkowaniami wytwarzania wiedzy (lub, moglibyśmy powiedzieć, pracy akademickiej) a wiedzą jako taką. Okoliczności powstania obejmują zarówno uwarunkowania ekonomiczne i polityczne uczelni i ośrodków badawczych, jak i ich wzajemne hierarchie, konstruowane za pomocą rankingów i standardów międzynarodowych. Ale wiąże się z tym również to, co jest codziennym uwarunkowaniem pracy, a co możemy rozumieć jako indywidualne doświadczenie wyznaczane tymi strukturalnymi procesami: przeciążenie zadaniami administracyjnymi czy dydaktycznymi, prekaryzację, frustrację, próby sprostania wymaganiom ilościowym, które zaprojektowano tak, by nikt nie mógł ich osiągnąć. Presja bycia *groundbreaking* poprzedza więc korzystanie z wytrenowanych metod, z wypowiedzi „jak pisać dużo i szybko”.

Uwarunkowania te wpisane są w globalną geografie władzy. Jak powiada Syed Alatas, intelektualny imperializm, przejawiający się między innymi jako hegemonizacja standardów retoryki naukowej przez nieliczne ośrodki akademickie, jest jedną z form imperializmu politycznego<sup>3</sup>. Pamiętając o tym, zatrzymajmy się jednak na wycinku życia społecznego, który nas dotyczy – życiu akademickim. Standardy treningu realizują ten rodzaj nauki, który wypracowano w czołowych ośrodkach akademickich. W przypadku antropologii kulturowej i społecznej są to głównie ośrodki brytyjskie i północnoamerykańskie. Ich centralna pozycja, nieprzypadkowo zbieżna z rozkładem władzy politycznej w postkolonialnym świecie<sup>4</sup>, manifestuje się w wielu sferach: uznajemy karierę akademicką za spełnioną, jeśli jej część prowadziła przez jeden z takich ośrodków, czytamy wydawane przez nie książki i czasopisma i dyskutujemy o nich z kolegami i koleżankami z innych, mniejszych uniwersytetów, traktując je jako punkty odniesienia. Bez wątplenia dyskusje prowadzone w centrach akademickich, a także obowiązujące tam standardy retoryki są na wysokim poziomie intelektualnym. Można je szczególnie docenić, jeśli uznajemy je za jeden z rozlicznych możliwych sposobów myślenia naukowego. Niebezpieczeństwo pojawia się jednak, gdy standardy te zaczynają obowiązywać w zróżnicowanych światach akademickich jako rodzaj negatywnej mobilizacji, nakazującej udowadnianie wartości własnej pracy intelektualnej według zewnętrznych kryteriów. Standardy te, gdy uznaje się je za powszechne, oczywiste i neutralne, przenikają nasze sposoby myślenia, teoretyzowania, planowania i marzenia. Scentralizowana globalna akademika, którą wyobrażamy sobie, myśląc o takich ośrodkach jak Oksford, Harvard, Cambridge czy Berkeley, nie istnieje zatem niezależnie, nie jest jakimś naukowym, niemal symbolicznym Parnasem czy Olimpem, ale przekłada się na lokalne napięcia wpływające na praktyki tworzenia wiedzy.

Pierwszy rodzaj napięć wiąże się z lokalnymi tendencjami neoliberalnej etnografii, która domaga się automatycznej zmiany składowych doświadczenia etnograficznego na wartości wymienne (jak choćby komercjalizacji metod lub wniosków), czego konsekwencją jest tryb pracy,

w którym nasze doświadczenie okazuje się przetrawione (*predigested*), zanim zrozumiemy, o co w nim chodzi.

Wiążą się z tym liczne praktyki dyscyplinujące, takie jak raportowanie, parametryzacja czy rozliczanie, przy czym oferowane są od razu sposoby automatyzacji, procedury wskazujące, jak spełnić wymagania podmiotów dyscyplinujących. Polega to na aplikowaniu metod przyspieszenia, ułatwienia, ujednolicenia pracy etnograficznej. Neoliberalna etnografia produkuje zatem wytrychy i procedury podpowiadające, jak pisać dużo i szybko. Stanowią one środek przyspieszenia pracy i jednocześnie prowadzą do daleko idącej standaryzacji myślenia, wszystko w celu dostosowania do rytmu i zwrócenia się w kierunku akademickich centrów. Narzuca to przyspieszony rytm rozliczeń i ewaluacji sprzeczny z asynchronicznymi, nieprzewidywalnymi rytmemi tworzenia się wiedzy.

Nie jest to jednak jedyny rodzaj napięcia, które towarzyszy nam w codziennej pracy (doświadczenia, myślenia, pisania) nad tekstami. Równie niebezpieczne może okazać się bowiem rozwijanie takich sposobów myślenia, które nie opierają się na problematyzującej dyskusji, ale, przeciwnie, wspierają projekty sakralizacji określonych pojęć czy instytucji. Przykładem może być zaangażowanie akademii w centralizację dyskursów narodowych lub religijnych, przystawanie uczonych na wyznaczane im odgórnie role w projekcie polityki tożsamościowej. Nazywając rzeczy po imieniu – funkcjonujemy obecnie w takich warunkach i chociaż nie jest to odczuwalne na wyspecjalizowanych seminariach naukowych, w zaawansowanych projektach badawczych i w najciekawszych dyskusjach, nie możemy lekceważyć tej postępującej erozji krytycznego myślenia. Tu również ujawnia się rodzaj pisania akademickiego, którego chcielibyśmy uniknąć – nie nastawionego na sprawność, szybkość i efektywność<sup>5</sup>, jak w przypadku neoliberalnej etnografii, ale na pompę, frazesy i podtrzymywanie neo-feudalnych, lokalnych struktur. Przede wszystkim jednak taki rodzaj pisania pozostaje nieświadomy świata, w którym funkcjonuje.

„Droga etnografa” prowadzi nie tylko od doświadczenia terenowego do publikacji tekstu<sup>6</sup>, ale meandruje między potężnymi siłami, dominującymi ogromne obszary życia społecznego. By dobrze wykonywać naszą pracę, potrzebujemy opanować praktykę wymykania się. Dążymy zatem do takich sposobów pisania, które umożliwią ucieczkę od podporządkowujących dyskursów, narzucających wraz z narracją bardzo niepokojące, kolonialne, pełne przemocy praktyki. Etnografia nie bez powodu bywa uważana za strategię niezdominowanych, przywodzącą na myśl mitycznego pająka Anansi, który „tryumfuje [...] w konfrontacji z większymi i silniejszymi [...] dzięki swojej fantazji i odwadze”<sup>7</sup>. Oznacza to między innymi konieczność problematyzacji myślenia o tekście naukowym w kategoriach innych niż te zaproponowane przez wielkie organizacje, o których wyżej wspomnieliśmy. Kiedy udaje się ominąć dyscyplinujące sposoby praktykowania akademickiej nauki, kiedy pytamy o sens pisania szybko i dużo, otwiera się przestrzeń, w której „sztuka pisania”, „warsztat i eksperyment” zastępują rygor neoliberalnej naukowości. Do zrozumienia tych sposobów pisania i rozumowania, które ujawniają się dzięki doświadczeniu etnograficznemu, a nie zastosowaniu (*predigested*) procedur, nie prowadzi opracowanie kolejnego zestawu procedur. Otwiera się bowiem przestrzeń korespondencji z innymi sposobami myślenia niż te w kategoriach zdobyczy punktowej, indywidualnego czy instytucjonalnego prestiżu oraz wspierania nowych mechanizmów neoliberalnej akademii z jej przyspieszonym tempem pracy.

---

## **Eksperyment pisarski**

Prowadzony przez nas w okresie późnego lockdownu cykl spotkań dla doktorantów i studentów Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej<sup>8</sup> stał się okazją do kolektywnego eksperymentowania z tworzeniem wiedzy, wychodzącego od kontestacji przedstawionego wyżej treningu. Nasz eksperyment proponował otwarcie się na różne sposoby konceptualizowania tego, czym jest proces pisania, jeśli zostaje uwolniony od rygorów efektywności i wymogu bycia przełomowym. Spajając tekstem badawczą praktykę i reprezentację, próbowaliśmy takich wariantów działania i wyobraźni, które jednocześnie napędzały proces pisania i go rekonceptualizowały. Wypróbowaliśmy różnorodne dyspozycje, artykułowane w formie pytań, i sprawdziliśmy, jak wpływają one na konstruowanie tekstu. Sprawdzaliśmy, czy i w jakim stopniu pisanie jest ruchem, w który wprawia się osoba pisząca, ale również czytelnik przeprowadzony

od wstępu w niespodziewane przez siebie miejsce zaznaczone ostatnimi słowami tekstu. Czy i w jakim stopniu warsztat pisarski jest jak stół montażowy, który pozwala wprawić czytających i piszących w stan szoku, umożliwiając rozbijające zdroworozsądkową spójność zestawienia doświadczeń, postaci czy myśli? Czy słowo może działać podobnie jak maszyna liofilizacyjna, konserwując drobiny doświadczenia, które w otoczeniu nowych znaczeń w tekście rozwijają się, przywracając z całą mocą przeszłe, czy nawet cudze doświadczenie? Jaka jest wzajemna relacja słowa i obrazu, jak porównać kreskę szybko wykonanego szkicu z sąsiadującym z nią w notatniku badawczym słowem? Czy możemy wyobrażać sobie tekst jako formę muzyczną, na przykład zbiorową improwizację, w której temat prowadzi do rozwijających dźwiękową materię modyfikacji, finalnie odbiegając od początkowego tematu, lub fugę składającą się z przekształceń głównego motywu tak, że za każdym razem ujawnia się on na inny sposób? Generalizując te dwa powyższe pytania – w jaki sposób tekst pozwala na przechodzenie między porządkami zmysłowymi lub też, w jaki sposób doświadczenia dotyku, smaku, słyszenia, widzenia, wachania i bycia we własnym ciele wprawiają w ruch akademicką wyobraźnię pisarską? Czy możemy doświadczać tekstu jako upływu czasu i jego rejestracji? Jak nowe technologie wpływają na relację pomiędzy doświadczeniem a tekstem?<sup>9</sup> W jaki sposób tekst pozwala nam przyjmować różne role i odnajdywać własny, naukowy głos? Wreszcie, w jaki sposób uczynić pisanie praktyką kolektywną, przestrzenią wspólnego wytwarzania wiedzy?

Wielość tropów, jakie odsłaniały się w trakcie wspólnej, eksperymentalnej pracy, stanowiła dowód na generatywny charakter konstruowania tekstu. Wskazywała na głębokie powiązanie praktyki pisania z nieprzewidywalnymi i bogatymi pokładami doświadczenia etnograficznego. Ta łączność między słowem a doświadczeniem bycia sobą i bycia badaczem w określonej przestrzeni, czy to swojego życia codziennego, czy materialnego lub wirtualnego terenu badań, wykluczała zdanie się na wytrenowane rozwiązania konstrukcyjne, retoryczne i poetyckie. Przeciwnie, relacja ta zmuszała do refleksyjnego i w pełni twórczego próbowania różnych rejestrów, metod, ujęć, które w unikalny sposób prowadzą od miejsca badań do miejsca czytania.

Centralnym punktem naszych spotkań stał się generatywny eksperyment polegający na wspólnym wytwarzaniu tekstu na zasadzie mozaiki. Każda osoba uczestnicząca w eksperymencie stworzyła fragment tekstu wychodzący od jednego motywu. Na dalszym etapie pracy teksty te zostały połączone, składając się w polifoniczną, naładowaną etnograficznym znaczeniem wiązkę narracji.

Motywy przewodnim pisarskiego współdziałania był dla nas losowo wybrany fragment wywiadu przeprowadzonego przez Julię Kunikowską podczas jej badań w warszawskiej dzielnicy Wolica. Wylosowaliśmy go spośród cytatów z wywiadów wykonanych przez osoby uczestniczące w spotkaniach. Przypadek zdecydował, że zaczęliśmy od historii opowiedzianej przez jej rozmówcę – starszego mężczyznę, który, siedząc przy spiżarni na podwórzu swojego domu, wskazał na stertę cegieł. „Pamiętają więcej, niż ja. [...] Niech leżą. Może się kiedyś przydadzą. A może nie. Ale są nasze.” – skonstatował. Cegły okazały się drogowskazem odsyłającym w stronę wspomnień o dzielnicy, w której bliskim sąsiedztwie wyrosły bloki Ursynowa. Docierając do lat wojny i okupacji, rozmówca mimowolnie przywołał niemal anonimową postać „wypędzonego”, chłopca, który uciekł z sąsiedniej zniszczonej wsi i został przygarnięty przez rodziców rozmówcy. W rozmowie tej otwierały się więc kolejne warstwy pamięci.

**Julia Kunikowska:** *A to?*

**Pan Czesław:** A tu jest sterta cegieł. Nie wiem, czy warto o nich mówić. Możemy iść dalej. Chyba że chce pani posłuchać?

*Pewnie. Niech pan powie, co to za cegły?*

A to z naszej piwniczki, stare, wymienialiśmy je, bo były w kiepskim stanie.

*A kto wybudował tę piwniczkę?*

Dziadek. Do składowania jedzenia. Wie pani, taka jakby lodówka. Do dziś wrzucamy tam ziemniaki, warzywa różne. Ale i do innych rzeczy się przydała, zwłaszcza w czasie wojny.

*To znaczy?*

Ano ukrywaliśmy się, jak były naloty. U Sakowskiego była bateria niemiecka, to i do naszego ogródka czasem coś trafiło.

*Ile osób tam się mieściło?*

No, wszyscy. Sześć osób.

*Sześć? Mówił pan, że miał dwóch braci.*

Sześć, ja, Henio, Wiesio, mama, tata i Wypędzony.

*Wypędzony?*

Tak, chłopak z Kabat.

*Z Kabat?*

Tak, ten, którego Niemcy znaleźli na Kabatach i dali nam do wychowania.

Nie mówiłem pani?

*Nie.*

Był taki chłopiec. Mieszkał u nas.

*A jak miał na imię? Skąd był?*

Nie wiadomo. Z Kabat. To znaczy nie stąd, pewnie z północy, albo północnego wschodu, ale myśmy mówili na niego Wypędzony. Gdzieś mam nawet jego zdjęcie. Pokażę pani. Ale o tej piwniczce rozmawialiśmy teraz. No. Piwniczka do dziś nam służy. Mogę pani ją później pokazać.

*I te cegły, które tu leżą, są z tej piwniczki?*

Tak. Pamiętają więcej, niż ja.

*I nie wyrzuci ich pan?*

Nie, w życiu! Kim bym musiał być, żeby je wyrzucić. Przecież to mój dziadek je kładł. Niech leżą. Może się kiedyś przydadzą. A może nie. Ale są nasze<sup>10</sup>.

Ten mały fragment zaczął rozwijać się w toku naszej pracy w wielu kierunkach jednocześnie, ujawniając generatywny charakter wiedzy etnograficznej, a także kumulatywność doświadczeń, nawet tych oddzielonych od siebie w czasie i przestrzeni.

W sensie praktycznym chodziło też o to, by wejść wewnątrz, w proces pisania, trochę na zasadzie sztafety literackiej, działania typu: dostaję fragment – piszę dalej – i przekazuję dalej, do drugiej osoby, do dalszego pisania. Opowieść o ceglach i piwniczce miała jedynie znaleźć się w „ośrodku krystalizacji” tekstu. Tylko jak to zrobić? Jak precyzyjnie wskazać to, co zasilą kształt pisanego? Jest to bardzo trudne do uchwycenia. W pisaniu następuje moment, kiedy czytanie notatek, wywiadów, wszelkich świadectw i zapisów z terenów badań, studiowanie zapisów dźwiękowych, zdjęć, filmów, przedmiotów, gier, ulotek i map osiąga taki poziom nagromadzenia, taką kumulację pamięci i pojmowania, że nagle wchodzi się w proces pisania. Wówczas media rozumienia ulegają przemianom. Ten moment, kiedy niewyartykułowana jeszcze wiedza zaczyna „bulgotać” i powoli się przeobraża, jest też zasilany przez różne zaawansowane procesy, w których autorzy i autorki przechodzą kolejne etapy rozumienia. To np. następujący ciąg ogniw: narodziny przedmiotu poznania, zapisane pierwsze materiały, rozwijanie materiałów w prozę akademicką, tworzenie języka empiryczno-teoretycznego, tworzenie pełnej narracji ze świadomością całości istniejącego tekstu.

Mamy więc do czynienia z mechanizmem wyłaniania się tekstu, na który składają się kolejne etapy działań i przekształceń. Do pisania, które zaprzęga wyobraźnię i przebudowuje piszącego, tak jak czyni to teatr wewnętrzny (droga wewnętrzna, ciąg przemian w indywidualnym u Nigela Rapporta<sup>11</sup> czy przemian rytualno-teatralnych w protoindywidualnym u Kenelma Burridge’a<sup>12</sup>), włączają się także inne obrazy, narracje, często inne prace, teksty. Otoczyliśmy się więc obrazami literackimi, winietami antropologicznymi po to, by wydobyć własne teksty, czyli skumulować pewną energię wyjściową. Przypomina to sytuację przed startem samolotu: wzmocnienie obrotów silnika do tego stopnia, że w pewnym momencie samolot jest w stanie ruszyć gwałtownie, przyspieszać, w końcu wystartować. Podczas naszego eksperymentu czytaliśmy więc na głos fragmenty literackich esejów, opowieści, na przykład fragmenty eseju *Znak wodny* Josifa Brodskiego, oko-wodnej narracji – wody pluskającej, wodorostów, sieci, uliczek, kanałów Wenecji: „[p]o jakimś czasie – w trzecim, czwartym dniu pobytu – ciało zaczyna traktować samo siebie jako zaledwie środek transportu dla oka, jako coś w rodzaju łodzi podwodnej dla jego to wybałuszającego się, to mrużącego peryskopu. Rzecz jasna, choć łódź podwodna ma tyle różnych celów, jej eksplozje kierują się niezmiennie przeciw niej samej: tonie nasze serce, czy raczej umysł – oko zawsze wyskakuje na powierzchnię. [...] Trafniejszą metaforą mogłoby być: oko sieci, która zaczęła się o zmarzłe wodorosty”<sup>13</sup>.

Na zajęciach stosowaliśmy zasadę Tima Ingolda „*anthropology back to front*”, to znaczy chcieliśmy eksperymentować naraz z wiedzą – materiałem i treścią interpretacji i rozumienia. W pisarskim współdziałaniu tworzyliśmy jakby „latawce”, unoszące się nad nami, niczym w warsztacie Ewy Klekot, inspirowanym pracami Ingolda, w którym nieznanym sobie wcześniej osoby wspólnie robiły niewielkie latawce i testowały ich zdolności unoszenia się w strugach wiatru<sup>14</sup>. W tym przypadku chodziło o zaawansowaną interpretację materiału, która już od samego początku „unosiłaby” pisany tekst i związany z nim materiał etnograficzny. Prezentowaliśmy więc całe wycinki narracji literackiej, dyskutowaliśmy o wystawach w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej, spektaklach teatralnych i performansach w przestrzeniach publicznych. Poszukiwaliśmy gęstych opisów przenikających interpretacją całe kompleksy materiału. Takim opisem była scena z książki Sławoja Szynkiewicza<sup>15</sup>: oto jurta mongolska na obrzeżach powiatowego miasta, gdzie przychodzą sąsiedzi, krewni, znajomi i przypadkowi przyjezdni posiedzieć chwilę, wypić herbatę, przepakować zakupy, porozmawiać o zwykłych codziennych sprawach. Stopniowo te wszystkie strumienie zasilały proces pisania, formowały załączki tekstu, co przypominało wyrabianie i wyrastanie ciasta. Obserwowaliśmy wyraźnie, jak uruchamiały się tropy narracyjne, takie jak metafora, synekdocha, funkcjonalna całość, ironia<sup>16</sup>, ale też nostalgia, monolog wewnętrzny czy romantyczna narracja pragnienia. Nie były one jednak odnajdywanymi i krytykowanymi nieuchwytnymi ośniami myślenia, ale raczej używanymi dosyć spontanicznie narzędziami rozumienia i pisania. Proces rozwijał się stopniowo, od osoby do osoby, a rozpoczynał się zwykle wspólnym słuchaniem uspokajającej muzyki, wprowadzanej w naszą przestrzeń słuchową przez Piotra Cichockiego<sup>17</sup>. Tekst płynął stopniowo, tak jak woda w eseju Brodskiego. W ciągu kilku spotkań powstawały odłamki tekstów. Pisane były skokowo i szybko, ale motywowane innym rodzajem szybkości, opartej raczej na intuicji, a nie interesowności. Fragmenty przygotowane przez uczestników spajał motyw cegieł, a i sam złożony z odłamków tekst przybrał formę muru zestawionego z heterogenicznych części. Podobnie jak plan oddolnej budowy zestaw stanowił całość z założenia otwartą, niekompletną i sugerującą potencjalność wielu znaczeń.

---

## Cegły z Wolicy

Wystartowaliśmy więc, losowo wychodząc od cegieł i piwniczki. Pisaliśmy szybko, cytując też inne teksty. Notatka Julii:

Budowaliśmy z cegieł. Budowaliśmy historię chłopca z Kabat i pana Czesława, historię Ursynowa i Wilanowa. Kilku cegieł brakowało. Pozostały dziury, luki.

Rozmawiając z panem Czesławem, a była to nasz pierwsza konwersacja, próbowałam dopasować znalezione w ogrodzie cegły do istniejącej od lat konstrukcji. Wspólnie szukaliśmy spoiwa. Wątki rwały się. Niektóre cegły pozostały tam, gdzie dawniej, nieruszone. Czy zostaną ponownie użyte? Nie wiem. Historia sąsiadów Wysockich była powoli uzupełniana historiami osób, które przez lata dołożyły swoje cegłówki do dziejów rodziny. Moim zadaniem było nie pośpieszać, a obserwować, jak zaczyna wyłaniać się projekt. Projekt? Czyj? Rozmówcy i mój. Każde z nas przystąpiło bowiem do rozmowy z jakimś obrazem siebie i rozmówcy. Oboje od niego odbiegaliśmy, mniej lub bardziej świadomie. Wychodziliśmy poza nasze wewnętrzne rysunki techniczne i przez lata strzeżone granice parceli. Powoli w Wolicy powstawał nowy budynek, budynek wspomnień.

Kolejny głos, którego autorem był Tomasz Rakowski:

Polska jest krajem pomników, zauważył Andrzej Mencwel, w książce *Toast na progu*. Jest krajem wodzów na ogół przegranych bitew, pomordowanych

ludzi i tak dalej. Nie ma zgola miejsca na inny pomnik<sup>18</sup>. Cegły z Wolicy, z piwniczki, gdzie ludzie przeżyli wojenne ostrzały, poukładane jedna na drugiej mogłyby być, jak najbardziej, pomnikiem, tyle że tym innym pomnikiem, takim – jak pisał zresztą dalej Mencwel – w swej wymowie „pozytywistycznym”. Dlaczego pozytywistycznym? To być może wstęp do socjalistycznej szybkiej budowy, też (stalinowskiej) modernizacji, która nadeszła po wojnie i okresie powojnia. Budowy na wyścigi, byle szybciej. „Podaj cegłę!” – to przecież hasło z plakatów z lat 50. Jednocześnie to jednak historia powojnia i „rozsyпки”, nowych przedmiotów, trwogi, niestabilności. „Kup Pan cegłę” można było przecież usłyszeć w warszawskich załomach i bynajmniej nie chodziło o transakcję kupna-sprzedaży.

Na szczęście można trochę to zmienić, odwrócić się od tego mechanizmu, unieważnić go sprytnym ruchem, choć na chwilę – choć problemy społeczne i „trudna przeszłość” od tego nie znikną. Ale można je sprytnie przechwycić, pokonać albo przejść dalej.

Po przekazaniu pióra (klawiatury), tekst płynął dalej.

Przydomowa spiżarnia była niegdyś obowiązkowym elementem wiejskiego podwórka. Nigdy nie byłam w środku takiej piwniczki, ale wyobrażam ją sobie jako zimną i ciemną – idealne miejsce do przechowywania plonów – przerażające miejsce dla człowieka, który boi się ciasnych pomieszczeń. Jak nie ulec panice i zejść do środka, pozostawiając za plecami słoneczny dzień, zapach lata?

Kolejny fragment w sztafecie:

Rzuć cegłą, podaj cegłę. Cegły są w loftach, cegły są w ruinach. Lodówka w kształcie cegły. Spiżarnia kojarzy mi się bardziej z dołem wykopanym w ziemi albo dodatkowym pomieszczeniem. O ile zimniej jest w lodówce niż w takiej ceglanej przydomowej spiżarni? Wydaje się, że te dwie rzeczy są pod tym względem nieporównywalne – tym bardziej latem. Jedno jest pewne, im więcej cegieł w ścianie, tym zimniej. Może zamiast obierać piwniczkę ze starych cegieł, będą dodawać tylko nowe cegły?

Następna osoba:

Ceglane ściany, niegdyś zasłaniające piersi, chroniące życie, marzenia, dziś chronią żołądek przed zepsutym jedzeniem. O czym myślałeś, Wygnany, kiedy stałeś w zimnej komórce obok ludzi nie-z-Kabat? Co czułeś, kiedy słyszałeś nadlatujące samoloty, a zapach pyłu, przedzierający przez pory czerwonej cegły, świdrował ci nozdrza? A może była tam jakaś plama światła, za którą mogłeś podążać wzrokiem, jak za marzeniami o tym, że kiedyś TEGO już nie będzie. Że komórka będzie zwykłą komórką na żywność, z niezwykłą historią, która więcej się nie powtórzy.

I dalej:

W 1944 roku w piwniczce spożywczej, obok której rozmawiałam z panem Czesławem, cała rodzina skryła się przed ostrzałem artyleryjskim, celującym w baterię niemiecką, umieszczoną w ogródku sąsiada Sadowskiego. Przypuszczam, że piwniczka ta wcześniej i później była idealną kryjówką dziecięcych zabaw pana Czesława. Obserwując codzienne czynności na podwórkach starszych mieszkańców Wolicy, zaczęłam zdawać sobie spra-



wę, ile przeszłych działań, praktyk i znaczeń zawierały spiętrzone drobne przedmioty, takie jak zrzucone w stertę przy piwniczce cegły. Wolica taka, jak ją widziałam podczas badawczych spacerów, stanowiła mikrokosmos tych zgromadzonych obiektów. Jednakże wielość afektów, które ta materialna tkanka wywoływała, dotyczyła doświadczenia ukorzenionych we wsi mieszkańców. Dom pradziadka, cegły ciotki, studnia ojca, resztki płotu sąsiada, działka Iksińskich, na której stoi teraz wybudowana pod koniec lat dziewięćdziesiątych willa ludzi z Warszawy.

Potem część dodana przez Piotra Cichockiego:

„Na podstawie artykułu 1. ustępu 8 ustawy z dnia 4 lutego 1950 roku o dokonywaniu zmian podziału administracyjnego Państwa zarządza się, co następuje: do miasta stołecznego Warszawy włącza się z powiatu i województwa warszawskiego obszary: miasta Włochy, gmin Okęcie i Wilanów, gminy Bródno, gminy Wawer...”<sup>19</sup>. Uchwała nie zatrzymuje się na mapie. Jak powiada James Scott, mapa „sprzężona z władzą nowoczesnego państwa pozwala przekształcać rzeczywistość, którą przedstawia”<sup>20</sup>. Po przesunięciu linii granicznej stolicy ogromne obszary do zabudowania i wykorzystania przemysłowego muszą nasycić głód ziemi i marzeń o odbudowanej stolicy i potężnym państwie. Nasi ludzie głodowali, cierpieli chłód i poniżenie, ale teraz wybudujemy im nowe domy, damy pracę – wiele osób głosujących za tą uchwałą mogło w taki sposób myśleć.

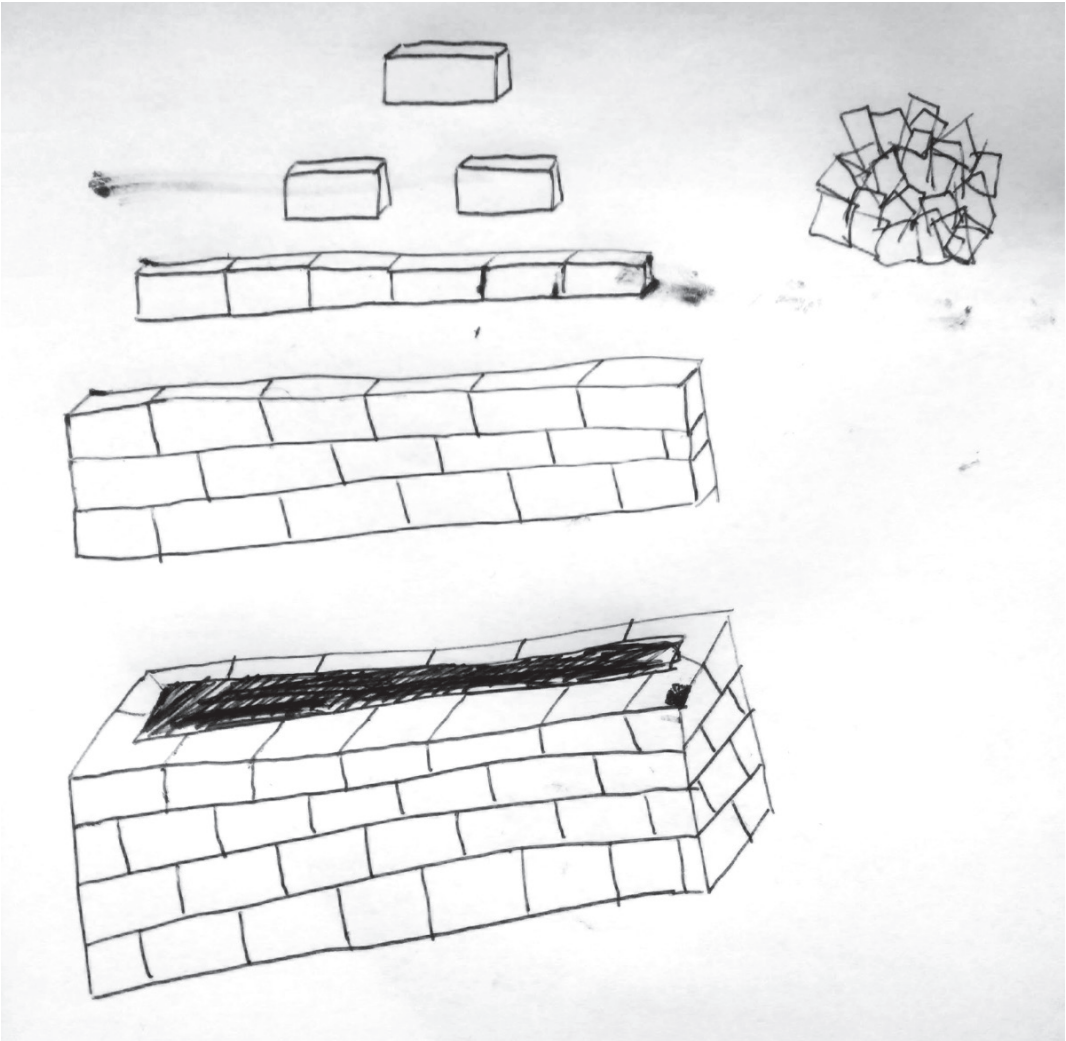
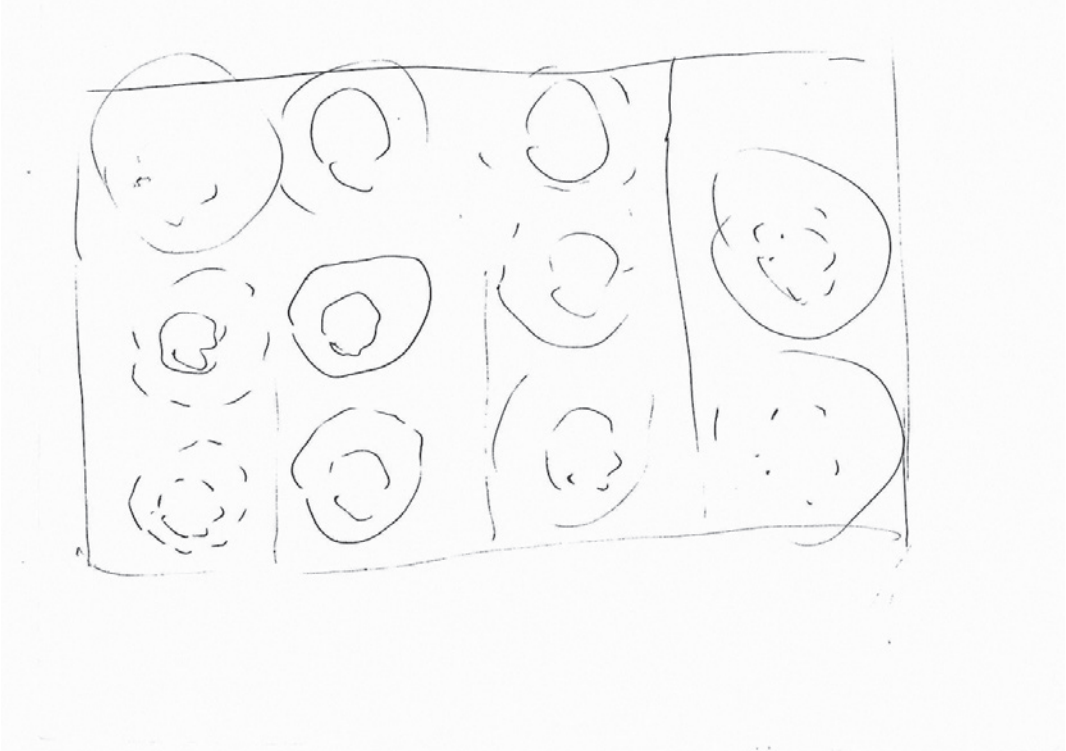
Jest więc środowisko codziennego życia Woliczan, a z drugiej strony pole władzy, nie tyle konkretnego ciała przyjmującego rozporządzenie, ile raczej jej różnych, zmieniających się w czasie materializacji. Zamierzam ukazać, jak te dwie przestrzenie praktyk stykają się i co wynika z tego spotkania – dla mieszkańców tego konkretnego miejsca i dla władzy.

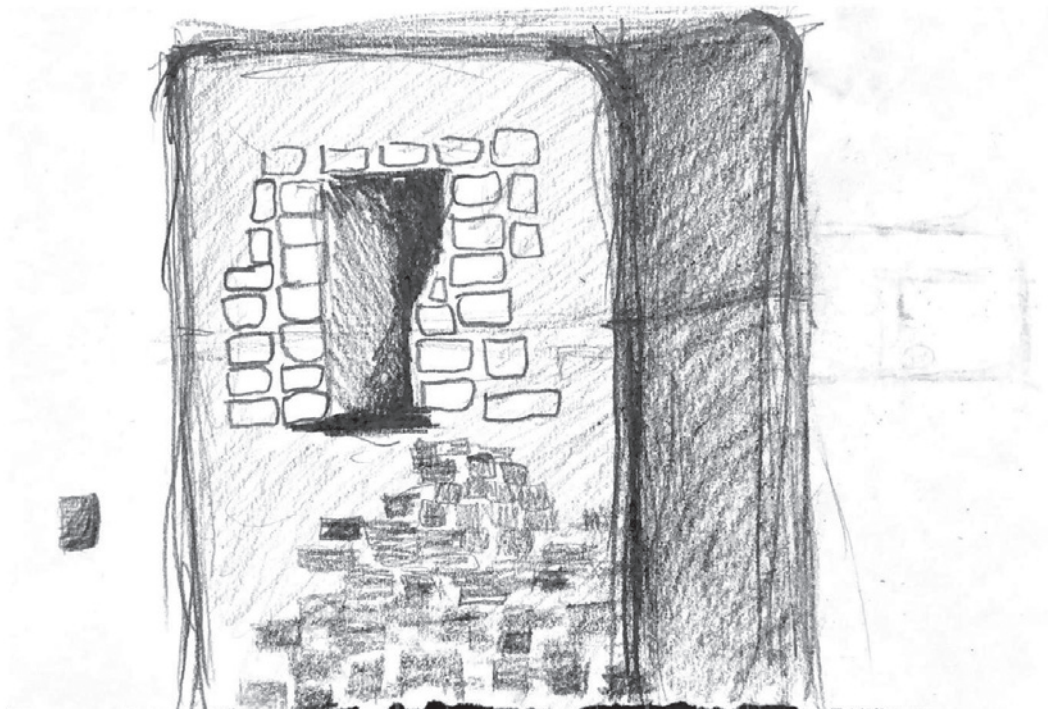
I na koniec, niby drobny fragment cegły:

Uchodźczyńni, wypędzony. Ludzie bez imion i nazwisk, ludzie procesy, zjawiska, obrazy.

W pewnym momencie zaczęliśmy coraz bardziej świadomie używać metafory i modelu myślenia interpretującego, posługując się narzędziami związanymi z interaktywnym, reagującym rysunkiem. Rysunek w terenie badań, jak pokazuje Karina Kuschnir<sup>21</sup>, daje powolny, relacyjny wgląd w to, co rysujemy. Aby narysować coś, jest się zmuszonym nadać sens temu, co jest widoczne i zauważalne. Słynne „przysięgam, że to widziałem”, Michaela Taussiga<sup>22</sup> jest w tym sensie próbą naszkicowania ujranej w mgnieniu oka sceny: dwójki bezdomnych osób – pary ludzi, którzy, chroniąc się przed napaścią, ułożyli się do snu na wysepce drogowej, na dwupasmowej jezdni w mieście w Kolumbii. W innym przypadku jeden z etnografów, szkicując przewrócony plastikowy kosz przy posłaniu osoby bezdomnej, zauważył dopiero, że nie jest to po prostu przewrócony kosz, ale rodzaj precyzyjnie zapełnionej szafki. Rysunek wiedzie zatem do wewnątrz rozumienia i zarazem – jak się często okazuje – też do innej relacji z ludźmi, z którymi rozmawiamy i przebywamy.

Rysunek jednak to także czynność, w której ujawnia się po prostu sam proces pisania. Zaczęliśmy zatem rysować cegły, piwniczkę, całe zdarzenie. Powstał tak obraz słoików z warzywami i owocami zanurzonymi w konserwującej zalewie, umożliwiającej przecież przetrwanie (preparatu) w czasie. W każdym z nich widzieliśmy drobinki przeszłych doświadczeń, które opisała Julia Kunikowska. Powstał rysunek drewnianej ramy ze słoikami widzianymi od góry, gdzie każdy słoik zawierał inne sensory tego, co się stało, kiedy ci ludzie byli tam razem wiele dni zamknięci. Powstawały rysunki całej piwniczki i sterty tych starych cegieł tuż obok, jako możliwa ekwiwalencja: pierwowzór pamięci i jej znaki/pozostałości.





To jednak było możliwie dzięki jednoczesnym ćwiczeniom z rysunku – nie tyle z techniki i sprawności w jego wykonywaniu, ile w rysunku jako formie rozumienia. Sięgaliśmy wówczas do ćwiczeń zaproponowanych przez Maję Starakiewicz i Jakuba Woynarowskiego w czasie ich warsztatów wizualnego i werbalnego metaforyzowania, opisanych w książce *Model i metafora. Komunikacja wizualna w humanistyce*<sup>23</sup>. Powtarzaliśmy zatem niektóre ćwiczenia z tych warsztatów, ćwiczenia, gdzie zadaniem było narysowanie hasła „noc, dzień” (jak narysować granicę?), wczoraj, teraz, jutro (co jest w centrum, najważniejsze?), czy w końcu – „od pizzy do *pad thai*” (cały świat ma pierwotnie imigranckie potrawy, które weszły do kanonu, jak to się dokonuje?). Przy tym ostatnim hasle przysłuchujący się zajęciom on-line prowadzonym z domu syn Tomasz Rakowski, czyli Stasiek Rakowski, wtedy maturzysta, narysował szybko gęstą kolejkę i zgromadzenie ludzi różnych nacji i etnosów, czyli kolejkę do checkpointu na Ellis Island, na wodach Nowego Jorku, gdzie oczekujący migranci zaczynali, siłą rzeczy, upowszechniać już później swoje „wygodne potrawy” (np. steki hamburskie, zwane później hamburgerami).

W ten sposób stało się jasne, że metafora wizualna dotyka procesu rozumienia i nadawania kształtu myślom. Zaczęliśmy praktykować rysowanie-myslenie, rysowanie-rozumienie. Podobnie pisanie w naszym ćwiczeniu miało stać się pisaniem za pomocą rozumienia, metaforyzowania, eksperymentowania, samo-edukowania w całym tego słowa znaczeniu.

---

### Poza to, co znane

Ujęcie, które dzięki wyżej opisanemu procesowi wytworzyło się jako propozycja techniki pisania, zawiesza konieczność stawiania sobie oczekiwań co do ostatecznego efektu tekstu, choć to przecież ważne, czy tekst stanie się wpływowy, czy nie, czy odmieni doświadczenia innych. Uważamy jednak, że efekt finalny pisania nie musi przybierać formy wiedzy tworzonej ze względu na finalny kształt, skuteczność, klarowność i przełomowość. Pisaniu towarzyszy od początku bowiem coś innego. Mówią o tym Morten Nielsen i Nigel Rapport we wprowadzeniu do zbioru *The Composition of Anthropology*<sup>24</sup>. W pisaniu antropologicznym, twierdzą, kluczowym momentem jest przebudowanie materiału, przejście od jego obecności w głowach i zarazem notatkach oraz wszelkich innych źródłach piszących do czegoś, co ma formę tekstu. Jak określić jednak to, co ma formę tekstu antropologicznego? Jego zawartość to nic innego jak świadectwo i zarazem pochodna przejścia z jednego stanu istnienia do drugiego stanu i jednocześnie przebudowa jednego źródła w wyraźnie inny zapis wiedzy czy też zapis doświadczenia. Moment przejścia nie dokonuje się jednak samoczynnie, nie jest niczym technicznym ani tym bardziej mechanicznym. W tekście zachodzi proces przebudowy w kilku sensach i dlatego też nie jest on jedynie formą argumentacji i prezentacji materiału. Istnieje zatem jako początkowy materiał, z którym następnie coś się dzieje. W efekcie pojawi się już jednak coś zupełnie innego.

Pozostaje ono jednak w ścisłym związku z materiałem, wiedzą, faktami zdarzeniowymi, jest wobec nich lojalne i wciąż pozwala się weryfikować. Jednocześnie wykonywany jest skok w stronę nowego sensu. Właściwie skok w stronę momentu wolności – momentu „zrodzenia się” czegoś na kształt tekstu. To rodzaj przemiany znaczenia, w dużej mierze wynikającego z doświadczenia i uczestniczenia w tym, co się zdarzyło jakby jeszcze raz, choć nie po tym wydarzeniu (w sensie czasowym), a także nie w logicznym sensie formuły *a posteriori*. Pisanie powoduje więc ponowne wstrząśnięcie przeszłymi spotkaniami, biografią i sensem własnych doświadczeń i je uaktualnia. Powoduje to, że piszący, pisząca, nie są pod koniec procesu pisania w tym samym miejscu rozumienia. Zachodzi tu rodzaj przedtekstowego, wewnętrznego performansu i rozegrania, a zarazem – by użyć innych słów – wewnętrzny przewrót, „nawrócenie”, „ruch umysłu” (*metanoia*), o którym pisał Nigel Rapport<sup>25</sup>, idąc w tym za Kenelmem Burridge’em, czyli już coś stanowiącego bardzo poważną grę z własną tożsamością pisarską. Można powiedzieć, że doświadczenie pisania jest w tym sensie doświadczeniem stanu pośredniego, liminalnego, co potem skutkuje tekstem, ale co samo w sobie jest pewną, choćby częściową przemianą, transpozycją w pełnym sensie.

Opisujemy tu ten moment działania mechanizmu, kiedy nie wiadomo jeszcze, co się narodzi, czym będzie ostateczne rozumienie wydarzeń w tekście. Nie jest to więc czynność przetwarzania

materiału w sensie jego zebrania, analizy, a tym bardziej w sensie sformułowania przełomowej tezy, kierowanej do czytelników, dla świata komentatorów, innych badaczy, tak jakby tam była ona pierwotnie skierowana. Nie istnieje bowiem czysty materiał „uprzedni” etnografii czy antropologii. I to nie tyle w sensie uprzedniej ponowoczesnej gry dyskursów i struktur tekstowych, odciskającej się w nim i w jego sensach (nie istnieje „surowy” materiał), ile właśnie w sensie owego tworzenia się sensu – jego przetworzenia – właśnie wtedy, gdy powstaje, jest notowany, rysowany, kreowany, choć jak najściślej przylega cały czas do wydobywanej i opisywanej rzeczywistości.

---

## Podsumowanie

Materiał etnograficzny i antropologiczny, który pozwala udowodnić i rozwinąć przełomową tezę, wydaje się sprzeczny sam w sobie. Powoływanie się na „materiały”, „dane”, czy w wersji anglosaskiej „etnografię”, czyli na zaprezentowany w tekście materiał z badań terenowych, może być wręcz irytujące, na co zwrócił uwagę Tim Ingold. W tekście *Dość z tą etnografią! (That's Enough about Ethnography!)* – pisał – „Mam dość” jednoczesnego poszukiwania teorii i zreifikowania etnografii jako materiału badawczego<sup>26</sup>. Rozdzielana jest w ten sposób empiria od teorii, etnografia od rozumienia, badania od eksperymentu. Ważniejsze, jak uważa, jest jednak to, co dzieje się wcześniej, w samym procesie rozumienia i pisania, gdzie to, co koncepcyjne, eksperymentalne nieustannie wytwarza się w pisaniu i w działaniu antropologicznym. Antropologię jako myślenie chce zatem przenieść Ingold wcześniej. Ma ona powrócić już na sam front pisania, funkcjonować od pierwszej chwili, gdy poprzez pisanie tekstu następuje, jak to nazywa, „edukacja”, *educere*, wywiedziona od *ex-* i *ducere* — od sytuacji wyprowadzenia poza to, co znane<sup>27</sup>.

Pisanie musi zatem zawsze otwierać drogę wyjścia poza to, co znane. Ta droga nie wiedzie przez sprawdzone procedury, nie umożliwia jej powtarzanie sprawdzonych trików. Tam, gdzie współczesna akademia stosuje logikę mobilizacji i akumulacji, gdzie grodzi się całe obszary specjalistycznej, śpiesznie rozwijającej się wiedzy, potrzebny jest zwrot. Naszym zdaniem pisanie powinno za każdym razem kierować poza ten rozpoznany obszar. Dokonywany zwrot poznawczy jest także gwarantem wewnętrznej wolności tekstu i jego funkcji, a zarazem samopoznania, ryzyka, eksperymentu, „odwrócenia i nawrócenia”<sup>28</sup>. W tym sensie doświadczenie pisania jest formą doświadczenia integralności i tego dziwnego momentu, w którym następuje przełączenie z jednej rzeczywistości w drugą.

---

## PRZYPISY

- 1 P.J. Silvia, *How to Write a Lot: A Practical Guide to Productive Academic Writing*, Washington, DC 2007.
- 2 Tamże, s. 82-83.
- 3 S.F. Alatas, *An Introduction to the Idea of Alternative Discourses*, „Asian Journal of Social Science” 2000, nr 28, s. 4.
- 4 Należy jednak podkreślić, że tego rodzaju związek władzy i wiedzy, którego ujawnianie jest wpisane w nasze posłannictwo jako etnografów i etnografek, jest, przynajmniej potencjalnie, wielobiegunowy. Przykładowo życie akademickie w stalinowskiej i post-stalinowskiej Polsce w jeszcze większym stopniu było zdominowane przez inny rodzaj imperializmu intelektualnego, zorientowanego na uczelnie w byłym ZSRR. Nie musimy dodawać, że konsekwencje kontestowania takiego scentralizowanego totalitarnie dyskursu bywały znacznie bardziej niebezpieczne.
- 5 Nie jest przy tym pewne, czy lokalne, finansowane przez dyktatury i autorytaryzmy akademie nie posłużą się neoliberalnymi procedurami dyscyplinowania, by zachować porządek, budować swój prestiż i legitymizować własne pozycje polityczne rzekomą jakością.
- 6 B. Malinowski, *Argonauci zachodniego Pacyfiku. Relacje o poczynaniach i przygodach krajowców z Nowej Gwinei*, przeł. B. Olszewska-Dyoniziak, S. Szykiewicz, Warszawa 1981, s. 31.
- 7 T.H. Eriksen, *Możliwości antropologii publicznej*, przeł. P. Cichocki, w: M. Buchowski, A. Bentkowski (red.), *Kolokwia antropologiczne. Problemy współczesnej antropologii społecznej*, Poznań 2014, s. 479.

- 8 Uczestnikami spotkań byli doktoranci Magda Bodzan, Julia Kunikowska i Marcin Skupiński, a także studenci: Aniela Bocheńska, Magdalena Cibicka, Maja Dylewska, Weronika Gontarz, Zuzanna Józwiak, Adriana Koczoń, Jagoda Maciak, Marta Markiewicz i Julia Szostek.
- 9 Mamy tu na myśli zarówno trudne do wyrażenia za pomocą starszych terminologii doświadczenia bycia w wirtualnych przestrzeniach i zapośredniczonych relacjach, jak i niejasny jeszcze wpływ hipertekstu, blockchainów i innych rozwiązań technologicznych na etnograficzną wyobraźnię i pisarską praktykę.
- 10 Wywiad z p. Czesławem, mieszkańcem Wolicy, przeprowadziła Julia Kunikowska w ramach badań doktorskich.
- 11 N. Rapport, *Człowiek nieprzypisany, jakkolwiek, Anyone. O uznanie podmiotu postkulturowego i kosmopolitycznego*, przeł. T. Rakowski, J.S. Wasilewski, w: M. Buchowski, A. Bentkowski (red.), *Colloquia Anthropologica*, Warszawa 2013, s. 179–207; T. Rakowski, *Nieustająca zdolność do działania. Nigela Rapporta antropologia wolności*, w: tamże, s. 221–232.
- 12 K. Burridge, *Someone, No One: An Essay on Individuality*, Princeton 1979.
- 13 J. Brodski, *Znak wodny*, Kraków 1993, s. 38–39.
- 14 E. Klekot, *Flying Kites Workshop*, na podstawie tekstów Tima Ingolda, 2nd Colleex Workshop, EASA, Cieszyn, lipiec 2019.
- 15 S. Szykiewicz, *Rodzina pasterska w Mongolii*, Wrocław–Warszawa 1981.
- 16 Zob. H. White, *Tropologia, dyskurs i rodzaje ludzkiej świadomości*, przeł. A. Marciniak, w: tenże, *Poetyka pisarstwa historycznego*, Kraków 2010, s. 179.
- 17 Należy pamiętać, że spotkania odbywały się w ramach platformy Zoom, a muzyka rozbrzmiewała, gdy schodzili się uczestnicy.
- 18 Zob. A. Mencwel, *Toast na progu*, Kraków 2017, s. 98.
- 19 Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 5 maja 1951 r. w sprawie zmiany granic miasta stołecznego Warszawy, <http://isap.sejm.gov.pl/isap.nsf/DocDetails.xsp?id=WDU19510270199> (dostęp: 30.03.2024).
- 20 J.C. Scott, *Seeing Like a State: How Certain Schemes to Improve the Human Condition Have Failed*, New Haven 1998, s. 3.
- 21 K. Kuschnir, *Ethnographic Drawing. Eleven Benefits of Using a Sketchbook for Fieldwork*, „Visual Ethnography” 2016, nr 1(5), s. 103–134.
- 22 M. Taussig, *I Swear I Saw This: Drawings in Fieldwork Notebooks, Namely My Own*, Chicago 2011.
- 23 M. Starakiewicz (tekst), J. Woynarowski (rysunki), *Model i metafora. Komunikacja wizualna w humanistyce*, Kraków 2019.
- 24 M. Nielsen. N. Rapport, *On the Genealogy of Writing Anthropology*, w: M. Nielsen. N. Rapport (red.), *The Composition of Anthropology: How Anthropological Texts Are Written*, London 2018.
- 25 N. Rapport, *Człowiek nieprzypisany, jakkolwiek, Anyone...*, dz. cyt., s. 188.
- 26 T. Ingold, *That’s Enough about Ethnography!*, „HAU: Journal of Ethnographic Theory” 2014, nr 1(4), s. 383–395.
- 27 Tamże, s. 388.
- 28 Niczym w historii „nawrócenia” i „odwrócenia” u św. Pawła-Szawła, o której w taki właśnie sposób pisał Jerzy S. Wasilewski w eseju, który przypomniał ostatnio Zbigniew Benedyktowicz w artykule do tomu jubileuszowego, zob. Z. Benedyktowicz, „JSW” – *Etnolog w podróży... i w kontekstach. Przyczynek do przypisu bibliograficznego*, w: A. Kościańska, M. Radkowska-Walkowicz, T. Rakowski (red.), *Fragmenty większej całości. Dla Jerzego S. Wasilewskiego*, Warszawa 2021, s. 48. Wasilewski analizuje w nim obraz ze starego drewnianego kościółka w Zakopanem, przedstawiający upadającego z konia mężczyznę „w drodze do Damasku”, jak głosi oryginalny dopisek na płótnie. Człowiek ten, jak pisze Wasilewski, zobrazowany jest „w przełomowym momencie upadku z konia i to sposób najlepiej oddający przemianę – jako spadającego przez plecy, głową w dół. Nawrócenie zostaje oddane przez odwrócenie, konwersja przez inwersję [...]. Wiadomo, że Paweł już nie jedzie, ale wciąż nie wiadomo, gdzie spadnie. Takie przedstawienie wyraża znowu fakt przełomu – ujmuje, gdy bohater nie jest już Szawłem, ale też nie jest jeszcze Pawłem”, zob. J.S. Wasilewski, *Św. Paweł – nawrócenie, odwrócenie i niepewność*, „Polska Sztuka Ludowa” 1987, nr 1, s. 177 (ten numer PSL z 1987 roku to jednocześnie księga jubileuszowo-pamiątkowa dla Redaktora Aleksandra Jackowskiego).



— 3

# **Analizy i interpretacje**



Agnieszka Sobolewska

## Praktyki psychoanalizy w Europie Środkowej krótko po 1945 roku. Ćwiczenia z kartografii historycznej: Wiedeń–Budapeszt–Praga\*

**P**rzedmiotem tych rozważań jest historia odradzania się ruchu psychoanalitycznego w Europie Środkowej, ujęta z perspektywy transnarodowej, uwzględniającej specyfikę rozwoju freudyzmu w poszczególnych krajach oraz ukazującej zachodzący między nimi transfer idei oraz praktyk. Na samym początku warto jednak zastanowić się, na ile wskazana przeze mnie tematyka wpisuje się w podstawowe dla tego tomu zagadnienie piśmiennosci naukowej oraz współczesnych warsztatów piśmiennych w humanistyce. Czy psychoanalizę można w ogóle uznać za część szeroko pojętej humanistyki? Jako ważny dla XX wieku prąd intelektualny freudyzm z pewnością był interdyscyplinarną praktyką myślenia i działania, która łączyła w sobie rozmaite dziedziny oraz dyscypliny badawcze: filozofię, historię sztuki, literaturoznawstwo, antropologię, religioznawstwo. Jednak jako praktyka terapeutyczna psychoanaliza wyrosła z dziewiętnastowiecznych nauk psychomedycznych i od początku rościła sobie prawo do miana nauki przyrodniczej. Praca psychoanalityków – w długiej historii ruchu freudowskiego posiadających różnorodne, nie tylko medyczne, wykształcenie – może posłużyć za przykład interdyscyplinarnego warsztatu badawczego *par excellence*. Począwszy od pierwszej dekady XX wieku, kiedy zawiązało się Wiedeńskie Towarzystwo Psychoanalityczne, a niedługo po nim Międzynarodowe Towarzystwo Psychoanalityczne, ruch psychoanalityczny formował się dzięki współpracy coraz liczniejszej grupy zwolenników Zygmunta Freuda. Powstanie lokalnych towarzystw psychoanalitycznych, specjalistycznych czasopism oraz wydawnictw umożliwiło transmisję i rozwój wiedzy psychoanalitycznej w globalnej skali. Trzeba jednak pamiętać, że utrzymanie struktur instytucjonalnych, a także konsolidacja tożsamości psychoanalityków jako środowiska o określonej orientacji badawczej wymagała nieustannego podtrzymywania kontaktów między rozszanymi po świecie analitykami. Tym samym pod sformułowaniem „codzienne warsztaty piśmiennie-badawcze” freudystów kryje się zarówno indywidualna praca nad tekstami teoretycznymi, sporządzanie notatek z prowadzonych analiz (w tym również autoanaliz) i sprawozdań z międzynarodowych kongresów psychoanalitycznych, jak i częsta wymiana listów oraz podróże między lokalnymi wspólnotami psychoanalitycznymi, bez których podtrzymanie więzi między środowiskami psychoanalitycznymi w ogóle nie byłoby możliwe. Jak zobaczymy, dla środowisk freudowskich w Europie Środkowej okres po 1945 roku był czasem niezwykle trudnym i w dużej mierze determinującym przyszłość psychoanalizy w krajach dawnego bloku wschodniego.

---

Agnieszka Sobolewska,  
*Praktyki psychoanalizy w Europie Środkowej krótko po 1945 roku. Ćwiczenia z kartografii historycznej: Wiedeń–Budapeszt–Praga*, „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2024, t. 9, s. 143-153.

Praktykom kolektywnego myślenia oraz modelom międzynarodowej transmisji wiedzy psychoanalitycznej przyjrę się z perspektywy antropologii wiedzy, co jak najbardziej wpisuje się w obszar refleksji nad warsztatami badawczymi. W tym kontekście szczególnie ważne okazują się dynamika pracy środowisk lekarskich, strategia zawiązywania struktur oraz wzmocnienia sieci współpracy międzynarodowej między psychoanalitykami, a także kwestia przestrzeni (publicznych i prywatnych), w których wiedza psychoanalityczna mogła być transmitowana w sytuacji rosnącej niechęci instytucji państwowych wobec freudyizmu. Jak zobaczymy, mechanizmy dyseminacji psychoanalizy w okresie powojennym – w wymiarze teoretycznym oraz praktycznym – znacznie wykraczają poza zakres jej historii i mogą przyczynić się do pogłębienia obecnego rozumienia wewnętrznej dynamiki funkcjonowania środowisk intelektualnych, zwłaszcza tych, które nie zostały rozpoznane przez państwowe instytucje i zostały zmuszone do rozwijania się poza nimi. W dobie postępującej korporalizacji uniwersytetu – procesu, który istotnie wpływa na praktyki pisarstwa naukowego, na dydaktykę, a także na relacje między członkami wspólnoty uniwersyteckiej (wykładowcami, doktorantami, studentami i pracownikami technicznymi) – przyjrzenie się działalności tego typu środowisk intelektualnych może okazać się nie tylko ważne, ale i niezbędne.

Proponowane przeze mnie podejście pasuje się na styku historiografii psychoanalizy i antropologii wiedzy<sup>1</sup>. Interdyscyplinarne nastawienie po pierwsze pozwoli, jak sądzę, uważnie przyjrzeć się modelom transmisji wiedzy, która na pewnym etapie swojego rozwoju opierała się na obiegu alternatywnym i pozapaństwowym. Po drugie zaś może umożliwić rozszerzenie dominującego obecnie modelu konceptualizacji historii ruchu psychoanalitycznego w Europie Środkowej i Wschodniej jako losów „narodowych” psychoanaliz.

Tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej freudyści starali się przywrócić pełną działalność towarzystw psychoanalitycznych oraz grup szkoleniowych. Środowiska freudowskie w Europie Środkowej dążyły wówczas do formalnego rozpoznania i ponownego wejścia w strukturę międzynarodowego ruchu psychoanalitycznego, a także – na poziomie lokalnym – do implementacji psychoanalizy w państwowych instytucjach medycznych. Rozwój psychoanalizy w tamtym czasie opierał się przede wszystkim na oddolnych inicjatywach mających na celu wytworzenie struktur szkoleniowych, a także wytworzenie i podtrzymanie transnarodowej sieci kooperacji między analitykami mieszkającymi w różnych częściach Europy oraz w Stanach Zjednoczonych. Po 1945 roku aktywność środowisk psychoanalitycznych w Europie Środkowej pozostawała ściśle związana z kulturą miejską i skupiała się w środkowoeuropejskich stolicach: Wiedniu, Budapeszcie, Pradze, Warszawie. W tym czasie analitycy poszukiwali też nowych modeli tożsamościowych dla siebie i dla przyszłego pokolenia analityków. Mieli oni bowiem świadomość, że po burzliwych latach 1939–1945 teoria i praktyka psychoanalityczna będzie musiała jak najszybciej odpowiedzieć na potrzeby społeczeństw mierzących się z traumą wojny i okupacji. Dla psychoanalityków działających w Europie Środkowej okres po 1945 roku był czasem deziluzji – utraty wiary w swobodny rozwój psychoanalizy zarówno jako metody terapeutycznej, jak i płodnej poznawczo teorii społeczno-kulturowej. Dominujące wówczas poczucie „straty” i „wyobcowania” związane było przede wszystkim z przestrzennym odseparowaniem od środowisk psychoanalitycznych rozwijających się w Europie Zachodniej oraz Stanach Zjednoczonych. Pojawiła się wprawdzie nadzieja na powrót do bogatego dziedzictwa psychoanalizy przedwojennej i jego kontynuacji w nowej, powojennej rzeczywistości, ale była ona krótkotrwała: okres odradzania się psychoanalizy w Europie Środkowej trwał od roku 1946 do 1949. Po tym czasie zarówno w Czechosłowacji, na Węgrzech, jak i w Polsce psychoanaliza była postrzegana już tylko jako burżuazyjny relikw, teoria przesycona indywidualizmem, a w związku z tym szkodliwa społecznie. Systemowe ograniczanie praktykowania psychoanalizy nie spowodowało całkowitego wyrugowania freudyizmu z codziennej pracy psychologów i psychiatrów orientacji psychoanalitycznej. Pozostając w swoich krajach bądź migrując po krajach Europy Środkowej i Wschodniej, analitycy byli zmuszeni do wypracowania kolektywnych strategii transmisji wiedzy psychoanalitycznej, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku mogła rozwijać się wyłącznie potajemnie.

---

## Nowe początki: z Wiednia do Budapesztu

Z okresu drugiej wojny światowej środkowoeuropejskie środowiska psychoanalityczne wyszły dogłębnie wyniszczone<sup>2</sup>. Pogarszająca się sytuacja polityczna w latach trzydziestych XX wieku w Austrii, Niemczech, Czechosłowacji i na Węgrzech zmusiła wielu psychoanalityków (w większości pochodzenia żydowskiego) do emigracji. W 1938 roku Wiedeń opuścił Zygmunta Freud z rodziną. Nieco później rozwiązano Wiedeńskie Towarzystwo Psychoanalityczne, zlikwidowano także psychoanalityczne wydawnictwa i ambulatoria. Przymusowa emigracja, śmierć części analityków w Holokauście, a także trauma związana z doświadczeniem okupacji doprowadziły do załamania struktur instytucji psychoanalitycznych, a tym samym do zahamowania rozwoju ruchu w Europie w okresie 1939–1945<sup>3</sup>. Zaraz po wojnie wśród garstki psychoanalityków, którzy przeżyli wojnę i pozostali w Austrii, pojawiła się nadzieja na odbudowę ruchu i wznowienie działalności Wiedeńskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego (WTP). Ponowne zawiązanie się środowiska psychoanalitycznego w Wiedniu oraz towarzysząca temu nadzieja na odnowę utraconego na skutek wojny i okupacji dziedzictwa Zygmunta Freuda miały ogromne znaczenie dla rekonstrukcji ruchu psychoanalitycznego w Europie Środkowej po wojnie. Po 1945 wiedeńscy analitycy stanęli przed wyzwaniem ponownego zdefiniowania własnej tożsamości, która ukształtowała się na przecięciu jednostkowego doświadczenia i kolektywnej pamięci ruchu freudowskiego jako transnarodowej wspólnoty intelektualnej<sup>4</sup>. W tym czasie psychoanalitycy mogli czerpać z licznych modeli teoretyczno-praktycznych w obszarze psychoanalizy, które ukształtowały się w pierwszej połowie XX wieku, i odwoływać się do nich.

Wiosną 1945 roku do Wiednia powrócił August Aichhorn (1878–1949), którego starania doprowadziły do wznowienia działalności WTP. W marcu 1946 roku Anna Freud mogła już napisać: „Miesiąc temu my również byliśmy w stanie skomunikować się bezpośrednio z Wiedniem, a Wiedeń oczywiście znaczy Aichhorn”<sup>5</sup>. W latach 1939–1944 Aichhorn był jednym z nielicznych freudystów, którzy pozostali w Austrii i kontynuowali praktykę psychoanalityczną. Zaraz po wojnie Aichhorn, Friedl Aufreiter (1915–2003), Lambert Bolterauer (ur. 1903), Rosa Dworschak (1896–1990) i Theodor Scharmann (1907–1986) zorganizowali cykl seminariów poświęconych kształceniu przyszłych analityków (Seminar für Psychoanalytische Erziehungsberatung). W tym samym czasie powstał również Proponentenkomitee, który poprzedził oficjalne ponowne zawiązanie towarzystwa. W skład komitetu weszło wówczas 13 osób, w tym 6 lekarzy i 7 nie-lekarzy (lista z 20 września 1945 roku). W tym czasie Aichhorn regularnie donosił Annie Freud o postępach w odbudowie towarzystwa oraz działalności psychoanalityków w Wiedniu. Informacja o reaktywacji WTP szybko dotarła do środowisk psychoanalitycznych w Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych. W oczach analityków pozostających na emigracji inicjatywa Aichhorna miała przede wszystkim wartość symboliczną – miała pozwolić wspólnocie psychoanalitycznej powrócić do swych źródeł i „odzyskać” miejsce narodzin ruchu. Uroczysta inauguracja Wiedeńskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego odbyła się 10 kwietnia 1946 roku. W przemowie wygłoszonej na pierwszym posiedzeniu Aichhorn bezpośrednio nawiązał do trudnej sytuacji ruchu psychoanalitycznego w latach wojennych<sup>6</sup>, nacisk położył jednak nie tyle na konieczność stworzenia ruchu psychoanalitycznego od nowa, ile na możliwość powrotu do bogatej tradycji psychoanalizy przedwojennej. Program wiedeńskiego towarzystwa obejmował wypracowanie stabilnych struktur kształcenia psychoanalitycznego, stworzenie miejsc pracy dla psychoanalityków w ramach już istniejących instytucji państwowych, a także transfer psychoanalizy do środowisk uniwersyteckich<sup>7</sup>.

Zaraz po wojnie psychoanalitycy skupili się na poszukiwaniu najskuteczniejszych metod leczenia traum wynikających z doświadczenia wojny i okupacji. Powojenna sytuacja społeczna istotnie wpłynęła na proces „medyalizacji” psychoanalizy, która po 1945 stała się w środowiskach analityków w przeważającym stopniu techniką terapii, nie zaś narzędziem krytycznej refleksji nad kulturą i społeczeństwem<sup>8</sup>. O tej zmianie najlepiej zaświadcza zresztą burzliwe dyskusje nad miejscem psychoanalityków nie-lekarzy w ruchu psychoanalitycznym, toczone jeszcze w okresie międzywojennym w Stanach Zjednoczonych i kontynuowane po wojnie<sup>9</sup>. Sam Aichhorn nie posiadał wykształcenia medycznego. Mimo to stanął na czele odradzającego się ruchu w Austrii, choć obawiał się też, że przywrócenie dawnej świetności wiedeńskiego towarzystwa nie będzie łatwe ze względu na brak analityków starszej generacji. Wskrzesał je bowiem

z dwoma zaledwie członkami dawnego Wiener Psychoanalytische Vereinigung, którzy zdecydowali się powrócić do Wiednia. Pierwszym z nich był Walter Hollitscher (1911–1986), który przybył z Londynu, drugim zaś Otto Fleischmann (1896–1963), który powrócił z Budapesztu. Zaledwie rok później na pierwszej liście członków WTP z 1946 roku znaleźli się m.in.: August Aichhorn (przewodniczący), Alfred Winterstein (wiceprzewodniczący), Lambert Bolterauer, Theon Spanudis, Wilhelm Solms-Rödelheim i Hans Aufreiter<sup>10</sup>. W tym czasie nieformalna aktywność środowiska psychoanalitycznego opierała się na potajemnych spotkaniach i praktykowaniu psychoanalizy w konspiracyjnej atmosferze. Ponieważ tego typu działania nie mogły być rejestrowane, pozostawiły one ślad jedynie w pamięci uczestników.

Krótko po wojnie przed środowiskiem psychoanalitycznym pojawiły się jednak nowe możliwości rozwoju oraz dyseminacji wiedzy. Były one związane chociażby z próbą reaktywacji wydawnictw psychoanalitycznych w Wiedniu, Berlinie, Budapeszcie i Pradze<sup>11</sup>. Aichhorn rozpoczął też starania o powrót do Wiednia psychoanalityków pracujących tam przed wojną. Wieść o możliwości powrotu psychoanalityków do miasta Freuda szybko dotarła do Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. W lutym 1946 roku – dwa miesiące przed uroczystym zainaugurowaniem działalności Wiener Psychoanalytische Vereinigung – Ruth Eissler tak pisała do Anny Freud:

W tym czasie byliśmy w stanie nawiązać bezpośredni kontakt z Aichhornem i jestem pod wielkim wrażeniem jego wysiłków, by utrzymać psychoanalizę w Wiedniu. Oczywiście wszyscy jesteśmy gotowi wesprzeć Aichhorna w jego działaniach, ale jeśli idzie o powrót europejskich analityków starszej generacji do Wiednia, wątpię i osobiście nie potrafię sobie wyobrazić kogokolwiek emocjonalnie na to gotowego<sup>12</sup>.

Anna Freud odpowiedziała jej w podobnym duchu.

[Aichhorn] właśnie ponownie otwiera wiedeński Instytut i jest pełen entuzjazmu i nadziei na przyszłość. Życzę mu, by znalazł nauczycieli, których potrzebuje. Nie miałam serca, aby mu wyznać prawdę o moim własnym stosunku w kwestii podróży do Wiednia, czy to w ogóle kiedykolwiek byłoby możliwe. On nawet myślał, że może przyjadę na otwarcie Instytutu, które odbywa się, jak sądzę, właśnie teraz. W rzeczywistości nie mogę sobie wyobrazić, że jeszcze kiedyś moja stopa postanie w Wiedniu<sup>13</sup>.

W stwierdzeniu „nie mogę sobie wyobrazić, że jeszcze kiedyś moja stopa postanie w Wiedniu” do głosu wyraźnie doszły bolesne wspomnienia związane z doświadczeniem systemowej przemocy antysemitycznej, opresji i przymusowej emigracji. Prośba Aichhorna zmusiła analityków-emigrantów do zmierzenia się z wizją powrotu do opuszczonych przez nich krajów i odbudowy utraconego dziedzictwa Freuda. Niechęć, jaką mogła wzbudzać myśl o powrocie do Wiednia, unaocznia kluczowy aspekt historii odradzania się ruchu psychoanalitycznego w Europie Środkowej – po 1945 roku analitycy musieli mierzyć się nie tylko z traumami swoich pacjentów, lecz także z własnymi.

Z wojny psychoanalitycy wyszli z różnymi doświadczeniami, niemniej trauma narodowego socjalizmu odcisnęła piętno na całym środowisku psychoanalitycznym i bezpośrednio wpłynęła na jego wczesnopo wojenne losy. Pisząc o powojennej historii ruchu psychoanalitycznego, Judit Mészáros słusznie podkreślała: „To tragedia, że ruch psychoanalityczny – w dużej mierze interdyscyplinarny oraz związany z potężnymi siłami kreatywności i wynalazczości w wielu aspektach teorii psychoanalitycznej i kultury węgierskiej – który jakoś przetrwał nazizm i Zagładę, ostatecznie padł ofiarą reżimu stalinowskiego”<sup>14</sup>. Negatywny wpływ autorytarnej i totalitarnej polityki na środowiska psychoanalityczne wynikał bezpośrednio z ich profilu ideologicznego – opowiadania się za nieskrępowaną eksploracją ludzkiej seksualności – i skłaniał do krytycznej refleksji nad społeczeństwem oraz promowanymi modelami kulturowej moralności. Warto w tym miejscu przypomnieć słowa Siegfrieda Bernfelda, który już w 1928 roku podkreślał, że

wrogowie [...] obstają przy przekonaniu, że doktryna Freuda jest czymś więcej niż nauką, że jest ona filozofią, światopoglądem, religią, albo że chce się nią stać. Pogląd taki może sugerować, że obok uprawianej przez Freuda nauki zwanej psychoanalizą jest jeszcze inna „psychoanaliza”, która przynajmniej chciałaby stać się światopoglądem. [...] Na wstępie przynajmniej bowiem otwarcie, że „psychoanaliza jako światopogląd” to rzecz niesympatyczna i niebezpieczna, coś, czego krąg pedagogów psychoanalitycznych winien się jak najsukutekniej wystrzeżać!”<sup>15</sup>

Dla wielu spośród najbliższych współpracowników Freuda psychoanaliza była teorią emancypacyjną – zwracającą człowiekowi wolność dzięki procesowi deziluzji, który Max Weber nazwał „odczarowaniem świata”. Wolnościowy rys freudyzmu jako teorii racjonalistycznej i materialistycznej przysporzył ruchowi zarówno zwolenników, jak i przeciwników. Po założeniu Międzynarodowego Towarzystwa Psychoanalitycznego (International Psychoanalytic Association, IPA) analitycy musieli wypracować własny model transmisji wiedzy opartej na międzynarodowej kooperacji, umożliwiającą z jednej strony wzajemne wspieranie się analityków (w tym ekonomiczne), z drugiej zaś pozwalającą na implementację ujednoliconych regulacji dotyczących kształcenia oraz praktyki psychoanalitycznej.

W tym kontekście warto przyjrzeć się szczególnej sytuacji węgierskich psychoanalityków. W 1946 roku tamtejsze środowisko freudowskie planowało wznowienie swojej działalności. Wprawdzie oficjalne Węgierskie Towarzystwo Psychoanalityczne przetrwało wojnę, ale jego przyszłość była niepewna. Trudna sytuacja wynikała przede wszystkim z olbrzymich strat poniesionych przez środowisko: część analityków znalazła się na przymusowej emigracji, część zginęła w obozach zagłady. Niemniej dzięki powstałej w Łonie wspólnoty psychoanalitycznej sieci pomocy żydowskim kolegom w emigracji (od 1938 roku), wielu analitykom ostatecznie udało się wydostać z krajów okupowanych przez Niemcy. Ci, którzy pozostali na Węgrzech i przeżyli, po wojnie musieli zmierzyć się z traumą ostatnich lat. Widmo wojny i Holocaustu pozostawiło trwałe ślady w powojennej korespondencji psychoanalityków. W lutym 1946 roku István Hollós pisał do Paula Federna o akcji eksterminacji Żydów i wrogów politycznych zorganizowanej przez węgierskich nazistów na przełomie grudnia 1944 i stycznia 1945 roku<sup>16</sup>. Zderzenie ze śmiercią bliskich oraz realnym zagrożeniem dla własnego życia wymagało przepracowania. Jednocześnie okres powojenny na Węgrzech skłaniał do jak najszybszego odrzucenia przeszłości i całkowitego poświęcenia się budowie nowej rzeczywistości. Projekty odbudowy ruchu psychoanalitycznego w Europie Środkowej świetnie wpisały się w ogólną atmosferę odradzania się społeczeństwa z ruin przedwojennego świata. Co więcej, po wojnie środowisko psychoanalityczne w Budapeszcie, podobnie jak w Pradze, musiało w dalszym ciągu mierzyć się z przekonaniem o szkodliwości freudyzmu, które dominowało w kręgach medycznych już od pierwszych dekad XX wieku<sup>17</sup>.

Jak celnie zauważyła Melinda Kovai, pisząc o kontekście węgierskim: „Psychoanaliza nie miała wstępu do instytucji państwowych do roku 1945 i w pismach antysemitycznych kręgów medycznych pojawiała się «przefasonowana» na «pornografię medyczną» i «żydowską konspirację mającą na celu tępienie etyki chrześcijańskiej»”<sup>18</sup>. Warto jednak pamiętać, że ta podszyta antysemityzmem krytyka psychoanalizy nie zniknęła automatycznie wraz z końcem drugiej wojny światowej, psychoanalitycy zaś w dalszym ciągu musieli mierzyć się z uprzedzeniami wobec własnych teorii i praktyki. Wkrótce po drugiej wojnie światowej węgierscy psychoanalitycy – przede wszystkim István Hollós, Imre Hermann, Lilly Hajdu, István Schönberger-Székács oraz András József – dostrzegli szansę na odbudowę budapeszteńskiej szkoły psychoanalitycznej. Bez wątpliwa ważnym punktem odniesienia była dla nich wieść o ponownej inauguracji Wiedeńskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego. W tym czasie istotnym elementem odbudowy ruchu był transfer wiedzy freudowskiej do środowisk medycznych i uniwersyteckich. W latach 1945–1947 Imre Hermann prowadził wykłady na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Budapeszteńskiego<sup>19</sup>. Członkowie Węgierskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego ponownie otworzyli prywatne praktyki. Kolejnym czynnikiem sprzyjającym funkcjonowaniu międzynarodowej wspólnoty psychoanalitycznej – zarówno przed, jak i po wojnie – były starania o podtrzymanie przyjacielskich więzi między działającymi lokalnie grupami oraz poszczególnymi

psychoanalitikami. Zaświadcza o tym licząca tysiące stron korespondencja analityków oraz inne dokumenty osobiste (np. pocztówki, fotografie), które składają się na materialną historię ruchu psychoanalitycznego<sup>20</sup>. Innym ważnym elementem było umożliwienie transmisji wiedzy psychoanalitycznej do węgierskich środowisk medycznych, co stało się możliwe dzięki wspomnianemu wyżej włączaniu psychoanalityków w struktury nowo powstałych instytucji państwowych<sup>21</sup>. Dotyczyło to zwłaszcza psychologów dziecięcych, którzy po 1945 roku zyskali na Węgrzech nowe możliwości rozwoju i zawodowej kariery. W psychologii zaczęto pokładać nadzieję na rozwiązanie palących problemów społecznych, przede wszystkim zredukowanie nierówności klasowych. Krótko po wojnie w Budapeszcie powstał Narodowy Instytut Pedagogiczny, którego dyrektorem został Ferenc Mérei (1909–1986)<sup>22</sup>. Po zmianie nastawienia władz do freudyizmu w 1949 roku szansą na dalszą transmisję wiedzy psychoanalitycznej pozostawały działania nieformalne – tajna aktywność pojedynczych osób, rozmowy, potajemne spotkania w prywatnych mieszkaniach. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku zachowanie dziedzictwa freudyizmu było możliwe dzięki nielegalnemu kolportowaniu literatury psychoanalitycznej oraz tajnym spotkaniom o *quasi*-seminaryjnym charakterze.

Sledzenie dróg zachowania wiedzy psychoanalitycznej po 1945 roku na Węgrzech pozwala dostrzec, że wewnętrzna dynamika kształtowania, transmisji oraz transferu wiedzy była oparta na kolektywnych praktykach myślenia i działania, które pozostawały ulotne i nie zostały zachowane (rozmowy, nierejestrowane wykłady, dyskusje). Po wojnie musiały minąć aż trzy dekady, by Węgierskie Towarzystwo Psychoanalityczne mogło ponownie oficjalnie wznowić swoją działalność. W tym miejscu warto przypomnieć, że w Czechosłowacji, gdzie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku stosunek władz do freudyizmu był podobny – środowisko psychoanalityczne potrzebowało aż pół wieku, by odtworzyć dawne struktury instytucjonalne.

## **Lewicowa Praga i anarchizm podziemia**

Uważało się, że po 1945 roku psychoanaliza w Europie Środkowej i Wschodniej rozwijała się słabiej niż w krajach zachodnich bądź w Stanach Zjednoczonych. W Czechach grupa psychoanalityczna ponownie zawiązała się dopiero w 1993 roku (w 2004 roku została oficjalnie rozpoznana przez IPA). Jak w 1999 roku pisał czeski psychoanalityk Michael Šebek, bezpośrednio odnosząc się do losów psychoanalizy środkowo- i wschodnioeuropejskiej po drugiej wojnie światowej:

Proces rozpadu w Europie był kontynuowany podczas zimnej wojny, a zniszczenie kulturalnych i społecznych instytucji otworzyło nowy rozdział w skomplikowanej historii Europy. [...] Dziś żaden Fenichel nie przeprowadzi się do Europy Wschodniej, gdzie życie społeczne jest zainfekowane chorobą, którą można nazwać – przez analogię do zespołu stresu pourazowego – syndromem posttotalitarnym. [...] Efektem jest to, że psychoanaliza nie może rozwinąć się w Europie Wschodniej bez istotnej pomocy z Zachodu<sup>23</sup>.

Powyższa diagnoza kondycji środowisk psychoanalitycznych w Europie Środkowej i Wschodniej może zostać zasadnie odniesiona nie tylko do psychoanalizy rozumianej jako praktyka terapeutyczna, lecz także do widmowej obecności freudyizmu w kształceniu uniwersyteckim. Porównując sytuację wspólnot psychoanalitycznych w Czechosłowacji i na Węgrzech, trzeba pamiętać, że o ile węgierscy psychoanalitycy koncentrowali się przede wszystkim na podtrzymywaniu i rozwijaniu tradycji przedwojennej szkoły budapeszteńskiej, o tyle w Czechosłowacji podobny wzorzec nie istniał, gdyż w okresie międzywojennym nie udało się stworzyć tam odrębnej szkoły psychoanalitycznej. W dużej mierze ze względu na to, że do czeskich środowisk freudyzm przeniknął zdecydowanie później niż do węgierskich, niemieckich, francuskich bądź angielskich. Pierwsze ślady transmisji freudyizmu do kultury czechosłowackiej można datować na lata dwudzieste. Jak celnie zauważył Michael Šebek: „Chociaż ruch psychoanalityczny rozwijał się w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku, zwłaszcza w Pradze, jego społeczne, naukowe oraz terapeutyczne znaczenie było relatywnie niewielkie”<sup>24</sup>. Pierwsza formalna

czeska grupa studyjna powstała dopiero w latach trzydziestych i została zaakceptowana przez IPA podczas kongresu w Lucernie w 1934 roku. W jej powstaniu decydujący udział miało kilkoro analityków, którzy przybyli do Pragi, a wcześniej wykształcili się w Wiedniu oraz Berlinie (Otto Fenichel, Frances Deri, Annie Reich, Steff Bornstein, Heinrich Julius Löwenfeld, Emmanuel Windholz, a także Sándor Lóránd z Budapesztu oraz Alfred Bem, profesor literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Karola<sup>25</sup>).

Warto też podkreślić, że inaczej niż w przypadku Węgier pojawienie się psychoanalizy w praskich środowiskach intelektualnych było zasługą emigrantów. W 1933 roku do Pragi przybyły psychoanalityczki Frances Deri (1881–1971), Annie Reich, Stefania Bornstein oraz psychoanalityk Heinrich Löwenfeld, który wyemigrował z Berlina. To właśnie w międzywojennej Pradze swoje miejsce znalazła tzw. „freudowska lewica”, której czołowymi przedstawicielami byli w tym czasie Wilhelm Reich i Otto Fenichel (1897–1946). Ten ostatni został przyjęty do Wiedeńskiego Towarzystwa w 1920 roku, jego odczyt inauguracyjny nosił tytuł „Über Sexualfragen in der Jugendbewegung”. W latach dwudziestych prowadził cykl seminariów (tzw. „Kinderseminar”) oraz nawiązał ścisłą współpracę z młodymi analitykami o lewicowych przekonaniach, m.in. z Annie Reich i jej mężem Wilhelmem, a także z Erichem Frommem<sup>26</sup>. W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku prowadził też intensywną działalność publikacyjną<sup>27</sup>. Dla Fenichela psychoanaliza była sztuką interpretowania cudzych i własnych historii, która miała doprowadzić do skutecznej terapii schorzeń psychicznych. W czasie jego pobytu w Pradze zawiązało się środowisko psychoanalityczne. Dyskusje toczono w tajnej korespondencji (tzw. *Rundbriefe*), prowadzonej od marca 1934 roku do czerwca 1945 roku. Listy, z założenia kierowane wyłącznie do wąskiej grupy „wybranych” psychoanalityków, mogły przywoływać na myśl tajny obieg korespondencji w ruchu freudowskim związany z działalnością sekretnego komitetu (Geheimes Komitee)<sup>28</sup>. Częstymi adresatami owych „tajnych” listów Fenichela byli członkowie czeskiej grupy, m.in. Frances Deri, Emmanuel Windholz, Stefania Bornstein, a także Annie i Wilhelm Reichowie. W latach trzydziestych Fenichelowi szczególnie zależało na połączeniu teorii psychoanalitycznej z marksizmem. Dobrze znane były mu poglądy Wilhelma Reicha, który nie wahał się kierować ostrza krytyki przeciwko analitykom, uważanym przez niego za piewców ideałów burżuazyjnych. W przeciwieństwie do Reicha Fenichel wierzył, że myśl lewicowa może znaleźć swoje miejsce wewnątrz ruchu psychoanalitycznego zamiast zwracać się przeciwko niemu. W tym kontekście warto przywołać słowa Eugenii Fischer:

Bez rosyjskich emigrantów (Ossipow po pierwszej wojnie światowej i Dosużkow w trakcie i po drugiej), przyjaciół Żydów [...] i bez emisariuszy IPA w Pradze, takich jak Otto Fenichel i kilku emigrantów niemieckich [...] Czeskie Towarzystwo Psychoanalityczne miałoby zbyt małą znajomość psychoanalizy i zero wykształcenia analitycznego. Bez najważniejszego ucznia Ossipowa, Theodora Dosużkova, ruch psychoanalityczny w Pradze w ogóle przestałby istnieć<sup>29</sup>.

Konieczność nieustannej migracji obiecywała transnarodowy obieg wiedzy psychoanalitycznej. W takiej sytuacji jednak ukształtowanie trwałych struktur szkoleniowych, a także zapewnienie ciągłości rozwoju teorii i praktyki psychoanalitycznej wymagało wypracowania trwałych zasad oraz regulacji, które pozwoliłyby danej wspólnotie naukowej przetrwać w trudnych warunkach społeczno-politycznych.

W Czechosłowacji w okresie od 1945 do 1948 roku psychoanalitycy mogli otwarcie organizować seminaria i wykłady bądź prowadzić szkolenia. Od roku 1948 jednak zmuszeni byli zrezygnować z otwartej działalności i „zejść do podziemia”<sup>30</sup>. W czasie drugiej wojny światowej większość analityków odpowiadających za rozwój praskiej psychoanalizy wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. W Pradze pozostał jedynie rosyjski psychoanalityk Theodor (Bohodar) Dosużkov (1899–1982). W latach pięćdziesiątych XX wieku, po tym jak psychoanaliza w Czechosłowacji została zakazana, Dosużkov organizował nielegalne spotkania w swoim domu, które – podobnie jak to miało miejsce na Węgrzech oraz dekadę później w Polsce – miały charakter nieformalnego szkolenia psychoanalitycznego. Dynamika „tajnej” pracy psychoanalityków opierała się na podtrzymywaniu wspólnej tajemnicy łączącej pacjenta i analityka. W tym czasie bycie

psychoanalitkiem stało się też formą „ukrytej tożsamości” kultywowanej w tajemnicy. Dzięki nielegalnej aktywności Dosužkova psychoanaliza przetrwała kolejne dekady. Krótco po 1945 roku Dosužkov (który formalnie pozostawał członkiem IPA) planował stworzenie instytutu psychoanalitycznego w Pradze, czego jednak w obliczu rosnącej niechęci władz do psychoanalizy nie udało się zrealizować<sup>31</sup>. W kolejnych dekadach było to już niemożliwe. W latach pięćdziesiątych praktyka i literatura psychoanalityczna zostały zakazane, a prace Dosužkova w większości nie zostały opublikowane mimo jego starań o powiązanie myśli psychoanalitycznej z dominującymi wówczas naukami Pavlova. Jednocześnie to właśnie czeskie powojenne środowisko psychoanalityczne wywarło kluczowy wpływ na polskich lekarzy, którzy w latach sześćdziesiątych zmuszeni byli do szukania edukacji psychoanalitycznej poza granicami własnego kraju.

## Podsumowanie

Tuż po wojnie działalność ruchu psychoanalitycznego w Europie Środkowej sprowadzała się do dążenia do wypracowania nowych struktur instytucjonalnych dla środowisk analitycznych. Po 1945 roku działalność środkowoeuropejskich psychoanalityków koncentrowała się w dużych miastach, gdzie postępująca instytucjonalizacja nauk psychomedycznych na krótko umożliwiła praktykowanie i dyseminację wiedzy psychoanalitycznej w ramach struktur państwowych. Innym istotnym elementem odbudowy dziedzictwa psychoanalitycznego po wojnie było budowanie i podtrzymywanie sieci relacji między psychoanalitykami rozsianymi po Europie i Stanach Zjednoczonych. To właśnie rozrastające się od początku historii ruchu psychoanalitycznego sieci kontaktów między lokalnymi środowiskami psychoanalitycznymi, a także kolektywna praktyka organizowania się (nieformalne spotkania, dyskusje, szkolenia) umożliwiły przetrwanie freudyizmu w poszczególnych krajach środkowej Europy mimo wrogości władz, narastającej od końca lat czterdziestych na Węgrzech i w Czechosłowacji. Odradzające się w latach 1945–1949 struktury towarzystw oraz grup studyjnych odpowiadały za prowadzenie terapii, wypracowywanie modeli szkoleniowych, a także rozwój i transmisję wiedzy psychoanalitycznej. Okres powojenny obudził w środowiskach psychoanalitycznych nadzieję i wiarę w możliwość odrodzenia ruchu psychoanalitycznego w Europie Środkowej. Reaktywacja Wiedeńskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego w 1946 roku okazała się istotnym punktem odniesienia dla środowisk psychoanalitycznych na Węgrzech oraz w Czechosłowacji. Jednocześnie dla psychoanalityków mieszkających w Stanach Zjednoczonych bądź w Europie Zachodniej odbudowa wspólnot psychoanalitycznych w krajach dawnego bloku wschodniego miała wartość przede wszystkim symboliczną – była realną szansą na przywrócenie ciągłości przedwojennej i powojennej historii ruchu psychoanalitycznego.

O ile po pierwszej wojnie światowej psychoanalitcy migrowali przede wszystkim między różnymi krajami Europy, tuż przed i w czasie drugiej wojnie światowej kierowali się głównie za ocean. Tym samym wspólnota psychoanalityczna w Europie doznała pierwszego potężnego wstrząsu. Począwszy od końca lat czterdziestych XX wieku środkowoeuropejscy psychoanalitcy musieli sprostać wyzwaniu: powrócić do „podziemia” i kontynuować swe praktyki w ukryciu. Przykład odnowy ruchu psychoanalitycznego w Budapeszcie po 1945 roku świetnie pokazuje, że rozwój i transfer wiedzy były uzależnione nie tylko od działań podejmowanych lokalnie lub wewnątrz danego środowiska (w tym wypadku Węgierskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego), lecz także od wnikięcia refleksji psychoanalitycznej w struktury instytucji państwowych, takich jak uniwersytety, akademie, szpitale oraz instytuty świadczące pomoc psychologiczną. W ten sposób możliwe stało się też zmierzenie się od wewnątrz z powszechną wówczas w Europie Środkowej i Wschodniej krytyką psychoanalizy, jak i niejawnie jej praktykowanie w obliczu narastającej cenzury lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W kontekście czechosłowackim natomiast brak wypracowania trwałych struktur instytucjonalnych przed wybuchem drugiej wojny światowej oraz emigracja najważniejszych analityków za ocean stały się bezpośrednią przyczyną szybkiego załamania się aktywności tamtejszego środowiska psychoanalitycznego po roku 1948. Przypadek czeski jest tym ciekawszy, że psychoanalitcy działający w Pradze w latach trzydziestych XX wieku – i rozwijający w łonie ruchu psychoanalitycznego myśl lewicową – mieli w istocie szansę przyczynić się do powstania silnej opozycji wobec powojennej krytyki



freudyzmu sprowadzającej psychoanalizę do burżuazyjnej ideologii. Nie udało im się to jednak ze względu na ucieczkę Fenichela oraz związanych z nim analityków z Europy.

Transnarodowy charakter ruchu psychoanalitycznego widoczny zarówno w pierwszych dekadach jego rozwoju, jak i po wojnie skłania do dogłębnego przemyślenia przydatności perspektywy „narodowej” w badaniu historii ruchu psychoanalitycznego. Przykład kształtowania i transmisji wiedzy psychoanalitycznej w Europie Środkowej ujawnia niebezpieczeństwa związane z konceptualizacją działalności środowisk psychoanalitycznych jako aktywności poszczególnych środowisk freudowskich: austriackich, węgierskich i czeskich. Podjęte w tekście mapowanie sytuacji wspólnot psychoanalitycznych w Europie Środkowej dobrze pokazuje, że pojęcie „psychoanaliz narodowych” nie pozwala oddać charakteru i specyfiki funkcjonowania środowisk psychoanalitycznych ukształtowanych w atmosferze międzynarodowej współpracy oraz konieczności nieustannej migracji. Dlatego właśnie badanie powojennej historii ruchu psychoanalitycznego w Europie Środkowej z perspektywy międzynarodowej, a także dowartościowującej refleksję nad dynamiką i modelami transmisji wiedzy – które w przypadku rozwoju teorii i praktyki psychoanalitycznej w XX wieku działają w wymiarze zarazem lokalnym i ponadlokalnym, krajowym i ponadnarodowym – pozwala na dokładniejsze przyjrzenie się alternatywnym obiegom wiedzy (teoria i praktyka psychoanalityczna) i edukacji (struktury szkoleniowe dla przyszłych psychoanalityków). Przypadek środkowoeuropejskich środowisk freudowskich po 1945 roku dobrze pokazuje, że transmisja wiedzy opierała się na zawiązywaniu i podtrzymywaniu sieci relacji osobistych (intelektualnych i przyjacielskich) oraz instytucjonalnych (przyłączanie się towarzystw krajowych do IPA) i odbywała się w wymiarze krajowym (wewnątrz lokalnego towarzystwa bądź grupy) oraz ponadnarodowym (korespondencja oraz inne dokumenty piśmienne przesyłane sobie przez analityków, coroczne międzynarodowe kongresy psychoanalityczne, odbywające się w różnych częściach świata). Podsumowując, rozwój wspólnot psychoanalitycznych w Europie Środkowej miał charakter wyraźnie relacyjny, transnarodowy i zarazem wybitnie lokalny. Może to stanowić – jak sądzę – istotną wskazówkę dla współczesnych intelektualistów i humanistów, którzy coraz częściej muszą (i będą musieli) poszukiwać możliwości (samo)rozwoju oraz ekspresji poza bądź wbrew instytucjonalnym wymogom akademii.

## PRZYPISY

\* Artykuł stanowi skróconą i zmienioną wersję tekstu pt. *Theories and Practices of Psychoanalysis in Central Europe Immediately after World War II*, który ukazał się na łamach „The International Journal of Psychoanalysis” 2022, t. 103, nr 5, s. 828–850.

1 Badania nad historią ruchu psychoanalitycznego w Europie Środkowej i Wschodniej rozwijają się począwszy od lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Z niewielkimi wyjątkami większość z nich stanowią opracowania o charakterze *case studies*, koncentrujące się na psychoanalizie w wybranym kraju (Polsce, Czechach, na Słowacji czy na Węgrzech). W artykule staram się poszerzyć taką perspektywę. Ponadto kładę nacisk na praktyki kształtowania i transmisji wiedzy, co wpisuje się w obszar badawczy antropologii wiedzy, która pyta o organizację świata naukowego (struktury instytucjonalne, modele produkcji i transmisji wiedzy, wewnętrzną organizację środowisk intelektualnych), przyjmuje szeroką definicję wiedzy (wiedza naukowa/instytucjonalna, jak i pluralistycznie pojęte wiedze lokalne i pozaintelektualne), a także bada dynamikę produkcji tożsamości naukowców i środowisk intelektualnych (np. tożsamość dyscyplinarna, tożsamość humanistyczna, tożsamość psychoanalityczna) oraz podkreśla relacyjny i procesualny charakter kształtowania i transferu wiedzy.

2 Szczególnie w przypadku węgierskim, zob. J. Mészáros, *The Tragic Success of European Psychoanalysis: „The Budapest School”*, „International Forum of Psychoanalysis” 2010, nr 7, s. 207, 214.

3 Zob. T. Aichhorn, E. Mühleitner, *Auf den „Trümmern” der Psychoanalyse. Wiener Psychoanalytikerinnen während und nach dem Krieg*, „Luzifer-Amor” 2003, nr 32, s. 66–98.

4 Trzeba oczywiście pamiętać, że psychoanaliza – obok marksizmu – stała się istotną inspiracją dla szkoły frankfurckiej. Freudyzm rozumiany jako krytyczna teoria społeczna, którą należy połączyć z marksizmem, ukształtował myśl wielu spośród jej przedstawicieli. Analizę przeszli Max Horkheimer, Leo Löwenthal, a także Erich Fromm (związany ze szkołą do 1939 roku), który jako jedyny ją też praktykował. O ile jednak dla jej przedstawicieli psychoanaliza stała się teorią krytyczną (oddzieloną od praktyki), dla międzywojennych lewicowych środowisk psychoanalitycznych była ona rewolucyjnym środkiem terapeutycznym mającym doprowadzić do realnej zmiany społecznej (jak u Siegfrieda Bernfelda, Wilhelma Reicha oraz Otto Fenichela). Zob. M. Jay, „In Psychoanalysis Nothing Is True but the Exaggerations”: *Freud and the Frankfurt School*, w: tegoż, *Splinters in Your Eye: Frankfurt School: Provocations*, London–New York 2020; C.F. Alford, *Levinas, The Frankfurt School and Psychoanalysis*, London 2002.

- 5 T. Aichhorn, „Die Psychoanalyse kann nur dort gedeihen, wo Freiheit des Gedanken herrscht“, „Luzifer-Amor“ 2003, nr 31, s. 106-107.
- 6 Zob. T. Aichhorn, E. Mühlleitner, *Auf den „Trümmern“ der Psychoanalyse...*, dz. cyt. Tytuł artykułu jest także symptomatyczny dla współczesnego rozumienia historii psychoanalizy (słowo *Trümmern* oznacza ruiny), s. 74.
- 7 Tamże, s. 74, 76-77.
- 8 Zob. I. Klingenberg, *Psychoanalysis in Exile: Early Migration in the Shadow of the Holocaust and the Psychoanalytic Study Group in Prague*, w: K. White, I. Klingenberg (red.), *Migration and Intercultural Psychoanalysis. Unconscious Forces and Clinical Issues*, London 2021, s. 11. Taka sytuacja wynikała przede wszystkim z nieobecności psychoanalizy w oficjalnym kształceniu akademickim. W trudnych warunkach powojennych, wymagających odbudowy miast i życia społecznego, psychoanalizy musieli znaleźć dla siebie przestrzeń zatrudnienia zawodowego. Jako lekarze i psychologowie znaleźli taką możliwość przede wszystkim w powstających zaraz po wojnie instytucjach medycznych, oferujących pomoc terapeutyczną. Jednocześnie w tym samym czasie psychoanaliza – właśnie jako teoria społeczna i filozoficzna – przeniknęła do refleksji humanistycznej wraz ze szkołą frankfurcką.
- 9 T. Aichhorn, E. Mühlleitner, *Auf den „Trümmern“ der Psychoanalyse...*, dz. cyt., s. 79.
- 10 List wysłany przez Thomasa Aichhorna do Daniela Finzi (2021); dzięki uprzejmości Das Sigmund Freud Museum in Wien.
- 11 T. Aichhorn, E. Mühlleitner, *Auf den „Trümmern“ der Psychoanalyse...*, dz. cyt., s. 78. Jako symboliczne można potraktować siedemnaste wydanie *Objaśnienia marzeń sennych*, a więc książki założycielskiej dla psychoanalizy, które ukazało się w Wiedniu w 1945 roku, następnie zaś *Trzech rozpraw z teorii seksualnej* w roku 1946, tamże, s. 78.
- 12 T. Aichhorn, „Die Psychoanalyse kann nur dort gedeihen“..., dz. cyt., s. 117.
- 13 Tamże.
- 14 J. Mészáros, *Progress and Persecution in the Psychoanalytic Heartland: Antisemitism, Communism and the Fate of Hungarian Psychoanalysis*, „Psychoanalytic Dialogues” 2010, nr 20, s. 600.
- 15 S. Bernfeld, *Ist Psychoanalyse eine Weltanschauung?*, „Zeitschrift für psychoanalytische Pädagogik” 1928, nr 2(7), s. 201-208. Zob. S. Bernfeld, *Czy psychoanaliza jest światopoglądem*, przeł. M. Chojnacki, w: A. Sobolewska (red.), *Imago psychoanalizy*, Gdańsk 2021.
- 16 *Aus dem Archiv der Psychoanalyse: „Briefe eines Entronnenen“*. István Hollós an Paul Federn (17. 2.1946), „Psyche. Zeitschrift für Psychoanalyse und ihre Anwendungen” 1974, nr 28, s. 266-267.
- 17 E. Kobylińska-Dehe, K. Prot-Klinger (red.), *Jak feniks z popiołów? O odradzeniu się psychoanalizy w powojennej i dzisiejszej Polsce*, Kraków 2021, s. 6-7.
- 18 M. Kovai, *Lélektan és politika. Pszichotudományok a magyarországi államszocializmusban 1945-1970*, Budapest 2016, s. 62. O ile nie zaznaczono inaczej, obcojęzyczne cytaty w moim tłumaczeniu – A.S.
- 19 J. Mészáros, *Progress and Persecution...*, dz. cyt., s. 606.
- 20 W Archiwum Sándor Ferenczi Ház znaleźć można materiały ukazujące starania węgierskich psychoanalityków o ułatwienie przepływu idei między nimi a międzynarodową wspólnotą psychoanalityczną. Jedną z wybitnych analityczek, które opuściły Węgry w czasie drugiej fali emigracji, była Edit Gyömrői Ludowyk, kuzynka Istvána Hollósa i analityczka poety Attili Józsefa. Dołączyła ona do węgierskiego ruchu psychoanalitycznego po V Kongresie Psychoanalitycznym w Budapeszcie. W latach pięćdziesiątych XX wieku osiadła w Anglii, gdzie szybko zyskała uznanie. Wcześniej jednak, w kwietniu 1946 roku, otrzymała list od E. Thomasa z Cambridge, w którym wyraził on chęć dyskusji nad jej doktoratem zatytułowanym *Miracle and Faith in Early Buddhism*. Dobrze pokazuje to zainteresowanie, z jakim prace powstające w szkole budapeszteńskiej spotykały się poza Węgrami, a także dowodzi przesyłania sobie rękopisów między lokalnymi środowiskami freudystów. Z drugiej jednak strony w pierwszych kilku latach odradzania się psychoanalizy na Węgrzech trudności ekonomiczne istotnie utrudniały analitykom dostęp do aktualnego stanu wiedzy psychoanalitycznej. W 1952 roku István Hollós korespondował z amsterdamskim środowiskiem psychoanalitycznym, wyrażając swój żal, że nie stać go na wykupienie dostępu do najnowszych publikacji.
- 21 J. Mészáros, *Progress and Persecution...*, dz. cyt., s. 608.
- 22 Z powodu *numerus clausus* wprowadzonego na Węgrzech po 1920 roku Mérei nie mógł studiować w swoim kraju i wyjechał do Paryża, gdzie ukończył studia na Sorbonie. W tym czasie blisko współpracował z Henri Wallonem, którego teorie były również ważną inspiracją dla Jacques’a Lacana. Po powrocie do kraju Mérei zatrudnił się w ambulatorium psychoterapeutycznym Jewish Patronage Association zarządzanym przez psychologa Julię György. W 1944 roku zaciągnął się do Armii Czerwonej, a po 1945, współpracując z władzami, mógł otwarcie prowadzić badania i organizować życie naukowe psychologów na Węgrzech.
- 23 M. Šebek, *Psychoanalytic Training in Eastern Europe*, „Journal of the American Psychoanalytic Association” 1999, nr 47, s. 983-984.
- 24 M. Šebek, *Psychoanalysis in Czechoslovakia*, „Psychoanalytic Review” 1993, nr 80, s. 433.
- 25 Wśród formalnych członków czeskiej grupy studyjnej byli: Frances Deri, Annie Reich, Heinrich i Yela Löwenfeld, Otto Brief, Hannah Heilbron, Emanuel Windholz, Jan Frank, Richard Karpe, Kristine Olden oraz Elisabeth Gero-Heimann, zob. M. Šebek, *Psychoanalytic Training in Eastern Europe...*, dz. cyt., s. 984-985.
- 26 E. Mühlleitner, *Biographisches Lexikon der Psychoanalyse. Die Mitglieder der Psychologischen Mittwoch-Gesellschaft und der Wiener Psychoanalytischen Vereinigung 1902-1938*, Tübingen 1992, s. 93-94.

<sup>27</sup> Na łamach czasopism psychoanalitycznych Fenichel publikował artykuły poświęcone między innymi: związkowi psychoanalizy i metafizyki (1923), kompleksowi kastracji (1925), mechanizmowi identyfikacji (1926), dziecięcym teoriom seksualnym (1927), analizie snów (1927), psychologii transwestytyzmu (1930), specyficznym formom kompleksu Edypa (1931), psychologii zazdrości (1935), instynktowi śmierci (1935), por. O. Fenichel, *The Collected Papers of Otto Fenichel*, red. H. Fenichel, D. Rapaport, New York 1953.

<sup>28</sup> Zob. O. Fenichel, *119 Rundbriefe: 1934-1945*, red. J. Reichmayr, E. Mühlleitner, Stroemfeld 1998.

<sup>29</sup> M. Conci, *Freud, Ossipow and the Psychoanalysis of Migration*, „Psychoanalysis and History” 2013, nr 15, s. 222-223.

<sup>30</sup> Zob. M. Šebek, *Psychoanalysis in Czechoslovakia...*, dz. cyt., s. 436-437.

<sup>31</sup> Tamże, s. 434.

Marta Rakoczy

# Witkacy: pisanie ekscentryczne. W stronę kulturowych historii alternatywnych praktyk pisarstwa humanistycznego

**W**

e wstępie do *Narkotyków* z 1932 roku Stanisław Ignacy Witkiewicz stwierdził, że zajmował się dotychczas „swobodną twórczością” i „śpiewaniem ptaszka na gałęzi”. Z tego właśnie powodu – jak pisał – „nic dla społeczeń-

stwa i narodu” zrobić nie mógł<sup>1</sup>. Tym razem jednak, pisząc „poważnie” i chcąc „wreszcie coś bezpośrednio pożytecznego zdziałać”, chciał pokazać, że substancje psychoaktywne są świadectwem kryzysu europejskiego i wielkimi „wrogami ludzkości”<sup>2</sup>. Fakt, że w związku z tonem „w sformułowaniu gorzkich prawd” jego dotychczasowe prace, także filozoficzne i estetyczne, były, jak twierdził, przez „idiotów” czytane „humorystycznie lub negatywnie” jako „swobodne wytwory”<sup>3</sup> – został przywołany w *Narkotykach* z wyraźną goryczą. Oczywiście ironia Witkacego nie pozwalała mu zrezygnować z humoru, szyderstw i skrajnego uwolnienia pisarskiej swobody w opisach narkotycznych wizji, w których „przeważają potwory lądowe i morskie i straszne mordy ludzkie”, „baran z nosem flaminga, ze zwieszającym się różowym flaczkim”, z którego „powyłażyły okularniki – w ogóle cały rozlał się na masę węży”<sup>4</sup>.

Witkacy poświadcza tu, podobnie jak w wielu innych tekstach, że nie pisze w sposób, który z perspektywy współczesnych mu czytelników wydaje się „poważny” lub „naukowy”. Przekonanie to nie było subiektywną fantazją lub literacką fikcją. Twórcy monadologicznego rozwiązania problemu psychofizycznego zarzucano wówczas nieprofesjonalizm i amatorstwo filozoficznego pisania. Podobne zarzuty formułowano także później, krytykując jego rzekomo niekonkluzywne, niejasne i bezwartościowe uwagi czynione na marginesach książek filozoficznych. Jak widać, sarkastyczna ironia, brak powagi i swoboda pisarska owocująca eksperymentowaniem z gatunkami i stylistykami pisania wykluczały się w czasach Witkacego ze społeczną użytecznością, przypisywaną nauce jako instytucji oraz właściwym dla niej tekstom. Na ten zarzut autor *Narkotyków* był wyjątkowo czuły. I co więcej, wyprowadzał z niego konsekwencje, które mogą inspirować do dyskusji o współczesnym pisaniu akademickim.

W tekście tym, wbrew argumentom padającym we współczesnych dyskusjach na temat kryzysu humanistyki, będę starała się dowiedzieć, że scjentyfikacja i utylitaryzacja humanistyki rozpoczęły się znacznie wcześniej niż po 1989 roku. Neoliberalne urządzenie obecne w skali globalnej od drugiej połowy XX wieku zaostrzyło zaś i przekształciło tendencje obecne w świecie zachodnim znacznie wcześniej. Wykażę też, że historie akademickich praktyk pisania są zarówno dobrym źródłem do badania trajektorii przemian, w obliczu których znajdujemy się obecnie,

---

Marta Rakoczy,  
*Witkacy: pisanie  
ekscentryczne.*  
*W stronę kulturowych  
historii alternatywnych  
praktyk pisarstwa  
humanistycznego,*  
„Almanach  
Antropologiczny.  
Communicare” 2024,  
t. 9, s. 154-166.

jak i fascynującym polem poszukiwań alternatyw i rozwiązań w postaci nowych form myślenia o pisaniu naukowym oraz uprawiania humanistyki poprzez pisanie i czytanie tekstów. Teksty bowiem nie są autonomicznymi bytami, które znaczą poprzez własną treść i formę<sup>5</sup>. Są sposobami działania, poprzez które, jak pisze Charles Bazerman, ludzie tworzą nowe relacje, nową wiedzę oraz znaczenia<sup>6</sup>.

Przypadek Witkacego prowokuje liczne pytania. Po pierwsze, jakie standardy tekstowe i instytucjonalne w pierwszej połowie XIX wieku decydowały o uznaniu tekstu za amatorski i ekscentryczny lub profesjonalny i jakie były tego przyczyny? Po drugie, co znaczyło wówczas pisanie tekstu konkluzywnego, jasnego i precyzyjnego? Kiedy spójność i autonomiczność semantyczna tekstu zaczęła być interpretowana jako właściwy efekt pisarstwa humanistycznego? Po trzecie, jaka była funkcja notatek filozoficznych Witkacego? I po czwarte: na czym miała polegać owa profesjonalizacja, która najlepiej udała się bliskiemu mu Bronisławowi Malinowskiemu, którego pracy pisarskiej i akademickiej Witkacy przyglądał się z fascynacją, ale i z krytycznym dystansem?

Pytania te mają ścisły związek ze współczesną sytuacją instytucjonalną uniwersytetu, zmierzają bowiem do skonsolidowania refleksywnych wysiłków badawczych na samym uniwersytecie i jego praktykach tekstowych. Praktyki te, stojąca za nimi tradycja i nowe koncepcje uprawiania humanistyki za każdym razem prowokują nowe dla akademii pytania o etyczny, społeczny i polityczny wymiar pisania, kryteria społecznej ewaluacji wiedzy, rolę doświadczenia egzystencjalnego i niepowtarzalnych idiomów jednostkowej ekspresji w tekście humanistycznym. Każą też pytać o moc sprawczą tekstu w świecie poddanym ekonomii „produktów” i „efektów”, nie zaś relacji i procesów.

---

## Pismo, wiedza, nauka

„Pisanie – stwierdzał w książce *Shaping Written Knowledge* Charles Bazerman – jest działaniem w społeczeństwie: teksty pomagają organizować jego praktyki i struktury; czytanie zaś jest formą uczestnictwa w społecznym życiu. Tak więc mówienie o pisaniu jest mówieniem o socjologii. W odniesieniu do filozofii pisanie jest deklaracją tego, co wiemy, a czytanie jest sposobem uczenia się; jego epistemologiczne implikacje wciąż wykraczają poza to, co zapisane. Teksty pisane i czytane są ważnymi wydarzeniami historycznymi, a dynamika komunikacji ucieleśnia mechanizmy historyczne; proponując relacje z wydarzeń historycznych napisane z wrażliwością retoryczną, odkrywamy nowe wymiary historii<sup>7</sup>. W przywołanej książce Bazerman łączył perspektywę socjologii i filozofii nauki z historycznymi i językoznawczymi studiami nad pismem i gatunkami pisanymi. Pokazywał, w jaki sposób pismo i różne formy symbolicznego grafizmu, generowane przez naukę zachodnią w trakcie jej rozwoju, były uwikłane w tworzenie wiedzy i towarzyszącej jej epistemologii, a także za pomocą jakich gatunków, tropów retorycznych i praktyk komunikacyjnych, właściwych społecznościom badawczym, nauka budowała własne sądy, metody, w końcu zaś prestiż i znaczenie. A także jaki kontekst społeczny powodował, że określone teksty zyskiwały określone sensy.

Bazerman w swojej książce analizował historię piśmienności naukowej, wychodząc od rekonstrukcji historycznych i społecznych przemian właściwych dla nauk przyrodniczych i społecznych, koncentrując się przede wszystkim na historii raportu z eksperymentu. Wiele jego ustaleń dawało się jednak zastosować do historii tekstów humanistycznych i praktyk ich pisania. W wypadku nauk późnonowożytnych publikacja rozważań zaprezentowana w postaci mniej lub bardziej znormatywizowanego tekstu była podstawą oceny zarówno czyichś osobistych osiągnięć w danej dziedzinie naukowej, jak i szerszego, niekoniecznie linearnego rozwoju ludzkiej myśli. Oznacza to, że w naukach ukonstytuowanych w zachodniej nowożytności powstała nachylenia tekstowego i towarzyszący jej epistemologiczny reprezentacjonizm – zakładający, że tekst naukowy stanowi przede wszystkim wierne przedstawienie określonego wycinka analizowanej rzeczywistości – wyznaczały dominujący sposób czytania i pisania tekstów. Przekonanie, że w tekście – rozprawie lub traktacie – można zawrzeć system filozoficzny stanowiący efekt procesu myślenia i że pisanie jest bezpośrednim przedstawieniem procesów dziejących się w umyśle jednostki, tworzącej określony, autonomiczny semantycznie obraz świata, było także

częścią nachylenia tekstowego. Co więcej, nachylenie to sprawiało, że pisanie postrzegane było jako instrument intelektu, a nie ciała – narzędzie oderwane od świata materialnego i społecznego zapośredniczonego przez określone instytucjonalnie wspólnoty piśmienne.

Krótko mówiąc, to, jak się pisze i że się pisze, wydawało się z perspektywy nachylenia tekstowego bez znaczenia. Koncentracja na treści tekstu, nie zaś jego kontekście egzystencjalnym, historycznym, cielesnym, biograficznym, materialnym i instytucjonalnym, powodowała, że sam tekst wydawał się zamkniętą wypowiedzią, nie zaś śladem i katalizatorem procesu, dziejącego się w życiu społecznym i na niego zwrotnie oddziałującym. Tymczasem ów proces i kontekst instytucjonalny, zapośredniczony przez praktyki badawcze, rzeczy i podmioty w nie zaangażowane, były kluczowe dla czytania, pisania i rozumienia tekstów oraz przekładania ich na to, co pozatekstowe. Zrozumienie tego pozwoliło dostrzec, że humanistyka nie jest zbiorem dyscyplin naukowych opartych na określonym kanonie tekstów – przetwarzanych i generujących teksty nowe. Humanistyka jest pewnym środowiskiem, wymagającym określonej społeczności, praktyk, mniej lub bardziej sformalizowanych więzi, generującym zinstytucjonalizowane wzorce osobowe oraz profesjonalne etosy. Środowisko to w pewnym momencie historycznym zaczęło być utożsamiane prawie wyłącznie ze zinstytucjonalizowanym życiem akademickim, zrzeszającym badaczy prowadzących badania naukowe lub przekazujących określone kompetencje swoim wychowankom. Był to moment jednak dość późny. Ponadto, jak sądzę, moment ten zbiegł się niefortunnie z chwilą zdiagnozowania kryzysu uniwersytetu jako instytucji podporządkowywanej w coraz większym stopniu polityce państwa narodowego, będącego wspólnotą polityczną nastawioną głównie na ekspansję ekonomiczną i technologiczną.

### „Dlaczego wiedza jest potęgą?”

Tezę, że współczesny uniwersytet stracił funkcję kulturotwórczą, stając się fabryką tworzenia słabych, odtwórczych i poddanych politycznym i ekonomicznym naciskom tekstów, stawiał już w XIX wieku Fryderyk Nietzsche. Mówiąc o polityczności i policyjności nowoczesnej myśli, Nietzsche wymieniał „rządy, kościoły, akademie, obyczaje i ludzkie tchórzostwo”<sup>8</sup> jako zjawiska, które sprowadzają myśl do „uczonego pozoru”<sup>9</sup>. Co ciekawe, autor *Poza dobrem i złem* nie był bynajmniej profetą. Termin „polityka naukowa” – którego kariera była związana z rosnącą kontrolą państwa nad życiem akademickim – w czasach Nietzschego był już dobrze znany<sup>10</sup>. Jego geneza wiązała się z wyścigiem między nowoczesnymi państwami narodowymi na polu technologii i ekonomii, który z czasem objął swym zasięgiem – za pomocą kolejnych wynalazków przemysłowych i komunikacyjnych – cały glob<sup>11</sup>. A także z próbami wpiśnięcia dyskursów naukowych w legitymizację bieżącej polityki państw zachodnich. Już w 1868 roku rektor jednego z amerykańskich uniwersytetów Andrew White twierdził, że „Powinniśmy wykładać historię w taki sposób, żeby można ją było zastosować do najpilniejszych potrzeb naszego czasu. To nie są czasy na wytworne i uczone badania kwestii wyłącznie akademickich”<sup>12</sup>. Nic zatem dziwnego, że metafory mówiące o technologicznej wydajności są używane, często nieintencjonalnie, na polu dyskursywnym ówczesnej filozofii. Pojawiają się także u Witkacego, który w jednym ze swoich późniejszych tekstów pisze:

Logika pokładów rudy danego materiału (przychodzą mi na myśl maszyny w kopalni złota w Kalgoorlie w Australii, gdzie kruszec rozsiany jest w postaci pyłu w kwarcytowej skale i wydobywany musi być drogą chemiczną). Zdawałoby się oczywiście, że im potężniejszy będzie aparat techniczny, tym większa będzie wydajność danej kopalni. Ale niestety aparat logiczny nie ma dalekich możliwości rozwoju [...]”<sup>13</sup>.

Znacznie wcześniej Nietzsche, widząc coraz ściślejszy alians polityki, technologii, ekonomii i nauki, porównywał akademie niemieckie do innych instytucji państwa nowoczesnego. Zaś współczesnych sobie naukowców, produkujących coraz cieńsze i zestandaryzowane intelektualnie książki, do kur zmuszonych do masowej produkcji jajek. Wizją uniwersytetu rządziła

u Nietzschego metafora fabryki, wykorzystywana także na początku XX wieku przez francuskich surrealistów. „Europa się krystalizuje, ulega powolnej mumifikacji pod zwojami swoich granic, fabryk, trybunałów, uniwersytetów”<sup>14</sup> – pisał w 1925 roku André Breton w liście do rektorów. Uczelnie współczesne produkowały, zdaniem Bretona, nie tylko rzeczy, lecz także i przede wszystkim stosownie sformatowanych pracowników: „fałszywych, ślepych mędrców”; „inżynierów, prawników, lekarzy”, którym kadry uniwersyteckie w sposób uzurpatorski rozdają „dyplomy ducha”, „stawiając” jednocześnie „siebie na czele ludzkości”<sup>15</sup>.

Nieco później i w nieco innym kontekście geopolitycznym Ludwig Wittgenstein namawiał swoich uczniów do rezygnacji z uprawiania filozofii akademickiej, twierdząc, że na współczesnym mu uniwersytecie zbyt łatwo pisze się głupie książki, które co gorsza są dyskutowane i wykorzystywane do tworzenia mniej lub bardziej modnych, bezwartościowych intelektualnie dyskursów. Wittgenstein nie tylko demonstracyjnie odmawiał stosowania się do uniwersyteckich rytuałów, w tym robienia rutynowej kariery naukowej. Odmawiał też posługiwania się akademicką terminologią przy formułowaniu problemów filozoficznych, konsekwentnie stylizując się na osobę, która niczego z ówczesnego pisarstwa naukowego nie czyta. Jego konsekwentny zwrot w stronę języka potocznego nie był związany jedynie z obraniem nowego przedmiotu badań filozoficznych. Oznaczał odwrót od akademii oraz próbę dowiedzenia, że język potoczny jest wystarczającym narzędziem, by formułować problemy nowe, zdolne przeorać dotychczasowe sposoby humanistycznego myślenia i działania. Ów powrót do języka lub światopoglądu potocznego – dodajmy na marginesie: jako niezbywalnego punktu wyjścia wszelkiej naukowej lub filozoficznej ontologii – cechował także twórczość filozoficzną Witkacego<sup>16</sup>.

Oba te przypadki – Nietzschego i Wittgensteina – dotyczyły, rzecz jasna, innych kontekstów akademickich. Uniwersytety niemieckie i brytyjskie w XIX i XX wieku były radykalnie różne. Obaj myśliciele mówili jednak o tym, że kryzys uniwersytetu jako instytucji definiowanej poprzez produkcję spełniających określone standardy tekstów rozpoczął się znacznie wcześniej i stał się impulsem tworzenia nowych praktyk i gatunków piśmiennych. Znacznie wcześniej też nie tylko zaczął być tematyzowany, lecz także stał się punktem wyjścia do eksperymentowania z formą tekstu, które miało zakwestionować dotychczasowe pisanie akademickie; wprowadzić do niego nowe gatunki i spowodować, że tekst będzie ewokował alternatywne praktyki myślenia i działania.

Oczywiście, nowoczesny alians wiedzy stosowanej oraz władzy, której depozytariuszem pozostawało w wieku XX państwo narodowe, uczestniczące coraz intensywniej w transferach pracy, technologii i pieniędzy, jest zbyt wyeksploatowanym skrótem myślowym, by za jego pomocą opisać nie tylko motywacje pisarskie Witkacego, lecz także złożoną historię praktyk pisania humanistyki i świata akademickiego międzywojennej Polski. Foucaultowskie założenie o aliansie wiedzy i władzy jako wyznaczniku nowoczesności jest także zbyt mocno poddyktowane doświadczeniami Zachodu innymi niż doświadczenia kulturowe Europy Środkowo-Wschodniej, która wchodziła w orbitę nowoczesności bez bagażu kolonializmu oraz bez rozwiniętych podstaw technologiczno-ekonomicznych będących motorem intensywnej modernizacji i nowoczesnych ambicji imperialnych. Przykładowo, Nietzsche piętnował słabości niemieckich „zakładów kształceniowych”<sup>17</sup>. Zarzucał im niemające nic wspólnego z kształceniem hołubienie erudycji, stępiającej umysł i zmysły, oraz zwyrodnienie w postaci podporządkowania kultury celom państwa<sup>18</sup>. Ale czynił to w kraju, w którym przeprowadzono w XIX wieku powszechną alfabetyzację i skolaryzację i w którym można było traktować masowość określonej postaci wiedzy i jej transmisji jako problem kulturowy. Trójstopniowe szkolnictwo (szkoły podstawowe, średnie i uniwersytety) stało się wówczas w Niemczech podstawą budowania nowoczesnego, opartego na rozwiniętej kulturze prawnej społeczeństwa klasowego. Społeczeństwa, które w oparciu o pozorne, związane z edukacyjnym wysiłkiem jednostki możliwości awansu społecznego, decydowało o parcelacji obywateli na klasę pracującą fizycznie, klasę urzędniczą średniego szczebla oraz sprawcze, formułujące bieżącą politykę państwową, wykształcone elity<sup>19</sup>.

Tymczasem kilkadziesiąt lat później w niepodległej już Polsce działało jedynie kilka szkół wyższych. Czynne intelektualnie elity były w dużej mierze wykształcone zagranicą. Nie przypadkiem Kazimierz Twardowski był uczniem Franza Brentana, a Roman Ingarden – Edmunda Husserla. Kariera krajowa oznaczała wówczas rezygnację z kariery międzynarodowej i trudne

wybory tożsamościowe obecne w życiorysach takich badaczy jak choćby Bronisław Malinowski czy Florian Znaniecki. Mimo ogromnego wysiłku rządzących i obywateli zaangażowanych w mniej lub bardziej zinstytucjonalizowane inicjatywy samokształceniowe, masowa piśmienność pozostawała wówczas nadal mrzonką. Nowoczesna standaryzacja myślenia i pisanie oraz podporządkowanie ich technologiom władzy nie były wówczas podstawowymi problemami polskiego życia akademickiego. Nic dziwnego, że czterdzieści lat po prelekcjach Nietzschego, w wystąpieniu z 1912 roku Twardowski walczył o egalitarną, dostępną dla nieuprzywilejowanych edukację akademicką.

Jego projekt był wyraźnie wymierzony przeciwko ówczesnemu – jak twierdził – mętnemu, jałowemu i abstrakcyjnemu pisaniu na galicyjskich uniwersytetach, podporządkowanym urzędniczemu rygorystomowi. Twardowski utożsamiał wiedzę z postępem, twierdząc, że jest ona potęgą pozwalającą osiągnąć wyższy szczebel kultury moralnej. O ile Nietzsche twierdził, że wizje edukacji jako dostarczycielki elitarnego wykształcenia i masowych narzędzi użytecznych w walce o byt są całkowicie rozłączne, o tyle Twardowski, w oparciu o polski kontekst społeczny, twierdził, że wizje te nie powinny tworzyć alternatywy. Dążenie do wiedzy ma charakter autoteliczny, ale jego efektem może być poprawa życia społeczeństwa i jednostek poprzez opartą na filozofii kulturę duchową, myślenie krytyczne oraz walkę zarówno z obskurantyzmem, jak i sceptycyzmem. Co więcej, projekt Twardowskiego nie był oparty na ogólnikach. Był oparty na konkretnych pomysłach propedeutycznych, wspartych intensywną pracą organizacyjną na rzecz edukacji filozoficznej.

W artykule z 1918 roku *O potrzebach filozofii polskiej* Twardowski uznawał za konieczne wprowadzenie edukacji filozoficznej w szkołach średnich, stworzenie centralnej, polskiej biblioteki filozoficznej i polskiego słownika filozoficznego, dokonanie większej liczby przekładów dzieł filozoficznych, opracowanie dziejów filozofii oraz „wypisów” z fragmentów dzieł klasyków filozofii do zajęć ze studentami, w końcu zaś postulował ufundowanie stypendiów dla adeptów filozofii<sup>20</sup>. Oczywiście, projekt Twardowskiego był pod wieloma względami bliski klasycznym, formułowanym u zarania nowożytności ideałom wychowania humanistycznego, które nie akceptowało twardego podziału dyscyplinarnych ani Diltheyowskiej idei rozdziału nauk rozumiejących i nauk wyjaśniających. Tak pomyślana humanistyka nie broniła swojej autonomii. Przeciwnie, zachowywała z naukami przyrodniczymi i ścisłymi żywą więź, której podstawą miała być filozofia. Jako taka przyjmowała pozycję zdecydowanie ofensywną. Miała bowiem stanowić niezbędne ramy uprawiania wszelkich nauk jako nauk zobowiązanych, by służyć człowiekowi.

---

### „Bzdurne fikcje” filozofii profesjonalnej

W 1978 roku wyszedł po raz pierwszy zbiór rozpraw Witkacego zatytułowany *Zagadnienie psychofizyczne*. W towarzyszącej tej publikacji nocie wydawniczej Bohdan Michalski nakreślił głównie założenia Witkiewiczowskiej ontologii, jej usytuowanie względem nurtów filozoficznych, które Witkacy komentował i krytykował, oraz refleksję na temat miejsca filozofii i humanistyki w świecie coraz mocniej zdominowanym przez nauki ścisłe. Michalski w przeciwieństwie do współczesnych Witkacemu komentatorów obstawał przy tym, że Witkacy był filozofem, a jego teksty filozoficzne są niezasażenie lekceważone lub pomijane. Nie zwrócił jednak wystarczającej uwagi na to, że metodologia refleksji Witkacego była pokłosiem czegoś więcej niż tylko twórczego przetwarzania tekstów zawierających określone stanowiska filozoficzne. Była wynikiem jego instytucjonalnego usytuowania poza światem akademickim, w którym dawało się już zauważyć dyskretnie zarysowującą się parcelację dyscyplin naukowych na te, które należą do humanistyki, i te, które do niej nie należą, oraz w którym istniały właściwe tym dyscyplinom poetyki i polityki pisanie.

Parcelacja ta oczywiście, przynajmniej ze współczesnego punktu widzenia, była bardzo subtelna. Przede wszystkim w pierwszej połowie XX wieku, mimo problemów postawionych przez antypozytywizm i neopozytywizm, humanistyka i nauki ścisłe były uważane w systemach edukacji formalnej (szkolnej i uniwersyteckiej) za niezbywalne i równoważne podstawy wykształcenia rozumianego nie tyle jako proces transmisji wiedzy, ile proces formowania



dojrzałych społecznie, etycznie i intelektualnie jednostek oraz elit. Przykładowo Alfred Tarski – logik wymieniany jako jeden z czwórki najwybitniejszych reprezentantów tej dziedziny od czasów Arystotelesa – zanim wybrał biologię, a potem filozofię i matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, ukończył szkołę pozwalającą biegle czytać po łacinie i po grecku. Rekomendowany przez Twardowskiego ideał filozofa, znającego nauki ścisłe, nowoczesną psychologię i fizjologię, a także czytającego w oryginale starożytnych klasyków, to nie tyle skierowany w przyszłość postulat, ile podsumowanie określonej tradycji szkolnictwa, którą Twardowski uważał za formacyjnie wartościową. Wybór tego, co dziś określamy mianem dziedziny, wykluczający inne dziedziny, których powiązanie wymaga wyartykułowanego, interdyscyplinarnego i wspieranego określonymi programami naukowymi wysiłku, nie był traktowany jako wybór świata naukowo mniej lub bardziej uprzywilejowanego. Szczególny status określonych dziedzin naukowych nie wynikał z jednoznacznie im przypisywanego prestiżu, ale z tego, że niektóre z nich były stosunkowo młode. Mogły zatem kojarzyć się z większymi możliwościami czekającymi młodych adeptów nauki.

Dlatego właśnie Malinowski porzucił marzenia o filozofii i naukach przyrodniczych i zdecydował się na młodszą naukę – antropologię. Jak pisał Twardowski, filozof

powinien umieć dać sobie radę z oryginalnym tekstem autorów starożytnych, gdyż inaczej nie potrafi sięgnąć do źródeł filozofii europejskiej; powinien umieć na tyle matematykę, by nie były przed nim zamknięte wrota do zagadnień z pogranicza matematyki i logiki, i do metod psychofizycznych; winien posiadać potrzebne mu w psychologii zmysłów wiadomości z zakresu fizyki i chemii, a w zakresie psychologii w ogóle z zakresu anatomii i fizjologii układu nerwowego; musi orientować się w wynikach i kierunkach współczesnej biologii, których znajomość jest mu niezbędna przy studium współczesnych teorii etycznych i estetycznych — oto kilka przykładów dowodzących, że wiedza pomocnicza, którą powinien rozporządzać filozof, o wiele szersze zatacza kręgi aniżeli zakres nauk pomocniczych jakiegokolwiek innej gałęzi wiedzy ludzkiej<sup>21</sup>.

Krótko mówiąc, przepaść między praktykami a politykami instytucjonalnymi, w tym także praktykami a politykami tekstowymi, nie była jeszcze częścią doświadczenia badaczy i intelektualistów pierwszej połowy XX wieku. Tym bardziej nie była częścią doświadczenia Witkiewicza, który zajmowanie się akademicką filozofią i logiką stawiał na równi z działalnością literacką, publicystyczną i malarską. Witkacy świadomie wykraczał poza granice dyscyplinarne, podejmując śmiałą polemikę z dziełami antropologicznymi (choćby tymi autorstwa Bronisława Malinowskiego, z którym nie zgadzał się w kwestii genezy religijności<sup>22</sup>) czy psychologicznymi lub robiąc wycieczki w stronę współczesnej sobie matematyki.

Warto pamiętać, że powiązane nieraz więzami ścisłego koleżeństwa środowiska, a właściwie wspólnoty intelektualne ówczesnej Europy, skupiały przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych i artystycznych. Ich wzajemna wymiana myśli, mobilność refleksji i biografii, była znacznie szersza i intensywniejsza niż obecnie, gdy poziom profesjonalizacji instytucjonalnej i przemiana społecznych form życia towarzyskiego spowodowały większą atomizację ludzi należących do elity intelektualnej i w związku z tym ich silniejsze poddanie instytucjom wiedzy/władzy. Z dzisiejszego punktu widzenia zabiegi koryfeusza nowoczesnej psychologii Stefana Baleya o publikację i popularyzację twórczości Brunona Schulza oraz jego intensywna wymiana myśli z Schulzem na temat „widzeń meskalinowych” wydają się raczej nietypowymi praktykami intelektualnymi. Szczególną, bo kojarzoną dziś raczej z marginesami towarzyskimi niż z instytucjonalnym centrum życia akademickiego i towarzyskiego zarazem.

O towarzyskości wpisanej w intelektualną – artystyczną lub naukową – pracę oraz charakterystycznych dla niej rytuałach i praktykach językowych wspominał także sam Witkacy. Pisząc o braku zrozumienia dla własnych dzieł, nie powoływał się na krytyczne publikacje lub ich brak, lecz na „potworne plotki” funkcjonujące w obiegach ustnych, charakterystycznych dla kręgów towarzyskich ludzi pozostających przede wszystkim w nieformalnych relacjach pozaprofesjonalnych. Utyskiwał:

Pod tym względem w naszym już i tak wyjątkowo plotkarskim i lubiącym bać się oszczerstwami społeczeństwie spotkało mnie zdaje się wyróżnienie. Mimo całego braku megalomanii, co z całą uczciwością podkreślam, mam wrażenie, że doborem bzdur i kłamstw, jakie o mnie mówiono i mówi się jeszcze, nie każdy przeciętnie znany u nas człowiek poszczycić się może<sup>23</sup>.

Jedno jest pewne. Przepływ między twórczością naukową i artystyczną był w pierwszej połowie XX wieku niezwykle dynamiczny. Nie tylko w kontekście polskim – zjawisko to było związane ze stratyfikacją klasową ówczesnych społeczeństw: silną konsolidacją symboliczną i towarzyską wykształconych, wysoko postawionych, społecznie lub ekonomicznie, elit.

Nic zatem dziwnego, że gdy Ludwig Wittgenstein spotyka się z przedstawicielami Koła Wiedeńskiego, chce z nimi rozmawiać nie o programie unifikacji nauk, lecz o metafizyce i literaturze<sup>24</sup>. To właśnie Wittgenstein, zanim popełni ekonomiczne samobójstwo, będzie wspierał finansowo poetę Geoga Trakla oraz prekursora architektonicznego modernizmu Adolfa Loosa<sup>25</sup>. W swoich notatkach Wittgenstein określi też muzykę jako jedną z najważniejszych dziedzin swego życia, kluczem do którego była nie tyle działalność filozoficzna, ile praktyki melomana.

Podobnie czynił Witkacy. Autor *Marzeń improduktywa* wymienia się pomysłami ontologicznymi z przedstawicielami szkoły lwowsko-warszawskiej i to także na niwie przyjacielskiej, zaś ich wspólne spotkania relacjonuje za pomocą notatek. W jednej z nich pisze: „A z Kotarbeuszem byliśmy u Metallmana, który jest b[ardzo] byczy. Popojka bez koko nie wywołała znacznego katzendreckerera”<sup>26</sup>. Z tego właśnie względu Tatarkiewicza tytułuje w korespondencji „Tatarem”, a Kotarbińskiego „Mogołem”. Dlatego też szydzi z Leśniewskiego, że „wszystko poza logistyką uważa za beletrystykę”<sup>27</sup> i określa siebie na gruncie teorii estetycznej mianem „wieszadła na psy”<sup>28</sup>. Poznaje Ingardena, o którym pisze w 1935: „Przyjechał Ingarden – dyskusja. B[ardzo] mi się ten facet podoba i od razu zazębiliśmy się potwornie”<sup>29</sup>. A jednak wobec nauki ściśle akademickiej Witkacy zachowuje dystans. Wynikało to nie tylko z jego niepokornej postawy. Było raczej pokłosiem tego, że życie naukowe i twórcze w ówczesnej Polsce toczyło się nie tylko w murach akademii. Ta zaś, będąc kuźnią decyzyjnych politycznie elit społecznych, niekoniecznie była również kuźnią najistotniejszych dzieł humanistyki. Ich powstawanie nie podlegało wówczas ścisłej monopolizacji instytucjonalnej, a co za tym idzie – ścisłemu formatowaniu.

Właśnie dlatego Witkacy mógł z pełną premedytacją podśmiewać się z rytuałów i praktyk wspierania finansowego działalności naukowej, pisząc do ówczesnego polityka, i zarazem swojego mecenasa Kazimierza Ducha, listy w rodzaju:

A Pan Minister, w stosunku do Którego rozpierają mnie jak byka po świeżej koniczynie uczucia wdzięczności, ani słowa nie odpisał na mój niepokojący list Łączę wyrazy dziękuję i niesamowitej wdzięczności<sup>30</sup>

Szanowny i kochany panie ministrze [tym razem od małej litery – M.R.]. Szewców czytałem jeszcze w K. w małym kółku – trzeci akt wymaga poprawy. Po czym upiłem się i na drugi dzień nie mogłem rysować siostry Pani, ale za to uczyniłem to w dzień później. Niestety nie mogłem jej zawiadomić i trzymała się na darmo. Ciekawy jestem, kiedy nareszcie *Hauptwerk* wyjdzie. Czy czegoś podejrzanego nie ma w tym opóźnieniu?<sup>31</sup>

Świadectwa te łatwo można zbanalizować, sprowadzając je do rangi anegdot związanych z głównym nurtem działalności artystyczno-naukowej. W rzeczywistości jednak mówią one o innych praktykach kulturowych niż te, które dziś są kojarzone z akademią i jej przedstawicielami. Są one świadectwem innego usytuowania wiedzy profesjonalnej, świata polityki państwowej i ich wzajemnych związków, a także diametralnie innej rzeczywistości tworzenia i interpretowania tekstów. Różnice te nie powinny jednak odwrócić naszej uwagi od problemów, z którymi zmagają się Witkacy.

Nie będąc nominalnie akademikiem, dostrzega on stopniową profesjonalizację akademii i jej rytuałów. Co więcej reaguje na nią własnymi praktykami tekstowymi. Nie przypadkiem Witkacy celowo przekręca czasowniki oznaczające typowo akademickie praktyki recenzowania

i drukowania tekstów filozoficznych. Pisze, że nie wie, czy Tatar zechce go „durkować” i atakuje Kotarbińskiego za recenzję – za to, że co innego mówi, a co innego robi („pisze parszywie, za ostrożnie”)<sup>32</sup>. Ta wymiana towarzysko-intelektualna, oparta na intensywnej korespondencji, braniu życia instytucjonalnego w ironiczny nawias i subtelnym kontestowaniu rytuałów akademickich, wymiana niewykluczająca bynajmniej rzeczowych sporów i merytorycznych antagonizmów, nie jest niczym szczególnym w pierwszej połowie XX wieku. Ścisłe powiązanie towarzyskie twórców tekstów literackich i akademickich – wzajemne lektury i wymiana nieformalnej korespondencji na temat tekstów, intensywne przyjaźnie łączące świat akademicki i literacki oraz ustabilizowane praktyki życia towarzyskiego, budujące rzeczywistość autonomiczną względem świata nowoczesnego laboratorium – było jednym z filarów ówczesnego życia intelektualnego. I to nie tylko w środowisku polskim, lecz także zachodnim. Przykładowo, Bertrand Russell wybiera na ojca chrzestnego swojego dziecka Josepha Conrada, przyjaźni się ze Stefanem Themersonem, zaś jego mistrzowskie literacko pamiętniki stają się pisarskim bestsellerem. Niesformalizowana interdyscyplinarność, zapośredniczona więzami międzyludzkimi, i intermedialność ówczesnych środowisk naukowo-artystycznych mają swoje konsekwencje dla ówczesnych praktyk piśmiennych spotykanych na obrzeżach życia akademickiego.

Wszelkie teksty akademickie – jak przypominają Catherine E. Snow i Paula Uccelli – budują swoje znaczenia dzięki pozatekstowym praktykom komunikacji, właściwym dla środowiska, w którym funkcjonują<sup>33</sup>. Praktyki te, obecne we wspólnocie, która w czasach Witkacego nie ma charakteru ściśle sformalizowanego, dzieją się bowiem nie tylko w ramach profesjonalnego, toczzonego w murach uniwersytetu życia ówczesnych akademików. Tworzone w heterogenicznych wspólnotach lekturowych, środowiskowych, zawodowych i społecznych reguły komunikacyjne pozwalają organizować dyskurs na poziomie gramatyczno-semantycznym oraz tworzyć przekaz w oparciu o stosownie wybierane źródła i odniesienia międzytekstowe, a także umożliwiają przedstawienie autorskiego ja oraz domniemanego audytorium<sup>34</sup>. Przede wszystkim pozwalają na zbudowanie określonej więzi komunikacyjnej z potencjalnym audytorium, co do którego kompetencji, przekonań, postaw i przyzwyczajień ma się określone wyobrażenia i dzięki nim tworzy się w określony sposób tekst. Refleksja Witkacego jest zatem ściśle związana ze społecznymi uwarunkowaniami wiedzy oraz nauk, przekładającymi się na kształt praktyk i polityk piśmienności. Analiza tego, co Witkacy robi z regułami konstruowania tekstu filozoficznego, oraz refleksja na temat tego, co może nam to dziś powiedzieć o normach i wyobrażeniach rządzących tekstem profesjonalnym, są fascynującym zadaniem dla każdego historyka i antropologa piśmienności.

---

### „Każdy powinien pisać jak najintensywniej, na ile go tylko stać”

We wspomnianej nocie wydawniczej do *Zagadnienia psychofizycznego* Bohdan Michalski zamieszcza fotografie rękopisów i maszynopisów twórcy monadologii. A także fotografie gęsto zapisanych odręcznymi notatkami z lektur Witkacego, który na marginesie książek i artykułów umieszczał własne zapiski. Lektury są pełne podkreśleń opatrzonych adnotacjami: „bzdurna fikcja”, „Otóż jest to nonsens”, „To jest *bloody nonsense* i nikt i nic nie przekona mnie, że w tem coś jest”, „czemu jest możliwe, jeśli jest niemożliwe”, „To jest bzdura!”, „Słusznie”, „To są choleryczne wymysły logistyczne, które doprowadzają do pasji”. Kształt tych notatek nie jest jednak w recepcji Witkacego tematem osobnej refleksji. Tymczasem jest on znaczący. Ów kształt zaświadcza, że jego polemiki filozoficzne – które są podstawowym trzonem jego późniejszej filozofii – są raczej efektem krótkich, afektywnych praktyk rękopiśmiennych, po które sięga w reakcji na lektury Alfreda Whiteheada, Ludwiga Wittgensteina, Rudolfa Carnapa i Tadeusza Kotarbińskiego. W lekturach tych Witkacy przeczuwa samobójstwo filozofii, będące częścią głębokiego kryzysu współczesnej mu kultury. Afektywność Witkacego wcale nie wyklucza rzetelnej, skrupulatnej i racjonalnej analizy logicznej, uprawianej za pomocą tych samych narzędzi, które stosują krytykowane autorzy. Afektywne pisanie jest podyktowane rozpoznaniem usytuowania oraz wagi kulturowej i społecznej filozofii i jej praktyk tekstowych w Witkiewiczowskiej współczesności.

Uwagi Witkacego konsekwentnie, choć emocjonalnie mapują najsłabsze punkty pojęciowe i argumentacyjne czytanych i komentowanych tekstów. Afekt nie wyklucza racjonalności wspartej warsztatem erudycyjnym i logicznym. Impet polemiczny wymyka się jednak poetyce tekstu, który – zgodnie z ówczesnymi przeświadczeniami z ferworem wcielany w życie przez szkołę lwowsko-warszawską – zaświadczać powinien o zastosowaniu aparatu racjonalnego dyskursu, polegającego na eliminacji wartościowań i słów pochodzących z innego rejestru niż domena profesjonalizującej się wówczas krytyki filozoficznej. Witkacy, rzecz jasna, ma w pełni uwewnętrzniony warsztat analizy filozoficzno-logicznej. Co więcej, z formy jego krytyki nie można bynajmniej wyciągać wniosku, że nie wie on, jak taka krytyka powinna wyglądać. „Nieprofesjonalna” forma, po którą sięga, jest efektem świadomej decyzji związanej z zakwestionowaniem określonych norm rządzących ówczesnym pisaniem akademickim. Norm tych Witkacy nie neguje, rzecz jasna, wyłącznie za pomocą osobistych zapisków na marginesach czytanych lektur. Zwłaszcza, że te nie trafiają bezpośrednio w przestrzeń publicznego dyskursu. Kwestionuje je w sposobie konstruowania maszynopisów własnych tekstów, które do nich nawiązują. Ich czyta i dyskursywna forma ma poświadczać, że teksty te są przeznaczone dla innych czytelników. Są one więcej niż tylko materialnym śladem lektur i przemyśleń Witkacego, gdyż jednocześnie rzucają ciekawe światło na to, co wówczas wypadało, a co nie: na czym polegała normatywność ówczesnego tekstu filozoficznego, jeśli miał on spełnić akademickie wymogi. Pokazują też, co uważane było za działanie względem tej normy subwersywne.

Pamiętajmy, że Witkacy przez cały okres własnej twórczości nie unikał pisania samodzielnych rozpraw filozoficznych, tytułowanych zgodnie z tradycją nowożytną przez wskazanie głównego problemu (*O dualizmie, O antyintelektualizmie, Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia*) i konstruowanych w nawiązaniu do tekstowej dyscypliny właściwej dla kontynentalnej fenomenologii, brytyjskiej filozofii analitycznej i szkoły lwowsko-warszawskiej. Publikuje je w renomowanych wówczas czasopismach filozoficznych w rodzaju „Ruchu Filozoficznego” czy „Kwartalnika Filozoficznego”. Uważnie czyta recenzje własnych tekstów. Zna też doskonale warsztat ówczesnego akademika: robi korekty własnych tekstów, numeruje je lub rozważa, w jakim kształcie typograficznym powinny zostać opublikowane.

Dobrym przykładem tekstu pisanego z zastosowaniem konwencji towarzyszących ówczesnym akademickim rozprawom filozoficznym są *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia*. Witkacy nawiązuje tu do gatunku traktatu filozoficznego, rozwijanego w dobie nowożytnej pod wpływem kartezjańskiego ideału matematyzacji wiedzy; ideał ten przeżyje krótki renesans w postaci ukończonych w 1913 roku *Principia mathematica* Bertranda Russella i Alfreda Whiteheada, a następnie zostanie poddany gruntownej krytyce wraz z koncepcjami matematycznymi Kurta Gödla z 1929 i 1931 roku. Zaznacza, że w dziele tym, zajmując się „rzeczami ostatecznymi”, nie zajmie się obszerniej takimi zagadnieniami jak: „a) kwestie operowania pojęciami w ogóle, b) zagadnienie systemu logiki, c) problem źródeł pojęć zasadniczych”. Jednocześnie z dużą dyscypliną stosuje się do zasad dedukcyjnego organizowania tekstu filozoficznego, dzieląc go numerycznie na poszczególne paragrafy i segmentując za pomocą kolejno numerowanych twierdzeń. Witkiewicz wyklada pojęcia podstawowe i główne twierdzenia, potem zaś dedukuje ich logiczne i ontologiczne konsekwencje. Zastrzega także, że kiedy budował własny system, musiał, stosując „kryterium konieczności przyjętych pojęć”, opierać się na „pewnych względnie prymitywnych, tzw. «intuicjach» poglądu życiowego”; podkreśla też, że w dalszych partiach wywodu pojęcie intuicji „będzie ściśle określone, przy czym straci ono mam nadzieję, na swej często nadużywanej tajemniczości”<sup>35</sup>. Witkiewicz wprowadza też w tekście symbole filozoficzne w postaci zawartych w osobnej tabeli skrótów, takich jak np. IP (Istnienie Poszczególne). Ma to ułatwić konstruowanie zdań i zachowanie jednoznaczności. Co więcej, w tekście tym podkreśla rozłączność reguł pisania literackiego i filozoficznego, twierdząc, że zastosowane symbole służą unikaniu wieloznaczności. Owszem, działają one na niekorzyść „bogactwa języka literackiego, ale to najmniej jest istotne w sprawach filozoficznych”<sup>36</sup>.

Jednocześnie Witkacy wplata w rozprawę fragmenty, które dyskretnie podważają reguły rządzące ówczesną rozprawą z filozofii analitycznej. W tym samym tekście ironicznie konkluduje: „W czasach, gdy ciągle się mówi: M.S.Z., G.P.U., czy Mopr albo Gisz lub zamiast tego, żeby powiedzieć, że minister poszedł do cukierni na rogu, mówi się, że «znajduje się on aktualnie w C.N.R.» (podobno fakt autentyczny) – nikogo to nie powinno razić”<sup>37</sup>. Dodatek do *Pojęć*

i *twierdzeń* Witkiewicz opatruje mottem, które nie pochodzi z tekstu klasycznego, lecz jest jego własną konstatacją, skądinąd zaskakująco zbieżną z koncepcjami filozoficznymi późnego Ludwiga Wittgensteina. „Pojęciowość – głosi motto – w ogóle polega na tym, że pewne bydlęta «na-lepiają» te same znaczniki na podobne przedmioty”<sup>38</sup>. Nie przypadkiem też Witkacy nadaje własnym tekstom tytuły nawiązujące poetyką do tytułowania stosowanego w nieakademickiej filozofii uosabianej przez Fryderyka Nietzschego, który także usiłuje filozofię uczynić literaturą – nie tyle ją dewaluując, ile, we własnym mniemaniu, podnosząc ze stanu głębokiego upadku. *Marzenia improduktywa. Dywagacje metafizyczne* są tego najjaskrawszym przykładem. Kpina z intelektualnej i akademickiej produktywności jako nowego ideału naukowego jest tu dość wyraźna. Co więcej, Witkiewicz przez cały okres swojej twórczości podkreśla związek koncepcji estetycznych, ontologicznych i twórczości literackiej<sup>39</sup>. Dlatego nadaje idei metafizycznego niepokojem ontologiczne uzasadnienie w tekstach filozoficznych, zaś literacki wyraz – we własnych dramatach i powieściach.

Oczywiście zabiegom tym towarzyszy bezwzględna dyscyplina naukowa, odzwierciedlająca się nie tylko w tekstach, ale przede wszystkim w stosowanych praktykach piśmiennych. Witkacy nie tylko pisze teksty, ale i kilkakrotnie je przepisuje na maszynie, wygładza, wstawia przecinki i korekty stylistyczne, traktując te zabiegi jako „odbicie” zajmowania się filozofią<sup>40</sup>. W listach do bliskich wspomina o ciężkiej i intensywnej pracy; wedle jego własnego określenia: po prostu „pisze filozofię”, albo jest „filozofią bardzo zapisany”<sup>41</sup>. A jednak rozprawy te są pisane nierzadko z celową i niewyglądzaną ostatecznie dezynwolturą. Choć własną działalność filozoficzną Witkacy traktuje z pełną powagą, deklarując w listach, że zginie pod sztandarem swojego monadyzmu, niemniej jego teksty pisane są nieraz z programowym pogwałceniem zasad prowadzenia polemiki na łamach ówczesnych czasopism naukowych i jako takie nie mogłyby być przedmiotem publikacji w periodykach akademickich. Przywołajmy fragment maszynopisu stanowiącego lapidarną krytykę reizmu Tadeusza Kotarbińskiego:

Komonsens jeży się od najpotworniejszych problemów. Nie pomoże rada Chwistka/ tego demonicznego poczciewca na logistycznym stolcu, aby sobie popatrzeć spokojnie na wieżę Marjacką / najlepiej/ i potocznym językiem opisywać to, co się widzi tworząc „indywidualny system” bez pretensji do prawdy, bo filozofja to coś, według niego, poza kategoriami prawdy i fałszu/ zrozumiały nawet dla w dowolnym stopniu zjełopiałego w umysłowym nieróbstwie polskiego literatnika: kto nie widzi problemów tkwiących w poglądzie życiowym jest „ideenblind”, jak mówi Husserl i niegodny miana, zbezczeszczonego zresztą przed durniów, filozofa<sup>42</sup>.

Witkacy z uporem trzyma się też własnych nawyków ortograficznych, nadając samej wizualności własnego tekstu jednostkowy rys. Chętnie sięga po soczysty i silnie zmetaforizowany, odwołujący do świata jego powieści język literacki. Praktyki te jednocześnie nie mają charakteru partykularnego. Przeciwnie, podobnie, choć znacznie bardziej subwersywnie, poczyna sobie wówczas z praktykami tekstowymi polska i zagraniczna awangarda, której Witkacy – wraz z Leonem Chwistkiem, który *nota bene* z tego właśnie powodu ma problemy we własnym środowisku naukowym – czuje się integralną częścią. Awangarda międzywojenna odsłania ówczesne automatyzmy rządzące społecznie zorganizowaną produkcją tekstową, eksperymentując z materialnością i instytucjonalnym zapleczem praktyk tekstowych, a jednocześnie marząc o tym, by nowe praktyki tekstowe – zorganizowane w sposób alternatywny – były narzędziem jednostkowej i społecznej emancypacji.

Dlatego właśnie sądzę, że praktyki tekstowe Witkacego nie są artystowską i anarchizującą prowokacją związaną z chęcią zaznaczenia swego dystansu względem instytucjonalizującej, scjentyfikującej i profesjonalizującej się filozofii, którą Witkacy był przecież żywo zafascynowany i bez której życie określał mianem „jałowej pustyni”<sup>43</sup>. Są konsekwentnym staraniem o zachowanie pełnej zgodności formy tekstu z założeniami, które są za pomocą tekstu wyrażane. Monadyzm Witkacego, będący nigdy nie steoretyzowanym ostatecznie konstruktem filozoficznym, ma być jego programowym sprzeciwem wobec Systemu Prawdy Absolutnej, który kwestionuje „Istnienie Poszczególne”, czyli istnienie posiadające nieredukowalne doświadczenie

historyczne i biograficzne zarazem oraz niepowtarzalne formy ekspresji. Ów System Prawdy Absolutnej, który Witkacy czyni głównym przedmiotem swojego ataku i własnych poszukiwań formalnych w obszarze praktyk piśmiennych filozofii, nie oznacza jedynie teorii metafizycznej czy określonej epistemologii. Oznacza zgubną dla filozofii – a nawet humanistyki – instytucjonalizację jej twórczości przez narzucenie uniwersalnych standardów tekstowej produkcji, zgodnie z którymi przestaje ona być wielowymiarowym procesem i żywym, bezpośrednim doświadczeniem „potworności istnienia poszczególnego”; doświadczeniem reprezentowanym przez równie żywy i procesualnie traktowany tekst.

Praktyki piśmienne uprawiane na gruncie filozofii przez samego Witkacego są – z jednej strony – formą wyrażenia absolutnej równoważności sztuki i filozofii. (Dziś analogiczne starania podejmują tacy filozofowie, jak choćby Michał Herer czy Michał Paweł Markowski, którzy chcą tego dokonać za pomocą instytucjonalnego, sformalizowanego w polityce naukowej przywrócenia do łask tzw. „pisarstwa filozoficznego”<sup>44</sup>). Z drugiej zaś, są one próbą znalezienia własnej, poszczególniej formy dla wyrazu myśli, która ma być podstawą radykalnie pluralistycznego i indywidualistycznego światopoglądu rozumianego jako obszerne, estetyczne, etyczne, społeczne, polityczne i intelektualne działanie niepowtarzalnej osobowości w świecie. Skoro podstawowym założeniem ontologii Witkacego jest stwierdzenie istnienia nieredukowalnej osoby (Istnienia Poszczególnego), to odpowiedzią na to jest specyfika niektórych przynajmniej praktyk tekstowych, które mają temu dawać bezwzględny wyraz. Innymi słowy, warsztat humanistyczny autora *Marzeń improduktywa* za każdym razem usiłuje odpowiedzieć na dane postulaty teoretyczno-metodologiczne, znajdując odpowiednią formę dla tekstu, który ma je nie tyle wyrazić, ile stymulować i powodować ich realizację. Praktyki te projektuje Witkacy jako częściowo przynajmniej nienormatywne wobec zinstytucjonalizowanych form tekstowych ówczesnego uniwersytetu. Sam uniwersytet jest dla niego instytucją zmierzającą ku takiej organizacji życia społecznego i politycznego, w której istnienie poszczególne i jego głęboko partykularne doświadczenie nie będzie mogło zostać wyrażone i w której będzie coraz mniej miejsca na osobność – myślenia, zainteresowań, języka, jednostkowych stylów i toposów wyrazu. W tym sensie Witkacy usiłuje korzystać z instytucjonalnych form oferowanych przez życie akademickie, by publikować teksty – performanse, które formalnie będą ten świat przekształcać i kontestować.

Dylematy, jakie się pojawiły przy okazji tej z konieczności naskórkowej analizy warsztatu humanistycznego Witkacego – analizy pozbawionej takich niezbywalnych komponentów jak intensywny namysł nad formami instytucjonalnego zarządzania produkcją tekstową w postaci systemów recenzowania i finansowania tekstów oraz ich obiegiem profesjonalno-towarzystkim – nie są, moim zdaniem, jedynie przyczynkiem do kulturowej historii praktyk piśmiennosci naukowej. Są impulsem do pytania o ideę twórczej poszczególności we współczesnych, akademickich praktykach tekstowych i – szerzej – we współczesnych wspólnotach wiedzy. Refleksja nad polityką i poetyką pisania tekstów akademickich nie będzie, rzecz jasna, wystarczającym narzędziem ich poprawy, jeśli nie będzie jej towarzyszyć refleksja nad miejscem akademii i humanistyki w świecie współczesnej polityki i ekonomii oraz nad współczesnymi formami akademickiego i – szerzej – intelektualnego uspołecznienia, praktykami wymiany i tworzenia więzi za pomocą tekstów. Z pewnością jednak *casus* Witkacego dość dobrze pokazuje, że potrzebujemy tekstów i stojących za nimi strategii pisania, myślenia i działania, które nie będą postindywidualistyczne, będą bowiem wyrazem niepowtarzalnych wrażliwości badawczych, a jednocześnie nie będą postpolityczne, będą bowiem wyrazem życia wspólnotowego, w którym wspólnota nie oznacza jedynie przynależności do tej samej korporacji i tych samych reguł pracy, lecz do humanistycznego etosu.

---

**PRZYPISY**

- 1 S.I. Witkiewicz, *Narkotyki*, bm, bd, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/witkacy-narkotyki/>, s. 2 (dostęp: 10.05.2024).
- 2 Tamże.
- 3 Tamże.
- 4 Tamże, s. 35.
- 5 Zob. np. G. Godlewski, *Słowo, pismo, sztuka słowa. Perspektywy antropologiczne*, Warszawa 2008; G. Godlewski, A. Karpowicz, M. Rakoczy (red.), *Antropologia praktyk językowych*, Warszawa 2016.
- 6 Ch. Bazerman, *Speech Acts, Genres and Activity Systems*, w: Ch. Bazerman, P. Prior (red.), *What Writing Does and How It Does It: An Introduction to Analysing Texts and Textual Practices*, Mahwah, NJ-London 2004, s. 309.
- 7 Tegoż, *Shaping Written Knowledge: The Genre and Activity of the Experimental Article in Science*, Madison 1988, s. 10.
- 8 F. Nietzsche, *Pożyteczność i szkodliwość historii dla życia*, w: tegoż, *Niewczesne rozważania*, przeł. L. Staff, Kraków 1912, s. 87.
- 9 Zob. tamże.
- 10 Zob. P. Burke, *Społeczna historia wiedzy*, przeł. A. Kunicka, Warszawa 2018, s. 534.
- 11 Zob. E. Hobsbawm, *Wiek kapitału 1848-1875*, przeł. M. Starnawski, Warszawa 2014.
- 12 P. Burke, *Społeczna historia wiedzy...*, dz. cyt., s. 414.
- 13 S.I. Witkiewicz, *O intuicji*, w: tegoż, *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia i inne pisma filozoficzne (1902-1932)*, Warszawa 2002, s. 97.
- 14 A. Breton, *List do rektorów uniwersytetów europejskich*, przeł. A. Ważyk, w: A. Ważyk (red.), *Surrealizm. Teoria i praktyka*, Warszawa 1976, s. 107.
- 15 Tamże, s. 106-107.
- 16 Zob. P. Kosiorek, *O polemikach Stanisława Ignacego Witkiewicza z Janem Leszczyńskim*, „Rocznik Historii Filozofii Polskiej” 2017/2018, t. 10/11, s. 79-103.
- 17 Zob. F. Nietzsche, *O przyszłości naszych zakładów kształceniowych. Sześć prelekcji wygłoszonych w Bazylei na zlecenie Towarzystwa Akademickiego*, przeł. T. Zatorski, Warszawa 2020.
- 18 Zob. tamże, s. 140-141.
- 19 Zob. V. Flusser, *Kultura pisma. Z filozofii słowa i obrazu*, przeł. P. Wiatr, Warszawa 2018, s. 284.
- 20 Zob. R. Jadczyk, *Kazimierz Twardowski i jego program filozofii naukowej*, „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Filozofia” 1991, nr 12(228), s. 134.
- 21 K. Twardowski, *O potrzebach filozofii polskiej*, „Nauka Polska” 1918, t. 1, cyt za: tegoż, *Rozprawy i artykuły filozoficzne*, Lwów 1927, s. 159.
- 22 Zob. S.I. Witkiewicz, *O stosunku religii do filozofii*, w: tegoż, *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia...*, dz. cyt., s. 114.
- 23 S.I. Witkiewicz, *Narkotyki...*, dz. cyt., s. 2-3.
- 24 Zob. R. Monk, *Ludwig Wittgenstein. Powinność geniusza*, przeł. A. Lipszyc, Warszawa 2003, s. 102.
- 25 Zob. tamże, s. 56.
- 26 Cyt. za: B. Michalski, *Nota wydawnicza*, w: S.I. Witkiewicz, *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia...*, dz. cyt., s. 514.
- 27 Tamże, s. 501.
- 28 Tamże, s. 512.
- 29 Tamże, s. 513.
- 30 S.I. Witkiewicz, *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia...*, dz. cyt., s. 500-501.
- 31 Cyt. za: B. Michalski, *Nota wydawnicza...*, dz. cyt., s. 502.
- 32 Tamże, s. 499.
- 33 C.E. Snow, P. Uccelli, *The Challenge of Academic Writing*, w: D.R. Olson, N. Torrance (red.), *Cambridge Handbook of Literacy*, Cambridge 2011, s. 123.
- 34 Zob. tamże, s. 122.

- <sup>35</sup> S.I. Witkiewicz, *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia*, Fundacja Wolne Lektury, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/witkacy-pojecia-i-twierdzenia.html#anchor-idm193>, [19], przyp. 30 (dostęp: 01.05.2024).
- <sup>36</sup> S.I. Witkiewicz, *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia...*, dz. cyt., s. 148.
- <sup>37</sup> Tamże.
- <sup>38</sup> Tamże, s. 297.
- <sup>39</sup> Zob. tamże, s. 336–337.
- <sup>40</sup> Zob. tamże, s. 494.
- <sup>41</sup> Tamże, s. 495. Nb. gałąź filozofii, którą się zajmował, była uważana za specyficzną i specjalistyczną, wymagającą kompetencji, które nie zawsze znajdowały się w orbicie zainteresowań filozofii kontynentalnej.
- <sup>42</sup> Zob. tamże, s. 584.
- <sup>43</sup> Cyt. za: B. Michalski, *Nota wydawnicza...*, dz. cyt., s. 499.
- <sup>44</sup> Zob. M.P. Markowski, *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki*, Kraków 2013; M. Herer, *Filozofia 2.0 albo śmierć filozofa-pisarza*, „Sztuka i Filozofia” 2019, nr 54, s. 77–88.



Paulina Chorzewska-Rubik

# Cyfrowe praktyki piśmienne w archiwalnych, filologicznych badaniach literackich źródeł internetowych\*

**P**odczas pracy nad dorobkiem poetyckim publikowanym w sieci pojawia się szereg problemów wynikających z konieczności opanowania cyfrowego medium. Jako badaczka zajmująca się cyfrową twórczością poety Tomasza Pułki nawet podczas najbardziej podstawowych zadań, takich jak poszukiwanie tekstów w sieci czy ich zbieranie na dysku własnego komputera, mierzyłam się ze specyficznymi trudnościami, wynikającymi z materialności źródeł i narzędzi. W trakcie kwerend internetowych towarzyszyło mi poczucie pośpiechu i zagubienia. Witryny, szczególnie te poświęcone literaturze, znikają szybko i niespodziewanie. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, kiedy można zakończyć internetową kwerendę oraz jak uzasadnić jej przebieg. Podczas pobierania plików musiałam zdecydować, czy dany format jest na tyle uniwersalny, że po zmianie sprzętu będę mogła go odczytać. Czy pliki nie są za ciężkie, czy sprzęt wytrzyma? Czy tekst zapisywany w konkretnym formacie dalej jest tym samym tekstem, który chcę analizować, i jak bardzo zostaje on zniekształcony? Czy powtarzalnych i mozolnych czynności, takich jak zapisywanie tekstów na dysku, nie da się bardziej zautomatyzować? W procesie pracy okazywało się, że każda odpowiedź na takie pytania, każda decyzja ma konsekwencje dla praktyk piśmiennych badaczki.

Celem mojego artykułu jest analiza tego, jak filologiczna, literaturoznawcza praca na materiałach cyfrowych zmienia praktyki pisania, a przede wszystkim, na ile to sama materialność źródeł determinuje praktyki, a na ile ma na nie wpływ konkretne podejście badawcze i wykorzystywane narzędzia. Jak w praktykach piśmiennych humanistyki cyfrowej dokumentowany jest proces pracy oraz jakie ma zalety eksponowanie go w narracji badawczej? Problem omówię przede wszystkim na przykładzie notatek, które stworzyłam w trakcie realizacji dwóch zadań własnego projektu – filologicznych badań tekstów literackich publikowanych w sieci. Pierwsze zadanie to kwerendy w archiwum webu Internet Archive, kolekcji archiwalnych wariantów stron internetowych, drugie – masowe pobieranie danych tekstowych i próby ich automatycznego porównywania.

Przez piśmienność badawczą rozumiem – w kontekście opisywanych problemów – nie tylko dokumentację badania, lecz także proces i efekt przetwarzania danych tekstowych, przygotowania obiektów, na których wykonywane będą dalsze naukowe praktyki piśmienne<sup>1</sup> – na przykład adnotowanie, komentowanie, zaznaczanie fragmentów, prowadzenie notatek. Opisywane badawcze praktyki piśmienne sytuują się w szerszym polu piśmienności cyfrowej i obejmują następujące etapy pracy:

---

Paulina Chorzewska-Rubik, *Cyfrowe praktyki piśmienne w archiwalnych, filologicznych badaniach literackich źródeł internetowych*, „Almanach Antropologiczny. Comunicare” 2024, t. 9, s. 167-176.

1. praktyki wyszukiwania w sieci i przeszukiwania archiwum webu,
2. cyfrowe przekształcanie danych badawczych, materiału źródłowego (na przykład przez automatyczne zapisywanie tekstu na dysku komputera),
3. praktyki cyfrowego *close reading*,
4. praktyki dokumentowania procesu badawczego – pisanie tekstów, automatyczna dokumentacja, dzienniki, raporty, artykuły naukowe.

Korpus źródeł, do którego się odnoszę, zawiera: teksty poetyckie, prozatorskie, krytyczno-literackie oraz autobiograficzne, a także multimedialne, graficzne i dźwiękowe utwory Tomasa Pułki (1988–2012), które zachowały się na publicznie dostępnych stronach internetowych (przede wszystkim na portalach i forach poetyckich, blogach, ale także w sieciowych czasopiśmie literackich). Korpus obejmuje utwory publikowane w latach 2005–2012 i jest zbiorem około 850 adresów URL. Jednym z głównych celów wymienionych etapów pracy jest porównanie wersji tekstów poetyckich funkcjonujących w różnych przestrzeniach medialnych (cyfrowych i drukowanych) i zrekonstruowanie ich historii.

---

### Tekst jako dane i *workflow* w humanistyce cyfrowej

Praktyki i gatunki piśmienne badaczy kultury cyfrowej są zależne nie tylko od medialności badanych przez nich źródeł, lecz także od cyfrowych metodologii i sposobów analizy oraz specyfiki używanego oprogramowania. Interfejsy wykorzystywanych programów, zakreślając horyzont możliwości wykonywanych operacji, modelują piśmienność naukową, wyznaczają wizję tego, czym stają się pisanie i praca badawcza oraz jak rozumiane są źródła. Według *Europejskiego sondażu praktyk cyfrowych w humanistyce i naukach o sztuce* 60 proc. humanistów cyfrowych używa arkuszy kalkulacyjnych do przechowywania i przetwarzania materiałów badawczych<sup>2</sup>. Nieoczywisty z pozoru wybór programu, wykorzystywanego przede wszystkim do zadań matematycznych, statystycznych, logicznych lub jako baza danych, współgra jednak z jednym z podstawowych założeń humanistyki cyfrowej – tekst to przede wszystkim dane<sup>3</sup>, które w ramach pracy badawczej muszą być odpowiednio przetworzone i przygotowane, aby komputer mógł je wczytać i przetwarzać<sup>4</sup>. Oprócz tego wielu badaczy z tej subdyscypliny, której praktyka wyłania się często z założeń ruchu *open science*, stara się pracować na otwartych danych – dostępnych na otwartych licencjach oraz odpowiednio ustrukturyzowanych i przygotowanych, a także zapisanych w formacie, który jest możliwy do odczytywania bez konieczności używania komercyjnego oprogramowania<sup>5</sup>. Głównym atutem dostosowywania danych do tych standardów jest możliwość ich powszechnego i łatwego ponownego wykorzystywania<sup>6</sup>.

Jak przekonuje James E. Dobson, podejście właściwe dla humanistyki cyfrowej znacznie zmienia sposób, w jaki przebiega praca badawcza, ponieważ „każda analiza, która korzysta z komputerowych narzędzi, wymaga pewnej formalizacji metodologii”<sup>7</sup>, polegającej na strukturyzacji procesu eksperymentowania, a więc ustaleniu i opisaniu zestawu zasad i poleceń. Aby opisać ten proces, badacz posługuje się pojęciem *workflow* i stawia tezę, że każdą humanistyczną metodologię do pewnego stopnia da się sprowadzić do sekwencji koniecznych do wykonania czynności. W przypadku cyfrowych metodologii ustrukturyzowany przebieg pracy badawczej (*workflow*) jest niezbędny, aby dostosować dane do postaci, w której będą czytelne dla komputera. Przykładem może być nakładanie na skany druków lub rękopisów warstwy OCR, która pozwala na przeszukiwanie tekstu i bez której plik pozostaje jedynie zbiorem pikseli. W poszczególnych przypadkach dane muszą być dostosowane do odpowiedniego algorytmu programu, często jednorazowo do konkretnego zadania. Charakterystyczny dla humanistyki cyfrowej cykl pracy nie jest jednolity w obrębie wszystkich metodologii i celów badawczych, ale w przypadku badania tekstowych źródeł da się go sprowadzić do pewnej uproszczonej sekwencji działań, którą przedstawia diagram *Generic computational workflow for the Humanities*, zaczynając od analogowego lub cyfrowego tekstu, a kończąc na jego wizualizacji<sup>8</sup>.

## Archiwum webu a badawcze praktyki piśmienne – rejestry, dzienniki i logi

Wyszukiwarki internetowe nie tylko znacząco modelują praktyki badawcze, ale także same stają się obiektem badań<sup>9</sup>. W dyskursie krytycznym wobec logiki i polityki wyszukiwarek internetowych (utożsamianych często po prostu z Google'em) podważany jest tzw. autorytet algorytmów – wiara w obiektywność, a zarazem w informacyjną wartość wyników wyszukiwania oraz traktowanie ich jako przezroczystych, pewnych danych<sup>10</sup>. Od 2004 roku Google wykorzystuje wyszukiwanie spersonalizowane, którego wyniki zależne są, między innymi, od czasu i miejsca, języka zapytania, wcześniejszej aktywności danego użytkownika w sieci. Oprócz tego wyniki wyszukiwania są porządkowane w postaci listy, która wytwarza iluzję hierarchii ważności źródeł. W rzeczywistości pozycja danej strony (szczególnie komercyjnej) na liście wyników to efekt celowego pozycjonowania witryn. Algorytmy Google'a zdecydowanie wyżej indeksują źródła takie jak Wikipedia czy materiały z własnych serwisów (np. Mapy, Grafika, YouTube, Wiadomości) niż te najbardziej profesjonalne<sup>11</sup>. Rogers, pisząc o wyszukiwarkach opartych na algorytmach, wyróżnia ich rolę i, uznając je za jeden z podstawowych elementów organizujących współczesną sieć, podkreśla, że jeszcze w latach 1998–2007 funkcjonowały one równolegle z ręcznie edytowanymi katalogami, zbiorami i kolekcjami linków<sup>12</sup>.

W przypadku badania opublikowanego w internecie dorobku literackiego i artystycznego Tomasa Pułki podstawowym zadaniem jest skompletowanie korpusu tekstów i innych cyfrowych śladów, w tym danych pozwalających na datowanie cyfrowych źródeł lub poszerzających wiedzę o kontekście twórczości poety, na przykład jego uczestnictwie w życiu literackim: zapowiedzi spotkań autorskich, posty z wynikami konkursów literackich, czy relacje ze sławów poetyckich. Sieć jest także przestrzenią pomocną do ustalenia recepcji – istotne stają się informacje o recenzjach na stronach wydawnictw oraz same recenzje lub komentarze na portalach literackich czy blogach. Badanie polskiego internetu literackiego sprzed dziesięciu lat szybko uświadamia konsekwencje upływu czasu. Wielu stron, na których potencjalnie znajdują się wymienione informacje, nie da się odnaleźć za pomocą zwykłej wyszukiwarki<sup>13</sup> internetowej: konieczna okazuje się kwerenda w archiwum webu<sup>14</sup>. W kontekście tego, jak wyszukiwanie modeluje badawcze praktyki piśmienne, ważne jest to, że archiwa webu stanowią jedną z niewielu instytucji, które nadal nawiązują do wczesnych praktyk ręcznego, wykonywanego przez ludzi edytowania sieci<sup>15</sup>.

Webowa kwerenda archiwalna jest każdorazowo zależna od informatycznej infrastruktury kolekcji i interfejsu, który wyznacza możliwości korzystania ze zbiorów. Istotne są między innymi: format dostępnych plików, metody zbierania źródeł, a także możliwości ich przeszukiwania. Jak pisze Niels Brügger: „proces archiwizowania, przechowywania, tworzenia i udostępniania kolekcji (zarówno pod względem technologicznym, jak i instytucjonalnym), wpływa na możliwości i ograniczenia jej wykorzystywania”<sup>16</sup>. Poszukiwania utworów Pułki oraz źródeł pomocniczych prowadziłam przede wszystkim w zbiorach Internet Archive – największego transnarodowego archiwum webu<sup>17</sup>. W Internet Archive strony mogą być archiwizowane przez pojedynczych użytkowników, którzy zapisują aktualną treść i wygląd strony, lub przez boty, które poruszają się po strukturze hiperłączy i masowo archiwizują sieć<sup>18</sup>. W przypadku archiwizacji dokonywanej przez użytkowników (za pomocą opcji *Save Page Now*) archiwizacja jednej strony nie przekłada się na automatyczne zachowanie całej witryny. Zaletą Internet Archive jest to, że dobrze symuluje sposób doświadczania internetu, korzystania z przeglądarki. Rogers pisze natomiast, że istotną zasadą działania Wayback Machine jest zachowywanie płynności przejść między stronami<sup>19</sup>. Jak zauważa badacz, archiwum, udostępniając zbiory poprzez interfejs Wayback Machine, prezentuje historię sieci w postaci historii pojedynczych stron internetowych i najlepiej sprawdza się do badania „biografii stron internetowych” – tego, jak pojedyncza strona zmieniała się w czasie<sup>20</sup>. Jednym z największych i najczęściej wspominanym w literaturze przedmiotu ograniczeń Internet Archive w aspekcie udostępniania zbiorów jest brak indeksu zachowanych treści i brak takich możliwości zaawansowanego przeszukiwania pełnotekstowego, jakie zapewniają współczesne wyszukiwarki internetowe<sup>21</sup>. Efekt historycznej rekonstrukcji sieci, dostępny za pośrednictwem Wayback Machine, zawiera przede wszystkim strony internetowe i połączenia między nimi, natomiast pomija ważny element nawigacyjny – wyszukiwarki. W procesie

zachowywania zbiorów w Internet Archive sieć jest dzielona na pojedyncze strony internetowe, co sprawia, że niemożliwe jest także wykorzystywanie wyszukiwarek wbudowanych w witryny.

Dostępne sposoby przeszukiwania archiwum mają konsekwencje dla praktyki badawczej. Aby przejrzeć archiwalne wersje danej strony, potrzebny jest jej dokładny adres. Przykładowo, w przypadku poszukiwania tekstów Pułki nie wystarczyła mi wiedza o tym, że publikował on w serwisie Niedoczytania. Dotarcie do tekstów poety, które ukazały się na portalu, było możliwe dopiero po przeszukaniu Niedoczytania strona po stronie. W przypadku omawianej witryny poszukiwania w archiwum webu ułatwia dość schematyczna struktura URL-ów. Na przykład link do tekstu Pułki „Lutowanie Wełny 1” zawierał zarówno nazwisko autora, jak i tytuł szkicu: <http://niedoczytania.pl/tomasz-pulka-lutowanie-welny-1/>. Wiedza o tym, jak zbudowane są adresy URL w danej witrynie, pomaga w jej przeszukiwaniu, ale nie jest to metoda uniwersalna. Na przykład adresy URL tekstów publikowanych na innym istotnym dla Pułki portalu Nieszufłada mają następującą konstrukcję: <https://nieszuflada.pl/klasa.asp?idklasy=106022&idautora=8969&rodzaj=1>. Widocznym w adresie identyfikatorom klasy i autora są przypisane liczby, które nie ułatwiają nawigacji wśród zbiorów publikowanych przez jednego użytkownika. Identyfikator klasy nie odpowiada kolejnym publikowanym przez jednego autora tekstom, lecz stanowi wynik zliczania wpisów (wierszy i wątków na forum) publikowanych przez wszystkich użytkowników od początku powstania portalu. Opisana struktura URL-ów mogłaby być pomocna przy inaczej sprofilowanych celach kwerendy.

Jak więc właściwości interfejsu Wayback Machine determinują proces pracy badawczej? Ograniczenia wynikające z braku katalogu zindeksowanych stron i witryn oraz możliwości wyszukiwania w zasobach archiwów sprawiają, że decyzje o tym, gdzie należy szukać, a przede wszystkim: od czego rozpocząć poszukiwania, trzeba podjąć na podstawie źródeł zewnętrznych wobec metadanych archiwum. W przypadku próby stworzenia korpusu tekstów Pułki, na przykład publikacji w sieciowych czasopismach literackich, pomocna była wyszukiwarka w Katalogu Czasopism Kulturalnych<sup>22</sup>, jednak pracę utrudniał brak podobnego katalogującego bardziej efemeryczne miejsca publikacji, pozbawione numerów ISSN, czyli portale i fora literackie<sup>23</sup>. W trakcie własnych poszukiwań w archiwum webu szybko zorientowałam się, że wielokrotnie wracam do tych samych stron czy witryn<sup>24</sup>, zdecydowałam się więc na ustalenie punktów startowych i wstępnych założeń dotyczących sposobu i głębokości przeszukiwania danych oraz rejestrowanie/dokumentowanie przeszukiwanych stron w postaci wpisów w dzienniku. Poszukiwania archiwalne zaczynałam od stron ważnych z perspektywy ówczesnego życia literackiego w sieci i środowiska, w którym obracał się Pułka, a więc przede wszystkim stron wydawnictw, czasopism i portali. Oprócz tego zwracałam szczególną uwagę na komentarze i wpisy Pułki na portalach poetyckich, które były świadectwem tego, co poeta czytał, do jakich portali czy czasopism zaglądał. Rejestrowanie sposobów przeszukiwania webowego archiwum pozwala lepiej ocenić postępy procesu badawczego, tym bardziej że kwerendę w Internet Archive komplikuje to, że przeglądanie zarchiwizowanych wersji sieci może przebiegać w trzech kierunkach:

1. przeglądanie w głąb danej witryny (od strony głównej do podstron),
2. przeglądanie między linkującymi do siebie witrynami,
3. przeglądanie wyglądu danej strony na osi czasu.

Dwa pierwsze potencjalne kierunki przeglądania treści to rezultat upodobnienia doświadczenia interfejsu archiwum do surfowania w internecie, natomiast trzeci został dodany przez twórców Wayback Machine i jest związany bezpośrednio ze sposobem udostępniania źródeł w archiwum webu<sup>25</sup>.

Kwerendy przeprowadzone za pomocą narzędzia o omówionych ograniczeniach zazwyczaj generują automatyczną dokumentację w postaci listy przeszukanych stron i odwiedzonych hiperłączy. Tego rodzaju dokumentację stanowi historia przeglądarki, a łatwym sposobem na jej dodatkowe uporządkowanie jest wyposażenie oprogramowania, za pomocą którego przeprowadzana jest webowa archiwalna kwerenda, we wtyczkę w postaci menadżera historii danych. Do porządkowania dokumentacji przydatne mogą być funkcje takie jak: wyszukiwanie w historii w określonych zakresach dat, dostęp do liczby wizyt na danej stronie, statystyki dotyczące czasu spędzonego na niej. Podobną funkcję mogą pełnić generowane przez komputer pliki log zapisujące działania użytkownika, nazywane też rejestrem zdarzeń. Jednak nawet dziennik kwerendy prowadzony ręcznie (bez pomocy automatycznego algorytmu), w którym badacz notuje po kolei

linki, które odwiedzał, czyli znaczą swoją ścieżkę przeszukiwania archiwum, przypomina w formie właśnie informatyczny rejestr przeszłych zdarzeń.

Wielość możliwych ścieżek prowadzenia kwerendy pokazuje, że na *workflow* i wynikające z niego praktyki piśmienne wpływają zarówno cele badania, jak i ograniczenia infrastruktury technicznej archiwum. Doświadczenie przeszukiwania archiwalnej sieci bez znanego z żywego webu<sup>26</sup> systemu nawigacji nieodłącznie wiąże się z błędzeniem, co wymusza na przeprowadzającym kwerendę stworzenie własnego systemu nawigacji, czyli własnego zestawu zasad (szczególnie, jeśli celem przeszukiwania archiwum jest wyszukanie informacji na konkretny temat). Doświadczenie kwerendy tematycznej w archiwum webu, oferującym ograniczone możliwości wyszukiwania i pozbawionym katalogu (mechanizm takiej kwerendy nie odpowiada więc ani poszukiwaniom bibliotecznym, ani przeszukiwaniu żywego webu), pozwala dostrzec, jak bardzo same wyszukiwarki modelują praktyki czytania w sieci. W przypadku przeszukiwania w żywym webie – za pomocą wyszukiwarki albo katalogu stron internetowych – treści są już na wstępie przynajmniej częściowo sortowane i ograniczane przez algorytm lub przez zespół ludzi. Przeglądanie sieci w tym trybie staje się bardziej ustrukturyzowane; wyniki wyszukiwania mogą więc być porównane do spisu treści, do którego można wrócić. W przypadku tematycznych kwerend w archiwach webu brak notatek, rejestrów, dzienników czy inaczej ujętej dokumentacji, przedstawiającej drogę, którą przeszedł badacz w poszukiwaniu informacji, wyklucza późniejsze ewentualne uzupełnianie niekompletnych źródeł. Dokumentacja procesu przeszukiwania archiwum webu obrazuje to, że kwerenda badawcza z wykorzystaniem graficznego interfejsu użytkownika Internet Archive stanowi powtórzenie pracy, którą wykonywały wcześniej boty archiwizującą sieć. Badacz (lub służące temu oprogramowanie) przechodzi od linku do linku, podobnie jak bot zbierający wcześniej dane. Rezultat pracy botów<sup>27</sup> dokumentują przeszukiwalne pliki *crawl.log* (zwane plikami dziennika, rejestrem zdarzeń)<sup>28</sup>, które zawierają informację o tym, które strony zostały zapisane. Mogłyby one rekompensować brak indeksu, nie są jednak udostępniane przez Internet Archive. Rejestry zdarzeń pozwalają odtworzyć ścieżkę poruszania się bota po hipertekstowej strukturze webu, podobnie jak dziennik lub automatycznie generowana historia przeglądarki stają się piśmiennym rezultatem kwerendy – ścieżki poruszania się badacza po hipertekstowej strukturze zarchiwizowanego webu. Podobieństwo tych operacji ilustruje, jak bardzo praktyka notowania, piśmiennego porządkowania przebiegu kwerendy archiwalnej zależna jest od sposobu udostępniania danych i metadanych.

---

## **Błędy, porażki, próby i raport techniczny**

Kolejnym z pozoru prostym zadaniem – które miało jednak ogromny wpływ na późniejsze etapy pracy badawczej, możliwości wykorzystania narzędzi cyfrowych, a także praktyki piśmienne – było gromadzenie materiałów źródłowych (w tym wypadku publikowanych internetowo tekstów Pułki) na dysku komputera. Na korpus utworów Pułki publikowanych w sieci składają się teksty dostępne za pośrednictwem ponad 850 adresów URL. Są to teksty znajdujące się na platformach i stronach zróżnicowanych pod względem budowy technicznej. Niektóre dostępne są w sieci, do niektórych natomiast można dotrzeć tylko za pomocą archiwum webu. Za przykład biorę tu jedynie zachowywanie tekstu, nie omawiam szczegółowo problemów związanych z utrwalaniem innych formatów medialnych, składających się na cyfrowy dorobek Pułki – plików graficznych, dźwiękowych i video oraz utworów hybrydowych. Jeśli chodzi o gromadzenie materiału, trudności nastroczała nawet pozornie najmniej skomplikowana formalnie (przede wszystkim pod względem zapisu wiersza), ale zarazem najbardziej obszerna część dorobku Pułki – czyli teksty poetyckie publikowane na portalu Nieszufłada. Sam portal, funkcjonujący od 2002 roku, jest prosty pod względem budowy kodu, a jego interfejs umożliwia jedynie najbardziej podstawowe formatowanie (kursywa, bold, hiperłącza) publikowanych tekstów. Na Nieszufładzie Pułka zamieścił niemal 400 wierszy na pięciu osobnych kontach, do tego 41 wątków na forum oraz prawie 600 komentarzy. Przy takiej liczbie linków, z których należałoby pobrać materiały, czasochłonne staje się ręczne zapisywanie danych tekstowych, polegające na przechodzeniu od linku do linku, zaznaczaniu tekstu i kopiowaniu go do pliku w edytorze tekstowym. Rozwiązanie tego problemu w postaci automatycznego masowego pobierania danych

więzało się z wielokrotnymi próbami i testowaniem rozmaitych technik i oprogramowania, a efekty nie zawsze były zadowalające. Tym bardziej że w omawianym przypadku gromadzenie tekstów na dysku własnego komputera z założenia było jedynie wstępnym zadaniem, a służyć miało kilku celom:

1. archiwizacji (był to jeden ze stosowanych sposobów zabezpieczenia danych tekstowych) – w tym kontekście zależało mi na zachowaniu utworów Pułki, ale także kodu źródłowego, by móc odczytywać tekst w kontekście oryginalnego wyglądu strony,
2. późniejszej możliwości automatycznego porównywania wariantów tekstów poetyckich – dane musiały być więc możliwie elastyczne, aby można je było wykorzystać do testowania przynajmniej kilku programów i technik porównywania,
3. możliwości chronologicznej lektury wszystkich tekstów publikowanych na danym koncie na portalu poetyckim, w tym dyskusji prowadzonych w komentarzach, oraz możliwości wygodnego tworzenia łatwych do przetworzenia na inne formaty cyfrowych notatek.

Od tego, jak przygotowany zostanie materiał – na przykład czy każdy wiersz zostanie zapisany w osobnym pliku, czy odwrotnie: wszystkie wiersze z jednego konta na Nieszufladzie zostaną umieszczone w jednym – zależy to, co będzie można zrobić z danym materiałem źródłowym na późniejszych etapach pracy, jakie zadania będzie można przynajmniej częściowo zautomatyzować, a także jakie oprogramowanie okaże się najbardziej odpowiednie. Właściwości takie jak format i wielkość plików czy rodzaj kodowania znaków są istotne w procesie automatycznego porównywania tekstów, a w przypadku określonych metod i programów mogą go zupełnie uniemożliwiać. W wypadku przydatnego do porównywania tekstów oprogramowania do badań korpusowych (np. Voyant Tools lub funkcji Clarinu „porównywanie korpusów”) wiersze należy zapisywać w osobnych plikach, które dodatkowo powinny być odpowiednio przygotowane – oczyszczone na przykład z treści, która występuje na stronie internetowej, ale nie jest analizowanym przez literaturoznawcę tekstem utworu poetyckiego. Taki zbędny tekst to na przykład pseudonimy, komentarze czytelników bloga czy nagłówki. Podobnie jak struktura archiwum webu ma wpływ na możliwe procedury badawcze, tak też decyzja o formacie pliku oraz oprogramowaniu, które przechowywać będzie źródła, jest ich wstępną interpretacją, a także decyzją metodologiczną. Wymusza ona na badaczu sprecyzowanie podejścia do materiału źródłowego, określenie tego, co istotne (np. wspomniane wyżej komentarze, typografia tekstu, a może także graficzny wygląd strony internetowej). Próby wykorzystywania jednego z najpopularniejszych sposobów pozyskiwania z niej danych, tzw. *web scraping*, wyeksponowały uniwersalne problemy związane z masowym, automatycznym pobieraniem utworów tekstowych z sieci. Metoda ta, chociaż wykorzystywana przez humanistów cyfrowych<sup>29</sup>, w przypadku moich prób nie zawsze była całkowicie satysfakcjonująca. Efektem działania algorytmów były pliki w formatach, które nie zachowywały wszystkich właściwości wiersza istotnych z perspektywy filologicznej lektury (np. jego formatowania, rozmieszczenia słów na stronie czy podziału wiersza na strofy).

W przypadku badania materiałów pierwotnie cyfrowych (*born digital*) – tekstów publikowanych w sieci – odpowiednie przygotowanie danych jest analogicznym mechanizmem do procesu digitalizacji. Teksty, które zostały stworzone od razu jako cyfrowe, nie zawsze są gotowe do nawet najprostszej cyfrowej analizy. Często decyzja o przygotowaniu na dysku źródeł do cyfrowego *close reading*<sup>30</sup> powoduje, że materiał pierwotnie sieciowy, hipertekstowy i wielomedialny w procesie przygotowywania zbliża się do postaci tekstu linearnego<sup>31</sup>, na którym badacz pisze, notuje, zaznacza. Alternatywne podejście do materiału źródłowego i praktyk piśmiennych proponuje ruch *open annotation*<sup>32</sup>, którego podstawowym założeniem jest zachęcanie naukowców do robienia notatek, pisania bezpośrednio po stronach internetowych, otwartego, opartego na współpracy pisania notatek za pomocą oprogramowania, które dodaje „warstwę konwersacyjną do całej sieci”<sup>33</sup>. Użytkownik po zalogowaniu się na konto może zaznaczać tekst na stronach internetowych, dopisywać do niego publiczne notatki, przeglądać zaznaczenia innych oraz odpowiadać na nie.

Właściwe dla humanistyki cyfrowej podejście do tekstu jako danych, które przetwarzane są za pomocą cyfrowych technik badawczych, wymaga testowania nowego oprogramowania i nowych narzędzi, wcześniejszego odpowiedniego przygotowania plików i sprawdzenia, jak można wykorzystać opracowane już materiały. Procedura badawcza polegająca na przykład na pilotażowym zastosowaniu automatycznych metod pozyskiwania i porównywania danych

tekstowych wymaga zanotowania ustawień, opisanie wdrożonych procedur, a także zapisania porażek i nieudanych operacji.

Nowym gatunkiem piśmiennym w humanistyce, nastawionym na dokumentację procesu badawczego, w tym także błędów i nieudanych eksperymentów, jest raport techniczny<sup>34</sup>. O tym, że raporty techniczne wynikają ze specyfiki pracy na materiałach cyfrowych i za pomocą cyfrowych narzędzi, pisał Franco Moretti, związany z The Stanford Literary Lab, którego zespół publikuje „zeszyty naukowe” (*pamphlet*)<sup>35</sup>, mające formę dziennika postępów kolektywnego projektu badawczego:

Raportowanie to właściwa forma ekspresji dla „eksploracyjnego” wymiaru humanistyki cyfrowej: rejestruje nasze wypady w bezmiar nowego, cyfrowego archiwum, zakotwicząc je w twardej faktach: uzyskano takie a takie dane i oto są, czarno na białym. Ponadto odnotowywanie wahań i decyzji podjętych w procesie badawczym pozwala wam lepiej zrozumieć, co zrobiliście. Nieprzypadkowo wiele zdań zapisujemy początkowo w czasie przeszłym, a potem przerabiamy na teraźniejszy: nigdy do końca nie wiadomo, czy kluczowe będzie opisanie danego momentu przeprowadzonego badania czy zaprezentowanie tezy na użytek bieżącej dyskusji<sup>36</sup>.

Piotr Marecki natomiast scharakteryzował raport techniczny jako formę pośrednią między dziennikiem badawczym a typowym artykułem akademickim publikowanym w czasopiśmie<sup>37</sup>. We wstępie do tomu raportów napisanych przez pracowników UBU lab Marecki podkreślił także komunikacyjną funkcję raportów, pisząc, że należy je rozumieć „nie jako punkt docelowy, ale jako sposób informowania o utworach, dokumentację wytworzonych procesów programowania, współpracy między zespołem”<sup>38</sup>; raporty „są bliżej prezentowania tego, jak opisany proces działa, niż interpretowania i ukontekstualizowywania go”<sup>39</sup>. Zarówno Marecki, jak i Ewa Wójtowicz podkreślają związek gatunku z działaniem w ramach konkretnej instytucji – laboratorium i dostępnego w nim sprzętu oraz określonej struktury organizacyjnej, na przykład archiwum<sup>40</sup>.

Obie omówione w artykule praktyki piśmienne związane są z logiką raportu i bliską mu strategią dokumentowania i przedstawiania niewolnego od porażek procesu badawczego. W przypadku badań cyfrowego dorobku Pułki należy uznać je za nierozłączny element precyzowania metodologii archiwalnych badań tekstów literackich w sieci. Podobna strategia jest zauważalna także w narracjach badawczych dotyczących polskich prac z zakresu literaturoznawstwa i humanistyki cyfrowej – również tych, których autorzy, inaczej niż pracownicy krakowskiego laboratorium, nie nazywają bezpośrednio swoich prac raportami technicznymi. Eksponowanie procesu i efektów różnego ustawienia programów pojawia się często przy okazji wizualizacji danych. Maciej Eder w swoich pracach poświęconych stylometrii pokazuje proces i wyniki, które osiągnął przy różnych ustawieniach programu<sup>41</sup>. Podobnie Marek Kaźmierczak, który, badając sieciowo literaturę polską w internecie, omawia różne ustawienia algorytmu i pokazuje, że na podstawie wyników (wygenerowanych modeli) można wyciągnąć nieprawdziwe wnioski<sup>42</sup>. Maciej Maryl opisuje kolejne zastosowane ustawienia programu i przeprowadza czytelników przez proces uczytelniania wykresów – wizualizacji<sup>43</sup>. Zarówno Maryl, jak i Kaźmierczak, analizujący strony i witryny internetowe, szczegółowo opisują proces pracy badawczej<sup>44</sup>. Marek Troszyński przedstawia natomiast proces przygotowywania danych tekstowych do badań cyfrowych, świadomie i celowo opisując niedoskonałą metodę rozwiązania problemu<sup>45</sup>.

---

## Podsumowanie

Zmiany w badawczych praktykach piśmiennych humanistów cyfrowych są konsekwencją ujmowania tekstów i materiałów źródłowych w kategorii danych. Wymienione w artykule gatunki pisania (dziennik badawczy<sup>46</sup> i raport techniczny<sup>47</sup>) towarzyszące badaniom humanistyki cyfrowej nie są nowymi ani zarezerwowanymi tylko dla badaczy tej dziedziny narzędziami. Jednak analiza tekstu przetwarzanego za pomocą logiki danych generuje formy

piśmienne wykraczające poza tradycyjną, literaturoznawczą narrację naukową. Piśmienność związana z procesem przetwarzania i przygotowywaniem danych staje się o tyle istotna, o ile są to decyzje implikujące późniejsze kroki badawcze. W przypadku moich, opisywanych w tekście badań problemy i wątpliwości dotyczące form i praktyk piśmiennych pojawiały się najczęściej w dwóch przypadkach:

1. przy decyzji o rodzaju oprogramowania używanego do pisania, tworzenia notatek lub przechowania tekstowych materiałów;
2. przy próbach migracji – przechodzenia od jednego do drugiego, różniącego się pod względem funkcjonalności oprogramowania i dostosowywania materiałów do jego potrzeb.

W wymienionych przypadkach piśmiennym efektem tych problemów było notowanie: zapisywanie prób – i porażek – w badaniach pilotażowych, które pozwalało mi ustalać wstępnie, jakie będą konsekwencje decyzji o wyborze oprogramowania lub przetworzeniu danych, na ile wyniki automatycznych metod analizy będą dokładne, ile czasu zajmie proces przygotowania do wykonania zadania. Wstępne badania na niewielkich partiach materiału okazywały się konieczne, bo chociaż pracowałam na danych podobnego typu – każdy zbiór danych (teksty pozyskane z różnych stron internetowych) był inny – inna była ich jakość na samym początku, inne możliwości dalszego przetwarzania, inna ilość. Jakakolwiek praca humanisty cyfrowego lub na materiałach cyfrowych generuje automatycznie mnóstwo danych i tekstu – logi oraz informatyczne raporty: z procesów przeszukiwania sieci, czytania i zaznaczania, pisania, robienia notatek, to wszystko również składa się na cyfrowe praktyki badawcze, choć nieraz jest to dokumentacja powstająca poza kontrolą i świadomością badacza.

Pozostaje pytanie, jak tematyzować proces badawczy, w jaki sposób tego rodzaju piśmienność, a co ważniejsze idącą za nią logikę prób i porażek wprowadzać do prezentowania wyników badań literaturoznawczych jako uzupełnienie lub rdzeń naukowych narracji. W praktyce badań humanistyki cyfrowej można zauważyć dwie tendencje prowadzące do rozwiązania tego problemu. Z jednej strony istnieją praktyki, których celem jest prowadzenie pracy badawczej „na żywo”, w czasie możliwie najbardziej zbliżonym do czasu rzeczywistego (*open notebook science*<sup>48</sup>, *open annotation*), z drugiej natomiast zauważalna staje się tendencja do włączania oryginalnych notatek i przedstawiania nieudanych eksperymentów w ramach artykułu czy raportu technicznego. Obok sytuują się rekomendacje zwolenników „otwartej nauki”, dotyczące bardziej ustrukturyzowanego instytucjonalnie publikowania danych badawczych (notatek, baz danych, zbiorów skanów i innych dokumentów wytworzonych w trakcie pracy) w repozytoriach<sup>49</sup>. O tym, jak istotna staje się perspektywa postrzegania piśmienności badawczej jako danych, świadczy nałożony przez NCN w 2018 roku wymóg przygotowywania „planu zarządzania danymi”, obowiązujący każdego wnioskodawcę, nie tylko humanistów cyfrowych.

---

## PRZYPISY

\* Praca powstała w wyniku realizacji projektu badawczego „Wiersz w sieci. Filologia strony internetowej na przykładzie twórczości Tomasza Pułki (2005-2012)” (nr 2022/45/N/HS2/02366) finansowanego ze środków Narodowego Centrum Nauki.

<sup>1</sup> Zob. M. Maryl, M. Błaszczczyńska, B. Szleszyński, T. Umerle, *Dane badawcze w literaturoznawstwie*, „Teksty Drugie” 2021, nr 2, s. 21.

<sup>2</sup> Zob. D. Costis, N. Chatzidiakou, M. Maryl, A. Benardou, C. Clivaz i in., *Europejski sondaż praktyk cyfrowych w humanistyce i naukach o sztuce. Najważniejsze wyniki*, DARIAH-EU, 2017, s. 6.

<sup>3</sup> Zob. S. Jänicke, G. Franzini, M.F. Cheema, G. Scheuermann, *On Close and Distant Reading in Digital Humanities: A Survey and Future Challenges*, EuroVis (STARS), 2015, s. 1; G.S. Choudhury, D. Seaman, *The Virtual Library*, w: R. Siemens, S. Schreibman (red.), *A Companion to Digital Literary Studies*, Chichester 2013, s. 534–546; J.E. Dobson, *Critical Digital Humanities: The Search for a Methodology*, Urbana 2019.

<sup>4</sup> Zob. J.E. Dobson, *Critical Digital Humanities...*, dz. cyt., s. 8 i n.

<sup>5</sup> Zob. <https://5stardata.info/en/> (dostęp: 07.10.2021).

<sup>6</sup> O ideowych i pragmatycznych motywacjach dzielenia się nieopracowanymi danymi badawczymi pisze Katarzyna Kalinowska, zob. też, *Humanisci wobec procesów digitalizacji. Dylematy, obawy, bariery w pracy z danymi zastanymi*, „Kultura i Społeczeństwo” 2019, nr 63(1), s. 7–25.



- 7 J.E. Dobson, *Critical Digital Humanities...*, dz. cyt., s. 8. Jeśli nie podano inaczej, wszystkie cytaty z tekstów obcojęzycznych w tłumaczeniu autorki.
- 8 Zob. tamże, s. 9.
- 9 Zob. R. Rogers, *Digital Methods*, Cambridge, MA-London 2013, s. 110.
- 10 Zob. tamże, s. 96.
- 11 Zob. tamże, s. 100.
- 12 Zob. tamże, s. 95 i n.
- 13 O warunkach instytucjonalnych, niedofinansowaniu i powtarzającym się mechanizmie „śmierci witryn” portali literackich zob. M. Pisarski, *Dumni, sprytni i goli. Inicjatywy kulturalne w polskim literacie*, w: P. Marecki (red.), *Kultura niezależna w Polsce 1989–2009*, Kraków 2010, s. 210 i nn.
- 14 Od chwili, gdy rozpoczęłam badania nad cyfrowym dorobkiem Pułki, z żywego webu zniknęły co najmniej dwie witryny, na których publikował poeta – liternet.pl i niedoczytania.pl.
- 15 Zob. R. Rogers, *Digital Methods...*, dz. cyt., s. 63. W przypadku Internet Archive przejawia się to przede wszystkim na poziomie opcji *Save Page Now* dostępnej dla użytkowników, która pozwala im decydować o tym, jakie materiały zostaną zachowane.
- 16 N. Brügger, *The Archived Web Doing History in the Digital Age*, Cambridge, MA-London 2018, s. 73.
- 17 Zob. tamże, s. 105.
- 18 Szczegółowo o procesie tym pisze Janne Nielsen, zob. też, *Using Web Archives in Research*, NetLab 2016, s. 12 i n., [https://dighumlab.org/wp-content/uploads/2017/06/Nielsen\\_Using\\_Web\\_Archives\\_in\\_Research.pdf](https://dighumlab.org/wp-content/uploads/2017/06/Nielsen_Using_Web_Archives_in_Research.pdf) (dostęp: 10.05.2024).
- 19 Zob. R. Rogers, *Digital Methods...*, dz. cyt., s. 65. Rogers zauważa też, że surfowanie po archiwalnej wersji sieci jest nawet bardziej płynne niż doświadczenie żywego webu kosztem asynchronii czasowej wyświetlanych źródeł. Już w pierwszych latach działania sieci www badacze wyróżniali co najmniej dwa typowe tryby poszukiwania informacji, związane z praktykami czytania w internecie: „Na jednym końcu dychotomii internautów znajduje się osoba wyszukująca, która poszukuje określonych informacji. Na drugim końcu jest surfer, który klika z linku na link głównie dla rozrywki” (J. Murphy, *Surfers and Searchers: An Examination of Web-Site Visitors’ Clicking Behavior*, „Cornell Hotel and Restaurant Administration Quarterly” 1999, nr 40(2), s. 84–95).
- 20 Zob. tamże, s. 66 i n.
- 21 Wyszukiwanie w archiwum webu różni się od wyszukiwania za pomocą współczesnych wyszukiwarek przede wszystkim tym, że wpisane przez użytkownika hasła są przeszukiwane jedynie w tytułach stron oraz w zawartości stron głównych, natomiast nie w zawartości całej witryny.
- 22 Zob. Katalog Czasopism Kulturalnych, <http://katalog.czasopism.pl/> (dostęp: 07.10.2021).
- 23 W tym wypadku najbardziej przydatne publikacje o życiu literackim w sieci, ale także spisy i katalogi stron internetowych, listy linków.
- 24 Jako jedną z dróg przeszukiwania witryn przyjął przeglądanie portali i blogów, które były linkowane na stronach, na których już udało mi się wcześniej znaleźć interesujące mnie materiały. O hipertekstowych połączeniach między witrynami w polskim internecie zob. M. Kazimierzczak, *Literatura w sieci tekstów*, Gniezno 2008.
- 25 Problem czasowej niespójności między zarchiwizowanymi fragmentami w Internet Archive analizował N. Brügger, zob. tenże, *The Archived Web...*, dz. cyt., s. 108 i n.
- 26 Nawiązuję do rozróżnienia materiałów sieciowych na: web żywy (*live web*) i web zarchiwizowany (*re-born web*), zob. tamże, s. 21 i n.
- 27 Zob. tamże, s. 79.
- 28 Zob. tamże, s. 82.
- 29 Zob. D. Jemieliński, *Socjologia cyfrowa*, Warszawa 2019, s. 80 i nn., M. Maryl, *Tworzenie typologii gatunków piśmiennictwa multimedialnego na przykładzie blogów – propozycja metodologiczna*, w: P. Siuda (red.), *Metody badań online*, Gdańsk 2016, s. 377 i nn.
- 30 Zob. S. Jänicke i in., *On Close and Distant Reading...*, dz. cyt.
- 31 W przypadku Nieszuflady myślenie o publikowanych tam treściach jest jednak widoczne w wypowiedziach administratorów portalu, którzy postrzegają zbiór wierszy publikowanych przez jednego autora jako jego „prywatną bibliotekę”, zob. Administrator Admiński, *Jeden wiersz dziennie, Jeden wiersz dziennie*, <https://nieszufkada.pl/klasa.asp?idklasy=4900&idautora=107&rodzaj=2> (dostęp: 08.10.2021).
- 32 Open Annotation Collaboration, <http://www.openannotation.org> (dostęp: 07.10.2021).
- 33 *About Us*, <https://web.hypothes.is> (dostęp: 07.10.2021).
- 34 Por. N. Montfort, *Beyond the Journal and the Blog: The Technical Report for Communication in the Humanities*, „Amodern” 2013, nr 1, <http://amodern.net/article/beyond-the-journal-and-the-blog-the-technical-report-for-communication-in-the-humanities/> (dostęp: 02.04.2021).

- 35 Pamphlets, <https://litlab.stanford.edu/pamphlets/> (dostęp: 07.10.2021).
- 36 F. Moretti, *Literatura – zmierzona*, przeł. M. Maryl, „Teksty Drugie” 2017, nr 1, s. 214.
- 37 Zob. P. Marecki, *Between Provocation and Experiment: Technical Reports and the Ecology of Scholarly Communication in the Humanities*, „Kultura i Edukacja” 2015, nr 4, s. 176. Raport techniczny jest przedstawiany jako nowy i alternatywny gatunek nie tylko ze względu na formę, ale także funkcjonowanie w alternatywnym, pozarecenzyjnym obiegu tekstów naukowych, zob. F. Moretti, *Literatura – zmierzona...*, dz. cyt. Nick Montfort pisze następująco: „raport techniczny jest nie tylko gatunkiem tekstowym, istotne są także jego paratekstowe, formalne i materialne właściwości, jak również kontekst instytucjonalny, w jakim został wytworzony”, tenże, *Beyond the Journal and the Blog...*, dz. cyt.
- 38 P. Marecki, Wstęp, w: P. Marecki, J. Argasiński, J. Woynarowski, R. Straka, L. Onak, J. Olczyk, *UBU lab. Raporty techniczne 2016–2019*, Kraków 2019, s. 7.
- 39 M. Marecki, *Between Provocation and Experiment...*, dz. cyt., s. 178.
- 40 Zob. E. Wójtowicz, *Posłowie*, w: P. Marecki i in., *UBU lab. Raporty techniczne...*, dz. cyt., s. 198 i n.; P. Marecki, *Between Provocation and Experiment...*, dz. cyt., s. 179.
- 41 Zob. np. M. Eder, *Metody ścisłe w literaturoznawstwie i pułapki pozornego obiektywizmu – przykład stylometrii*, „Teksty Drugie” 2014, nr 2, s. 90–105.
- 42 Zob. M. Kaźmierczak, *Literatura w sieci tekstów*, dz. cyt., s. 229 i n.
- 43 Zob. M. Maryl, *Życie literackie w sieci. Pisarze, instytucje i odbiorcy wobec przemian technologicznych*, Warszawa 2015, s. 187.
- 44 Zob. tamże.
- 45 Zob. M. Troszyński, *Analiza treści witryn internetowych z wykorzystaniem automatycznego kodowania*, w: P. Siuda (red.), *Metody badań online*, dz. cyt., s. 82–101.
- 46 O roli humanistycznych dzienników badawczych w kontekście badań cyfrowych, zob. K. Kalinowska, *Humanisci wobec procesów digitalizacji...*, dz. cyt., s. 22 i n.
- 47 O wojskowej genezie gatunku, zob. N. Montfort, *Beyond the Journal and the Blog...*, dz. cyt.
- 48 Zob. A. Clinio, A. Sarita Albagli, *Open Notebook Science as an Emerging Epistemic Culture within the Open Science Movement*, „Revue française des sciences de l’information et de la communication” 2017, nr 11.
- 49 Zob. M. Maryl i in., *Dane badawcze w literaturoznawstwie...*, dz. cyt.

# Eksperymentalne laboratoria humanistyczne

z Piotrem Mareckim rozmawia  
Honorata Sroka

**Honorata Sroka:** Porozmawiajmy o laboratoriach humanistycznych rozumianych w sposób niemetaforyczny. Piszesz o tym obszernie w *Praktyce i eksperymencie*<sup>1</sup>, czy mógłbyś przybliżyć w skrócie: dlaczego każde laboratorium jest inne, co przesądziło o kształcie UBU lab? Na czym polega jego interdyscyplinarność i intermedialność? Jak wygląda praca na przecięciu różnych dyscyplin i dziedzin badawczych oraz na przecięciu różnych gatunków? Gdzie zauważasz napięcia między sztuką a techniką, które przedstawiłeś we wspomnianej książce jako jeden z celów twoich poszukiwań?

**Piotr Marecki:** Punktem wyjścia dla moich badań jest rzeczywiście laboratorium traktowane w bardzo specyficzny sposób. Mówi się o tekście jako laboratorium, kiedy pracujemy chociażby z ideami. W mojej praktyce oznacza ono przestrzeń, którą trzeba sobie w jakiś sposób wymyślić, przyrządy i zespół. To są trzy komponenty składające się na laboratorium traktowane jako narzędzie. W swojej praktyce stosuję podejście, które mocno akcentuje praktykę i rozwój zarówno sfery rzemieślniczej, jak i intelektualnej. Często odwołuję się do tego, co MIT, czyli szkoła, w której dużo się nauczyłem i gdzie zrobiłem „postdoka”<sup>2</sup>, ma w swoim motcie: umysł i ręka. Rozwijamy zarówno stronę umysłową, jak i rzemiosło. Taki model pracy w humanistyce jest dzisiaj niezwykle popularny. Bardzo wielu naukowców prowadzi laboratoria, co jest związane ze zwrotem praktycznym – zainteresowaniem takim modelem humanistyki, w którym nie tylko interpretujemy teksty, które już są, czyli czytamy w bibliotece kilka książek, a następnie coś o nich piszemy, lecz także coś wytwarzamy, używając określonych narzędzi. Takiego modelu uprawiania humanistyki nauczyłem się na amerykańskich uczelniach: w MIT, gdzie działa The Trope Tank, którego kierownikiem jest prof. Nick Montfort, ale też na Uniwersytecie Kolorado w Boulder, na którym prof. Lori Emerson prowadzi The Media Archeology Lab, czy też na Uniwersytecie Stanu Waszyngton w Vancouver, gdzie prof. Dene Grigar prowadzi The Creative Media & Digital Culture Program. Są to miejsca wypełnione komputerami nie tylko współczesnymi, ale też takimi, które były popularne przez ostatnie dekady. Zajmuję się kulturą cyfrową, więc przyglądałem się temu, jak pracuje się w tej dziedzinie w laboratoriach, które wymieniłem. Każde z nich jest inne. Naukowcy mają do dyspozycji inną przestrzeń. Także ich szefowie i zespoły, którymi kierują, czym innym się interesują, a co za tym idzie – w inny sposób pracują. W tym sensie laboratorium to nie jest takie narzędzie jak długopis czy notes, nie jest przezroczyste. Dlatego w labie dużo mówi się o tym, czym dany naukowiec się zajmuje. Pokaż mi swój lab, a powiem ci, czym się zajmujesz.

---

Eksperymentalne laboratoria humanistyczne.  
Z Piotrem Mareckim rozmawia Honorata Sroka,  
„Almanach Antropologiczny. Communicare” 2024, t. 9, s. 177-181.

**HS:** Do czego wykorzystywane są laboratoria i w jaki sposób zmieniają praktykę dydaktyczną?

**PM:** Przede wszystkim do uprawiania nauki, działań kreatywnych, produkcji, ale też właśnie w dydaktyce. Jest to skuteczne narzędzie, niezwykle angażujące studentów. Wiemy z różnych badań nad efektywnością metod dydaktycznych, że jest ona największa wówczas, kiedy osoba zdobywająca wiedzę przechodzi z tobą przez pewien proces. Mało zapamiętuje się z wykładów, nieco więcej z ćwiczeń, natomiast najbardziej skuteczną jest praca laboratoryjna, w trakcie której wytwarzasz ze studentkami i studentami pewną rzecz. Na zajęciach z kultury cyfrowej albo literatury elektronicznej pracuję z grupami nad tworzeniem gier cyfrowych, botów, pisaniem za pomocą algorytmów wierszy oraz szeregu innych gatunków cyfrowych.

**HS:** Wróćmy do kwestii kolektywnego wymiaru labu. Czym różni się praca w laboratorium od pracy w ramach zespołu lub pracowni? Jak rozumiesz różnice między klasycznymi instytucjami naukowymi a laboratorium? Na pewno ma znaczenie łączenie ludzi z różnych środowisk, co jeszcze?

**PM:** Zajmujemy się w UBU labie specyficznym obszarem, w którym dochodzi do krzyżowania się dyscyplin. W zespołach, które prowadziłem lub prowadzę, są ludzie zajmujący się informatyką, technologią, artyści, czasem też tradycyjni humaniści, np. literaturoznawcy. Przez wiele lat w ramach grantu Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki prowadziłem zespół, w którym miałem informatyków bez podstawowej wiedzy humanistycznej – nie wiedzieli na przykład, kim był Bruno Schulz, ale też humanistów, którzy nie potrafili wymienić ani jednego języka programowania. Te zespoły były jednak kompletne, gdyż taka jest specyfika mediów cyfrowych. Czasem potrzebujemy zaawansowanych „geeków”<sup>3</sup> od komputerów, ludzi, którzy naprawdę nic innego nie robili przez trzydzieści lat, tylko zajmowali się jednym sprzętem. Oni nie mają żadnego zaplecza naukowego, tylko takie właśnie – geekowskie. Okazuje się jednak, że nikt, kto profesjonalnie podchodzi do danej platformy, jest np. serwisantem, nie umiałby tylu rzeczy z tym sprzętem zrobić. Jeżeli nie zaangażujesz członków społeczności skupionej wokół danego komputera, którzy znają się na tym jak nikt inny, lepiej niż producent – i to nie jest przesada, to po prostu nie będziesz mieć pełnych danych. Humanisci często poprzestają na badaniu tylko powierzchni dzieł cyfrowych (np. tego, co wyświetla się na ekranie). Natomiast jeśli chcesz kompetentnie badać ten obszar, musisz poznać poziom *software* i platformy.

**HS:** Czyli osoby nieprofesjonalnie zajmujące się danymi platformami mają rodzaj wiedzy bezużytecznej dla producentów, natomiast istotnej do całościowego oglądu danego zjawiska?

**PM:** Tak, często interesowały nas chociażby ograniczenia sprzętu, różne w zależności od platformy. Jeżeli zajmujesz się kulturą cyfrową, tym, co ludzie robią, żeby się wyrazić przez daną platformę, tego typu ograniczenia siłą rzeczy powinny cię interesować. Kolejna sprawa to same procesy badania twórczości. Skoro laboratorium służy do tego, by eksperymentować, a także jest narzędziem do produkowania artefaktów, to czemu nie przyjrzeć się tym procesom twórczości? Zaażanować proces powstawania i sprawdzić, co się wówczas dzieje?

**HS:** W jaki sposób monitorujecie ten proces?

**PM:** Ważną funkcję pełnią raporty, w których bardzo szczegółowo opisujemy, co robimy. Kiedy ktoś produkuje utwór cyfrowy, często po prostu nie pokazuje, jak to robi, oddaje jedynie gotową rzecz. Przydatne będzie tu przywołanie metafory bazaru i katedry Erica Raymonda. Bazarami są utwory, w których pokazujemy krok po kroku, jak dane rozwiązanie zostało zrobione. Natomiast katedra jest czymś, co olśniewa, ale jest zamknięte. Masa produktów kultury cyfrowej taka właśnie jest – komercyjne apki, produkty, których zasad funkcjonowania nie możemy zobaczyć. W laboratorium jesteśmy bliżej koncepcji bazaru, czyli takiego rodzaju pracy, w trakcie której każdy może sobie, jak na bazarze, podejść, zobaczyć... Gdzie jest dużo ruchu, różnych pomysłów, nie wszystko jest podporządkowane jednej idei, by skonstruować olśniewające dzieło. Naszym celem jest wymiana myśli. Wspomniałem o zespole ludzi, którzy znają się na kompletnie różnych

rzeczach, często mówią różnymi językami – a mimo wszystko mogą się wzajemnie inspirować, bo mają wiedzę z różnych obszarów i potrafią ją połączyć. Prawdopodobnie, gdyby nie laboratorium, nigdy by się nie spotkali.

**HS:** Przejdźmy do praktyk utrwalania, archiwizowania, dokumentowania, tworzenia i legitymizowania wyników badań. Najbliższy chyba jest Ci wspomniany raport z badań. Dlaczego? Na czym polega wytwarzanie wiedzy poprzez eksperymentowanie ze sztuką i dyskursem naukowym?

**PM:** Tradycyjny model pisania w humanistyce wygląda, jak wiadomo, w ten sposób, że publikuje się tekst w czasopiśmie albo w monografii naukowej, czasem przedstawia się wyniki badań na konferencjach, to wszystko może być czytane, cytowane itd. Wszyscy wiemy też, jak działa ten obszar komunikacji w nauce: często czeka się latami na publikację tekstu, przez co nierzadko publikuje się wiedzę już postarzałą. Szczególnie w takim obszarze jak media cyfrowe, gdzie informacji przybywa lawinowo z roku na rok. Niekoniecznie musi tak być w innych obszarach humanistyki. Jeśli, przykładowo, badasz kulturę antyczną, to nie wiem, czy ta wiedza szczególnie dynamicznie przyrasta. Inaczej natomiast wygląda sytuacja, kiedy zajmujesz się takim obszarem, jakim ja się zajmuję: tu ludzie nieustannie tworzą, wymyślają, eksperymentują; ciągle pojawiają się nowe platformy, nowe technologie, nowe apki, które są wykorzystywane do celów twórczych. Kiedy jeżdżę na konferencje czy festiwale, obserwuję po kilkadziesiąt nowych prezentacji podczas jednego takiego wydarzenia, tymczasem publikacja ukazuje się średnio za dwa-trzy lata, kiedy żyje się już innymi technologiami. Używanie takiego gatunku jak raport techniczny – który jest, powiedzmy, mniej doniosły niż klasyczny artykuł naukowy – ma swoje zalety. Jest to forma mniej gotowa, bardziej takie pisanie na brudno, ale powstaje ona w czasie, kiedy rzeczywiście powstają badania. To też rodzaj notatek, które często publikuje się z błędami. Zgadzasz się na to, że pokazujesz proces. Nie musisz stale prezentować wyszlifowanej wiedzy, możesz też powiedzieć coś o swoich pomyłkach i poszukiwaniach. Jednocześnie jest to forma pozwalająca na najszybsze reagowanie, kiedy przyrost wiedzy jest tak ogromny. Inna sprawa, że w naszej dziedzinie bardzo ważne są konferencje. Istnieją uniwersytety, które zapraszają ludzi, by się spotkali i pokazali eksperymenty, które rzeczywiście zrobili, pokazali wyniki swoich badań. Już na poziomie propozycji prosi się nas o pokazanie rezultatów. Co twój wynik wnosi do dyscypliny? Jestem wychowankiem polskich szkół, pamiętam, kiedy próbowałem aplikować na konferencje Digital Humanities, błędnie idąc taką drogą jak w Polsce, czyli przedstawiając jakiś problem badawczy. Na przykład pisałem w abstrakcie, że będę chciał zrobić to i to. Niestety z drugiej strony pojawiały się ostre pytania: *what is the output?* Co wniosłeś do tej dyscypliny? Jaki jest twój efekt końcowy? Co ty zmieniasz w dyscyplinie? Pytają cię o takie rzeczy, więc to jest zimny prysznic, kiedy okazuje się, że nie wystarczy mielenie, przetwarzanie określonych terminów, których ktoś już kiedyś użył, wprowadzanie ich do jakiś lokalnych pól itd. Laboratorium jest świetnym miejscem do wytwarzania tego typu projektów, w których jesteś rozliczany z efektów końcowych – wytwarzasz je, one są namacalne. Nie zajmujesz się tylko i wyłącznie interpretowaniem istniejących tekstów, gimnastyką terminami, ale robisz coś, co ma praktyczny wymiar. Wracając do raportów technicznych, one świetnie służą dynamicznej komunikacji, która może być zresztą świetną wizytówką labu. Przypomnę, że w MIT prawie wszyscy naukowcy mają laboratoria. Studenci też pracują w laboratoriach. Jak się idzie korytarzami uczelni, to widać, że wiele labów ma wystawione raporty techniczne, dotyczące rzeczy zrobionych w ostatnich miesiącach czy latach. Szybko się wszystkiego dowiadujesz, możesz po prostu wziąć taki raport i go przeczytać, to nie jest trudne. Od raportu też nie wymaga się tak wielkiej pracy redaktorskiej, jak od publikacji w dobrym wydawnictwie. Chodzi o przedstawienie wyników badań, zebranie wniosków i zaprezentowanie tego w jakimś miejscu fizycznym albo na stronach internetowych, w mediach społecznościowych czy otwartych bazach. Później na podstawie tego raportu możesz zrobić zaawansowaną publikację naukową z esencjonalną wiedzą. Chociażby dlatego, że np. w polskim systemie raporty nie są punktowane.

**HS:** Jak rozumiesz pojęcie efektu badawczego? Czy Twoje książki drogi<sup>4</sup>, rodzaj „trollowania” manii reporterskiej w polskim życiu literackim, są jakimiś wynikami badań socjologicznych

albo czy książki z serii konceptualnej Ha!artu nazwałbyś takimi efektami? Czy przeciwnie – zaliczasz do nich tylko artykuły i raporty naukowe?

**PM:** Jak najbardziej, dzieła kreatywne również mogą być takim wynikiem. Wiemy, że dziś można uprawiać naukę opartą na sztuce, często dołączając do niej raport. Różnica jest taka, że odchodzimy od bardzo ważnej w humanistyce żonglerki terminami (seriami zmieniających się pojęć czy interpretacji już istniejących tekstów – w nowych kontekstach, za pomocą nowych narzędzi, nowych badań itd.), stawiamy natomiast na wytwórczość, na wykonanie pewnego projektu. Wybierasz sobie narzędzia, często jest to też bardzo skomplikowane. Na przykład może się wydawać, że to jest coś prostego, wystarczy kupić sobie komputer i niech on po prostu stoi. Opublikowałem kiedyś rozmowę z Dene Grigar, a jej tytuł brzmiał *The computer is not a tool to help us do whatever we do, it is what we do, it is a medium on which we work*. Chodzi o to, że komputer nie jest transparentnym narzędziem, którego używa się do tego, by uzyskać jakiś efekt. Sprzęt jest często tym narzędziem, na którym się skupiamy. To jest to medium, na którym my pracujemy. Można powiedzieć *alfa* i *omega*, punkt wyjścia i punkt dojścia. Często poświęcamy masę czasu, by mieć ten komputer w takim stanie, w jakim go potrzebujemy. Zajmuję się takim obszarem sprzętu, klonami, że często mówimy po prostu o zjawiskach endemicznych. Kiedy badaliśmy klony ZX Spectrum, ludziom z innych obszarów kulturowych trudno było sobie wyobrazić te badania, zwłaszcza jeżeli nie mogli tu przyjechać, nie znali języka itd. Bo w ich kręgach kulturowych nie klonuje się sprzętu, używa się tylko oryginalnych platform. Trudno też prowadzić takie badania, jeśli nie masz w zespole ludzi zajmujących się klonami. Trochę jak z odchodzącymi zawodami: coraz mniej osób umie pewne rzeczy zrobić. Chciałbym podkreślić, że czasem już sam aspekt użycia jakiegoś sprzętu może być punktem dojścia w projekcie. Tego typu nauka, kreatywność cyfrowa, opiera się na wielomiesięcznej pracy, eksperymentowaniu, powtarzaniu tych eksperymentów, wyrzucaniu rzeczy, które się nie udają etc. Efekt końcowy jest często niedoskonały. Nierzadko sam proces okazuje się po prostu ciekawszy. Niedługo ukaże się książka, w której rozmawiam z różnymi artystami posługującymi się metodą laboratorium, geekami technologii, ale też artystami, praktykami, którzy często podkreślają, że efekt końcowy w ogóle się nie liczy. Najciekawszy jest sam proces wytwarzania, w nim jest coś, co łamie granice, co jest ciekawe. Na tym opiera się galaktyka Gutenberga, że informacja, którą replikujemy, musi być wyczelowana. Natomiast w przypadku mediów cyfrowych mamy do czynienia z wieloma dziełami nieskończonymi, bez ostatniego sznytu.

**HS:** Jakimi konkretnie sposobami sprawdzacie procesy twórcze?

**PM:** Poprzez raportowanie samego procesu tworzenia. W labie powstał raport z produkcji gry *In nihilum reverteris* Yerzmyeya i Hellboya (to są właśnie fani związani z platformą ZX Spectrum), pokazujący krok po kroku ograniczenia, które napotkaliśmy. Przykładowo, twórcy chcieli wyprodukować grę, ale mieli tyle a tyle tekstu. Tu pojawia się pierwsze ograniczenie – ta gra nie jest w stanie go zmieścić. Dlatego wymyślają nową czcionkę, która zawiera mniej informacji, i dają więcej tekstu. Taka gra z mitem dzieła zamkniętego, dzieła, które posiada wersję ostateczną.

**HS:** Ostatnie pytanie dotyczy języka i odnajdywania się w jego ramach. Poetyka pisarstwa naukowego jest poetyką elitarną i hermetyczną. Kiedy jednak zaczynamy upraszczać sposoby komunikowania, często okazuje się, że tracimy na naukowości, która rozumiana jest jako synonim dobrej jakości pracy. Kolejna sprawa to kwestia angielskiego jako *lingua franca* i statusu języków lokalnych, a w konsekwencji modelowania odbiorców nowej wiedzy naukowej. Nawet w Polsce jest wiele dyscyplin, w ramach których autorzy nie posługują się w ogóle językiem polskim do publikowania wyników swoich badań (choćby IT czy nauki przyrodnicze), inne dyscypliny są dopiero na początku tej drogi (humanistyka). Jaki masz stosunek do samego języka, którym się posługujesz w swojej pracy pisarza naukowego? Albo musisz się posługiwać, by być skutecznym chociażby w relacjach z instytucjami rozdzielającymi granty? Czy ten język Cię drażni? Czy jest on dla Ciebie transparentny? Może próbujesz go trollować chociażby celowym pozostawieniem w tekstach błędów pokroju literówek, albo projektowaniem eksperymentów tak, by użyć zawsze tego samego słowa (np. swojego pseudonimu). A może używasz kryptocytatów, przedstawiasz

wyniki analiz nieistniejących rękopisów, podajesz w przypisach daty dostępu do źródła internetowego z poprzedniej epoki (to jest moja ulubiona strategia), może wreszcie cytujesz źródła zaskakujące, dla niektórych nieprzystające do rejestru poważnej nauki, jak strona firmy Pudliszki, Rossmanna itd.? Jaki masz stosunek do ram poetyki pisarstwa naukowego?

**PM:** Bardzo ciekawe pytanie. Wydaje mi się, że ten model pisania anglosaskiego, którego się uczę, zwłaszcza w trybie pisania laboratoryjnego, raportowego, wymaga pisania konkretno – zrobiłem to, wykonałem to. Tradycyjna książka humanistyczna przez pierwsze kilkadziesiąt, czasem kilkaset stron polega na grach z terminologią. To oczywiście słuszną strategią. Jako naukowcy musimy udowodnić, że znamy te pojęcia, potrafimy opisać, w jakiś sposób rozwijamy wiedzę, jak konkretnie wykorzystujemy metodologię. Nauka jest, jak wiemy, obszarem bardzo nietwórczym. Ciągłe musimy udowadniać, że wiemy, co inni napisali, oraz rozumiemy, w jakim miejscu jesteśmy. Odwołam się do szkoły humanistyki cyfrowej na Oksfordzie, na którą kiedyś pojechałem. Była ona mniej więcej tak prowadzona: spotykaliśmy się rano i słuchaliśmy o tym, co Platon i Arystoteles powiedzieli o mediach cyfrowych, natomiast wieczorem mieliśmy godzinę praktyki. W amerykańskim modelu laboratoryjnym jest dokładnie na odwrót. Chodziłem na takie zajęcia, na których nie było antycznej (czy współczesnej) teorii, a tylko tworzenie. Czasem tylko prowadzący wprowadzał jakiś termin albo nazywał profesjonalnie to, co już zrobiłeś. Dwie różne metody uczenia i komunikowania. Jeśli wykonujesz tyle konkretnych rzeczy, niekoniecznie musisz zapętlić dyskurs naukowy w ogromnej liczbie tekstów i terminów. W modelu anglosaskim mówi się czasem o *hamburger books*, czyli prostych i zrozumiałych książkach. Myślę, że to potężny atut tych naukowców, którzy potrafią tego typu książki pisać. Trzeba pamiętać, że bardzo popularne na uniwersytetach amerykańskich są kursy *academic writing*, w których nacisk położony jest na element prezentacji. Jeśli już w ogóle zabierasz głos, zastanów się najpierw, po co go zabierasz. Jestem zdania, że warto sobie na wiele pytań odpowiedzieć i mieć sproblematyzowane to, co piszemy. Innymi popularnymi kursami akademickimi w Stanach Zjednoczonych są zajęcia z aktorstwa, co niekoniecznie polega na tym, że przygotowują cię do bycia wielką gwiazdą telewizji. Ćwiczą w tobie umiejętność prezentacji. Wszystko to ułatwia komunikację. Sądzę, że jest ona ważna, należy ją rozszerzać jak najbardziej to możliwe. Przede wszystkim warto wynosić wiedzę z kontekstu akademii. Wiem, co to znaczy opublikować w czasopiśmie naukowym artykuł, nad którym długo pracowaliśmy w zespole, by ostatecznie skonstatować, że nikt go nie przeczytał, nie zauważył, nie skomentował. Dlatego szukam innych form komunikowania. Na różne sposoby wyprowadzamy UBU lab z kontekstu akademii: jeździmy na festiwale nauki, *demoparties*. W książce, której jesteś redaktorką, opisaliśmy eksperyment, polegający na wyniesieniu utworu – 8-bitowej gry Deszczownik, którą wytworzyliśmy jako efekt naszego zainteresowania naukowym – na ulicę Szeroką w Krakowie, gdzie spacerują ludzie. W tym przypadku chodziło nam o to, by odbiorcą naszych działań naukowych był przypadkowy turysta.

---

#### PRZYPISY

- 1 P. Marecki, *Praktyka i eksperyment. Laboratoryjny model humanistyki*, Kraków 2019.
- 2 W latach 2013-2014 Piotr Marecki przebywał na stypendium podoktorskim w Massachusetts Institute of Technology.
- 3 Tzn. fanów, osoby szczególnie pochłonięte praktykami związanymi z komputerami.
- 4 P. Marecki, *Polska przydrożna*, Wołowiec 2020; tegoż, *Romantica*, Wołowiec 2021.

# — 4

## **Omówienia i recenzje**



Anna Róża Hoss

# Kto tam mieszka, kto plądruje? O Uniwersytecie w ruinie Billa Readingsa

Bill Readings<sup>1</sup>, *Uniwersytet w ruinie*, przeł. S. Stecko, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2017, 300 ss. (Myśl o Kulturze).

**U**niwersytet w ruinie to klasyczna już analiza z obszaru badań krytycznych uniwersytetu. Choć polskie tłumaczenie autorstwa Samanty Stecko pojawiło się dopiero w 2017 roku, a więc 20 lat po premierze oryginału, pozycja była już od dawna ważnym punktem odniesienia w polskiej debacie dotyczącej kondycji humanistyki. Bill Readings, absolwent Oksfordu, wykładał komparatystykę na Uniwersytecie Montrealskim. W 1994 roku, w wieku trzydziestu czterech lat, zginął w katastrofie lotniczej<sup>2</sup> w drodze powrotnej ze zjazdu akademickiego. Był już wówczas naukowcem o ustalonej renomie, regularnie wygłaszającym gościnne wykłady na europejskich i amerykańskich uniwersytetach. Jego druga<sup>3</sup> książka, *Uniwersytet w ruinie*, została opublikowana pośmiertnie przez Harvard University Press<sup>4</sup>. Dziś jej lektura może wzbudzać w czytelnikach pokusę retrofuturystycznej weryfikacji zawartych w książce prognoz i propozycji, zwłaszcza, że intuicje Readingsa już wcześniej okazywały się trafne. Samuel Moore przypomina na przykład, jak wiele zawdzięczają Readingsowi pierwsze inicjatywy społeczne podejmujące kwestię publikowania naukowego w sieci: w swoich analizach przewidywał choćby finansowe konsekwencje cyfryzacji czasopism naukowych, działalność „drapieżnych wydawnictw” (*predatory journals*) czy wreszcie ryzyko uzależnienia rozwoju kariery naukowej od wydajności publikacyjnej badacza<sup>5</sup>. Czy polski czytelnik skorzysta dziś z tej lektury? Kontekst pracy Readingsa jest nieco odmienny, jako że dotyczy ona przede wszystkim amerykańskiego i brytyjskiego systemu edukacji, a w dodatku powstała na krótko przed początkiem cyklu gwałtownych przemian kulturowych związanych z rozwojem technologii cyfrowych. Mimo to książka obfituje w rozpoznania, które dla części odbiorców, a zwłaszcza młodych kulturoznawców i kulturoznawczyń, mogą być aktualne i inspirujące.

Readings rozpoczyna wywód od wprowadzenia – kluczowej, jak się okazuje, a trudnej do zdefiniowania – kategorii **doskonałości**, którą osadza w konsekwentnie wyprowadzanym rowodowie historycznym. Czytelnik poznaje zatem ewolucję idei uniwersytetu – począwszy od modelu Kantowskiego po propozycje Humboldta, Schillera, Fichtego czy Schleiermachera – oraz ich późniejszą recepcję. Tę wyczerpującą i spójną rekonstrukcję dziejów idei uniwersytetu zbudowano z użyciem zręcznie zestawionych odniesień do skal mikro- i makro, do wydarzeń historycznych i współczesnych. Sięgając po głośną sprawę strajków studenckich z roku 1968, Readings omawia proces stopniowej biurokratyzacji instytucji i problematyzuje kategorię **relacji pedagogicznej** w odniesieniu do postępującego urynkowania oraz globalizacji. Według autora

---

Anna Róża Hoss,  
*Kto tam mieszka,  
kto plądruje?*  
O Uniwersytecie  
w ruinie Billa  
Readingsa,  
„Almanach  
Antropologiczny.  
Communicare” 2024,  
t. 9, s. 183-189.

warunkiem niezbędnym do zrozumienia współczesnego kryzysu uniwersytetu jest świadomość istnienia symbiotycznego związku, jaki łączył tę instytucję z ideą państwa narodowego – a co za tym idzie, konsekwencji upadku tego drugiego. Lokalizując źródło i objaśniając kolejne funkcje tej relacji, Readings podejmuje problem dereferencjalizacji pojęcia kultury. Zjawisko to uznaje za ściśle powiązane z faktem wyłonienia się „studiów kulturowych” (*cultural studies*)<sup>6</sup>. Radykalna krytyka tej właśnie orientacji badawczej stanowi punkt kulminacyjny *Uniwersytetu w ruinie*. Oparta na wnioskach wyprowadzonych z analizy historycznej, krytyka ta służy autorowi za punkt wyjścia do oceny bieżącego statusu nauk humanistycznych, a dalej – formułowania prognoz i zamykających książkę propozycji rozwiązań zdiagnozowanego kryzysu.

Pozycję otwiera rozdział „Idea doskonałości”. Fakt, że kategoria ta, tyleż pojemna, co niejasna, weszła na stałe do repertuaru dyskursywnego instytucji, niekoniecznie jest dziełem przypadku. Według Readingsa termin „doskonałość” zagościł na dobre w akademickich autonarracjach głównie z powodu swej nieprzeciętnej użyteczności. Jako element ulubionych strategii retorycznych uniwersytetu jest równocześnie terminologicznym centrum dyskursów, dzięki którym instytucja może stać się zrozumiała dla świata zewnętrznego, w tym wypadku dla klasy średniej<sup>7</sup>. Idąc dalej, kategoria ta ułatwia rozumienie uniwersytetu wyłącznie w kategoriach struktury korporacyjnej administracji (zob. s. 55). Jak pisze Readings, „[t]o, czego nauczamy i co badamy, liczy się mniej niż fakt, że nauka i badania mają być doskonałe. [...] Doskonałość prowadzi na myśl stosunek pieniężny, ponieważ jest pozbawiona **treści**; nie jest ani prawdziwa, ani fałszywa; nie oznacza ani ignorancji, ani samoświadomości” (s. 31, wyróżnienie w oryg.). Wartość tej relacji jest jednak względna, bo obowiązuje wyłącznie w obrębie „szczelnie zamkniętego systemu”, wewnątrz którego „jest środkiem pozwalającym na wzajemne porównywanie elementów [systemu – A.R.H.]” (s. 52). Doskonałością operuje się w przestrzeni dyskursywnej w sposób, który sprzyja budowaniu wrażenia, że mamy do czynienia z terminem klarownym, intuicyjnym, intersubiektywnie zrozumiałym, a ponadto odnoszącym się do uniwersalnych pragnień i wartości. Odmieniana przez wszystkie przypadki w oficjalnych obwieszczeniach, regulaminach, deklaracjach i zaleceniach stopniowo zaczyna być wszechobecna. Aż wreszcie staje się transparentna, przez co oswojony z nią na dobre odbiorca przestaje upominać się o jej definicję. Doskonałość może być zaprzęgnięta w roli narzędzia do przeformułowania napięć narastających na linii humanistyka – nauki ścisłe, gdyż „[j]ako zasada integrująca doskonałość ma tę zaletę, że jest słowem całkowicie wyciętym ze znaczenia” (s. 46), a odwołanie do niej „rozwiązuje interdyscyplinarny problem wartości, ponieważ doskonałość jest wspólnym mianownikiem dobrych badań we wszystkich dziedzinach” (s. 48). Po pierwsze, służy więc za uniwersalny punkt odniesienia, umożliwiając wdrażanie procedur ewaluacyjnych na niespotykaną dotychczas skalę. Po drugie, może być elementem przepełnionej nadzieją obietnicy potencjalnego, prawdopodobnie powierzchownego rozejmu między dziedzinami.

Idea doskonałości pełni fundamentalną rolę w procesach systematycznego włączania uniwersytetu w rzeczywistość rynkową. Uniwersytet-przedsiębiorstwo dba o marketing i budowanie marki osobistej. Oferuje studentom na przykład możliwość zakupu produktów służących za materialne poświadczenie symbolicznej przynależności do konkretnej wspólnoty, za jakie można uznać gadżety z logotypami danej instytucji (tzw. merch, jak choćby bluza z logo wydziału). Według Readingsa tym, co sprawia, że „nie można sobie wyobrazić [już – A.R.H.] żadnej korzyści pozostającej na zewnątrz systemu i niedającej się przeanalizować w kategoriach kosztów i zysków” (s. 82), jest nic innego, jak siła konsumeryzmu. Rozpoznając jego echo także w promocji interdyscyplinarności i wielokulturowości, Readings twierdzi, że idee te wymagają interpretacji, która uwzględni ich prawdopodobną – służebną względem systemu – rolę. Interdyscyplinarność mogłaby bowiem służyć choćby usprawnianiu procesów produkcji, natomiast inwestycja w komunikację pomiędzy ośrodkami uniwersyteckimi z różnych krajów – wzbogacaniu i utrwalaniu relacji wymiany, jak również formowaniu zupełnie nowego typu podmiotu. Podmiot ten wyróżniałby się właściwościami zgoła odmiennymi od tych kojarzonych z figurą obywatela państwa narodowego. Byłyby to przede wszystkim: elastyczność, płynność i dyspozycyjność. Powinien być permanentnie gotowy do przemieszczania się, jak również zdolny do bezproblemowej adaptacji na coraz to kolejnych przystankach podróży po mapie globalnego rynku. Współczesnemu sobie, biurokratycznemu uniwersytetowi Readings wieszczył nieuchronną przemianę w transnarodową korporację (*TNC – transnational corporation*). W końcu to TNC, dzięki umiejętnemu

przechwytywaniu dyskursów multikulturalizmu, nie tylko skutecznie konstruowały „podmioty oderwane od flagi” i „podmioty lojalne wobec logo”, lecz także uzbrajały się w użyteczne retorycznie uzasadnienia tychże zmian. Czytelnik mógłby jednak zapytać: skoro transnarodowy charakter systemu kapitalistycznego uruchomił proces erozji dotychczasowego rozumienia kategorii kultury, to dlaczego uniwersytet, pierwotnie silnie z nią związany, wciąż funkcjonuje? Otóż Readings twierdzi, że instytucja ocalała, bo w odpowiednim momencie zdołała zrozumieć znaczenie kontekstu administracyjno-biurokratycznego. Na jego podstawie przearanżowała swoją wewnętrzną strukturę w stabilny, dostosowany do wymogów środowiska twór, którego trwałość opiera się także na systematycznych wysiłkach retorycznych. Być może ta zmiana nie byłaby możliwa lub przynajmniej tak owocna, gdyby nie doskonałość, stanowiąca przecież „pozabawioną referencji zasadę umożliwiającą niczym nieograniczoną wewnętrzną władzę administracji” (s. 188). „Ogólnoadministracyjna logika ewaluacji” (s. 195) stała się ścieżką, po której uniwersytet „posthistoryczny” zmierza w stronę statusu „uniwersytetu doskonałości”.

„Zwrotu ku doskonałości” można dopatrywać się zatem wśród etapów procesu przemiany uniwersytetu w ciało administracyjno-biurokratyczne. Readings zachęca, by pochylić się na chwilę nad narracją o uniwersytecie, którym zarządza się „jak gdyby” był korporacją, a którego studenci byłiby „jak gdyby” klientami. Twierdzi bowiem, że nie mamy tu do czynienia z analogią: uniwersytet **naprawdę** jest korporacją, a studenci naprawdę są jej klientami. Spójrzmy: tych ostatnich angażuje się w ewaluację kształcenia. Postawieni w pozycji konsumentów, wyposażeni w stosowne ankiety, mają udzielać informacji zwrotnych na temat poziomu swojej satysfakcji z jakości „usługi edukacyjnej”. Z kolei jakość kształcenia danego studenta oceniana jest między innymi pod względem długości „okresu realizacji”, uznawanego w kapitalizmie za „uniwersalne kryterium jakości i wydajności” (s. 197). Na podstawie tych danych instytucja wprowadza zmiany, których najistotniejszym celem jest maksymalizacja zysku. Upowszechnienie systemów ewaluacji stawia humanistykę w sytuacji zgoła absurdalnej: trudna do objęcia tego rodzaju pomiarem, zostaje mimo to formalnie zobligowana, by systematycznie i przekonująco prezentować coraz to kolejne, przekonujące argumenty, uzasadniające jej własne istnienie. Nierzadko ci jej reprezentanci, którzy kwestionują adekwatność narzędzi ewaluacji, są postrzegani jako ci, którzy wzbraniają się przed udziałem w transparentnym, logicznym, uczciwym i uzasadnionym procesie analizy. Osiągnięcie pełnej biurokratyzacji uniwersytetu wymagałoby wypracowania zestandaryzowanych procedur ewaluacji, prowadzonych z użyciem odpowiednich narzędzi i w odniesieniu do jakiejś znormalizowanej, obiektywnej skali. Wydaje się, że faktyczna możliwość zaangażowania w tym celu kategorii doskonałości, a zatem i dokonania wartościowej translacji tego terminu, jest co najmniej wątpliwa, a jej hipotetyczne efekty – trudne do wiarygodnej oceny. Doskonałość nie odsyła przecież do żadnego sprecyzowanego punktu odniesienia i nie określa jakiegokolwiek standardu. Jej realna przydatność w roli narzędzia pomiaru i wskaźnika oceny okazuje się iluzoryczna. Metody ewaluacji wywodzą się z domeny marketingu i zarządzania, której rozwój był możliwy dzięki instrumentalizacji czasu. Konsekwencją uprzedmiotowienia czasu jest między innymi szczególna definicja **wiarygodności**. Stopniowe zakorzenianie praktyk ewaluacyjnych w kolejnych sferach ludzkiego życia doprowadziło wreszcie do powszechnego już utożsamiania ich z logiką i transparentnością, a co za tym idzie, również i uczciwością.

Readings prowokuje nas do rozważania alternatywnych rozwiązań. Czy istnieją narzędzia uwiarygodniania inne od tych egzekwowanych przez kapitalistyczną biurokrację, których moglibyśmy użyć w przypadku relacji pedagogicznej? Czy wykonalna jest odmowa udziału w ewaluacji opartej na biurokratycznym rozumieniu rozliczalności, która nie pociągnie za sobą podejrzeń o unikanie uczciwej współpracy? Autor uznaje to za osiągalne, jednak pod warunkiem wprowadzenia gruntownych zmian wewnątrz relacji pedagogicznej. Mowa tu o ponownym rozłożeniu akcentów: rezygnacji z nacisku na niezależność i autonomię na rzecz dowartościowania relacyjności i wspólnych zobowiązań. To z kolei oznaczałoby konieczność przedyskutowania pozycji szeroko rozumianej sprawiedliwości, gdyż to właśnie ona, a nie „prawdziwość”, mogłaby służyć za centralne kryterium oceny nauczania. Uznanie sprawiedliwości i zobowiązania etycznego za fundament nauczania mogłoby uczynić możliwym podważenie nie tylko sensu, ale i samej możliwości „transmisji wiedzy”. Taka redefinicja, przez autora nazwana antymodernistyczną, wymagałaby jednak cierpliwego wytrwania w pewnej niedogodności: realizacja

zobowiązań, które niesie za sobą sprawiedliwość, odnosi się do takiego rozumienia, jakie wykracza poza to dostępne jednostce. Ponadto legitymizacja dyskursu nauczycielskiego nie powinna być osiągnięta przez odwołania do rzekomo immanentnego charakteru sprawiedliwości, a raczej w drodze konsekwentnego jej unaoczniania, w dodatku w bardzo konkretnym działaniu.

Dekonstruuując mechanikę uniwersyteckiej biurokracji, Readings podważa sensowność większości jej reguł, a w szczególności wspomnianych praktyk ewaluacyjnych czy choćby klasyfikowania placówek w rankingi na mocy tak wątpliwych kryteriów, jak odsetek zdanych egzaminów, ukończenie studiów „w terminie”, a nawet wielkość zbiorów bibliotecznych. Czy parametry takie jak: liczba studentów w grupie, liczba dostępnych kursów fakultatywnych i kandydatów zaangażowanych w proces rekrutacji naprawdę są wyznacznikami jakości? Wszystkie miary kwantyfikacji, które organizują codzienność uniwersytetu, mają działać przede wszystkim w służbie gospodarki kapitalistycznej, której priorytetem jest zysk, a nie poziom nauczania i przedsięwzięć badawczych. Mimo oczywistego politycznego uwikłania terminu, relacja łącząca doskonałość z polityką nie ma według Readingsa charakteru ideologicznego. Stąd proste utożsamianie doskonałości z ideologią jest, jego zdaniem, nieuprawnione (zob. s. 31). Readings przekonuje, że „zwrot ku doskonałości” to strategia kompensacyjna, pojawiająca się w odpowiedzi na fakt wyczerpywania się relacji uniwersytetu z państwem narodowym: tworem, którego pozycja została bezpowrotnie zdegradowana przez procesy globalizacji.

W rozdziale „Upadek państwa narodowego” autor przedstawia zasadniczą dla jego argumentacji kwestię udziału globalizacji w nieodwracalnym naruszeniu fundamentów akademii. Do niedawna nadrzędnym celem instytucji była – rozumiana bardzo szeroko – legitymizacja państwa narodowego. Uniwersytet pozostawał głównym ośrodkiem wytwarzającym pożądaną przez państwo typ podmiotu, co wiązało się z koniecznością produkcji, konserwacji i aktywnego krzewienia kultury narodowej. W miarę rozwoju globalizacji staje się jasne, że państwo narodowe nie sprawdza się w roli decydującego obszaru samoreprodukcji kapitalizmu; degradacja jego pozycji jest kwestią czasu. Kapitał stopniowo przechodzi w ręce transnarodowych korporacji. Specyfika działania tych organizmów wpływa na kształt tradycyjnie rozumianych **granic**: dosłownych, utożsamianych z terytorium państwa narodowego, ale i symbolicznych, w tym granic definicji kultury. „Mocna definicja kultury” ukształtowana w parze z konceptem narodu wraz z nim zaczyna umierać. Logicznym tego następstwem jest zachwianie podstawowej struktury kulturotwórczej nowoczesnego uniwersytetu, co najdobitniej odczuwają katedry literatury narodowej. W okresie świetności państwa narodowego wydziały humanistyczne realizowały konkretne, praktyczne zadania: definiowały i propagowały kulturę narodową, kreowały narodową tożsamość, kształtowały podmioty zdolne do pełnienia roli obywateli. Proces wytwarzania tożsamości narodowej polegał na stopniowej internalizacji obrazów i opowieści, które stanowiły odbicie jednostki przeglądającej się w licznych praktykach instytucji państwowych. Poszczególne instytucje i praktyki państwa funkcjonowały jak lustro: kształtujący się podmiot kolekcjonował pojedyncze reprezentacje siebie samego, systematycznie uaktualniając krystalizujący się, w zgodzie z oczekiwaniami, autowizerunek. Osiągnięcie docelowej, pożądanej tożsamości obywatela i członka narodu miało być zwieńczeniem przekształcania jednostkowego **ja** przez wspólnotowe **my**. Zwiększająca się obecnie w przestrzeni publicznej – jak podkreśla autor – widoczność nacjonalistów bynajmniej nie świadczy o faktycznym odradzeniu się państwa narodowego; prędzej potwierdza jego niepokojącą kruchość i definitywny zanik. Można co prawda rozważać, czy kapitalizm zupełnie odebrał, czy jedynie znacząco osłabił tożsamość narodową. Najważniejsze jest jednak to, że zaproponowana w zamian tożsamość korporacyjna okazała się co najmniej równie atrakcyjna; metanarracja kultury narodowej nie jest już uniwersytetowi niezbędna do przetrwania.

We współczesnych dyskursach edukacyjnych upowszechniło się już mówienie o kształceniu jako o „przekazywaniu wiedzy”. To określenie problematyczne – mówi Readings – bo zręcznie ukrywa szereg niekorzystnych przekształceń, jakich doświadczyła szeroko rozumiana relacja pedagogiczna. Ma tu na myśli przede wszystkim przesunięcie w stronę związku radykalnie asymetrycznego, skoncentrowanego wyłącznie na dystrybucji zinstrumentalizowanej wiedzy, niezainteresowanego rozumieniem kształcenia jako wartości autotelicznej. Adaptacja uniwersytetu do reguł późnego kapitalizmu, realizowana choćby poprzez uspołnianie dotychczasowych dążeń instytucji z celami typowymi dla marketingu i zarządzania, ma

rzekomo służyć zwiększeniu wydajności procesów „przekazywania wiedzy”. Symptomatyczna reifikacja, widoczna w terminach takich, jak „przekazywanie” czy „produkcja” wiedzy, uosabia kierunek zmian wewnątrz relacji pedagogicznej. Ta opiera się już głównie na reprodukcji asymetrycznego związku, odbywającej się wewnątrz arbitralnie ustalonej hierarchii jego podmiotów. W tym miejscu Readings przekonuje, by cofnąć się do podstawowych pytań: po co się uczyć? Czym jest kształcenie? Jakie miejsce na współczesnym uniwersytecie zajmuje **myślenie**? Historyczne koncepcje uniwersytetu proponowały odmienne proporcje stosunku dydaktyki do badań i oferowały ich teoretyczne uzasadnienia. Na „uniwersytecie doskonałości” oba wymiary podporządkowuje się nadrzędnemu obszarowi: administracji. Readings uważa, że wzrastający nacisk na specjalizację i profesjonalizację stanowi „sposób radzenia sobie z utratą podmiotowego składnika doświadczenia edukacyjnego, polegający na integracji nauczania i badań jako aspektów uogólnionego procesu administrowania w obrębie zamkniętego systemu – nauczanie to administrowanie studentami przez profesorów, badania to administrowanie profesorami przez ich kolegów po fachu, z kolei administracja to nazwa warstwy biurokratów, którzy administrują całością” (s. 194–195).

W części „Studia kulturowe i wojny o kulturę” Readings kieruje ostrze polemiki w stronę studiów kulturowych – *cultural studies*. Genezy powstania tej, jego zdaniem, **quasi-dyscypliny** (zob. s. 147) doszukuje się w jednym z korelatów wspomnianego upadku państwa narodowego: ekstremalnej dereferencjalizacji pojęcia kultury. Proponuje własną, roboczą definicję tego pola badań, nazywając je ustabilizowaną mieszanką marksizmu, psychoanalizy i semiotyki, obiecując stworzenie dla humanistyki nowego paradygmatu (zob. s. 146, 147), który miałby zjednoczyć bądź zastąpić istniejące dotychczas dyscypliny. Fakt, że studia kulturowe zdołały osiągnąć status niezależnej dyscypliny, Readings uważa za symptom choroby trwającej nie tylko humanistykę jako taką, lecz także cały uniwersytet. Za kamień milowy w procesie ich wyłaniania się autor uznaje ugruntowanie kategorii „partycypacji”. Jej rosnąca popularność miała być konsekwencją krytyki „kulturowego ekskluzywizmu” i „niezgody na teoretyczną wertykalność”, kierowanych przez część środowiska akademickiego pod adresem akademii. Z kolei promowanie pojęcia **kultury ogólnej** miało sprzyjać zamaszystemu rozszerzaniu jej definicji – aż do momentu całkowitego rozrzedzenia pola referencji. Autor odnosi się sceptycznie także do rozpiętości repertuaru badawczego nauk o kulturze. „Płodność i zróżnicowanie działań prowadzonych w ich [nauk o kulturze – A.R.H.] ramach – twierdzi – biorą się właśnie stąd, że kultura przestała funkcjonować jako pojęcie desygnujące pewną konkretną rzecz lub zestaw rzeczy – dzięki temu studia kulturowe mogą być tak popularne, choć odmawiają podania ogólnej teoretycznej definicji kultury” (s. 36). Z perspektywy Readingsa tak rozumiana kultura jest więc konstruktem równie fasadowym i bezużytecznym, co omawiana wcześniej doskonałość (zob. s. 147).

Readings niewzruszenie stoi na stanowisku, że studia kulturowe nie mają ani wspólnego przedmiotu badań, ani właściwej sobie metodologii, ani nawet szczątkowych, specyficznych ram teoretycznych. Uważa wręcz, że skryształizowanie ogólnej teorii studiów kulturowych, rozumianej jako klarowny zbiór niezbędnych założeń, jest nieosiągalne (zob. s. 155); ponadto sami ich przedstawiciele nie są zainteresowani prowadzeniem podobnych dociekań, ponieważ mają „znikomą [...] potrzebę określenia własnego przedmiotu badań” (s. 154). Za cechę dystynktywną studiów kulturowych Readings uznaje ów specyficzny protest przeciwko „jakimkolwiek próbom ograniczania [ich – A.R.H.] pola referencji”. Charakterystyczne miałyby być także „pretensja do posiadania instytucjonalnego potencjału” z towarzyszącym jej brakiem „jakiegokolwiek mocy objaśniającej” a także chęć, by „okupować” „całe pole przynależne humanistyce” poprzez „akademizację kultury” (zob. s. 156–157). Studia kulturowe w ujęciu Readingsa nie są dyscypliną ani samodzielną, ani niezależną, ani nawet nowatorską. Nie są również metadyscypliną; w najlepszym przypadku można uznać je za akt negacji sensu istnienia dyscyplin jako takich.

Stanowisko Readingsa względem krytycznego potencjału studiów kulturowych również nie jest przychylne. Twierdzi, że możliwość praktykowania zinstytucjonalizowanej **podejrzliwości**<sup>9</sup> zaistniała w murach akademii wyłącznie dlatego, że to, co rzekomo wyciągane na światło dzienne, od dawna już nie jest aktywnie ukrywane<sup>9</sup>. Według Readingsa znaczna część refleksji wypracowanych w obszarze studiów kulturowych jest nie tylko niespójna z wyjściowymi, rewolucyjnymi z ducha ambicjami dyscypliny, lecz wręcz sprzyjająca powstawaniu zupełnie nowych sposobów kolaboracji z systemem. Trudno nie zauważyć, że – zgodnie z przewidywaniami

autora – wiele istniejących dziś ośrodków zajmujących się studiami kulturowymi funkcjonuje w roli producentów wiedzy o dużym potencjale wdrożenia w procesy marketingowe (zob. s. 189).

Po tak sformułowanej diagnozie autor formułuje zalecenia naprawcze. Warunkiem koniecznym ewentualnego rozwoju studiów kulturowych byłyby zatem: wypracowanie wystarczająco dobrej definicji kultury, dookreślenie wewnętrznej struktury dyscypliny i sprecyzowanie zestawu kluczowych kategorii. Zachęca on także do podjęcia szczerzej, dojrzałej dyskusji na temat potencjału krytycznego humanistyki, argumentując, że jej efekty mogłyby umożliwić uczciwe rozpoznanie realnych możliwości. Mowa tu choćby o zmierzeniu się z tym, że postępująca ewolucja dyscypliny rozminęła się z poziomem jej społecznej skuteczności i znaczenia. Poruszając kwestię możliwych strategii rozwoju humanistyki, Readings już na wstępie zachęca do dyskwalifikacji z jednej strony projektów bazujących na nostalgii i sentymencie, z drugiej tych nadmiernie elastycznych. Tytułowa metafora ma odsyłać czytelnika do kwestii potencjalnych niebezpieczeństw towarzyszących poszczególnym strategiom radzenia sobie z kryzysem. Readings przestrzega przed błędami, które mogą towarzyszyć próbom zagospodarowania „szczątków” akademii: zarówno mimetyczna rekonstrukcja, napędzana sentymentem i fantazją o przywracaniu dawnej świetności, jak i radykalne równanie jej z ziemią, wydają się bowiem strategiami bezrefleksyjnymi, niepoprzedzonymi trzeźwą analizą rzeczywistości. Jego zdaniem, należałoby raczej podjąć próbę całkowitej rekontekstualizacji „pozostałości” (zob. s. 198–199). Autor stawia zatem tyle mocny, ile mało konkretny postulat: „wymyślenia wspólnoty na nowo”<sup>10</sup>. Cóż innego pozostało naukowcom, którzy wiedzą, że nie mogą już „przypisywać badaniom roli zbawczej ani wierzyć, że wyimaginowana wspólnota uczonych odzwierciedla mikrokosmos potencjalnej wspólnoty państwa narodowego” (s. 196) i że uniwersytet „nie bierze już udziału w trwającej historii postępu” (s. 198)?

Podkreślając, że dyskusje nad kryzysem humanistyki są utrudnione o tyle, o ile sama kategoria kryzysu – dzieląca los kultury – pozostaje rozmyta, Readings rozrysował trzy potencjalne drogi wyjścia. Pierwsza z nich, konserwatywna, prowadziła do odbudowy znaczenia tożsamości narodowej z nadzieją, że pozwoli to na rehabilitację, a nawet dalsze umocnienie kulturotwórczej misji uniwersytetu. Kolejna, multikulturalistyczna, trzeźwo brałaby pod uwagę faktyczną kondycję państwa narodowego. Choć dążyłaby również do wzmocnienia tożsamości, zakładałaby jednak konieczność odnalezienia zupełnie nowych, alternatywnych, mocnych kategorii, przychylając się równocześnie do osłabienia związku instytucji uniwersytetu z państwem. Ostatnia propozycja wiązałaby się z akceptacją zaniku etosu intelektualisty oraz gotowością do generalnej, radykalnej restrukturyzacji i redefinicji – tak siebie, jak i państwa jako takiego. Obok powyższych propozycji Readings zasugerował rezygnację z kategorii podmiotu na rzecz kategorii osobliwości, którą rozumiał jako minimalny węzeł specyficzności, „który nie został strukturalnie zhomogenizowany w podmiot”; homogenizowany przez kulturę masową (która czyni z nich podmioty konsumpcji, a nie tradycyjne produktywnie podmioty sfery publicznej albo społeczeństwa obywatelskiego) (zob. s. 176). Tego rodzaju przesunięcie miałoby ułatwić przekierowanie uwagi od kwestii tożsamości (dotychczas szeroko i umiejętnie eksploatowanej w duchu logiki konsumeryzmu) w stronę sprawstwa, pełnionych ról i sprawowanych funkcji.

Mimo bolesnej trafności szeregu spostrzeżeń na temat kondycji studiów kulturowych trudno uniknąć wrażenia, że krytyka Readingsa jest równie intensywna, co podatna na wpadnięcie w zastawiane przez niego samego pułapki. Na przykład proponowane przez niego „rozwiązania” to zbiór refleksji wyrażonych mocno hermetycznym żargonem. Ich mętność skutecznie ukrywa faktyczny brak konkretnych propozycji, ilustracji, przykładów działań, co w dość osobliwy sposób kontrastuje z rozległą krytyką braku klarownych definicji. Skądinąd zrozumiałe zarzuty względem metodologii dyscypliny nieco tracą na sile na tle całego tekstu: przesyconego anegdotalami, miejscami wręcz cynicznego i zapalczywego.

Wreszcie pozycja, z której autor wygłaszał swoją krytykę, znajdowała się w samym centrum obszaru problemowego poddawanego analizie. Readings specjalizował się bowiem w literaturze porównawczej, omawiana zaś wcześniej linia krytyki studiów kulturowych opierała się na negacji ich statusu samodzielnej dyscypliny, przy czym szczególny akcent położono na historyczny kontekst rozdziału od katedr literatury. Niezależnie od tych i podobnych słabości wywodu Readingsa, wartości *Uniwersytetu w ruinie* można bronić, podkreślając celność jego prognoz. Chociaż autor bezkompromisowo obsadził studia kulturowe w roli czarnej owcy, ostatecznie

jednak nie przemienił ich w kozła ofiarnego<sup>11</sup>, którego pozbycie się mogłoby tymczasowo rozwiązać bieżące tarapaty humanistyki. Dwadzieścia lat później, nieprzychylnie narracje o studiach kulturowych i szerzej – kulturoznawstwie – wydają się nadal służyć za dyskursywny wentyl bezpieczeństwa. Uruchomione w porę, biorą udział w doraźnym, acz skutecznym, utrwaleniu hierarchii władzy, pomagając w legitymizacji uprzywilejowanego statusu nauk ścisłych i społecznych. Jednak – przynajmniej na razie – użyteczność i stabilność tej strategii mogą znacząco utrudniać bezpowrotne wygnanie humanistyki poza granice systemu.

---

#### PRZYPISY

- 1 Bill Readings (1960-1994) – brytyjski literaturoznawca, profesor komparatystyki na Uniwersytecie w Montrealu. Badał kondycję uniwersytetu na koniec XX wieku. Zginął w wypadku przed ukazaniem się drukiem książki *Uniwersytet w ruinie*.
- 2 R. Sellars, *Bill Readings*, „Angelaki” 1997, nr 2(1), s. 22, <https://www.tandfonline.com/doi/pdf/10.1080/09697259708571912> (dostęp: 17.04.2024).
- 3 Pierwsza książka Readingsa, wydana przez wydawnictwo Routledge w serii *Critics of the Twentieth Century*, nosi tytuł *Introducing Lyotard: Art and Politics* (New York-London 1991).
- 4 Zob. B. Readings, *University in Ruins*, Cambridge, MA 1996, <https://www.hup.harvard.edu/catalog.php?isbn=9780674929531> (dostęp: 17.04.2024).
- 5 S. Moore, *Revisiting the Present Future of Scholarly Communication: Bill Readings and the Birth of Online Publishing*, 2019, <https://www.samuelmoore.org/2019/04/18/revisiting-the-present-future-of-scholarly-communication-bill-readings-and-the-birth-of-online-publishing/> (dostęp: 17.04.2024).
- 6 W polskim przekładzie w miejsce „cultural studies” stosowany jest termin „studia kulturowe”. Choć określenie to pojawiać się będzie konsekwentnie w dalszej części wywodu, zorientowany czytelnik zapewne zauważy, że w kontekście polskim dyscyplina ta funkcjonuje pod wieloma sztyldami, jak choćby „kulturoznawstwo”.
- 7 Zob. B. Readings, *Uniwersytet w ruinie*, przeł. S. Stecko, Warszawa 2017, s. 46; niżej numery stron w tym wydaniu będą podawane w nawiasie.
- 8 Za jej przejaw uważał kompulsywne wręcz tropienie reprezentacji – płci, rasy, klasy itd. – i inne próby „demaskowania ideologii”. W tym kontekście Readings przypisuje przedstawicielom studiów kulturowych niedostatek (specyficzną, wydawałoby się, dla postaci badacza) czujności czy wręcz rozwagi. Ich gorliwy nacisk na rozpoznanie różnicy, na przykład etnicznej, funkcjonujący jako punkt wyjścia do realnych działań przeciwko wykluczeniu, nieraz staje się równie radykalny, co nawykowy. Paradoksalnie zatem, sam może służyć homogenizacji, redukując złożoność osoby do wybranej części jej tożsamości.
- 9 Powyższe oznaczałoby, że redefinicji i uściślenia wymaga także sama kategoria ideologii. Gdy jest zbyt szeroka, sprzyja generowaniu mnogości drobiazgowych, acz naskórkowych rozpoznań; te z kolei skutecznie przykrywają właściwy, osadzony znacznie głębiej, problem.
- 10 Propozycje rozwiązań Readings wyraża głosem wspólnotowego „my”. Pojedynczy pracownik nie jest w nich obarczany ciężarem legendy o heroicznym buncie jednostki, co zresztą autor wyjaśnia, przypominając o marginalnej przydatności takiej narracji w kontekście struktur biurokratycznych.
- 11 Zob. R. Girard, *Kozioł ofiarny*, przeł. M. Goszczyńska, Łódź 1987.

Marta Rakoczy

# Humanistyka bez barykad. Intelektualiści czytani bez tekstocentryzmu

Roman Chymkowski<sup>1</sup>, *Nietożsamości. Tillion, Fanon, Bourdieu, Derrida i dylematy dekolonizacji*, Wydawnictwo Campidoglio, Warszawa 2019, 260 ss.

**A**utorów, za którymi staram się podążać – deklaruje Roman Chymkowski w książce *Nietożsamości. Tillion, Fanon, Bourdieu, Derrida i dylematy dekolonizacji* – nie traktuję jako rzeczników jakiejś nadrzędnej prawdy, jaką miałbym do przekazania ponad i poza ich dziełami; prześledzenie niepozbowionych poboczy i niekoniecznie prostych dróg każdej z tych osób pozwala lepiej zrozumieć, że dekolonizacja Algierii była nie tylko bezpośrednią przyczyną krystalizacji podstawowych pojęć właściwych dyskursom emancypacyjnym drugiej połowy XX i pierwszych dekad XXI wieku, ale też swoistym laboratorium społecznym, gdzie testowane były ukształtowane jeszcze w poprzednim stuleciu koncepcje klasycznej filozofii społecznej<sup>2</sup>. Podjęta w książce egzegeza myśli francuskiej zeszłego wieku jest zatem interpretacją wielowątkową, problematyzującą istniejące w literaturze przedmiotu ujęcia, a także wrażliwą na pytania, które ewokowała i na które nie udzieliła jednoznacznej odpowiedzi. Książka Chymkowskiego nie jest jednak wyłącznie próbą odczytania na nowo – tym razem przez algierskie doświadczenie kolonialne – dzieł zesłowiecznej humanistyki. Nie jest też oparta na prostym pomysle odczytania biograficznego, konfrontującego dokonania Tillion, Fanona, Bourdieu i Derridy z algierskimi wątkami ich doświadczeń życiowych. Jej celem jest uruchomienie, dzięki lekturze retrospektywnej, wątków fundamentalnych dla współczesnej humanistyki: kwestii tożsamości, podmiotowości, imigracji, państwa narodowego, a w końcu – misji uniwersytetu.

Autor *Nietożsamości* dość prowokacyjnie sięga po twórców hasłowo kojarzonych dziś z (równie hasłowo zresztą rozumianym) postmodernizmem, któremu wiele zawdzięcza nie tylko humanistyka, lecz także współczesna polityka społeczna demokracji liberalnych. Przekonuje też, że dokonania myślicieli francuskich domagają się ponownej interpretacji. „Odczytanie dzieł Tillion, Bourdieu i Derridy w kontekście dekolonizacji Algierii – stwierdza – nie tylko «odpomi-  
na» polityczny rodowód języków współczesnej humanistyki, przywracając im, jak powiedziałyby Marks, «rzeczywistość i moc», ale też mówi coś istotnego o niej samej – po to, aby współczesna humanistyka była w stanie nazwać rzeczywistości, w których żyjemy, powinniśmy pamiętać o jej źródłach w doświadczeniu społecznym” (s. 223). Zapominanie o genezie i przemilczanie historii stojących u podstaw dziejów humanistyki tworzy – jak czytamy w *Nietożsamościach* – „transcendentalną iluzję” (s. 223). Ta zaś jest fikcją i to fikcją niebezpieczną z punktu widzenia przyszłości humanistyki akademickiej. Tworzy bowiem głębioko nieadekwatne wyobrażenie

---

Marta Rakoczy,  
*Humanistyka bez barykad. Intelektualiści czytani bez tekstocentryzmu*, „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2024, t. 9, s. 190-193.



humanistów jako oderwanych od spraw bieżących twórców tekstów, które niewiele mają wspólnego z aktualną rzeczywistością społeczną.

*Nietożsamości* to cztery studia na temat wybranych aspektów twórczości Germaine Tillion, Frantza Fanona, Pierre'a Bourdieu i Jacques'a Derridy, ich geopolitycznego i historycznego usytuowania oraz kulis społecznych uprawianych przez nich dyscyplin: etnologii, socjologii, filozofii politycznego aktywizmu, w końcu zaś filozofii rozumianej przede wszystkim jako krytyka tożsamości wpisanych w struktury zachodniej metafizyki. Algieria i wojna algierska – jak pokazuje Chymkowski – była niezbywalną częścią biografii wybranych myślicieli. Tillion prowadziła w Algierii badania, po II wojnie światowej zaś jej wypowiedzi były ważnym głosem krytycznym wobec kolonizatorskich metod zarządzania tym krajem. Fanon pochodził z rodziny afrokaraimskiej, był prekursorem studiów postkolonialnych oraz badań nad zachodnim rasizmem, zaangażowanym w ruch na rzecz algierskiego wyzwolenia. Bourdieu prowadził badania etnologiczne w czasie wojny algierskiej, kładąc – twierdzi Chymkowski – podwaliny pod socjologię kolonializmu. Jego zainteresowanie kabylskimi chłopami, których status ekonomiczny uległ na skutek kolonizacji drastycznemu pogorszeniu, wynikało po części z własnego chłopskiego pochodzenia. Derrida z kolei pochodził z mieszkającej w Algierii rodziny sefardyjskich Żydów. Jego relacje z kulturą francuską, do której aspirował i którą zarazem krytykował, dalekie były od jednoznaczności. Algierskie doświadczenia uczyniły go apologetą krytycznego stosunku do twardej definicji tożsamości społecznej, wedle której każda grupa (etniczna, religijna, narodowa) jest wyobrażonym „my”, zawierającym z jednej strony obietnicę solidarności i wspólnoty, z drugiej – jak pokazywał Derrida – prefigurację wykluczenia związanego ze strachem lub niechęcią wobec „nich”. Właśnie na skutek algiersko-żydowskiego pochodzenia, twórca *O gramatologii* stał się orędownikiem idei bezwarunkowej gościnności. Jej instytucjonalnej legitymizacji miał dostarczać uniwersytet. Według Derridy miał on być ośrodkiem kultywowania uniwersalizmu rozumianego jako odpowiedzialność za „prawa wszystkich żyjących istot w przestrzeni międzynarodowego życia publicznego” (s. 198).

Książka Chymkowskiego, daleka od łatwego sprowadzania myśli francuskiej do etykietykujących ją „izmów”, uruchamia ponowną dyskusję nad dziedzictwem francuskich dokonań drugiej połowy XX wieku, które wbrew sztamowym opiniom nie ewokowały aksjologicznej pustki związanej z rozpadem „wielkich metanarracji”. Nie stanowiły też filozofii zadowolonej z siebie klasy średniej, czerpiącej profity z owoców demokracji liberalnej globalnej Północy. Autor *Nietożsamości* dyskretnie polemizuje także z ujęciami, które zarzucają teoretykom kwalifikowanym jako postmoderniści utożsamianie idei postępu i wszelkich nadziei emancypacyjnych ze zniewoleniem. Zaprzecza też, jakoby postmodernizm był filozofią, która, prowadząc do sceptycyzmu wobec uniwersalnych wartości, sprzyjała neoliberalnemu zawłaszczeniu wszelkich dziedzin ludzkiego życia przez rzekomo obojętne na zagadnienia aksjologiczne mechanizmy rynkowe. Chymkowski polemizuje z ujęciem najdobitniej prezentowanym w polskiej humanistyce przez Andrzeja Ledera, piszącego w *Był kiedyś postmodernizm...*, że „rozpoznanie najsilniej ciążyącym nad myśleniem schyłku XX wieku było to, które «celowości», nadziei emancypacyjnej pozwalającej projektować przyszłą wspólnotę wolnych i równych ludzi i związanemu z nią ideałowi wolności absolutnej – przypisało atrybut terroru”<sup>3</sup>, i twierdzącego, że charakterystyczne dla postmodernistów „nieustanne parcie do zniesienia tradycyjnych form odebrało samostność każdej rzeczy, poddanej władzy rynku”<sup>4</sup>. Zamiast tego stara się pokazać, że omawiani autorzy proponowali etykę solidarności i nadziei i – co więcej – że była ona znacznie bardziej wyrafinowana niż ta, która dziś forsowana jest w wielu propozycjach akademickich.

Chymkowski pokazuje gruntowne uwikłanie myśli francuskiej w konkretne kryzysy polityczne i etyczne, które w drugiej połowie XX wieku były agensami formowania sceny ówczesnej myśli, rodzącej się nie tyle w murach dobrze prosperujących, zachodnich uczelni, ile na przecięciu życia akademickiego, problematycznych biografii naznaczonych piętnem konfliktów społecznych i różnych form politycznego i intelektualnego zaangażowania. Autor *Nietożsamości* pisze o ryzyku tekstocentryzmu, który powoduje, że w humanistyce i jej dziełach widzimy – w sposób zafałszowany, zatracający kontekst ich tworzenia – autonomiczną sferę czysto teoretycznej refleksji. Tym samym odrywamy ją od konkretnego doświadczenia biograficznego, pół dyskursywnych debat publicznych, a także tego, co pozadyskursywne – niewygodne i przez to spychane do obszarów tego, co niewyraźne. W ocenie tekstocentryzmu Chymkowski jest

wrażliwy zarówno na kontekst lokalny, jak i ponadlokalny. Pokazuje gruntowne uwikłanie nauki zachodniej w technologię pisma, która powoduje, że wszelkie dyskursy pisane traktowane są jako dyskursy autonomiczne, a nie teksty-agensy, działające poprzez kontekst pozajęzykowy i na kontekst ten reagujące. Pokazuje także lokalne uwikłanie polskiej humanistyki w sprzyjającą tekstocentrycznym ujęciom myśl strukturalistyczną, która w polskiej humanistyce nie była po prostu jedną z teorii, lecz teorią, która w drugiej połowie XX wieku oddziaływała szczególnie mocno (s. 169), i z którą polemizować musiała jeszcze polska humanistyka na początku XXI wieku.

Ów antytekstocentryczny rys *Nietożsamości* jest, w moim przekonaniu, ogromnie istotny. Nie jest on bowiem związany jedynie z określoną metodologią czytania tekstów, ale ściśle łączy się z krytyką współczesnego myślenia, pokutującego także w języku polskiej akademii. Myślenie to związane jest z założeniem rzekomej rozłączności praktyki i teorii, działania i myślenia, tak jakby teksty, interpretując rzeczywistość, nie były czynnikami sprawczymi, które zmieniają nie tylko słowniki, lecz także praktyki społeczne, które ze słowników tych czerpią siłę, nadzieję lub instytucjonalną legitymizację. Tym samym Chymkowski sugeruje, że przeżywana dziś przez współczesny uniwersytet, zapoczątkowana w drugiej połowie XX wieku dychotomia działającego, zaangażowanego aktywizmu i zdystansowanego, intelektualnego akademizmu jest dychotomią opartą na fałszywych przesłankach. Teksty nie są autonomiczną, czysto semiotyczną konstrukcją, zaangażowanie zaś nie musi oznaczać rezygnacji z pogłębionej, uteoretycznionej refleksji.

Chymkowski twierdzi, zgodnie z greckim źródłosłowem słowa „teoria”, oznaczającym podróż inicjacyjną w celu zdobycia źródłowego doświadczenia, że wszelkie koncepcje dwudziestowiecznej (i nie tylko) humanistyki powstawały – dosłownie – z wędrowania w obszary tego, co inne, obce, stawiające w obliczu imperatywu „czynnej gościnności”. *Nietożsamości* proponują zatem patrzeć na humanistykę w duchu radykalnego relacjonizmu. Zaświadczają o jej uwikłaniu politycznym, ale także o tym, że wszelkie jej diagnozy i postulaty były formą czynnej interwencji w świat społeczny, za który jej przedstawiciele czuli się gorliwie odpowiedzialni i w którym brali, nie tylko dyskursywny, udział.

Co więcej, Chymkowski sugeruje, że kryzys współczesnej demokracji liberalnej jest kryzysem, który myśl francuska antycypowała, problematyzując politykę tożsamości i szukając rozwiązań łączących konieczność obrony wszelkich mniejszości z antyesencjalizmem i niechęcią wobec budowania barykad wokół „my, rozumianego przede wszystkim jako reprezentacja interesów klasowych, etnicznych, religijnych czy narodowościowych. Dlatego, wybierając tych właśnie myślicieli, autor *Nietożsamości* opowiada się za takim sposobem uprawiania zaangażowanej myśli krytycznej, który antycypuje dyskursy publiczne, nie zaś je wzmacnia lub reprodukuje. Jak pisze: „Dzieła Tillion, Fanona, Bourdieu czy Derridy dowodzą, w różny sposób i niekoniernie bezpośrednio, że myśl krytyczna nie musi być upartyjniona, tzn. nie musi być związana z konkretnymi instytucjonalnymi aktorami dyskursu publicznego” (s. 216). Chymkowski występuje zatem przeciwko naskórkowemu, prezentystycznemu i tekstocentrycznemu – nieuwzględniającym ówczesnego kontekstu dyskursywnego – ocenom myśli ubiegłego wieku. Występuje też przeciwko redukowaniu humanistyki do wąsko rozumianych postaw aktywistycznych, co nie raz skutkuje tym, że „oceny postaw i dorobku wielu współczesnych intelektualistów nazbyt często formułowane są obecnie na podstawie tego, czy w sprawie ważnej z punktu widzenia osób oceny te wystawiających zajęli oni stanowiska po właściwej stronie takiej czy innej naprędce wzniesionej barykady. Konsekwencją takiego binarnego upolitycznienia myśli krytycznej jest m.in. to, że – wbrew modnej retoryce naiwnie pojętego zaangażowania – faktycznie odmawia się jej siły i ważności, zakłada się bowiem, że intelektualista jedynie dostarcza argumentów za już zdefiniowanymi postawami; w istocie – mówiąc zupełnie wprost – tworzy on propagandę zwalczającą propagandę przeciwnej strony” (s. 216).

Co ciekawe, w projektowaniu przyszłej humanistyki Chymkowski idzie tropem późnego, znajdującego słaby póki co rezonans na gruncie polskim Michela Foucaulta, który pod koniec swojego życia usilnie wracał do problematyki nie tyle systemów wiedzy/władzy, ile umykającej im, lub do nich, nieredukowalnej podmiotowości oraz praktyk pozwalających ją uprawiać. „Od humanistyki – czytamy w zakończeniu *Nietożsamości* – zwykliśmy jednak oczekiwać czegoś więcej niż nazywania – spodziewamy się po niej antycypacji i obietnic. [...] Z tego punktu

widzenia skierowana w przyszłość myśl krytyczna powinna być poprzedzona ponownym namysłem nad podmiotowością – taką jednak, która nie w pełni panuje nad sobą i nie jest sama ze sobą tożsama, ponieważ jest podzielona, zwielokrotniona, niepewna i samą siebie projektuje w przyszłość jako co najwyżej możliwość, która może się zrealizować, ale nie musi” (s. 223). Oznacza to, że wszelkie nadzieje emancypacyjne, z których humanistyka XX wieku nigdy nie zrezygnowała, wymagają pracy podmiotu nad nim samym, bowiem wszelkie zmiany, mniej lub bardziej systemowe, zakorzenione są w porządku podmiotowości. Niepewność i krytycyzm rozumiane jako nierozzerwalnie związane z postawą samokrytyczną są warunkiem tego, by przyszła humanistyka nie była wyłącznie zakładnikiem bieżących dyskursów i określonej sytuacji instytucjonalnej.

Oczywiście propozycje wyrażone w *Nietożsamościach* mogą prowokować pytania, z którymi zmagają się nie tylko humaniści i które wykraczają daleko poza postawione w tej książce diagnozy. Być może retrospektywny gest ponownej lektury niedoczytanych koncepcji i niezrozumianych warunków ich zaistnienia – gest, który w książce Chymkowskiego zostaje wyraźnie dowartościowany – świadczy nie tyle o sile współczesnej humanistyki, ile o jej słabości. Najlepszym tego dowodem jest to, że myśl postkolonialna narodziła się w sytuacji, gdy kolonializm odchodził do lamusa, wypierany przez inne, mniej widoczne systemy wyzysku i zależności, współczesna krytyka liberalizmu zbiega się zaś w czasie z postępującym rozpadem demokracji liberalnych, rozrywanych z jednej strony przez prawicowy i lewicowy populizm i nacjonalizm, z drugiej zaś – przez transnarodowy kapitał. Być może jej słowniki okazały się właśnie w wieku XX wyraźnie przestarzałe wobec przemian historycznych, kulturowych i ekonomicznych. A podstawowym kłopotem współczesnej humanistyki jest nie tyle to, że jedynie nazywa ona rzeczywistość społeczną, nie projektując jej ani jej nie antycypując, ile to, że jej nazwy stały się nieadekwatne i anachroniczne w obliczu drastycznie zmieniającej się sytuacji geopolitycznej. Być może dlatego właśnie jej antycypacje są z góry skazane na porażkę. Co ciekawe, podobna intuicja została przywołana przez cytowanego w *Nietożsamościach* Jeana Baudrillarda, który, omawiając dzieła Foucaulta, pisał, że jest to „pisarstwo zbyt piękne, by mogło być prawdziwe” i że warunkiem jego zaistnienia jest to, że dotyczy ono tego, co już „minione”. „Foucault – stwierdzał Baudrillard – może nakreślić obraz tak zachwycający tylko dzięki temu, iż działa na rubieżach pewnej epoki (jest to być może era klasyczna, której byłby on ostatnim wielkim dinozaurom), będącej w trakcie całkowitej przemiany” (cyt. za: s. 168). Pytanie, czy humanistyka współczesna będzie potrafiła nazwać i właściwie ocenić przemiany, które nadchodzą, jest pytaniem otwartym. Na pewno jednak niechęć do wyrafinowanego, dalekiego od prostych ocen myślenia o przeszłości oraz wielkiej tradycji humanistycznej – ta niechęć, na którą świetnym antidotum są *Nietożsamości* – nie ułatwi jej tego zadania.

---

#### PRZYPISY

- 1 Roman Chymkowski – antropolog i socjolog kultury, pracownik Instytutu Kultury Polskiej UW. Autor prac z zakresu studiów postkolonialnych i postzależnościowych, badań nad kulturami antycypowanych przyszłości oraz badań praktyk uczestnictwa w kulturze, ze szczególnym uwzględnieniem praktyk lekturowych.
- 2 R. Chymkowski, *Nietożsamości. Tillion, Fanon, Bourdieu, Derrida i dylematy dekolonizacji*, Warszawa 2019, s. 222; dalej numery stron podawane będą w nawiasie.
- 3 A. Leder, *Był sobie postmodernizm... Sześć esejów o schyłku XX wieku*, Warszawa 2018, s. 12.
- 4 Tamże, s. 11.

Agnieszka Sobolewska

# Piękne potwory i nieznośny popęd wiedzy: kulturowa historia encyklopedii

Paweł Majewski<sup>1</sup>, *Mantykorą. Wczesna historia encyklopedii*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2022, 290 ss. (Communicare. Historia i Kultura).

**A**ntropologia wiedzy, która dynamicznie rozwija się w nauce zachodniej, w polskim kontekście wciąż jest słabo obecna. Oczywiście nie twierdzę, że nikt u nas nie pisał o historii nauki z perspektywy medialnej, a zatem w świetle znaczenia, jakie dla produkcji, transmisji i cyrkulacji wiedzy ma medium słowa, pisma, obrazu czy ciała. Ciężko byłoby też przeoczyć publikacje poświęcone (rozmaicie definiowanym) „laboratorium”, które spotykają się z badawczym zainteresowaniem nie tylko przedstawicieli nauk ścisłych i społecznych, ale również (a może dziś – przede wszystkim) humanistów i humanistek. Niemniej publikacje te, nawet jeśli dotyczą wskazanych obszarów problemowych i wykorzystują metody i metodologie charakterystyczne dla antropologii wiedzy, nie powstały z założeniem rozwijania akurat tej dziedziny badawczej.

Antropologiczna refleksja biorąca za przedmiot kształtowanie się wiedzy, w tym pojawianie się nowych narzędzi i strategii badawczych, rozwój i transfer pojęć oraz teorii, a także sposoby wytwarzania wiedzy (instytucjonalnej i pozainstytucjonalnej), uwarunkowane lokalnie i zmienne w czasie, w polskiej nauce rozwija się w sposób rozproszony i niesprowadzalny do jednego centrum, którym w tym wypadku byłaby antropologia wiedzy. A jednak najnowsza książka Pawła Majewskiego zatytułowana *Mantykorą. Wczesna historia encyklopedii* – dzieło plasujące się na styku historii kultury, antropologii pisma oraz kulturowej historii nauki – szuka odpowiedzi na pytania leżące w sercu antropologii wiedzy.

Antropologia wiedzy, która dziś stawia pierwsze kroki w polskiej nauce, w ostatnich dwóch-trzech dekadach prężnie rozwinęła się w krajach anglo-, francusko- i niemieckojęzycznych. Kwestia precyzyjnej definicji tej dziedziny naukowej pozostaje trudna. Na potrzeby tego omówienia proponujemy, by przyjęć szerokie i relacyjne rozumienie antropologii wiedzy: **szerskie**, ponieważ obejmujące refleksję nad wiedzą prowadzoną z perspektyw socjologicznej, historycznej, filozoficznej czy antropologicznej, a jednocześnie niesprowadzalnej do żadnej z nich; **relacyjne**, gdyż w punkcie wyjścia uznające wiedzę (albo **wiedze** – liczba mnoga jest tutaj zamierzona i uzasadniona) jako zespół teorii i praktyk, które w pierw (u)kształtowane w relacjach zawodowych, intelektualnych i emocjonalnych, następnie mogą stać się przedmiotem ponadgeneracyjnej, ponadnarodowej, ponaddiscyplinarnej i twórczej wymiany między uczonymi, naukowcami/naukowczyniami oraz intelektualist(k)ami. Relacyjna definicja wiedzy jest niezwykle ważna dla perspektywy przyjętej i rozwijanej w omawianej tu publikacji, ujmuje ona

---

Agnieszka Sobolewska,  
*Piękne potwory i nieznośny popęd wiedzy: kulturowa historia encyklopedii*,  
„Almanach Antropologiczny. Communicare” 2024, t. 9, s. 194-199.

bowiem świat nauki w sposób dynamiczny. Wiedza, tak jak poznanie, okazuje się procesem. Nie ma charakteru statycznego, nie jest więc stanem, który – w pewnym momencie uznany za faktyczny – staje się „zastany”. Jako zespół zróżnicowanych, psychofizycznych praktyk (zwłaszcza piśmiennych i oralnych) wiedza/wiedze rozwijają się linearnie (model kumulatywny) i skokowo (model naukowej rewolucji), w sposób scentralizowany (np. scentralizowany instytucjonalnie) i w rozproszeniu (np. nieafiliowane grupy i towarzystwa naukowe). Badania nad antropologią słowa, antropologią pisma (w tym nad codziennymi praktykami piśmiennymi), a szerzej – nad medialnie uwarunkowaną historią kultury stanowią doskonały grunt dla szybkiego rozwoju antropologii wiedzy, w której centrum znalazłoby się pytanie o medialne zapośredniczenie praktyk badawczo-poznawczych.

I takie właśnie tło jest właściwe dla *Mantrykory* Pawła Majewskiego. Dzieło to wyznacza bowiem przestrzeń namysłu nad wyjściowym problemem dla wszelkiej refleksji nad kształtowaniem i kodyfikowaniem się wiedzy, a więc nad encyklopedią. W *Mantykorze* encyklopedia jest zarazem ideą kulturową i wynikiem praktykowania określonych form myślenia, obserwowania i pisania, które posiadają swoją historię. Co więcej, pytanie o losy encyklopedii w zachodniej, wysoce piśmiennej kulturze jest równocześnie pytaniem o określone i podlegające licznym przekształceniom obrazy naukowości i struktury rozumienia. Z jednej strony encyklopedia pojmowana jako zespół idei jest zarówno kolektywną praktyką działania mającego na celu stworzenie, uporządkowanie i przedstawienie rzeczy, jak i modelem wypracowywania spójnego, a więc i totalizującego obrazu rzeczywistości (roz)poznanej. Z drugiej strony natomiast autor widzi w niej fascynujący projekt (o nie zawsze bezpiecznych implikacjach), który mówi bardzo wiele o tym, jak w różnych epokach reprezentanci kultury zachodniej rozumieją samo pojęcie „wiedzy” i jak wyobrażali sobie możliwości jej produkcji oraz transmisji. Na to ostatnie pytanie możemy – za autorem – odpowiedzieć krótko – przede wszystkim przez i dzięki **pismu**.

Paweł Majewski pisze, że jego celem nie jest „zrelacjonowanie dziejów encyklopedii”, ale – co właściwe dla antropologicznej refleksji nad kulturą, w tym wypadku nad historią wiedzy – „prześledzenie wczesnych stadiów rozwoju jej [encyklopedii – A.S.] idei kulturowej, rozwoju koncepcji «encyklopedii» jako jednego ze specyficznych przejawów zachodniej kultury piśmiennej” (s. 24)<sup>2</sup>. Encyklopedia nie jest jednak drugorzędną ideą; trzeba raczej spojrzeć na nią jako na ideę centralną „dla struktury porządku świata obrazowanego w praktykach językowych wypracowanych w zachodnim kręgu kulturowym” (s. 11).

Encyklopedia – osiągnąca szczytową popularność w dziewiętnastym wieku, a więc w czasie radykalnego przyspieszenia modernizacyjnego, narodzin nowoczesnych kultur miejskich, masowej turystyki i masowej sztuki oraz nowoczesnej nauki wraz ze stosowanymi do dziś podziałami dyscyplinarnymi – tkwi „jako idea, jak i jako przedmiot materialny [...] w centrum tego uniwersum”, w sercu zachodniej kultury nowożytnej „jako jeden z pomników porządku rzeczy wyrażonego w słowach” (s. 11). Encyklopedia jako projekt intelektualny może na tyle pochłaniać swoich autorów, że tekstowy obraz rzeczywistości „staje się dla użytkowników zapisów egzystencjalnie istotniejszy od samej rzeczywistości” (s. 11). Taki stan rzeczy ma swoje niebezpieczne, a niekiedy i destrukcyjne implikacje. Encyklopedia odznacza się zachłannością – pożera umysły ludzi w nią zaangażowanych. Ale jest to również, jak czytamy w *Mantykorze*, projekt, który dawał poczucie zawłaszczania rzeczywistości, „w rezultacie którego cały świat stawał się własnością jednej cywilizacji nie tylko politycznie i ekonomicznie, ale również intelektualnie i symbolicznie” (s. 26).

Ów „porządek rzeczy wyrażony w słowach” nie może być badany i opisywany z pominięciem elementu przemocy. Encyklopedia bowiem jest gatunkiem tekstu, który pełni dwie funkcje: organizacyjną (założenie 1: rzeczywistość można wpisać w pewną strukturę) oraz odzwierciedlającą (założenie 2: rzeczywistość rzeczy można przedstawić słowami). Majewski proponuje więc następującą definicję encyklopedii: „odzwierciedla ona świat pozasłowny – jako zbiornica wiedzy o nim – a zarazem organizuje ten świat jako **zbiór informacji ściśle uporządkowanych i swoim uporządkowaniem nadających porządek rzeczywistości materialnej na użytek poszukujących o niej wiedzy umysłów ludzkich** (s. 13 – podkr. A.S.). W tym świetle encyklopedia tworzy **pozór** rzeczywistości, która w swojej logiczności okazuje się poznawalna i w tym sensie dla ludzkiego umysłu **przewidywalna**. Jak pokazuje Majewski, w samym projekcie

encyklopedii kryje się jednak sprzeczność – rozdźwięk między słowem a rzeczą, rzeczywistością a jej reprezentacją.

Nieprzypadkowo figura mantykory staje się *imago* kulturowej idei encyklopedii. Ów fantastyczny stwór o ludzkiej głowie i zwierzęcym ciele, zajmujący umysły starożytnych myślicieli od Ktezjasza z Knidos (przełom V i IV wieku p.n.e.), poprzez Arystotelesa (w *Zoologii*) po autorów epoki poklasycznej (jak Pauzaniusz *Periegeta*), poetów (Dante Alighieri) i malarzy (Agnolo Bronzino), obnaża to, co dla projektu encyklopedii źródłowe – to, co jest zarazem imaginacyjnie i intelektualnie pociągające (ludzko-zwierzęce ciało jako forma transgresji), ale też do siebie nieprzystające (rzecz sama i jej słowna reprezentacja), a przecież możliwe do wyobrażenia. Tłumacząc swoją decyzję o umieszczeniu mantykory jako figury centralnej dla kulturowej historii encyklopedii, autor zwraca uwagę właśnie na ową dwoistość. Warto przywołać w tym miejscu większy fragment jego wywodu.

Co ma mieć wspólnego mantykora z encyklopedią? Otóż przyglądając się funkcjom, jakie pełniła encyklopedia w dziejach kultury europejskiej, można zauważyć, że jej wysoka ranga, zarówno jako wytworu i narzędzia ludzkiej uczoności, jak i jako prestiżowego przedmiotu wyposażenia człowieka nowoczesnego, wynika w dużej mierze z jej dwojakiego i w istocie niejasnego statusu – jest bowiem encyklopedia [...] narzędziem zarazem organizacji, jak i odzwierciedlenia świata rzeczy w świecie słów, nie odgrywając jednak żadnej z tych ról w sposób konsekwentny i skuteczny praktycznie. Encyklopedia w kulturze Zachodu jest więc książkową „mankykorą” w tym sensie, że ma „ciało” z rzeczy i „głowę” ze słów – to znaczy: łączy hybrydycznie porządki materialny i tekstowy – i z tego powodu bywa niebezpieczna dla ludzi, łudząc ich umysły wizją doskonałego ładu istnienia [...], w jednostkach skłonnych do poświęcania rzeczy na rzecz słów wzbudza zaś często silną fascynację i „pożera” ich umysły siłą swojej pozornej, wszechogarniającej uniwersalności (s. 23–24).

Dokładnie tak jak fantastyczny, ludzko-zwierzęcy stwór o myląco przyjaznej twarzy skrywanej przerażającej uźębienie, tak i encyklopedia jako projekt uporządkowania i opisanie otaczającej rzeczywistości jest pociągająca, ale stanowi zagrożenie dla umysłu ludzkiego **pożartego** pragnieniem wiedzy i **przeżartego** ideą spójności świata rzeczy.

Problem pełnej napięć relacji „słowa – rzeczy” powraca w całej książce w różnych odsłonach. Dzieło to składa się ze wstępu i trzech rozdziałów: „*Hommes des lettres* między słowami a rzeczami”, „Fragmenty z dziejów encyklopedyzmu europejskiego” i „*Encyklopedia* i encyklopedie”, a także zakończenia (intrygująco zatytułowanego: „Smużka wydzieliny”) oraz krótkiej „Noty o metodzie”. Rozdział pierwszy ma charakter przeglądowny. Autor przypomina w nim najważniejsze cechy „nachylenia tekstowego”, które w cywilizacji zachodniej ustanowiło relację między słowami i rzeczami wraz z silnym przekonaniem, że „wszelkie możliwe doświadczenie ma się przekształcić w tekst, który tym samym przekształci się we wszelkie możliwe doświadczenie” (s. 84). W tym świetle Majewski rozważa zjawisko tekstocentryzmu, tak naturalne dla *hommes des lettres*, które może przyjmować **perwersyjne** manifestacje od bibliofilii przez bibliofagię po bibliomanię (s. 81).

Problem „nachylenia tekstowego” jest oczywiście również pytaniem o możliwość doświadczania przedtekstowego – o to, co nie pochodzące z tekstów i niepoddające się tekstualizacji<sup>3</sup>. Chodziłoby na przykład o dowartościowanie bądź chociażby dostrzeżenie wartości „komunikacji ustnej oraz wiedzy innej niż książkowa” (s. 79). Autor zauważa, że pierwszy podjął się tego (na większą skalę) romantyzm pojęty jako próba wyrwania się z dusznej kręgu tekstów. Idea ta jednak, zauważa Majewski, szybko się wyczerpała, niemniej zyskując kolejne manifestacje i przetworzenia w postmodernistycznych diagnozach tekstocentryzmu odsłaniających nieprzystawalność świata rzeczy i świata tekstów. W tym kontekście Majewski wielokrotnie przywołuje twórczość Jorgego Luisa Borgesa. Jak pokazał argentyński pisarz w swoich opowiadaniach, tekstowe doświadczanie rzeczywistości w swej istocie nie jest doświadczaniem rzeczywistości, lecz raczej przeżywaniem jej reprezentacji (nawet jeśli byłyby to reprezentacje

ciekawsze od niej samej!). Jak pisze Majewski, Borges jest „świadomy boleśnie, że doświadczenie to właśnie się rozpada, traci legitymację w obliczu coraz gwałtowniejszego odrywania się słów od rzeczy” (s. 130).

Drugi rozdział prowadzi czytelników i czytelniczki przez fascynujący świat idei encyklopedii oraz jej rozmaitych materialnych manifestacji. Encyklopedia mogła być próbą całościowego uporządkowania wiedzy (w tym wiedzy o praktykach życiowych) podług dziedzin albo w porządku alfabetycznym (wynalazek późniejszy); mogła być książką bądź wcale nią nie być; niekiedy (jak w przypadku chińskich encyklopedii) stać się całą biblioteką złożoną z tysięcy tomów albo też, jak w przypadku kultury arabskiej, „rozumowaną bibliografią, zestawieniem wielu tysięcy książek zawierających ich zwięzłe abstrakty (s. 93–92). Autor przedstawia również najważniejsze cechy encyklopedyzmu (w cywilizacji europejskiej), który przez wieki formował nachylenie tekstowe. Idea encyklopedii była – zarówno na poziomie koncepcji, jak i wykonania – zdobyczą elity politycznej i społecznej. Co więcej, pozostawała ona „w dość ścisłych związkach ze strukturami władzy politycznej” (s. 169). Charakterystyczne dla danej epoki założenia ideologiczne oraz bieżące wydarzenia polityczne wpływały bądź też (w skrajnych przypadkach) ustanawiały treść haseł encyklopedycznych (s. 240–242). Jest to bardzo ważna konstatacja, jeśli pomyśleć, że dla niektórych posiadaczy i użytkowników encyklopedia była światem w miniaturze, światem „trwałym i niezmiennym, dającym oparcie dla umysłu, nie zaś jedynie paradoksalną tekstową reprezentacją świata” (s. 243).

W trzecim rozdziale powraca pytanie o ideologiczne podstawy praktyk encyklopedycznych. Chociaż z założenia idea encyklopedii stanowi wykwit kultury tekstowej i tekstocentrycznej, autor przytacza przykłady encyklopedystów (jak chociażby d’Alembert), którzy zwracali uwagę na wartość „nietekstowych aspektów ludzkiej wiedzy i doświadczenia” (s. 232). Stanowi to niezwykle ważny element kulturowej historii encyklopedii, nawet jeśli był on marginalny. Pozwala bowiem przemyśleć drugą stronę relacji słowa – rzeczy, która idzie niejako w poprzek doświadczenia zapośredniczonego przez tekst i doświadczania poprzez tekst. Majewski podkreśla, że mimo pozornej spójności idei encyklopedii, ona sama miała dla jej twórców oraz użytkowników charakter „wieloznaczny i paradoksalny” (s. 236). Widzimy więc pęknięcie, nieusuwalną rysę na z pozoru gładkiej tafli encyklopedii, będącej projektem całościowego pochwycenia rzeczywistości słowami i pismem.

W zakończeniu autor powraca do wyjściowego pytania o encyklopedię jako ideę niemożliwą. Niczym mityczna mantykora była ona

w dziejach kultury zachodniej [...] próbą podania całej na raz rzeczywistości w szczególnej formie doświadczenia ludzkiego, jaką jest lektura tekstu – i dzięki sterylizującemu zabiegowi tekstualizacji rzeczywistości doświadczanej przez ludzi miała ona być takim podaniem, które będzie możliwe do wytrzymania, a zarazem podtrzyma nas w przeświadczeniu, że rzeczywistość wydarza się poniekąd dla naszych oczu, podczas gdy w istocie niemal cała wydarza się poza nami, w nas zaś znajduje tylko doraźny, ograniczony naszymi zmysłami oddźwięk [...] (s. 261).

Z samej swej natury ludzkie doświadczenie jest fragmentaryczne, podatne na zniekształcenia i zawsze nie-do-pełnione, nawet jeśli wydaje się spójne i w tej spójności sensowne. Widać to chociażby w tekstach autobiograficznych, w których poszukuje się sensu własnej historii, stwarzając linearną opowieść (pomijam tutaj eksperymenty z samym gatunkiem, które miały na celu nic innego jak obnażenie autobiografizmu jako pewnego projektu, który, podobnie jak encyklopedia, z założenia był/jest niemożliwy). Jednocześnie warto w tym miejscu zauważyć, że dostęp do cząstkowego doświadczenia tego, co wydarza się na linii słowo–rzecz, tworzy nową rzeczywistość przeżywania, choć oczywiście skromną w swej pojedynczości.

Spoglądając na ów problem z jeszcze innej strony, można powiedzieć, że nigdy nie mamy do czynienia z jedną rzeczywistością, której ludzkie umysły nie są w stanie objąć, lecz raczej z procesem nieustannego rodzenia się i umierania zróżnicowanych i w swej wariantowości nieskończonych światów, które wydarzają się (na mocy działania psychofizycznego) na granicy tego, co tekstowe, i tego, co ów tekst (a raczej teksty) poprzedza. W tym miejscu warto odnieść

się do dwóch złożonych problemów podjętych w *Mantykorze*. Pierwszy z nich, sygnalizowany przez autora, dotyczy doświadczenia „bycia z książkami”, które jest elementem świata tekstów, a zarazem elementem wykraczającym poza standardowe rozumienie zjawiska „nachylenia tekstowego”. Drugi zaś to tak ważne dla antropologii słowa napięcie między słowem a tekstem.

Jak zauważa Majewski zjawiska, takie jak bibliofilia, bibliofagia, bibliomania są „kolejnymi stopniami psychologicznego lub psychosomatycznego uzależnienia ludzi od książek” (s. 81). „Bycie z książkami” to więc nie tylko bycie z tekstem i w tekście, który, ustanawiając nowy porządek rzeczy, pożera rzeczywistość przedtekstową. Pobudzenie (nawet niezdrowe) umysłu nie pochłania somy, nawet jeśli odwraca hierarchię doświadczenia (najpierw tekstowy obraz rzeczy, potem rzecz percypowana pozaintelektualnie). Jako humaniści (a więc jednostki w dalszym ciągu pracujące przede wszystkim z tekstami i na tekstach) nawiązujemy relacje z książkami, które mają różnorodny charakter i umożliwiają rozmaite formy przeżywania tekstu (wraz z jego stroną materialną). Książki nie tylko stymulują humanistów i humanistki intelektualnie (bez nich nikt raczej nie napisałby niczego nowego; w ogóle by nie pisał!), ale też są materialnymi przedmiotami, które podobają się ze względu na ich walory estetyczne, kształt, zapach... Chodzi tutaj zatem o wszystko to, co powoduje, że książkę miło się ogląda i przegląda (nie tylko czyta), dotyka (nie każdy papier jest równie miły w dotyku) i wącha (nie każda książka pachnie równie pięknie bądź też równie źle, jak na przykład książki najczęściej **używane**, a więc te wypożyczone z bibliotek). Książki, wraz z nami (ludźmi i zwierzętami), współtworzą przestrzeń codziennego doświadczenia, zajmując miejsce w domach, towarzysząc nam w pracy, a nawet w przestrzeni publicznej. Tekstowy świat nigdy więc nie jest **wyłącznie** tekstowy. Książka jako przedmiot materialny, a zarazem nośnik abstrakcyjnych idei – dokładnie tak, jak mantykora – ma podwójną **psychosomatyczną** naturę.

Podkreślając utopijność idei odbicia rzeczywistości w tekście, Paweł Majewski odnosi się przede wszystkim do problemu nachylenia tekstowego związanego w większym stopniu ze słowem pisanim niż ze słowem mówionym. Studiując liczne prace antropologów piśmiennosci i antropologii słowa, zwłaszcza klasyków tej dyscypliny od Jacka Goody'ego i Roya Harrisa po Davida R. Olsona, można odnieść wrażenie, że słowo mówione jest traktowane jako w pewien sposób bliższe doświadczeniu (a więc rzeczom) niż słowo pisane (odbicie rzeczy). Taka konstatacja wynika po części z większego potencjału tekstu do dekontekstualizacji, a więc do funkcjonowania poza wyjściowym kontekstem swojego powstania. Formy mówione w o wiele większym stopniu wymagają znajomości kontekstu, a ich zapis nigdy nie będzie tym samym, co performans mówiony. Dla antropologów piśmiennosci jest to sprawa oczywista. Słowo mówione posiada jednak mniej lub bardziej ostre reguły formalne. Przez repetycję wpływają one na strukturę, jak i treść tego, co chce się powiedzieć. Na problem ów zwracał uwagę Roland Barthes w uwagach do słynnych wykładów poświęconych dyskursowi miłosnemu<sup>4</sup>. Zauważył między innymi, że zapis tego, co powiedział, jest **prawdziwszy** niż wygłoszone słowa<sup>5</sup>. Abstrahując od tego, dlaczego Barthes tak stwierdził, warto zauważyć, że jest to, mimo wszystko, jeden z rzadkich przykładów przekonania, że **szczerłość** słowa pisanego jest większa niż słowa mówionego.

W kontekście *Mantykory* oraz kulturowej historii encyklopedii przykład Barthes'a wskazuje ważny element doświadczenia tekstowego i egzystencji w „świecie książek”, który dotyczy tego, że czasem (a może nawet często) te niepełne i z natury fragmentaryczne rzeczywistości, które stanowią **odbicie** rzeczy, objawiają się wyłącznie w tekście pisanim – rodzą w intymnym, nie tylko intelektualnym, ale też **czułym** obcowaniu ze słowem pisanim, z zapisem, a wreszcie z tekstem, do którego dochodzi w heterogenicznej przestrzeni słów i rzeczy.

W nocie końcowej autor porusza bardzo ważną kwestię doświadczenia pracy nad kulturą historią idei encyklopedii. Jak pisze, w *Mantykorze* została podjęta próba „naskwiczenia wczesnych dziejów idei encyklopedii w zachodnim kręgu kulturowym” jako symbolu i symptomu „pewnych istotnych cech zachodniej kultury piśmiennej” (s. 263). Chodzi tu o symptom wiary w to, że encyklopedia – idea i zespół praktyk – jest w stanie „wskrzesić, a przynajmniej odtworzyć świat w tekście i odnaleźć w nim powszechny ład [...]” (s. 263). Chociaż sama idea całościowego (rozumowego i tekstowego) ujęcia rzeczywistości jest nie do utrzymania (i chyba nikt zresztą nie próbuje tego robić), to naukowcy (w jakiegokolwiek nie pracowaliby dziedzinie i dyscyplinie) będą mimo wszystko dążyć do pozostawienia po sobie chociażby cząstkowych opowieści o rzeczach i ich doświadczeniu, które do nieosiągalnej tekstowo rzeczywistości się przybliżają.



Lektura *Mantykory* przynosi konstatację, że w tej mierze musimy się dziś zadowolić zaledwie skrawkami, fragmentami, resztkami, a nawet i odpadkami. Można jednak zapytać, czy nie jest to w istocie dobra wiadomość? W świecie, w którym produkcja tekstowa (na papierze i w formie elektronicznej) sięga zenitu, zalewa nas – tak w polu naukowym, jak i w rzeczywistości pozaakademickiej – falą nonsensu, fałszywych informacji i ochoczo wprowadzanego w życie postmodernistycznego hasła *anything goes*, idea tekstu, która wypływa ze szczerzej wiary w możliwość poznania i opisania choćby ułamka przekraczającej nasze umysły rzeczywistości, mająca swoje źródło także w praktykach encyklopedycznych, pozostaje moim zdaniem wyobrażeniem niezwykle **pięknym**.

---

#### PRZYPISY

- <sup>1</sup> Paweł Majewski – kulturoznawca i filolog klasyczny, pracownik Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Autor prac dotyczących teorii i historii piśmienności, zwłaszcza związków między praktykami piśmiennymi i kształtowaniem się wartości kulturowych, badacz twórczości Stanisława Lema.
- <sup>2</sup> P. Majewski, *Mantykora. Wczesna historia encyklopedii*, Warszawa 2022. Tu i dalej numery stron w tej książce podaję w nawiasie po cytacie.
- <sup>3</sup> O nachyleniu tekstowym, zob. G. Godlewski, *Poza nachylenie tekstowe, w stronę doświadczenia przedtekstowego. Wskazówki terapeutyczne*, „Teksty Drugie” 2018, nr 1, s. 61-78; o tekstualizacji doświadczenia, zob. P. Majewski, *Tekstualizacja doświadczenia. Studia o piśmienności greckiej*, Toruń 2015.
- <sup>4</sup> R. Barthes, *Le discours amoureux. Séminaire à l'École pratique des hautes études 1974-1976 suivi de Fragments d'un discours amoureux: inédits*, Paris 2007.
- <sup>5</sup> Tamże, s. 19.

Sara Herczyńska

## Empatyczne laboratorium Marii Reimann

Maria Reimann<sup>1</sup>, *Nie przywitam się z państwem na ulicy. Szkic o doświadczeniu niepełnosprawności*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019, 168 ss.

**M**aria Reimann była wybitną polską antropolożką i badaczką relacji rodzinnych. W ramach Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem na Uniwersytecie Warszawskim uczestniczyła w projektach badawczych dotyczących nowych technologii reprodukcyjnych, zespołu Turnera i zdrowia widzianego z perspektywy dzieci. Otrzymała też grant NCN Opus na projekt poświęcony wychowywaniu dzieci w opiece naprzemiennej. W swojej pracy badawczej Reimann realizowała etyczne i metodologiczne postulaty badań nad dzieciństwem (*childhood studies*) – była współautorką *Kodeksu dobrych praktyk w badaniach z dziećmi prowadzonych z perspektywy nauk społecznych*, zależało jej na dobrostanie i upodmiotowieniu badanych osób. Poza własnymi badaniami Reimann zajmowała się też pracą translatorską, była cenioną tłumaczką specjalizującą się w książkach o tematyce psychologicznej. Przetłumaczyła m.in. *Bliskie spotkania z uzależnieniem. W świecie głodnych duchów* Gabora Maté, książkę Lewis Judith Herman *Trauma. Od przemocy domowej do terroru politycznego* i Petera A. Levina *Trauma i pamięć. Mózg i ciało w poszukiwaniu autentycznej przeszłości*.

„Almanach Antropologiczny” poświęcony tematyce praktyk piśmiennych i laboratoriów humanistycznych jest dobrą okazją, żeby wrócić do pionierskiej książki Reimann, w której przełamywała ona granice między piśmiennictwem naukowym a osobistą eseistyką. *Nie przywitam się z państwem na ulicy* to książka oparta na badaniach kobiet z zespołem Turnera, prowadzonych przez autorkę wspólnie z innymi badaczkami z Uniwersytetu Warszawskiego. Z pozoru może ona wydawać się pozycją popularyzatorską, w której efekty badań naukowych zostają zaprezentowane zrozumiałym językiem i opublikowane przez uznane wydawnictwo. Reimann jednak decyduje się w niej na coś szczególnego: podejmuje się uprawiania humanistyki na kanwie osobistego doświadczenia, łączy etnografię z autoetnografią i dzieli się z czytelniczką swoją historią. Autorka wychodzi od własnego doświadczenia niepełnosprawności, jej własne ciało prowadzi ją przez tematy zdrowia, choroby i relacji społecznych, które im towarzyszą. W tym sensie można uznać, że jej książka należy do nurtu autoteoretycznego, w którym osobiste doświadczenia, zwłaszcza te cielesne, stają się podstawą pogłębionego eseju<sup>2</sup>. Twórcy autoteorii to między innymi Paul B. Preciado, Maggie Nelson i Chris Kraus, czyli badacze łączący autobiografię z teorią krytyczną i wytwarzający w ten sposób wiedzę usytuowaną w konkretnym ciele. Autoteoria jest często tworzona z pozycji mniejszościowych – zwrócenie uwagi na perspektywę

---

Sara Herczyńska,  
*Empatyczne  
laboratorium Marii  
Reimann*,  
„Almanach  
Antropologiczny.  
Communicare” 2024,  
t. 9, s. 200-202.

autorki-kobiety, osoby trans albo z mniejszości etnicznej ma na celu radykalne odejście od fantazji o zuniwersalizowanym naukowcu-podmiocie. *Nie przywitam się z państwem na ulicy* również jest napisana z perspektywy mniejszościowej, a autorka tę perspektywę problematyzuje i analizuje. Esej Reimann nie skupia się jednak na niej samej, dotyczy głównie kobiet, które poznała podczas prowadzenia badań antropologicznych. Jej książkę określiłabym mianem „współteorii”, przez co rozumiem pisanie, w którym osobiste doświadczenie cielesne spotyka się z cudzym, a teoria powstaje właśnie w tej relacji, w dynamicznej sytuacji szukania tego, co wspólne.

Książka Reimann jest efektem badań, które przeprowadziła wraz z Anną Krawczak, Ewą Maciejewską-Mroczeck, Magdaleną Radkowską-Walkowicz i Małgorzatą Rajtar. Projekt nosił nazwę *Zespół Turnera – wzory socjalizacji i zarządzanie cielesnością w sytuacji choroby przewlekłej. Ujęcie interdyscyplinarne*, był finansowany przez Narodowy Program Rozwoju Humanistyki i zrealizowany przez Interdyscyplinarny Zespół Badań nad Dzieciństwem UW. Jego głównym wynikiem są publikacje naukowe: artykuły w punktowanych czasopismach i monografia *Zespół Turnera. Głosy i doświadczenia*, zredagowana przez Reimann razem z Ewą Maciejewską-Mroczeck i Magdaleną Radkowską-Walkowicz, która poszerza klasyczne rozumienie pisarstwa humanistycznego, składa się bowiem z dwóch tomów – dla dorosłych i dla dzieci. To zresztą stały element publikacji przygotowywanych w IZBnD: naukowym monografiom towarzyszą ich odpowiedniki skierowane do dzieci, w których artykuły pojawiają w skróconej wersji, są pisane prostszym językiem i drukowane większą czcionką. W ten sposób antropolożki realizują w praktyce swoją misję upodmiotawiania dzieci i traktowania ich jako równoprawnych odbiorców kultury.

Czym charakteryzuje się badany przez antropolożki z UW zespół Turnera? Ma on „wiele objawów, z których u konkretnej osoby zwykle występuje tylko część z nich. To między innymi: niski wzrost, niepłodność lub bezpłodność, zespół wad wrodzonych w budowie powłok ciała i wady niektórych narządów wewnętrznych<sup>3</sup>. Występuje tylko u kobiet. Zespół Turnera jest kondycją genetyczną, w której zamiast dwóch chromosomów X warunkujących biologiczną płęć żeńską występuje jeden. Niekoniecznie jest jednak „chorobą” albo „niepełnosprawnością”. Jak wskazuje Reimann, zwłaszcza ta druga kategoria jest konstruktem społecznym o płynnych, niewyznaczalnych przez biologię granicach. Przykładowo, w przypadku zespołu Turnera istotnym czynnikiem jest rok urodzenia danej osoby, bo od tego zależy, czy dana osoba była leczona hormonem wzrostu. Starsze kobiety, które nie miały dostępu do tej terapii, są wyraźnie niskie i spotyka je dyskryminacja ze względu na wzrost. Z kolei dla młodszych kobiet podstawowym problemem jest niepłodność, która dotyka zdecydowaną większość zdiagnozowanych osób. Nie każda osoba z zespołem Turnera będzie się czuła niepełnosprawna. Niektóre mogą też czuć się czasem niepełnosprawne, a czasem nie.

Reimann czerpie ze swojego własnego doświadczenia niepełnosprawności – jest osobą niedowidzącą. W *Nie przywitam się z państwem na ulicy* podejmuje ryzykowną grę. Pisze o życiu kobiet z zespołem Turnera, a także o własnym doświadczeniu. W takich przypadkach stale pojawia się ryzyko uproszczeń i porównań. Czy faktycznie jedna forma nienormatywności zdrowotnej może pomóc lepiej zrozumieć inną? Czy pisanie o sobie jest *fair* wobec badanych kobiet? Reimann jest w pełni świadoma niebezpieczeństw, które towarzyszą wybranej przez nią narracji. Sama się do nich odnosi na łamach swojej książki, nieustannie podważając własne założenia. Zwraca chociażby uwagę na zasadniczą odrębność doświadczeń jej własnych i jej rozmówczyń. Autoetnografia służy jej za narzędzie lepszego rozumienia innych, przy zachowaniu świadomości całego szeregu różnic między nią a jej rozmówczyniami.

To bardzo słuszne założenia metodologiczne. Fascynujące są jednak te momenty, w których emocje Reimann są trochę wbrew nim. Jak wówczas, gdy autorka denerwuje się na to, że część jej rozmówczyń jest infantylizowana przez swoich rodziców, że nie stawia się przed nimi wyzwania, dzięki którym mogłyby się uczyć samodzielności. Pisze o rodzicielskiej „ciasnej miłości”<sup>4</sup>, która wynika z lęku rodzica i która powoduje usuwanie z życia dziecka wszelkich możliwych do usunięcia trudności. Pisze to z perspektywy osoby, na której rodzice wymuszali dużą samodzielność i dla której to doświadczenie było trudne, ale ostatecznie, jak miało się okazać w przyszłości, bardzo cenne. Jednocześnie zdaje sobie sprawę z wyjątkowości swojej perspektywy. Wie, że nie wszyscy rodzice mogą sobie pozwolić na takie podejście do dzieci, na stawianie im tylu wyzwań. Wreszcie, jest świadoma swojej pozycji klasowej, która również pomogła jej

w podejmowaniu różnych wyzwań, które być może przekraczają siły i możliwości innych. Z eseju wyłania się obraz sieci przywilejów i trudności, w które zaplątane są różne osoby i których nie da się sprowadzić do prostych kategorii.

*Nie przywitam się z państwem na ulicy* jest książką, która ma własny, wciągający rytm. Ten rytm wyznaczają poruszenia „do” i „od” – rozpoznawanie się w cudzym doświadczeniu (albo cudzego we własnym), a potem zauważanie różnicy i dystansowanie się. To dynamiczny, zmienny proces. Nie chodzi w nim o ostateczne ustalenie swojej pozycji wobec innego człowieka, ale właśnie o to zbliżanie się i oddalanie, mapowanie relacji. Reimann wykorzystuje ten ruch, by przybliżyć czytelnikom zespół Turnera i jego konstrukcję społeczną, ale też aby przeprowadzić je przez szereg koncepcji teoretycznych. Tłumaczy różnice między niesprawnością (*impairment*) a niepełnosprawnością (*disability*). Wyjaśnia szkodliwość *inspirational porn*<sup>5</sup>. Objaśnia typy narracji o chorobie opisane przez Arthura Franka w książce *The Wounded Storyteller*<sup>6</sup>. Te wszystkie koncepcje nie przysłaniają opisu doświadczenia kobiet z zespołem Turnera. Służą raczej do przybliżania ich i rozjaśniania. Pomagają czytelnikom (z niepełnosprawnością i bez niej) zbliżyć się do osób opisywanych przez Reimann – oraz do samej autorki. Strategia autorki wydaje się skuteczna. W jednym z wywiadów udzielonych już po wydaniu eseju Reimann mówiła: „Znajomy moich rodziców powiedział mi niedawno, że moja książka jest o nim. Wytłumaczył mi, że miał trudne dzieciństwo i odnalazł się w poczuciu inności, które opisuję”<sup>7</sup>.

Kiedy po raz kolejny czytałam *Nie przywitam się z państwem na ulicy* powracała do mnie inna koncepcja – identyfikacja heteropatyczna opisana przez Kaję Silverman w książce *The Threshold of the Visible World*<sup>8</sup>. Podobnie jak u Reimann, w podejściu heteropatycznym pragnienie utożsamienia się łączy się ze świadomością odmienności i niemożności przekroczenia różnicy. Chodzi zatem o współodczuwanie bez zawłaszczenia, bez znoszenia granic między sobą a innym. Amerykańska badaczka pisze o kinie i kulturze wizualnej, a zmysłem pozwalającym na mechanizm heteropatycznego utożsamienia jest wzrok. Reimann proponuje ćwiczenie z empatii, w którym poznanie wzrokowe nie jest niezbędne – kluczowe są za to język i komunikacja.

---

## PRZYPISY

- 1 Maria Reimann – antropolożka kultury, pracowała w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, współtworzyła Interdyscyplinarny Zespół Badań nad Dzieciństwem UW. Autorka prac z zakresu badań nad dzieciństwem, antropologii rodziny i antropologii zdrowia. Zmarła tragicznie w 2023 roku.
- 2 L. Fournier, *Autotheory as Feminist Practice in Art, Writing, and Criticism*, Cambridge, MA 2021.
- 3 M. Reimann, *Nie przywitam się z państwem na ulicy. Szkic o doświadczeniu niepełnosprawności*, Wołowiec 2019, s. 14.
- 4 Por. tamże, s. 62.
- 5 *Inspirational porn* – temin wprowadzony przez aktywistkę Stellę Young na określenie treści, w których osoby z niepełnosprawnościami są pokazywane jako inspiracja dla osób bez niepełnosprawności. Takie podejście jest oparte na uprzedmiotowieniu i ze względu na to jest krytykowane.
- 6 A. Frank, *The Wounded Storyteller: Body, Illness, and Ethics*, Chicago 1995.
- 7 N. Szostak, *Syn nie lubi, jak oszukuję. Kiedyś powiedział: „Wiem, że nic nie widzisz na meczach, nie musisz przychodzić”*, wywiad z Marią Rejmann, „Gazeta Wyborcza”. Magazyn „Wysokie Obcaso Extra” 2020, nr 1(92).
- 8 K. Silverman, *The Threshold of the Visible World*, New York 1996.

Paulina Chorzewska-Rubik

## Między sztuką a badaniem – twórcze myślenie kodem

Nick Montfort<sup>1</sup>, *Odkrywanie kodu. Wprowadzenie do programowania w sztuce i humanistyce*, przeł. M. Tabaczyński, M. Pisarski, A. Ladziński, Korporacja Ha!art, Kraków 2017, 340 ss.

**P**rzetłumaczona i wydana w Polsce w 2017 roku książka *Odkrywanie kodu. Wprowadzenie do programowania w sztuce i humanistyce* autorstwa Nicka Montforta posługuje się poetyką podręcznika – jest podzielona na rozdziały dotyczące konkretnych umiejętności, zawierające ćwiczenia i zadania do wykonania. W tekście znajdujemy wskazówki, jak najlepiej zabrać się do samodzielnej nauki, ale także jak wykorzystać przedstawione treści jako podstawę akademickiego kursu. Projekt Montforta ma jednak na celu coś więcej niż tylko instruktaż, jak zdobyć ściśle określone umiejętności. Stanowi raczej praktyczne przedstawienie pewnej metodologii i uzasadnienie autorskiego sposobu myślenia o roli programowania w humanistyce czy nawet szerzej – w społeczeństwie posługującym się technologią. Autor wielokrotnie uzasadnia potrzebę nauki programowania w humanistyce, które miałyby być między innymi elementem usprawniającym komunikację w interdyscyplinarnych zespołach badawczych. Jednak główny, najmocniejszy i kluczowy dla jego koncepcji argument przedstawia programowanie jako narzędzie myślenia, formułowania i rozwiązywania kreatywnych i badawczych problemów.

Montfort zdaje sobie sprawę, że trudno mu będzie przekonać czytelników do przedstawianych tez, że często nawet ci, którzy są na jego argumentację otwarci, uważają programowanie za dziedzinę trudną i odległą. Dlatego też autor na różne sposoby, często z niemałą dozą humoru, stara się ją przybliżyć. Robi to, przede wszystkim uciekając się do porównań i odwołując do najbardziej podstawowej wiedzy technologicznej, częściej jednak przywołując doświadczenia, problemy i sposoby pracy bliskie humanistom. Przykładem jest powtarzające się w książce stwierdzenie, że „programowanie to tak naprawdę edycja tekstu”, a uczenie się programowania jest bliższe uczeniu się języków obcych czy gry na instrumencie niż matematyki. Montfort przedstawia więc programowanie jako formę pisania<sup>2</sup>, ale też retorycznie oddala skojarzenie z naukami ścisłymi czy matematyką. Ciekawe spojrzenie na dyskurs dotyczący nauki programowania zawiera rozdział piąty „Standardowe punkty wyjścia”, poświęcony ćwiczeniom z pisania kodu, od których zaczynają się standardowe kursy programowania. Montfort przeprowadza czytelników-użytkowników podręcznika przez interpretację tego, jak niepozorne elementy kultury programistycznej, takie jak typowe zdania dla początkujących, już na wstępie modelują wyobrażenie o roli informatyki i możliwościach komputera. W interpretacji Montforta najpopularniejsze ćwiczenie „Hello

---

Paulina Chorzewska-Rubik, *Między sztuką a badaniem – twórcze myślenie kodem*, „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2024, t. 9, s. 203-206.

World” przedstawia komputer w sposób znacznie ograniczony – jako posłuszną maszynę, zdolną do prostej, werbalnej komunikacji.

Podstawowym postulatem Montforta, który wybrzmiewa w książce i uzasadnia jej podręcznikowy, instruktażowy charakter, jest to, by do twórczego, eksploracyjnego programowania podchodzić jednocześnie jak do **pracy** badawczej i artystycznej. Praktyki piśmienne humanistów cyfrowych w świetle tej tezy przyjmują postać pisania kodu i eksperymentowania w jego ramach. Ponadto programowanie jest praktyką społeczną. Autor zachęca do wspólnej nauki, dyskusji nad kodem, ale też wykorzystywania kodu napisanego przez innych. W nauce programowania najważniejsze jest działanie – wartościowe w procesie nauki są próby, a nawet najbardziej podstawowe obcowanie z kodem. Montfort namawia czytelnika *Odkrywania kodu* – i wskazuje płynące z tego korzyści – by podczas wykonywania zadań, ale też w wypadku wykorzystywania kodów znalezionych w sieci, ręcznie przepisywał kod na klawiaturze zamiast automatycznie kopiować i wklejać.

Montfort proponuje koncepcję programowania eksploracyjnego, twórczego (*creative computing*), czyli takiego, które służy do „nakreślenia perspektyw, wymiany myśli”. Autor docenia wartość badawczych i komunikacyjnych funkcji programowania. Potencjał komunikacyjny, o którym pisze Montfort, wykracza poza podstawowy cel programowania, rozumianego jako ułatwienie komunikacji człowiek-komputer: główną wartością eksperymentowania za pomocą kodu jest możliwość komunikacji między ludźmi. Pogląd ten jest wyraźnie widoczny w sposobie prowadzenia narracji dydaktycznej w podręczniku. Wyjątkowo bliska Montfortowi jest także formuła „uczenia się na błędach”. Chociaż książka nie zakłada, że jej użytkownik będzie miał jakąkolwiek wcześniejszą wiedzę programistyczną, Montfort już od pierwszych rozdziałów przeprowadza czytelników przez zadania, zachęcając ich do intuicyjnego podmieniania i przepisywania fragmentów kodu, sprawdzania i testowania pomysłów na jego modyfikacje. „A teraz zobaczmy, co się stanie?” to chyba najbardziej symptomatyczne, wielokrotnie powtarzające się w książce zdanie. Książkę Montforta można nazwać przewodnikiem po błędzeniu – autor podpowiada, jak eksperymentować z kodem, nie zawsze jednak podsuwa gotowe rozwiązania, przede wszystkim zachęca do sprawdzania i testowania. Pełnione w procesie uczenia się programowania błędy są istotne, stają się bowiem, według Montforta, okazją do refleksji nad tym, dlaczego program nie działa. Montfort zachęca do pomyłek, a często nawet sam wprowadza czytelników w błąd po to, by mogli obserwować niedziałający program w akcji i w ten sposób lepiej go zrozumieć. Dociekanie, z czego wynika nieprawidłowość, pozwala dostrzec ograniczenia i możliwości danych języków programowania. Rozumienie, dlaczego coś nie działa, dlaczego coś jest niemożliwe, jest w dydaktycznej, ale też badawczej koncepcji Montforta tak samo wartościowe, jak poprawnie wykonane zadanie. Celem Montforta nie jest nauczenie czytelników wszystkiego o programowaniu, lecz pokazanie im ogólnych idei i logiki kryjących się za pracą programistyczną.

W trakcie spotkania promującego drugą edycję książki autor zwrócił uwagę na kulturowe uwarunkowania praktyk programowania i zamiast zwykłego językowego przekładu swojego podręcznika postulował kulturową adaptację idei programowania eksploracyjnego. W polskim przekładzie zdecydowanie zachowano oryginalną amerykańską perspektywę, przyjętą przez Montforta, oraz oryginalne nawiązania do literatury anglojęzycznej i języka angielskiego. Należy jednak zaznaczyć, że w paru strategicznych miejscach tłumacze formułują istotne wskazówki dla polskich czytelników. Najistotniejsze kwestie związane z pracą programistyczną w kontekście języków innych niż angielskim, na które napotyka czytelnik książki Montforta, wynikają przede wszystkim:

1. z różnic w gramatyce języków naturalnych, a w konsekwencji różnic w sposobach automatycznego przetwarzania tych języków,
2. z potencjalnych problemów z kodowaniem znaków (np. diakrytów),
3. ze zróżnicowanego dostępu do zasobów zdigitalizowanych tekstów, które w ramach praw autorskich można analizować lub twórczo przerabiać.

Montfort pokazuje sposoby komputerowej pracy na kilku rodzajach mediów – tekście, obrazie, dźwięku i animacji. Oprócz tego w trakcie kursu czytelnicy mają szansę zapoznać się z możliwościami trzech języków programowania (Python i Processing, częściowo też Javascript). W podejściu do wymienionych mediów widać jednak, że postulat połączenia praktyki artystycznej i badawczej najlepiej sprawdza się w pracy z tekstem i w procesie jego wizualizacji. Pojedyncze

zadania i ćwiczenia zalecane przez Montforta (między innymi tokenizacja, analiza sentymentu, klasyfikowanie tekstu jako poezji lub prozy) są procedurami wykorzystywanymi zarówno w pracy naukowej, jak i artystycznej, a często także w praktykach z pogranicza tych dwóch dziedzin<sup>3</sup>. Proponowane przez Montforta operacje wykonują przedstawiciele humanistyki cyfrowej, zajmujący się przetwarzaniem języka naturalnego, ale też na przykład twórcy generatorów literackich – szczególnie ci, którzy stosują strategie remiksu (zadanie polegające na zespoleniu, przepleceniu dwóch tekstów również pojawia się w *Odkrywaniu kodu*). W odróżnieniu od rozdziałów poświęconych tekstowi, zadania dotyczące animacji, grafiki i dźwięku zbliżają się do praktyk artystycznych – również dlatego, że ćwiczenia, odwrotnie niż w przypadku pracy na tekście, polegają w większej mierze na wytwarzaniu obiektów medialnych niż na ich analizie.

Ciekawy przykład stanowi zbiór zadań dotyczących cyfrowej obróbki grafik. Montfort proponuje naukę operacji, które równie dobrze można by wykonać za pomocą Photoshopa lub innego oprogramowania o podobnych funkcjach. Strategia Montforta polegająca na proponowaniu kilku różnych sposobów rozwiązania jednego problemu jest skuteczna nie tylko w przypadku wewnętrznej pracy nad kodem, lecz także szerzej pojmowanej pracy wykonywanej za pomocą technologii i jest związana z etycznymi postulatami otwartej nauki i otwartego oprogramowania. Programowanie w wizji Montforta staje się więc praktyką alternatywną dla używania komercyjnego oprogramowania. W trakcie kursu autor wielokrotnie zachęca do pracy na wolnodostępnym oprogramowaniu, ale przede wszystkim w trakcie ćwiczeń pokazuje, jakie są lub mogą być w przyszłości konsekwencje dominacji komercyjnego oprogramowania dla funkcjonowania nauki i sztuki w niedemokratycznym środowisku technologicznym. Montfort wierzy, że to właśnie praktyka i możliwość poznania programowania jako narzędzia myślenia, czy jak pisze wprost: „budowania lepszego świata”, przekona czytelników do tego, że jego postulaty są wartościowe społecznie. *Odkrywanie kodu* czytane jako podręcznik, ale także metodologiczny manifest, nie jest pochwałą technologii samej w sobie, ale pochwałą dostępu do umiejętności i wiedzy technologicznej, które mają potencjał krytyczny i twórczy. Postulaty Montforta dotyczące rozumienia roli komputera są pokrewne myśli zawartej w tekstach Alana Kaya. Komputer jest więc „metamedium”, maszyną, która pozwala na symulację istniejących mediów, ale przede wszystkim daje nieskończoną możliwość tworzenia nowych mediów (*not-yet invented media*)<sup>4</sup>. Według Kaya na biegłość w obsłudze maszyny (*literacy*) składa się umiejętność jej „czytania”, ale także tworzenia, generowania nowych narzędzi<sup>5</sup>. Współcześni teoretycy podobne tezy łączą bezpośrednio właśnie z umiejętnością programowania. Kod ma stanowić w ramach humanistyki dodatkowy, poza językiem naturalnym, system znaków potrzebny do zrozumienia technologii, a programowanie – sposób na przywrócenie sprawczości użytkownikom mediów<sup>6</sup>. Proces tracenia owej sprawczości przedstawia Lori Emerson w książce *Reading Writing Interfaces: From the Digital to the Bookbound*. Autorka pokazuje, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat projektowanie sprzętu i oprogramowania zdominowała idea przezroczystych, przyjaznych interfejsów. Efektem tych zmian ma być odejście od postulowanej przez Kaya maszyny jako metamedium na rzecz powstawania „urządzeń do konsumowania treści, nie ich produkowania”<sup>7</sup>.

Pytanie o polityczny wymiar postulatów Montforta to pytanie o to, czy sama umiejętność programowania, czy też zrozumienie jego podstaw, bo to raczej takie doświadczenie proponuje autor<sup>8</sup>, może być skutecznym antidotum na szeroko rozumiane mechanizmy zawłaszczania technologii przez kapitał. Z perspektywy moich badań (filologicznych, opartych na cyfrowych źródłach literackich) postulat włączenia programowania do puli przydatnych humaniście cyfrowemu umiejętności wydaje się zasadny i możliwy do zrealizowania, szczególnie gdy przedmiotem analizy staje się twórczość niekomercyjna – sztuka cyfrowa i literatura elektroniczna. W tym przypadku kod jest zazwyczaj dostępny, a lektura tej głębszej warstwy dzieła okazuje się niezbędna lub co najmniej otwierająca. Powstawanie i rozwój nurtów badawczych uwzględniających kulturowy kontekst programowania<sup>9</sup>, takich jak *critical code studies*<sup>10</sup>, *rhetorical code studies*<sup>11</sup> i inne, pokazują, że umiejętność programowania jest wykorzystywana przez humanistów coraz częściej i w coraz bardziej kreatywny metodologicznie sposób. Wymienione nurty nie przesuwają granic humanistyki tak daleko, jak chciałby tego amerykański badacz, skupiają się przede wszystkim na pracy interpretacyjnej, na odczytywaniu istniejącego już kodu i tylko niekiedy przecinają się z główną ideą książki-manifestu Montforta, którą jest uczynienie z kodu narzędzia twórczego myślenia.

---

**PRZYPISY**

- 1 Nick Montfort - profesor w Massachusetts Institute of Technology, twórca, krytyk i teoretyk mediów cyfrowych. Jego zainteresowania badawcze sytuują się na skrzyżowaniu informatyki i praktyk literackich. Jest autorem i programistą fikcji interaktywnej i generatorów poezji.
- 2 Zob. także A. Vee, *Coding Literacy: How Computer Programming Is Changing Writing*, Cambridge, MA-London 2017.
- 3 Przykładem może być analiza, którą wykonał Piotr Puldzian Płucienniczak w ramach projektu pod tytułem „Firmy”. Płucienniczak pobrał z bazy danych nazwy polskich przedsiębiorstw i za pomocą algorytmu napisanego w języku R skompletował listę nazw firm zawierającą same neologizmy. Proces ten można potraktować jako wstępne badania do analizy słowotwórstwa czy onomastyki, jednak Płucienniczak przedstawia „Firmy” jako projekt artystyczny, zob. P. Puldzian Płucienniczak, *Firmy*, Warszawa-Kraków 2017.
- 4 Zob. A. Kay, A. Goldberg, *Personal Dynamic Media*, w: N. Wardrip-Fruin, N. Montfort (red.), *The New Media Reader*, Cambridge 2003, s. 393-404.
- 5 Zob. A. Kay, *User Interface: A Personal View*, w: B. Laurel, (red.), *The Art of Human-Computer Interface Design*, Reading, MA 1990, s. 193.
- 6 Zob. A. Vee, *Coding Literacy...*, dz. cyt.
- 7 L. Emerson, *Reading Writing Interfaces: From the Digital to the Bookbound*, Minneapolis-London 2014, s. XI, XII.
- 8 Książka Montforta nie oferuje pełnej wiedzy na temat żadnego z wykorzystywanych w podręczniku języków, celem autora jest pokazanie szerszych programistycznych mechanizmów.
- 9 Zob. M. Marino, *Critical Code Studies*, Cambridge, MA-London 2020, s. 21-22.
- 10 Zob. M. Marino, *Critical Code Studies...*, dz. cyt.
- 11 Zob. K. Brock, *Rhetorical Code Studies: Discovering Arguments in and around Code*, Ann Arbor 2019.



# „Czytać więcej, pisać mniej”. Debata wokół prywatnych warsztatów humanistycznego pisania

rozmowa Grzegorza Godlewskiego, Małgorzaty Litwinowicz-Droździel, Weroniki Parfianowicz, Tomasza Rakowskiego, Pawła Rodaka, Kornelii Sobczak, Agnieszki Stecko-Żukowskiej, Ady Tymińskiej. Moderacja: Marta Rakoczy i Agnieszka Sobolewska

**Agnieszka Sobolewska:** Co dla Was jest ważne, kiedy piszecie? Jakie są Wasze prywatne laboratoria badawcze? Jakie standardy i wzorce, które narzuca instytucja uniwersytetu, są dla Was otwierające, a jakie raczej zamykające? Czy tworzycie własne, osobiste praktyki lub standardy pisania?

**Małgorzata Litwinowicz-Droździel:** Powiedziałabym, zupełnie nieakademicko, że ogromnie ważne jest to, żeby się nie nudzić. **Kluczem, który wydaje się istotny w praktyce badawczej i pisarskiej, jest zmienność. Chodzi o bardzo prostą zasadę „zrób coś innego”, która wydaje mi się twórcza i która się sprawdza.** Okolicznością, o której może na początku warto powiedzieć i która wydaje mi się także elementem warsztatu, standardem istotnym i niełatwym do osiągnięcia, a jednocześnie warunkiem dobrego pisania, jest czas. Mam na myśli czas nie w sensie mechanicznym – liczby tygodni czy godzin, które można poświęcić na pracę nad tekstem, ale czas jako możliwość koncentracji na jednej rzeczy. Niezależnie od tego, co się mówi o naszej pracy pisarskiej i akademickiej, nasza wieloimpulsowość i wielozadaniowość definiowana jest jako zaleta intelektualna; umiejętność błyskawicznego łączenia albo przeskakiwania między jedną rzeczą a drugą, między bardzo różnymi wymiarami pracy badawczej, pisarskiej i dydaktycznej. Rzecz jasna, pojawia się tu sprzeczność. W jednym zdaniu podkreśliłam, że ważna jest zmienność, która jest twórczym elementem warsztatu badawczego i pisarskiego. A w kolejnym zdaniu mówię, że istotny jest czas i możliwość rezygnacji z wieloimpulsowości i wielotematyczności. Nie umiem dobrze nazwać i dobrze rozwiązać tej sprzeczności. Wracam myślami do chwili, gdy Tomasz Rakowski mówił o celebrowanej sztuce przeskakiwania czy wskakiwania w temat, w zjawisko, na trzy godziny, bo akurat ma się trzy godziny i zajmowania przy tym postawy eksperckiej. Postawa ekspercka jest ponoć obowiązkiem eksperta. Skoro pracujemy w akademii i mamy tytuły akademickie, przyjmuje się, że po prostu jesteśmy ekspertami. Niezależnie od tego, jaki jest nasz związek z przedmiotem badań i jak jest on głęboki, ceni się wysoko umiejętność błyskawicznego wypowiedzenia się na każdy temat. Z jednej strony rodzaj refleksu intelektualnego to wielka zaleta, której bym nie lekceważyła. Ale z drugiej strony, bycie ekspertem wydaje mi się praktyką, która uprawiana w nadmiarze, prowadzi zwyczajnie do płycizny.

**Weronika Parfianowicz:** Odpowiedź na pytanie o prywatne warsztaty i strategie badawcze wymaga, być może, autokompromitacji. Nie jestem chyba do końca gotowa na to, by zdradzać,

---

„Czytać więcej, pisać mniej”. Debata wokół prywatnych warsztatów humanistycznego pisania, „Almanach Antropologiczny. Communicare” 2024, t. 9, s. 207-220.

zwłaszcza publicznie, jak to zaplecze wygląda i jak często jest ono chaotyczne. Za każdym razem dużym problemem dla mnie jest inicjowanie procesu pisania tekstu naukowego. Zawsze, kiedy muszę coś napisać, zastanawiam się, jak to możliwe, że kiedykolwiek napisałam jakikolwiek tekst. Muszę najpierw przypomnieć sobie to doświadczenie, uruchomić je, żeby zasiąść do pisania od nowa. I jeżeli bym miała ten proces opisać za pomocą mema, to tytuł mojego artykułu naukowego zapewne brzmiałby w nim: „Zamierałam napisać wiekopomny artykuł z obszaru historii idei, ale wyszedł mi z tego tekst o kwiatach doniczkowych”. W trakcie poszukiwania materiałów, zbierania ich, gromadzenia, znajduje się tyle rzeczy. Uwaga jest rozproszona, podzielona między wiele wątków, które domagają się absolutnie natychmiastowej uwagi, troski i bliższego zbadania. Problemy z koncentracją na jednej kwestii to część mojego warsztatu i związanych z nim trudności badawczych. Druga trudność to brak czasu. Trzecia to ciągła konieczność oscylowania między dwoma rejestrami: pisania naukowego i funkcjonowania w globalnym obiegu piśmiennictwa naukowego, a ważną potrzebą i etosem pisania rozumianego jako upowszechnianie wiedzy w bliższym nam środowisku, które wymaga innych języków, rejestrów, gatunków. Próba ciągłego manewrowania między tymi dwoma potrzebami wydaje mi się ważna.

**Tomasz Rakowski:** W odpowiedzi na pytanie o warsztat i sposób pisania, który jest dla mnie ważny, zalecam, żeby oszukiwać czytelnika i wprowadzać go nie w to miejsce, którego oczekuje; obiecywać, że przeprowadzi się go gdzieś na skróty i prowadzić tak, by czytelnik zorientował się, że z powrotem wrócił na koniec kolejki. Moment kluczowy tekstu to wprowadzenie: pierwsze kluczowe sformułowania, w których oczekuje się od nas, że wyłożymy konkretnie, co jest naszym problemem, jaki jest stan badań i stan teorii, czym nasza teoria się różni od dotychczasowych i w jaki sposób rozwiążemy problem naukowy. **Temu właśnie chciałbym się przeciwstawić za pomocą oszustwa, wyprowadzenia w pole, zarysowania scenerii, w której czytelnik mógłby się poczuć pewnie, komfortowo, poczuć, że doskonale śledzi i kontroluje sposób myślenia, który proponujemy, po czym nagle orientowałby się, że właściwie cała opowieść jest o czymś zupełnie innym.** W kolejnych rozdziałach i częściach materiałowych czytelnik powinien znaleźć się w miejscach, w których nie spodziewał się, że się znajdzie. **Oszukiwanie i wprowadzanie w zupełnie inny rejestr od samego początku jest dla mnie absolutnie kluczowe.** Wynika to z namysłu i buntu, a także sytuacji, w której jestem też z racji etapu mojej kariery – sytuacji, w której nacisk kładziony jest na produktywność i tworzenie tekstów, które będą publikowalne, sprzedawalne, powtarzalne. Dlatego otworzyłem z Piotrem Cichockim warsztat „Sztuka antropologicznego pisania. Warsztat/eksperyment”. W jego ramach na początku czytamy książeczkę *How to Write a Lot? A Practical Guide to Productive Academic Writing*, w której dokładnie zarysowane jest, jak należy pisać naukowe teksty humanistyczne. Czytamy w niej „[the text] clearly states how your research will solve the problem”, a następnie „it leads the reader down to a clear path and keeps the writer from straying into irrelevant areas”. To dokładnie taki podręcznik, o który prosimy na pierwszych zajęciach studentów i studentki, żeby go wyrzucili do kosza i przynajmniej na czas naszych warsztatów z niego nie korzystali; żeby nie pisali tak, by czytelnik od początku wiedział, jaki jest problem, stan badań, jak go rozwiążemy, w jaki sposób nie pozwolimy mu w żaden sposób zejść z obranej ścieżki gdzieś na bok i trafić w niepotrzebne pole. To oszukiwanie, przekłamywanie i wyprowadzanie na manowce, w obszar niespodziewany jest podczas pisania absolutnie kluczową strategią, która w żaden sposób nie odpowiada na potrzeby *productive academic writing*. Łączą się z nią różne, bardzo poważne kwestie metodologiczne.

**Paweł Rodak:** Zacznę od anegdoty. Mój syn kiedyś zapytany, chyba w przedszkolu, o to „Czym zajmuje się twój tata?”, odpowiedział, że „Mój tata podkreśla książki”. Faktycznie, jednym z moich głównych zajęć na co dzień jest podkreślanie ołówkiem książek. Nie mógłbym czytać książek naukowych bez ołówka. A mówię o tym dlatego, że w moim, i nie tylko moim, przypadku pisanie zaczyna się daleko wcześniej niż pisanie. Jednym z elementów tego „daleko wcześniej” jest czytanie. Prawie wszystko, co napisałem, było związane z lekturami. Proces lektury jest bardzo ważny. W moim wypadku zaczyna się on od podkreślania, a potem wracania do tego, co podkreślone, przepisywania pokreślonych cytatów, nie wszystkich, ale tych, które uznaję za potrzebne. Zwykle przepisuję jakieś dziesięć do dwudziestu razy więcej rzeczy niż te, które ostatecznie

okazują się potrzebne. Po drugie, ważne jest dla mnie mówienie. **Nie chcę powiedzieć tak jak Białoszewski, „Wszystko zaczęło się od mówienia”, ale nie wyobrażam sobie pracy naukowej bez zajęć akademickich. Zajęcia, zwłaszcza konwersatoria, na których zwykle rozmawiamy o tym, co potem przybiera postać tekstów – przygotowywanie się do nich, notowanie, wymyślanie różnych rzeczy, które ma się do powiedzenia, albo które chciałoby się mieć do powiedzenia, a potem reakcje na to, o czym się rozmawia ze studentami – są niezmiernie istotne.** Nieraz już miałem pomysł, żeby notować to, co mówiono na konwersatorium, ale jestem niestety osobą leniwą i niezdiscyplinowaną. Kilka razy notowałem – było to dla mnie bardzo wartościowe – ale robiłem to rzadko. Gdy zajęcia się kończą, kończy się coś, co ma pewne ramy i potem trudno jest do tego wrócić.

Po trzecie, pisanie to bardzo skomplikowana praktyka cielesna – nie tylko polegająca na tym, że trzeba klikać w klawiaturę, ale, w moim przypadku, także manipulować całą masą najróżniejszych książek, tekstów, notatek, zeszytów. Obecnie piszę dość krótki tekst, ale na biurku mam trzydzieści lub czterdzieści książek, do których zaglądam w trakcie pisania. To dla mnie oczywiste: zanim coś napiszę, muszę zgromadzić to, co ważne, i popodkreślać. Dlatego kupuję dużo książek, bo w tych wypożyczonych z bibliotek podkreślać nie można, co dla mnie stanowi poważny problem. Zajmuje to trochę czasu, więc też nie piszę szybko. **W grę wchodzi tu różnego rodzaju praktyki intelektualne, ale istnieje też emocjonalna strona pisania. Pisanie to przygoda, radość, przyjemność. W moim przypadku, czasem się one pojawiają, ale częściej pojawia się wątpliwość i niepokój. Nawet gdy zaczynam pisać, mam chwilę, w której wydaje mi się, że nie skończę. Po prostu się nie uda. Wypracowałem sobie różne techniki, żeby próbować kontynuować pisanie. Najczęściej więc udaje się skończyć. Ale to bardzo burzliwa praktyka emocjonalna, niekoniecznie taka, o której mówi się w kategoriach przyjemności lub radości.** Oczywiście istnieje rodzaj podniecenia czy radości, jeśli coś się uda. Zasadniczo jednak to przede wszystkim trudny proces.

**Kornelia Sobczak:** Z wieloma rzeczami, które zostały tu powiedziane, silnie się utożsamiam. Ważne było dla mnie także to, co powiedział Tomasz Rakowski: o tym, żeby nie realizować schematu. Gdy byłam młodsza, dużo myślałam o czytelniku, najlepiej starszym profesorze, który by mnie docenił. Teraz myślę raczej o innych czytelnikach, które mnie czytają. Ważne jest dla mnie to, by były one konkretnymi osobami, nie wyimaginowanymi studentkami, które w jakimś zagranicznym czasopiśmie natrafiają na mój tekst. Dla mnie ważna jest świadomość, że piszę dla kogoś i do czasopisma, które ma szansę zostać przeczytane. Nie mam przekonania, że mam coś na tyle ważnego do powiedzenia, żeby produkować teksty do szuflady. Inną kwestią są znienawidzone terminy skończenia tekstów, które są postrachem nas wszystkich i które się zawsze przekracza. Gdyby ich jednak nie było, myślę, że nic bym nie napisała. Mało jest artykułów, które napisałam własnowolnie. Termin ma funkcję psychologiczną: jeżeli ktoś go stawia, oznacza to, że chce ode mnie konkretnego tekstu: daje mi to instytucjonalne uprawomocnienie tego, że dany tekst nie jest moim wymysłem, zabawą, lecz zamówieniem, prawdziwą pracą. Pracą, która pozwala mi uniknąć innej pracy, którą pewnie bym wykonywała, która byłaby przykra, męcząca, niesatysfakcjonująca i pewnie by się mieściła na skali tego, co David Graeber nazywa *bullshit jobs*. To, że mogę pisać teksty akademickie, to dla mnie duży przywilej.

**Ada Tymińska:** Mam za sobą zaplecze aktywistyczne oraz doświadczenie bycia kameleonem międzydziedzinowym: skończyłam italianistykę, prawo, teraz kulturoznawstwo i na każdym z tych kierunków podejmowałam działalność naukową. Zastanawiałam się nieraz, co łączy moje dziedziny i doświadczenia. Z tej układanki wyszło mi, że szalenie ważny jest dla mnie teleologiczny wymiar tego, co robię. Taka anegdota: ostatnio prowadziłam protobadanie. Rozmawiałam z współaktywistką działającą z osobami o doświadczeniu uchodźczym, która po zakończeniu wywiadu zapytała mnie, po co robię te badania. Odpowiedziałam jej dość mętnie, powiedziałam o rozwoju wiedzy, zbieraniu informacji, oddawaniu głosu, ale widziałam, że ona oczekuje ode mnie odpowiedzi praktycznej, związanej z tworzeniem polityki społecznej lub użytecznych narzędzi. **Ja także, w związku z przyzwyczajeniami wyniesionymi z pracy aktywistycznej, lubię mieć poczucie, że mój tekst ma konkretny, namacalny, uchwytliwy cel. Trudno mi przejść z poziomu abstrakcyjnego poznania naukowego na poziom**

**praktyczny: muszę widzieć konkretny cel. Dlatego też pojęcie produktywności jest dla mnie dużym ciężarem.** Myślę, że to kwestia pokoleniowa: odczuwam ciężar nadprodukcji tekstów i w ramach akademii nie chciałabym w niej uczestniczyć. Dlatego potrzebuję motywacji w postaci praktycznego, społecznie pożytecznego celu, który mam przed oczami, żeby nie czuć się winną tego, że produkuję coś, co będzie autoteliczną wartością samą w sobie, co nie będzie miało dalszego ciągu, przełożenia na życie społeczne.

**AS:** A czy mamy czas na czerpanie radości z tego, że piszemy? Czas pojawił się w Waszych wypowiedziach jako ważna kategoria. Z jednej strony powinniśmy go mieć, by kontemplować teksty, czytać je, podkreślać, czerpać z nich satysfakcję i przyjemność, potem zaś pisać z założeniem, że piszemy dla kogoś i mamy czas, żeby to przemyśleć. Z drugiej strony odczuwamy przymus produktywności i jednocześnie strach przed nadprodukcją, kiedy zdamy sobie sprawę, że bardzo dużo napisano na temat, który nas zajmuje. Pojawia się wówczas pytanie: czy jest sens coś jeszcze dodawać? A jeśli nie dodamy, pojawia się lęk: czy w związku z tym nie wypadniemy z obiegu naukowego? Czy macie czas na pisanie, które daje satysfakcję?

**MLD:** Odpowiedź na to pytanie obfituje w konsekwencje. Odpowiedź twierdząca oznaczałaby, że jesteśmy ludźmi podejrzanie szczęśliwymi. Wówczas jesteśmy już tylko o krok od wątpliwości: skoro pisanie sprawia przyjemność i daje satysfakcję, to czy stanowi ono prawdziwą pracę? Zakładamy – w ramach potocznego wyobrażenia o tym, jak ma wyglądać nasz świat – że praca powinna być męcząca. Gdy sprawia przyjemność, może się okazać, że nie jest już pracą. Nie potrafię twierdząco odpowiedzieć na pytanie, czy mam czas na pisanie rzeczy, które sprawiają mi satysfakcję. **Odpowiem inaczej: nie wyobrażam sobie pisania tekstów, które nie sprawiają mi satysfakcji. Nieakademicka kategoria przyjemności jest w moim warsztacie ogromnie ważna. Prowadzi też do odpowiedzi na pytanie, co to znaczy mieć czas. Poczucie, że mam czas, pojawia się wtedy, kiedy czuję, że mam kontakt z tymi, do których piszę. Myślę wówczas, że ma to sens, że moje pisanie jest skierowane do ludzi, z którymi za pośrednictwem tekstów dialoguję.** Nie muszą oni być konkretni, nie wyobrażam sobie, że mój tekst czyta ktoś, kogo znam. Kiedy mam to poczucie oraz wystarczająco dużo siły, koncentracji, własnej przestrzeni, żeby pracować w ten sposób, czuję wówczas, że mam czas, że pisanie sprawia mi satysfakcję i ma to sens. Czy rzeczywiście ma, to inna sprawa. Chodzi tu o wewnętrzne kategorie, które pozwalają mi odważyć się na napisanie czegośkolwiek.

**PR:** Na pytanie, czy mam czas, aby pisać tak, jak chciałbym pisać, mogę odpowiedzieć: tak i nie. Zasadniczo mam czas w sytuacji, gdy nie mam dużych obowiązków administracyjnych w nauce, które kiedyś miałem, a teraz mają je inni. Jednak czytanie, jako ważne w procesie pisania, regularnie konkuruje u mnie z pisaniem. Nawet gdy zaczynam pisać, nagle widzę książkę, a dzisiaj ciekawe książki są coraz grubsze, lektura zajmuje więc sporo czasu. **Co chwilę odrywam się więc od pisania i coraz częściej zadaję sobie pytanie: po co mam teraz pisać, skoro są ciekawsze rzeczy, które już ktoś napisał.** Wymaga tego także szacunek, gdy ktoś przesyła mi książkę i mam ochotę ją przeczytać. Gdybym zredukował czytanie, miałbym dostatecznie dużo czasu, ale ponieważ nie mogę tego zrobić, więc czasu jest ciągle za mało: w pewnym sensie na własne życzenie.

**TR:** Bardzo pouczające jest pisanie, które nie sprawia przyjemności, ale trzeba coś zakończyć, z czegoś się rozliczyć. To, jak wielką wartością jest przyjemność pisania, widać wówczas, gdy ma się grant i trzeba coś napisać na czas. **To było dla mnie olbrzymie odkrycie: jak straszne może być pisanie, kiedy odbywa się ono pod dyktando terminów, redaktorów, redakcji czy recenzentów z czasopism, którzy wymagają rygoru, zwięzłości i precyzji; tego, bym w pierwszych dwóch stronach tekstu wyjaśnił mój problem i pokazał, dlaczego rozumiem go lepiej niż wszyscy do tej pory.**

**AT:** Ostatnio pisanie przynosi mi mniej przyjemności. Najprzyjemniejszym dla mnie etapem pracy naukowej są badania. Pisanie to obowiązek. Przyjemność wiąże się też dla mnie z międzyczłowieczeństwem i zmiennością – jak na przykład podczas studiów, kiedy można było

poeksperymentować i ćwiczyć. **Pisanie nie powodowało wówczas poczucia odpowiedzialności za stworzenie tekstu nadającego się do publikacji i coś wnoszącego. Z perspektywy czasu uważam, że pisałam wówczas za dużo. Była to praca, która poszła na marne, nie została później wykorzystana. Ale sama możliwość przeskakiwania między tematami i dziedzinami przyniosła dużo satysfakcji.** Dla mnie na wczesnych etapach studiów pisanie było przyjemniejsze, później trudniejsze: może to kwestia osobistych predyspozycji. Myślę, że prace magisterskie z założenia nie są przyjemne, bo są mocno obciążone odpowiedzialnością – zwłaszcza dla osób, które nie planują kariery naukowej, a stoją przed koniecznością napisania pracy, od której zależy właściwie to, czy ukończą z powodzeniem studia, uzyskają dyplom i będą miały jakąś pozycję na rynku pracy.

**Marta Rakoczy:** Mam wrażenie, że Wasze opowieści o procesie pisania – w tym o trudnościach, radościach i przyjemnościach – pokazują, że w chwili, gdy siadamy nad kartką papieru albo przed ekranem komputera, potwierdzamy lub kształtujemy za pomocą bardzo subtelnych działań dialogiczny, relacyjny etos humanistyki, choćby poprzez myślenie o wyobrażonym czytelniku: o tym, kim czytelnik mógłby być, do kogo chcemy mówić, kogo możemy dotknąć, wzmocnić, poruszyć naszym tekstem, czyją wyobraźnię możemy otworzyć lub czyje myślenie zmienić. To, jak ważne miejsce zajmuje w tych opowieściach *deadline*, świadczy także o tym, że przynajmniej w warunkach instytucjonalnych, w których funkcjonujemy, cały czas postrzegamy terminy ukończenia naszych tekstów w kategoriach zobowiązań profesjonalnych, związanych z siecią relacji i odpowiedzialnością wobec konkretnej osoby, czasopisma, kogoś, z kim chcemy coś wspólnie tworzyć, wejść we współpracę. A jakie są Wasze doświadczenia w tekstualizacji Waszych badań? Czym z Waszej perspektywy jest przekształcanie badania w tekst, czyli zwartą konstrukcję, którą chcecie upublicznić? Jakie możliwości i trudności widzicie w przekształcaniu Waszych badań w tekst, niezależnie od tego, czy Waszym polem badawczym jest archiwum, czy też praca *stricte* etnograficzna?

**PR:** W moim przypadku pole badawcze to niekoniecznie teksty, lecz różnego rodzaju praktyki piśmienne. Tekstualizacja badań to praktyka, która polega na konstruowaniu, najkrócej mówiąc, kolejnych poziomów notatek. Dobrze opisał to Łukasz Afeltowicz w książce *Modele, artefakty, kolektywy*, w której mówi, że humanistyczne pisanie to tworzenie notatek podnoszonych na kolejny poziom. Tak właśnie jest w moim przypadku. Najpierw po lekturze mnóstwo notuję: cytatów, pomysłów, uwag, które przyjdą do głowy. Notowałem kiedyś na kartkach, w zeszytach, dzisiaj przede wszystkim za pomocą komputera. Wszystko, co dotyczy przygotowania do zajęć – konwersatoriów, zajęć kursowych, wykładów – notuję odręcznie na papierze, a wszystko, co dotyczy przygotowywania tekstu, jest w postaci elektronicznej. Nigdy się nie zastanawiałem, dlaczego tak jest. Wybieram ważne cytaty, które mogą się przydać. Po ich wybraniu i skonstruowaniu planu w postaci punktów wskazujących kolejne części dopasowuję różne poziomy notatek do części tekstu. I tutaj oczywiście ekran komputera jest nieoceniony: manipuluję fragmentami, przesuвам je w górę i w dół dziesiątki, setki, tysiące razy. Piszę nielinearnie: na kartkach było to trudniejsze, na komputerze już nie. Ekran umożliwia takie manipulacje. W moim przypadku zatem pisanie to wielokrotne notowanie i manipulowanie własnymi notatkami, a wcześniej – bardzo bliska lektura materiału. Bliska na tyle, że często przepisuję wiele fragmentów swoich lektur. **Przepisuję nawet z książek, które mam, właśnie po to, żeby osiągnąć potrzebny mi poziom zbliżenia się do tych fragmentów i możliwości łatwego posługiwania się nimi, dopasowania ich w głowie do tego, do czego mogą się potem przydać w tekście. Oczywiście, między wyjściowym pomysłem a ostatecznym rezultatem dzieje się przygoda pisania tekstu, która sama w sobie jest pracą badawczą. Gdybyśmy wiedzieli od początku, co chcemy napisać, potem zaś tylko to realizowali, nie miałyby to większego sensu.** W samej praktyce pisania ostatecznie kształtują się idee, co do których mamy jedynie bardzo szkicowe pomysły.

**WP:** Pracuję głównie z archiwami. W ostatnim czasie zajmuję się głównie czasopiśmiennictwem. Podczas pisania doktoratu głównym wyzwaniem przy pracy z tymi materiałami było to, by wydobyć życie z tekstów czasem horrendalnie nudnych, z którymi sama miałam wielki problem: nuda była znaczną częścią mojego doktoratu. Teraz mam odwrotny problem: jak pracować

z materiałami, które są fascynujące, i jak w procesie tekstualizacji tego, czym się zajmuję, tego nie zabić. Co zrobić, żeby wyobrażone czytelniczki i czytelnicy odczuwali przyjemność kontaktu z treściami, które znajdują się na pograniczu tekstowo-wizualno-graficznym? Jak pokazać, że te trzy wymiary – tekstowy, wizualny i graficzny – są istotne? Jak przekazać doświadczenie płynące z kontaktu z treściami z dwudziestego wieku, tak by przynosiły przyjemność na różnych poziomach: estetycznym i poznawczym, związanych z odkrywaniem aktualnych sposobów mówienia o danych kwestiach? Zastanawiam się, jak w procesie tekstualizacji materiału i tematyzowania rzeczy, na które trafiam, nie stracić go lub wręcz nie zabić formami ustabilizowanego dyskursu naukowego? Kolejnym wyzwaniem, bliskim osobom pracującym z treściami archiwalnymi, jest to, że nasze pytania są w jakiejś mierze oddawaniem pola głosem z przeszłości. Oznacza to tworzenie na nowo przestrzeni dyskursywnej po to, by te głosy wybrzmiały w nowym kontekście. Istnieje przy tym duże ryzyko, że zostaną one potraktowane instrumentalnie lub wykorzystane w sposób niezgodny z intencjami, w których te głosy padały. To pytanie etyczne, ale też warsztatowe: jak cudze i przeszłe głosy wplatać we współczesny dyskurs? **Często łapię się na tym, że stosuję obszerne cytaty, ponieważ wielką dla mnie przyjemnością, której nie chciałabym odbierać czytelnikom i czytelniczkom, jest czytanie *in extenso* możliwie pełnych, bogatych w konteksty wypowiedzi z przeszłości. Czy są to listy czytelników z prasy kolorowej z lat siedemdziesiątych, czy teksty filozoficzne z lat czterdziestych, są one na tyle bogate, że wiele moich ostatnich tekstów jest złożonych z obszernych cytatów, służących przywołaniu całej dynamiki wypowiedzi, do której się odwołuję.**

**KS:** Wzmocnię to, co powiedziała Weronika. Największym problemem tekstualizacji pola badawczego jest to, że nie da się powiedzieć wszystkiego i wpuścić kogoś do swojej głowy, a jednocześnie zabrać ze sobą nad rozłożony rocznik badanego czasopisma. Zgadza się, że największą chyba przyjemnością na świecie jest obcowanie ze starymi czasopismami. To niesamowite doświadczenie. Pamiętam, kiedy podczas jednej z kwerend znalazłam informację o znalezionym w sierpniu na Bemowie damskim swetrze. Informowano o tym dwudziestego drugiego października 1985 roku, bo w październiku może damski sweter jest bardziej przydatny niż w sierpniu. **To są takie okruchy, których nie da się czasem zmieścić w tekście, ale by się chciało: oddać to coś, co się przydarza po drodze. Żąda się od nas, byśmy eliminowali te okruchy: musimy pokazać to, co badamy. To duża strata, ponieważ przymus ten inaczej modeluje relację nadawca – odbiorca: ustanawia ją tak, jakbyśmy prezentowali już gotowy wywód.** Rozbija to możliwą wspólnotę czytelniczą: wspólnotę akademików i nie-akademików, która niegdyś była trwalsza. Obecnie dąży się do tego, by uczynić środowisko akademickie bardziej hermetycznym, odsunąć od szerokiej publiczności za pomocą wymuszania określonych sposobów pisania oraz obiegów czasopism i tekstów. Trudność polega dziś na tym, jak ocalić tekst jako formę rozmowy, Norwidowskie *vademecum*. Jeżeli omawiasz swoją pracę badawczą, jeżeli pokazujesz jej proces, a nie jedynie efekt, godzisz się z tym, że z tego, co pokazujesz, ktoś może wyciągnąć zupełnie inne wnioski.

**MR:** Kwestie polityki i poetyki umieszczania obszerniejszych cytatów są bardzo ciekawe. Bywa, że obszerny cytat jest zaproszeniem do radości obcowania ze źródłem oraz odmową prezentyzmu, czy zawłaszczenia źródła własnym dyskursem. Wyobrażam sobie jednak praktykę, o której mówiła Marta Zimniak-Hałaško, polegającą na algorytmizowaniu i archiwizowaniu metadanych w postaci cyfrowej; dzięki niej badacz może w czasopismach naukowych umieszczać surowe dane i być za to nagradzany punktami mimo braku autorskiego komentarza. Jest to praktyka, która formalnie przypomina to, o czym mówicie, a jednocześnie jest osadzona w zupełnie innej etyce i polityce pracy. Myślę też o bardzo wielu projektach tekstowych, które z mojego punktu widzenia nie są projektami udanymi, mimo że oddają głos źródłom tekstowym lub opowiadającym ludziom. Nie są one udane, gdyż, czytając je, mam poczucie, że ich autor stara się w ten sposób uniknąć osobistej odpowiedzialności za przedstawienie określonej wizji świata, z którą chciałabym się skonfrontować lub do której chciałabym być zaproszona.

**MLD:** Dla mnie najczęściej punktem wyjścia jest tekst i to najczęściej tekst literacki. Dookoła niego buduję pole, które w dużej mierze jest polem praktyk polonistycznych: praktyk bycia blisko

tekstu, przepisywania go, często nie wiadomo do końca po co. Może chodzi tu o mechanizm koncentracji polegający na tym, że praca przepisywania fragmentu tekstu jest związana z głębokim, fizycznym skupieniem się na nim? W moim przypadku strategią procesu tekstualizacji jest budowanie elementów pola oraz montaż. Zastanawiam się, na czym polega zasada tego montażu oprócz estetycznej zasady, żeby tekst wyglądał na spójny. Nie wiem, czy można mówić takie rzeczy podczas nagrywanej i emitowanej publicznie dyskusji. **Odsłanianie luk warsztatowych jest gorsze niż egzamin, a nasza rozmowa każe mi konfrontować się z chaosem i arbitralnością wybieranych lektur, poczuciem lokalności albo swoistości tego, co uprawiam, co może jest zaletą, ale w dzisiejszym świecie akademickim stanowi przede wszystkim wadę.** Mówię dygresyjnie, ale taka jest zasada montażu fragmentów, które wyrastają z bardzo bliskiej mi, gęstej lektury tekstu. **Myślę, że zasada montażu, którą praktykuję, jest związana z uprawianiem pisania jako sytuacji komunikacyjnej.** Odczuwalny/odczuwalna dla mnie odbiorczyń/odbiorca tekstu to człowiek, do którego piszę i który porządkuje logikę tekstu, nadaje mu strukturę. **Można powiedzieć, że strategia ta w ogóle nie jest strategią badawczą; nie jest tekstualizacją pola badawczego, tylko pisanem listów pod pretekstem czytania tekstów literackich albo używaniem tekstów literackich do pisania listów w butelce.** Oczywiście, nie jest to do końca dobra wiadomość. Ale też refleksja nad własnymi procesami umysłowymi i własnym warsztatem zwyczajnie nie jest prostą sprawą.

**MR:** Zastanawiam się, na ile jest to kwestia trudnych pytań, a na ile ich trudność polega na tym, że ciągle nie mamy metajęzyka mówienia o określonych aspektach naszego warsztatu, które są integralną częścią uprawiania humanistyki.

**TR:** Myślę, że nie jest to kwestia braku metajęzyka. To kwestia, brutalnie mówiąc, polityki naukowej i jej nacisku na produktywność lub produktywność. Kiedy pokazujemy na seminarium wraz z Piotrem Cichockim książeczkę *How to Write a Lot?*, to zaraz potem pokazujemy także książkę *Writing Anthropology: Essays on Craft and Commitment*, w której znajduje się odpowiedź na pytanie, w jaki sposób przekształcać to, co ma się znaleźć w tekście. W jaki sposób przemieniać w tekst doświadczenie badawcze? Dobrą odpowiedź w odniesieniu do produktywnego pisania zawarła Ruth Behar w jednym z tekstów z *Writing Anthropology*. Brzmi ona – za pewną kubańską poetką – „read more, write less”. „Więcej czytaj, pisz mniej”. Krótko mówiąc: nie produkować, pisać mniej, czytać, doświadczać i rysować więcej. Zanim zacniemy pisać, musi powstać skumulowana startowa energia, w przeciwnym wypadku wydaje się, że nie zacniemy lub nie skończymy nigdy i tekst nie powstanie. Podobnie jest z doświadczeniem lekturowym i terenowym, wizualnym i artystycznym: gdy zostaje ono wzmocnione i odpowiednio zbudowane, pisanie przestaje być problemem. To moment spontaniczny. Duże wrażenie zrobiła na mnie niegdyś książka Agnieszki Karpowicz o Stefanie Themersonie, Leopoldzie Buczkowskim i Mironie Białoszewskim. Cytowany w niej Buczkowski twierdzi, że chciałby trzymać w jednej ręce pióro, w drugiej ołówek, a „w pysku pędzel”. Chodzi tu właśnie o skumulowaną wiedzę i energię, która potem znajduje swój kształt w tekście. Proces ten jest jednak związany z pisanem mniej; z tym, o czym pisze Tim Ingold w słynnym tekście, *That's Enough about Ethnography!*, w którym sprzeciwia się anglosaskiej zasadzie produktywności naukowej. „Mam dosyć etnografii – pisze – dosyć pisania. Chcę raczej rozumieć i eksperymentować”. Ingold pokazuje, że pisanie, rozumienie, interpretowanie nie zaczyna się wraz z chwyceniem pióra i rozpoczęciem pisania, ale trwa cały czas, tylko sobie z tego nie zdajemy sprawy. **Myślę, że nacisk na produktywność po to, by powstały kolejne, odpowiednio sformatowane teksty, ma wymiar polityczny. Nie dopuszcza on do entekstualizacji; tego, by w twórczości nastąpiła chwila wzmoczonego rozumienia. Jeśli narzuca się reguły publikowania w odpowiednim rytmie i w trybie produktywności, oznacza to, że nie ufa się temu, że w naszych głowach, ciałach, emocjach, rodzi się potrzeba pisania.** Moim zdaniem, to właśnie jest najbardziej destruktywne w polityce naukowej, której doświadczam w pracy: podczas redagowania, oceniania, recenzowania, pracy w Radzie Doskonałości Naukowej. Polityka ta nie przyjmuje, że jesteśmy ludźmi, którzy w momencie, gdy przeczytają wiele ważnych rzeczy i spędzą tyle czasu nie pisząc – w terenie, muzeum, z artystami – będą chwytały się każdego narzędzia, żeby pisać, bo ich wiedza się skumuluje. Jestem ostatnio bardzo zły na różne mechanizmy związane z polityką naukową, które kreacyjność niszczą.

Tymczasem moment wzmocnienia doświadczenia wiedzą i lekturą prowadzi do tego, o czym Ingold mówi jako o rodzaju edukacji, przywołując łaciński czasownik *ex-ducere* oznaczający wyprowadzenie. Chodzi o kluczowy moment wyjścia w stronę tego, co nieznane. To, że polityka produkcji naukowej na to nie pozwala, jest wiadomością fatalną. Oznacza, że znika moment, gdy pisanie zaczyna być żywiołowe, spontaniczne, a w efekcie – wartościowe naukowo. Dzięki niemu właśnie powstają prace, o których się dyskutuje, które się przeżywa, które mają naukowy wpływ na innych. Kwestia logiczności, spójności i przejrzystości, które te publikacje mają, jest w pewnym sensie wtórna.

**MR:** Mówiąc o braku metajęzyka, miałam na myśli dokładnie to, o czym mówisz. Mam wrażenie, że ów brak wynika z aktualnych polityk naukowych oraz z tego, że w ciągu przynajmniej kilkunastu ostatnich lat w polskiej humanistyce sama kategoria tekstu, tekstowości, pisania, przestała być postrzegana jako atrakcyjna. Przekierowaliśmy naszą uwagę na cielesność i afektywność. W konsekwencji, straciliśmy kontakt z refleksją, która pozwala mówić o pisaniu na poziomie meta, reagować, także krytycznie, na polityki produkcji tekstowej, z którymi mamy dzisiaj do czynienia.

**AT:** Wypowiadam się z pozycji osoby, dla której akademickie pisanie nie jest pracą i która postrzega pracę akademicką jako jeden człon alternatywy, której drugim członem jest to, co Kornelia określiła za Graeberem mianem *bullshit jobs*. Jestem w uprzywilejowanej pozycji osoby, która może wybierać bez większych konsekwencji swoich wyborów. Dla mnie ważne jest to, by nie przyjąć zasady produktywności. Przyjęcie jej oznacza, że praca akademicka przestaje być sposobem ucieczki od mechanizmów wolnorynkowych: jeśli te same mechanizmy w niej napotykam, przestaję mieć poczucie, że jest atrakcyjną alternatywą. Zdałam też sobie sprawę, że pisanie jest dla mnie czynnością bardzo manualną, choć jestem w tym gronie z generacji najmłodszej. Mam wrażenie, że pisanie na komputerze wymaga ode mnie sprecyzowanych myśli, podczas gdy moje teksty powstają głównie jako struktury złożone z wielokrotnych map myśli. W tekstualizacji moim problemem jest oddawanie relacji między różnymi polami, którą mogę narysować strzałką na kartce. **Formuła artykułu akademickiego wymaga narracyjności, którą rządzi podstawowy schemat w postaci przejścia od punktu A do punktu B, podczas gdy dla mnie struktura tekstu przypomina raczej rozgałęziające się drzewo. W praktyce jest to ciężko przekształcić w tekst, a jeszcze ciężiej podporządkować logice artykułu, który musi streszczać się w pięciu zdaniach abstraktu.**

**AS:** Wiemy, że mamy być produktywni, ale jednocześnie znajdujemy jakieś alternatywy: praktyki oporu. Myślę o wypowiedzi Tomasza Rakowskiego, który przywołał zasadę „czytaj więcej, pisz mniej”. Zastanawiam się, czy jest to wykonalne we współczesnej humanistyce. Dużo rozmawialiśmy o napięciu, które pojawia się między instytucją, która czegoś od nas oczekuje, a mądrym, kreatywnym, twórczym pisaniem, które dzieje się niejako poza nią. Możemy się buntować, ale nasz bunt zależy od naszej pozycji: nie każdy z nas może sobie w równym stopniu pozwolić na opór. Osobie przed doktoratem lub nawet tuż po doktoracie ciężko jest się utrzymać w strukturze akademickiej, jeśli nie publikuje w najlepszych lub choćby tylko dobrych periodykach. W środowisku naukowym trzeba stale udowodniać, że pomysły, które się ma, mają wartość. W nowych środowiskach wartość ta jest oceniana na podstawie posiadania grantu, stypendium, zdobywania nagród. Generuje to napięcie między chęcią ucieczki z tak rozumianej nauki a bardzo trudną świadomością, że bez publikacji, najlepiej zagranicznych, w ramach których teksty powinny być zestandaryzowane, bądź też bez grantu albo chociażby podjętych prób jego pozyskania, trudno uprawiać dziś zawodowo naukę. Jak to postrzegacie?

**WP:** To pytanie dotyczy ważnych kwestii, dla mnie chyba jeszcze bardziej dramatycznych. W czasach, w których żyjemy, ciężą na nas – osobach działających w sferze publicznej oraz w polu edukacji i upowszechniania wiedzy – określone zobowiązania. Istnieje zatem kolejny dylemat: naukowe pisanie w obiegu globalnym czy pisanie, które wynika z chęci popularyzacji wiedzy i jej upowszechniania; dylemat, który jest związany także ze sposobami dystrybucji wiedzy, demokratyzacji dostępu do wiedzy i jej wytwarzania. Istnieje też dylemat dotyczący początku pracy



naukowej: konieczności zabezpieczenia własnych, elementarnych potrzeb materialnych. Zgadza się całkowicie z koncepcją, żeby „czytać więcej, pisać mniej”. **Ale jednocześnie czuję, że istnieje sfera, w której bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie, powinniśmy pisać teksty popularyzujące tematy, którymi się zajmujemy. Odwołam się do kwestii, która wydaje się szczególnie paląca: do kryzysu klimatyczno-ekologicznego. Jako humaniści nie mamy wystarczających narzędzi ani kompetencji, żeby podejmować dyskusje o kryzysie na bardziej zaawansowanym poziomie. Ale gdy śledzi się dyskusję medialną, nagle okazuje się, że te kompetencje byłyby bardzo potrzebne, ponieważ to, z czym się mierzymy, dotyka dokładnie tego, czym się zajmują humaniści – systemów wartości.** To, czy uda się ten kryzys przynajmniej spowolnić, zależy od tego, jak głęboko musimy w tym celu zaingerować w społecznie przyjęte wartości. Gdy czytam w tekstach publicystycznych, że człowiek jest z natury chciwy, myślę sobie: na pierwszym roku kulturoznawstwa dowiedzielibyście się, że koncepcja *homo oeconomicus* jest konstruktem historycznym bardzo świeżej daty i że w historii ludzkości było i do dziś jest wiele różnych modeli gospodarczych, które funkcjonowały i zaspokajały potrzeby różnych społeczeństw w różnych częściach globu. Nasza rola jako humanistów w przekształcaniu wyobraźni społecznej i politycznej w najbliższym otoczeniu jest ogromna. W dyskusji publicznej często abstrahuje się od wartości, w ramach których funkcjonujemy, nie zadaje się pytań o to, kto je wytwarza, skąd się one biorą. Widzę tu ogromne zadanie dla humanistów i humanistek, aby znaleźć języki, media i gatunki, w których możemy się wypowiadać, aby przekształcać publiczne dyskursy i wartości, które za nimi stoją. Nie mam na to żadnych łatwych recept. Ale kończąc, chciałabym zwrócić uwagę na jeszcze jeden paradoks, z którym mierzymy się w pracy badawczej. Tomasz Rakowski mówił o globalnych politykach związanych ze światem nauki, które wiążą się także z kapitalizowaniem wiedzy i dostępu do niej oraz z barierami ekonomicznymi. Problem ten odczuwam jako szczególnie dotkliwy, gdy chodzi o publikacje, które radykalnie kontestują lub podważają obecny stan rzeczy, które problematyzują różne antykapitalistyczne strategie i które wydawane są przez wielkie wydawnictwa naukowe kapitalizujące wysiłek różnych autorek i autorów i zamykające do niego dostęp. Dostęp do tekstów naukowych, zwłaszcza w zachodnim obiegu, często monopolizowany jest przez duże firmy, jak choćby Amazon, które ograniczają możliwości korzystania z tekstów. Kwestia demokratyzacji wiedzy, otwartego dostępu oraz tego, jak czynić go otwartym, a nie kolejnym kanałem, za pomocą którego następuje proces kapitalizacji wytworów ludzkiego umysłu przez nielicznych, wydaje mi się ogromnym wyzwaniem, jakie trzeba podjąć.

**AS:** Jako badacze i badaczki możemy być zaangażowani w przekazywanie wiedzy na wszystkich szczeblach kariery. Możemy być zaangażowani aktywnie, wspierając różne dążenia emancypacyjne jako naukowcy, ale możemy też wychodzić poza uczelnię i przekazywać wiedzę specjalistyczną, którą mamy. Nie chodzi mi o porzucenie uczelni i rozpoczęcie pracy nauczycielskiej, ale o inicjatywy takie jak autonomiczna przestrzeń edukacyjna, która jest antidotum na to, że szkoła nie mówi ważnych rzeczy. Wychodzenie poza akademię, upowszechnianie wiedzy różnymi kanałami wydaje się obecnie bardzo ważne.

**PR:** Moja własna praktyka pisarska jest zasadniczo zgodna z zasadą „pisać mniej, czytać więcej”. Coraz częściej odkładam pisanie na rzecz czytania. Jest to możliwe, choć także zależne od pozycji akademickiej. Jeśli ktoś nie musi pisać szybko, pracować na kolejny tytuł, bo ma stabilną pozycję naukową, jest mu łatwiej. Oczywiście nade mną także ciążyą terminy, w których przedłużaniu jestem mistrzem. Przyznaję, że nigdy nie piszę na czas. Co nie znaczy, że ostateczne terminy oddawania tekstów i zamówienia nie są dobre. Rzadko odmawiam napisania tekstu: nie potrafię. Cieszę się też, gdy spełnię zamówienie: zawsze mam poczucie, że to mi się do czegoś przyda. Ale z terminami mam duży problem: czytam nieraz grube książki, zamiast kończyć kolejny artykuł. Póki co, daję radę: na pewno jest mi łatwiej, niż gdybym był rok przed habilitacją czy pół roku przed skończeniem doktoratu. Druga sprawa dotyczy grantów, punktów i ocen. Oczywiście wypełniam sprawozdania, ale przyznam szczerze, że się nimi nie przejmuję. **Nie mam poczucia, że coś ważnego, przynajmniej w moim życiu naukowym, od tego zależy. Może to kwestia wieku. Nie mam poczucia, że to, czy dostanę grant i jak zostanę oceniony, to coś ważnego. Granty zawsze były dla mnie przede wszystkim formą współpracy.** Uczestniczyłem

w siedmiu czy ośmiu grantach w życiu: jeden był indywidualny, pozostałe zespołowe. Teraz też współrealizuję grant, który przede wszystkim oznacza dla mnie radość wspólnej pracy. Rzecz jasna, nauka jest silnie zindywidualizowana, co wiąże się z konkurencją, zazdrością i zawiścią. Nie dotyczy to tylko nauki polskiej, ale także zagranicznej. Moim marzeniem jest, żebyśmy częściej pisali teksty wspólnie. Świetnie jest mieć zespołowe granty i wspaniale by było, gdybyśmy od czasu do czasu spróbowali wspólnie pisać teksty, co nie jest proste w naukach humanistycznych, ale nie jest niemożliwe. Albo przynajmniej wspólnie prowadzić zajęcia. Moim zdaniem powinno być więcej zajęć akademickich współprowadzonych przez dwie, może nawet trzy osoby. Trzecia kwestia dotyczy demokratyzacji. Tutaj mam jasne stanowisko. **Moim zdaniem, wszystkie wyniki badań naukowych, czy w postaci monografii, czy artykułów naukowych, które są finansowane z pieniędzy publicznych, powinny być w wolnym dostępie. Możemy to już zacząć: stworzyć pozytywny nacisk w środowiskach naukowych, by akademicy mieli jak najwięcej tekstów w wolnym dostępie i by było to także wyznacznikiem jakości naukowej. Docelowo powinniśmy do tego dążyć.**

**AS:** Ten relacyjny wymiar wiedzy i pisania, związany choćby z zamówieniami tekstów, o czym mówił przed chwilą Paweł, wydaje się szczególnie ważny. To zupełnie inne doświadczenie, gdy jest się samotnym badaczem przygotowującym zestandaryzowany tekst, który następnie wrzuca się na cyfrową platformę wybranego czasopisma bez bezpośredniego kontaktu z redakcją. Proces ten wówczas jest właściwie bezosobowy. **Tymczasem ten relacyjny wymiar budowania wiedzy jest kluczowy: inspiracje intelektualne są zawsze osobowe, a naszymi autorytetami stają się badacze i badaczki, których książki czytamy, których wypowiedzi znamy, z którymi prowadzimy publiczne dyskusje i osobiste rozmowy. To wszystko nas ubogaca. Nikt nie tworzy sam. Wiedza nie wyskakuje nam magicznie z głowy. Przeciwnie, jest raczej efektem nieustannych inspiracji czymś lub kimś. Potrzebujemy więc innych osób i całej sieci relacji, by tworzyć naukę.**

**MLD:** Na poziomie osobistym odczuwam rodzaj stałego niepokoju, którego źródłem jest rzeczywistość akademicka, ale myślę, że jest to także niepokój związany z tym, co się dzieje na szerszej płaszczyźnie – w Polsce i na świecie. Mam poczucie, że w ciągu ostatnich dwóch, trzech dekad uniwersytet bardzo się zmienił. Doświadczamy nacisku na produktywność, konkurencyjność, umiędzynarodowienie. Obowiązek prowadzenia pracy badawczej w ekspresowym tempie [*instant research*] i błyskawicznego publikowania jest źródłem ogromnego ciśnienia i niepokoju, zwłaszcza że pojawia się to w kontekście ocen, ewaluacji, pieniędzy i zatrudnień. Pracuję jednak na wydziale polonistyki, na którym poziom ciśnienia związanego ze współpracą międzynarodową, publikowaniem w prestiżowych, najlepszych czasopismach światowych i doświadczenie formatowania własnych tekstów jest mniejszy. Dla mnie nowe kryteria są nadal raczej opowieścią o tym, co nam grozi, a nie o tym, czego doświadczamy. Może wynika to z mojego małego umiędzynarodowienia. Zajmuję się kulturą polską i litewską i doprawdy trudno powiedzieć, która z nich jest bardziej globalna i otwiera większe pole do współpracy międzynarodowej. Istnieją dyscypliny, które pozostaną na poziomie bardziej lokalnym – taki jest ich charakter. Pamiętam dyskusję, która toczyła się w Instytucie Kultury Polskiej wiele lat temu, gdy profesor Szpakowska napisała tekst dowodzący absurdalności wymogu publikacji polonistycznych w języku angielskim. Było to dwadzieścia lat temu. System, wiadomo, się zmienił, ale istota problemu – nie. Uprawianie polonistyki bądź lituanistyki po angielsku ma średni sens. Innymi słowy, istnieje różnica – i trzeba ją uchwycić – między urzędniczym dyskursem a rzeczywistością, w której funkcjonujemy. **Nie zmienia to jednak tego, że w schematach funkcjonowania akademii, języku ministerstwa oraz samego uniwersytetu kategorią, która wydaje się niebezpieczna, jest retoryka podejrzliwości. System punktów, ocen oraz nacisku na to, by publikować więcej i szybciej, nawet jeżeli wartość merytoryczna publikacji jest niewielka, biorą się z podejrzliwości i domniemania, że trzeba nas dyscyplinować, pilnować, wkiłać w schematy sprawozdawcze, bo inaczej przestaniemy robić cokolwiek. Warto się zastanowić, jaka czeka nas przyszłość, bo wiem jeśli ten system będzie się nasilał, część wybitnych uczonych zniknie z uniwersytetu.** Nie wytrzymają napięcia, wewnętrznej konkurencji, bo uznają, że pole uprawiania tego,

co nazwałabym twórczością naukową, jest na uniwersytecie zamknięte bądź mocno ograniczone. Jest to destrukcyjna wizja rzeczywistości zdeintegrowanej, zniszczonej. Ale może wyłoni się z niej inny model lub modele akademii? Sytuacja młodych naukowców, doktorantów i doktorantek, wydaje się obecnie szczególnie trudna w porównaniu z tym, jak funkcjonował system nie tylko przed powstaniem szkół doktorskich, ale też przed reformą, w wyniku której studia doktoranckie stały się po prostu studiami trzeciego stopnia, opartymi na bardzo silnej, wewnętrznej konkurencji; studiami zbudowanymi również na retoryce podejrzliwości, co skutkuje tym, że doktoranci zamiast zajmować się pisaniem doktoratów, zajmują się zdobywaniem punktów, udziałem w konferencjach, różnymi aktywnościami, które później muszą opisywać w sprawozdaniach. Obecny system kształcenia młodych badaczy obarcza ich, jak się wydaje, dużym stresem i niepewnością, a ich negatywne skutki wiążą się nie tylko z życiem indywidualnym (tym, jak młodzi badacze mogą to odczuwać i przeżywać), ale także z tym, że schematy działania oparte na silnej konkurencyjności niszczą pracę zespołową, która wydaje się ogromnie ważna. Najlepsze, najbardziej inspirujące wydarzenia, w których brałam udział na uniwersytecie, to różne formy pracy zespołowej. I na koniec chciałam powiedzieć jedno: lubię granty. System konkurencyjności, w którym dzisiaj funkcjonujemy, jest bardzo stresogenny i związany z ogromną stratą czasu. Oprócz tego, że piszemy artykuły w wysoko punktowanych czasopismach, liczne sprawozdania, a od czasu do czasu książkę, piszemy też wnioski grantowe, które są tekstami sporych rozmiarów. W największym NCN-owskim programie OPUS tylko siedemnaście procent złożonych wniosków otrzymuje dofinansowanie. To w skali kraju żalosne. Ten system ma zatem wiele wad, ale tworzy warunki do wspólnej pracy projektowej, która ma konkretne ramy czasowe i o której wiadomo, że nie rozplynie się w nicości, tylko skończy się książką. I to jest pozytywne. Odniosę się też do przeszłości uniwersytetu, której doświadczałam jako studentka, a później jako doktorantka. Dawny uniwersytet, przed reformami i kapitalizmem, choć jest to tylko ocena wynikająca z jednostkowych, osobistych doświadczeń, nie był uniwersytetem, na którym kwitła bezinteresowna, żywa współpraca. Był, owszem, wolny i twórczy, ale zdarzało się, że był przestrzenią inercji, gdzie ludzie spędzali swoje kariery naukowe, zajmując się trudno powiedzieć czym, bo ani pisaniem i uczeniem, ani też chyba czytaniem. Zjawisko sentymalizacji przeszłości nie pojawiło się w naszej dyskusji, ale przywołuję je jako wartę krytyki. Teraźniejszość jest trudna, przyszłość jest niewiadoma. Ale przeszłość nie była wcale świetna.

**AS:** Pewnie zabrzmiało to utopijnie, ale czy nie należy pokusić się o zmianę słownika? Może powinniśmy przestać mówić o karierach, wybitności, sukcesie i produktywności? Dla badaczy i badaczek u początków kariery, zwłaszcza w szkołach doktorskich, pytania o wybitność, prestiż, karierę to także kwestia praktyk formatowania myślenia, którego obecnie doświadczamy w ramach globalnej akademii i które, zgodnie z założeniem, powinniśmy przyjąć. Może w przekształceniu naszych słowników – tego, jak mówimy i myślimy o humanistyce – tkwi szansa na zmianę?

**PR:** Zmiana języka jest dobrym pomysłem. Co do innych poruszonych wcześniej kwestii: nie jestem zwolennikiem przymusowego umiędzynarodowienia albo publikowania w obcych językach, zwłaszcza po angielsku. Ale nie zgadzam się, że zajmowanie się literaturą, kulturą, historią Polski czy Litwy miałyby być skazane na lokalność lub przestrzeń wyłącznie narodową. Wszelka nauka powinna być ponadnarodowa, nawet jeśli dotyczy kwestii lokalnych. Litwa i Polska cieszą się w świecie rosnącym zainteresowaniem. Pozwolę sobie przeczytać trzy zdania z książki Briana Portera *Całkiem zwyczajny kraj*: „W Ameryce Północnej liczba historyków zajmujących się tematami związanymi z Polską od pewnego czasu stale rośnie”, „Na przykład na mój roczny wykład *Polska w świecie współczesnym* zapisuje się zwykle siedemdziesięciu pięciu do stu studentów”, „Uważam Polskę za naprawdę interesującą, jednak bynajmniej nie dlatego, że jest krajem niezwykłym, ale właśnie dlatego, że jest tak bardzo zwyczajna”.

**MLD:** To, co mówiłam, nie oznacza, że uważam kulturę polską, litewską lub jakąkolwiek inną za przedmiot badań skazanych na hipernacjonalizm albo naukę narodową. Chodziło mi tylko o to, co jest skupieniem, a co jest dystrakcją w jej badaniu. Wydaje mi się, że nacisk na

umiędzynarodowienie jest z jednej strony próbą mobilizacji na rzecz wyjścia z zamkniętego pola, z drugiej jednak oznacza dystrakcję, bo wówczas patrzymy raczej na zewnątrz niż do wewnątrz. Nie zgadzam się z argumentem, że skoro nawet amerykańscy naukowcy interesują się kulturą polską, to jej badanie jest ważne i może spowodować, że poczujemy się lepiej jako badacze. Może lepiej byłoby, gdybyśmy się czuli wystarczająco dobrze i bez tego?

**PR:** Nie chodzi mi tylko o Amerykę. Badań nad Polską, Europą Środkową, Litwą w Ameryce i w Europie ostatnich lat jest coraz więcej. Bardzo często badania te w niewielkim stopniu uwzględniają to, co się dzieje naukowo w Polsce lub w Europie Środkowej. To źle. Ale my też w niewielkim stopniu uwzględniamy to, co się dzieje badawczo poza Polską. Myślę, że przyszedł czas, żebyśmy coraz częściej wspólnie pracowali ponadnarodowo: nie tylko w obrębie naszych instytutów czy wspólnoty naukowej w Polsce. Chodzi mi, rzecz jasna, o współpracę partnerską. Często niesłusznie zakłada się, że jeśli coś powstaje w Ameryce czy w języku angielskim, to zasadniczo jest nowsze, lepsze, oryginalniejsze niż to, co w języku polskim.

**AT:** Chciałam wrócić do kwestii zmiany słownika. Jako prawniczka z wykształcenia jestem raczej nieufna wobec postulatów zmiany słownika, choć uważam ją za potrzebną. Mam świadomość, że prawo i normy, przepisy i regulacje lubią pewne języki podkraść. **Zmiana języka niekoniecznie jest gwarantem zmiany systemu. Zmiana ta może maskować problemy systemowe, może więc ukrywać brak zmian faktycznych. A co do problemu osób, które mogą uciekać z powodu wzmagającej się konkurencyjności, znam go osobiście. Jestem jedną z osób, które na kulturoznawstwie znalazły się po prawie, na którym chciałam zostać, działać i naukowo pracować. Ale ten pomysł umarł właśnie z powodu istniejącej tam, odmiennej kultury naukowej polegającej na obezwładniająco silnej rywalizacji.** Doświadczyłam jej i wiem, że jest realnym zagrożeniem. Dla mnie pytanie, czy chcę się z nią zmagać, jest bardzo ważne. Na zasadzie konkurencyjności opiera się cały rynek pracy. Jeżeli akademia ma być formą eskapizmu albo przeciwnie, przedstawiać ciekawą alternatywną propozycję, to musi odpowiedzieć na pytanie, jak sobie z tym poradzić.

**AS:** Racja! Przekonanie, że zmiana języka rozwiąże problem jest utopią. Ale można choćby uświadomić sobie, że nie musimy tego języka internalizować. Jeśli ten dyskurs w nas uderza, możemy go nie przyjmować, broniąc się przed internalizacją zawartej w nim struktury myślenia. Jeśli go uwewnętrznimy, traktowanie humanistyki jako rodzaju pracy twórczej może po prostu stać się już niemożliwe.

**Grzegorz Godlewski:** Ze słuchania Waszych głosów wydobyłem naprawdę wiele i wiele się nauczyłem. Moim zdaniem „retoryka podejrzliwości”, o której mówiła Małgorzata, przyjmuje czasem postać reżimu podejrzliwości. Podam przykład. W sprawozdawczości, którą uprawiamy, parę lat temu została wprowadzona regulacja, żeby do sprawozdań mówiących o liczbie stron naszych artykułów dołączać ksero pierwszej i ostatniej strony tekstu, by zweryfikować podawane przez nas informacje bibliograficznie. Na szczęście ten reżim stracił nieco na pewności siebie. Być może reżimy bywają autorefleksyjne, ale może to nadmiernie optymistyczne stwierdzenie. Ta dyskusja uświadomiła mi, skąd bierze się we mnie opór wobec nowych zasad ilościowych, parametryzacyjnych, indeksowych; zasad dotyczących cytowania i punktacji. **Zostałem – mam nadzieję, że nie zabrzmie to sentymentalnie – ukształtowany przez kulturę naukową i akademicką, zgodnie z którą miarą wartości tego, co robię, jest publikowanie ważnych książek. Niekoniecznie musi być ich dużo. To może być jedna lub dwie ważne książki. Co to znaczy, „ważne książki”? Jak to zmierzyć? Tego zrobić się nie da. Książka może być ważna dla paru osób, które cenię, albo też komuś się do czegoś przydać: jeśli tak się stanie, będę pewny, że jest ważna.** Wszystkie nowe regulacje tego poczucia we mnie ani trochę nie podważyły. Nadal zajmuję się naukowo praktykami piśmiennymi i tekstowymi. To, co dziś usłyszałem, uświadomiło mi, jak wielka jest różnorodność praktyk piśmiennych, oraz to, że podciągnięcie ich pod jedną kategorię jest niebezpieczne. Uświadomiłem też sobie, że niektóre rzeczy, które pisałem na temat praktyk piśmiennych czy tekstowych, były wywiedzione z własnych praktyk. Starałem się, rzecz jasna, wyobrazać sobie albo dowiadywać się o innych możliwych praktykach,

ale z całą pewnością nie uwzględniłem wszystkich. Natomiast zaskoczyło mnie, że tak mało miejsca w tym, o czym mówiliście, zajmuje to, co ważne w moich praktykach i o czym pisało wielu teoretyków i badaczy piśmienności. Chodzi zasadniczo o to, że pisanie to także rodzaj dialogu z tym, co się już napisało. Język, a w większym jeszcze stopniu pismo, służą obiektywizowaniu myśli, ale nie tych gotowych, lecz tych *in statu nascendi*. Gdyby nie potrzeba czy też konieczność przeformułowania tekstu pisanego, pozostałyby one w stanie przemieszanych, niesprecyzowanych intuicji intelektualnych. Tymczasem pisanie, choć ograniczające również ze względu na swą linearność, pozwala krok po kroku obiektywizować myśli i formułować kolejne nie tyle w dialogu z tymi, które są w naszej głowie, ile z tymi, które się już piśmiennie zobiektywizowały. W tym sensie praktyki tekstowe są lub mogą być praktykami, w których tekst jest nieustannie emergentny. To, że staje się potem wytworem, rezultatem, przedmiotem, czymś przestrzennym i domkniętym, stanowi to, co w filozofii nauki określane jest jako „kontekst uzasadnienia”. Ale kontekst odkrycia pozostaje niejasny. Sposób powstawania tekstu w istotnej mierze może zależeć od sytuacji, w której formułuję myśli w dialogu z własnymi zobiektywizowanymi tekstowo lub prototekstowo myślami. Druga rzecz, ważna dla mnie ze względów teoretycznych, to fakt, jak mało uwagi badacze piśmienności poświęcają temu, co się dzieje między podmiotem ukształtowanym przez pismo a tekstem. Mówi się o „umyśle piśmiennym” lub „umyśle tekstowym”, tak jakby człowiek został przez pismo ukształtowany, nosił w sobie gotowy tekst i jakby to, co się dzieje między umysłem tekstowym a tekstem, było jedynie przepływem, niemalże automatycznym. **To, co mówiliście, uświadamia, że człowiek, poza tym, że posiada umysł tekstowy, ma ciało, emocje, wyobraźnię i życie, w którym jest zanurzony. Tekstowość umysłu podsuwa dyspozycje, narzędzia, kategorie i sposób myślenia, czyli to wszystko, co wypełnia papierowy świat. Nie ma w tym jednak żadnego automatyzmu, a sam proces jest z pewnością wart zbadania. Umysł tekstowy nie produkuje automatycznie tekstów, co rzadko uwzględniane jest przez tych, którzy się zajmują pismem i piśmiennością, praktykami piśmiennymi i tekstowymi.**

**Agnieszka Stecko-Żukowska:** W Waszej dyskusji przewijał się temat produktywności, reżimów różnorodnych produktywności oraz tego, że hasło „czytać więcej, pisać mniej” dla nas wszystkich jest ważne. Zastanawiam się nad możliwością praktycznego zastosowania tego w warunkach szkoły doktorskiej, w której jestem doktorantką. Dla mnie doświadczenie bycia w szkole jest przede wszystkim doświadczeniem przystosowywania do bardzo konkretnych, zuniformizowanych, utylitarnych i globalnie zunifikowanych form praktyk pisania i wytwarzania wiedzy. Jest to trudne doświadczenie. Oprócz refleksji naukowej nad własnym projektem, dużą część umysłowej energii poświęcam refleksji na temat metafunkcjonowania tego tworu, którym są szkoły doktorskie. Szkoła doktorska nie tworzy środowiska. Jest produktem administracji, który ma bardzo dużą nad nami, jako doktorantami, władzę na poziomie operacyjnym. Moim problemem jest brak lub trudność w odnalezieniu środowiska, które pozwalałoby na współpracę. **W szkole o grantach mówi się przede wszystkim w kontekście nie tyle współpracy, ile jednostkowych osiągnięć: granty mają zapewnić finansowanie badań lub życia w trakcie pisania i tworzenia tekstów naukowych. Nie są prezentowane jako narzędzia organizowania zespołów, łączenia się w konstelacje naukowe.** Duża część zajęć, szczególnie na pierwszym roku w szkole doktorskiej, dotyczy właśnie przystosowania się do bardzo konkretnej wizji tego, w jaki sposób chcemy jako akademika wytwarzać naukę. Dotyczą one przede wszystkim tego, jak budować osobistą, indywidualną pozycję badacza i akademika, w jaki sposób publikować więcej i efektywniej – tak, aby służyło to budowaniu kariery i naszym wydziałom, które mogą wówczas zobaczyć w nas wartościowych, wartych „zainwestowania” pracowników.

**MR:** Zacznę od szkół doktorskich, gdyż to dla mnie sprawa bolesna i niepokojąca. Sytuacja jest poważna, ponieważ oderwały one młodych badaczy od reszty środowiska naukowego. Zostały pomyślane jako ciało administracyjne, które ma zasadniczo strukturę głęboko szkolną, a nie akademicką, i które odgórnie przygotowuje dla doktorantów programy, mające ich wyposażyć w struktury myślenia i języki, w jakich powinni rzekomo myśleć o swojej karierze akademickiej. Ten model kształcenia powoduje, że młodzi badacze są pozbawieni sprawczości związanej z wybieraniem sobie zajęć, języków, pól badawczych i wiedzy, które uważają za wartościowe. Brak

możliwości nawiązywania ożywionej współpracy z młodymi doktorantami i doktorantkami odczuwam jako głęboko osobistą stratę. Mówiliśmy o konieczności demokratyzacji i dekolonizacji wiedzy oraz o tym, aby wiedzę upowszechnić, czynić ją społecznie dostępną dla wielu podmiotów, które chciałyby w tej wiedzy partycypować. Dyskutowaliśmy o niebezpieczeństwach i zagrożeniach związanych z tym, jak wiedza jest kanalizowana, zarządzana i odrywana od ludzi, którym mogłaby się przydać. Problem ten jest fundamentalny, bo dotyczy tego, czy uniwersytety nadal są instytucjami, które mogą zmieniać obiegi wiedzy, demokratyzować ją, dokonywać przemian polityki naukowej poprzez praktyki pisania. Mówiliśmy o powszechnym dostępie. Głęboko identyfikuję się z tą ideą. Zastanawiam się jednak, czy jeżeli stworzymy sytuację, w której badacze będą upowszechniali swoje teksty, to te teksty nadal będą czytane. Czy ktoś będzie się z nimi identyfikował? Czy będą poruszały wyobraźnię? Mam wrażenie, że to potężny problem. Kwestia napięcia między lokalnością i globalnością badań: napięcia między naciskiem na umiędzynarodowienie a zobowiązaniem działania na bardziej lokalnym poziomie i politycznie wydaje się bardzo ważna. Jest ona tymczasem usuwana z horyzontu widzialności poprzez presję umiędzynarodowienia. Stoimy przed bardzo poważnym wyzwaniem: jeżeli badacz chce oddziaływać na debatę publiczną w obrębie własnej wspólnoty politycznej i społecznej, w poczuciu zobowiązania choćby względem standardów komunikacyjnych, które w ramach tej wspólnoty upadają, to musi zrezygnować z pisania promowanego obecnie w ramach akademii.

**AT:** W tym kontekście przychodzi na myśl think-tanki: kultura współpracy nie tylko między badaczami, ale też między akademikami i aktywistami, kultura tworzenia szerokich sieci współpracy – o ile zdołają one uniknąć pułapki kolejnego systemu projektowego.

**AS:** Myślę, że jeśli mimo tego, że mamy odmienne praktyki pisania, różne pola zainteresowań oraz znajdujemy się na innych etapach kariery akademickiej, mamy potrzebę stworzenia z uczelni wspólnej i wspólnotowej przestrzeni, w której będzie można rozmawiać i twórczo realizować badania humanistyczne, to już zrobiliśmy pierwszy krok ku temu, by coś zmienić.



---

**Noty  
o autorkach,  
autorach,  
rozmówczyniach  
i rozmówcach**



---

**Mgr Paulina Chorzewska-Rubik** – literaturoznawczyni, doktorantka w Zakładzie Antropologii Słowa w ramach Szkoły Doktorskiej Nauk Humanistycznych UW. Publikowała między innymi w „Tekstach Drugich”, „Forum Poetyki” oraz „Przestrzeniach Teorii”. Kierowniczka grantu „Wiersz w sieci. Filologia strony internetowej na przykładzie twórczości Tomasza Pułki (2005–2012)” (Preludium NCN). ORCID 0000-0002-9524-1944

**Dr Piotr Cichocki** – antropolog kultury, muzyk i producent muzyczny związany z Instytutem Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Interesuje się relacjami między materialnością, technologią, dźwiękiem i religijnością. Jego teksty ukazywały się w czasopiśmie antropologicznych, m.in. „Ethnologia Polona”, „Lud”, „Studia Kulturoznawcze”, „Seismograf”, „Observatorio CEMI”, a wśród książek jego autorstwa znajdują się: *Sieć przyjaciół. Serwis społecznościowy oczami etnografa* (2013) czy *Wzmacniane modlitwy. Dźwięk w społeczno-duchowych światach postkolonii* (2024). Koordynator Interdyscyplinarnego Zespołu Badań Postkolonialnych UW. ORCID 0000-0003-0999-477X

**Prof. Grzegorz Godlewski** – pracuje w Instytucie Kultury Polskiej UW, zajmuje się antropologią słowa i antropologiczną teorią kultury. Autor książek: *Lekcja kryzysu. Źródła kulturalizmu Floriana Znanieckiego* (1997), *Słowo – pismo – sztuka słowa. Perspektywy antropologiczne* (2008), *Luneta i radar. Szkice z antropologicznej teorii kultury* (2016). Współredaktor podręczników *Antropologia kultury* (2005) i *Antropologia słowa* (2003) oraz tomów zbiorowych: *Animacja kultury. Doświadczenie i przyszłość* (2002), *Kulturologia polska XX wieku* (2013), *Od aforyzmu do zinu. Gatunki twórczości słownej* (2014), *Antropologia praktyk językowych* (2016). Członek zespołów redakcyjnych „Almanach Antropologiczny. Communicare”, „Przeglądu Kulturoznawczego” oraz rady redakcyjnej „Kultury Współczesnej”, a także rady Fundacji „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów”. ORCID 0000-0002-7816-9223

**Dr Sara Herczyńska** – kulturoznawczyni, absolwentka MISH UW. Asystentka w Zakładzie Antropologii Słowa Instytutu Kultury Polskiej UW, członkini Zespołu Badań Pamięci o Zagładzie. Interesuje się badaniami nad pamięcią, muzeami i polską sztuką współczesną. Publikowała artykuły i przekłady m.in. w „Tekstach Drugich”, „Widoku”, „Przeglądzie Humanistycznym”, „Pracach Etnograficznych”, „Almanachu Antropologicznym. Communicare” i „Kontekstach”. Współpracowała z Zachętą – Narodową Galerią Sztuki i Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. ORCID 0000-0003-4840-5819

**Mgr Anna Róża Hoss** – psycholożka, kulturoznawczyni, doktorantka w Międzydziedzinowej Szkole Doktorskiej UW. Związana z Zakładem Antropologii Słowa Instytutu Kultury Polskiej UW, gdzie ukończyła studia licencjackie i magisterskie. Absolwentka jednolitych studiów magisterskich na Wydziale Psychologii UW. Członkini Fundacji „Otwarte Seminaria Filozoficzno-Psychiatryczne”. ORCID 0000-0001-8615-7284

**Dr hab. Inga B. Kuźma, prof. UŁ** – antropolożka z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Łódzkiego, związana też z Centrum Innowacji Społecznych UŁ. Zainteresowania naukowe: wykluczenie i włączenie społeczne; problematyka kobiet i *her-story*; tworzenie modeli i strategii rozwiązywania problemów społecznych. Uczestniczka akcji COST CA19129 „Decolonizing Development” Europejskiego Programu Współpracy w Dziedzinie Badań Naukowo-Technicznych (2021–2024). Współtworzy Interdyscyplinarne Seminarium Gender, zasiada w zarządzie Fundacji „Łódzki Szlak Kobiet”. Członkini Rady ds. Równego Traktowania w UŁ (do 2024), Rady ds. Rozwiązywania Problemu Bezdomności w Łodzi przy UMŁ (od 2021), Housing Rights Cluster FEANTSA, koalicji społecznikowskiej Łódź Różnorodności. Uczestniczy w międzynarodowych programach na rzecz przewycięzania nierówności

społecznych (programy Erasmus+, Europe for Citizen i in.). Współautorka projektu badawczego w I edycji programu PFRON „Niepełnosprawność w naukach humanistycznych”. Zaangażowana w projekty stosowane i międzysektorowe: Centrum Analiz i Modelowania Społecznego (2020–2021); Humanistyka stosowana dla rozwoju... (2017–2019); Opracowanie modelu funkcjonowania Łódzkiego Centrum Usług Społecznych (2018–2019). Wybrane publikacje: *Tematy trudne. Sytuacje badawcze* (red., 2013), *Homes of the Homeless. A Study of Life in Crisis* (2019), *Kobieta – przestrzeń konfliktu, pole walk...* (z E. Pietrzak, 2021). Współredaktorka prac z serii *Oblicza Feminizmu*, wydawanej przez Wydawnictwa UŁ. ORCID 0000-0003-0195-0270

**Dr hab. Małgorzata Litwinowicz-Droździel, prof. UW** – adiunkt w Zakładzie Historii Kultury Instytutu Kultury Polskiej UW, historyczka kultury polskiej XIX wieku, lituanistka, animatorka kultury. Zajmuje się problematyką polskiej nowoczesności, w szczególności kwestiami przemian medialnych i wynalazczości. Kieruje pracami Międzyzakładowego Zespołu Kultury XIX Wieku. Autorka książek *O starożytnościach litewskich. Mitologizacja historii w XIX-wiecznym piśmiennictwie historycznym b. Wielkiego Księstwa Litewskiego* (2008), *Zmiana, której nie było. Trzy próby czytania Reymonta* (2019), współredaktorka tomów: *Praktyka – utopia – metafora. Wynalazek w XIX wieku* (2016), *Ekspozycje nowoczesności. Wystawy a doświadczanie procesów modernizacyjnych w Polsce 1821–1929* (2017) oraz *Opowiedziane. Historia mówiona w praktykach humanistycznych* (2019). Jest współautorką podręcznika wiedzy o kulturze dla szkół ponadgimnazjalnych *Człowiek w kulturze* (2006), współtłumaczką książki Eugenio Barby *Teatr. Samotność, rzemiosło, bunt* (2003) oraz autorką koncepcji i redaktorką publikacji popularyzujących sztukę opowiadania – *Przyjemności opowiadania* (2006) i *Małe muzea, duże historie* (2014). Publikowała m.in. w „Przeglądzie Humanistycznym”, „Dialogu”, „Pamiętniku Literackim”, „Kulturze Współczesnej”, „Tekstach Drugich”. Zajmuje się działalnością animacyjną, edukacyjną i popularyzatorską, jest współzałożycielką Stowarzyszenia „Grupa Studnia O.”. W latach 2006–2018 kierowała Międzynarodowym Festiwałem Sztuki Opowiadania, który co roku odbywa się w Warszawie. ORCID 0000-0002-2886-4287

**Dr hab. Piotr Marecki, prof. UJ** – pracuje w Instytucie Kultury Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie prowadzi UBU lab. Polski pisarz, redaktor, wydawca, kulturoznawca. Zajmuje się kulturą cyfrową (przede wszystkim literaturą elektroniczną i demosceną), współczesną literaturą, a także kulturą niezależną, subwersywną, marginesową i pisarstwem eksperymentalnym. Tworzy literaturę eksperymentalną, m.in. boty, generatory tekstu, poezję flarf, gry. Współautor antologii o młodej literaturze polskiej *Tekstyliia* (2002) i *Tekstyliia bis. Słownik młodej polskiej kultury* (2006) oraz książek o literacie (2002, 2003), autor tomu *Pospolite ruszenie* (2005) o polskich czasopismach kulturalnych ukazujących się po 1989 roku, a także „historii mówionej” polskiego kina niezależnego (2009). W swoich eksperymentach angażuje do celów twórczych platformy współczesnego kapitalizmu (Google, Twitter, Amazon, Instagram). Autor bestsellerowych książek, m.in. *Polska przydrożna* (2020). ORCID 0000-0002-2657-9300

**Dr Weronika Parfianowicz** – członkini Zakładu Historii Kultury, Pracowni Studiów Miejskich i Zespołu Badań nad Teoriami oraz Praktykami Socjalizmu i Komunizmu w Instytucie Kultury Polskiej UW. Zajmuje się mieszkalnictwem, historią nowoczesnej kultury czeskiej i problematyką środkowoeuropejską, a także ideą postwzrostu i ekologicznymi wątkami myśli socjalistycznej. Autorka książki *Europa Środkowa w tekstach i działaniach. Polskie i czeskie dyskusje* (2016), współredaktorka książek *Awangarda/Underground. Idee, historie, praktyki w kulturze polskiej i czeskiej* (2018) i *Ćwiczenia z mieszkania. Praktyki, polityki, estetyki* (2018), a także artykułów opublikowanych m.in. w „Kulturze Współczesnej”, „Tekstach Drugich” i „Czasie Kultury”. Kieruje projektem „Pułapki industrializacji, pokusy konsumpcji, poszukiwania «harmonijnego rozwoju» i troska o przyszłość Ziemi. Polska Ludowa wobec wyzwań środowiskowych (1944–1989)” w ramach programu IDUB. Laureatka Stypendium Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego dla wybitnych młodych naukowców (2019), a także stypendium im. Zdenka Pešata w Instytucie Literatury Czeskiej Czeskiej Akademii Nauk w Pradze (2017). ORCID 0000-0002-5645-3119

**Dr hab. Marta Rakoczy, prof. UW** – kulturoznawczyni, filozofka, kierowniczka Zakładu Antropologii Słowa w Instytucie Kultury Polskiej UW oraz koordynatorka pracowni naukowej Korczakianum w Muzeum Warszawy. Zajmuje się antropologią pisma, antropologią edukacji, kulturowymi studiami nad dzieciństwem i młodzieżą oraz historią modernizacji. Autorka m.in. takich książek jak: *Słowo – działanie – kontekst. O etnograficznej koncepcji języka Bronisława Malinowskiego* (2012), *Polityki pisma. Szkice plenerowe z pajdocentrycznej nowoczesności* (2018), *Władza liter. Polskie procesy modernizacyjne a awangarda* (2022). Współredaktorka publikacji: *Od aforyzmu do zinu. Gatunki twórczości słownej* (2014), *Antropologia praktyk językowych* (2016), *Historia mówiona w praktykach humanistycznych* (2019). Członkini Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem działającego przy IEiAK UW. ORCID 0000-0002-7967-2939

**Dr hab. Tomasz Rakowski, prof. UW** – etnolog, antropolog kultury, kulturoznawca, lekarz. Profesor w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, współpracuje z Instytutem Kultury Polskiej UW. Prowadzi badania w Polsce i w Mongolii. Zajmuje się badaniami oddolnych procesów rozwojowych, antropologią sztuki współczesnej i partycypacyjnej, etnograficznie zorientowaną animacją kultury oraz najnowszą metodologią badań kulturowych. Autor książek: *Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego* (2009, wyd. ang. Berghahn Books: 2016, 2019) oraz *Przepływy, współdziałania, kręgi możliwego. Antropologia powodzenia* (2019). ORCID 0000-0002-1668-2793

**Dr hab. Paweł Rodak, prof. UW** – historyk literatury i kultury polskiej, profesor w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, dyrektor Ośrodka Kultury Polskiej na Sorbonne Université (2016–2019), dyrektor Instytutu Kultury Polskiej UW (2012–2016). Zajmuje się historią nowoczesnej literatury i kultury polskiej XX wieku (ze szczególnym uwzględnieniem okresu wojennego i diarystyki) oraz antropologią słowa w kulturze (przede wszystkim praktykami pisma i druku). Autor książek: *Wizje kultury pokolenia wojennego* (2000), *Pismo, książka, lektura. Rozmowy: Le Goff, Chartier, Hébrard, Fabre, Lejeune* (2009), *Między zapisem a literaturą. Dziennik polskiego pisarza w XX wieku (Żeromski, Nałkowska, Dąbrowska, Gombrowicz, Herling-Grudziński)* (2011). Współredaktor wielu tomów zbiorowych, m.in. *Wojna: doświadczenie i zapis. Nowe źródła, problemy, metody badawcze* (2006), *Antropologia pisma. Od teorii do praktyki* (2010), *Kulturologia polska XX wieku* (2013), *Od aforyzmu do zinu. Leksykon gatunków twórczości słownej* (2014), *Wśród ludzi, rzeczy i znaków. Krzysztofowi Pomianowi w darze* (2016), *Ekspozycje nowoczesności. Wystawy a doświadczanie procesów modernizacyjnych w Polsce (1821–1929)* (2017), *Antropologia pamięci. Zagadnienia i wybór tekstów* (2018), *Józef Czapski. Itinéraires de vérité* (2020), *Rethinking Modern Polish Identities. Transnational Encounters* (2023). Przewodniczący komitetu redakcyjnego serii wydawniczej *Communicare. Historia i kultura*. Od 2021 roku kieruje projektem badawczym „Życie pisane na konkurs. Praktyki pamiętnikarskie w Polsce 1918–1939 (analiza – recepcja – znaczenie)” (NCN, OPUS). ORCID 0000-0003-3538-4676

**Dr Kornelia Sobczak** – obroniła doktorat z kulturoznawstwa w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, jest współautorką książki *Chopinowskie igrzysko. Historia Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina 1927–2015* (2020), jej eseje znalazły się m.in. w publikacji *Ślady Holokaustu w imaginarium kultury polskiej* (2017) i tomach wydanych w serii *Topo-Grafie*; pracuje w redakcji miesięcznika poświęconego dramaturgii współczesnej „Dialog”. ORCID 0000-0002-6220-3909

**Dr Agnieszka Sobolewska** – podwójny doktor nauk o kulturze i religii oraz studiów środkowoeuropejskich na paryskiej Sorbonie i Uniwersytecie Warszawskim. Asystentka w Instytucie Kultury Polskiej UW oraz od roku 2024 Associate Faculty na Wydziale Polish, Russian, and Lithuanian Studies, University of Illinois Chicago. Od 2021 roku związana z Centre français de recherche en sciences sociales (USR 3138 CNRS-MEAE). Autorka książek: *Obrazy czarności* (WUW, 2020), *Autoekonomie zapisu Juliana Ochorowicza* (seria *Communicare*, WUW, 2021), *Theories and Practices of Psychoanalysis in Central Europe* (seria *The History of*

Psychoanalysis, Routledge, 2024), a także antologii *Imago psychoanalizy* (Słowo/obraz terytoria, 2021). Publikowała m.in. w „Oxford German Studies”, „Biography: An Interdisciplinary Quarterly”, „The International Journal of Psychoanalysis”, „Tekstach Drugich”, „Czasie Kultury”, „Autobiografii” i „Wielogłosie”. ORCID 0000-0002-2119-7215

**Mgr Honorata Sroka** – literaturoznawczyni, instytucjonalnie związana z Uniwersytetem Warszawskim. Współpracowniczka Ośrodka Badań nad Awangardą UJ. Zajmuje się *life writing* twórców awangardowych, teoriami zapisów osobistych oraz autobiograficznymi praktykami eksperymentalnymi. Kierowniczką projektu „Archiwum awangardy. Interpretacje korespondencji Franciszki i Stefana Themersonów” (NCN). ORCID 0000-0002-3505-1604

**Dr Jerzy Stachowicz** – kulturoznawca, fan *science fiction*, pracuje w Instytucie Kultury Polskiej UW, zajmuje się badaniem nowych mediów w kontekście antropologii słowa oraz historią kultury popularnej przed 1939 rokiem. Autor książek *Technogadżet w magicznym świecie konsumpcji* (2016) i *Komputery, powieści i kino nieme. Procesy remediacji w perspektywie historycznej* (2018). Wraz z Agnieszką Haską opublikował antologię polskiej przedwojennej literatury SF *Śniąc o potędze* (2012) oraz książki *Bezłitosne. Najokrutniejsze kobiety dwudziestolecia* (2015) i *Jasnowidze i detektywi* (2019). W wolnych chwilach gapi się w ekrany i pisze o zapomnianych powieściach fantastycznych. ORCID 0000-0001-9179-128X

**Mgr Agnieszka Stecko-Żukowska** – absolwentka kulturoznawstwa w Instytucie Kultury Polskiej UW. Doktorantka w Międzydziedzinowej Szkole Doktorskiej UW. Za pomocą narzędzi antropologicznych analizuje nowe zjawiska z zakresu tzw. nowych mediów, technologii, reklamy i marketingu. Zainteresowana społecznym wymiarem postępu technologicznego, kulturą internetu, mediami społecznościowymi i praktykami ich użytkowników. Pod kierunkiem prof. Romana Chymkowskiego i prof. Dominika Batorskiego przygotowuje pracę doktorską dotyczącą przyszłości internetu i alternatywnych social mediów. ORCID 0000-0003-4959-2492

**Mgr Ada Tymińska** – badaczka, doktorantka w Międzydziedzinowej Szkole Doktorskiej UW i pracownica trzeciego sektora. Od kilku lat aktywistycznie i akademicko zajmuje się tematem migracji. Stypendystka m.st. Warszawy za rok 2023 w dziedzinie literatury. Pracuje nad doktoratem o młodych ludziach w drodze oraz nad powieścią o Wiśle. ORCID 0000-0003-1941-5006



**Recenzenci**

dr hab. Krzysztof Abriszewski, prof. UMK  
prof. dr hab. Waldemar Kuligowski

**Konsultacja**

prof. dr hab. Grzegorz Godlewski

**Redaktor prowadzący**

Jakub Ozimek

**Redakcja**

Elżbieta Olender-Dmowska  
Aleksandra Zych

**Korekta**

Krystyna Komorowska

Publikacja współfinansowana ze środków Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu  
Warszawskiego

Publikacja współfinansowana ze środków Fundacji Uniwersytetu Warszawskiego



INSTYTUT  
KULTURY  
POLSKIEJ

Publikacja na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 PL (CC BY 3.0 PL)  
(pełna treść wzorca dostępna pod adresem: <http://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/legalcode>).

Marta Rakoczy, Uniwersytet Warszawski, ORCID 0000-0002-7967-2939  
Agnieszka Sobolewska, Uniwersytet Warszawski, ORCID 0000-0002-2119-7215

ISBN 978-83-235-6575-8 (pdf online)

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego  
02-678 Warszawa, ul. Smyczkowa 5/7  
e-mail: [wuw@uw.edu.pl](mailto:wuw@uw.edu.pl)  
księgarnia internetowa: [www.wuw.pl](http://www.wuw.pl)

Wydanie 1, Warszawa 2024

**Projekt graficzny, projekt okładki i skład**

RZECZYOBRAZKOWE



*Nie mam wątpliwości co do tego, że pomysł kolejnego Almanachu jest aktualny, wartościowy i poznawczo znaczący. Choć już dobrze u nas znany James Clifford przed laty wskazywał, że pisanie antropologii jest gęsto ukontekstowane (politycznie, społecznie, historycznie, z uwagi na tradycję „szkół”), to z pewnością nie poświęcono analizie konsekwencji tego stanu zbyt wiele należytej uwagi. Zwłaszcza w świetle debat poświęconych kwestii zaangażowania i społecznej odpowiedzialności dyscypliny. Wiedza antropologiczna jest w tym tomie traktowana jako efekt transferów, przepływów, nacisków i oczekiwań. To, co instytucjonalne, w sposób konieczny krzyżuje się z tym, co idiosynkratyczne, jak sposoby opowiadania, taktyki tworzenia tekstów, pomysły na gromadzenie danych czy nawet indywidualne praktyki odpoczynku. Akademia, a wraz z nią „humanistyczny warsztat”, musi funkcjonować w warunkach późnego kapitalizmu, z regulowaną punktami konkurencyjnością i prekarnością sublimowaną glorią zdobycia grantu bądź innych zewnętrznych funduszy. Artystowsko zorientowane działania o charakterze pozasystemowym czy pozastandardowym są w tej sytuacji tylko produktem ubocznym, raczej szlachetnym hobby niż wymienialnym na rynku dobrem. Co wcale nie znaczy, że pozostaje nam kapitulacja i przyjęcie warunków przeciwnika.*